



ŁUKASZ OKOŃSKI

EMPIRYSTA

KRES

Łukasz Okoński

Empirysta

KRES

© Copyright by Wydawnictwo Poligraf, 2019

© Copyright by Łukasz Okoński, 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żaden fragment nie może być publikowany ani reprodukowany bez pisemnej zgody wydawcy lub autora.

Projekt okładki: Izabela Surdykowska-Jurek

Opieka redakcyjna: Klaudia Drózdź

Korekta: Agnieszka Kwaterska, Dominika Ładycka

Skład: Wojciech Ławski

Konwersja do EPUB/MOBI: InkPad

Książka wydana
w Systemie Wydawniczym
Fortunet™
www.fortunet.eu

ISBN: 978-83-8159-998-6

Wydawnictwo Poligraf

ul. Młyńska 38

55-093 Brzezia Łąka

tel./fax 713442519

www.WydawnictwoPoligraf.pl

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[PROLOG](#)

[ROZDZIAŁ I DOLINA DUCHÓW](#)

[ROZDZIAŁ II JESIENNE MGŁY](#)

[ROZDZIAŁ III TRAKT STRACÉNCÓW](#)

[ROZDZIAŁ IV PÓŁWYSEP CIENI](#)

[ROZDZIAŁ V KRES](#)

[EPILOG](#)

PROLOG

O tej porze roku doliny znajdujące się pośród Gór Kaskadowych swym pięknem mogły zachwycić niemal każdego, pomimo że jesień zwiastowała burze i ochłodzenie. Ponadto podczas tego sezonu liście drzew przybierały żółte, złote, czerwone i brązowe barwy. Nie dotyczyło to co prawda dominujących w tych rejonach iglaków, takich jak sosny i jodły, tylko rzadziej występujących tutaj topól, osik i klonów. Mnogość kolorów dodawała uroku tym okolicom. To miejsce wywierało także wrażenie, że mogło stanowić swoistą oazę dla natury w zniszczonym przez człowieka świecie.

Kraina była bogata w wodę i żywność. Dzięki temu najróżniejsze gatunki zwierząt miały zapewnione warunki do przetrwania. Tego chłodnego słonecznego poranka łosie i jelenie pasły się na polanach. Jedyne ich grzbiety i poroża wystawały znad gęstych złotych traw. W innej części lasu

rodzina niedźwiedzi grizzly ogołacała z owoców krzaki jagód, aby jeszcze bardziej przybrać na wadze. Musiały to zrobić, żeby być lepiej przygotowanymi do zimowego snu. Z kolei w jeszcze innym miejscu wataha wilków planowała zasadzkę na niczego nieświadome stado zajęcy, które, o dziwo, spędzały dzień poza swoimi norami.

W okolicznych rzekach i jeziorach pływały wydry. Łasicowate ssaki próbowały upolować licznie występujące w tych wodach jesiotry i łososie. Te ryby stanowiły doskonały pokarm dla także żyjących w tym ekosystemie bielików amerykańskich. Poza tymi ptakami najbliższe doliny zamieszkiwały także sokoły, sójki i dzięcioły. Nocą przestworza należały też do pochowanych za dnia w okolicznych grotach nietoperzy, których ulubionym posiłkiem były komary, muchy, pasikoniki i pająki.

Jednak spośród wszystkich istnień największy wpływ w tym miejscu na ekosystem miał człowiek. Ludzie, próbując okiełznać naturę, stworzyli tutaj szlak komunikacyjny. Regularnie naprawiali skonstruowaną przez siebie asfaltową drogę. Również założyli w tych lasach wyrębiska. Gdzieniegdzie ścięte pnie drzew stanowiły przykład ludzkiej interwencji na naturze. Miejsca ogołacane z flory wyglądały na wyjałowione, jednak gdzieniegdzie zasadzono nowe drzewka, aby

utrzymać równowagę w przyrodzie. Takie „szkółki leśne” często spotykano w tych dolinach.

Tego dnia na jednym z wyrębisk pracę rozpoczęto już o świcie. Dwóch mężczyzn niezbyt ochoczo ścinało drzewa. Za ich narzędzia służyły sporych rozmiarów, ostre jak brzytwa, siekiery.

Jeden z nich miał siwe, przerzedzone włosy. Patrząc na jego niedokładnie ogoloną, pokrytą wieloma zmarszczkami twarz, można było podejrzewać, że ten człowiek w swoim życiu przeszedł dużo stresu. Do pracy włożył typowy strój dla drwala. Czarno-czerwona, podwinięta za łokcie koszula miała w sobie wiele dziur. Także czarne spodnie, które mężczyzna nosił na sobie, nie wyglądały na zadbane. Ponadto jeden z jego ciemnobrązowych butów wymagał interwencji szewca, gdyż podeszwa wyglądała, jakby miała wkrótce odpaść od cholewki.

Drugi z drwali wiekowo był nieco młodszy, ale o wiele bardziej zadbany od współpracownika. Poza tym miał o wiele mniej zmarszczek. Jego bujną czupryną targał chłodny wiatr. Ten człowiek nosił także identyczne jak jego współpracownik ubranie, ale bez wątplenia je regularnie prał, prasował i należycie o nie dbał.

W pewnym momencie starszy z drwali przerwał pracę i podszedł do pobliskiego wcześniej ściętego

drzewa. Następnie odłożył na bok siekierę, usiadł na powalonym pniu i podniósł z ziemi niewielką torbę. Wyciągnął z niej ciemnobrązową butelkę, a następnie ją otworzył i upił z niej kilka łyków zawartej w niej substancji.

- Musisz tak chlać już od samego rana? - spytał młodszy z mężczyzn, podchodząc do współpracownika.

- Przecież wiesz, że jeżeli sobie nie golnę, ręce będą mi drżeć i nie wykonam swojej roboty. Poza tym siekiera mogłaby mi zejść z celu i mógłbyś oberwać nią w łeb.

- Szkoda, że nikt się za ciebie w życiu nie zabrał... Może by cię wtedy przypilnował i byś tyle nie pił. Przy okazji by ci tak łapami nie trzęsło od delirki i miałbyś także więcej kasy... Pomyślałeś o tym, ile wydajesz na alkohol?

- Przestań mi chrzanić z samego rana... nie mogę przez ciebie pracować.

- Ech... przecież nic teraz nie robisz... - westchnął i pokręcił przecząco głową jego współpracownik. - Chociaż przegadajmy te kilkanaście minut podczas jednej z twoich wielu przerw, kiedy pijesz i palisz.

- Lepiej stul pysk, bo przypominasz mi moją byłą żonę... - oznajmił starszy z mężczyzn, biorąc kilka kolejnych łyków z butelki. - Ciągle byś tylko kłapał

tym dziobem. Nawet jak nie masz o czym.

Niespodziewanie mężczyźni usłyszeli dochodzący z oddali dźwięk silników. Zaciekawieni tym faktem wstali i podeszli do krawędzi najbliższego zbocza. Z tego miejsca mogli doskonale widzieć większość doliny. W pewnej chwili zobaczyli na drodze kordon kilku zmierzających na północ pojazdów. Na samym przedzie jechał wojskowy hummer, a tuż za nim czerwony muscle car. Nieco dalej za samochodami pędziły dwa motocykle. Jeden jednoślad prowadziła blondwłosa kobieta, a drugi czarnoskóry mężczyzna.

- Jakie licho ich tu przywiało? - spytał młodszy z drwali. - Od dawna nie widziałem, żeby ktoś z południa do nas przyjechał.

- Cholera go tam wie... i powiem ci więcej. Wyczuwam, że znów nadchodzą dla nas kłopoty. Chcesz wracać do miasta?

- Przecież zaczęliśmy pracować dopiero trzy godziny temu. Może porobimy cokolwiek chociaż do południa?

- Eee... kij dzisiaj z tą robotą - odparł starszy z drwali, rzucając w dół doliny opróżnioną przez siebie butelkę po alkoholu. - Drzewa nam i tak nigdzie nie uciekną. Jutro nadrobimy, czego dzisiaj nie zrobimy...

- Jak tam chcesz... - odparł młodszy z mężczyzn i wzruszył ramionami. - W takim razie wracajmy do

Hopetown.

W momencie gdy kordon pojazdów zniknął za wzgórzem, mężczyźni podnieśli siekiery, zebrali wszystkie swoje rzeczy i opuścili wyrębisko. Bez pośpiechu szli wąską leśną ścieżką, niszcząc po drodze wiele pajęczych sieci. Zmierzali w tę samą stronę, w którą pojechały widziane przez nich pojazdy...

ROZDZIAŁ I

DOLINA DUCHÓW

Hummer, muscle car i dwa motocykle poruszały się po asfaltowej drodze obecnie biegnącej na północny zachód. W okolicy dominował gęsty las. Pojazdy prowadzili ci, którzy trzy dni temu opuścili tereny jeziora Chelan i miasteczka Falltown. Do tego czasu podróżni pokonali niemalże czterysta kilometrów, przejeżdżając przez knieje, przełęcze, doliny i bagna. Po drodze minęli także kilka opuszczonych miasteczek i wiosek leżących na dawnej granicy amerykańsko-kanadyjskiej. Noce spędzali na postojach, rozbijając obozowiska w dziczy. To pomagało im wypocząć i odzyskiwać siły po ostatnich wydarzeniach, jakie zgotował im los.

Pierwszy pojazd prowadził Luke Roussel. Obok niego w wojskowym hummerze siedział Chris Reese. Z jednej strony obydwu mężczyzn fascynowała

okoliczna przyroda, ale z drugiej nużyła ich tułaczka.

Luke, podobnie jak reszta jego towarzyszy, nosił bluzę z barwionej na czarno wełny, trapery takiego samego koloru i skórzane, nieokrywające palców, rękawiczki. Ponadto nosił jasnoniebieskie dżinsy, kamizelkę kuloodporną i swój wysłużony czarny skórzany płaszcz.

Mężczyzna miał krótko ścięte, czarne włosy i niewielką bródkę i wąsy. Aktualnie siedział na miejscu kierowcy wojskowego hummera i się koncentrował na prowadzeniu auta. Z kolei jego towarzysz Chris nie dbał zbyt o swój krzywo przystrzyżony zarost i rozczochraną fryzurę. Nosił czarne spodnie i bluzę, szarą marynarkę i trapery. Bywały takie momenty, że Reese dyskutował z kierowcą, ale przeważnie milczał i zajmował maczetą swojego kompana.

Tuż za ich samochodem jechał pojazd, w którym siedziała rodzina Williamsów. To rodzeństwo miało koreańskie korzenie. Tym razem muscle cara prowadziła Sarah. Kobieta o czarnych, schludnie ściętych, sięgających jej do ramion włosach od czasu do czasu dyskutowała ze swoim bratem. Poza bluzą, traperami i skórzanymi rękawiczkami nosiła dżinsową kurtkę i jasnoniebieskie, uszyte z tego samego materiału spodnie.

Tuż obok kobiety siedział Steve. Mężczyzna miał

identyczną fryzurę jak jego siostra, ale był ubrany całkowicie na czarno. Kiedy nie rozmawiał, podziwiał krajobraz i od czasu do czasu zerkał w lusterko wsteczne, dyskretnie obserwując Raya Bennetta i Maggie Paylor.

Osoby, na które spoglądał, także nosiły ciemne ubrania. Czarnoskóry, dobrze zbudowany kierowca motocykla niedawno zgubił swoją chustę, którą miał w zwyczaju zasłaniać swoją twarz. Teraz ukazywał wszystkim swoje krótkie czarne włosy i szorstki zarost. Ray Bennett prowadził pojazd tuż obok swojej wiernej towarzyszkii Maggie Paylor. Kobieta o związanych średniej długości blond włosach koncentrowała się na jeździe i zwracała uwagę jedynie na drogę.

Sądząc po rozmowach, które podróżni ostatnimi dniami między sobą przeprowadzili, można było uznać, że nie zamierzali wracać do dawnych Stanów Zjednoczonych. Obecnie ścigały ich wojska American Security Organization. W związku z tym Luke, Chris, Maggie, Steve i Sarah wiązali nadzieje z nieznanymi dla nich terenami niegdysiejszej Kanady. Na tym jednak kończyły się ich wspólne plany. Roussel nadal pragnął powrócić do Europy i odnaleźć swoją żonę Nicole. Nie zamierzał rezygnować z wyprawy do Burgundii i miejscowości Dijon. Jedynie Chris, w odróżnieniu od reszty, zapragnął towarzyszyć mu

aż do Francji.

Z kolei Steve i Sarah nie mieli wyrobionego zdania na temat swoich planów i dopóki nie nastąpił odpowiedni dla nich moment, postanowili dotrzymać reszcie towarzystwa. Tymczasem najistotniejszą dla Raya sprawą było, żeby uchronić Maggie przed wszelkimi niebezpieczeństwami. Mężczyzna nie miał zamiaru opuszczać kontynentu. Zależało mu na odnalezieniu miejsca, które on i jego towarzyszka będą mogli nazwać domem. Co ciekawe, kobieta nie do końca podzielała entuzjazm swojego przyjaciela. Z jednej strony chciała, żeby Ray trwał u jej boku, a z drugiej chciała towarzyszyć w podróży Rousselowi. Dziewczyna, dokładnie nie wiedząc, co robić, postanowiła cierpliwie poczekać na dalszy rozwój sytuacji.

W pewnym momencie uwagę Luke'a przykuła niewielkich rozmiarów polana. W jego mniemaniu kępy traw rosnących tuż po prawej stronie drogi stanowiły odpowiednie miejsce do urządzenia przerwy.

Mężczyzna stopniowo zaczął zwalniać samochód i za pomocą sygnalizatora dał znać reszcie grupy, że zamierza skrócić. Reszta odebrała jego komunikat i także zaczęła stopniowo redukować prędkość.

Kiedy wszystkie pojazdy podjechały do obranego przez podróżnego celu, Luke wjechał na trawiasty

teren, parkując kilkanaście metrów od drogi. Tuż obok hummera zaparkował muscle car i oba motocykle. Kiedy wszyscy wyłączyli silniki, zaczęli powoli szykować się do odpoczynku.

W chwili gdy Luke odpiął pasy, jego towarzysz zwrócił mu maczetę i postąpił podobnie. Następnie Chris uchylił okno samochodu, zaczerpnął świeżego powietrza i głośno odetchnął.

- W końcu ASO przestało nam zagrażać - oznajmił, nie kryjąc uśmiechu. - Ile mamy czasu na przerwę?

- Jakies kilka chwil... przygotujemy ognisko, usmażymy coś dobrego i chwilę porozmawiamy. Prawdopodobnie niedługo dojedziemy do Hopetown... Widziałeś wyrębiska?

- Chyba tylko ślepy mógłby ich nie zauważyć. I dobrze, że postanowiłeś, że zrobimy sobie teraz śniadanie. Cholera wie, kiedy będzie ku temu następna okazja.

- Steve mówił, że ma wtyki w Hopetown. Może w końcu opowie nam o czymś ciekawym na temat tego miejsca. Póki co robimy przerwę.

- Tak przy okazji... Czemu nie pozwoliłeś mi otworzyć bagażnika? Chciałem zobaczyć, co nam Albert zafundował na handel.

- Dokładnie dlatego nie wyraziłem na to zgody. - Cynicznie uśmiechnął się Luke i zaczął wychodzić

z hummera. - To niespodzianka.

Po kilkunastu sekundach wszyscy obrali konkretne miejsce na rozbitcie obozowiska. Niemal każdy z przyzwyczajenia wyciągnął broń. Luke, Steve i Sarah przeładowali pistolety, Ray odbezpieczył rewolwer, a Maggie karabin snajperski. Jedyne Chris nie miał niczego do samoobrony. Mężczyzna jedynie wzruszył ramionami i głośno westchnął.

- A może dalibyście mi na stałe jeden z tych trzech karabinów, które otrzymaliśmy od Denhamów? - zapytał możliwie błagalnym tonem.

- Jedyne, co mogę ci dać, to tampony na twój ból dupy - żartobliwie odparła Maggie, kalibrując celownik swojej broni. - Nie zawracaj sobie głowy tym, że nie masz własnej spluwy. Pewno niedługo coś ci znajdziemy.

- Mogłeś chociaż zabrać ten mój karabinek w Baker City... - oświadczył Chris, nie kryjąc oburzenia w stosunku do Luke'a. - Przynajmniej zaoszczędziłbyś mi stresów w podróży.

Po tych słowach mężczyzna machnął ręką i odszedł kilkanaście metrów od grupy.

- Idę poszukać miejsca na ognisko. Lepiej załatwcie dla mnie coś zjadliwego.

- Spokojnie... - poprosił Luke, rozglądając się dookoła. - Wymyślimy dla każdego coś specjalnego.

Wszyscy niezwłocznie schowali broń i postanowili

pomóc Chrisowi w przygotowaniach. Każdy odgarniał trawę i szukał kamieni do wyznaczenia miejsca na ognisko. Po kilku minutach teren do wzniesienia ognia był gotowy. Następnie Maggie i Sarah zgromadziły sporo suchych gałęzi, a Ray w mgnieniu oka rozpałił pożądany przez wszystkich ogień. Potem niemal cała grupa usiadła na ziemi. Tymczasem Luke wrócił na chwilę do hummera.

- Ciekawe, co on wymyśli... - powiedziała jakby do siebie Maggie.

- Oby coś dobrego... - westchnął, nie okazując nadziei, Ray. - Jestem cholernie głodny.

- Jak my wszyscy - oznajmił Steve, strzepując pochodzący z ogniska popiół ze swoich spodni. - Tak w ogóle to ciekawi mnie jedna rzecz... powiedz mi, siostrzyczko, nadal masz kompleksy na punkcie swojej sylwetki?

- Zamknij gębę - odparła Sarah, opierając dłonie o swoje smukłe biodra.

- Co tak w ogóle siedzi w tych waszych babskich głowach, aby tak chorobliwie patrzeć na swoją sylwetkę? Co jak co, ale na szlaku nie przybierzecie na wadze. Zresztą nie tylko wy. Poza tym, czy mi się wydaje, czy Ray zrzucił kilka kilo?

- Morda, koleś - odparł beznamiętnie czarnoskóry mężczyzna. - Jak ci przywałę w łeb, to sprawdzimy, czy mi siły ubyło.

- Ty chyba prawie każdego chcesz zrazić do siebie... - westchnął Chris, kręcąc przecząco głową.

- Wszyscy teraz jesteście jacyś przewrażliwieni - stwierdził Steve, drapiąc za uchem. - Odpuście... przecież niedługo dotrzemy do Hopetown i w końcu sobie trochę odpoczniemy.

Tymczasem do grupy powrócił Luke, który niósł kilka piersi z kurczaków nabitych na różna. Kawałki drobiu doprawił nieznaną wszystkim przyprawą.

- Co wy mięsa na ogniu nigdy nie piekliście? - zapytał, nie ukrywając zdziwienia, i podał każdemu po jednej porcji. - To tylko kurczak... Patricia podała mi fajny przepis na przyrządzanie drobiu.

- Ech... szkoda, że już ich nie zobaczymy... - oznajmił ze smutkiem Steve, odbierając swój posiłek. - Mogliby nam jeszcze trochę pomóc...

- Tylko mi tu nie narzekaj - poprosił Luke, siadając pośród swoich towarzyszy. - Rodzina Denhamów dała nam tyle, ile mogła... Powinniśmy być im za to wdzięczni.

- W sumie racja - stwierdziła Sarah. - To była kochana rodzina.

- To jest kochana rodzina - poprawił swoją siostrę Steve. - Byle tylko nie mieli oni problemów z Falltown...

- Richard i Tim na pewno sobie poradzą z jakimkolwiek najazdem - oznajmił Ray, patrząc tępo

w ognisko. - Poza tym tylko my znamy jedyną bezpieczną prowadzącą na ich farmę trasę.

- A od kiedy to z ciebie taki niepoprawny optymista? - spytała Maggie, nie kryjąc zdziwienia.

- Odkąd mam przerwę w zabijaniu i noszę ze sobą ten przezajebisty naszyjnik - odparł, pokazując wszystkim biżuterię zrobioną z kłów bestii spod Czarnej Góry.

- To już chyba czwarty raz, kiedy nam to pokazujesz - oznajmił lekko rozgoryczony tego typu zachowaniem Chris. - A zresztą... mniejsza o to. Lepiej przejdźmy do ważniejszych spraw.

- Steve...? - zapytał Luke, patrząc na przez siebie przywoływanego. - Teraz twoja kolej, aby nam trochę poopowiadać.

- Najpierw przygotujmy jedzenie - odrzekł mężczyzna, wbijając swój rożen w ziemię.

W momencie gdy uznał, że mięso jest dobrze przymocowane do podłoża, podszedł do niewielkiego płaskiego kamienia. Następnie na nim usiadł i się podrapał po głowie.

- No to pytajcie, o co chcecie. Jeśli będę coś wiedzieć, odpowiem.

Zanim ktokolwiek cokolwiek powiedział, wszyscy rozsiedli się wygodniej i zaczęli piec swoje porcje kurczaka.

- Co dokładnie wiesz o Hopetown? - spytał Luke,

spoglądając na siedzącego na kamieniu mężczyznę.

- Od razu z grubej rury - stwierdził, nie kryjąc zadowolenia Steve. - Od czego by tu...

Przez kilka sekund mężczyzna zaczął jakby zbierać myśli.

- No więc... Hopetown jest niedaleko, gdzieś pomiędzy najbliższymi górami. Mieścina leży tuż przy rzece Fraser. Blisko tego miejsca można dojść nad jezioro Kawkawa, o ile dobrze pamiętam tę nazwę. Do miasta prowadzą trzy drogi. My dostaniemy się do środka przez południową bramę. Poza nią są także dwa mosty... Jeden na zachodzie, a następny na wschodzie. Nie mam pojęcia, dokąd ten pierwszy prowadzi, ale ten drugi na pewno do jeziora.

- To fajnie, ale może tak więcej konkretów? - dopytywał się Ray, zbytnio nie kryjąc swego podenerwowania.

- Bez takich tu i nie wchodź mi w słowo. Hopetown ma jakieś sto czterdzieści lat i obecnie w nim mieszkają niemal dwa tysiące osób. Jak dla mnie to może robić wrażenie. Teraz rządzi tam pani burmistrz... eee... jak jej było?

- Elizabeth - wtrąciła Sarah, pomagając bratu.

- No tak, Eli... Prawdopodobnie do niej zajedziemy. Może ta kobieta jest bardzo zapracowaną osobą, ale dla mnie i mojej siostry na pewno zrobi wyjątek. Powinna też przyjąć do gabinetu każdego,

kto z nami przybędzie. Nawet takich patałachów jak wy.

- Chyba jednak sprowadzę cię do parteru - stwierdził, szelmowsko się uśmiechając, Ray.

- Kontynuując... - westchnął Steve. - Miasto ma szpital, szkołę, a nawet ratusz, elektrownię wodną i coś, czego Falltown chyba nigdy nie założy... własną rozgłośnię radiową. Odkąd pamiętam, w Hopetown stoi wysoka antena, która transmituje audycje do mieszkańców. W porównaniu do tego, co wcześniej doświadczyliście, są tam media.

- Jakoś na mnie nie robi to wrażenia - nieentuzjastycznie oznajmił Chris. - W Cichym Jeziorze mieszkało sto dwadzieścia osób, a mieliśmy nawet kino.

- Jeśli nie chcecie mnie słuchać, mogę przestać gadać - odparł nerwowo Steve.

- Chris, pozwól mu dokończyć - oznajmił Luke, obracając wszystkie różna. - Będziemy już cicho.

- Tak szczerze w to wątpię... - bez entuzjazmu odparł Steve. - W każdym razie w mieście stoi także kawiarnia i jadalnia, która jest jednocześnie pubem Cass Cass. Tam pojedziemy na samym początku. Skumacie nazwę, jak poznacie właścicielkę lokalu. I tak do waszej wiadomości... tam jest handel wymienny i wszystko załatwimy u Mitcha. W sumie to tyle ode mnie... Jeśli chcecie wiedzieć coś więcej, to

może Sarah coś więcej zapamiętała.

- W mieście działa straż ochronna - dodała siostra Steve'a. - Pracują w systemie trójzmianowym i jest ich naprawdę dużo. Poza tym w tych lasach siedzi pełno snajperów, ale po prostu ich zignorujcie. Nawet jeśli nas widzą, to nie zareagują. Są przeczulenii jedynie na punkcie większych grup.

- To mnie pocieszyłaś... - oświadczył Luke, nie kryjąc niezadowolenia. - Akurat o tym wspomniałaś, kiedy chciałem iść na stronę.

- Idź, idź, nic ci nie zrobią... pewno w stosunku do nas są także pokojowo nastawieni.

- Ech... - westchnął Luke, wskazując palcem na północ. - Jakby co, pójdę na tamto wzniesienie. Jeśli za długo nie będę wracał, to tam mnie szukajcie.

Po tych słowach mężczyzna wstał, a następnie zaczął iść przez gęste trawy i zbliżyć w stronę podwyższenia terenu. W momencie gdy tam dotarł, rozejrzał się dookoła.

Stał na zboczu ogromnej doliny. Zobaczył gęsto porośnięte sosnami górskie krawędzie. Wiecznie zielone drzewa delikatnie muskał chłodny wiatr.

Podróżny spojrział na niższe partie gór. Pod jednym ze szczytów zauważył sporych rozmiarów błękitne jezioro. Krystalicznie czysta woda zbiornika odbijała promienie słońca.

Tuż obok akwenu stało kilka dwupiętrowych

budynków. Postawione z drewna konstrukcje były pomalowane białą farbą, a ich dachy gęsto porastał mech.

Ponadto w odległości kilkuset metrów od domków Luke dostrzegł niewielkich rozmiarów most prowadzący do miejsca, które mile zaskoczyło podróżnego.

- A jednak dotarliśmy do celu... - oznajmił sobie, nie kryjąc zadowolenia.

Na samym dnie doliny, pośród gęstych lasów, ujrzał miasto. Wyglądało ono na zamieszkane. Od południa i wschodu odgradzał je wysoki betonowy mur. Od zachodu i północy opływała je rzeka.

Ponadto Luke zauważył asfaltową drogę, która prowadziła do punktu kontrolnego. Wysoka na kilka metrów drewniana brama obecnie była zamknięta, a ponad nią skonstruowano taras. Wewnątrz murów stała niepoliczalna ilość budynków. Niektóre z nich sprawiały wrażenie większych od reszty. Niemal wszystkie obiekty pełniły funkcję domków jednorodzinnych i utrzymywano je w dobrym stanie.

W północnej części miasta znajdowała się nietypowa konstrukcja. Wysoka na kilkadziesiąt metrów wieża radiowa swoją wysokością przewyższała wszystkie budynki w okolicy. Sieć kabli wychodzących z zardzewiałych głośników prowadziła do dwupiętrowego obiektu.

W centralnym punkcie miasta utworzono sporych rozmiarów park, w którym rosło wiele topoli i klonów. Ich czerwone i złote liście dodawały temu miejscu uroku. Pośród drzew skonstruowano alejki, po których spacerowało mnóstwo osób.

- Niesamowite... - westchnął z zadowoleniem Luke.

Podróżny zaraz po załatwieniu potrzeby fizjologicznej pospiesznie wrócił do reszty swoich towarzyszy. Po tym jak usiadł przy ognisku, otrzymał swoją porcję przyprawionego kurczaka.

Przez jakiś czas wszyscy w milczeniu zajadali się mięsem drobiowym. Nie było osoby, która mogłaby narzekać na jedzenie. Zioła, których Luke użył do przyprawienia śniadania, podkreśliły aromat dania.

W momencie gdy Ray zakończył posiłek, poszedł na chwilę do swojego motocykla. Następnie otworzył swój plecak, wyjął kilka butelek wody i niezwłocznie powrócił do podróżnych. Rozdał każdemu po jednej, po czym ponownie usiadł przy ciepłym ogniu.

- Tak przy okazji... - powiedział Luke, jednocześnie przerywając ciszę. - Jesteśmy już prawie na miejscu. Wiecie, że za kilka minut dotrzemy do Hopetown?

- To by się nawet zgadzało - odparł krótko Steve. - Niech zgadnę... za tym wzniesieniem jest dolina, do której zmierzamy?

- Dokładnie - przytaknął Luke, popijając wodę.

- I jak wrażenia?

- Tam jest po prostu rewelacyjnie. Piękne miasto pośród gór, bezkres lasów, duże jezioro i rzeka... Jack jednak miał rację...

- Mówiłam, że będziesz zadowolony - wtrąciła Sarah, poprawiając uczesanie. - I co najważniejsze, w tym miejscu nie ma wpływów ASO. Tutaj mamy od nich spokój.

- Uważam, że powinniśmy tu trochę odpocząć, skoro jest tak, jak mówicie - stwierdził Chris, patrząc w kierunku, gdzie rzekomo była miejscowość. - W końcu jeszcze daleka droga przed nami i powinniśmy zgromadzić sporo zapasów i amunicji. Byle nie trwało to zbyt długo.

- Przypomniałem teraz sobie, że coś kiedyś wspominałeś o tym, że masz w Hopetown znajomego, który będzie w stanie nam jakoś pomóc, tak? - zapytał Luke Steve'a. - Kim w ogóle on jest?

- Gość robi tutaj za strażnika ochrony i zwiadowcę. Znam go od kilku lat. Czasem nawet pracowaliśmy razem. Przeważnie pilnowaliśmy konwojów wożących towary na wymianę.

- Sorki, że ci przerwę, ale czy aby na pewno nic nam nie grozi? - nieoczekiwanie spytała Maggie. - Skoro Falltown i Hopetown utrzymują między sobą jakieś relacje, to czy Derrick nie ma w tym miejscu

wpływu na cokolwiek?

- To nie do końca tak, jak myślisz - odpowiedziała na pytanie Sarah. - Oba miasta mają swoje prawa. Jednym rządzi właśnie Derrick, a drugim Elizabeth. Oboje się znają, ale nie mieszają we własne sprawy. Mogłabym nawet podejrzewać, że Jane i Derrickowi Parkerom zależy na utrzymaniu dobrych relacji z Kanadą.

- Wszystkich w ryzach trzyma głównie handel - dodał Steve. - To chyba dobra wiadomość. Zresztą prawo w Stanach drastycznie odbiega od tutejszego. Możecie w ciągu życia wymordować tysiące ludzi, a tutaj nic wam za to nie zrobią. Nawet jeśli znajdą na to dowody. W najgorszym wypadku będziecie pod obserwacją, ale to nie powód do zmartwień. Tutejsi mieszkańcy są przeważnie otwarci na innych. Jeśli jednak spotkają was tutaj kłopoty, to naprawdę musieliście coś przeskrobać. Dopiero wtedy dostaniecie po dupie...

- Heh... z tobą zaczyna trochę być tak jak z Lukiem - stwierdził Chris w odpowiedzi na te słowa. - Chyba w najgorszym wypadku przeważnie, jeśli... musicie być w życiu bardziej zdecydowani.

- A teraz to właśnie ty wariujesz - odgryzł się Steve. - Najwidoczniej nadajemy na różnych falach, ale to nie jest powód, aby kogoś zmieniać. Po prostu... żyj i daj życie innym.

- A może tak dla odmiany ruszylibyśmy w końcu dupy i pojechali do tego Hopetown? - spytał Ray, wstając z miejsca. - Zjedliśmy, więc na co jeszcze czekamy?

- Aż tak ci zależy na czasie? - odpowiedział pytaniem na pytanie Steve.

- Lubię swój motocykl, ale nie tyle, żeby na nim siedzieć po kilkanaście godzin dziennie i jeździć po bezdrożach. Jeśli naprawdę chcecie odpocząć, to chyba lepiej to robić w knajpach niż tutaj.

- To co... kończymy śniadanie? - zapytał Luke, zerkając na każdego.

W odpowiedzi Maggie wstała i zaczęła zdeptywać ognisko. W kilkanaście sekund stłumiła ogień. Na koniec wylała na pozostałości po palenisku resztę niedopitej przez siebie wody i wolnym krokiem zaczęła zmierzać w stronę motocykli.

- Na co jeszcze czekamy... - rzuciła na koniec w stronę reszty swojej grupy.

Po tych słowach wszyscy wrócili do swoich pojazdów. Kiedy każdy usiadł na swoim miejscu, kierowcy uruchomili silniki. Luke za pomocą migacza dał sygnał rodzinie Williamsów, żeby pojechali przodem. Steve, który tym razem zamierzał prowadzić muscle cara, zrozumiał przekaz i sprawnie ominął hummera.

- Więc zabawa zaczyna się od nowa? - zapytał

Chris Luke'a.

- Na to wygląda... - odpowiedział podróżny, powoli ruszając autem z miejsca.

Możliwie szybko wyrównał prędkość z poprzedzającym go samochodem. Z kolei kordon zamykali Ray i Maggie, szybko wyrównując tempo przejazdu. Wszystkim zaczął dopisywać humor, gdyż czuli, że niedługo powinni dotrzeć pod mury miejscowości Hopetown.

Po kilku minutach podróżni dojechali pod rogatki miasta. Wszyscy zwrócili uwagę na masywną drewnianą bramę, która odgradzała ich od miejscowości. Tuż nad nią znajdował się pomost, na którym obecnie stały dwie uzbrojone osoby. Mężczyźni ubrani w czerwono-czarne mundury nosili na głowach brązowe kapelusze. W dłoniach trzymali karabinki, z których obecnie celowali w kierunku Luke'a i reszty jego grupy.

- Co teraz robimy? - spytał krótko Chris, patrząc w kierunku uzbrojonych, blokujących przejazd osób.

- Po prostu musisz poczekać - odparł krótko Luke, lekko się uśmiechając. - Steve powinien wszystko załatwić.

W tym przypadku podróżny miał rację. W tym momencie Williams wyszedł z muscle cara i wolnym krokiem szedł w stronę bramy wjazdowej do miast. Profilaktycznie również uniósł dłonie w powietrze.

- Czy ktoś mógłby do nas zejść?! - głośno zapytał, patrząc w kierunku strażników miasta.

W odpowiedzi na te słowa jeden z celujących w Steve'a mężczyzn opuścił broń. Następnie spojrzął w przeciwnym kierunku i wykonał kilka gestów. Potem ponownie wymierzył karabin w stronę grupy.

Po kilku sekundach jedno ze skrzydeł bramy wjazdowej do miasta zostało uchylone. Naprzeciw podróżnym wyszedł starszy człowiek. Powolnym krokiem zmierzał w stronę trzymającego w górze ręce kompana Luke'a. Nosił identyczny strój jak strażnicy na pomoście. Jednak swój karabin miał zawieszony na barku.

- Ja cię chyba skądś znam... - rozpoczął mężczyzna. - Steve Williams?

- Dokładnie. - Nie kryjąc radości, odpowiedział towarzysz Luke'a, opuszczając dłonie. - Ile to już lat minęło.

- Jakoś z pięć... Kto jest z tobą?

- Od razu odpowiem, że nie będzie z nami kłopotów. Wiesz, że z szumowinami nie współpracuję. Poza moją siostrą są jeszcze z nami cztery osoby. Luke Roussel, Chris Reese, Ray Bennett i Maggie Paylor.

- A co was do nas sprowadza? Myślałem, że dobrze wam na południu. Macie w Hopetown coś do załatwienia?

- Chcemy tylko pohandlować i jak najszybciej ruszyć w dalszą drogę. Zabawimy tu może kilka dni. Zależy nam na tym, aby pojechać dalej na północ. Ponadto chciałbym pogadać z Jamesem.

- Jeśli cię to ciekawi, to twój kumpel dzisiaj ma obchód, ale jest w mieście. W sprawie handlu to... A co ja ci będę mówił... wiesz, z kim pogadać.

- Mitch jeszcze nie zamknął interesu?

- Chłopak sobie daje całkiem nieźle radę. Pamiętasz, jak do niego trafić?

- Jasne. To co... możemy już wjechać do miasta?

- Głupio pytasz - odparł starszy mężczyzna, wolnym krokiem wracając w stronę bramy. - Jasne, że tak. Broń też możecie zatrzymać... skoro za wszystkich ręczysz. Tylko bez żadnych numerów.

W odpowiedzi na te słowa Steve jedynie się uśmiechnął, po czym zaczął wracać do muscle cara.

- Jesteśmy dobrymi ludźmi - dodał na koniec, wsiadając do auta. - Możecie być o cokolwiek spokojni.

- W to nie wątpię - odparł mężczyzna. - Otworzyć bramę!

Strażnik ochrony dał sygnał swoim towarzyszom broni, aby umożliwili przejazd kordonowi pojazdów. Mężczyźni przekazali komunikat dalej i po kilku sekundach nadszedł jeszcze jeden strażnik. Nowo przybyła postać otworzyła na oścież bramę, tym

samym dając możliwość podróżnym wjazdu na teren Hopetown.

- To gdzie teraz? - zapytał Luke'a Chris, patrząc na mundurowych. - Co dalej robimy?

- Mnie nie pytaj. Dzisiaj Steve jest tym, który rozdaje karty...

- Wiesz... kiedy mieliśmy załatwić swoje sprawy w Falltown, on tam także miał wszystkiego pilnować. Ostatecznie skończyliśmy w areszcie...

- To nie Stany, żebyśmy mieli się czegokolwiek bać. Po prostu potrzebujemy odrobiny odpoczynku.

- Tak przy okazji to normalne, że od kilku dni mam problem z zasypianiem? Odkąd zajechaliśmy w te rejony, dziwnie się czuję.

- Zakładam, że to pewno przez te osady, które niedawno mijaliśmy. Sam też miałem nieprzyjemne odczucia, ale je zignorowałem. Zresztą teraz mam zbyt wiele na głowie, aby myśleć o takich drobiazgach.

- Tak tylko zapytam... Dalej wraca ci pamięć? Pamiętam, jak długo musiałeś czekać, żeby sobie przypomnieć kilka najważniejszych rzeczy. Coś nowego ustaliłeś w swojej sprawie?

- Można tak powiedzieć - odrzekł Luke, nie kryjąc zadowolenia. - Ostatnio wrócił do mnie obraz moich rodziców.

- Ożeż ty w mordę... - odparł Chris, przypadkiem

gryząc się w język. – W takim razie opowiadaj.

W tym momencie prowadzony przez Steve'a pojazd ruszył. Kiedy granicę miasta przekroczyli Ray i Maggie, Roussel lekko nacisnął pedał gazu i wyrównał tempo swojego samochodu z resztą pojazdów.

Podróżni jechali przed siebie, mijając gdzieś spacerujących mieszkańców. Po swoich obydwu stronach widzieli różnorodne zabudowania miejskie i zaparkowane na przydrożnych parkingach samochody.

– To temat na inną rozmowę – kontynuował Luke.

– Niesamowicie tutaj, prawda?

– Jeszcze przyjdzie czas na zwiedzanie. W każdym razie to miejsce zrobiło na mnie wrażenie.

– Ech... a mogę ci trochę ponarzekać?

– Śmiało. W końcu to dla mnie nie pierwszozna.

– Tyle się umordowaliśmy i namordowaliśmy, a to tak naprawdę dopiero początek mojej tułaczki.

– Chciałeś powiedzieć naszej. Zobacz, nasi już zwalniają.

Luke zwrócił uwagę na resztę swoich towarzyszy. Wszyscy zaparkowali swoje pojazdy przed piętrowym drewnianym domkiem. Szyld zawieszony ponad wejściem do budynku miał wygrawerowany na zielono napis „Cass Cass”. Okna na parterze były większe od tych na piętrze, a widok do wnętrza

przysłaniały pożółkłe firanki. Całościowo obiekt wyglądał na utrzymany w nienagannym stanie.

Podróżny po zaparkowaniu samochodu i wyłączeniu silnika spojrzął na swojego kompana. Lekko się do niego uśmiechnął, po czym zaczął patrzeć na resztę grupy.

- Przed nami jeszcze daleka droga - wznowił. - Pamiętasz, jak kiedyś wątpiłem w to, że długo nie pożyję, a major Mark Wilcher mnie dopadnie? Cóż... nie przeczuwałem, że nawet dotrę do Kanady. To właśnie dzięki wam osiągnąłem ten cel. Mimo wszystko jak sobie pomyślę, ile jeszcze drogi przed nami...

- Razem możemy wszystko osiągnąć - oznajmił Chris, ręką gładząc swój zarost. - Samodzielnie nikt nie podoła na tym świecie.

- Skąd ja to znam... no dobrze. Przyszedł czas, abyśmy lepiej poznali plany Steve'a...

Mężczyźni rozpięli pasy i opuścili hummera. Kiedy zamknęli za sobą drzwi, podeszli do reszty swojej grupy. Aktualnie Ray i Maggie zabezpieczali swoje motocykle, a Steve i Sarah opierali o ścianę tuż obok wejścia do budynku.

- Co teraz? - zapytał Luke, podchodząc do rodziny Williamsów.

- Zaraz poznacie Cassie Casswell - oświadczył Steve. - Jest ona właścicielką tej knajpy. Teraz wiesz,

dlaczego lokal nosi nazwę Cass Cass?

- Cassie Casswell... Obyśmy tylko byli w stanie się z nią dogadać.

- Bez obaw. Cass to porządna dziewczyna i na pewno dobrze nam pójdzie z nią rozmowa.

- Może i tak, ale to ty tutaj będziesz kombinował... no i oczywiście Sarah. Ja i reszta będziemy robić to, co ustalicie.

- To cholernie duża odpowiedzialność - stwierdził Steve. - Zresztą mniejsza o to. Zobaczmy w końcu, co nam Albert przygotował na wymianę.

Luke, Chris i Williamsowie niezwłocznie podeszli do bagażnika hummera. Podróżny, nie tracąc czasu, otworzył tył samochodu, tym samym ujawniając wcześniej skrywaną tajemnicę.

To, co zobaczyli, przerosło ich najśmielsze oczekiwania. Ujrzeli sterylnie zapakowane futra, zęby, kły i pazury dwóch bestii spod Czarnej Góry. Wszystko dokładnie przypięto do podłoża bagażnika. To były trofea tych samych mutacji, z którymi jeszcze nie tak dawno temu walczyli Luke i Ray. Taki podarunek mógł gwarantować grupie spory zysk.

- I co o tym myślicie? - zapytał Luke, patrząc na przeznaczone do handlu rzeczy.

- Powiedzcie, że to nie sen... - odparł lekko zszokowany Steve. - Za to zakupimy tyle sprzętu i jedzenia, że nawet nie pomieścimy wszystkiego do

samochodów. Dostaniemy mnóstwo paliwa i jeszcze będziemy mogli sobie pozwolić na kilkudniowy nocleg i trochę rozrywki.

- Ech... Jednak szkoda sprzedawać takie zajebiste rzeczy - westchnął lekko zasmucony Ray. - Ale jak mus, to mus...

- Co ty pieprzysz? - powiedziała Maggie, biorąc do ręki kiel bestii. - Niby szkoda, żebyśmy się tego pozbyli? Poza tym naprawdę możemy na tym nieźle zarobić?

- Nawet sobie nie wyobrażasz jak wiele - odrzekł Ray. - Poza tym jak teraz pomyślę, byliśmy głupi, że współpracowaliśmy z Johnnym. Zamiast tego mogliśmy polować.

- Uczciwa robota też czasem popłaca - oznajmił Steve, poprawiając uczesanie. - Zrobimy tak... Najpierw pogadam z Cass i otworzymy u niej rachunek. Ona mi na to pozwoli. Popytam, o co trzeba, i pójdziemy do Mitcha. Może tak być?

- Tylko zbyt wiele jej o nas nie nagadaj - poprosiła Sarah pretensjonalnie, dając prztyczka w czoło bratu. - Jeszcze Cass komuś o nas wspomni i znów w coś wdepniemy, i będą kłopoty.

- Niby dlaczego miałbym cokolwiek przed nią ukrywać? Ona jest naszą przyjaciółką. Nie wytnie nam żadnego numeru.

- Ale to jest cwana baba i czuję, że przy pierwszej

lepszej okazji może to wykorzystać. Po prostu jej nie ufam.

- A ja uważam, że jesteś po prostu zazdrosna. Pewno ma to związek z twoim byłym facetem. Olej tamten epizod. To był kretyn, a jej nie musisz za cokolwiek obwiniać.

- Nie chciałbym wam przerywać, ale może zamiast tak gadać na środku ulicy, weszlibyśmy w końcu do tego kawiarnio-jadłodajnio-pubu czy jak tam to nazwałś? - spytał cynicznie Ray.

- Nazwij to po prostu knajpą - entuzjastycznie odparł Steve. - W takim razie chodźcie za mną.

Rozmowa dobiegła końca. Po tym jak Luke zamknął bagażnik hummera, Steve podszedł do drzwi wejściowych lokalu Cass Cass, następnie je otworzył i gestem dłoni zaprosił wszystkich do środka. Grupa niezwłocznie przekroczyła próg budynku i zaczęła się rozglądać dookoła.

U Cassie panowała całkiem przyjemna atmosfera. Aktualnie przebywało u niej kilkanaście osób. Ludzie przeważnie pili kawę, jedli, palili papierosy i dyskutowali między sobą.

Niemal wszystkie elementy wystroju wykonano z drewna. W sporych rozmiarów pomieszczeniu stało kilkanaście solidnych stołów i mahoniowych krzeseł. Oparcia siedzeń wyściełano brunatnoczerwonymi poduszkami. Na drewnianych ściennych okładzinach

wisiały oprawione w ramki fotografie miasteczka Hopetown. Przedstawiały one krajobrazy, ważne wydarzenia z życia lokalnej społeczności i kilka osobistości. Całościowo mnogość zdjęć dodawała temu miejscu ciekawego uroku.

Ponadto podróżni zwrócili uwagę na drewniane żyrandole, których żarówki dawały słabe ciemnopomarańczowe światło. Zaintrygowała ich także para drzwi, na których zamontowano tabliczki informujące, że są to damskie i męskie toalety. Tuż obok szaletów znajdowała się lada barowa, na której grało niewielkie radio. Z urządzenia aktualnie leciała muzyka klasyczna.

Również, tuż za barem, na ścianie wisiała oszklona gablota, w której stała niezliczona ilość alkoholi.

- I jak wrażenia? - spytał Steve, patrząc na resztę grupy. - Zawsze jak jestem w Hopetown, odwiedzam to miejsce.

- Lepiej dla ciebie będzie, jeśli zorganizujesz nam mocną czarną, bo inaczej szybko stąd wyjdziemy - odparł Ray, z trudem powstrzymując ziewanie. - I załatw mi paczkę fajek, bo ulotnię się stąd tak szybko jak dym, który jest tu dosłownie wszędzie.

- Dobrze, spróbuję. A wy zajmijcie jakiś stolik. Poza tym, Luke, masz chwilę?

- Jasne. O co chodzi?

- Ty pójdiesz ze mną. Poznasz Cass i pomożesz mi wyjaśnić kilka kwestii.

- Skoro tak mówisz...

Po tych słowach Steve położył dłoń na ramieniu podróżnego i zaczął prowadzić go w stronę baru. W tym czasie reszta grupy usiadła przy stole stojącym najbliżej okna i wyjścia lokalu. Kiedy Maggie zajęła miejsce obok Sarah, obie wyjęły pilniczki i zaczęły piłować paznokcie. Ray i Chris nie zwracali na kobiety uwagi, tylko zwyczajnie rozglądali się dookoła i tupali w rytm słyszanej przez siebie wydobywającej z radia melodii.

W momencie gdy Steve i Luke podeszli do lady, zajęli miejsca na krzesłach barowych. Następnie zaczęli szukać wzrokiem właścicielki lokalu. Przy okazji spojrzeli na wyeksponowane trunki.

- Gin, whisky, wódka, piwo, brandy, koniak, wino - zaczął wyliczać na głos Luke. - Czy jest w tym mieście coś, co mnie nie zaskoczy?

- Tutaj żyją na bogato - z rozbijającą szczerością odparł Steve. - Jeśli chodzi o alkohol, to zima motywuje mieszkańców do rozpijania. Żałuj, że nie zawitałeś tu podczas mrozów. Wtedy to miejsce tętni życiem, a lokalni szaleją na całego.

- Jakoś nie przepadam za chłodem... teraz jest mi dobrze. A oglądanie chmary pijaków mnie jakoś nie interesuje.

- Widać, że pochodzisz z innej kultury. Jednak czuję, że mógłbyś przywyknąć.

- Chcesz mi powiedzieć, że jesteście jednak bandą zdegenerowanych chlejusów? - cynicznie zapytał Luke.

- Gdzie tam... mówiłem o Kanadzie. Poza tym w tych rejonach bardzo ważna jest tradycja. Dużo się w tych stronach dzieje, a przynajmniej w Hopetown. To jednak zrozumiesz później, a może nawet się przekonasz na własne oczy.

- Jak na razie wiem tylko tyle, że jakiś koleś do nas idzie - oznajmił Luke, spuszcżając wzrok.

Niespodziewanie do mężczyzn podszedł starszy człowiek. Miał siwe, przerzedzone włosy i niedbale ogoloną twarz. Ubrany był w czarno-czerwoną dziurawą koszulę, czarne spodnie i ciemnobrązowe buty.

- To wy przyjechaliście dzisiaj do miasta? - spytał z oburzeniem nieznajomy.

- Tak - odparł krótko Steve. - Czy coś w tym złego?

- My tu nie lubimy przejezdnych - oświadczył mężczyzna, spluwając na podłogę. - Z wami są tylko same problemy. Pieprzeni południowcy...

- Przepraszam, ale nie rozumiem, o co panu może chodzić... - próbował powiedzieć Luke.

- Już ty mnie, synku, nie pouczaj. - Grożąc

palcem, odparł starszy facet. - Z większymi od ciebie miałem do czynienia. Lepiej szybko stąd spadajcie, bo nie ręczę za siebie...

- Ty nawet nie potrafisz ustać prosto, a co dopiero komuś przyłożyć - niespodziewanie wtrąciła, podchodząc do baru, piękna młoda kobieta.

Jej wiek można było oszacować na mniej niż trzydzieści lat. Nosiła czarną koszulkę na ramiączkach, jasnoniebieskie dżinsowe spodnie i jasnobrązowe kozaki. Kasztanowe długie, faliste włosy podkreślały urodę pociągłej twarzy dziewczyny.

- Zmiataj do kolegi i nie strasz mi gości - oznajmiła w możliwie poważny sposób. - Bo ci piana w kuflu zupełnie opadnie.

Starszy mężczyzna wymamrotał kilka niezrozumiałych słów, a potem niezwłocznie odszedł w stronę stołu, przy którym siedział nieco młodszy od niego, tak samo ubrany jak on człowiek. Tymczasem kobieta, która pogoniła awanturnika, przeszła na drugą stronę baru i stanęła naprzeciwko podróżnych.

- Miło mi cię widzieć, Steve - oznajmiła, a na jej twarzy pojawił się uśmiech. - Czemu tak długo kazałeś mi na siebie czekać?

- Obowiązki. Też jestem szczęśliwy, że cię widzę, Cass.

Niespodziewanie kobieta pocałowała Williamsa

w policzek, a następnie wyjęła spod lady dwa kufle piwa i szarą szmatkę.

- A kto jest z tobą? - spytała, czyszcząc jedno z naczyń. - Pierwszy raz go widzę.

- Luke Roussel - przedstawił się podróżny. - Wspaniały lokal.

- Pewno każdej barmance to mówisz, he, he... dzięki. Dbam o to miejsce, bo w końcu jest moje. Teraz mi powiedz, Steve, co chcecie zamówić?

- Jest z nami jeszcze Sarah i trzy osoby. Siedzą tuż przy wyjściu. Tylko czy możesz coś dla mnie zrobić?

- Znów chcesz zamawiać na kreskę? Nie ma sprawy. W przeciwieństwie do niektórych ty przynajmniej płacisz.

Kobieta pretensjonalnie spojrzała w kierunku pogonionego wcześniej starca i jego kompana. Mężczyźni, jakby wyczuwając gniew właścicielki lokalu, onieśmieleni skierowali wzrok w głąb swoich kufli.

- Na czym to ja skończyłam... a mniejsza. Lepiej opowiadaj, co u was słychać.

- Ech... u mnie i u siostry zaszło trochę zmian. Już nie działamy z Derrickiem.

- Od kiedy? - spytała ze zdziwieniem Cassie.

- Heh... jak nas wsadził do aresztu i chciał tam zostawić. Długa historia.

- Wiesz, że ja mam czas - oznajmiła Cassie, odkładając czyszczone przez siebie kufle. - Ale najpierw zamówienie. Co konkretnie chcecie?

- Pewien czarny jegomość ma ochotę na mocną czarną kawę - odparł kobiecie Steve. - Prosiłbym w sumie o sześć filiżanek.

- A kiedy zajrzysz do Mitcha?

- Zaraz po tym jak wyjdziemy od ciebie. Co prawda nam się zbytnio nie spieszy, ale wolelibyśmy najpierw załatwić to, co trzeba.

- Dokładnie, nie ma powodu do gnania na złamanie karku. Zaraz wam naparzę czarnej, a potem masz mi powiedzieć więcej. Inaczej nie licz na dodatkową porcję cukru.

- He, he... nie musisz mi grozić. W końcu mamy mnóstwo czasu.

- No ja myślę... nawet nie myśl, że tak szybko was wypuszczę.

Po tych słowach barmanka weszła do sąsiedniego pomieszczenia. Dopiero w tym momencie podróżni dostrzegli drzwi po prawej stronie baru. Podczas nieobecności Cassie Luke i Steve z nudów zaczęli stukać palcami o blat.

- Tak w ogóle to wpadła ci w oko? - niespodziewanie zapytał Williams.

- Przecież wiesz o Nicole...

- Nie chodzi mi o to, czy chcesz się do niej

dobierać. Pytam o to, czy to twój typ?

- Jest ładna i ma świetną knajpę.

- Co jak co, ale w Hopetown interesy raczej wszystkim wypalają. Przynajmniej tak było od zawsze, a na pewno w przypadku Cass.

- A pomijając ją i wszystko, co tutaj jest cudowne, mamy chociaż jakieś powody do zmartwień?

- Ja tobie powiem o czymś, co was wystraszy - powiedział starszy mężczyzna, ponownie podchodząc do podróżnych.

Na jego widok Steve pokiwał przecząco głową, a Luke skierował spojrzenie na zaczepiającego ich człowieka.

- Nawet nie próbujcie w nocy chodzić po lesie - oznajmił lekko pijany mężczyzna. - Chyba że życie wam nieміe.

- Zgaduję, że niepostrzeżenie wpadniemy na ciebie i nas zatłuczysz? - dopytywał cynicznie Luke. - Nie powiedziałaś nic nowego...

- O nie... to nie ze mną będziecie mieć na pieńku. Powiem ci o czymś, synek... coś siedzi w lesie...

- Białe myszki?

- Białe myszki to żaden problem. W nocy dziwy chodzą w tych stronach...

- Na przykład jakie? - spytał z zaciekawieniem Luke.

- Jeśli pójdziecie w mrok, zobaczycie coś, co nie

należy do naszego świata... Nie wiadomo, co się potem z wami stanie. Bywały dni, kiedy w Hopetown bezpowrotnie znikali ludzie. To coś ich zabierało. Więc lepiej zjeżdżajcie stąd i zostawcie nas w spokoju.

- Coś ci chyba mówiłam! - krzyknęła Cassie, wracając przed bar i niosąc na tacy sześć filiżanek kawy. Wypieprzaj z mojego lokalu! Dzisiaj nie chcę cię tu widzieć! I zostaw moich klientów w spokoju!

- Słonko, ja tylko tłumaczyłem tym dżentelmenom... - próbował powiedzieć mężczyzna.

- Wynocha! - krzyknęła na cały głos Cassie. - Jeszcze chwila, a będziesz miał zakaz, żeby tu kiedykolwiek przychodzić!

Słyszając tę groźbę, mężczyzna odwrócił się i bez słowa skierował w stronę swojego kompana.

Obaj szybko dopili trunki i w milczeniu wyszli na zewnątrz. W momencie gdy któryś z nich trzasnął za sobą drzwiami, barmanka wyszła przed bar i wolnym krokiem udała się w stronę Raya, Maggie, Chrisa i Sarah.

- Tylko ich obsłużę i zaraz do was wracam - oznajmiła. - Poczekajcie chwilę.

Słyszając tę prośbę, Luke i Steve ponownie zaczęli stukać palcami o blat lady. Tymczasem Cassie rozdała po filiżance kawy reszcie podróżnym. Ku jej zdziwieniu kobiety spiorunowały barmankę

wzrokiem, a mężczyźni zwyczajnie podziękowali za obsługę.

W momencie gdy Cassie wróciła do Steve'a i Luke'a, podała im oczekiwane przez nich zamówienie. Następnie schowała tacę pod ladę i oparła łokcie o blat baru. Potem ponętnie spojrzała na Steve'a i obdarzyła go uśmiechem.

- No to gadaj, o co tobie chodziło z tym pośpiechem?

- Mam być z tobą szczery?

- A kiedyś nie byłeś?

- Skąd... Więc mówisz, że masz sporo czasu, aby wszystkiego posłuchać?

- Naturalnie. Wiesz, że zależy mi na tym, aby u was było wszystko w porządku. A sądząc po waszych minach, przeczuwam, że raczej będzie na odwrót.

- To przez tego typa, co do nas podszedł. O co mu w ogóle chodziło? Słyszałaś wszystko?

- Mniej więcej. Nie zwracajcie sobie nim głowy. Gościu ma nie po kolei w mózgowicy. Poza tym zawsze do obcych podskakuje. Lejcie na niego.

- W każdej historii tkwi ziarno prawdy... - wymamrotał Luke.

- Ty też się nie przejmuj - oznajmiła Cassie. - Po co będziesz jakiegoś menela słuchał.

- Ponieważ to też człowiek i należy mu okazać

choć odrobinę szacunku.

- Aaa... mów sobie, co chcesz. W każdym razie nie wierz wszystkim bajkom, które ci opowiadają. No więc, Steve... do rzeczy.

- Od czego by tu... Luke'a poznaliśmy u Denhamów. Ci ludzie, których obsługiwałaś, są od niego. Oczywiście z wyjątkiem Sarah.

- Tak w ogóle to twoja siostra wciąż ma mi za złe, że odbiłam jej faceta? Już z tym typem nie jestem. Koniec końców był z niego niezły dupek.

- Ciekawe, bo jeszcze przed chwilą to samo mówiłem do siostry, he, he - zarechotał Steve. - I tak, ona wciąż jest na ciebie zła. Uważam, że powinniście o tym pogadać.

- Jeśli zechce, wie, gdzie mnie znaleźć. Mów dalej.

- Luke i ta trójka pomagali Denhamom na farmie. Po żniwach pojechaliśmy na krótką wizytę do Falltown. W tym czasie mój kumpel i ten czarnoskóry latali po lasach za pewnym zwierzem, z którego pamiątki mamy w bagażniku i chcemy je sprzedać. Więc będę miał jak za wszystko tobie zapłacić.

- No i w czym był problem?

- Derrick dostał cynk od ASO i nas przymknął. W skrócie... Luke i reszta jego grupy mają przerąbane. Tak samo jak i my. Dlatego tutaj jesteśmy i nie pracujemy już dla Falltown.

- Przykro mi to słyszeć... A czemu wojskowi się na was uwzięli?

- Trochę nabroilem, a przynajmniej oni tak uważają - odparł krótko Luke. - Niedawno straciłem kontrolę nad sytuacją i podczas pewnej ucieczki padły trupy. Nie ja zabijałem, ale wszystko poszło na wspólne konto.

- Wpadliśmy, jak próbowaliśmy sprzedać w Falltown karabiny ASO - dodał Steve. - Gdyby nie Brian, nie byłoby nas tutaj.

- Tylko mu podziękować - stwierdziła entuzjastycznie Cassie. - A co u niego tak w ogóle słyhać? Co tam u Fossów?

- Jakoś żyją i powinno być u nich dobrze - oznajmił Steve, wachając opary kawy. - W każdym razie szkoda znajomości. Szczególnie z Brianem.

- Jak spotkam, pozdrowię go od ciebie - zadeklarowała Cassie.

Steve, słysząc te słowa, przechylił filiżankę napełnioną kawą i wypił połowę jej zawartości.

- Chcę cię jeszcze o coś zapytać - powiedział, odstawiając naczynie.

- O co tylko chcesz.

- Co tam u Jamesa słyhać? Ponoć jest cały i zdrowy?

- Wszystko u niego gra. Ostatnio nawet tutaj przyszedł i pytał o ciebie. Powiedziałam tylko, że nie

wiem, gdzie was posiało.

- A gdzie go będziemy mogli niedługo dorwać?

- Nie wiem, czy jest u siebie, ale na pewno spotkacie go na festynie.

- Coś będzie się działo w Hopetown? - wtrącił pytanie Luke.

- Przyjechaliście w samą porę. Jutro będzie wielki dzień. Nadchodzi Święto Złotych Liści.

- Doprawdy...? - odparł Steve wyraźnie zdziwiony. - Więc następnego dnia mamy szesnasty października? Dzięki za przypomnienie daty.

- O co dokładnie chodzi z tym świętem? - zapytał wyraźnie zainteresowany tematem Luke.

- To jest szczególne wydarzenie - odparła barmanka, wyraźnie zadowolona. - Tego dnia mieszkańcy gromadzą się w parku i cieszą z nadejścia jesieni. Hopetown urządza festyn pełen zabawy, picia i dymania. Na stołach kładziemy syrop klonowy z whisky i steki z dziczyzny. Jest w czym smakować... wybraliście dobry moment na odwiedzin.

- Czyli będzie dobra zabawa - stwierdził Steve.

- Naturalnie - odparła krótko Cassie. - Zresztą jak co roku. Każda rocznica wyglądała podobnie i wszystkie wypadały rewelacyjnie.

- Brzmi zachęcająco - nieśmiało oświadczył Luke.

- Ale, pomijając festyn, potrzebujemy jeszcze

noclegu. Nie wiesz przypadkiem, gdzie moglibyśmy cokolwiek dostać?

- Teresa was na pewno przyjmie. Na pewno znajdzie wolne pokoje. Na ulicy nie wylądujecie.

- Teresa? - powtórzył Steve imię kobiety. - Czyli nie będziemy nocować w autach?

- Gdzie tam... dostaniecie kwatery. Tylko pójdźcie najpierw do Mitcha i załatwcie, co trzeba.

- Właśnie zamierzamy do niego wyruszyć - oświadczył Steve, dopijając kawę. - Dzięki za pomoc.

- Drobiazg. Dla ciebie wszystko.

- Wszystko? - dopytał, nie kryjąc cynicznego uśmiechu, Steve.

- Aż tyle to nie - odparła Cassie, śmiejąc się z żartu. - Już dość was wydymałam. Niech Sarah mi wybacz. Szkoda dziewczyny. Jest piękna, a zawiść jej może zaszkodzić.

- Siostra musi jeszcze zrozumieć kilka rzeczy. Daj jej czas.

- Czekam już kilka lat.

- Poczekaj jeszcze trochę. W końcu dojdziecie do porozumienia. Cierpliwości.

- Miło było poznać przyjaciela Steve'a - oznajmiła Cassie, wyciągając rękę w stronę Luke'a. - Przykro, że ściga was ASO, ale na pewno dacie sobie z nimi radę.

- To akurat nie podlega wątpliwości - odrzekł

Luke, odwzajemniając gest. - Miło było cię poznać. I dzięki za kawę.

- Ostatnia sprawa - wtrącił na pożegnanie Steve.

- Masz może jakieś fajki na zbyciu? Jeden z nas jest palaczem i obędzie mnie ze skóry, jak mu nie załatwię paczki.

- Pamiętaj o rachunku - odparła krótko Cassie, wyciągając spod lady pudełko papierosów nieznanej marki.

- Niedługo cię nawiedzę i rozliczę ze wszystkiego

- uśmiechnął się Steve i pocałował kobietę w dłoń.

- Odwiedzajcie mnie częściej, to może dostaniecie zniżkę! - oznajmiła entuzjastycznie barmanka. - Do zobaczenia niedługo!

Po tych słowach Steve schował do kieszeni opakowanie skrętów. Następnie wraz z Lukiem wstał z miejsca i udał z powrotem do reszty swojej grupy.

Kiedy mężczyźni podeszli do reszty towarzyszy, zastali ich w dobrych nastrojach. Steve od razu wyciągnął paczkę papierosów i cisnął ją w stronę Raya.

- Masz u mnie dług - oznajmił do palacza.

- A myślałem, że z ciebie taka ciota... - odparł Ray, łapiąc w locie podarunek. - Co następnego robimy?

- Teraz idziemy do Mitcha - zadeklarował Luke. - Kończcie pić i załatwiamy interesy.

Kiedy kawa została wypita, wszyscy wstali od stolika i wyszli przed lokal Cassie. Po tym jak Steve zamknął za nimi drzwi, podszedł do swoich towarzyszy, wyciągnął z kieszeni Luke'a klucze do hummera i otworzył bagażnik samochodu.

- Teraz macie to wszystko przenieść do handlarza - zarządził. - Najwyższy czas na rozliczenia.

Na te słowa każdy jedynie przytaknął i niezwłocznie zaczął wyciągać rzeczy na sprzedaż, które przekazała rodzina Denhamów. Kiedy już wydobyto wszystkie suweniry, Luke przejął klucze od Steve'a i zamknął hummera. Potem grupa niezwłocznie poszła w kierunku, który wskazała im rodzina Williamsów.

Przez następnie sto kilkadziesiąt metrów podróżni szli wąskim chodnikiem, mijając niewielkie grupki mieszkańców Hopetown. Obywatele miasteczka z zaciekawieniem spoglądali na niosących pakunki towarzyszy Luke'a, jednak nie mieli ochoty ich zaczepiać. Część osób na chwilę się zatrzymywała, a reszta przyspieszała kroku.

Luke i reszta grupy ignorowali ich ciekawskie spojrzenia i zaczęli obserwować okolicę. Tuż przy chodniku stały przeróżne pojazdy, które były w lepszym lub gorszym stanie, jednak każdy z nich wyglądał na zdatny do jazdy.

Po drugiej stronie ulicy był ten sam park, który

Luke zauważył tego poranka, stojąc na wzgórzu. Dziesiątki topoli i klonów miały bujne korony, a ich liście były zabarwione na złoto i czerwono. Pośród natury postawiono kilkanaście alejek, po których licznie spacerowały całe rodziny. W niektórych miejscach postawiono drewniane ławki, aby lokalni mieszkańcy mogli odpoczywać w cieniu drzew. Tuż obok siedzeń zakopano w ziemi słupy, do których przymocowano lampiony.

- Tu także jest bardzo ładnie - stwierdził Steve, idąc tuż obok Luke'a. - Ciche i spokojne miasteczka to jest to, co lubię najbardziej.

- Tutejsi nie są chyba specjalnie nami zachwyceni - oznajmił Luke. - Mam wrażenie, że tutaj każdy zna każdego...

- Można tak powiedzieć - odparł Steve, nie kryjąc uśmiechu. - Mimo wszystko nie warto o nich nawet myśleć. Może teraz są nieufni, ale później nie będziesz się mógł od nich odpędzić. A teraz wszyscy stać!

Grupa stanęła przed wysokim parterowym budynkiem. Ceglane ściany obiektu były pomalowane białą farbą. W części frontowej zamontowano duże okna. Wpadające przez nie promienie słońca dość dobrze oświetlały wnętrze. W środku stały wysokie metalowe półki, na których rozmieszczono

niezliczoną ilość rzeczy na sprzedaż. Całą ekspozycję można było nabyć w miejscu, którego umieszczony ponad drzwiami szyld nosił napis „Złoty Interes”.

- No to jesteśmy u Mitcha - dumnie oznajmił Steve. - Zanim jednak tam wejdziemy, pragnę was ostrzec. Właściciel to bardzo spokojny i wiecznie zadowolony facet, ale ma jedną wadę. Jest strasznym jakałą. Tak że bez żadnych śmiechów i docinków. To porządny człowiek. Mogę na was liczyć?

Na twarzy Raya pojawił się złowrogi uśmiech, a mężczyzna poklepał Williamsa po ramieniu.

- Z-z-z-z-zrozumiałe - powiedział sarkastycznie.

W odpowiedzi Steve spojrzał na kompana jak na idiotę, po czym otworzył drzwi sklepowe. Następnie zaczekał, aż wszyscy wejdą do środka. Kiedy grupa zaczęła mijać półki sklepowe, westchnął i poszedł tuż za nimi.

Podróżni podeszli do lady sklepowej stojącej na końcu pomieszczenia. Tuż za nią siedział młody, krótko ścięty mężczyzna. Osoba nosiła na twarzy równo przystrzyżoną brodę i wąsy. Jego pyzate policzki były lekko zarumienione i podkreślały nieproporcjonalnie jak na człowieka małe oczy. Ów człowiek nosił szarozieloną bundeswerkę i widoczne spod lady czarne spodnie i brązowe półbuty.

- Cześć, Mitch! - krzyknął ochoczo Steve, wybiegając przed resztę grupy. - Miło cię znów

widzieć po tych kilku latach przerwy.

- S-Steve? - odparł nieco zdziwiony na widok Williamsa handlarz. - Co się z tobą dz-dzi-działo do t-teraz?

- Dużo by opowiadać. Ważne, że przyjechaliśmy do Hopetown. Od razu chcielibyśmy tobie zaoferować coś specjalnego.

- S-s-s-pecjalnego? C-c-c-co dla mnie m-macie?

Podróżni rozłożyli na blacie sterylne zapakowane futra, pazury, kły i zęby bestii spod Czarnej Góry. Kiedy otworzyli każdy pakunek, Mitch zaczął oglądać cały towar.

- C-c-c-c-co to niby j-j-jest? - spytał z zaciekawieniem.

- Pamiętasz, jak kiedyś opowiadałem tobie o tym dziwnym stworze, który grasował niedaleko Falltown? To właśnie po tym zostało. Chłopaki upolowali trzy sztuki.

- Ale w-w-widzę t-t-tylko dwie s-sk-skóry - odparł Mitch, odkładając trzymane przez siebie przedmioty.

- Jedną zatrzymali Denhamowie. Masz więc dobry wzrok. I jak wiesz, są to skóry egzotycznych zwierząt. Więc liczymy na coś wartościowego.

- J-j-j-ja tam n-n-nic niezwy-k-kłego w tym nie w-w-widzę. Ale p-p-owiedzcie, co byście za to chci-cieli?

- Interesuje nas przede wszystkim amunicja i paliwo - wtrącił Luke. - No i coś, czym można

w Hopetown płacić. Zamierzamy tutaj pobyc przez jakiś czas i będziemy musieli uregulować rachunki.

- Teraz twoja kolej - oznajmił Steve handlarzowi.

- Co proponujesz?

- M-m-m-może po pr-prostu zapłacę w-wam z-złotem? T-t-to są bardzo f-fajne s-s-skóry. Także i k-kły. A jak b-b-będziecie wyjeżdżać, możecie ze mną jesz-szcze pohandlow-w-w-wać.

- Może być - stwierdził Steve zadowolony z propozycji. - O jakiej liczbie uncji złota tu rozmawiamy?

Mitch ponownie zaczął przeglądać proponowane mu produkty. Przez kilkanaście sekund mamrotał coś niezrozumiałego pod nosem. W końcu jednak zajrzał do najbliższej mu szuflady i wyciągnął z niej dwie garści drobnych samorodków.

- D-d-dziesięć - oznajmił krótko. - N-n-nie będę s-s-się rozdr-r-rabniał.

- Co za to możemy dostać? - spytała Steve'a Maggie.

- Prawdę mówiąc, całkiem sporo. Wystarczy nam na wszystkie opłaty, jedzenie, broń i benzynę.

- Bierz złoto i nie gadaj - wtrącił Ray. - Mitch ma rację. Zakupy zrobimy później.

- Może tak być? - spytał Steve Luke'a.

- Twoja decyzja.

- W takim razie przyjmujemy ofertę. Nie ma

sensu targowanie się i rozdrabnianie. Dzięki, że wzięłaś od nas te skóry, zęby i pazury.

- N-n-n-nie ma spr-r-rawy. To do z-z-zobaczenia p-p-później.

- Do niedługo - odrzekł Steve, chowając do kieszeni wszystkie samorodki. - Tak poza tym to będziesz na festynie?

- Tego nie mogę o-o-obiecać. W nocy będzie niemały r-r-ruch. Mimo wszystko s-s-spróbuję.

- Bardzo się cieszę. Bądź zdrow.

- Wy t-też. Do n-n-następnego.

Po pożegnaniu z handlarzem podróżni szybko opuścili jego sklep. Kiedy wyszli na ulicę, wolnym krokiem zaczęli wracać do swoich pojazdów. Wszyscy sprawiali wrażenie zadowolonych z dokonanego przed chwilą utargu.

- Co teraz zrobimy, Steve? - niespodziewanie zapytał Luke, patrząc na Williamsa. - Dość szybko nam idzie załatwianie spraw w tym mieście. W końcu poznaliśmy już Cassie i Mitcha.

- Teraz czas na Teresę - odparł mężczyzna, nie kryjąc zadowolenia.

- Coś więcej możesz nam o niej powiedzieć? - dopytał Chris.

- Cóż... jest ona właścicielką zajazdu Fraser. Cass wspomniała, że będziemy mogli u niej wynająć pokoje.

- Ech... Cassie... - westchnęła Sarah, nie kryjąc dezaprobaty.

- Ona mówiła, że chętnie z tobą porozmawia i wyjaśni wszystko, co między wami nie gra. Poza tym ten typ nie jest wart waszych fochów.

- Nie mam zamiaru z nią gadać. Dziewczyna przegięła pałę...

- Aż tak jest między wami źle? - cynicznie zapytał Luke.

- Daj mi lepiej święty spokój... Najlepiej, jak wszyscy w końcu skończycie z tym tematem.

- A czy chociaż z Teresą utrzymujesz dobre relacje? - dopytywała się Maggie.

- Nie mam nic do niej. Laska jest w sumie w porządku. Zresztą sama się o tym przekonasz.

- Tak w ogóle to jak załatwimy sobie nocleg, pozwiedzamy trochę? - wtrącił pytanie Luke.

- Czemu nie - odpowiedział mu Steve. - Poza główną ulicą i parkiem są tutaj także inne ciekawe miejsca. Coś wykombinuję... W każdym razie ten dzień powinien być udany.

- O ile nie wpadniemy na tego moczymordę z knajpy - zażartował Luke.

- Niczego nie mogę obiecać... Dobra, teraz wsiadamy do pojazdów. Pojedziecie za mną...

W momencie gdy grupa dotarła do samochodów i motocykli, każdy zajął swoje miejsce i przygotował

do krótkiej przejażdżki. Po chwili Steve uruchomił muscled car i zjechał na główną drogę. Krótco potem skręcił na północ, powoli pokonując jedną z bocznych alejek.

Reszta podróżnych, pozostając nieznacznie w tyle, non stop prowadziła pojazdy tuż za Williamsem.

Wszyscy podziwiali park, który aktualnie mijali po swojej prawej stronie. W oddali dostrzegli także wielką, przyozdobianą lampkami scenę, na której pracowało kilka osób. Ci ludzie sprawiali wrażenie, jakby ich praca była jednocześnie walką z czasem.

Kiedy grupa minęła miejski skwer, dojechała do dzielnicy mieszkalnej Hopetown. Podróżni ujrzeli niezliczoną ilość parterowych domków jednorodzinnych. Różnorodność budynków i ich standard był na przyzwoitym poziomie. Drewniane i ceglane konstrukcje miały przeróżne barwy, ogrody i dachy. Pod względem estetycznym dzielnica wyglądała dość autonomicznie. Ponadto w okolicy roślo dużo klonów. Prawdopodobnie przez dłuższy czas nikt nie zamiatał ulicy z opadających liści, przez co gęsto pokrywały okolicę.

W pewnym momencie Chris ponownie zaczął interesować się maczetą. Delikatnie uderzał ostrzem w deskę rozdzielczą hummera, tym samym tworząc lekkie zarysowania. Jednocześnie zerkał na

mieszkańców, których wyraźnie intrygował widok kordonu pojazdów prowadzonych przez podróżnych.

- Może to nie do końca nasze auto, ale czy mógłbyś je chociaż trochę szanować? - w pewnym momencie spytał Luke, nie kryjąc irytacji. - Prędzej czy później będę chciał je sprzedać.

- Lepiej, żebyś teraz się tym aż tak nie przejmował. Plastik zawsze można wymienić... poza tym i tak do tej pory urwałeś oba lusterka, więc nie mam pojęcia, dlaczego akurat zarysowana deska rozdzielcza aż tak tobie przeszkadza.

- Ech... I tu mnie zagiąłeś...

- Tak w ogóle to moim zdaniem Hopetown bije na głowę wszystkie inne miejsciny, jakie kiedykolwiek widziałem. Może nie mają kina, ale radio, okolica i ilość ich zaopatrzenia to coś niesamowitego. No i te widoki...

W tym momencie Luke spojrzał na jedną z wielkich, otaczających dolinę, obrośniętych lasem gór.

- Gdyby tylko nie moja żona i ASO, prawdopodobnie odpuściłbym dalszą podróż... Zresztą cokolwiek powiem, to cię nie zaskoczę. Nijak porównać to piekło w Stanach do Kanady. Ponownie powtórzę, że Jack miał rację...

- Tylko w sumie trochę szkoda, że niedługo będziemy musieli jechać dalej... W każdym razie nie

spieszmy się z dalszą podróżą. W końcu mamy okazję, aby sobie trochę odpocząć...

- Kilka dni powinno wystarczyć. Zobaczymy też, co nam to miasto zaoferuje. No i ciekawi mnie James...

- Ten gość od Steve'a?

- Niby ma nam dać dalsze wskazówki odnośnie do tego, co mamy robić. Cholera wie, co od niego usłyszymy... A ja mam poważny problem z ufaniem obcym.

- Ech... po prostu musisz swoje odespać i zaczniesz dokładniej interpretować to, co inni do ciebie mówią. Dla przykładu ja teraz skupiam się jedynie na załatwianiu wszystkiego, co potrzebne.

- Przecież przez cały czas siedzisz cicho.

- Obserwuję... analizuję. Wciąż jednak jest coś, co mi chodzi po głowie.

- Masz zamiar kiedyś to z siebie ściągnąć? - zażartował Luke.

- Zobacysz... jeszcze dzisiaj wyjdą pewne nieprzyjemności. W życiu nie zawsze jest tak, jak tego chcemy. Pamiętasz Baker City?

- Teraz nie czas na takie dyskusje. Chyba dojechaliśmy na miejsce.

Mężczyźni spojrzeli na muskle cara, którego kierowca skręcił w lewo, prowadząc resztę grupy w nieznane im miejsce. Po kilkudziesięciu metrach

samochód prowadzony przez Steve'a objechał z prawej strony gęsty, wysoki żywopłot. Kordon, niemal zataczając koło, wjechał na oddzielony od głównej drogi teren.

- To chyba koniec trasy. - Nie kryjąc zadowolenia, oznajmił Luke i zaczął rozglądać się po okolicy.

Pojazdy prowadzone przez podróżnych wjechały na plac, przy którym stało siedem drewnianych budynków. Wszystkie pomalowano żółtą farbą, a ich dachy zdobiły czerwone dachówki. Cały kompleks wyglądał na dobrze zadbane.

Największy z obiektów znajdował się naprzeciwko drewnianej bramy wjazdowej, która w tym momencie była otwarta. Piętrowy budynek miał sporych rozmiarów taras, na którym aktualnie ktoś wypoczywał. Ponadczterdziestoletnia czarnowłosa kobieta zajmowała leżak, przyjemnie spędzając czas na świeżym powietrzu. Nosiła na sobie czarny golf, džinsy i baletki.

Po chwili zauważyła podróżnych. Niezwłocznie wstała i opuściła taras budynku. W tym czasie grupa zdążyła wysiąść z pojazdów i dojść pod drzwi frontowe, na których wisiała metalowa tabliczka. Na płycie wygrawerowano napis „Zajazd Fraser”.

- Tak będą wyglądać nasze kwatery na kilka następnych dni - oznajmił Steve reszcie

podchodzącej do niego grupy, wskazując palcem parterowe obiekty.

Budynki miały drewniane ganki. Przy drzwiach wejściowych postawiono ławki, a na niektórych z nich odpoczywali klienci zajazdu. Wszystko na terenie kompleksu prezentowało się dość okazale i dawało wszystkim poczucie bezpieczeństwa.

- Ty masz złoto, więc wszystko będziesz załatwiał - oznajmił Steve'owi Luke. - Ta kobieta na tarasie to Teresa?

- Nietrudno było to odgadnąć. Same fajne babki są w Hopetown... Zaraz ją poznacie. Zanim do tego dojdzie, jak chcemy zamieszkać?

- Sądzę, że wy z Sarah dostaniecie wspólną kwaterę. Jak nas rozlokujesz, to dla mnie bez różnicy. Chyba że to komuś nie pasuje...

Chris, Maggie i Ray pokręcili przecząco głowami. To był wystarczający sygnał dla Steve'a. Mężczyzna po raz kolejny tego dnia otwierał drzwi i gestem zaprosił wszystkich do środka.

Kiedy podróżni weszli do budynku, ujrzeli elegancko zdobiony hol. Na otynkowanych białych ścianach wisiało kilkanaście niewielkich obrazów. Ich tematyką była przeważnie natura. Obrazy przyrody ożywionej i nieożywionej idealnie dopełniały wystroju pomieszczenia. Tak samo jak postawione gdzieś tam kilka nefrolepisów, zwanych inaczej

paprotkami.

Zieleń idealnie pasowała do ciemnobrązowych foteli, szafek, sofy, drzwi, recepcji i solidnych schodów, które prowadziły na wyższą kondygnację.

W pewnym momencie w pomieszczeniu pojawiła się kobieta, która jeszcze chwilę temu odpoczywała na tarasie. Bez słowa podeszła do recepcji i wyjęła z jednej z umieszczonych pod ladą szuflad owinięty w chusteczkę drobny przedmiot. Kiedy położyła zawiniątko na blat, zadowolona spojrzała na Sarah.

- Kochana, jak dawno cię nie widziałam - powiedziała. - Gdzie cię ostatnio posiało?

- Byłam strasznie zapracowana - odparła Sarah, podchodząc do właścicielki zajazdu Fraser i całując ją w policzek. - Sama dobrze wiesz dlaczego.

- Ech... ale mogłabyś częściej przyjeżdżać do Hopetown... - westchnęła Teresa. - Bez ciebie było mi tu strasznie nudno.

- Poznajcie Teresę Donahue - przedstawił kobietę Steve, podchodząc z resztą grupy do recepcji. - Jak tam interesy? O tej porze roku masz dużo gości?

- Cześć, Steve - odparła Teresa, witając mężczyznę. - Jeszcze kilka lat temu bywało lepiej, ale teraz nie narzekam.

- Może ucieszy cię fakt, że zamierzamy wszyscy u ciebie się zatrzymać na kilka dni? - zapytała Sarah.

- Jasne, że tak. Nawet jakbym miała komplet,

oddałabym tobie własny pokój, a reszcie zorganizowała coś na mieście. A może wiesz, ile konkretnie zamierzacie u mnie zabawić?

- Jeszcze nie. Niedawno przyjechaliśmy i chcemy po prostu odpocząć. Bądź jednak pewna, że przez kilka dni dotrzymam tobie towarzystwa.

Kobieta wyraźnie zadowolona z tego faktu podeszła do Sarah i wręczyła jej wcześniej wyciągnięte przez siebie zawiniątko.

- Obiecałam, że to dla ciebie załatwię, więc tak zrobiłam. Tylko nikomu ani słowa.

- Ani słowa o czym? - spytał, nie ukrywając ciekawości, Steve.

- Kobiece sprawy, nie wnikaj. A tak przy okazji to może przedstawiś mi resztę swoich znajomych?

- Ten w płaszczu to Luke. Obok niego stoją Chris, Ray i Maggie.

- Miło mi was poznać. Czujcie się u mnie jak w domu. Jakie pokoje was interesują?

W tym momencie Steve chrząknął kilkakrotnie i podrapał się za uchem.

- Ja z siostrą weźmiemy jeden dwuosobowy, a reszcie przydziel to, co masz wolnego - oznajmił dyplomatycznie.

- Ray, jak chcesz nocować? - nieoczekiwanie spytała Maggie swojego kompana.

- Ja tam mogę spać z tobą w dwojce albo sam.

Tak szczerze, to mi to rybka. Bylebym mógł się wyspać.

- A ty, Chris, co preferujesz? - zapytał mężczyznę Luke.

- Mnie też rybka.

- To w takim razie rybki powędrują do jednego akwarium - oznajmiła Sarah. - A Luke i Maggie do drugiego. Odpowiada wam to?

Wszyscy pokiwali twierdząco głowami. Ten znak wystarczył Teresie, aby wyciągnąć z szuflady trzy klucze.

- Macie takie same pokoje - oznajmiła. - Drzwi numer siedem, osiem i dziewięć. Jakoś się dogadacie. Płacicie z góry czy przed wyjazdem?

- Możemy teraz - odparł Steve, wyciągając kilkadziesiąt samorodków.

Następnie zaczął je dokładnie przeliczać, wymierzając jedną, w jego mniemaniu, uznawaną obecnie uncję.

Trzydzieści samorodków zostało przekazanych w ręce Teresy. Kobieta, nie sprawdzając, czy opłata się zgadzała z jej oczekiwaniami, schowała zarobek do szuflady.

- Zostańcie, ile tylko chcecie. To więcej niż trzeba. Zresztą nie mam zamiaru was dokładnie rozliczać. Zapytam jednak z ciekawości, jakie macie plany na dziś.

- Nasi znajomi chcą pozwiedzać, to połączmy po mieście - odpowiedziała jej Sarah. - A wieczorem kolacja i do łóżka. Musimy porządnie wypocząć.

- W takim razie urządzę dla was grilla. Co wy na to? Chyba nie odmówicie darmowego poczęstunku?

- No ba - odparł zadowolony z tych słów Ray. - Nie będziemy wybrzydzać.

- Dzięki za wszystko - powiedziała Sarah, ponownie całując Teresę w policzek. - Jesteś kochana, a na nas już czas. Jednak jeśli chcesz, mogę niedługo wpaść do ciebie na pogaduchy. Jesteś dzisiaj zarobiona?

- Tak bardzo, że nie mam czasu dla nikogo - odparła cynicznie Teresa. - Miałam przez cały dzień okupować leżak. Jeśli chcesz, możesz mi potowarzyszyć.

- Widzę, że dziewczyny się doskonale dogadują - szepnął Luke do Steve'a. - Może powinniśmy je już teraz zostawić?

- Siostra? - zapytał Sarah Steve. - Może chcesz od nas odpocząć do wieczora? Dla nas to nie powinien być problem.

- Jasne. Maggie, chcesz zwiedzać czy z nami posiedzisz?

Na te słowa Paylor podeszła do towarzyszki i zawiesiła się jej na ramieniu.

- Dzisiaj chłopcy będą sami łązić - oznajmiła. -

Babskie popołudnie?

- Taaaaak! - krzyknęła radośnie Sarah. - W takim razie do zobaczenia wieczorem, bracie. Tylko przypadkiem się nie zgub. Dawno cię tu nie było.

- Damy sobie radę - odparł Steve, idąc w stronę wyjścia z motelu. - Miłej zabawy.

Po tych słowach czwórka mężczyzn opuściła główny budynek zajazdu Fraser i udała na środek placu. Z tego miejsca mogli zauważyć wszystkie kwatery należące do Teresy. Kiedy dostrzegli numery swoich pokoi, wolnym krokiem zaczęli zmierzać w ich stronę.

- Ja z Sarah bierzemy siódmkę - oznajmił reszcie Steve. - Ty, Ray, możesz wybrać, gdzie chcesz mieszkać z Chrisem. Osiem czy dziewięć?

- Dawaj ósemkę - odparł Ray, odbierając właściwy klucz z rąk Steve'a. - Mam gdzieś numerki. Najważniejsze, żeby łóżka były wygodne.

- To ja i Maggie bierzemy dziewiątkę - oświadczył Luke, również przejmując klucz od Steve'a. - Nie ma powodu do kłótni. Jeśli o mnie chodzi, to moglibyśmy nawet spać razem w jednym domu.

- Tylko nie dobieraj się do Maggie - powiedział z powagą Ray.

- Lepiej sam jej to wytłumacz. O czymś chyba zapomniałeś?

- O wszystkim pamiętam. W każdym razie lepiej jej pilnuj, bo wiesz, co będzie.

- W sumie to i tak całkiem niezłe ustępstwo z twojej strony, że w sprawie pokoi nie darłeś kotów. Zwalczasz w sobie nadopiekuńczość?

- Można tak powiedzieć... - odparł z lekkim uśmiechem Ray.

W tym momencie podróżni poszli w swoje strony. Każdy udał się pod dom, na którym widniał numer odpowiadający takiej samej cyfrze, jaka była wygrawerowana na odpowiadającym mu kluczu.

Luke, kiedy stanął pod właściwymi drzwiami, otworzył je i wszedł do środka kwatery, w której miał spędzić kilka najbliższych dni z Maggie.

Stanął w skromnie urządzonej sypialni. Wyposażenie pokoju stanowiły dwa, położone blisko siebie, jednoosobowe łóżka, niewielkich rozmiarów lodówka i stolik, na którym stało radio. W rogu pokoju znajdowało się także sporych rozmiarów lustro. Zwierciadło postawiono tuż obok dwumetrowego, zasłoniętego szkarłatnoczerwoną kotarą okna. W pomieszczeniu były także drewniane drzwi, na których niedbale przybito metalową tabliczkę. Wygrawerowano na niej napis „Łazienka”.

Luke po odsłonięciu kotar i uchyleniu okna podszedł do wspomnianych drzwi. Kiedy je otworzył, ujrzał niewielkie pomieszczenie, w którym zobaczył

kolejne lustro, porcelanową umywalkę, sedes i długą na dwa metry wannę. Podróżny wyraźnie zszokowany tym widokiem niezwłocznie odkręcił kran, z którego od razu zaczęła płynąć letnia woda.

- To niemożliwe... - powiedział, nie mogąc uwierzyć w to, co widział. - Centralne ogrzewanie? Gdzie ja trafiłem?

Na dodatek dostrzegł na umywalce szare mydło. Bez zastanowienia wsadził głowę pod kran i zaczął płukać włosy. Następnie wyszorował twarz i umył ręce. Po dwóch minutach zakręcił kran i spojrzał w lustro. Oparł ręce o umywalkę i uśmiechnął się do swojego odbicia.

- To zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. A więc to jest wysoki standard...

- I co ty taki podniecony jesteś? - spytał Chris, wchodząc do pokoju wynajętego przez Luke'a i Maggie. - Przecież u Denhamów nie było gorzej.

- Zgoda, ale tu jest niesamowicie - odparł Luke, wychodząc z łazienki. - Nie sądziłem, że będziemy mieć aż tyle szczęścia. Zaczynam lubić to miejsce.

- Lepiej opanuj tę ekstazę. Dobrze wiesz, że cukierkowość z czasem pryska.

- Trzeba korzystać, póki można. I doceniać drobiazgi. Zresztą jak można być nadal sceptycznym wobec Hopetown?

- Czyli już po tobie... Mówię ci... coś jest nie tak z tym miejscem. Nie wiem jeszcze co, ale czuję, że przyjdzie nam to poznać już wkrótce.

- Czy to ma związek z tym, co rano wygadywałeś? Chodzi o problemy z zasypianiem i dziwne samopoczucie?

- Niewykluczone. Od kilku dni mam przeczucie, że ktoś nas obserwuje. Nie wiem, dlaczego tak jest. Tak po prostu czuję...

- Pewno coś ci siadło na umyśle od tego zmęczenia. To przez to, że się nie wysypiasz. Sam też miewałem halucynacje, jak nie byłem w najlepszej formie.

- Czy ja wiem... Takie coś mnie w Stanach nie spotykało. Tu jest inaczej...

- Może to przez te osady? Już o tym rozmawialiśmy. Chyba to był błąd, aby nocować w lesie...

- A właśnie! - niespodziewanie krzyknął Chris. - Zanim wrócimy do chłopaków, musisz mi coś wyjaśnić. Co sobie ostatnio przypomniałeś? Wspominałeś, że chodzi o twoich rodziców...

- Nie mogłeś tego zostawić na inną okazję? Ech... niech będzie... Lepiej usiądź, bo mam zamiar dużo ci nagadać.

Obaj mężczyźni wygodnie usiedli na łóżkach. Chris nieustannie spoglądał na towarzysza, który od

razu spuścił wzrok na podłogę. Luke po chwili milczenia złączył dłonie i westchnął głęboko.

- Georges i Sharon... Tak mieli na imię. Matka z zawodu była szwaczką, a ojciec cieślą. O ile dobrze pamiętam, zawsze trzymałem jej stronę. To nie oznaczało, że nie znosiłem ojca. Jedynie go ignorowałem... On sam jakoś nie wykazywał mną zainteresowania.

- A matka? - dopytywał Chris.

- Matka mnie zawsze wspierała i wysyłała na praktykę na mechanika. Dzięki niej mam fach. Ojciec oczywiście wyraził na to zgodę, ale ogólnie nigdy nie protestował. Po prostu miał gdzieś moje wychowanie.

- Chyba nie było tak zawsze? - zapytał Chris, nie kryjąc zdziwienia. - Na pewno jest coś, co utkwiło ci po nim w pamięci?

- Niestety tak... I chyba to przeważało nad moimi relacjami z rodziną. Raz ojciec chciał zabłysnąć i poszedł ze mną na polowanie. Wszystko po to, aby wykształcić we mnie zdolności strzeleckie. Tak to przynajmniej argumentował...

- O ile dobrze rozumiem, coś poszło nie tak?

- Podczas tego polowania, które akurat przebiegało w nocy, zdołał pomylić własnego syna ze zdobyczą i wystrzelił z karabinu. Omal mnie wtedy nie zabił. Kula otarła się o moją głowę.

W tym momencie podróżny odgarnął włosy,

odslaniając ledwo widoczny ślad po pocisku.

- Gdyby nie szybka pomoc, mógłbym tego nie przeżyć - podsumował, kierując wzrok z powrotem na podłogę. - Od tamtej pory jakoś mam lepsze relacje z matką.

- Teraz rozumiem, dlaczego nie chciałeś o tym rozmawiać... Skoro jednak mamy już to za sobą, to czy chociaż zrobiło ci się trochę lżej?

- Jakby o tym pomyśleć, jestem zadowolony, że o tym powiedziałem. Przynajmniej zrzuciłem ten ciężar z siebie. Wiesz co... kiedyś Jack zadawał podobne pytania... tak jak teraz ty...

- Czy to groźba? - zapytał Chris, a na jego twarzy zagościł dyskretny uśmiech.

- Ależ skąd - odparł Luke, imitując taki sam wyraz twarzy jak rozmówca. - To tylko jest dla mnie dowód, że zająłeś u mnie honorowe miejsce.

- I z tego powodu mam być dumny?

- Raczej poturbowany! - krzyknął Ray, niespodziewanie wchodząc do mieszkania. - Już od kilku minut czekamy, aż ruszycie dupska. Zebrało się wam na ckliwe pierdolenie. Idziemy zwiedzać!

- Od kiedy tak lubisz wycieczki? - zapytał Luke, skupiając wzrok na Bennecie.

- Odkąd poznałem smak prawdziwej kanadyjskiej whisky - odparł mężczyzna, podnosząc piersiówkę. - Teresa nam to zaserwowała.

- Więc to jest ten kanadyjski sen... - stwierdził Luke, wstając z miejsca. - Lepiej już chodźmy, Chris, bo nas coś ciekawego może ominąć.

W odpowiedzi na te słowa Reese wstał i niezwłocznie poszedł w stronę wyjścia z kwatery Luke'a i Maggie.

Kiedy wszyscy wyszli na zewnątrz, Luke zamknął drzwi na klucz i podszedł do Steve'a. Williams wyglądał na zniecierpliwionego. Tupał nogą o asfalt i miał skrzyżowane ręce. W momencie gdy zauważył zmierzających w jego kierunku mężczyzn, wyciągnął pistolet, a następnie go przeładował i wycelował w stronę Luke'a.

- Już więcej nie będziesz się spóźniać - oświadczył, pociągając za spust.

Z broni dobiegł charakterystyczny dźwięk kliknięcia, ale nie doszło do wystrzału. Najwidoczniej Steve miał pusty magazynek. Po nieudanej próbie przestraszenia kompana mężczyzna schował broń, podszedł do Luke'a i poklepał go po ramieniu.

- Nawet okiem nie mrugnąłeś - oznajmił lakonicznie.

- Bo wiedziałem, że mnie nie zastrzelisz. Zbyt dużo byś ryzykował.

- Lepiej tyle nie gadajmy, tylko chodźmy w końcu zobaczyć dalszą część miasta - oświadczył Steve, kierując mężczyzn w stronę wyjścia z terenu zajazdu

Fraser. – Hopetown czeka!

Przez najbliższą godzinę mężczyźni, pozbawieni towarzystwa Maggie i Sarah, zwiedzali północną część miasta. W trakcie przemarszu uliczkami mieli okazję dostrzec dalsze zabudowania. Poza monotematycznym widokiem domków jednorodzinnych zobaczyli gęsty skwer drzew, w którym założono miejską rozgłośnię radiową. Dwukondygnacyjna budowla, z której transmitowano muzykę, wiadomości i przekaz spikera, była dla nich czymś niezwykłym. Tuż przy budynku wybudowano wysoką na kilkadziesiąt metrów antenę transmisyjną, która górowała nad czymkolwiek w Hopetown. To miejsce stanowiło główne źródło informacji i rozrywki dla mieszkańców.

W dalszej kolejności podróżni zobaczyli wybrzeże miasteczka. Stanęli na moment na bulwarze, z którego doskonale widzieli szeroką na kilkadziesiąt metrów rzekę Fraser. Krystalicznie czysta i pełna ryb woda była stałym źródłem pożywienia dla mieszkańców. Tuż pod taflą wody dało się zauważyć migrujące ławice jesiotrów i łososi. Egzystująca w tym miejscu fauna była dowodem na to, że natura w tych okolicach doskonale sobie radzi.

Podróżni mieli także okazję zobaczyć miejski szpital, budynek ratusza i pozostałe dwie drogi

wyjazdowe. Poza południową bramą miasta istniała także możliwość wyjechać z Hopetown mostem na zachód. Zardzewiała konstrukcja, pomimo swojego stanu, sprawiała wrażenie solidnej. W takiej samej kondycji przedstawiała się możliwość wyjazdu na wschód, aczkolwiek wyłożona drewnianymi deskami trasa wyglądała mniej przekonująco i bezpiecznie, przebiegając wysoko ponad leśną doliną.

Szpital także nie wzbudził w grupie większych emocji. Okazał się jedynie wielkopowierzchniową, pomalowaną na czerwono parterową rudera, w której niemal niedostrzegalna była jakakolwiek aktywność kadry medycznej. Jedynie raz Luke dostrzegł osobę ubraną w strój lekarski.

Tak samo budynek ratusza nie był niczym szczególnym. Podobnie jak szpital miał tylko jedną kondygnację, aczkolwiek w odróżnieniu od punktu medycznego przed tą instytucją panował wzmożony ruch. Kilkadziesiąt osób sprawiało wrażenie zabieganych. Niektóre z nich nosiły ze sobą kable, a inne głośniki lub reflektory.

- Powiedz mi, Steve... - niespodziewanie przerwał ciszę Luke. - Może nam powiesz, co tu się, do cholery, dzieje? Czy to ma związek ze Świętem Złotych Liści?

- Tak, to są przygotowania do obchodów. Co w tym niby dziwnego?

- Po prostu te sceny w parku i w tym miejscu mnie zaintrygowały. Ludzie biegają jak potłuczeni.

- To lepiej nie włącz teraz do ratusza. Tam to dopiero jest terror.

- Mniejsza o ten cały bajzel... Lepiej nas zaprowadź w jakieś skromne, ciche miejsce. Na dłuższą metę tłok potrafi zaszkodzić zdrowiu.

- W takim razie chodźmy nad rzekę. Teraz to chyba jedyne miejsce, gdzie będzie można odpocząć od hałasu.

Po tych słowach grupa mężczyzn przyspieszyła kroku i zaczęła śledzić Williamsa. Mężczyzna jak najszybciej zaprowadził kompanów do polecanego przez siebie miejsca. Pewnym krokiem szedł środkiem głównej ulicy, omijając powoli przejeżdżające samochody.

Po chwili wszyscy dotarli nad brzeg rzeki Fraser. Luke, Chris, Ray i Steve usiedli na kamienistym wybrzeżu i zaczęli obserwować stojących w pobliżu wędkarzy. Mieszkańcy w skupieniu poławiali ryby, kompletnie ignorując otoczenie.

- Do zwiedzania pozostało nam jeszcze wiele rzeczy, ale chyba nie będziecie mieli ochoty ich zobaczyć - stwierdził Steve. - Jezioro Kawkawa i centrum są ogromne. A ja po tym spacerze mam już tylko ochotę wskoczyć do łóżka i spać aż do rana.

- Jeszcze nas czeka grillowanie z Teresą, nie

zapomniałeś o tym? – zapytał Chris Williamsa.

– Ciekawe, co dziewczyny teraz robią... – zaczął na głos wymawiać swoje myśli Steve.

– Na pewno dobrze się bawią – odparł krótko Ray.

– Teraz lepiej bądź zadowolony z tego, co jest teraz – oznajmił Chris. – Piękne góry, zielone doliny, niesamowite miasto i cudowni mieszkańcy. Dziewczyny nam nigdzie nie uciekną...

Po tych słowach mężczyzna położył się na kamieniach i zamknął oczy. Następnie założył ręce za głowę, mocno się zaciągnął świeżym powietrzem, a na jego twarzy zawitał szeroki uśmiech.

– Po tym wszystkim trzeba odpocząć.

– No to relaks! – krzyknął Ray, również leżąc na kamienistej plaży. – Obudźcie mnie wieczorem.

– Nie ma sprawy – odparł krótko Steve. – A co ja i Luke mamy robić?

– Gównu mnie to obchodzi... Na pewno coś wykombinujecie...

– Ech... co nam pozostało... – westchnął Steve. – Sjesta do wieczora?

– Aby teraz sobie lepiej pospać i potem bardziej napchać? – odpowiedział pytaniem na pytanie Luke. – Umowa stoi. Ale mam jeszcze kilka pytań...

– To zadaj je Teresie – odrzekł Steve, również kładąc się na kamieniach. – Mnie tu nie ma.

- Jak sobie chcesz - odrzekł entuzjastycznie Luke, postępując podobnie jak reszta jego kompanów.

Przez kilka godzin męska część grupy drzemała nad rzeką i zbierała siły na nadchodzący wieczór. Pierwszym, który wybudził się ze snu, był Chris. Kiedy mężczyzna poczuł chłodny powiew wiatru, niezwłocznie zaczął szturchać Luke'a.

- Wstawaj... - powiedział, patrząc na zachodzące słońce. - Bo prześpimy kolację.

Luke w odpowiedzi na zaczepki otworzył oczy, kilkakrotnie strzelił karkiem i powoli zaczął przytomnieć. Zerknął na zachód i zobaczył z wolna znikające za górami słońce.

- Ależ ci spieszno... - wymamrotał, ziewając. - Ten czas za szybko leci...

- A bo ja wiem... Czas to pojęcie abstrakcyjne.

- Jak się zaraz nie zamkniecie, to sam zrobię wam na ryju abstrakcję - oznajmił Ray, wstając. - Ja pierdziele... już tak późno?

- Wracamy do dziewczyn - oznajmił Steve, również się podnosząc na nogi. - Było fajnie, ale niedługo znów trzeba będzie spać. Dobra, komu w drogę, temu pieczone mięso.

Mężczyźni od razu zaczęli zmierzać do zajazdu Fraser. W trakcie przemarszu ulicami Hopetown zauważyli, że w okolicy obecnie nikt nie jeździł

samochodem ani nie spacerował.

Wokół było pusto. Wszystko wskazywało na to, że mieszkańcy wrócili do swoich kwater, o czym świadczyły widoczne w niemal wszystkich oknach światła.

Po kilku chwilach grupa dotarła do kompleksu domków należących do Teresy. Kiedy mężczyźni przekroczyli próg bramy, ujrzeli Sarah i Maggie. Kobiety stały na tarasie piętrowego budynku i były w trakcie rozpalania przenośnego grilla. Podczas gdy siostra Steve'a dosypywała węgla na rozpałkę, Paylor za pomocą zapalniczki próbowała podpalić zwinięte w rulon papiery. Jak się okazało, podkładanie ognia stanowiło dla dziewczyn dość trudną czynność, zważywszy na mocniejsze porywy wiatru.

- I jak wam idzie?! - zapytał kobiety Steve. - Zdążyliśmy?!

- Jesteście w samą porę! - odkrzyknęła Sarah. - Dopiero zaczynamy!

- Taaa, dopiero... - cynicznie szepnął Ray. - Lepiej polejcie węgiel odrobiną benzyny, bo gównu wam wyjdzie z tej zabawy!

- Skoro jesteś taki mądry, to włącz tu natychmiast i zrób to za nas! - krzyknęła Maggie. - I przytachaj kanister na pierwsze piętro, o ile jesteś prawdziwym facetem!

- No proszę, masz wyzwanie, kolego - stwierdził

Steve, klepiąc kompana po ramieniu. - Zaraz będziemy na górze!

Mężczyźni bez słowa podeszli do hummera i po chwili wyciągnęli wszystkie, niemal puste, kanistry. Po zlaniu resztek benzyny do jednego pojemnika zdołali zebrać niemal litr paliwa. Następnie Ray podniósł zbiornik z benzyną i wraz ze Stevem i Chrisem udał się do motelu, aby dołączyć do kobiet. W tym czasie Luke zamknął samochód, głęboko westchnął i ponownie zwrócił się do Sarah i Maggie:

- A gdzie Teresa?!

- Zajęta! - odparła krótko Paylor. - Przygotowuje steki! Będzie także whisky i czarna herbata! A ty lepiej nie gadaj tyle, tylko włącz od razu na górę!

Luke, nie kryjąc zadowolenia i nie tracąc czasu, zaczął iść w stronę drzwi wejściowych piętrowego budynku.

Po przekroczeniu progu motelu czwórka mężczyzn poszła na wyższą kondygnację. Kiedy podróżni pokonali schody, doszli do niewielkich rozmiarów korytarza, którego ściany zdobiły małe obrazy. Tak samo jak malowidła na parterze te również przedstawiały okoliczną przyrodę. Anonimowi artyści namalowali góry, rzekę Fraser, okoliczne lasy i zwierzęta, takie jak wilki, niedźwiedzie lub łosie.

W pomieszczeniu było także kilka par drzwi,

jednak grupę interesowały tylko te na przeciwległej ścianie, pomiędzy wysokimi oknami, za którymi znajdował się taras.

Mężczyźni niezwłocznie wyszli na zewnątrz i dołączyli do Sarah i Maggie. Następnie zaczęli im pomagać w przygotowaniu dzisiejszej kolacji.

- Drogie panie... - zaczął rozmowę Ray, oblewając benzyną węgiel i papiery na grillu. - Jakbyście mogły, to zróbcie mi więcej miejsca, bo teraz może być tu gorąco.

Po tych słowach mężczyzna odłożył kanister i zabrał z rąk Maggie zrolowany papier. Następnie wyjął zapalniczkę i podpalił makulaturę. Osłaniając pierwsze ogniki przed wiatrem, wrzucił rozpałkę, powodując powstanie wysokiego płomienia. W dosłownie jednej sekundzie zajął się cały węgiel.

- Teraz trzeba odczekać, aż paliwo wyparuje - oświadczył. - Chyba nie chcemy jeść wysokooktanowej kolacji?

- Aż tak bardzo na czasie nam nie zależy - odparła Maggie. - W końcu możemy dłużej posiedzieć, a potem porządnie się wypaść.

- Ech... Ja tam bym jak najszybciej jechał w dalszą trasę - westchnął Chris, patrząc na z wolna dogasający ogień.

- Jak tylko porozmawiam z Jamesem, będziemy

wiedzieć, co dalej robić - oznajmił wszystkim Steve. - Do tego czasu lepiej tu zostańmy. W końcu i tak musimy wyruszyć w drogę, więc nie ma powodu, aby się czymkolwiek przejmować. Poza tym czemu ty cały dzień w kółko biadolisz o tym samym?

- Chris ma po prostu schizy i niedobór snu - odparł Luke w imieniu kompana. - Poza tym chyba powinno mu to już przejść. W końcu masz za sobą kilka godzin nadprogramowego odpoczynku.

- Już mówiłem, że tutaj nie chodzi o niewyspanie, tylko mam wrażenie, że ktoś nas obserwuje. To wszystko...

- Może to ci snajperzy w lasach - odrzekł z uśmiechem Steve. - Jakby nie patrzeć, miasto może być cały czas na celowniku.

- Jak zwał, tak zwał... - skwitował Chris. - W każdym razie spróbuję o tym już za bardzo nie myśleć.

- Już jestem! - krzyknęła Teresa, wychodząc na taras.

Kobieta trzymała w dłoniach blaszaną tacę, na której leżało siedem sporych rozmiarów steków. Nie czekając, aż ogień zgaśnie, podeszła do grilla i położyła na kratce mięso. Kawałki dziczyzny szybko zaczęły płonąć, jednak po kilkunastu sekundach ostatni płomień zgasł. Jedyne rozgrzany do czerwoności węgiel podgrzewał dzisiejszą kolację.

- Macie tu łapki i pilnujcie, żeby mięso się nie sfajczyło - oznajmiła i wyciągając zza pleców metalowe szczypcy, podała je Steve'owi. Ja w tym czasie pójde dla nas po krzesła.

Równie szybko jak kobieta przyszła, tak zniknęła w budynku, ponownie pozostawiając podróżnych samych na tarasie.

Podczas gdy Teresa organizowała herbatę, whisky i siedzenia, Steve doglądał i obracał steki. Reszta grupy w tym czasie spoglądała na Hopetown. O tej porze dnia miasto rozświetlały tysiące świateł. Stopień rozwoju tego miejsca stanowił niezbity dowód na to, że trzecia wojna światowa nie była dla wszystkich końcem, tylko nowym początkiem.

- Heh... mieszkając tutaj, można zapomnieć o wszystkich problemach - stwierdził Luke, drapiąc się za uchem. - Dobrze, że nas tu zabraliście...

- Drobiazg - odparła Sarah. - Zresztą nie mieliśmy wyboru. W końcu i tak jedynie wiedzieliśmy o tym miasteczku. Co zrobimy dalej... to zależy już tylko od Jamesa.

- Skoro znacie się od tylu lat i razem pracowaliście, możemy chyba być o wszystko spokojni? - wtrącił pytanie Chris. - W końcu to wasz przyjaciel, prawda?

- Można tak powiedzieć... ale to Steve głównie z nim jeździł. Ja tylko kilka razy miałam okazję z tym

facetem pogadać. Mimo wszystko jak patrzę na tego gościa, to uważam, że jest w porządku.

- Ech... ale nie wiecie nawet, gdzie on mieszka...

- westchnął Chris, kręcąc przecząco głową.

- Teraz to już po prostu szukasz dziury w całym. James przez lata często zmieniał kwatery. My się nie widzieliśmy jakieś pięć lat i nie mamy ochoty łązić po domach i zamęczać pytaniami o niego obcych ludzi. Spokojna twoja głowa, damy radę.

- Czy może mnie ktoś wyręczyć? - niespodziewania zapytała Teresa, ponownie wchodząc na taras.

Kobieta z ogromnym trudem trzymała w dłoniach siedem złożonych drewnianych krzeseł. Na siedzeniach niosła sporych rozmiarów porcelanowy dzban, whisky, metalowe kubki, sztucce i talerze.

Podróżni niezwłocznie przystąpili do udzielania właścicielce zajazdu pomocy. Kiedy Maggie i Sarah zdjęły napoje i zastawę, Luke, Chris, Ray i Steve przystąpili do rozkładania krzeseł. Po ustawieniu siedzeń wokół grilla kobiety rozdały każdemu kubki, sztucce i talerze. Następnie każdy nalał do swojego naczynia czarnej herbaty tudzież whisky, a Steve położył na każdym talerzu po jednym steku. Kiedy wszystko było już gotowe, każdy przystąpił do kolacji.

- Życzę wszystkim smacznego - oświadczyła Teresa, biorąc pierwszy kęs mięsa. - Zresztą

dziczyzna jest zawsze na czasie, a steki z łosia są po prostu przepyszne.

- Nigdy wcześniej czegoś takiego nie jadłem - oznajmił Ray, próbując mięsiwa. - Całkiem niezłe...

- Dziękujemy za poczęstunek - wtrącił Luke. - Po wszystkim pozmywamy i posprzątamy.

- Oj, przestańcie - odparła Teresa i machnęła dłonią. - Sama ten bajzel ogarnę. W końcu jestem u siebie, a moi goście powinni odpoczywać.

Słyszając te słowa, Luke jedynie się uśmiechnął i wznowił konsumpcję mięsa. Z kolei Steve odłożył na chwilę talerz i wypił kilka łyków herbaty. Następnie przysunął swoje krzesło bliżej rozżarzonych węgli i spojrzał w niebo.

- Teresa... mogę cię o coś zapytać?

- Śmiało, o co chcesz...

- Dziś rano, jak byliśmy w lokalu Cass Cass, podszedł do nas pewien starszy mężczyzna. Gadał jakieś dziwne rzeczy. Chcę zapytać, czy znasz trochę jakichś lokalnych plotek?

- W Hopetown jest ich całkiem sporo. Jeśli chcecie o czymś wiedzieć, nie widzę problemu, aby wam powiedzieć to i owo. Tylko zaznaczam, że to tylko takie... legendy. Tak w ogóle to o czym mówił ten facet?

- Jak on to ujął... coś w stylu: jeśli pójdziecie w mrok, ujrzycie coś spoza tego świata. No

i wspominał o zaginięciach i że to sprawka tego „czegoś”. Może coś wiesz na ten temat?

- Pewno chodziło o legendę o nieznannej istocie. Wśród miejscowych krąży nawet kilka wersji. Każda jest inna, ale ma także elementy wspólne.

Chris, słysząc, o czym mówi kobieta, dojadł szybko ostatni kawałek steku. Następnie popił mięso herbatą. Tak samo postąpił Luke i Steve. Na Rayu, Sarah i Maggie nie wywołało to takiego wrażenia. Dalej jedli w spokoju i milczeniu.

- Mieszkańcy mówią to i owo, ale wszyscy, którzy widzieli to coś, twierdzą, że ujrzeli nagą istotę. Czasem w nocy coś człekokształtnego chodzi po lesie i porywa mieszkańców, którzy samotnie zapuszczają się poza mury miasta. Ludzie, którzy znikają, już nigdy nie wracają. Cała ta legenda o tym czymś trwa od kilkunastu lat...

- Ale skoro porywani są wszyscy mieszkańcy, to skąd na to znajdują świadków? - wtrącił pytanie Chris.

- Powtarzam, że przepadają jedynie ci, którzy samotnie wyjdą poza mury miasta. Większe grupy są niby bezpieczne. I to właśnie ci, którzy brali udział w poszukiwaniach zaginionych, ponoć widywali to stworzenie.

- A dużo osób to coś zobaczyło? - dopytywał Luke.

- Teraz to ciężko stwierdzić, bo legenda stała się zbyt popularna. Każdy o niej wie i coraz więcej osób zaczyna zmyślać. Prawda jednak jest taka, że faktycznie tę istotę ujrzało maksymalnie kilkanaście osób.

- Dość intrygujące... - stwierdził zaciekawiony tematem Luke. - Sądziłem, że to, co wygadywał ten mężczyzna w lokalu, to tylko jakieś bzdury. A tu proszę...

- Wspominałem, że nie należy chwalić dnia przed zachodem słońca? - pretensjonalnie powiedział Chris. - Mówiłem, że mam złe przeczucia.

- Przecież już po zachodzie, he, he... - odparł cynicznie Luke. - Więc mówisz, że mogłeś wyczuwać to coś aż do teraz?

- Niewykluczone. Teraz przynajmniej mam powód, aby samemu nie wychodzić w las. Nawet nie mam niczego do obrony.

- Spokojnie, jutro rano pójde do Mitcha i kupię ci coś do strzelania - oznajmił Steve, tym samym pocieszając towarzysza. - Przy okazji ureguluję wszystkie rachunki. Poza tym sorki za te ciągłe wtrącenia. Ponoć to nie jedyna legenda, która tutaj krąży?

- Znam jeszcze trzy... moim daniem są dość... niepokojące, ale także ciekawe. Może zacznę od legendy o mordercy-psychopacie z siekierą. Jest

stara, ale chyba najwięcej w niej prawdy. Ponoć kiedyś w okolicznych lasach żył pustelnik, który pewnego dnia postradał zmysły. Żeby stłumić samotność, porywał przypadkowe ofiary. Kiedy zaciągał je w las, próbował się z nimi zaprzyjaźnić, ale ostatecznie do tego nie dochodziło. Wtedy wpadał w furję, a następnie mordował i ćwiartował nieszczęśników. Potem rozrzucał szczątki w głuszy. Kawałki mięsa, których nie zdążyły zjeść zwierzęta, budziły grozę wśród mieszkańców. Ostatecznie mordercy nigdy nie odnaleziono, ale wątpliwe jest, że on wciąż chodzi po tej ziemi. Ta historia jest bardzo stara i gdyby pustelnik nadal żył, miałby teraz... jakieś sto dziesięć lat. Tak że może kiedyś coś takiego miało miejsce, ale to już zamierzchna przeszłość. I jak wam się ta historia podobała?

W odpowiedzi na to pytanie Maggie i Sarah oddały resztki swoich steków Rayowi i dopiły do końca herbatę. Z kolei mężczyzna na widok ofiarowanych mu porcji, zadowolony z tego faktu, nie przerywał zajadania dziczyzną.

- Jak mówiłaś o tych szczątkach, to jakoś mi przeszła ochota na jedzenie - oznajmiła Maggie, ręką osłaniając usta.

- A mnie trochę zemdliło - dodała Sarah. - To było ciekawe, ale na przyszłość ostrzegaj, jeśli będziesz gadać o zwłokach, jak będę jeść.

- Heh... mogłam o tym psychopacie wspomnieć na samym końcu... Na przyszłość będę o tym pamiętać. Poza tym mam dla was jeszcze dwie historie, które, tak wyszło, nie są krwawe.

- To co w nich ciekawego? - zapytał Ray, paznokciem wydłubując kawałek mięsa spomiędzy zębów. - Bez flaków nie ma zabawy...

- Zaraz zrozumiesz, co w tych opowieściach jest wyjątkowego... Istnieje legenda o płaczących drzewach. Lokalni drwale opowiadają historie o tym, że jak czasem wychodzili do pracy, słyszeli szloch małych dzieci. Działo się to rzadko, ale jeśli już miało miejsce, mężczyźni zawsze rąbali drzewa...

- Istnieje choć małe prawdopodobieństwo, że to, co oni gadają, to prawda? - dopytywał Luke. - Jakoś wątpię, że ta historia jest wiarygodna.

- Jedynym logicznym wytłumaczeniem jest to, że większość drwali to alkoholicy. Może to po prostu ich omamy. W każdym razie jest to dla mnie ciekawy temat. Ale mam jeszcze coś... co powiecie o pogłoskach o nawiedzonym południu?

- Przecież właśnie stamtąd przyjechaliśmy - odparł zaniepokojony Chris. - Czy ta opowieść ma coś wspólnego z opuszczonymi osadami?

- Nie tylko z nimi. To, o czym powiem, ma szerszy zasięg, nie tylko przygraniczne miejscowości. Przeszło dwieście pięćdziesiąt kilometrów na wschód

od ruin Vancouver, przy dawnej granicy kanadyjskiej, jest obszar silnie skażony. Tereny, na których leżą opuszczone wsie i miasta, po dziś dzień nie nadają się do ponownego zasiedlenia. Dłuższy pobyt w tych okolicach może człowieka nawet zabić... Chodzi o chorobę popromienną.

- Dłuższy pobyt to znaczy ile? - wtrącił pytanie Luke.

- Jakieś kilka lat. Jednak nie ma powodów do zmartwień. Nawet przez kilkanaście dni nic byście nie odczuli. Gorzej, jakbyście pobyli tam nieco dłużej. W Hopetown wciąż mieszkają ci, którzy kiedyś poszli w tamte rejony na wielotygodniowy zwiad. Kiedy wrócili, opowiadali niepokojące rzeczy. Lekarz, który ich badał, uznał, że jego pacjenci miewali halucynacje. Usłyszał od nich wiele historii o duchach, upiorach i wędrujących cieniach. Zwiadowcy, którzy stamtąd powrócili, zarzekali, że słyszeli w miastach krzyki i wyczuwali gwałtowne wahania temperatur. Powiem wam, że pomimo że nie wierzę w duchy, nie mam zamiaru sprawdzać, czy to, o czym gadali, to prawda.

- A w jakim stanie są ci, którzy wciąż żyją, a wrócili z tamtego rozpoznania? - zapytał Chris.

- Teraz dobrym, ale do normalności wracali latami. Nie chcesz wiedzieć, jaki koszmar przeżyli. Wiecznie niewyspani i złąknieni... Każdy gwałtowny

dźwięk wzmagał u nich niewyobrażalny strach. Jakby pomyśleć... tak, z każdym teraz jest dobrze. Tylko te osoby do dzisiaj uskarżają się na koszmary. To wszystko, co wiem...

- Niesamowite historie - oznajmił Luke, nie kryjąc zadowolenia. - Przyjemnie mi było ciebie słuchać.

- Dzięki, próbowałam was nie zanudzać.

- Hah, nawet ci się udało mnie nastraszyć - oznajmiła Maggie, strzelając kośćmi palców u rąk. - Przez ciebie nie będę mogła dziś normalnie spać. A może jeszcze, dla miłej odmiany, opowiesz o czymś fajnym? Na przykład jakie tu macie uroczystości?

- Jutro jest Święto Żółtych Liści. Co roku szesnastego października miasto obchodzi dzień nadejścia pełni jesieni.

- Serwują wtedy syrop klonowy z whisky i rozdają steki - wtrącił Steve. - Już dzisiaj słyszeliśmy tę historię. Może wspomnisz o innych uroczystościach?

- Nowy Rok jest pierwszego stycznia, Nadejście Wiosny pierwszego marca, a Święto Pracy dwudziestego trzeciego czerwca. Nie ma co o tym gadać... Po prostu wtedy jest wolne. Za to mamy jeszcze Dzień Zwycięstwa nad Siłami American Security Organization.

- Więc jednak kiedyś zaatakowali Hopetown... - wymamrotał Luke. - Co tak naprawdę się wtedy

stało?

- Atak nastąpił jakieś... która to był rocznica... A, już wiem. Pięćdziesiąta trzecia. Dwunastego sierpnia dwa tysiące dwieście dziewięćdziesiątego siódmego odparliśmy Amerykanów. Jeszcze dwa miesiące temu pani burmistrz organizowała z tego powodu festiwal. Było całkiem fajnie i miałam duży ruch, więc sobie nieźle zarobiłam. Ale wracając... Najlepszą obroną miasta są snajperzy patrolujący okolicę. Nie inaczej było w dniu ataku. Pomimo przewagi wojsk nieprzyjaciela oddział sześćdziesięciu trzech snajperów zdziiesiątkował napastników i zmusił ocalałych do odwrotu. Tamtego dnia po obu stronach zginęło wielu ludzi, aczkolwiek miasto przetrwało. Od ponad pół wieku nikt się nie ośmielił nas zaatakować.

- To, co miało miejsce, jest smutne, ale najważniejsze, że wojskowi zrozumieli, że nie mają tu czego szukać - podsumował opowieść Luke. - I dobrze im tak. Jeszcze nie tak dawno widziałem, do jakich okropieństw są zdolni.

- Nie ma po co jednak o tym gadać - dodał Steve.
- Na nas już chyba pora. Jest dość późno, a jutro musimy być wypoczęci. Bardzo ci dziękujemy za wszystko, co dla nas zrobiłaś, Tereso...

- Nie ma sprawy. To miłe, że zechcieliście u mnie zostać. Mam nadzieję, że jak najdłużej...

- Ile tu pobędziemy, to się jeszcze okaże -

odparła Sarah. - W każdym razie jutro będzie dużo dobrej zabawy.

- Dobra, to nie pozostaje mi nic innego, jak tylko życzyć wam spokojnej nocy. Nie sprzątajcie po sobie. Ja wszystko ogarnę. Jeśli chcecie, mogę wam jeszcze przygotować śniadanie.

- To nie będzie konieczne - oznajmiła Maggie. - Mamy swoje zapasy.

- W takim razie będziemy się widzieć najpóźniej wieczorem. Tylko nie zapomnijcie jutro odwiedzić pani burmistrz. Koniecznie musicie poznać Elizabeth Harmon.

- Będziemy o niej pamiętać - oznajmił z uśmiechem Luke. - Spokojnej nocy, Tereso. Jeszcze raz dzięki za wszystko.

Po tych słowach wszyscy pożegnali właścicielkę zajazdu Fraser i wolnym krokiem udali do swoich pokoi. Kiedy do nich dotarli, od razu rozpoczęli przygotowania do snu. Po kąpieli zamknęli drzwi i okna, pogasili światła i położyli się w wygodnych łóżkach. Potem przykryli grubą pościelą i się wtulili w puchowe poduszki. Nie minął kwadrans, a każdy zapadł w głęboki sen. Grupa wiedziała, że należy regenerować siły na następny dzień, kiedy miał przypaść festyn z okazji Święta Złotych Liści...

Nastał świt. Pierwsze promienie słońca zaczęły

oświetlać ulice Hopetown. Od przeszło dwóch godzin w mieście panował wzmożony ruch. Część mieszkańców szła na spacer, robiła zakupy albo spędzała czas nad rzeką Fraser. Z kolei pokaźna większość pomagała przy organizowaniu świątecznych obchodów. Ludzie przystrajali dachy swoich domów różnokolorowymi lampkami, sprząтали ulice lub podejmowali się prac zleconych im przez organizatorów festynu. Współpracował każdy, kto chciał, ale wszyscy wiedzieli, że ten dzień będzie wyjątkowy.

Hałasy spowodowane przez samochody, które przejeżdżały obok zajazdu Fraser, obudziły Luke'a. Podróżny, z trudem godząc się z końcem błogiego snu, mocniej się wtulił w poduszkę, przy okazji zasłaniając nią uszy. Jednak niewiele to pomogło, gdyż z każdą sekundą mężczyzna coraz bardziej przytomniał.

Po przeszło minucie podróżny postanowił zmienić pozycję, przewracając się na drugi bok. Ku jego zdziwieniu obok leżała Maggie. Co prawda kobieta spała na swoim łóżku, ale przysunęła je najbliżej niego.

Podróżny westchnął głęboko, po czym powoli wstał. Następnie wolnym krokiem poszedł do łazienki. Kiedy tam wszedł, rozebrał się do naga, usiadł w wannie i odkręcił kran. Po szybkiej kąpieli

założył ubranie, otworzył drzwi, wyszedł przed dom, a potem poszedł do hummera.

Kiedy wszedł do środka samochodu, poszukał w nim otwieracza, wody i czegoś do jedzenia. Po odnalezieniu przyrządu do otwierania konserw, dwóch butelek z krystalicznie czystym płynem i dużej puszki z kukurydzą opuścił pojazd i ponownie go zamknął. Następnie wrócił do pokoju, w którym nadal mogła spać jego towarzyszka.

Kiedy wszedł do pomieszczenia, podszedł do okna i uchylił je, tym samym wpuszczając do środka chłodne i rześkie powietrze. Następnie cofnął się do stolika, na którym stało radio. W chwili kiedy je podniósł, zauważył długi kabel, który był podłączony do kontaktu umieszczonego tuż przy stojącej obok lodówce.

Podróżny zaczął uważniej badać elektroniczne urządzenie. Było ono niewielkie, czarne, plastikowe i miało jeden przycisk, pokrętło i długą na metr antenę. Radio sprawiało wrażenie względnie nowego i sprawnego.

- Zobaczmy, co usłyszymy, jak je włączę - powiedział do siebie, a następnie uruchomił odbiornik.

Z radia wydobyły się jedynie szумы. Podróżny postanowił nie odpuszczać i zaczął ruszać anteną na wszystkie strony. W końcu urządzenie zaczęło

emitować inne dźwięki. Aktualnie na antenie leciała muzyka folkowa. Był to akustyczny utwór gitarowy.

- M... mógłbyś to chociaż odrobinę ściszyć? - niespodziewanie wymamrotała Maggie, którą najwidoczniej podróżny obudził.

- Nie ma sprawy - odparł mężczyzna, kładąc radio na stoliku i nieco zmniejszając głośność muzyki.

Następnie usiadł obok swojej towarzyszki, położył obok niej butelkę wody i zaczął otwierać konserwę z kukurydzą.

- Co ci strzeliło do głowy, aby przesuwać łóżko? - zapytał. - Poza tym kiedy ty to zrobiłaś?

- W noooocy - odparła śpiącym głosem kobieta. - Teresa narobiła mi stracha i nie mogłam spać sama.

- Przecież byłem w tym samym pomieszczeniu. Nie musiałaś tego robić...

- I ty mówisz, że jesteś żonaty...

- Dobra... koniec z udawaniem głupiego - oświadczył Luke, otwierając konserwę. - Lepiej zjedzmy śniadanie.

Podczas gdy oboje przystąpili do posiłku, lecący na antenie utwór muzyczny dobiegł końca. Następnym, co puszczono, była krótka ramówka nieznanego podróżnym programu, a po niej przemówił męski głos.

- *Właśnie minęła siódma trzydzieści i przyszedł czas na program „Poranek z Case'em”. Ja nazywam*

się Kenneth Case i pragnę was gorąco powitać w ten wyjątkowy dla miasta dzień. Chyba nie ma w Hopetown osoby, która by nie wiedziała, że dzisiaj obchodzimy Święto Złotych Liści. Jest to wspaniała uroczystość, dlatego miasto przewidziało dla was mnóstwo atrakcji. O godzinie osiemnastej w parku nastąpi otwarcie imprezy, której będzie przewodniczyć nasza kochana pani burmistrz - Elizabeth Harmon. Nie zabraknie tam także mnie. Razem podsumujemy ostatnie miesiące ciężkiej pracy, a potem wręczymy nagrody najbardziej pracowitym obywatelom miasta. Po krótkiej inauguracji udostępniemy scenę, która będzie jednocześnie parkietem do tańca. Również zostanie otwarty bufet, w którym będzie można nieodpłatnie nabyć przeróżne trunki i przepyszne steki. Prosimy także o zachowanie bezpieczeństwa podczas imprezy. Liczymy także na to, że jak każdego roku wszystkim dopisze humor przez dobrą zabawę. To mówiłem ja - Kenneth Case, a przed nami utwór „Walking Through Your Golden Soul” autorstwa Jimmy’ego J.

Po tym komunikacie z głośników zaczęła lecieć lekka rockowa muzyka. Po kilku pierwszych taktach dało się usłyszeć głos wykonawcy. Mimo wszystko jego śpiew był zbyt flegmatyczny, aby cokolwiek z tego bełkotu zrozumieć.

- No co? - powiedział Luke, patrząc na towarzyszkę. - Przynajmniej coś próbują.

- Lepsze to niż ten szum na ulicy - odparła, grymasząc, Maggie, przy okazji się zajadając kukurydzą. - No i dzięki Kennethowi znamy plan dnia mieszkańców.

- O osiemnastej mamy być w parku. Skoro tu jesteśmy, nie zaszkodzi zobaczyć czegoś wyjątkowego.

- Jakoś przeczuwam, że szalu nie będzie. Po prostu odpalę muzykę i wszyscy sobie popiją. Ktoś dostanie w mordę, innego zaciukają i będzie po imprezie.

- Ja bym na morderstwa w tym mieście nie liczył. Za dużo strażników, aby zabijać... Poza tym to Kanada i tutaj nie ma takiego samego burdelu jak w Stanach.

- Kiedy przychodzi co do czego, wszyscy ludzie mogą zachowywać się gorzej niż zwierzęta. No dobra, zabierz ode mnie kukurydzę i ją dojedz. Już nie mogę na nią patrzeć.

- Do kolacji nie planuję nic spożywać. Wytrzymam i poczekam do czasu, aż będą wydawać steki. Oby były one tak samo dobre jak te od Teresy...

- Ech... faceci - westchnęła Maggie, wstając z łóżka.

W momencie gdy Luke zobaczył, że jego

towarzyszka jest naga, instynktownie odwrócił wzrok. W tym czasie kobieta chodziła po pokoju i szukała swoich ubrań.

- Mogłabyś chociaż ostrzegać, jak będziesz robić takie numery - oznajmił Luke, wstając i idąc do łazienki.

- A co ja poradzę, że było mi ciepło w nocy? Poza tym nie powinieneś narzekać. Jest na co popatrzeć.

- Daruj sobie - odparł krótko Luke, podchodząc do umywalki. - Po prostu załóż coś na siebie i miejmy to już za sobą. Podejrzewam także, że reszta jest już na nogach i chce niedługo...

Zanim dokończył zdanie, w progu łazienki stanęła Maggie. Nadal nie miała na sobie ubrania. Kobieta oparła się o framugę drzwi, skrzyżowała ręce i z dumą zaczęła prezentować swoje jędrne piersi i kościste biodra. Tym razem Luke, zamiast zasłonić wzrok, spojrzał jej głęboko w oczy.

- Iść...

- Przestań pierdolić o reszcie i bądź normalny. Przecież nie chcę cię przelecieć... no może trochę, ale ty nic złego nie zrobisz. Więc nie chrzań mi tu i bądź facetem.

- Jak się ubierzesz.

- Ech... - westchnęła Maggie, kręcąc przecząco głową.

Następnie wróciła do pokoju i odnalazła swoje

ubrania. Kiedy je założyła, podeszła do drzwi wyjściowych. Po ich otwarciu spojrzała na Luke'a, który w tym czasie płukał twarz pod bieżącą wodą.

- Chociaż zgadłeś, że na nas czekają... Dobra, idziemy. W końcu mamy poznać tę całą panią burmistrz.

Zanim Luke dołączył do reszty, zakręcił kran i wyłączył radio. Następnie zamknął okno i poprawił oba posłania. Kiedy uznał, że w pomieszczeniu panuje względny porządek, opuścił je, przy okazji zabierając ze sobą dwie butelki wody i konserwę z resztkami kukurydzy.

Zaraz po zamknięciu na klucz wynajmowanego domku podróżny dołączył do reszty towarzyszy. Szczególną uwagę zwrócił na Chrisa, który sprawiał wrażenie zadowolonego.

- A tobie co dolega? - spytał kompana, który obecnie trzymał w rękach broń. - Skąd w tobie tyle radości?

- Steve uregulował rachunki i kupił nam trochę fantów - odparł Chris, prezentując podróżnemu prezent od Williamsa.

Mężczyzna aktualnie trzymał obrzyna. Dwururka wyglądała na niedawno wyprodukowaną. Jej połyskująca lufa odbijała promienie światła.

- Dodatkowo dał mi do niej czterdzieści naboí.

- W końcu zamkniesz jadaczkę i przestaniesz

biadolić – skwitował Ray.

- A ty co dostałeś? – zapytał Luke Bennetta.

- Steve postanowił sprzedać karabiny od Denhamów i załatwił nam naboje. Teraz mam dziesięć magazynków do mojego rewolweru. Jak dla mnie to nawet lepiej. Mniej sprzętu do taszczenia.

- A dla mnie też coś masz? – spytał Luke, patrząc na Williamsa.

- Rozliczymy się w drodze do Eli, a teraz lepiej już chodźmy... Po drodze wyjaśnię, co tak naprawdę załatwiłem.

Podróźni niezwłocznie poszli w kierunku, który wskazał im Williams. Po opuszczeniu terenu zajazdu Fraser skręcili w prawo i spacerowali chodnikiem. Już na samym początku mogli dostrzec miejsce, do którego zmierzali. W odległości kilkuset metrów od ich pozycji stał parterowy budynek ratusza. W jego sąsiedztwie aktualnie przebywało wielu mieszkańców, którzy w pośpiechu załatwiali przeróżne sprawy.

- No powiedz w końcu, co dla nas zorganizowałeś – oznajmił Luke, przy okazji podając niedopitą wodę i niedojedzoną kukurydzę Chrisowi.

Reese bez żadnego skrępowania zaczął dokańczać śniadanie Maggie.

- Poza uregulowaniem płatności za kawę załatwiłem nam porządny obiad u Cass – odrzekł

Steve. - Poza tym mam dla ciebie dziesięć magazynków do twojej pukawki. Sam sobie kupiłem trochę naboju. Sarah także dostała amunicję, ale przy okazji zorganizowałem dla niej nowe dzinsy.

- Dobrze na mnie leżą? - spytała Luke'a siostra Williamsa, dumnie prezentując swoje nowe spodnie.

- Jest super - odparł krótko Luke, mierząc wzrokiem nowy ciuch. - To wszystko?

- Oj nie... - odrzekł Steve, nie kryjąc zadowolenia. - Zgadnij, co trzymam w muscled carze?

- Nawet mnie czymś takim nie męcz z samego rana... Nie mam siły na zagadki.

- Poza napełnieniem kanistrów i zatankowaniem samochodów dostaliśmy coś ekstra. Co powiesz na dziesięć granatów?

- Chyba żartujesz? - Luke momentalnie zdębiał, słysząc tę informację. - Powiedźcie, że on blefuje...

- Nie, nie robi sobie jaj - odpowiedział Ray, szelmowsko się uśmiechając. - Z takim arsenałem będziemy nie do powstrzymania.

- A tak poza tym cokolwiek jeszcze zostało z naszych funduszy? - dopytywał Luke.

- Mam jeszcze trochę samorodków - odrzekł Steve, chowając rękę do kieszeni. - Za to czeka nas dzisiaj niezła zabawa. W końcu mamy okazję, aby poszaleć.

- Steve... jesteś niesamowity - stwierdził krótko

Luke.

- Cała przyjemność po mojej stronie. OK, zaraz będziemy na miejscu. O co chcecie zapytać Eli?

- Myślałem, że tylko pójdziemy się przywitać - odparła Sarah. - Także z nią chcesz coś załatwić?

- Jeśli wpadnie nam do głowy jakiś plan, to jest okazja, aby go wprowadzić w życie. Jakies pomysły?

- Może po prostu zaoferujemy naszą pomoc przy organizacji festynu? - zasugerował Luke. - Co prawda jesteśmy tu gośćmi, ale pomoc mieszkańcom nie zaszkodzi. Przynajmniej zrobimy dla nich coś dobrego.

- Pomysł całkiem niezły. Przy okazji dopytam o Jamesa. Może Eli coś w jego sprawie będzie wiedzieć...

Resztę trasy podróżni przebyli w ciszy. Dzięki temu skupili swoją uwagę na okolicy i żyjących tutaj mieszkańcach.

Najbliższe domy przyozdobiono brunatnopomarańczowymi lampkami. Trawniki przed budynkami były nienagannie przystrzyżone, a liście, które opadły z rosnących nieopodal klonów, dokładnie zamieciono. Obywatele Hopetown pracowali bardzo ciężko, aby ładnie przystroić i wysprzątać okolicę.

Podobna sytuacja była przed ratuszem. Jedyna różnica polegała na tym, że z wnętrza

wielkopowierzchniowego parterowego obiektu mieszkańcy aktualnie wynosili niezliczoną ilość stołów i krzeseł. Jedna grupka mężczyzn niosła także sporych rozmiarów głośniki.

- Teraz tylko pozostaje nam się dostać do gabinetu pani burmistrz - oznajmił Steve w sposób, jakby to miało być proste.

- Przeczuwam, że to może nie być takie łatwe - stwierdziła Sarah. - Gdzie nie spojrzeć, tam zamęt. A może ona nie znajdzie nawet dla nas czasu...

- Nie zaszkodzi spróbować... Chociaż powinniśmy spróbować ją przywitać. Wchodzimy do środka.

Po tych słowach grupa podeszła pod drzwi do ratusza. Obecnie oba skrzydła wejścia głównego były otwarte na oścież. Podróżni z trudem omijali wychodzących z budynku ludzi. Aktualnie obywatele Hopetown wynosili kolejne drewniane krzesła i szli z nimi na południe, w stronę miejskiego parku.

W momencie gdy grupa w końcu weszła do środka ratusza, ujrzała puste białe, obłożone wykładziną ściany i szereg drewnianych drzwi. Naprzeciwko podróżnych znajdowała się recepcja, za którą aktualnie nikt nie stał. Na suficie wisiały kryształowe żyrandole, a przy oknach zamontowano ciemnopomarańczowe zasłony.

Steve niezwłocznie skręcił na prawe skrzydło budynku, prowadząc resztę grupy przez zatłoczony

korytarz. Po przejściu kilkudziesięciu metrów wszyscy w końcu dotarli pod gabinet pani burmistrz. O tym świadczyła przybita do ściany blaszana plakietka z wyrytym na niej imieniem i nazwiskiem przywódczyni Hopetown.

- Gotowi na poznanie Elizabeth Harmon? - zapytał Steve, patrząc na resztę grupy.

- Nie gadaj tyle, tylko włącz - odparł Ray. - Tutaj jest cholernie duszno.

- Jak zwykle zero entuzjazmu... W takim razie nie ma na co czekać. Wchodzimy.

Po otwarciu i przekroczeniu drzwi podróżni znaleźli się w niewielkim pomieszczeniu. W środku było kilka drewnianych szafek, na których leżała niezliczona ilość segregatorów. Tuż pod oknem stał barek, do którego przykręcono lusterko. Przy tym meblu postawiono także dwa mosiężne krzesła, a naprzeciwko nich solidne biurko, za którym siedziała i pracowała pewna kobieta.

Osoba nosiła na sobie czarny żakiet, spódnicę, kozaki i białą koszulę. Do ubrania miała przypięty identyfikator, na którym widniało jej imię i nazwisko - Elizabeth Harmon.

Pani burmistrz, obecnie przeglądająca dokumenty, wiekowo wyglądała na ponad pięćdziesiąt lat. Miała długie, kręcone brązowe włosy i pociągłą twarz.

Kiedy Elizabeth zorientowała się, że ma gości, przerwała pracę, aby zerknąć na odwiedzające ją osoby. Na widok Steve'a i Sarah zareagowała dość entuzjastycznie. Kobieta niezwłocznie wstała z fotela i podeszła do rodzeństwa Williamsów.

- Kochani, jak miło was widzieć. Wszystko u was w porządku?

- Jak widać, jesteście cali i zdrowi - odparł Steve.
- Przepraszamy, że przez kilka lat nie mieliśmy okazji cię odwiedzić. Byliśmy strasznie zapracowani.

- Doskonale cię rozumiem i wiem, jak to z Derrickiem bywa. Wszystko w Falltown w porządku?

- Tak... można tak powiedzieć... - odparł lekko zmieszany tym pytaniem Steve. - Wszystko prężnie funkcjonuje.

- Od razu uprzedzam, że nie mam dla was zbyt wiele czasu, bo, jak się domyślacie... dzisiaj jest strasznie dużo do zrobienia. A kim są wasi przyjaciele?

- To Luke, Ray, Chris i Maggie - odpowiedziała Sarah. - Od jakiegoś czasu nam pomagają. To dobrzy ludzie.

- Miło mi was poznać - oznajmiła Elizabeth, ściskając rękę każdej z przedstawionych postaci. - Od czternastu lat jestem burmistrzem tego miasta. Mam nadzieję, że dobrze wam w Hopetown?

- Nigdy w życiu nie spotkałem się z takimi standardami - entuzjastycznie zadeklarował Luke. - To miasto doskonale funkcjonuje i przeszło moje najśmielsze oczekiwania.

- To dobrze, że tak uważasz. Powiedźcie... w jakiej sprawie do mnie przychodzicie? Niestety zaraz muszę wracać do pracy, bo mam mnóstwo papierkowej roboty.

- Chcieliśmy się z tobą przywitać i zapytać, czy nie potrzebujesz dodatkowych rąk do pomocy przy przygotowaniach do festynu? - zapytał Steve. - Jeśli możemy w czymś pomóc, z przyjemnością to zrobimy.

- W żadnym wypadku. Przecież jesteście tu gośćmi i nie przystoi wam pracować. Szczególnie podczas święta. Korzystajcie z tego, co Hopetown ma do zaoferowania. A jeśli naprawdę będziecie mi w czymś potrzebni, to dam wam znać. Teraz przepraszam, ale muszę wracać do pracy.

- Mam jeszcze jedno pytanie, o ile mogę je zadać... - wtrącił Steve. - Nie wiesz przypadkiem, gdzie możemy spotkać Jamesa Zooka?

- James, James, James... - zaczęła intensywniej myśleć Elizabeth. - Mieszka w centrum, ale teraz sobie nie przypomnę, gdzie konkretnie. Musiałabym zajrzeć do dokumentów, a wiecie, że dzisiaj mam sporo spraw na głowie. Poza Świętem Złotych Liści musiałam rozlokować wszystkich snajperów i prawie

każdego strażnika miejskiego. Bez dodatkowego wsparcia nie dałabym rady. Komendant straży mi w tym pomagał... W każdym razie przepraszam, że nie mogę wam pomóc, ale bez obaw. Na pewno spotkacie Jamesa podczas festynu. On chyba ma dzisiaj wolne, tak że szukajcie go przy straganach.

- Dziękujemy - odpowiedziała krótko Sarah. - To bardzo pomocne. Jakbyś czegoś potrzebowała, wynajmujemy pokoje w zajeździe Fraser.

- Będę o tym pamiętać - oświadczyła z uśmiechem Elizabeth. - Do zobaczenia na festynie i miłej zabawy. A teraz najmocniej przepraszam, ale naprawdę muszę wracać do obowiązków.

Rozmowa dobiegła końca. Podróżni podziękowali pani burmistrz za poświęcony im czas i uścisnęli jej dłoń na pożegnanie. Potem opuścili gabinet, umożliwiając jej dalszą, spokojną pracę. Kiedy wyszli przed budynek ratusza, wolnym krokiem zaczęli spacerować ulicami Hopetown.

- Ech... - westchnął Chris. - Fajną mają tu władzę. Elizabeth to ciepła i uprzejma osoba. Pozazdrościć takiej pani burmistrz.

- Chyba niewielu przywódców jest tak przyjaźnie nastawionych do ludzi, którzy odwiedzają ich miasta lub osady - stwierdził Luke. - Już drugi raz miałem okazję poznać osobę pełniącą najwyższą funkcję i jestem po prostu w szoku.

- Z kim miałeś jeszcze przyjemność? - zapytał zaintrygowany Steve.

- Jeszcze poznałem Mike'a. Kierował on miejscowością Spring Creek. To miejsce leży w stanie Nevada. Wszystko musiało iść po jego myśli. Ten facet nie akceptował niesubordynacji i surowo karał za niemal wszystkie przewinienia. Nawet wydał wyrok na Maggie i Raya.

- Przypomnisz, co on nam chciał zafundować? - zapytał Ray, nie kryjąc złośliwego uśmiechu.

- Chyba miesiąc prac społecznych dla dobra osady. Potem dostalibyście propozycję, aby tam zamieszkać.

- Wyszło na lepsze - oznajmiła Maggie. - Przynajmniej nie będziemy mieli do czynienia z burzami piaskowymi i żarem z nieba.

- Jak zwał, tak zwał - podsumował Ray. - Co teraz robimy?

- Zabiorę was nad rzekę - krótko oznajmił Steve. - Nie ma to jak spędzać czas nad wodą. Potem pójdziemy na obiad i dalsze zwiedzanie.

- Pamiętajcie, że o osiemnastej rozpoczyna się festyn - dodał Luke. - Moim zdaniem plan jest dobry. Zjemy obiad u Cassie? Co nam tam mogą zaserwować?

- Same dobre rzeczy - entuzjastycznie odparł Steve. - Na pierwsze danie zupa ogonowa. Cholera

wie, co to jest, ale brzmi smacznie.

- Mięso z warzywami w zupie pomidorowej... -
oznajmił Luke. - Tak przynajmniej ja uważam.

- A skąd ty to wiesz? - dopytywał Chris.

- Tak po prostu. Na Starym Kontynencie właśnie
w taki sposób serwujemy coś takiego.

- Nazwa nieważna - oznajmił Steve. - To na
pewno świetna potrawa. Na drugie mamy pieczone
zające, a deserem jest syrop klonowy.

- Czyżby zapowiadał się dla nas najlepszy obiad,
jaki jedliśmy od lat? - zapytał Ray, z trudem hamując
entuzjazm.

- Na to właśnie liczę...

Po rozmowie podróżni poszli nad rzekę Fraser,
aby spędzić tam kilka następnych godzin. Mężczyźni,
korzystając z dobrodziejstw natury, odpoczywali nad
wodą. Z kolei kobiety siedziały na kamienistej plaży,
a grupa wędkarzy wdawała się z nimi w dyskusję. Nie
trwało to jednak długo, gdyż Ray skutecznie
wyperswadował u natrętnych mężczyzn zmianę
miejsca na połów ryb. Argument fizycznego
uszkodzenia ciała zniechęcił obcych do dalszych
konwersacji.

Po południu wszyscy poszli do lokalu Cass Cass,
aby zjeść potrawy, jakie dla nich zamówił Steve. Zupa
ogonowa, pieczony zając i syrop klonowy były dla
nich przepyszne. Podróżni, będąc pełnymi energii,

spacerowali po ulicach Hopetown i zaczęli podziwiać miejscowość.

Kiedy grupa obejrzała w mieście już niemal wszystko, słońce zaczęło znikać za górskimi szczytami. Wtedy podróżni poszli w stronę miejskiego parku. Gdy się tam znaleźli, ujrzeli niezliczone tłumy mieszkańców siedzących lub stojących przed sporych rozmiarów sceną. W jej sąsiedztwie rozłożono stragany, z których czuć było woń alkoholu, syropu klonowego i steków.

W pewnej chwili ktoś podłączył do zasilania tysiące szkarłatno-pomarańczowych lampek, które, będąc rozwieszone na drzewach, rozświetliły cały park. Morze światła wprowadziło podróżnych w zadumę. Po chwili myślenia grupa podeszła pod scenę, przedzierając się przez tłum gapiów. Ujrzeli wtedy panią burmistrz w towarzystwie ponadczterdziestoletniego mężczyzny. Ten człowiek miał średniej długości czarne włosy, które zaczesywał na bok, i schludnie przystrzyżoną brodę. Nosił białą koszulę, czarny garnitur i półbuty, i czerwony krawat.

Po chwili zapanowała niemal absolutna cisza. Wtedy pani burmistrz wyciągnęła ze swojej kieszeni mikrofon i delikatnie zaczęła pukać palcem w urządzenie. Kiedy z wielkich głośników dobył się pisk, Elizabeth stanęła tak, żeby zniwelować sprzężenie zwrotne.

- Kochani mieszkańcy - rozpoczęła. - Jak co roku przyszliśmy w to miejsce, aby uczcić Święto Złotych Liści. Jest to dla nas wielkie wydarzenie, które podsumowuje rezultaty naszej ciężkiej pracy. Od wiosny każdy z was robił wszystko, aby w Hopetown nadal panował dobrobyt. Bardzo dziękuję za wasz wysiłek. Bez was to, co mamy, nie byłoby osiągalne. Pomimo że pełnię drugą kadencję i od czternastu lat pilnuję porządku w mieście, tylko dzięki wam mogę nadal z dumą pełnić funkcję burmistrza. Moim marzeniem jest po prostu sprawiać, że będziecie szczęśliwi. Ten festiwal jest dla was wyrazem wdzięczności za cały trud, jaki włożyliście, aby Hopetown było ważnym i liczącym się w świecie miastem. Dbajcie o bezpieczeństwo własnych dzieci, produkujcie żywność dla innych osad i walczcie o to, żeby każdy następny rok był jeszcze lepszy.

W odpowiedzi na te słowa tłum zaczął bić gromkie brawa. Niemal wszyscy, łącznie z podróżnymi, zareagowali w jednakowy sposób. To wprawilo Elizabeth w zadumę, a na jej twarz wyskoczyły niewielkie rumieńce.

- Kończąc przemowę, chciałabym życzyć wszystkim dobrej i bezpiecznej zabawy - oznajmiła, przy okazji uspokajając publiczność gestem dłoni. - Jeszcze raz za wszystko dziękuję wam, waszym sąsiadom i całemu miastu. A teraz oddaję głos

Kennethowi Case'owi. Człowiekowi, którego znacie, codziennie słuchacie i którego po prostu kochacie. Bądźcie zdrowi i udanej zabawy!

Publiczność ponownie nagrodziła kobietę brawami. W trakcie owacji Kenneth przejął mikrofon z rąk pani burmistrz i podszedł bliżej uczestników imprezy.

- Heh... skoro zostałem przedstawiony, to nie ma po co powtarzać wyuczonych regulek - rozpoczął entuzjastycznie. - Jeśli już zdołaliśmy podsumować, co dla miasta zrobiliśmy, pragnę dodać, jak będzie rozwijać się Hopetown. Poza rozszerzeniem programu naszego radia planujemy odnowić wszystkie drogi w mieście i stworzyć nowe miejsca pracy. Dotyczy to zarówno straży, jak i przemysłu. Mamy wielkie plany i liczymy na waszą współpracę. Żeby już dłużej nie zanudzać, zapraszam na poczęstunek. Będziecie mogli za darmo otrzymać whisky z syropem klonowym i przepyszne steki. A to wszystko przygotowaliście wy sami dla was. Przyjemnej i bezpiecznej zabawy! Chętnych zapraszam na scenę, gdzie będzie można potańczyć przy muzyce, którą zaserwuję ja - Kenneth Case. Niech żyje Elizabeth Harmon! Niech żyje Święto Złotych Liści!

Po tych słowach mieszkańcy obdarowali Kennetha gromkimi brawami. Następnie prawie

każdy poszedł w swoją stronę i zaczął korzystać z oferowanych przez miasto usług. Wokół zaczęło dominować jedynie uczucie radości i zadowolenia.

- To co teraz robimy? - spytał Ray. - Przehulamy złoto i sobie poużywamy?

- Proponuję, aby najpierw się nażreć na cudzy koszt - z rozbijającą szczerością oznajmił Steve. - Powinniśmy skorzystać ze wszystkiego. Zresztą teraz nie czas na gadanie, tylko na zabawę!

- A co jest poza pakietem promocyjnym? - zapytał Chris.

- Może ktoś urządził jakieś konkursy... warto to sprawdzić!

Podróżni niezwłocznie zaczęli podążać za Williamsem w kierunku atrakcji oferowanych przez mieszkańców. Na wstępie każdy skorzystał z darmowych steków i whisky z syropem klonowym. Grupa po odebraniu jedzenia i picia ze straganów usiadła przy jednej z ław postawionych pod wysokimi topolami. Następnie każdy od razu zabrał się za konsumpcję posiłku.

W momencie gdy whisky zaczęła na każdego działać, Steve wstał z miejsca i zachęcał resztę, aby poszła za nim. Nastroje w grupie były tak dobre, że nikt nie chciał wyrazić sprzeciwu. Wszyscy po zaopatrzeniu się w dodatkową porcję trunków poszli pod stragany, gdzie można było wygrać nagrody

w najrozmaitszych konkursach.

Steve postanowił zatrzymać podróżnych pod stoiskiem z pluszakami. Żeby wygrać maskotkę, trzeba było trafnie strącić za pomocą piłki sześć plastikowych kubków ustawionych kilka metrów od rzucającego.

Ray postanowił wziąć udział w tej zabawie. Po zapłacie wpisowego mężczyzna podołał wyzwaniu i już za pierwszym razem spełnił wymagania konkursu. W efekcie otrzymał niewielkich rozmiarów maskotkę przypominającą misia.

- To dla ciebie - oznajmił, wręczając nagrodę Maggie. - Przynajmniej będziesz mieć jakąś pamiątkę po tym mieście.

Kobieta ucałowała przyjaciela w policzek i przyjęła zdobyty przez niego suvenir. Następnie schowała pluszaka do kieszeni i pobiegła do sąsiedniego straganu. Zobaczyła tam brodatego mężczyznę, który zaproponował jej uderzenie młotem w płytkę, która miała podbić niewielki krążek do takiego poziomu, aby uderzył on w zawieszony trzy metry wyżej gong.

Kobieta poprosiła Steve'a o zapłacenie za tę zabawę. Williams bez zbędnych pytań wyjął z kieszeni samorodki i opłacił rozrywkę dla każdej z osób. Pomimo że wszyscy spróbowali swoich sił, jedynie Ray podołał wyzwaniu i podbity przez niego

przedmiot dosięgnął dzwonu. Mężczyzna ponownie tego dnia wygrał konkurs, w nagrodę dostając skrzynkę whisky. Uśmiech nie schodził mu z twarzy, kiedy przyjmował alkohol z rąk brodacza. Nawet z tego powodu podskoczył z radości.

- Trzeba z tym iść do samochodu - oznajmił bez skrępowania.

- No tak... nie będziemy tego wszędzie taszczyć - dodał Luke. - Oj, mamy z tym zabawy na co najmniej kilkanaście dni...

- Gdzie tam kilkanaście?! - odparł Ray, nie kryjąc oburzenia. - Na trasie możemy sobie zrobić dwudniową imprezę. Konkretnie nas sponiewiera...

- Chyba jednodniową - sprostował ktoś z tłumu.

Podróżni spojrzeli w kierunku, z którego padły słowa. Ujrzeni mężczyznę przed trzydziestką o czarnych, średniej długości prostych włosach i kilkudniowym zarostie. Człowiek nosił czarną bluzę i spodnie, brązową kurtkę i trapery.

- Cześć, Steve - powiedział zadowolony na widok Williamsa. - Miło cię po tylu latach widzieć.

Brat Sarah uściśnął dłoń nieznanemu. Przez kilka sekund jakby zastygł w bezruchu, patrząc w oczy mężczyźnie. Następnie odwrócił się w stronę podróżnych:

- Poznajcie Jamesa Zooka.

- A więc to ciebie szukaliśmy... - stwierdził Chris,

podając rękę nowo poznanemu człowiekowi. - Miło poznać.

- Tak samo. Mówili mi na rogatek, że pytaliście o mnie. Tak poza tym fajnie jest cię, Steve, po tylu latach w końcu zobaczyć.

- Nawet nie wiesz, jaki jestem zadowolony, że cię widzę. Coś ciekawego ostatnio się u ciebie działo?

- Trochę zmian zaszło. Poza paroma przeprowadzkami dostałem kilka ważnych zleceń. Trochę zarobiłem i nie mogę narzekać...

- O ile to prawda, co mówiono nam w ratuszu, teraz mieszkasz w kamienicy? - dopytywała Sarah.

- Tak, to się zgadza - odparł dumnie James. - Ostatnio zrobiłem spory remont i można powiedzieć, że zorganizowałem sobie niezły apartament. Słuchajcie, mam przy sobie kilka butelek whisky. Może pójdziemy w bardziej ustronne miejsce?

- Czemu nie - odparł krótko Steve, klepiąc Zooka po plecach. - Prowadź.

Strażnik niezwłocznie zabrał grupę na promenadę nad rzeką Fraser. Kiedy wszyscy dotarli na miejsce, znajomy Williamsów wypatrzył dwie wolne ławki. W momencie gdy wszyscy zajęli miejsca, James zapalił papierosa i zaczął zerkać w stronę Gór Kaskadowych. Korzystając z okazji, podał każdemu butelkę wymieszanego z syropem klonowym alkoholu.

- Długo zamierzacie zostać w Hopetown? - spytał z zaciekawieniem.

- Tyle, ile potrzeba - odparł Steve, pijąc darowaną mu whisky. - Dzisiaj odpoczywamy, a niedługo chyba wyruszymy w dalszą drogę.

- Gdzie zamierzacie pojechać? Macie może jakieś dalsze plany?

- Prawdę mówiąc, to ciebie mieliśmy o to zapytać - oznajmiła Sarah. - Jesteśmy w dość nieciekawym położeniu...

- Może znasz jakieś miejsca na północy, gdzie można zrobić następny postój? - dopytywał Steve. - Sami nie mamy za bardzo pojęcia, co dalej ze sobą zrobić.

Po tych słowach James na chwilę zamilkł i spojrzał na okoliczne lasy. Trwało to do czasu, aż dopalił papierosa i zgasił peta o podeszwę buta. Po kilku sekundach podrapał swój zarost.

- Jedyne droga na północ, jaką znam, prowadzi do Greenwoods. To miasto jest o jakieś sześćset pięćdziesiąt kilometrów stąd.

- A jak wygląda sytuacja z drogami? - dopytywała Sarah.

- Wszystko jest regularnie odnawiane. Nie powinniście mieć problemów z przejazdem. Tak przy okazji... Po co konkretnie jedziecie na północ?

- Chyba można ci to powiedzieć... - nieśmiało

odpowiedział Steve. - ASO nas pogoniło ze Stanów Zjednoczonych i planujemy osiąść w miejscu, gdzie można normalnie żyć.

- Chwila, chwila... Przecież pracowaliście dla Derricka? Dobrze wam z nim szło...

- Ech... te czasy minęły - westchnęła Sarah.

- Cóż... życie czasem bywa niesprawiedliwe. Szczerze współczuję.

- Nie musisz. Ja i mój brat zawsze sobie jakoś radziliśmy. Dla nas to nie jest poważny problem.

- Jednak uciekliście z miejsca, w którym żyliście od urodzenia. To jest właśnie przykre. W każdym razie Greenwoods to dobre miejsce. W tym mieście przyjmą was, jak trzeba. Poza tym, Steve... jak ostatnio wyglądała twoja współpraca z konwojami?

- Od kilku lat ja i siostra załatwialiśmy sprawy w regionie stanu Washington. Mieliśmy pełno roboty i właśnie dlatego was nie odwiedzaliśmy. Szczerze żałuję, że tak sprawy wyszły, ale znasz Derricka...

- Jego żonę też - dodał James. - Wszystko doskonale rozumiem. Tak w ogóle to zobaczymy się jeszcze kiedyś?

- Może będzie jeszcze jakaś okazja...

- Jakby co, powinienesz nas znaleźć w zajeździe Fraser - wspomniała Sarah. - Wiesz, gdzie szukać.

- To mi wystarczy. A teraz najmocniej was przepraszam, ale sobie przypomniałem, że mam

jednak coś do załatwienia.

- Przecież dzisiaj masz już chyba wolne? - zapytał Chris, którego zdziwiło zachowanie mężczyzny. - Nie chcesz z nami dłużej posiedzieć?

- Nie o to chodzi. Muszę sporządzić zaległy raport, a wolę mieć z nim jak najszybciej spokój. W każdym razie miło było was poznać i w końcu cię zobaczyć, Steve... ciebie, Sarah, również.

- Bądź zdrów, James... - oznajmił Williams, na pożegnanie ściskając rękę znajomego. - Już cię nie zatrzymujemy.

Po pożegnaniu Zook pospiesznie poszedł w stronę miasta. Po chwili zniknął w tłumie przechodniów, pozostawiając podróżnych samych sobie. Grupa szybko dopiła oferowaną im whisky, a potem butelka została wyrzucona do najbliższego kosza na śmieci. Następnie Steve zasugerował powrót do motelu, na co każdy wyraził zgodę. Wszyscy, dłużej nie tracąc czasu, wolnym krokiem zaczęli zmierzać w stronę zajazdu Fraser.

- Cóż... myślałem, że James nam coś więcej powie, ale Greenwoods to chyba nasz następny cel - stwierdził w zadumie Steve. - Co o tym sądzisz, Luke?

- Nie mam nic do powiedzenia. Dostaliśmy od niego dalsze instrukcje, więc pewno tak zrobimy i nie ma po co nad tym dłużej dyskutować.

- Więc kiedy chcesz stąd wyjechać?

- Zostaniemy tu jeszcze góra kilka dni. Na razie musimy wytrzeźwieć... Ja tam mam już dość, aby dalej oblewać Dzień Złotych Liści...

- Nie ty jeden - dodała od siebie Maggie. - Idziemy do łóżek, a rano pomyślimy co dalej.

- Ech... jak tam chcecie - westchnął Chris, z trudem powstrzymując ziewanie. - O której zrobimy śniadanie?

- Najlepiej, jak każdy zje, kiedy uważa, a potem pomyślimy, co dalej robić - odpowiedział Luke. - Dzisiaj śpimy do oporu.

- I to właśnie lubię najbardziej - oznajmił Ray, nie kryjąc zadowolenia. - Nawet nie próbujcie mnie budzić, bo odruchowo komuś łeb ukręcę, a potem zrzucę winę na trupa.

Na te słowa Steve poklepał kompana po ramieniu.

- Co by nie było, nikt nie zamierza cię ruszać - oznajmił.

- Trzymam za słowo...

Dyskusja dobiegła końca. Po kilku minutach wszyscy doszli na plac zajazdu Fraser. Następnie Steve na chwilę otworzył muscledu cara, a Ray wsadził do auta skrzynkę wygranej przez niego whisky. Potem każdy poszedł do swoich pokoi, aby odpocząć.

Luke leżał na plecach, spoglądał w sufit

i rozmyślał nad tylko jemu znanymi sprawami. Jego towarzyszka, korzystając z okazji, ponownie przysunęła swoje łóżko i położyła się tuż obok niego.

- Zadowolony? - zapytała.

- Niby z czego? - odpowiedział pytaniem na pytanie, odwracając wzrok w jej stronę.

- W końcu mamy następny cel i nic nas już tutaj nie zatrzymuje. Jesteś coraz bliżej spotkania ze swoją żoną...

- Przede mną jeszcze daleka droga - odparł Luke, mocniej się wtulając w swoją poduszkę. - I tak nie liczyłem na to, że w ogóle dojadę do Kanady. Poza tym jedynie Chris chce mi pomóc wrócić do domu i nie wiem, co mnie spotka w przyszłości.

- Jeśli o mnie chodzi, to spróbuję zrobić, co tylko mogę. Możesz być o to spokojny.

- A co z Rayem? Przecież on nie chce wyjeżdżać z Ameryki.

- Jakoś go przekonam... Teraz śpij dobrze. Dzisiaj był w sumie ciężki dzień...

- Ech... ciekawe, co przyniesie jutro... - westchnął Luke, odwracając się plecami do towarzyszki. - Dobranoc, Maggie. Do zobaczenia rano. Śpij dobrze.

- Ty również - odpowiedziała cicho kobieta, nagle przytulając podróżnego.

Niespodziewanie Luke poczuł na plecach jej

nagie ciało. Postanowił jednak zignorować tę sytuację. Niezwłocznie zamknął oczy i po kilku chwilach zapadł w głęboki sen. Regenerował siły, szykując się na ewentualne niespodzianki następnego dnia...

Nad Hopetown nastał nowy dzień. Pomimo częściowego zachmurzenia nie było aż tak zimno. Tego dnia nie padał deszcz i wiał lekki wiatr.

Już od porannych godzin mieszkańcy rozpoczynali swoje obowiązki. Większość z nich przystąpiła do porządkowania miasta po wczorajszym festynie. W różnych punktach obywatele gromadzili śmieci, takie jak plastikowe kubki lub sztućce, szklane butelki, tekturowe talerze lub niedojedzone resztki. Ponadto część osób usuwała lampki z domów i drzew, a reszta przenosiła udźwiękowanie i krzesła z powrotem do ratusza.

Generowany przy porządkach hałas wybudził Luke'a ze snu. Kiedy podróżny oprzytomniał, obrócił się na drugi bok. Ku jego zdziwieniu obok nie zastał Maggie. Zamiast tego na klamce od drzwi wyjściowych wisiała kartka papieru.

Luke poleżał jeszcze chwilę pod kołdrą. W tym czasie wędrował wzrokiem po nieoświetlonym pokoju, gdyż kotary zasłaniały okna. Kiedy obrzydło mu wpatrywanie się w meble, lustro i radio, usiadł na

krawędzi łóżka. Następnie poszedł do łazienki, aby umyć ręce, głowę i przepłukać twarz.

Po porannej toalecie podszedł do drzwi wyjściowych i zdjął z klamki wiszącą kartkę. Niezwłocznie odczytał to, co było na niej napisane.

Dzisiaj śniadanie u Teresy. Jak wstaniesz, przyjdź na taras – Maggie

- Pewno już dawno mi wszystko wyjedli – powiedział do siebie i wyszedł na zewnątrz.

Po chwili doszedł do miejsca, gdzie go zaproszono. Dołączył do reszty swoich towarzyszy, siedzących przy dużym stole. Zaciekawiony spojrział na napoje i żywność, które przygotowano na śniadanie.

Luke miał możliwość nalać sobie kawy lub soku jabłkowego, a do jedzenia mógł wybrać jedynie tosty z dodatkiem sera i szynki. Po wypełnieniu kubka czarnym płynem i wzięciu kilku grzanek zwyczajnie rozpoczął swoje śniadanie.

- Cześć – krótko powitał wszystkich. – Jak wam minęła noc? Głowa nikogo tak jak mnie nie boli?

- Ja tam się czuję świetnie – odparł krótko Ray. – Pospałem sobie, umyłem się i nażarłem. No i nikt mi od samego rana dupy nie truł, więc jest spoko.

- Chyba każdy dość solidnie wypoczął – stwierdził Steve, opierając łokieć o stół, a dłoń o swoją twarz. –

Nie wiem jak wy, ale ja przez ostatnie dwa dni zdołałem już nieźle wypocząć.

- To dobrze - oznajmił krótko Luke, popijając kawę. - A gdzie Teresa?

- Przed chwilą poszła do Mitcha po dodatkowe zapasy dla gości - odpowiedziała Sarah. - To, co tu widzisz, to resztki z jej magazynu.

- Moim zdaniem to nie są odpadki, tylko przyzwoity posiłek - stwierdził Chris, wgrzyzając się w tost.

- Zawsze mogłeś poprosić o suszone mięso - dodała od siebie Sarah. - W każdym razie Teresa musiała teraz iść na zakupy.

- Przy okazji wspominała o tym, że ktoś był u niej krótko przed świtem i pytał o nas... - wtrącił Steve.

- Wiecie, kto to był i czego mógł od nas chcieć? - zapytał Luke wyraźnie zaniepokojony tą informacją i dojadł swój pierwszy tost.

- Do Donahue przyszedł jakiś strażnik - zaczął wyjaśniać Steve. - Mniejsza o niego... powiedział, że Eli zaprasza na rozmowę. Mówił, że miasto ma dla nas pewną propozycję.

- Ktoś ma jakiś pomysł, o co może chodzić? - dopytywał Luke.

- Nie, ale czuję, że chodzi o coś poważnego - odrzekła Sarah. - Teresa mówiła, że strażnik wyglądał na przejętego. Poza tym wpadł tylko na

moment i kiedy wszystko przekazał, od razu gdzieś pobiegł.

- Jeśli oferta będzie dobra, możemy na nią przystać - postanowił Luke, jedną ręką masując kark.

- Tylko żeby to było coś prostego i niezbyt niebezpiecznego.

- Jak tylko skończysz jeść, pójdziemy do ratusza i sprawdzimy, o co chodzi - dodała od siebie Maggie.

- Tylko bez pośpiechu. Mamy na to cały dzień.

- Elizabeth to może urocza kobieta, ale nie wypada, aby na nas zbyt długo czekała - oznajmił Steve, patrząc w kierunku biegających po najbliższej ulicy mieszkańców, którzy aktualnie nieśli nagłośnienie użyte podczas wczorajszej imprezy. - Zresztą od wizyty tego strażnika minęły już ponad trzy godziny i pani burmistrz może już się zacząć trochę niecierpliwić.

- Sądzę, że jednak nie narzeka teraz na nudę - zgadywała Sarah. - Dzisiaj miasto przechodzi wielkie porządki. Minie kilka dni, zanim Eli będzie mogła nieco odsapnąć...

- W każdym razie za chwilę do niej pójdziemy - oświadczył Luke, zabierając się za kolejnego tosta. - Jak chcecie, to poczekajcie na mnie przed bramą. Niedługo do was dołączę.

Po tych słowach wszyscy poza Rousselem poszli w zasugerowane przez niego miejsce. Tymczasem

podróżny jeszcze przez kilka minut w spokoju kończył śniadanie. Kiedy zakończył posiłek, wstał od stołu i niezwłocznie poszedł do swoich towarzyszy.

W momencie gdy grupa była w komplecie, wszyscy szybkim krokiem poszli do ratusza. Kiedy trafili na miejsce, ponownie mieli problem, aby wejść do środka. Aktualnie mnóstwo ludzi przenosiło elektroniczny sprzęt i meble, przy okazji tarasując przejście. Jednak podróżni nie dawali za wygraną i metodą prób i błędów w końcu weszli do budynku. Nie tracąc czasu, niezwłocznie zaczęli iść do Elizabeth Harmon.

W chwili kiedy grupa stanęła pod drzwiami gabinetu pani burmistrz, Luke kilkakrotnie zapukał i zaczął nasłuchiwać jakiegokolwiek odpowiedzi. Kiedy usłyszał słowa „proszę wejść”, pociągnął za klamkę i wprowadził wszystkich do środka. Jedyna zmiana, jaką zauważył, to była liczba miejsc do siedzenia. Koło biurka, za którym obecnie pracowała Elizabeth, stało sześć drewnianych krzeseł. Podróżni, nie tracąc czasu, zajęli miejsca i oczekiwali na to, co ma im do powiedzenia burmistrz Hopetown.

- Przybyliśmy tak szybko, jak mogliśmy. - Pierwszy jednak zaczął Steve. - Wczoraj poszliśmy dość późno spać, dlatego jesteśmy dopiero teraz.

- Nie ma potrzeby tłumaczenia - odparła Elizabeth. - Dobrze się bawiliście na festynie?

- Było rewelacyjnie - oświadczyła Maggie. - Nigdy wcześniej nie miałam do czynienia z takim świętem. Pomysł na gry i darmowy poczęstunek to był strzał w dziesiątkę.

- Do końca życia nie zapomnimy, jak nas to miasto ugościło - dodał od siebie Luke. - W każdym razie, pomijając samo święto, dostaliśmy informację, że ma dla nas pani jakąś propozycję?

- Otóż tak... Jest coś, co moglibyście zrobić, aby nam pomóc. Czyniąc długą historię krótką, dziś w nocy zaginęło kilku mieszkańców. Do tej pory nie natrafiliśmy na ich ślad, a rodziny tych, co zniknęli, są zrozpaczone. Robimy, co możemy, wysyłamy na patrole strażników, ale nawet to nie daje żadnych rezultatów. Wezwałam was, aby poprosić o pomoc w poszukiwaniu zaginionych.

- Nieciekawie to wygląda... - stwierdził Luke, drapiąc się po swoim zaroście. - A co do teraz jest wiadome?

- Sprawa dotyczy pięciu mieszkańców. Ostatnio ich widziano, jak w większej grupie spędzali czas nad rzeką. Gdzieś po północy osoby, które zaginęły, poszły w różne strony. Od tamtej pory nic o nich nie wiemy. Miasto robi, co może, aby ich odszukać. Wyznaczyłam kilkadziesiąt grup poszukiwawczych, ale teren poszukiwań jest zbyt wielki. Dlatego proszę każdego, kogo mogę, o wszelką możliwą pomoc.

Macie przewagę nad resztą, bo posiadacie samochody, a w takich momentach jest to na wagę złota.

- Ma pani rację - przytaknął pani burmistrz Luke.

- Jeśli o mnie chodzi, to się zgadzam, żeby poszukać tych ludzi. Reszta jednak musi sama za siebie zdecydować. Podjęliście już decyzję?

- Jeśli pomożecie, otrzymacie prezent od miasta - dodała Elizabeth. - Mamy bardzo dużo paliwa i z przyjemnością damy wam tyle, ile będziecie potrzebować.

- Skoro Luke chce pomóc, to i ja dołączę - szybko oznajmił Chris. - W końcu w życiu trzeba pomagać.

- Nas nawet nie musisz pytać o zdanie - dodała od siebie Sarah, patrząc na panią burmistrz. - Rodzina Williamsów zawsze była po stronie Hopetown. Zdania nie zmieniliśmy.

- Wyjdę na mende, jeśli odmówię, co? - spytał Ray przyjaciółki.

- Tak, i tylko ty nic nie zrobisz - odpowiedziała mu Maggie. - Ja także nie zawiodę. I nawet nie próbuj mnie przekonywać, abym zmieniła zdanie.

- Skoro tak stawiasz sprawę, to jadę z tobą. Nawet na to nie licz, że kiedyś zostawię cię samą.

- Wobec tego my wszyscy pomożemy odnaleźć tych ludzi - zadeklarował Luke. - Teraz chcielibyśmy wiedzieć, co mamy konkretnie robić?

- Z miasta jeszcze nie wyruszyły dwie grupy poszukiwawcze - odparła Elizabeth, patrząc przez okno swojego gabinetu. - Jedna jedzie na zachód i w tym przypadku będzie wam potrzebny samochód. Przeszukiwany będzie dość nieciekawym teren, bo poza granicą bezpiecznej strefy. Wiem, że nikt w tamte rejony sam nie chodzi, ale musimy je sprawdzić. Trzeba przeszukać ruiny miasteczka, które pamięta jeszcze czasy wielkiej wojny. Drugi zespół będzie przeszukiwać tereny nad jeziorem. Jakoś się dogadajcie, ale proszę, zróbcie to szybko. Za góra pół godziny musicie wyruszać.

- Ostatnie pytanie... Gdzie znajdziemy te grupy? - zapytał Luke.

- Przy moście wschodnim i zachodnim. Traficie do nich bez problemu.

- W takim razie w drogę - oznajmił Luke, podnosząc się z krzesła. - Zrobimy, co w naszej mocy, aby odnaleźć zaginionych.

Po krótkim pożegnaniu podróżni opuścili gabinet Elizabeth Harmon i szybkim krokiem poszli do wyjścia z ratusza. Tym razem bez trudu wyszli na ulicę. Kiedy grupa odeszła od budynku na kilkadziesiąt metrów, Luke postanowił na chwilę zatrzymać wszystkich na miejscu.

- Co prawda nie za bardzo chciałbym nas rozdzielać, ale jeśli mamy być skuteczni... Poza tym

dołączymy do większych grup, więc raczej nic nam nie grozi. To jak robimy?

- Ja i Sarah pojedziemy na zachód - odparł Steve.

- Co prawda jest tam bardziej niebezpiecznie niż nad jeziorem, ale przynajmniej wiemy, z czym możemy mieć do czynienia. To nawiedzony teren, ale powinniśmy sobie poradzić.

- Jednak potrzebujemy kogoś do pomocy - dodała od siebie Sarah. - Możemy zabrać jeszcze dwie osoby. Kto chce z nami jechać?

- W sumie to my możemy - odparła krótko Maggie. - Będzie nam różniej.

- Jeszcze bardziej utrudniaj mi życie... - wymamrotał Ray. - A chuj z tym. Jedziemy na zachód.

- Wobec tego ja i Chris pójdziemy nad jezioro - zadeklarował Luke. - Teraz jednak musimy wrócić po potrzebne rzeczy. Może to tylko zwykłe poszukiwania, ale nikt nie zabroni nam nosić broni.

Wszyscy niezwłocznie poszli do zajazdu Fraser. W momencie gdy dotarli na miejsce, każde z nich wzięło broń i amunicję. Dodatkowo Luke założył na siebie kamizelkę kuloodporną. Potem w pośpiechu wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Do tego czasu Steve zdążył usiąść za kierownicą muscle cara. Do samochodu weszli także jego siostra, Maggie i Ray. Kiedy wszyscy zajęli miejsca, zapięli pasy i czekali na Luke'a i Chrisa. Po ich przybyciu

wyjeżdżająca na zachód część grupy postanowiła, że po powrocie wszyscy spotkają się pod ratuszem. Kiedy to zostało ustalone, Steve ruszył w kierunku zachodniego mostu, powoli jadąc uliczkami Hopetown.

- Ech... w ten sposób zakończyliśmy przyjemną część pobytu w tym mieście - westchnął Ray.

- Już tak nie jęcz, tylko doceń, że nie ma nudy - odparła mu Maggie. - Jak będziesz za długo nic nie robił, to mięśnie ci całkiem zwiotczą. Trochę adrenaliny nigdy nie zaszkodzi.

- Tak samo jak pierdolonego promieniowania - cynicznie oznajmił Ray. - Przynajmniej w nocy nie będziemy potrzebowali latarek.

- Nie patrz na promieniowanie - powiedział Steve, próbując uspokoić mężczyznę. - Może i jest ono wyższe niż normalne, ale w naszym przypadku nie zaszkodzi. Akcja poszukiwawcza nie potrwa dłużej niż do wieczora. Do zmroku na pewno wrócimy do miasta.

- Lepiej, żebyś miał rację... Nie ma nic gorszego niż błądzenie po lesie w nocy i szukanie duchów. No i nie wiesz, z której strony ewentualnie zarobisz kulkę.

- A może lepiej będzie, jak poszukamy ludzi bez wymachiwania soplami? - oznajmiła Sarah. - Inaczej w ogóle nie ma sensu czeokolwiek robić.

Poza tym zamknijcie się na chwilę. Właśnie dojeżdżamy na miejsce.

Grupa przydzielona do poszukiwań na zachód od Hopetown dotarła do dużego mostu. Tylko przejazd przez zardzewiałą konstrukcję, na której postawiono posterunek i drewnianą bramę, mógł umożliwić przekroczenie rzeki Fraser.

Podróżni spostrzegli przed sobą sześć osób, które aktualnie stały przed wyjazdem z miasta. Wszyscy mieli na sobie pomarańczowe płaszcze przeciwdeszczowe.

- To chyba oni - przypuszczał Steve. - Lepiej zaparkujmy obok.

Po tych słowach mężczyzna zaczął zwalniać muscle cara, ostatecznie zatrzymując samochód tuż przy wypatrzonych przez siebie ludziach. Następnie Sarah uchyliła okno i zwróciła się do nieznanym:

- To wy jesteście tą grupą poszukiwawczą, która ma jechać na zachód?

Dwoje ludzi podeszło do samochodu, w którym siedzieli podróżni. Stanowili parę i byli w mniej więcej podobnym wieku. Oboje sprawiali wrażenie lekko przejętych sytuacją. Mieli tak samo niebieskie oczy, pociągłe twarze i średniej długości blond włosy. Mężczyzna zaczesywał swoją fryzurę do tyłu, a dziewczyna nosiła warkocz. Dodatkowo nieznanym miał niedbale ogoloną twarz, aczkolwiek to nie

przeszkadzało jego towarzyszcze, aby bez cienia wstydu trzymać go za rękę.

- Dobrze trafiliście - odparł mężczyzna. - Niedługo wyruszamy. Czekamy tylko na furgonetkę. Jeśli możecie, to wyjdźcie z samochodu. Muszę przekazać wszystkim instrukcje.

Podróżni wysłuchali prośby nieznajomego. Po tym jak Steve wyłączył silnik, wszyscy opuścili pojazd i podeszli do reszty osób, z którymi mieli brać udział w poszukiwaniach. Po powitaniu się z czwórką nieznajomych mężczyzna, który miał wszystkich wprowadzić w plan działania, podszedł bliżej, a wraz z nim kobieta, którą trzymał za rękę.

- Tak w ogóle na imię mi Sean - oznajmił, witając każdego. - A to jest moja dziewczyna Kellie.

- Fajnie, że Elizabeth was do nas przydzieliła - stwierdziła kobieta. - Czy jesteście tutaj przypadkiem?

- Z nami są jeszcze dwie osoby, ale uznaliśmy, że tutaj się doczepimy - odparła na to pytanie Maggie. - Wyszło na to, że będziecie musieli znosić nasze towarzystwo przez jakiś czas.

- To nie chodzi o to, kto kogo będzie tolerował, tylko o zaginionych mieszkańców Hopetown - oświadczył Steve.

- Masz w zupełności rację - przytaknął Williamsowi Sean. - Mamy przecież misję do

wykonania. Więc jeśli dacie mi chwilę, powiem co i jak...

- Ech... przecież wszyscy wiedzą... - westchnęła Kellie, ściskając mocniej dłoń swojego chłopaka.

- Dzisiaj pojedziemy ponad dwadzieścia kilometrów na zachód i rozpoczniemy poszukiwania w niebezpiecznej strefie - oświadczył Sean, ignorując słowa swojej partnerki. - Jednak nie powinniście się o nic martwić, gdyż pomimo podwyższonego promieniowania będziemy bezpieczni. Akcja poszukiwawcza potrwa do wieczora. Jeśli zobaczycie coś podejrzanego... nie wiem, jakiś ślad, zgłaszajcie to do mnie. Chcę także powiedzieć, że pomimo tego, co mieszkańcy mówią, tam, gdzie jedziemy, nie straszy. Wszelkie niepokojące dźwięki i obrazy to tylko halucynacje.

- To żeś mnie pocieszył... - oznajmił cynicznie Ray.

- Takie rzeczy również zgłaszajcie, bo nie możemy niczego lekceważyć. Poza tym czy wszyscy mają przy sobie broń?

Podróżni i reszta grupy poszukiwawczej wyciągnęli przeróżne rodzaje pistoletów i rewolwerów. Jedynie Maggie pokazała karabin snajperski, co wywołało u Kellie oznaki zazdrości. Kobieta podeszła bliżej, aby mieć lepszy wgląd na broń długolufową.

- Piękny sprzęt - powiedziała, nie kryjąc entuzjazmu. - Też chciałabym coś takiego mieć.

- Nie talent, nie kapitał, ale spryt mogą tobie załatwić to, co chcesz. Jakby pomyśleć, wszystko jest osiągalne. Wystarczy tylko chcieć i kombinować...

- Będę o tym pamiętać. Oho. Chyba nasz autobus jedzie.

- To jest furgonetka - poprawił swoją dziewczynę Sean.

- Przecież wiem, głuptasie. Tylko cię celowo wkurzam.

Do grupy podjechał czarny samochód. Kiedy auto stanęło tuż obok, z jego wnętrza wyszedł starszy mężczyzna. Bez słowa podszedł do Seana, po czym przekazał mu kluczyki do furgonetki. Po tej czynności nieznajomy zaczął truchtem iść w stronę centrum Hopetown.

- Na nas już czas - oznajmił samozwańczy lider grupy poszukiwawczej, puszczając rękę Kellie, i odszedł do furgonetki. - Włazić do środka. Wy jedźcie za nami i uważajcie. Droga jest w kiepskim stanie.

Po tych słowach podróżni wrócili do muscle cara. Kiedy furgon prowadzony przez Seana ruszył, Steve uruchomił swoje auto i dostosował prędkość do poprzedzającego ich pojazdu.

Oba samochody bez problemu minęły otwartą

bramę miasta i powoli przejechały na drugą stronę mostu. Następnie kierowcy skręcili w lewo, zjeżdżając na chwilę z głównej drogi. Po pokonaniu niewielkiej polany grupa poszukiwawcza ponownie wjechała na asfalt, od tej pory kierując się wyłącznie na zachód.

Podczas gdy Ray, Maggie, Steve i Sarah zmierzali do miejsca, gdzie mieli rozpocząć poszukiwania, Luke i Chris dotarli do mostu na wschodzie miasta. Widząc drewnianą konstrukcję wznoszącą się nad doliną i obok opuszczone i zniszczone rogatki miasta, nie wyglądali na zadowolonych. Dostrzegli jedynie metalową bramę, która odgradzała w tym miejscu Hopetown od leśnej głuszy. Po drugiej stronie rozpościerał się tylko gęsty iglasty las.

Kiedy podróżni podeszli bliżej, ujrzeli w zrujnowanym budynku straży czterech mężczyzn. Jednym z nich był starszy człowiek, którego Luke poznał wcześniej w barze. Grupa, która miała przeszukać tereny przy jeziorze Kawkawa, poza spożywaniem alkoholu grała w brydża.

- Ech... coś mi mówi, że to będzie fantastyczna wyprawa... - westchnął i stwierdził cynicznie Luke, poklepując Chrisa po plecach.

- Jednego z nich skądś kojarzę... Chyba widziałem go u Cassie...

- Jakoś będziemy musieli to przeboleć... - z niesmakiem oświadczył Luke. - Najlepiej, jak po prostu się przywitamy.

- Kogo moje oczy widzą? - zapytał lekko podpity mężczyzna, który rozpoznał Luke'a. - Czego tu chcecie? Czemu jeszcze nie spieprzyliście z Hopetown?

- Co prawda to nie twój interes, ale pomagamy Elizabeth. Przyszliśmy, aby dołączyć do poszukiwań.

- Nie dość, że całe życie pracuję ciężko, to jeszcze nie okazują mi szacunku...

- Jak cię w ogóle zwą? - zapytał mężczyznę Chris.

- Nieważne jak. Mówcie mi po prostu na ty. I nawet nie myślcie, że was polubię.

- Ech... miejmy to już za sobą - westchnął Luke. - Kiedy zaczniemy szukać zaginionych?

- Jak tylko sko... kuuurde, znów przegrałem - odrzekł z rozgoryczeniem mężczyzna. - I tak tydzień wypłaty poszedł wpi...

- He, he, sam chciałeś, to masz - zarechotał człowiek, który zgarnął całą wygraną.

- Dobra... chyba pora szukać tych, co przepadli w nocy - oznajmił przegrany. - To i tak nie ma większego sensu, ale cóż robić...

- Co masz na myśli? - spytał Chris.

- I tak wszyscy wiemy, jak to wyglądało. Ci ludzie są już martwi.

- Jest coś takiego jak konkrety... - oznajmił Chris i podrapał się po głowie za pomocą lufy swojej dwururki. - Może spróbujesz mniej bełkotać, a więcej tłumaczyć? Ciebie też on tak wkurwia?

- He, he, żebyś wiedział - zaśmiał się Luke. - Ale żarty na bok. Słuchaj, co pijany mędrzec ma do powiedzenia.

- Tylko nie nachlany - poważnie powiedział starszy człowiek. - I nie mądrz się... a, nieważne. Wciąż mogę w siebie wlać jeszcze niejedną butelkę.

- Ech... do rzeczy - westchnął Chris.

- Przecież każdy wie, że coś tych straceńców zabrało z tego świata. Ludzie poszli samotnie w mrok i ślad po nich zaginął. Takie rzeczy już miały miejsce w tych rejonach. To nie jest wyjątek.

- Jednak przeszukać terenów wokół jeziora nie zaszkodzi... - odparł Chris. - Więc rusz dupę, otwórz bramę i przeprowadź nas przez most.

- Aż tak chcecie do lasu... - powiedział lekko podpity mężczyzna. - Dobra, panowie! Koniec fajrantu! Dzisiaj impreza nad wodą! Tylko nie pływać mi w jeziorze, bo chcę jeszcze mieć z kim dzielić swe ostatnie dni.

- Chociaż dba o bezpieczeństwo - szepnął Luke do Chrisa.

- Gościu sam o sobie nie potrafi zadbać, a zależy mu na innych... ale rację to on tutaj jednak ma.

- Te, synek! - pogroził palcem starszy człowiek. -
Lepiej uważaj sobie.

- Prowadź nad to jezioro - oznajmił cynicznie
Chris. - Tylko niech cię wiatr nie zrzuci w dolinę...

Mężczyzna, ignorując uwagi Reese'a, wyjął z kieszeni pęk kluczy i zaczął szukać tego, którym mógł otworzyć bramę. Ponad minutę zajęła mu realizacja tego celu. Następnie człowiek próbował otworzyć kłódkę zamykającą bramę. Ta czynność trwała kolejne kilkadziesiąt sekund. Ostatecznie przejście zostało jednak otwarte i wszyscy mogli w końcu wejść na most. Tym samym rozpoczęli poszukiwania nad jeziorem Kawkawa.

Kiedy Luke i Chris zmierzali do celu, grupa, do której dołączyli Ray, Maggie, Steve i Sarah, była w drodze do napromieniowanej strefy. Pojazdy prowadzone przez Seana i Steve'a jechały po pozostałościach asfaltowej drogi. Prowadząca na zachód trasa była częściowo nieprzejezdna przez nagromadzone na niej skały, które niegdyś odpadły ze stromych zboczy jednej z gór. Także gdzieś wyrastały z drogi wysokie na kilkanaście metrów sosny. Natura niemal całkowicie odebrała to miejsce człowiekowi.

- Jak tak dalej pójdzie, to mogę się pożegnać z zawieszeniem - stwierdził rozgoryczony trasą

Steve.

- Niedługo powinniśmy dojechać na miejsce - oznajmiła Maggie, patrząc na strome zbocza porośnięte iglastymi drzewami. - Tylko za cholere nie zwalnij i śledź furgonetkę.

- Nie musisz mi tego tłumaczyć. Jakby nie było, nie mam zamiaru wpakować nas w kłopoty. W końcu samochód jest nam niezbędny.

- Zawsze pozostaje hummer Luke'a - stwierdził Ray. - No i wciąż mamy zajebiste motocykle.

- Ten samochód to jedyna moja i Sarah własność!
- krzyknął Steve. - Ten wóz jest przynajmniej dla mnie bardzo cenny.

- Chyba przydałaby ci się jakaś kobieta... - wtrąciła Maggie.

- Przecież mam siostrę. Nie potrzebuję żony. Seks zawsze można sobie załatwić...

- Tak gadasz, jakby wszystko było za darmo - stwierdził Ray, szczerząc zęby w uśmiechu. - Mniejsza. Może lepiej nam powiesz, jak jest z tym promieniowaniem? Gryzie mnie to, czy faktycznie nie musimy tym sobie dupy zawracać.

- Nie ma powodów do obaw. Żeby cokolwiek odczuć, musiałbyś tam obozować bardzo długo. My tam tylko wpadamy z wizytą na kilka godzin. Większe zagrożenie stanowią dla nas dzikie zwierzęta, ale i w tym przypadku powinniśmy mieć szczęście.

Najgroźniejsze drapieżniki powinny właśnie zapadać w zimowy sen i nie będą chciały polować na ludzi... tak myślę...

- To żeś teraz zabłysnął... - cynicznie stwierdził Ray.

- Sorki, że wam przerwę, ale całkiem tu ładnie - wtrąciła Sarah, wskazując na zachód.

Obecnie samochody poruszały się po trawie. Grupa wjechała na wielką prerię. W okolicy nie rosły drzewa. To miejsce całkowicie przejęła natura. Jedynie stojące w oddali betonowe konstrukcje świadczyły o tym, że kiedyś mieszkał tu człowiek. Ten widok był dla wszystkich zarówno odprężający, jak i niepokojący.

Po kilku minutach grupa dojechała do pozostałości ruin z czasów wielkiej wojny. Gdzieś tam można było dostrzec fragmenty miejskich dróg, przy których stało kilka pozostałości po domach, gdzie przed ponad trzystu laty mieszkali ludzie. To miejsce stanowiło także swoiste cmentarzysko niemal w całości skorodowanych i zniszczonych przez czas i warunki atmosferyczne pojazdów.

Prowadzący furgonetkę Sean nieustannie jechał prosto. Ostatecznie mężczyzna zatrzymał samochód na niewielkim wzniesieniu. Steve odebrał to jako sygnał, aby zatrzymać muscle cara.

Kiedy Williams zaparkował wóz obok furgonu, zaciągnął hamulec ręczny i wyłączył silnik. Potem wszyscy opuścili pojazd, odbezpieczyli broń i skierowali się w stronę reszty towarzyszącej im grupy. Po chwili stanęli naprzeciwko Seana i Kellie, po czym czekali na dalsze instrukcje.

- To właśnie tutaj rozpoczniemy poszukiwania - oznajmił Sean, zamykając drzwi od furgonetki. - Aktualnie znajdujemy się na pozostałościach po miejskim stadionie. Wszystko już dawno temu porosło trawą i ledwo można zobaczyć chociażby fragmenty po naszych przodkach. Mówią, że to miejsce jest przeklęte, ale bez obaw. Jesteśmy rozumnymi ludźmi i potrafimy odróżnić fikcję od rzeczywistości.

- Opuść sobie te bajki - poprosiła Kellie, całując swojego partnera w policzek. - Widzicie, co jest na zachodzie?

W odległości kilkuset metrów od grupy wszyscy dostrzegli kilka ulic, przy których stało kilkadziesiąt domków jednorodzinnych. Obiekty, w przeciwieństwie do betonowych pozostałości w okolicy, były zachowane w dość dobrym stanie.

- Nie potrafię wam tego wyjaśnić, ale macie rację - kontynuowała kobieta. - To nie jest nic normalnego. Albo ktoś dba o to miejsce, albo wszyscy zwariowaliśmy.

- Wokół panuje przenikliwa cisza - dodała od

siebie Maggie. - Czemu nie słyhać tu żadnych zwierząt?

- Prawdopodobnie przez promieniowanie - odparł Sean. - Również drzewa nie chcą tu rosnąć. Nikt nie potrafi wyjaśnić dlaczego. Tylko trawa i bluszcz polubiły to miejsce. Poza tym im dalej w strefę skażenia, tym więcej bagien. Więc niech nikt nie waży się tam iść, ponieważ to może być wasza ostatnia wycieczka. Bądźcie czujni i...

- Ciii! - przerwała mężczyźnie Maggie. - Chyba coś jest przed nami.

W tym momencie wszyscy zaczęli nerwowo spoglądać na teren, który niegdyś stanowił boisko stadionu. W milczeniu nasłuchiwali wszelakich dźwięków, które dobywały się spośród wysokich na niemal metr traw. Jednak nikt nie był w stanie czegokolwiek zlokalizować.

- Czyżby ten wyjazd zaczynał już na ciebie działać? - spytała z niepokojem Kellie.

- To na pewno nie jest efekt tego miejsca - odparła Maggie. - Naprawdę coś tam było.

- Cokolwiek to jest, musimy być ostrożni - oznajmił Sean. - Naszym następnym celem jest tych kilkadziesiąt budynków. Mamy je wszystkie dokładnie przeszukać. Kiedy to zrobimy, będziemy mogli wrócić do Hopetown. Jakież pytania?

- Ja mam jedno - odparł Ray. - Jaki dystans mamy

między sobą zachować?

- Niech każdy sprawdza po jednym domu - oznajmiła Kellie. - Będziemy w kontakcie głosowym. Jakby ktoś cokolwiek znalazł, niech krzyczy. Wtedy reszta ma ruszyć w jedno miejsce.

- Ech... - westchnął Ray. - Chyba nigdy wcześniej nie braliśmy udziału w poszukiwaniach? Gdzie są krótkofalówki? Gdzie dyskrecja?

- Robimy tyle, ile możemy - odrzekł Sean. - I miejmy to już za sobą. Samochody zostają tutaj.

- Jak tam chcesz... - skwitował Ray. - Niech będzie po twojemu...

W momencie gdy grupa na prerii kierowała się w stronę domków, Luke i Chris wraz z czwórką mężczyzn zmierzali leśną ścieżką w stronę jeziora Kawkawa. Szutrowa droga, którą szli, była utrzymana w dobrym stanie. Przepuszczalnie ten szlak komunikacyjny należał do często uczęszczanych. Również świadczył o tym fakt, że ilość drzew, krzaków i chaszczki w tym miejscu systematycznie przycinano.

- Daleko jeszcze? - w pewnym momencie spytał Chris lekko podbitego mężczyznę.

- Synek, bez takich mi tu - odparł starszy człowiek. - Zaraz będziemy na miejscu.

- Kiedy trzy dni temu urządziliśmy postój pod

miastem, widziałem to jezioro - oznajmił Luke Chrisowi. - Jest całkiem spore i ma czystą wodę. To nie tak daleko.

- Czyli i tak będzie trochę łożenia... Na szczęście całe robactwo praktycznie wymarło dzięki nocnym przymrozkom.

- Z każdym dniem będzie coraz gorzej - oświadczył starszy mężczyzna. - U nas zimy są srogie i długie, dlatego radzę wam spieprzać tam, skąd przybyliście.

- Powinno cię ucieszyć, że i tak niedługo zamierzaliśmy stąd wyjeżdżać - odrzekł Luke.

- W końcu... z wami jest jak ze stonką. Jak już się pojawicie, to ciężko was wytępić. Ale odrobina pracy i cierpliwości jednak popłaca...

- Co to takiego ta stonka? - dopytywał się Chris.

- Toż to robactwo, które do nas przywlekliście. Czarno-żółte latające gówno, które wyżerało nam ziemniaki. Wasza w tym wina, że straciliśmy w przeszłości sporo zapasów. Jak wam nie wyszło nas podbić, to próbowaliście zagłodzić. Jednak jesteśmy silni i poradziliśmy sobie z tymi szkodnikami.

- Pieprzysz głupoty - stwierdził Chris i machnął ręką w kierunku pijaka. - W życiu nie słyszałem, żeby ktokolwiek w ten sposób próbował podbijać miasta. Poza tym macie jeszcze zwierzęta, ryby i owoce leśne.

- Myśl sobie, co chcesz, ja swoje wiem. Macie fart, że nie każemy wam oddawać tych ziemniaków, co nam to amerykańskie robactwo wyżarło.

- Pomijając temat stonki, pamiętam, jak kilka dni temu widziałem przy jeziorze kilka drewnianych domów - wtrącił Luke. - Takich pomalowanych na biało z omszonymi dachami. Nie wiesz przypadkiem, co tam jest?

- A co cię to... Kiedyś tam ludzie mieszkali. Wszystko było fajnie do momentu, aż nie zaczęli znikać. A ci, co żyli nad jeziorem, w końcu uciekli z Hopetown.

- Może warto przeszukać te budynki? - zasugerował Luke. - Jeśli jest szansa, że zaginieni są w okolicy, najbardziej prawdopodobne, że siedzą właśnie tam.

- To może ja z kolegami pójde pochodzić po tych chatach, a wy zrobicie sobie spacer dookoła jeziora? - odpowiedział pytaniem na pytanie starszy człowiek. - Tak przynajmniej nie będziemy na siebie wpadać i przyjemniej zleci nam czas.

- To chyba najlepsze rozwiązanie - odparł Chris. - Tylko bądźcie w stanie później do nas wrócić. Jak wy zaginiecie, nie będziemy nawet próbować was szukać.

- Spokojna twoja rozczochrana. Znamy te lasy jak mało kto. W końcu jestem drwalem i wiem, co mówię.

- Tylko żebyś się zbyt nie zalał - zażartował Luke. - A teraz, jeśli pozwolisz, rozpocznijmy poszukiwania.

Dalszą część trasy mężczyźni pokonali w milczeniu. Po chwili dotarli do końca leśnej drogi. Z tego miejsca zobaczyli wysoką, obrośniętą iglastym lasem górę, u której podnóża było wielkie jezioro. Lekki wiatr tworzył na powierzchni zbiornika fale, które uderzały o porośnięte szuwarami wybrzeże. Gdzieniedzie w drzewa stukały dzięcioły i czasem dało się słyszeć śpiew przeróżnych ptaków. Cała okolica tętniła życiem, które zamieszkiwało te piękne tereny.

Podróżni zrobili to, co starszy mężczyzna zaplanował. On, wraz z trójką swoich kompanów, poszedł w głąb lasu, w stronę opuszczonych dwupiętrowych budynków. W momencie gdy lekko podpici mężczyźni zniknęli podróżnym z oczu, Luke i Chris rozpoczęli poszukiwania. Trzymali się blisko wybrzeża jeziora Kawkawa i szli wolnym krokiem, bacznie obserwując okolicę.

Kiedy poszukiwania w okolicach Hopetown nabierały tempa, grupa poszukiwawcza, do której należeli Ray, Maggie i rodzeństwo Williamsów, dotarła do kilkudziesięciu stojących na wielkiej prerii domków jednorodzinnych. Przeważnie były to

parterowe i piętrowe budynki. Skonstruowane z drewna lub cegieł obiekty nie wyglądały na kilkusetletnie. Wciąż we framugach tkwiły drzwi, a okna były w większości niepotłuczone. Nawet farba, którą pomalowano ściany, tylko po części z nich odpadła.

Nikt z obecnych w strefie objętej promieniowaniem nie znał przyczyny, dlaczego ta okolica tak wyglądała. Dodatkowym niepokojącym sygnałem dla wszystkich była nieobecność jakichkolwiek zwierząt w okolicy. Wokół panowała przenikliwa cisza. Jedynie lekki wiatr od czasu do czasu muskał trawę, powodując szelest.

- Jakoś nie sędzę, że zwierzęta mogło odstraszyć promieniowanie - powiedziała Maggie do Seana. - One raczej nie boją się tego, czego nie są w stanie zobaczyć. Muszą mieć inne powody...

- Co przez to rozumiesz?

- Sędzę, że w okolicy żyje coś, co odstrasza wszystko inne. Inaczej chodzilibyśmy po szkieletach, a wokół leżałoby pełno truchła. Powinniśmy być bardziej ostrożni.

- Słuszna uwaga - powiedział Steve, odbezpieczając pistolet. - A może masz pojęcie, dlaczego te domy nie są jedną wielką stertą gruzu? Sędzisz, że jeszcze niedawno mieszkali tu ludzie?

- To niemożliwe - krótko odparła Kellie. - Co

kilka lat Hopetown organizuje krótkie wyprawy w te rejony. Nigdy nie spotkano tu ludzi.

- A może jednak ktoś postanowił tu zamieszkać? - spytała Maggie. - Steve dobrze kombinuje. Prawdopodobnie jakaś większa grupa osiadła tutaj i wybudowała te domy. Z czasem ci ludzie zaczęli chorować i nabawiać się choroby popromiennej. Potem albo uciekli, albo wciąż tutaj są...

- Nie chrzań, że ktoś mógłby tutaj przetrwać - powiedział Ray, wyciągając rewolwer.

- Chodzi mi o to, że mogą tu jednak leżeć ich kości - sprostowała Maggie. - Jeśli tak właśnie było, to na pewno oni zmarli przez promieniowanie. To wszystko...

- Tak w ogóle to kiedy ostatnio robiliście w tym miejscu pomiary? - spytała Sarah Kellie.

- Jakoś ze trzy lata temu.

- I jakie otrzymaliście wyniki? - dopytywał Steve.

- Bez zmian. Nie pamiętam cyfr, ale specjaliści mówili, że można tu przeżyć nawet kilka miesięcy bez ryzyka, że się nabawi choroby popromiennej.

- Coś jeszcze mnie intryguje... - powiedział Steve, drapiąc się pistoletem po głowie. - Przecież promieniowanie nie ma wpływu na to, że u ludzi występują omamy. Skąd więc relacje o duchach, krzykach i zmianach temperatur?

- To pewno krzyżówka wyobraźni i zmęczenia -

odparł Sean. – Nie wiem jak was, ale mnie ta okolica sama w sobie przyprawia o dreszcze. Chyba po prostu idzie tutaj zwariować...

– Dlatego powinniśmy szybko zacząć poszukiwania – powiedział agresywnie jeden z członków grupy poszukiwawczej. – Przestańcie w końcu pieprzyć głupoty i do roboty.

– To jak działamy? – spytał Ray, przy okazji wyjmując paczkę papierosów, a następnie wyciągnął z niej skręta i odpalił go.

– Uwaga! – krzyknął donośnie Sean. – Teraz się rozdzielamy! Niech każdy przeszuka tyle domów, ile może. Pamiętajcie o bezpieczeństwie. Jeśli kogoś znajdziecie lub na coś wpadniecie, drzyjcie mordy! Odmaszerować!

– Ani myślę cię samą tutaj zostawić... – wymamrotał Ray do przyjaciółki w reakcji na te słowa.

Nikt poza Maggie nie usłyszał jego narzekania. Kobieta pobłaźliwie spojrzała na kompana, odbezpieczyła karabin i od razu przystąpiła do sprawdzania okolicy. Podobnie zrobiła reszta. Tylko Ray jeszcze przez moment stał w miejscu, obserwując ruiny domów, odległe bagna i wielką prerię...

Akcja poszukiwawcza trwała już od kilku godzin. Do wieczora żadna z grup nie odnalazła nawet śladu

po pięciu zaginionych. Zachodzące słońce nieubłaganie zwiastowało koniec poszukiwań. Dodatkowo sytuację pogarszał zyskujący na sile wiatr i pochmurne niebo.

Przez kilka godzin Luke i Chris przeczesywali okoliczne lasy i teren nabrzeża. Przeszukali także kilka grot najbliższej góry. W końcu jednak zrezygnowani powrócili do leśnej drogi, gdzie aktualnie przebywała reszta grupy poszukiwawczej.

Czterej mieszkańcy Hopetown siedzieli na powalonym pniu drzew, pili whisky i grali w pokera. Prawie każdy z nich był w zaawansowanym stadium upojenia alkoholowego. Jedynie starszy mężczyzna, który nie przepadał za przyjezdnymi, jeszcze jako tako kontaktował i był w miarę świadomy otaczającej go rzeczywistości.

- I jak tam poszukiwania? - spytał Luke, siadając obok grających w karty mężczyzn.

- Wciąż trochę brakuje mi szczęścia do uzyskania czwórki - odparł starszy człowiek. - Przynajmniej trochę zdołałem ograć chłopaków i wyjść na zero.

- Nie pytam o grę, tylko o ludzi... Chodziliście po domach, znaleźliście jakieś ślady?

- Aaa, tak... znaczy nie. Jest dokładnie tak, jak mówiłem. Ślad po nich zaginął. Ile jeszcze muszę łązić bez celu po lesie, aby wszyscy to zrozumieli?

- Tyle, ile zażąda Elizabeth - oświadczył Chris,

przy okazji podchodząc bliżej rozmówców. – Dopóki ona nie zrezygnuje, będziemy dalej szukać.

– Człowieku... od twojego gadania zachciało mi się srać – bez skrępowania oznajmił starszy człowiek.

– Chłopaki, poczekajcie chwilę. Zaraz rozbiję bank.

Mężczyzna położył trzymane przez siebie karty na pniu i szybkim krokiem poszedł w pobliskie krzaki. W tym czasie reszta jego znajomych wyciągnęła z kieszeni spodni suszone mięso i wznowiła picie alkoholu. Dodatkowo zaproponowali Luke'owi i Chrisowi, aby do nich dołączyli, jednak podróżni odmówili.

Nie minęła minuta, a starszy człowiek wrócił do reszty grupy poszukiwawczej. Ku zdziwieniu wszystkich miał bladą twarz. Z jego pomarszczonego czoła spływały także krople potu.

– Zesrać to się zesrałem, ale ze strachu – powiedział, wyciągając z kieszeni stary zardzewiały nóż. – Koledzy... kończymy zabawę i wracamy do miasta.

– Co z tobą? – spytał Luke, przy okazji przeładowując pistolet. – Co zobaczyłeś?

– Jak jesteś taki chojrak, to spójrz w las.

– Zaraz ktoś zarobi kulkę w łeb – oznajmił Chris i odbezpieczył obrzyna. – A jeśli masz zwidy, to ciebie ustrzelę.

– Spokojnie, jest nas sześciu – powiedział Luke,

podchodząc bliżej lasu. - Zaraz zobaczymy, czy jest się czego...

- Co czego? - zapytał nerwowo Chris.

- O ja pierdolę... - przeklął Luke i wskazał pistoletem pobliskie chaszczce. - Co to, kurwa, jest?!

Kilkadziesiąt metrów dalej stał średniego wzrostu humanoidalny stwór. Proporcje ciała miał identyczne jak u człowieka, jednak cechowała go ciemnoszara skóra i nienaturalnie chude ręce. Dodatkową różnicą między nim a istotą ludzką był okrągły otwór gębowy, z którego wystawały długie i ostre jak brzytwa zęby.

Chris niezwłocznie oddał dwa strzały w stronę potwora, jednak nie zdołał go trafić. W odpowiedzi monstrum wydobyło z siebie nienaturalny dźwięk porównywany do wycia i zaczęło biec w przeciwnym do mężczyzn kierunku. Grupa, widząc uciekającego potwora, wzmożyła czujność.

- C-co to, do cholery, jest? - spytał nerwowo Chris.

- To, synek... jest coś, przed czym cały czas ostrzegałem, ale nikt mi nie chciał, do cholery, wierzyć - odparł starszy mężczyzna. - Przecież właśnie przed tym wszystkim ostrzegałem. Nawet twojego kolegę.

- To my łaziliśmy po lesie, mogąc trafić na to coś?! - nerwowo zapytał Luke. - Mniejsza, nie odpowiadaj.

- Przecież to oczywiste - odparł nienaturalnie zadowolony mężczyzna. - Dobra, wracamy do miasta. Nic tu po nas...

- Oby tylko u naszych było wszystko w porządku... - zaczął myśleć na głos Chris.

- Mam taką nadzieję... - oznajmił mocno zaniepokojony Luke. - Teraz pozostaje nam jedynie czekać, aż wróca.

- Co powiemy Elizabeth?

- Po prostu opiszemy, co widzieliśmy. Co ona później zrobi, mnie nie interesuje. Jutro rano się pakujemy i wyjeżdżamy w dalszą drogę.

- Ale...

- Żadnego ale! Lepiej, żebyśmy byli w trasie, niż narażali się na tutejsze niebezpieczeństwa. Teraz czas wracać... poszukiwania dobiegły końca...

Podczas gdy Luke, Chris i czterech towarzyszących im mężczyzn w pośpiechu wracało do Hopetown, grupa, która wyjechała na zachód, wciąż przeszukiwała opuszczone, stojące na wielkiej prerii domy. Akcja ratunkowa w strefie zwiększonego promieniowania również nie przynosiła żadnych rezultatów. Z każdą minutą nastroje w zespole opadały, a nadzieja na odnalezienie zaginionych zanikała.

Jednak w pewnej chwili wydarzyło się coś

nieoczekiwanego. W momencie gdy Maggie zamierzała wrócić do muskle cara, z jednego z budynków zaczęły dochodzić niepokojące ją dźwięki. Kobieta usłyszała słabe stukanie. Kiedy spojrzała w stronę, skąd dochodził hałas, zobaczyła piętrowy dom. Budynek miał płaski dach, drewniane, pomalowane na biało ściany, a jego drzwi i okna wciąż wyglądały na nieuszkodzone. Ponadto do środka można było także wejść przez garaż.

Kobieta postanowiła działać. Odbezpieczyła karabin snajperski i wolnym krokiem podeszła do jednego z okien. W momencie gdy przez nie zajrzała, zobaczyła korytarz, schody na wyższe piętro i kilka par drzwi. Zaniepokoił ją fakt, że na ścianach dostrzegła także ślady krwi.

- W końcu jakieś postępy... - powiedziała do siebie, podchodząc do drzwi, i pociągnęła za klamkę.

Maggie weszła do środka. Zapobiegawczo i kilkakrotnie uderzyła lufą broni o ścianę. W odpowiedzi usłyszała ciche stukanie z pomieszczenia na pierwszym piętrze.

- Raaay! - krzyknęła. - Coś znalazłam! Chodź tu szybko!

Następnie zaczęła powoli pokonywać kolejne stopnie schodów, zmierzając w kierunku tajemniczych dźwięków.

W momencie gdy Maggie weszła na piętro,

ujrzała dwoje drzwi, w tym jedno otwarte na oścież. Dostępne pomieszczenie okazało się łazienką. Na toalecie, kabynie prysznicowej, umywalce i kilku szafkach widać było ślady krwi. Szeroki czerwony ślad prowadził do kolejnych, aktualnie zamkniętych drzwi.

W chwili gdy kobieta szarpnęła klamką, z drugiej strony dobiegło głośnie sapanie. Słyszając to, postanowiła poczekać na kompana.

Kiedy Ray przybiegł na miejsce, Paylor zauważyła, że przyprowadził ze sobą Kellie. Każdy odbezpieczył broń, stanął naprzeciwko drzwi, zza których dobiegały odgłosy jakiejś istoty.

- Dobrze, że nie działałaś na własną rękę - oznajmił przyjaciel Maggie. - Co to, do cholery, po drugiej stronie jest?

- Nie mam bladego pojęcia, ale to na pewno nic dobrego. Będiesz tak miły i wyważysz, co trzeba?

- Może zawołamy resztę? - spytała Kellie.

- Lepiej działać szybko - w odpowiedzi odparła Maggie. - Ray... czy mógłbyś?

Mężczyzna z całej siły uderzył barkiem w drzwi. Po kilku próbach nic nie wskórał, aczkolwiek z drugiej strony zaczynało się dziać coś niepokojącego. Z pomieszczenia, do którego grupa próbowała wejść, zaczęły dobiegać agonálne krzyki. W tym momencie prawdopodobnie konał mężczyzna.

To strasznie przerażyło kobiety, które odeszły kilka kroków, przy okazji dając Rayowi więcej miejsca.

- A co ja się będę z tym pierdolił... - powiedział mężczyzna, strzelając z rewolweru w zamek.

To działanie nie dało oczekiwanych rezultatów. Frustracja ogarniała Raya coraz bardziej. W efekcie ponownie próbował wyważyć drzwi. W trakcie tych karkołomnych starań do budynku wbiegł Sean.

- Co wy wyprawiacie?! - zapytał zdenerwowany.
- Jasna cholera, tam jest nasz człowiek!

- I co tak stoisz?! - krzyknęła na partnera Kellie.
- Pomóż mu!

Mężczyzna podszedł do Raya i obaj próbowali wyważyć drzwi. Po kilkunastu sekundach w końcu wyłamali zamek i weszli do środka. To, co zobaczyli, przerosło ich najśmielsze obawy.

Na drewnianej podłodze w kałuży krwi leżał człowiek ubrany w płaszcz przeciwdeszczowy. To była osoba należąca do grupy poszukiwawczej. Obok niego stały dwie niewielkie istoty. Osobniki o ciemnoszarym kolorze skóry miały ostre jak brzytwa zęby. Jedno z nich aktualnie jadło lewą część przedramienia swojej ofiary. Drugie wyrywało płat skóry z krtani nieszczęśliwca. W tym momencie krzyki mężczyzny ustały, a on zaczął się dławić własną krwią.

Poza konającym w pomieszczeniu leżało także

kilka ludzkich szkieletów. Biorąc pod uwagę ich stan, można było przypuszczać, że całkiem niedawno ludzie padli ofiarą humanoidalnych małych istot. Gdzieś nadal widać było fragmenty mięsa i organów wewnętrznych.

Wszyscy w przerażeniu patrzyli na ten widok, a potwory momentalnie przerwały posiłek, po czym rozpoczęły atak na Raya i Seana.

Mężczyźni odruchowo zatrzasnęli drzwi, w ostatniej chwili odgradzając się od atakujących istot. Stwory nie były w stanie same sobie poradzić z przeszkodą i po kilku sekundach odpuściły atak. Następnie wydobyły z siebie nienaturalny ryk i zrobiły coś, co zaskoczyło całą grupę.

Potwory wybiły szybę i prawdopodobnie wyskoczyły na zewnątrz. W tym momencie nikt nie mógł wiedzieć, gdzie one teraz mogły być.

- Biegnijcie do samochodów! - krzyknął Sean. - Strzelajcie w powietrze i patrzcie pod nogi! Reszta zrozumie, o co chodzi!

- Nic tu, kurwa, po nas - przeklął Ray, podbiegając do Maggie.

- Co ty...? - kobieta próbowała zapytać swojego kompana, jednak zanim dokończyła zdanie, jej przyjaciel przerzucił ją przez ramię i szybko zaczął opuszczać budynek.

Kiedy Ray, Sean i Kellie wyszli na ulicę, strzelali

w powietrze i szybko uciekali do samochodów. W mniej niż dwie minuty dotarli z powrotem do pojazdów.

Niemal wszyscy z grupy już na nich czekali. Jedyne człowiek, którego dopadły potwory, najprawdopodobniej już skonał, wykrwawiając się na śmierć lub dusząc się własną krwią.

- Co się tam, do cholery, stało?! - nerwowo zapytał Steve.

- Nie gadaj, tylko odpalaj furę i spierdalamy! - odparł Ray, otwierając drzwi muscled cara, i wsadził Maggie do środka.

Następnie sam usiadł obok niej i trzasnął drzwiami. Potem uchylił okno, wyjął papierosa i go zapalił.

Steve i Sarah nie kwestionowali słów mężczyzny i sami weszli do samochodu. Kiedy zapięli pasy, Williams uruchomił silnik i nie czekając na grupę wchodzącą do furgonetki, zaczął wracać do Hopetown.

- Ponownie zapytam, co to było? - powtórzył, coraz bardziej rozpędzając auto przez prerię. - I, o ile rozumiem, straciliśmy jednego z naszych. Mówcie, o co chodzi!

- Chcesz wracać po zwłoki tych, których tutaj szukaliśmy? - odpowiedział cynicznie pytaniem na pytanie Ray. - Jakieś małe szare gówna ich dopadły.

Kończymy zabawę!

- O czym on mówi? - wtrąciła pytanie Sarah.

- Znaleźliśmy ich - odparła Maggie. -
Wszystkich... razem sześć ciał.

- Więc ten cały wysiłek i nadstawianie karku... -
próbował powiedzieć Steve.

- Na nic - odparł Ray, wchodząc kompanowi
w słowo. - Wszystko, kurwa, na nic. A teraz jedź i nie
gadaj! Wracamy do Luke'a i Chrisa!

Steve i Sean nie oszczędzali samochodów i jak
najszybciej wracali do Hopetown. Pomimo wszelkich
starań nie zdążyli przybyć do miasta przed zmrokiem.
Krótco przed tym, jak dojechali do zachodniego
mostu, nastąpiła noc.

Samozwańczy przywódca grupy poszukiwawczej
szybko wyprzedził Williamsa tuż przed rogatekami
i kilkakrotnie zamrugał światłami w stronę
strażników bramy. Ci niezwłocznie otworzyli
przejście, umożliwiając przejazd obydwu pojazdom.
Kiedy wszyscy wjechali do miasta, kierowcy
nieznacznie zwolnili prędkość i pojechali
bezpośrednio do ratusza.

W momencie gdy furgonetka i muscle car
dojechały do celu, Steve i Sean zaparkowali tuż obok
drzwi siedziby pani burmistrz. W tym miejscu
zobaczyli także siedzących obok wejścia
Luke'a i Chrisa. Po opuszczeniu samochodów

i wyłączeniu silników wszyscy podeszli do odpoczywających mężczyzn.

- Nareszcie jesteście - zaczął Luke. - Nie uwierzycie, co wiedzieliśmy...

- Cokolwiek to jest, musi poczekać - odparł Steve. - Znaleźliśmy zaginionych albo raczej to, co z nich zostało.

Sean i Kellie podeszli bliżej do Rousseła i Reese'a i ich powitali. Następnie para z Hopetown usiadła obok, a mężczyzna objął ramieniem swoją partnerkę.

- Ech, dzisiaj to było trochę za dużo... - westchnął Luke, drapiąc się po zaroście. - Co konkretnie znaleźliście?

- Przez jakiś czas lataliśmy po domach, aby ostatecznie spotkać jakieś kurestwo, które zabiło tych, co szukaliśmy - zaczął odpowiadać Ray. - W sumie tyle w temacie.

- Jakieś dziwne drobne istoty pożarły zaginionych - dodała Maggie. - Straciliśmy także jednego z naszych.

- A więc ten stary pijak miał cały czas rację... - Nie kryjąc rozgoryczenia, stwierdził Luke. - My też spotkaliśmy dziwnego stwora, tylko nie tak małego... Dobrze, że Chris miał dwururkę i to coś spłoszył.

- Dobrze zrobiłeś - powiedział Sean, całując towarzyszkę w głowę. - Hopetown ma poważny

problem. Słuchajcie... ja i moja ukochana chcemy już pobyć sami. Powiecie o wszystkim Elizabeth?

- Jasne - przytaknął Luke. - Możecie na nas liczyć.

- Miło było was poznać - stwierdziła Kellie, wstając i żegnając uściskiem wszystkich podróżnych.

- Długo jeszcze zabawicie w mieście?

- Wyjeżdżamy jutro rano. To nie podlega dyskusji.

Niemal wszystkich zdziwiły te słowa, ale nikt nie zaprotestował. Luke profilaktycznie spojrzał towarzyszom w oczy, po czym się uśmiechnął.

- To dla naszego dobra - dodał. - Może i Hopetown jest wspaniałe, ale powinno jak najszybciej rozwiązać problem tego, co łązi po tych lasach. A my mamy przecież swój cel. Musimy pojechać do Greenwoods, a potem czeka nas jeszcze dalsza wędrówka.

- Nadchodząca zima nie będzie nas rozpieszczać - dodał Chris. - Jeśli mamy dalej razem podróżować, musimy przyspieszyć. Ja podtrzymuję to, co mówiłem. Zamierzam być przy moim przyjacielu do końca jego wędrówki.

Luke, słysząc te słowa, spojrzał na towarzysza i wyciągnął ku niemu dłoń.

- Chris, jesteś wielki. Dobrze, że nie odpuściłem Baker City. Pomimo tego, co nas tam spotkało, nie

żałuję, że cię poznałem.

- Ja i Ray także z tobą pojedziemy na północ - wtrąciła Maggie. - Jeśli tylko przekonam Bennetta...

- W żadnym wypadku - zaprotestował mężczyzna.
- Nie jedziemy do Europy.

- My także tobie trochę potowarzyszymy, ale teraz czas iść do Elizabeth - oznajmił Steve.

- Racja - przytaknął Luke. - Nie ma sensu zwlekać. I miło było was poznać...?

- Sean i Kellie - odparł młody chłopak. - Bądźcie zdrowi i bezpieczni.

- Wy także. Powodzenia i szczęścia w przyszłości.

Kiedy grupa podróżnych pożegnała młodą parę, od razu wkroczyła do ratusza i skierowała się do gabinetu Elizabeth Harmon. W trakcie przemarszu przez pusty korytarz nikomu nie było do śmiechu. Każdy milczał, prawdopodobnie mając w pamięci niepokojące dzisiejsze wydarzenia.

W końcu wszyscy dotarli pod drzwi pokoju, za którymi pracowała pani burmistrz. Steve niezwłocznie je otworzył i, jak miał w zwyczaju, zaprosił towarzyszy do środka.

W gabinecie przebywała Elizabeth. Aktualnie kobieta obsługiwała starodawną maszynę do pisania. Dźwięk przycisków niósł się echem po pomieszczeniu. W momencie gdy Harmon ujrzała podróżnych, przerwała pracę i gestem ręki zaprosiła,

aby usiedli.

Niemal każdy zrobił tak, jak zasugerowano. Jedynie Luke podszedł bliżej biurka, położył obie dłonie na blacie i spojrzał przywódczyni Hopetown prosto w oczy.

- Niestety mamy złe wieści - oznajmił, nie kryjąc smutku.

- Proszę, siadaj - krótko odparła Elizabeth. - Przewidziałam taki scenariusz. Właśnie piszę listy kondolencyjne do rodzin zagi... ech... straconych.

Luke ostentacyjnie usiadł na przeznaczonym dla niego miejscu i zaczął stukać palcami o swoje kolana.

- Zanim tutaj przyszliśmy, rozmawialiśmy i uważamy, że jest dużo gorzej, niż pani sądzi. Steve, Maggie, Ray i Sarah znaleźli ciała i stracili osobę, która brała z nimi udział w poszukiwaniach.

- O co dokładnie chodzi? - zapytała zaniepokojona tą informacją Elizabeth.

- Nieznane istoty pożarły twoich mieszkańców i dopadły waszego człowieka - odparła Maggie. - Miały szary kolor i nie przypominały zbytnio ludzi. Sami ledwo uszliśmy z życiem.

- A to były tylko dwa małe skurwysyny... - dodał od siebie Ray.

- Język! - krzyknął Steve. - W każdym razie nikt nie powinien teraz sam jechać na zachód. To miejsce może nie jest przeklęte, ale żyje tam coś, co trzeba

zostawić w spokoju...

- Albo odstrzelić - wtrącił Ray. - Robiliśmy, co mogliśmy, i wyszło dużo gorzej, niż zakładaliśmy.

- Masz w zupełności rację - przytaknęła Elizabeth. - Co prawda nie uratowaliśmy tych ludzi, ale i tak dostaniecie nagrodę. Powiedzcie, ile wam trzeba benzyny, a ja spróbuję do rana coś zaaranżować.

- Chcemy tyle, żeby starczyło jej nam do Greenwoods - odparł Luke. - I żeby było jasne... jutro wyjeżdżamy.

- Zostawcie u mnie kluczyki, a jak się obudzicie, będziecie mieli wszystko, co potrzeba - oznajmiła pani burmistrz. - Niedługo ktoś się tym zajmie.

Po tych słowach Luke, Ray, Maggie i Steve położyli na biurku kluczyki do swoich pojazdów. Następnie Elizabeth wzięła je do ręki, po czym schowała do szuflady.

- Śpijcie spokojnie i nie martwcie się o nic - oświadczyła. - Nikt nie zamierza was okraść. Poza tym to wszystko, co chcieliście mi przekazać?

- Niekoniecznie - nieśmiało odparł Chris. - Jak poszliśmy nad jezioro, natrafiliśmy na podobną istotę, jaką spotkano na zachodzie. Jednak to, co zobaczyliśmy, było całkiem spore. Kochana pani burmistrz... nie chcę cię martwić, ale masz spory problem do odstrzelenia. Okolica nie jest bezpieczna.

- Jeśli pani nic z tym nie zrobi, ludzie dalej będą ginąć - sprostował Steve. - Powinnaś wyznaczyć grupę, która to coś zlikwiduje. Dopiero wtedy zaczniesz być bezpiecznie.

- Zobaczę, co z tym zrobię. W każdym razie dziękuję za waszą pomoc. Wiedziałam, że mogę na was polegać...

Elizabeth wstała i uścisnęła Steve'owi dłoń.

- Czy jeszcze się kiedyś zobaczymy?

- Wątpię... - odparł krótko Williams. - Dla nas tu nie ma żadnej przyszłości.

- Obyście znaleźli miejsce, gdzie będziecie mogli odetchnąć. Sarah, chodź do mnie...

Siostra Steve'a podeszła bliżej pani burmistrz. Nieoczekiwanie Harmon ją przytuliła i poklepała po ramieniu.

- Będzie mi was brakować - oznajmiła, całując kobietę w policzek.

- Oby za dwa lata cię ludzie ponownie wybrali na burmistrza - oświadczyła Williams. - Może i macie problemy, ale do ich rozwiązania nie ma lepszej osoby niż ty.

- Dziękuję za te słowa i w ogóle za wszystko. Liczę też na to, że pomimo tego, co dzisiaj widzieliście, zachowacie Hopetown w pamięci jako dobre miasto.

- Dotychczas nie napotkaliśmy miejsca, gdzie

byśmy byli tak dobrze ugoszczeni - odparł entuzjastycznie Luke. - Nigdy nie zapomnimy twojego miasta i Święta Złotych Liści.

Po tych słowach wszyscy pożegnali Elizabeth i opuścili jej gabinet. Kiedy grupa wyszła z budynku, wolnym krokiem poszła do zajazdu Fraser. Podróżni w kilka minut dotarli na miejsce, a potem każdy wszedł do wynajmowanej przez siebie kwatery.

Ku zdziwieniu wszystkich zastali uporządkowane pokoje i leżące na stołach kanapki i termosy z gorącą herbatą.

Każdy przystąpił do jedzenia, a po posiłku skorzystał z kąpieli. Następnie podróżni, nie tracąc czasu, poszli spać.

Nie minęło dużo czasu, a Maggie przylgnęła ciałem do Luke'a. To wprawiło go w lekki dyskomfort, ale postanowił nie przeganiać towarzyszki. Zamiast tego jedynie poprawił swoją poduszkę.

- O co ci znowu chodzi? - zapytał, nie kryjąc ciekawości.

- Po prostu dzisiaj zbyt wiele okropieństw widziałam - odpowiedziała Maggie. - Zamknąłeś okna i drzwi?

- Bez obaw, to coś nie atakuje w Hopetown. I czemu znów jesteś naga?

- Od jutra nie będę mogła pozwolić sobie na

chwilę swobody. W końcu wyruszamy w trasę. Więc siedź już cicho i nie każ mi wstawać, aby szukać ubrań.

- Ech... póki mnie nie zaczniesz rozbierać, nie zareaguję. Poza tym faktycznie chcesz ze mną jechać do Europy?

- Tak, chcę. Tylko muszę przekonać do tego Raya.

- Przecież on chyba jasno powiedział, że cię nie puści.

- Jeszcze jest czas... To co? Śpimy? Jutro jeszcze obowiązkowo zjemy śniadanie u Teresy.

- Jasna sprawa - z zadowoleniem odparł Luke. - Jakby nie patrzeć, to ostatnie nasze z nią pożegnanie.

- Będzie mi jej brakować... Dobrze się z nią bawiłam.

- Tak w ogóle to co ona wtedy przekazała Sarah na portierni?

- A nie powiesz nikomu? - spytała Maggie, muskając swoją nogą Luke'a.

- Jak nie chcesz, to nie mów.

- Wtedy paliłyśmy zielsko... Tylko ani słowa Rayowi, bo krew go zaleje.

- Traktujesz go, jakby był twoim ojcem. Bez obaw. Nic mu nie powiem.

- W takim razie dobranoc - odparła Maggie, obracając się na drugi bok. - Muszę dobrze

wypocząć, bo nie wiadomo, kiedy znów będzie taka okazja.

- Ech... oby jak najszybciej... - westchnął Luke, zamykając oczy. - Dobrej nocy...

Po chwili oboje zasnęli. Tej nocy po raz ostatni zamierzali korzystać z gościnności właścicielki zajazdu Fraser. Następnego dnia mieli na zawsze opuścić Hopetown...

Zaczęło świtać. Dzień zapowiadał się słoneczny. Pomimo porannych przymrozków temperatura z wolna wzrastała. Również tego dnia mocno nie wiało.

Jak niemal codziennie obywatele Hopetown szli do pracy. Każdy wrócił do wykonywania swojego zawodu, gdyż wszystkie ulice zostały uprzątnięte po zorganizowanym przed dwoma dniami festynie.

Tym razem podróżnych obudziło głośnie stukanie do drzwi. Okazało się, że to była Teresa. Właścicielka zajazdu zapraszała na śniadanie.

- Za trzydzieści minut zapraszam na taras - każdorazowo oświadczała.

Na tę wieść Maggie i Sarah niezwłocznie wstały i udały się do łazienek. Mężczyźni postanowili nieco dłużej poleżeć i dać sobie więcej czasu na relaks. Jednak w momencie gdy kobiety zakończyły poranną toaletę i poszły do właścicielki zajazdu Fraser, nic nie

stało na przeszkodzie, aby również się odświeżyć.

Kiedy Luke, Chris, Ray i Steve byli po kąpielach, niezwłocznie poszli do Teresy na śniadanie. Na miejsce przybyli punktualnie. Od razu usiedli przy dużym stole, dołączając do Maggie i Sarah.

Nie minęła chwila, a Teresa również przyszła na taras. Kobieta doniosła dodatkowy dzban gorącej kawy i położyła go obok leżących na stole dań. Każdy miał możliwość wyboru, co będzie chciał mieć na śniadanie. Luke i Ray postanowili zjeść pieczony stek z dodatkiem syropu klonowego. Maggie, Sarah i Teresa wybrały pieczeń z zająca, a Chris i Steve kilka grzanek z jajkiem.

- I jak wam minęła noc? - zapytała Teresa, przy okazji nalewając każdemu kawy. - Wczoraj postanowiłam zrobić u was drobne porządki. Przewietrzyłam pokoje, przetałam kurze i poprawiłam pościel. Wszystko po to, aby wam było wygodnie.

- Bardzo ci za to dziękujemy - odparł Luke. - I jak zwykle u ciebie dobrze spaliśmy.

- Dziś rano znów przyszedł do mnie strażnik. Zostawił klucze do waszych samochodów i motocykli. Prosił mnie również, abym przekazała wam pozdrowienia od Elizabeth.

W tym momencie właścicielka zajazdu wyciągnęła z kieszeni od spodni kilka kluczy i rozdała

je podróżnym. Potem upiła kilka łyków swojej kawy i przystąpiła do śniadania.

- Wiem także, że dzisiaj wyjeżdżacie... Będzie mi tu bez was strasznie smutno...

- Wiem o tym, kochana... - odparła Sarah, spuszczać wzrok. - Z trudem nam to przychodzi, ale musimy już dzisiaj jechać.

- Przed nami daleka droga i nie chcemy tracić więcej czasu - wtrącił Luke, na moment przerywając posiłek. - Nadciąga zima, a to nie ułatwi nam życia.

- Ech... tak, wiem, rozumiem... - westchnęła Teresa. - Wobec tego pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że bezpiecznie dojedziecie do końca waszej wędrówki.

- Dziękujemy tobie za wszystko, co dla nas zrobiłaś - oświadczył Steve, przy okazji sięgając do kieszeni. - Zostało mi jeszcze trochę samorodków. Lepiej będzie, jak je od nas przyjmiesz, bo je jeszcze pogubię w trasie. Tak przynajmniej chociaż ty zrobisz z nich jakiś pożytek.

W momencie gdy Williams podawał Teresie cenny kruszec, Ray się lekko skrzywił, jednak nie skomentował tego bezinteresownego gestu.

- Zainwestuję to w swój biznes - oznajmiła Teresa, przyjmując podarunek. - Dobrzy z was ludzie. Niech wam wszystko się układa.

- Będzie i musi - pewnym głosem zadeklarował

Steve. - Jesteśmy sprytnym i twardym zespołem.

- Żeby jednak utrzymać ten stan, musimy porządnie zjeść - wtrącił Ray, wgrzając się w stek. - Najlepiej będzie, jeśli później sobie pogadamy.

- Masz w zupełności rację - entuzjastycznie powiedział Luke. - Za kilka chwil wyjeżdżamy, a teraz życzę smacznego!

Rozmowa dobiegła końca i wszyscy wznowili śniadanie. W momencie gdy każdy zjadł swoją porcję i dopił gorącą kawę, poczekał na resztę. Po posiłku grupa po raz ostatni pożegnała Teresę i jeszcze raz podziękowała jej za wszystko, co kobieta dla nich zrobiła. Następnie podróżni poszli do wynajmowanych przez siebie pokoi i zabrali swoją broń. Klucze do kwater zostawili w pasujących do nich drzwiach, a potem podeszli do swoich pojazdów.

Kiedy każdy szykował się do dalszej drogi, nieoczekiwanie na teren zajazdu Fraser wszedł James. Wyglądał na niewyspanego. Mężczyzna podszedł do muscle cara, w którym siedzieli Steve i Sarah. Na widok strażnika Williams uchylił szybę i przywitał się ze znajomym.

- Więc jednak wyruszacie... - rozpoczął rozmowę Zook, opierając dłoń o maskę samochodu. - Nadal macie w planach zajechać do Greenwoods?

- Zdania w tej kwestii nie zmieniliśmy - odparł Steve. - Zresztą nie mamy żadnej alternatywy.

- Zawsze możecie zostać w Hopetown... w mieście będziecie bezpieczni.

- To miejsce jest za blisko Falltown, a co za tym idzie Derricka. Nie wspominając o ASO... Zresztą mamy w planach dalszą drogę. Luke chce wrócić do Europy.

- Do Europy... ciekawe... - zaczął zastanawiać się na głos James. - Facet ma pół świata do przebycia.

- O mnie gadacie? - zapytał entuzjastycznie Luke, przy okazji czyszcząc pistolet. - Cześć, James.

- Hej - odparł krótko strażnik. - A tak tylko pytałem o wasze plany. Co jak co, ale masz zamiar kawał świata pokonać.

- Tak to już musi być... - oznajmił Luke, polerując uchwyt broni. - Przy okazji... powiedziałaś, że musimy jechać non stop na północ, ale nie dodałaś, którymi drogami mamy jechać. Byłoby miło, gdybyś dała nam kilka wskazówek, jak mam wszystkich prowadzić.

- Po prostu wypatruj znaków. Trasa jest dobrze oznaczona i w przyzwoitym stanie. Nie będzie żadnych problemów, żeby dojechać do Greenwoods.

- A na szlaku może być niebezpiecznie? - dopytywała Sarah. - Mamy powody do zmartwień?

- W żadnym wypadku. W lasach na północ stąd jest totalna głusza i nikomu się nie opłaca urządzać obław i napaści. Może i ta droga jest czasem

uczęszczana, ale skoro mamy październik i sezon na handel dobiegł końca, nie liczcie na to, że kogoś spotkacie.

- Dzięki za wszystko, James - powiedział Luke, wyciągając do mężczyzny dłoń.

- N-nie ma sprawy - odparł ze zdziwieniem Zook, odwzajemniając gest. - To może ja już pójdę, skoro przeszkadzam... Trzymajcie się wszyscy i do zobaczenia. Życzę dużo szczęścia.

- Raczej wytrwałości - poprawił go Steve. - Tobie także powodzenia, przyjacielu.

Po pożegnaniu ze wszystkimi James zniknął równie szybko, jak przyszedł. Kiedy zszedł im z oczu, Luke schował broń i zajął miejsce w hummerze. Tam na niego czekał Chris, który, jak miewał w zwyczaju, trzymał w dłoni maczetę.

- To jak... jedziemy? - spytał, przy okazji kreśląc dziwaczne wzorki na desce rozdzielczej.

- Chyba najwyższy czas... - odparł Luke, wbijając wyższy bieg i ruszając w kierunku zachodniego mostu.

Tuż za hummerem jechał muscle car, a w dalszej kolejności prowadzone przez Raya i Maggie motocykle. Wszyscy po raz ostatni mieli okazję podziwiać ulice Hopetown. Po kilku dniach pobytu w tym miejscu mieszkańcy nie patrzyli na podróżnych z podejrzliwością lub zainteresowaniem. Stosunek do

ich grupy był neutralny. Najwidoczniej obywatele miasta mieli na głowie ważniejsze zmartwienia niż obcych, którzy przybyli z południa i za chwilę mieli zamiar ruszyć w dalszą drogę.

Kiedy grupa dojechała do rogatek, wolnym krokiem zaczął podchodzić do nich strażnik. Luke, widząc mężczyznę, opuścił szybę w samochodzie i czekał na jego przybycie. Kiedy ten człowiek stanął tuż przy hummerze, podróżny uśmiechnął się do niego.

- Ledwo żeście przyjechali, a już was niesie w dalszą drogę? - zapytał strażnik.

- Na to wygląda - odrzekł Luke. - Ale najważniejsze, że dobrze odpoczęliśmy i byliśmy na Święcie Złotych Liści. Tak przy okazji, wyjeżdżamy do Greenwoods. Nie wiesz przypadkiem, którądy skręcić za mostem?

- No chyba nie w lewo, bo na zachodzie straszy. Jedźcie główną drogą, a się nie zgubicie. Poza tym po jakie лихо tam jedziecie... A zresztą... co ja tam wiem. Otworzyć bramę!

Po tych słowach druga przebywająca na posterunku osoba w kilkanaście sekund wykonała zadanie. Tym samym umożliwiła podróżnym przejazd przez rzekę Fraser i ruszenie w dalszą trasę. Tuż za nim, blisko jego samochodu, jechali Williamsowie, Ray i Maggie. Podróżni powoli minęli zardzewiałą

konstrukcję i przyspieszyli, aż nie dotarli do najbliższego skrzyżowania.

W momencie gdy podróżni ominęli niewielką polanę, dojechali do czegoś, co kiedyś było rozwidleniem dróg, jednak podróż na zachód uniemożliwiały sosny, które już dawno temu zniszczyły w tym miejscu asfalt. Luke, nie widząc innej możliwości, skręcił w prawo i zaczął stopniowo zwiększać prędkość samochodu.

Z każdą minutą podróżni coraz bardziej oddalali się od Hopetown. Po jakimś czasie miasto zniknęło im z oczu, a obecny krajobraz tworzyły wysokie, porośnięte drzewami góry, gęste lasy i rzeka Fraser. Czasem pomiędzy drzewami można było dostrzec stada łosi i jeleni, a w krystalicznie czystej wodzie ławice jesiotrów i łososi. Wystarczyło pokonać kilka kilometrów, aby dojechać do miejsca, które niemal całkowicie zdominowała natura.

- Ech... będę z tobą szczery, już mi trochę brakuje wygodnego łóżka - oznajmił Chris. - Tak samo niektórych ludzi, których poznaliśmy.

- A jeszcze trzy dni temu chciałeś jak najszybciej stąd spieprzać - odparł z uśmiechem Luke. - Muszę ci jednak przyznać, że intuicję to ty masz całkiem dobrą.

- Mimo wszystko jakoś sobie poradziliśmy - stwierdził Chris, przy okazji odkładając maczetę. -

Tak na przyszłość... nie chciałbym już kiedykolwiek biegać po lesie i aż tak ryzykować.

- W życiu trzeba cały czas przeć do przodu, bo inaczej do niczego nie dojdziemy... Jeśli chcemy coś zmienić, musimy po prostu zaakceptować taki stan rzeczy.

- Na szukanie martwych jednak nie warto nadstawiać karku...

- To nieistotne, jak się ta sytuacja skończyła. Wtedy i tak o tym nie wiedzieliśmy. Tutaj chodziło o sam gest. To, że Elizabeth postanowiła zaangażować w poszukiwania pół miasta, nie tylko dobrze o niej świadczy, ale także rokuje pewne nadzieje...

- Niby jakie?

- Takie, że na odrodzenie cywilizacji nie jest jeszcze za późno. I że w przyszłości coraz więcej ludzi będzie mogło mieć szansę na lepsze życie.

- Ciekawe, czy w Europie jest podobny bajzel jak tutaj... - westchnął Chris, poprawiając zagłówek w fotelu. - Zresztą... jak tam dojadę, to sam się o tym przekonam.

- Najpierw trzeba zawitać do jakiejś nadmorskiej miejscowości i poszukać transportu przez Pacyfik. Bez tego utkniemy na tym kontynencie i minie wiele czasu, zanim znajdziemy sposób, aby przepłynąć przez ocean.

- Na wstępie musimy w ogóle dojechać do Greenwoods. Jak myślisz, w ile dni zleci nam podróż?

- Jeśli wszystko pójdzie sprawnie, to dwa, góra trzy. To zależy od pogody, stanu dróg, tych rzekomych znaków i ewentualnych niespodzianek....

- A ty znów zaczynasz gdybać... - stwierdził z uśmiechem Chris. - No dobrze... A paliwa nam wystarczy?

Luke spojrział na zegar wskazujący poziom benzyny w zbiorniku. Ku jego zadowoleniu hummer był zatankowany do pełna.

- O to akurat nie musimy się martwić - oznajmił.

- Chociaż tego jesteś pewien... to zawsze coś...

- Dokładnie. Obyśmy z czasem mieli coraz mniej niewiadomych.

- I żebyś sobie coś więcej przypomniał...

- Pożyjemy, zobaczymy... tymczasem korzystajmy z chwili spokoju i nie myślmy o tym, co nam przyszłość przyniesie...

Po tych słowach Luke przyspieszył hummera. Będąc w dobrym nastroju, pokonywał kolejne kilometry gęstych sosnowych lasów w dolinach Gór Kaskadowych. Na jakiś czas zapomniał o wszelkich spotykających go problemach i obawach związanych z jego przyszłością...

ROZDZIAŁ II

JESIENNE MGŁY

Minęły ponad dwa dni, odkąd podróżni opuścili Hopetown i wyruszyli do Greenwoods. Przez ten czas przejechali ponad pięćset kilometrów, nieustannie jadąc na północ. Bez większych przeszkód udało im się opuścić okolice Gór Kaskadowych i trafić w bardziej równinne tereny.

Obecnie grupa jechała pośród gęstych lasów asfaltową drogą. Pokonanie niektórych punktów na trasie było dość skomplikowane z powodu powalonych drzew lub podmytej przez górskie strumienie nawierzchni jezdni. Jednak wspólna praca i determinacja podróżnych pozwoliły im pokonać wszelkie przeciwności losu.

Nocami Luke i jego towarzysze odpoczywali w leśnej głuszy. W trakcie postojów dyskutowali na przeróżne tematy, które były mniej lub bardziej

powiązane z najbliższym celem ich wędrówki. Dodatkowo mieli okazję podziwiać majestatyczne krajobrazy i licznie występującą w tych rejonach Kanady faunę i florę.

Tego wieczoru było bardzo chłodno. Pochmurne niebo oraz nieprzyjemny porywisty wiatr sprawiły, że temperatura spadła do kilku stopni powyżej zera. Dodatkowo korony drzew już straciły większość liści. Robiło się szaro i ponuro, co w niedalekiej przyszłości zwiastowało nieuchronne nadejście zimy.

Konwój pojazdów prowadzonych przez podróżnych aktualnie pokonywał drogę przez las brzóz i świerków. Popękany asfalt stanowił jedyny dowód na to, że w tym miejscu kiedyś działał człowiek.

Luke jechał na samym początku grupy. Tuż za nim przemieszczali się na swoich motocyklach Ray i Maggie. Na końcu, kilkaset metrów dalej, podróżowało rodzeństwo Williamsów. Tym razem muscle cara prowadziła Sarah. Kobieta, będąc zmęczona nużącą ją trasą, postanowiła dać sobie kilkaset metrów zapasu w odległości od reszty pojazdów, aby profilaktycznie nie doprowadzić do wypadku.

Chris, który obecnie siedział na tylnym siedzeniu w hummerze, za pomocą maczety Luke'a wycinał przeróżne wzorki na siedzeniu kierowcy, które

rzekomo miały mu przypominać krajobraz Hopetown. Pomimo starań jego dzieło dalece odbiegało od planowanych przez niego założeń.

- Zawsze chciałem potrafić dobrze rysować... - oznajmił, nieprzerwanie rozpruwając materiał, z którego był wykonany fotel.

- Że co?! - spytał Luke, nie kryjąc oburzenia. - Co ty tam kombinujesz? Oddawaj maczetę!

- Kiedy ja się dobrze bawię... - oświadczył z rezygnacją w głosie Chris, podając podróżnemu broń. - Przecież nic złego nie robiłem...

- Dewastujesz mi samochód - oznajmił Luke, chowając ostrze do schowka w desce rozdzielczej. - Poza tym to do ciebie niepodobne, aby nie myśleć. A jakbym ostro zahamował, a ty byś coś tam rył za moimi plecami? Wiesz, jak mogłoby to...

- Jak zwykle dramatyzujesz. Przecież ten fotel jest dobrze wzmocniony i mało co go przebije. Zapominasz o tym, do kogo ten samochód wcześniej należał?

- Ech... - westchnął Luke, przy okazji włączając światła hummera. - Robi się ciemno...

- Trzeba zorganizować gdzieś postój - stwierdził Chris, poprawiając zagłówek na tylnym siedzeniu. - Tak w ogóle to ile kilometrów nam zostało do Greenwoods?

- Sądząc po liczniku, to jakieś sto. Na mile to

będzie jakieś... mniej więcej sześćdziesiąt.

- Trochę głupio, że nie dojedziemy tam jeszcze w nocy, ale co mi do tego... miałeś dobry plan z tym rozbijaniem obozów. Przynajmniej jesteście jako tako wypoczęci.

- Jako tako? Co masz dokładnie na myśli?

- Wciąż mam w pamięci to coś, co widzieliśmy przy jeziorze Kawkawa. Zdaję sobie sprawę, że tę mutację zostawiliśmy daleko w tyle, ale las nadal jest dla mnie czymś, gdzie nie za bardzo przepadam przebywać...

- Musisz przywyknąć. Zresztą jeszcze tej nocy rozbijemy gdzieś obóz.

- Ech... nawet nie będę cię przekonywał do zmiany zdania... - westchnął Chris. - Tak w ogóle to niepokoi mnie jeszcze jedna rzecz...

- Mianowicie?

- Pamiętasz tego strażnika z Hopetown, który nas odprawiał przy bramie? Tego, co skomentował nasz wyjazd słowami „po jakie licho tam jedziecie”? Jak myślisz, o co mu mogło chodzić?

- Może po prostu nie lubi tej miejscowości - entuzjastycznie odrzekł Luke. - Zgaduję, że tak właśnie jest. Przecież James mówił...

- Mimo wszystko trochę mnie to niepokoi...

- Gdyby miało cokolwiek nie grać, ktoś zwróciłby nam uwagę. Zresztą nie masz powodów do

zmartwień. Cokolwiek nas czeka, poradzimy sobie. Zresztą niejedno już przeszliśmy...

W tym momencie konwój pojazdów przejeżdżał obok niewielkich rozmiarów jeziora pośród gęstego lasu. W jednym miejscu, przy nabrzeżu, znajdowała się niewielkich rozmiarów polana. Teren nie był zagospodarowany, a prowadziła do niego niewielka leśna ścieżka.

- Jak myślisz... może być? - spytał Chris.

- Heh... dobre i to - odparł z niewielkim entuzjazmem Luke. - Możemy tu spędzić noc.

Za pomocą kierunkowskazu podróżny dał reszcie znać, że zamierza przy najbliższej okazji skręcić. Kiedy grupa zauważyła sygnał, zaczęła zwalniać swoje pojazdy. Po chwili konwój dotarł do zjazdu nad jezioro.

Błotnista droga była trudna do przejechania. Trasę dodatkowo komplikowały bujnie rosnące świerki, przez których gałęzie trzeba było torować sobie drogę. Występująca w tym miejscu flora stanowiła dowód na to, że miejsce nie było uczęszczane przez przejeżdżających.

W końcu wszyscy dojechali do wypatrzonej przez Luke'a polany. Szarozłotymi trawami i okolicznymi brzożami targał chłodny wiatr. Porywiste podmuchy dodatkowo wytwarzały na tafli jeziora niewielkie fale, a z wolna znikające za horyzontem słońce chwilowo

wyłoniło się zza chmur i rozświetliło okolicę. Groteskowość pogody w tym miejscu była na swój sposób urokliwa.

Kiedy kierowcy zaparkowali pojazdy tuż przy lesie, wszyscy je opuścili i zgromadzili się w jednym miejscu. Następnie każdy odbezpieczył broń i zaczął dokładnie rozglądać się po okolicy. Po kilkunastu sekundach obserwacji Luke uznał, że grupa jest jako tako bezpieczna. Ostentacyjnie schował swój pistolet i podrapał się po bródce.

- Moim zdaniem wszystko w porządku - oświadczył. - Ray, Maggie... idźcie na zwiad, a my przygotujemy miejsce na ognisko.

- Co dzisiaj mamy w planach zjeść? - zapytał Ray.
- Jestem cholernie głodny.

- Coś wymyślimy, zanim zdążycie wrócić. Tymczasem zróbcie to, o co proszę. Spacer dookoła jeziora wam nie zaszkodzi.

- Ech... jak tam chcesz... - westchnęła Maggie.

Kobieta wolnym krokiem zaczęła zmierzać w stronę lasu, a jej przyjaciel wyciągnął paczkę papierosów. Po odpaleniu skręta niezwłocznie poszedł jej śladem. W tym czasie Luke wraz z Chrisem weszli do lasu po suche gałęzie, a Steve i Sarah przygotowywali przy samochodach miejsce do rozpalenia ogniska.

Po kilkunastu minutach można było rozpocząć

kolację. Kiedy Ray i Maggie wrócili z patrolu, ogień w palenisku już się dobrze palił. Każdy możliwie wygodnie usiadł wokół ogniska i otrzymał od Luke'a nabite na patyk szaszłyki z cebuli, pomidora, ziemniaka i dziczyzny.

- Sam to zrobiłeś? - zapytała Maggie, obracając swoją kolację tuż nad ogniem.

- Nie - odparł krótko i entuzjastycznie Luke. - Steve wszystko załatwił, więc skombinował nam także coś pysznego.

- Nie musicie mi dziękować - oznajmił Williams. - W końcu nie płaciłem za swoje.

- Maggie, strasznie drzysz - stwierdził Ray, spoglądając na swoją przyjaciółkę. - Przynieść ci koc?

- J-j-jakbyś mógł - odparła kobieta, przysuwając się bliżej ognia.

W momencie gdy mężczyzna poszedł po okrycie, reszta grupy skoncentrowała się na podgrzewaniu posiłków. Po chwili Ray wrócił i dał Maggie szary wełniany koc. Ponadto Paylor usiadła bliżej Sarah. Obie, wtulając się w siebie, przykryły się ciepłą narzutą i zaczęły w milczeniu wpatrywać się w ogień.

Ray instynktownie przejął od dziewczyn różny z szaszłykiem, a następnie podniósł swój z ziemi. Potem podtrzymywał trzy porcje nad ogniem i pilnował, aby ich nie przypalić.

- To małe kurestwo, które biegało w tych

domkach na prerii... ciekawe, czy występuje jeszcze w innych miejscach? - nieoczekiwanie zapytała Maggie.

- Ech... nawet mi o tym nie przypominaj... - westchnęła Sarah, mocniej przytulając towarzyszkę. - Ciarki mnie przeszły, jak wylecieliście z tego domu. Myślałam, że coś wam się mogło stać.

- Szczęśliwie nikt nie ucierpiał - dodał Steve. - Gdyby nie Ray i ten... jak mu tam było?

- Sean - odparł Ray, poprawiając szaszłyki. - Kolacja będzie zaraz gotowa.

- Dokładnie, Sean. Gdyby nie wy, biegalibyśmy po tych domach nieświadomi tego, że jakieś małe gównio może nas dopaść. Dzięki za szybką reakcję.

- Drobiazg. Zrobiłem, co należało.

- Coś mi mówi, że chcecie posłuchać strasznych opowieści - stwierdził Chris, a na jego twarzy zawitał szelmowski uśmiech. - Może macie ochotę na taką, co wam zmrozi krew w żyłach?

- Przecież już jest dość zimno... - odparła zniechęcona tą propozycją Maggie. - Poza tym czy będzie ona krwawa?

- Skądże. To taka mała legenda, która powstała w moich stronach - Cichym Jeziorze. Luke, pamiętasz, jak wspominałem ci o Colter Bay?

- Kiedyś tam mieszkałeś - odparł podróżny, wyciągając swój nieznacznie przypalony posiłek

z ogniska. – Czy jest jeszcze coś, o czym nie wiemy?

– Tak, ta historia była przeze mnie trzymana na specjalną okazję. Tak poza tym... Petera Waltersa jeszcze kojarzysz?

– Jak mógłbym zapomnieć człowieka, dzięki któremu uciekliśmy rozkłazom w Baker City... Tego z kiepskim poczuciem humoru chama, który jednak miał w sobie to coś. Nie przeciągaj, tylko opowiadaj.

Na te słowa Chris usiadł wygodniej i spojrzał wprost w ognisko.

– Poza waszym biadoleniem zainspirowała mnie mgła, która właśnie przesłoniła jezioro – oznajmił szyderczo.

Reese miał rację. Nad zbiornikiem wodnym unosiły się niemal niewidoczne opary. Powodem tego zjawiska było osłabienie siły wiatru i nagły wzrost temperatury. Taka niespodziewana zmiana warunków była dość osobliwa.

– Kiedyś z Peterem pojechaliśmy nad jezioro Jackson. Raz zobaczyliśmy podobne zjawisko, jakie teraz widzicie tutaj. Ludzie gadali różne rzeczy, ale wszyscy byli zgodni w tym, że taka nagła mgła nigdy nie zwiastowała nic dobrego. Następnego dnia ktoś musiał zaginać...

– Znajdowaliście zwłoki? – spytał Luke, doglądając wszystkich szaszłyków. – I przy okazji... kolacja już jest chyba gotowa.

Podróżni wyjęli swoje porcje z ogniska i od razu przystąpili do posiłku. W tym czasie z wolna znikające za horyzontem słońce przysłoniły chmury. Ponadto na wschodzie częściowo wyłonił się księżyc.

- Nic, żadnych ciał... - kontynuował Chris. - Ci ludzie po prostu przepadali. Wiem, że to nic paranormalnego, ale jest w tym pewna prawidłowość. Kiedy taka mgła nadchodziła, każdy wracał do domu i zamykał szczelnie drzwi. Mimo to zawsze ktoś znikał...

- I co niby ta opowieść ma do tego, co tutaj? - dopytał Ray, przysuwając się bliżej Maggie.

- Niby nic, ale to mi się wydaje jakies znajome. Po prostu te jesienne mgły... dają wiele do myślenia.

- Ale są jak najbardziej normalne - oznajmił Steve. - Jeśli widzisz w nich niewytłumaczalne zło, to chyba coś ci we łbie przeskoczyło.

- Co jak co, to koniec tej krótkiej historii... Kiedy przychodziła taka mgła, zawsze ktoś znikał. W moim życiu miało to miejsce kilkanaście razy...

- Oby tym razem było inaczej, he, he... - zarechotał Luke, dojadając kolację. - Ray... chyba dziewczyny chcą już spać.

Obaj mężczyźni zwrócili uwagę na Maggie i Sarah, które ledwo dojadły swoje szaszłyki i jednocześnie ziewnęły. Zainspirowało to ich, aby postawić je na nogi i odprowadzić do muscle cara.

Kiedy kobiety położyły się na tylnym siedzeniu auta, Ray przykrył je kocem. Następnie zamknął drzwi samochodu i niespodziewanie położył prawą dłoń na ramieniu Luke'a.

- Musimy pogadać - oznajmił bardzo poważnie.

- Chris, Steve... - odpowiedział Roussel do towarzyszy. - Już jestem po kolacji. Pójdę teraz z Rayem na pogawędkę. Dzisiaj mamy wszystko gdzieś, ale jutro wstajemy z samego rana. Od razu jedziemy do Greenwoods. Dacie sobie radę?

- Spieprzajcie - odparł żartobliwie Williams, wykonując gest odepchnięcia ręką. - Dobrej nocy.

Na te słowa Luke i Bennett przytaknęli i niezwłocznie zaczęli zmierzać w stronę jeziora. Poza tym Ray, korzystając z okazji, zapalił papierosa.

W momencie gdy mężczyźni doszli nad wodę, zwrócili uwagę na z wolna wychodzący zza chmur księżyc. Czarnoskóra mężczyzna głośno westchnął i zaciągnął się kolejną porcją dymu.

- Wiem, co czuje do ciebie Maggie - krótko oznajmił.

- Chcesz mi z tego powodu przywalić? - spytał Luke, siadając przy jeziorze.

- Ech... nie - westchnął Ray, zmierzając w stronę towarzysza. - To nie twoja wina. Dziewczyna poza tobą świata nie widzi. Znam ją od bardzo dawna i po jej zachowaniu potrafię odgadnąć, o czym ona myśli.

- Co masz na myśli?

- Po prostu masz jej nie skrzywdzić - odparł Ray, siadając obok Luke'a, po czym zdjął swoje trapery. - Kurewsko zimna ta woda.

Mężczyzna kilkakrotnie musnął palcami toń jeziora. Roussel także ściągnął swoje buty, aby być solidarnym ze swoim kompanem.

- Nadciąga zima... - oznajmił, maczając stopy w wodzie. - Ale mów jaśniej, o co ci chodzi?

- Sprawa jest taka... że Chris może czasem gada od rzeczy, ale w tym bełkocie jest reguła. Nie wiem dlaczego, ale coś złego przeczuwam.

- Nie mów, że ty także masz coś do Greenwoods?
- nie ukrywając zdziwienia, zapytał Luke.

- Nie wiem, jak to, co on czuje, działa, ale tak jest. Słuchaj... jeśli coś złego mnie spotka... to, kurwa, obiecaj, że zaopiekujesz się Maggie.

- Jeśli zajdzie potrzeba, to każde z was ma u mnie wsparcie. Jesteście dla mnie jak rodzina... poza tym zrobię absolutnie wszystko, aby was obronić.

- Dobrze wiedzieć - odparł Ray, niemal dopalając papierosa. - Wiesz co... od naszego poznania pod Spring Creek nie przepadałem za tobą. Z czasem jednak zacząłeś mnie do siebie przekonywać. Poza tym gdyby nie ty, to gównu spod Czarnej Góry by mnie dopadło. Niezapomniane polowanie...

Na te słowa Luke się uśmiechnął.

Niespodziewanie odebrał papierosa z rąk Raya i zaciągnął się dymem. W efekcie zaczął mocno kaszleć. Kiedy doszedł do siebie, cisnął peta w jezioro.

- Kiedyś paliłem... Rzuciłem ten syf jakiś czas temu. Wiesz, że cierpię na amnezję, ale, na szczęście, ona już prawie przeszła.

- A pamiętasz swoją żonę? Nicole Roussel?

- Fajnie, że o nią zapytałeś. Poprzedniego ranka przypomniałem sobie jej twarz. Ona jest w moim wieku...

- Czekaaj, czekaaj... - wtrącił Ray, wyciągając następnego papierosa. - Spokojnie i ze szczegółami. A jak spalę, od razu idę spać.

- Jasna sprawa. Więc jest w moim wieku. Ma proste, do ramion, włosy... chyba brązowe. Oboje mamy takie same błękitne oczy...

- No proszę, to dość ciekawe... - odrzekł Ray, puszczając dymka. - Jedziesz dalej.

- Smukła twarz, prosty nos i przenikliwe spojrzenie... poza tym świetny charakter.

- A dokładniej?

- Nicole jest dociekliwa, wierna, kochająca i czasem humorzasta. Poza tym ma to coś, czego wielu ludzi mogłoby jej pozazdrościć. Jest zdeterminowana w realizacji swoich celów.

- Tak samo jak i ty - oznajmił Ray, dopalając

papierosa. – Przynajmniej tak cię widzę.

– Nicole nie idzie nie kochać... ona też jest stała w uczuciach. W każdym razie zamierzam do niej wrócić... nic i nikt mi w tym nie przeszkodzi.

– Nawet Maggie?

– Nawet Maggie...

Po tych słowach mężczyźni zaczęli wpatrywać się w gromadzącą się nad jeziorem gęstniejącą mgłę. Na chwilę zapomnieli o swoich zmartwieniach i podziwiali zawieszony nad taflą opary. Przy okazji wyczuli niespodziewany wzrost temperatury.

– Chociażbym góry przenosił i zabił wszystkich przeciwników na mojej drodze, odnajdę swoją żonę – spokojnie oznajmił Luke. – I nikt mi w tym nie przeszkodzi...

– He, he... jak tak dalej pójdzie, to sam pojedę z tobą do Europy – zarechotał Ray. – No dobrze... wracajmy do reszty. Fajnie, że pogadaliśmy.

– Nie ma sprawy – odparł Luke, wstając i podając dłoń kompanowi.

Podróżni niezwłocznie poszli do reszty swojej grupy. Kiedy ujrzeli, że męska część zasnęła przy ognisku, możliwie cicho wsiedli do muscle cara i zajęli przednie siedzenia. Następnie przypięli się pasami, a po kilkunastu minutach dopadł ich głęboki sen.

Zaczął świtać. Pomimo pochmurnej pogody tego poranka było dość ciepło. Temperatura wynosiła około dziesięciu stopni powyżej zera. Przez takie warunki powstała dość gęsta mgła. Widoczność spadła do kilku metrów.

Pierwszą osobą z grupy, która się obudziła, był Chris. Kiedy otworzył oczy, nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Z miejsca, w którym stał, niemożliwe było dostrzeżenie jeziora oddalonego o zaledwie kilkanaście metrów.

Niespodziewanie mężczyzna zauważył zmierzającą w jego kierunku Maggie. Kobieta wyglądała na niewyspaną. W dłoniach trzymała sześć konserw z jedzeniem.

- Cześć, Chris - rozpoczęła rozmowę, siadając obok kompana. - Tylko ty jesteś na nogach?

- Na to wygląda... - odparł mężczyzna, odbierając jedną puszkę z prowiantem.

Kiedy spojrzał na opakowanie, zwrócił uwagę na plaketkę. Po jej przeczytaniu wiedział, że otrzymał na śniadanie mieszankę fasoli, kukurydzy i groszku.

- Dzięki, ale i tak nie mam czym tego otworzyć - oznajmił, odkładając puszkę na ziemię.

- To może poczekać, aż wszyscy wstaną. Mam tu jeszcze coś dla ciebie.

W tym momencie kobieta podała Chrisowi butelkę wody, którą wyjęła spod bluzy. Wyciągnęła

także drugą dla siebie. Następnie zwilżyła gardło, wypijając kilka łyków płynu.

- Do tego nie potrzeba otwieracza - dodała. - Poza tym ty i Steve spaliście dzisiaj na dworze. Nie zmarzliście?

- O dziwo nie - odparł Chris, przy okazji pijąc kilka łyków z darowanej mu butelki. - To chyba przez pogodę... coś mi się w niej nie podoba...

- Nie marudź, przynajmniej jest ciepło. Trzeba z tego korzystać, póki możemy. Jak myślisz, kiedy spadnie śnieg?

- W tych rejonach nie wcześniej niż za miesiąc. Ale im dalej na północ, tym szybciej. W Greenwoods będziemy musieli zapytać o jakieś osady lub miasta nad oceanem.

- Zachodnie wybrzeże to jedno wielkie rumowisko. Z kolei przy granicy aż świeci od promieniowania. To nie wróży nic dobrego.

- Przynajmniej nie jesteśmy w górach. Mówiąc szczerze, trochę mi one obrzydły.

- Ech... jeszcze niejedną górę pokonamy... - westchnęła Maggie i dopiła wodę. - Zachodnia Ameryka to jedno wielkie pasmo, przez które będziemy musieli się przedrzeć. Wiesz co... po prostu docenimy to, co mamy. I nie wiem jak ty, ale ja pójdę wziąć kąpiel.

- Woda prawdopodobnie jest zimna -

przypuszczał Chris, drapiąc się po zaroście. – Ja sobie dzisiaj odpuścę.

– W takim razie to nie twoje zmartwienie – oświadczyła Maggie, wolnym krokiem idąc w kierunku jeziora. – Tylko nie zaczynajcie śniadania beze mnie. Niedługo wrócę.

Kiedy kobieta zmierzała nad wodę, z samochodu wyszedł Luke. Mężczyzna delikatnie zamknął drzwi hummera, kilkakrotnie strzelił karkiem i ziewnął. Następnie spojrzał w stronę pozostałości po ognisku i widząc siedzącego przy nim Chrisa, podszedł do mężczyzny. Usiadł tuż obok wciąż śpiącego Steve'a i wyjął z kieszeni butelkę wody.

– Tak głośno gadaliście, że mnie obudziliście – oznajmił. – Dziwne, że wszyscy jeszcze śpią. Gdzie Maggie?

– Nad jeziorem – odparł krótko Chris. – Przyniosła nam kilka puszek na śniadanie.

Luke spojrzał w stronę, w którą poszła kobieta. Jedyne, co wypatrzył, to zarysy jej sylwetki. Mgła uniemożliwiała rozpoznanie większej ilości szczegółów.

– Kazała nam na siebie poczekać ze śniadaniem – dodał Chris, dopijając swoją wodę.

– Nigdzie nam się nie spieszy... Poczekamy, aż wszyscy wstaną, i wtedy zaczniemy jeść. Tak w ogóle to pogoda jakoś dzisiaj nie rozpieszcza, nie uważasz?

- Z każdym dniem będzie coraz gorzej... Niedługo musimy sobie kupić cieplejsze ubrania. Te bluzy od Denhamów niewiele pomogą, jak przyjdą pierwsze mrozy...

- Na szczęście mamy jeszcze samochody - oświadczył Luke, po czym otworzył swoją butelkę wody.

Po wypiciu kilku łyków spojrzał na Steve'a, który niemrawo próbował stawać na nogi.

- M-moglibyście być chociaż trochę ciszej? - wymamrotał, upadając jednak na tyłek. - A taki fajny miałem sen...

- Opowiesz? - spytał z udawaną ciekawością Luke.

- Byłem nad wodą i miałem tam swój dom. Czuję ciepło i wszystkiego mieliśmy pod dostatkiem.

- Wy, czyli kto? - dopytywał Chris.

- Aaaaa, ja i Cass... Tylko nie mówicie nic Sarah. Wiecie, jak moja siostra reaguje, kiedy słyszy to imię.

- Za późno, braciszku - oznajmiła kobieta, podchodząc z Rayem do trójki mężczyzn. - Znowu o tej suce gadasz?

- Jesteś przewrażliwiona - oświadczył Steve, wstając i powoli idąc do muscle cara. - Zaraz wrócę.

- Gdzie jest Maggie? - zapytał Ray, rozglądając się dookoła.

- Nad jeziorem - odpowiedzieli równocześnie Luke i Chris.

- Rzeczywiście... - powiedział entuzjastycznie Ray, widząc we mgle zarysy swojej przyjaciółki. - A co mamy dzisiaj na śniadanie?

- To będzie puszka miks - odparł Chris, rozdając wszystkim przyniesione przez Maggie konserwy. - Fasola, groszek i kukurydza. Fasola, co siły doda, groszek zdrowy i zielony i kukurydza, której nikt nie wybrzydza.

- Wiesz co... lepiej daruj sobie takie pseudorymowanki, które nawet nie są do nich podobne. - Zaśmiał się Luke. - Poczekajcie na dziewczynę, a ja otworzę puszkę.

Po kilku minutach kobieta zakończyła kąpiel. Niezwłocznie nałożyła ubranie i będąc lekko przemoczona, podeszła do reszty podróżnych. Ray podał przyjaciółce puszkę z jedzeniem, a następnie pobiegł do samochodu po koc. Po kilkunastu sekundach wrócił i położył go na plecach przyjaciółki. Kiedy wszystko zostało już zrobione, każdy rozpoczął śniadanie.

Po posiłku podróżni wyrzucili puste opakowania i podeszli do swoich pojazdów. Luke i Chris zajęli miejsca w hummerze, rodzeństwo Williamsów w muscle carze, a Ray i Maggie usiedli na motocyklach. Kiedy samochód prowadzony przez

Roussela ruszył, reszta uruchomiła silniki i zaczęła podążać w stronę głównej drogi. Po chwili wszyscy pokonali błotnisty wyjazd, wjechali na asfalt i skręcili na północ. Od tej pory kontynuowali podróż do Greenwoods.

Przez najbliższe kilkadziesiąt kilometrów podróżni jechali po popękanej asfaltowej drodze, mijając gęste mieszane lasy, prerie i mokradła. Z każdą minutą krajobrazy były coraz lepiej dostrzegalne, gdyż mgła zaczynała się przerzedzać. W końcu widoczność tak się poprawiła, że wszyscy mogli zobaczyć obiekty oddalone o kilkaset metrów. Czasem mijali pojedyncze zabudowania, takie jak domy jednorodzinne i obiekty gospodarcze. Jednak budynki sprawiały wrażenie od jakiegoś czasu niezamieszkałych.

Konwój nieprzerwanie jechał dalej. Po pokonaniu kolejnych pięćdziesięciu kilometrów podróżni wjechali na łąkowe tereny. Szutrowe, odbiegające od głównej trasy drogi świadczyły o tym, że jeszcze nie tak dawno temu ktoś w tym miejscu mógł hodować uprawy lub paść bydło. Dziko rosnące kłęby zbóż lub puste, ogołoczone z roślinności hektary ziemi były dowodem na to, że kiedyś to miejsce ujarzmił człowiek. Obecnie natura zaczynała przejmować, co pierwotnie należało tylko do niej.

W pewnym momencie droga, po której jechali podróżni, z dwupasmowej przeszła na czteropasmową. Była w bardzo dobrym stanie i wyglądała, jakby ktoś niedawno ją odnowił.

Z każdym następnym kilometrem działalność człowieka była coraz bardziej widoczna. Takie znaki upewniły podróżnych w przekonaniu, że niedługo dojadą do celu. Do miasta o nazwie Greenwood.

W pewnym momencie Luke dostrzegł miejskie zabudowania. Stały one tuż za szeroką rzeką, przez którą przebiegał długi most. Cywilizację oddzielał wysoki na kilka metrów betonowy mur. Kilkanaście budynków było zza niego lepiej widocznych od reszty, gdyż okazały się nimi kilkupiętrowe wieżowce.

Tuż przed mostem podróżny przyuważył niewielki zjazd i nadrzeczną polanę. Ku jego zdziwieniu, zaraz za znakiem „Greenwoods”, który właśnie mijał, ktoś umieścił także drugi komunikat. Na tabliczce przybitej do drewnianego słupa wygrawerowano napis „Rzeka Fraser”.

Na ten widok Luke zareagował dość entuzjastycznie. Ponadto włączył sygnalizator, aby poinformować resztę, że zamierza skręcić. Wszyscy w końcu zjechali z trasy i zatrzymali się nad wodą. Kiedy pojazdy stanęły, kierujący nimi wyłączyli silniki i podeszli nad rzekę.

Przed sobą widzieli miasto Greenwood.

- Nie tak to sobie wyobrażałem - oznajmił Ray, patrząc na betonowy mur. - To mi wygląda zbyt podejrzanie...

- A ja uważam, że trochę przesadzasz - stwierdził Luke. - To pewnie przez tę mgłę. Moim zdaniem miasto jest po prostu bardziej spokojne niż Hopetown. Zresztą i tak tam wjedziemy.

- Jesteś tego absolutnie pewien? - dopytywał Chris. - Co jak co, ale otwarta na oścież brama wjazdowa... tak normalni nie postępują...

Podróżni spojrzeli w kierunku, który wskazał im mężczyzna. Ujrzeni puste roгатki i pozostawiony bez nadzoru wjazd do miejscowości. Nie było nikogo w okolicy.

- Chcecie teraz zawrócić i błąkać się po okolicy, nie wiedząc, gdzie jechać dalej? - spytał Steve, nie kryjąc oburzenia. - Zresztą, o ile pamiętacie, jedziemy na oparach benzyny. Nieważne, co wymyślimy, musimy zmierzać na północ.

- On ma rację - przytaknął Williamsowi Luke. - Jeśli tam nie trafimy, równie dobrze możemy zostawić wszystko i iść na piechotę. Teraz niech ktoś mi powie, gdzie, do jasnej cholery, mamy dotrzeć?

Nikt nie odpowiedział. Niemal wszyscy pokiwali przecząco głowami, wyciągnęli broń i ją odbezpieczyli. Luke, widząc, co robią jego towarzysze, również wyjął pistolet i sprawdził

magazynek.

- Wiecie, że nie powinniśmy działać zbyt pochopnie - oznajmił, przeładowując broń. - Bez względu na wszystko strzelamy tylko w ostateczności. Zresztą tam, po drugiej stronie, na pewno są ludzie, którzy nas przyjmą. To nie pieprzona Ameryka, żeby zaraz ktoś próbował nas pozabijać.

- Nie zapominaj, w jakich czasach żyjemy - wtrąciła Sarah. - Może jest tu bardziej normalnie niż na południu, ale pamiętaj, że ludzie są wszędzie tacy sami. Daj im trochę wolności i samowoli, a z czasem podejmą się okropnych rzeczy. Pamiętaj też, że każdy burmistrz, prezes, prezydent czy kierownik to inne zasady. Nie wiemy, z czym mamy teraz do czynienia.

- Coraz bardziej wam chyba odbija... - z niedowierzaniem stwierdził Steve. - Do kurwy nędzy, nie mamy wyjścia! Nawet nie wiem, po jaką cholereę teraz drzemy koty.

- Sam drzesz koty - odgryzła się mu Maggie. - Nas w to nie mieszaj.

- Że co... że teraz to ja jestem ten zły i niedobry?! Spójrz prawdzie w oczy! Nie mamy wyjścia...

- Morda! - niespodziewanie krzyknął Luke.

Wszyscy momentalnie umilkli i spojrzeli na podróżnego. Zapadła grobowa cisza, a Roussel zaczął chodzić dookoła grupy. Zdenerwowany drapał się

lufą pistoletu za uchem i niezrozumiale mamrotał coś pod nosem.

- Czy ktoś ma lepszy pomysł niż Greenwoods? - w końcu zapytał. - Jeśli tak, to słucham. Możemy to teraz przedyskutować.

- Jakie mamy opcje? - zapytał Steve. - Jedna to po prostu tam wjechać.

- Druga to rzucić wszystko, obejść to miejsce i iść dalej na północ - oznajmiła Sarah.

- A trzecia? - spytał, nie kryjąc oburzenia, Luke. - Wrócić do Hopetown? Kto chce, może tam pojechać. Cokolwiek postanowicie, ja będę tutaj. Nieważne, co tam na mnie czeka. Teraz nie mogę dać za wygraną.

Niespodziewanie z jego czoła spłynęło kilka kropel potu.

- Dobrze wiecie, gdzie jadę... - powiedział, opierając się o hummera. - Wiecie, że chcę wrócić do domu i odnaleźć Nicole. Greenwoods to dla mnie jedyna szansa, aby iść dalej i mieć chociaż cień nadziei, żeby wrócić do żony. Przepraszam, że na was nakrzyczałem, ale wiecie, że muszę to zrobić. Jeśli chcecie, zbierzemy resztki paliwa i zatankujemy jeden samochód. Możecie nawet zabrać hummera, nie obchodzi mnie to. I wiecie co... zrobmy głosowanie.

- Przypadkiem nie za bardzo przesadzasz...? - próbował powiedzieć Chris.

- Nie! Jest za duży spór między nami. Kto będzie za tym, żeby pojechać stąd lub żeby iść dalej ze mną, niech podniesie rękę, a kto jest przeciw, niech zamknie mordę. Kto się wstrzyma, idzie dalej. Moim zdaniem to sprawiedliwe. Zaczynamy?

- Nie poznaję cię - stwierdziła Maggie, podchodząc do Luke'a. - To do ciebie niepodobne.

- A u was dziwna jest ta niepewność - odpowiedział jej Luke, chowając pistolet do kieszeni. - Jeszcze tyle wątpliwości w was nigdy nie widziałem.

- To całe głosowanie jest niepotrzebne - oznajmił Ray. - Maggie chce jechać z tobą, więc ja też. O ile dobrze pamiętam, Chris obiecał, że będzie z tobą na dobre i na złe. Teraz pytanie brzmi: co zrobią Williamsowie?

Steve i Sarah spojrzeli na siebie. Po kilku sekundach milczenia przytulili się, a Williams nieoczekiwanie zaczął głośno rechotać.

- Po jaką cholerę ta rozmowa - powiedział radośnie. - Muszę wam w sumie pogratulować. Właśnie przeszliśmy przez pierwszy kryzys w zespole.

- I oby ostatni - odparł Luke.

- A walić konsekwencje! - krzyknął Chris, siadając na masce hummera. - Na przyszłość darujmy sobie takie sceny. Komu to potrzebne? Najważniejsza jest przyjemna podróż. Co będzie później, czas pokaże. Tymczasem jedźmy do tego

Greenwoods, bo jak tu dłużej zostaniemy, to w końcu ktoś zmieni zdanie i skoczmy sobie do gardeł.

- Czy wszystkim nasz plan odpowiada? - dopytywał się Luke. - Wiecie... jak chcecie, to możecie...

- Morda! - krzyknął Ray w taki sam sposób, jak zrobił to podróżny. - Wracamy na drogę. Koniec rozmowy.

Po tych słowach na twarzy Luke'a pojawił się uśmiech, a mężczyzna zaczął wolnym krokiem wracać do samochodu. Tuż za nim szedł Chris, który, gdy zajął miejsce w hummerze, wyjął ze schowka maczetę. Następnie podał ją kompanowi i zapiał pasy.

- Lepiej, żebyś na wszelki wypadek miał to przy sobie - oznajmił.

- O ile się cokolwiek wydarzy - odparł Luke, wsuwając maczetę za pasek od spodni.

Kiedy wszyscy byli gotowi do wyjazdu, Roussel ruszył z miejsca i ponownie wjechał na główną drogę. Następnie skręcił w stronę mostu prowadzącego do Greenwoods. Tuż za nim w kierunku miasta zmierzała reszta jego grupy.

Konwój powoli przejechał przez most i minął otwartą na oścież bramę miasta. Widok, jaki wszyscy potem zobaczyli, wprowadził ich w osłupienie. Domy, chodniki i ulice nie wyglądały na zamieszkałe. Trawy

bujnie porastały okoliczne ogródki. Opadłe z drzew liście były nieuprzątnięte. Samochody stały zaparkowane, jakby niedługo ich właściciele mieli nimi gdzieś wyjechać, jednak wszechobecna cisza utwierdzała podróżnych w przekonaniu, że w Greenwoods nikt nie mieszkał.

W pewnym momencie grupa dostrzegła po swojej prawej stronie jednopiętrowy drewniany budynek. Slogan, który wszyscy właśnie mijali, wskazywał drogę do Zielonego Zajazdu. Luke zachęcony tym komunikatem zboczył z głównej drogi i zaczął kierować się ku motelowi.

Budynek, przy którym stanął konwój, wyglądał dość dobrze. Jego czerwone dachówki i pomalowane tym samym kolorem balustrady sprawiały wrażenie, jakby ktoś niedawno o nie zadbał. Zaparkowane na wielkopowierzchniowym parkingu samochody stały na wyznaczonych do postoju miejscach i trudno było podróżnym znaleźć wolne stanowiska. Pomimo chwilowych komplikacji w końcu wypatrzyli wolny fragment placu. Luke, Steve, Ray i Maggie zaparkowali pojazdy i wyłączyli silniki. Następnie każdy wyszedł na zewnątrz i zaczął zmierzać w kierunku drzwi motelu, przy których wisiał wyraźny, ostro pomarańczowy napis „Recepcja”.

- Oby ktoś tam siedział - powiedział Chris, podbiegając do Luke'a i unosząc obrzyna.

- Jak nie zapukamy, to nie będziemy o tym wiedzieć - odparł Luke, rozglądając się dookoła.

Wszyscy wyrównali krok i z niepokojem zaczęli obserwować lekko zamgloną okolicę.

- Co tu się stało... - zapytała jakby sama siebie Sarah, zwalniając tempo i jakby chowając się za bratem.

- Może zaraz będziemy wiedzieć - odparł Steve, jednocześnie wyciągając ostrze wakizashi.

- To nasza pamiątka, braciszku. Nie powinienes...

- Sarah, wiesz, że cię kocham i nie pozwolę nikomu cię skrzywdzić. Siedź cicho i rozglądaj się dookoła.

W momencie gdy grupa podróżnych dotarła pod drzwi recepcji, Luke ręką pistoletu kilkakrotnie w nie zapukał i zaczął nasłuchiwać jakichkolwiek sygnałów. Jednak po kilkunastu sekundach odpuścił i usiadł na ziemi.

- Ech... nikogo nie ma - westchnął, spoglądając na resztę towarzyszy. - Co teraz?

- Jak już tu jesteśmy, nie powinniśmy dawać za wygraną - oznajmił Steve, siadając koło Luke'a. - Aczkolwiek nie wygląda to zbyt dobrze.

- Jeśli będziemy cicho, powinniśmy być bezpieczni - oświadczył Chris. - Luke, dobrze pamiętasz Baker City...?

- Głupio pytasz - odparł podróżny, przy okazji

wyciągając maczetę. – A mówi ci coś imię Samantha?

Na te słowa Chris, Maggie i Ray wyraźnie posmutnieli. Czarnoskóry mężczyzna zapalił papierosa, a kobieta, wraz z Williamsami, zaczęła wracać z powrotem na parking.

– Najważniejsze, że ją godnie pochowaliśmy – oznajmił Ray, puszczając dymka. – To nie nasza wina, że zginęła. Wojska ASO nie miały litości.

– Ech... na ASO nie ma rady... – westchnął Luke. – Na szczęście coraz bardziej się od nich oddalamy. Oby tylko to, co widzimy, to nie była ich robota.

– Przeczuwasz rozkłaże? – zapytał Chris.

– Sam nie wiem... Taki obraz widzieliśmy w Oregonie. Jeśli coś takiego także tutaj spotkamy, poradzimy sobie. We dwóch daliśmy radę, więc czemu teraz miałoby nam nie wyjść? Pytanie tylko, co zrobimy dalej... jedziemy na oparach benzyny.

– Jeśli mamy zmierzać na północ, to taki kurs powinniśmy obrać – oświadczył Chris. – Jedyne, co budzi we mnie wątpliwości, to przejazd przez to miasto.

– Więc jaki jest plan? – spytał Ray, dopalając papierosa.

– Po prostu róbmy, co trzeba – odparł Luke, wzruszając ramionami. – Szukamy północnej bramy. Jak ją znajdziemy i będzie otwarta, od razu uciekamy z tego miejsca. Jeśli będzie inaczej, znajdziemy inną

drogę. Musimy być na wszystko przygotowani.

- Lepiej trzymać broń w pogotowiu - oznajmił Chris, przy okazji sprawdzając, czy w jego obrzynie są naboje. - A jeśli coś się stanie, to jakie ustalimy miejsce spotkania?

- O tym nie pomyślałem... - odrzekł Luke. - Po prostu jedźmy główną trasą na północ i miejmy na siebie oko. Zresztą skąd takie przeczucia?

- Profilaktyka - entuzjastycznie oznajmił Chris. - OK, nikogo nie ma w motelu. Zaczynamy akcję?

- Nic innego nam nie pozostało... - powiedział Luke, wstając, po czym poklepał Raya po ramieniu. - Zobaczmy, co Greenwoods dla nas przygotowało...

Mężczyźni niezwłocznie odeszli od Zielonego Zajazdu i dołączyli do reszty. Kiedy Luke i Chris ponownie siedzieli w hummerze, podróżny próbował uruchomić silnik. Kilkakrotnie przekręcił kluczyk w stacyjce. W końcu po kilku sekundach udało mu się odpalić samochód i mógł jechać dalej.

Tymczasem Ray podszedł do swojego motocykla, przy okazji mijając Maggie. Instynktownie pocałował ją w policzek. Kiedy Steve ruszył muscle carem, pojazdy prowadzone przez czarnoskórego mężczyznę i jego przyjaciółkę zaczęły jechać ich śladem. Tym samym grupa opuściła teren motelu, rozpoczynając plan przeprawy przez miasto.

Konwój nieustannie jechał główną drogą.

W trakcie powolnego przejazdu wszyscy uważnie obserwowali okolicę. Ich uwagę zwróciły przydrożne domostwa przy wysokim na kilka metrów murze. Obiekty były co prawda opuszczone, ale ich stan nie wskazywał na to, że je zaniedbano. Jedynie teren wokół nich wyglądał, jakby nikt tym miejscem od dawna się nie zajmował.

W końcu podróżni dojechali do pierwszego na ich trasie rozwidlenia głównej drogi. Luke, nie wiedząc, co zrobić, skręcił w prawo, w głąb miasta. Reszta grupy posłusznie za nim podążała, jednak każdy jeszcze bardziej wzmógł czujność.

Po chwili grupa mijiała po prawej niewielki brzozowy lasek. Na ten widok Luke lekko przyspieszył hummera. Sprawiał wrażenie, jakby chciał opuścić to miejsce jak najszybciej.

- Jak tak dalej pójdzie, wyjedziemy stąd w kilkanaście minut - oznajmił. - Pieprzony James... oszukał nas.

- „Po jakie licho tam jedziecie” - zacytował Chris.
- Mówi ci to coś? Teraz masz kolejny dowód, że intuicja mnie nie zawodzi.

- Być może coś w tym jest... Chyba trzeba po prostu ci bezgranicznie zaufać.

- Chyba...? Kurwa mać, z tobą tak zawsze.

- Heh... już taki jestem. Musisz do tego przywyknąć. Chociaż człowiek może dokonać w sobie

zmian, ale tylko z własnej woli. Przykładowo, jakoś mnie nie obchodzi, co mi ktokolwiek radzi... Po prostu jestem autentyczny i nie będę robił tak, żeby się komukolwiek przypodobać.

- To chociaż rozwiń koncepcję dalszej podróży. Dojeżdżamy do następnego rozwidlenia.

W tym momencie Luke przestał obserwować opuszczone domostwa i ponownie spojrzął na drogę. Dalsza podróż była możliwa jedynie w dwóch kierunkach: prosto lub w lewo.

Podróżny zdecydował, że postawi na drugi wariant. Po lewej aktualnie mijał przydrożną knajpę, kino i stację benzynową, a po prawej kompleks luksusowych domów w zabudowie szeregowej. Ich dachy miały szary odcień, a ściany beżowy kolor. Wszyscy zwrócili także uwagę na utrzymane w nienagannej czystości okna i ślady opon na trawniku.

- Lepiej wbij wyższy bieg, bo zaraz się coś chyba wydarzy... - oznajmił Chris, mocniej chwytając za klamkę drzwi hummera.

- Kiedy nie wiemy, gdzie jechać dalej ... - nerwowo odrzekł Luke, rozglądając się dookoła. - Nie będę zapieprzał przez osiedla, nie wiedząc, gdzie dokładnie jest wyjazd z miasta.

- Nie o to mi, kurwa, chodzi - oświadczył Chris, wyciągając palec w kierunku jednego z tarasów. -

Gaz do dechy!

Roussel spojrział w stronę, którą wskazał mu towarzysz. Za jednym z okien stał ubrany w zielony mundur człowiek. Miał przy sobie wycelowaną w stronę konwoju broń długolufową.

Niespodziewanie pociągnął za spust, oddając w stronę podróżnych strzał.

Kula trafiła w przednią oponę motocykla prowadzonego przez Maggie. Kobieta momentalnie zaczęła tracić panowanie nad pojazdem i po kilkudziesięciu metrach upadła na asfalt. Ray, widząc, że jego przyjaciółka jest w poważnych tarapatach, zatrzymał się i od razu pobiegł w jej stronę. Kiedy do niej dotarł, dostrzegł, że kobieta leży na ziemi i nie może wstać. Niezwłocznie ją podniósł, zarzucił na plecy, a potem zaczął uciekać na zachód.

Zanim mężczyzna zdążył przemknąć między budynkami, padły kolejne strzały. Szczęśliwie żadna z kul go nie trafiła. Ray Bennett i Maggie Paylor chwilowo uniknęli zagrożenia i po kilku sekundach zniknęli w głębi Greenwoods.

Kierowcy hummera i muscle cara wyraźnie przyspieszyli pojazdy. Jednak to niewiele pomogło, gdyż dwa skrzyżowania dalej padły kolejne strzały. Tym razem za cel ataku obrano samochód Williamsów. Feralnie dla Steve'a w jego auto trafiło kilkanaście pocisków. Mężczyzn robił, co mógł, aby

utrzymać sterowanie, jednak ostatecznie stracił panowanie nad kierownicą. Jego wóz wjechał na niewielki parking i po odbiciu od krawężnika zahaczył o kilka zaparkowanych samochodów. Ostatecznie musiał staranować szklane drzwi budynku, który okazał się dwukondygnacyjnym centrum handlowym.

Z kolei Luke i Chris, ignorując wszystko, dalej jechali prosto, mijając kolejne zabudowania. Nieznani napastnicy nadal do nich strzelali. To zmotywowało podróżnego do naciśnięcia gazu do oporu, jednak nadmierna prędkość w niczym nie pomogła. Niespodziewanie ktoś użył granatnika i wycelował w hummera. Eksplozja miała miejsce tuż obok prawego przedniego koła samochodu. To sprawiło uszkodzenie przedniej osi pojazdu. Mimo to Luke nie zwolnił i wykorzystując pęd samochodu, dopiero zahamował przed czteropiętrowym białym biurowcem.

- Chris! - krzyknął do wychodzącego na zewnątrz towarzysza.

Mężczyzna, ignorując Luke'a, zdołał jedynie chwycić swojego obrzyna i zaczął uciekać na zachód. Po kilku sekundach zniknął we mgle.

Luke, będąc atakowany przez nieznanych mu sprawców, przeładował pistolet i czekał na ustanie strzałów. W momencie gdy napastnicy wstrzymali

ogień, Roussel wyskoczył na ulicę, a następnie zaczął celować do wroga na oślep i uciekać na wschód. Kiedy oprawcy wznowili atak, odpowiedział, kilkakrotnie strzelając. Ostatecznie zbiegł z miejsca zdarzenia, cudem unikając obrażeń.

Podróżny nieustannie biegł przed siebie. Obecnie znajdował się na ulicy typowo handlowo-usługowej. Po obu stronach mijał parterowe i piętrowe sklepy z żywnością i ubraniami, kawiarnie, restauracje, zakłady fryzjerskie, punkty sprzedaży broni i wiele innych miejsc, z których niegdyś korzystali mieszkańcy Greenwoods. Teraz to miejsce wyglądało na doszczętnie rozgrabione. Powybijane szyby w witrynach sklepowych, porozrzucane na ulicy części manekinów, potłuczona zastawa i mnóstwo połamanych półek były efektem działalności szabrowników.

Luke po pokonaniu kolejnych kilkuset metrów dobiegł do sporych rozmiarów placu. Wszystkie okoliczne drzewa były połamane. Taki sam los spotkał drewniane ławki, których zielona farba częściowo wypłowiła przez działanie pogody i brak konserwacji.

Ten teren otaczały cztery bloki mieszkalne. Wszystkie zbudowano z piaskowej cegły. Każdy budynek miał płaski dach. Jedyne, co je między sobą rozróżniało, to liczba pięter. Dwa mieszczące się

naprzeciwko siebie bloki miały trzy kondygnacje, a budowle ustawione prostopadle względem nich odpowiednio po cztery i dziewięć.

Podróżny instynktownie poszedł w stronę najwyższego z budynków. Szybko go obszedł i kiedy dostrzegł wejście do klatki schodowej, bez namysłu wszedł do środka, przechodząc przez uchylone drewniane drzwi.

Będąc w budynku, zwrócił uwagę na fakt, że na każdej kondygnacji jest dziesięć mieszkań. Każde z nich było otwarte, a na drewnianej posadzce leżały połamane łóżka, stoły i krzesła. Mężczyzna nie miał zamiaru sprawdzać kolejno każdego z pomieszczeń. Świadom tego, że nie jest tutaj bezpieczny, skręcił w lewo i zaczął szybko wchodzić po betonowych schodach. Możliwie cicho pokonywał kolejne piętra, aż w końcu dotarł na najwyższą kondygnację.

Na samej górze zobaczył, że także tutaj wszystkie drzwi mieszkań są otwarte, jednak w odróżnieniu od parteru tutaj nie było porozrzucanych mebli. Ponadto okna mieszczące się na obydwu końcach korytarza były uchylone i do środka wpadał chłodny wilgotny wiatr. Przez to zwisającymi z sufitu kablami bujało we wszystkie strony.

Po kilku sekundach Luke wpadł na pomysł, aby zamknąć wszystkie drzwi na piętrze. Możliwie cicho się podjął tego zadania. Przejście wzdłuż korytarza

i dopilnowanie, aby każde przejście zostało zamknięte, zajęło mu dwie minuty. Podróżny następnie wszedł do mieszkania w środkowej części kondygnacji, które oznaczono numerem osiemdziesiąt pięć.

Kiedy wszedł do środka, zauważył, że stoi w niewielkim przedpokoju. Naprzeciwko mieścił się duży salon, od którego odchodziło dwoje pomalowanych na biało drzwi. W pomieszczeniu była także szara kanapa, niewielki stolik, czternastocalowy telewizor, półka na książki, wielka szafa na ubrania i biały, wełniany, zabrudzony dywan. Do wewnątrz wpadało jasne światło, gdyż pokój miał duże, niezastłonięte niczym okna.

Luke niezwłocznie zaczął sprawdzać pozostałe w mieszkaniu pomieszczenia. Jednym była kuchnia, której asortyment stanowiły puste szafki, zlew i lodówka, a drugim łazienka, gdzie zamontowano umywalkę, wannę i toaletę.

Miejsce generalnie sprawiało wrażenie, jakby je dawno temu splądrowano, o czym także świadczyło wiele śladów butów na dywanie.

Po szybkim przeszukaniu mieszkania podróżny zamknął drzwi wyjściowe i podszedł do okna. Kiedy przez nie wyjrzał, ujrzał plac, na którym jeszcze kilka minut temu przebywał. Z tego miejsca dostrzegł także kilka najbliższych bloków mieszkalnych,

wieżowców i sklepów. Obserwację dalej położonych obiektów chwilowo uniemożliwiała unosząca się nad miastem mgła.

Pomimo tego Luke zdołał zrozumieć, że miejscowość Greenwoods była opuszczona, a decyzja, żeby tu przyjeżdżać, bardzo zła.

Podróżny, nie wiedząc, co zrobić, położył się na kanapie. Następnie opuścił trzymany przez siebie pistolet. Potem na kilka sekund zamknął oczy i przewrócił się na prawy bok.

- To wszystko przeze mnie... - wyszeptał rozgoryczony.

Ogarnęła go bezradność i apatia. Nie był w stanie nic teraz zrobić. Jedyne, co mu pozostało, to leżeć, nasłuchiwać i czekać na dalszy rozwój wydarzeń.

Tymczasem Ray nieustannie uciekał oprawcom, niosąc na plecach Maggie. Kobieta była przytomna, ale strasznie bolały ją nogi. Mężczyzna, chcąc ją uchronić przed napastnikami, przebiegł przez teren, na którym stało kilka domków jednorodzinnych. W ten sposób pokonał trzy przecznice, dochodząc do dwóch dwukondygnacyjnych budynków. Zbudowano je z cegieł i drewna i miały one spadziste dachy.

Ray, nie zważając na zagrożenie, postanowił przebiec kolejne kilkaset metrów od miejsca, w którym zaatakowano Maggie. W tym momencie był na tyle zdeterminowany, aby zrobić absolutnie

wszystko, żeby zapewnić swojej przyjaciółce bezpieczeństwo.

Kiedy Bennett doszedł do końca ulicy, w końcu odpuścił dalszą ucieczkę. Niespodziewanie usłyszał dobiegające z oddali, charakterystyczne pomrukiwanie silników. To sprawiło, że zboczył z trasy i wbiegł do najbliższego z piętrowych budynków mieszkalnych.

Nie miał nawet czasu, aby dokładniej obejrzeć wnętrze klatki schodowej. Jedyne, na co zwrócił uwagę, to czworo zamkniętych drzwi i schody prowadzące na wyższe piętro. Mężczyzna niezwłocznie wniósł Maggie na wyższą kondygnację i podszedł do jednego z czterech mieszkań. Wciąż mając przyjaciółkę na plecach, silnym kopnięciem próbował wyważyć jedno z drzwi. Ku jego zadowoleniu zamek od razu puścił.

Ray wkroczył do środka i dopiero teraz zaczął się rozglądać. W sporych rozmiarów pomieszczeniu stał tylko tapczan i kilka pozbawionych szuflad szafek. Pokój miał również dobudowany aneks kuchenny, aczkolwiek wszystko zdemolowano. Mieszkanie nie miało nawet osobnego pomieszczenia na toaletę. Najwidoczniej była ona w innym miejscu.

- Proszę, połóż mnie na łóżku - powiedziała Maggie, ściskając mocniej Raya za szyję. - Zaraz mi ręce odpadną.

Mężczyzna od razu wykonał prośbę przyjaciółki i zaniósł ją tam, gdzie chciała. Następnie wrócił do wyjścia z mieszkania i przytknął drzwi. Potem podszedł do jednej z pustych szafek i zatarasował nią przejście. Po tej czynności nabrał kilka głębszych oddechów, a następnie wyciągnął rewolwer i usiadł obok przyjaciółki.

- Jak twoje nogi? - od razu zapytał.

- Bywało lepiej, ale wyjdę z tego. Trochę mnie poturbowało, ale nic sobie nie złamałam.

- Możesz wstać? - dopytywał się Ray. Wyciągnął skręta z paczki papierosów i go zapalił.

- Tak, ale nie każ mi tego w tym momencie robić - odrzekła Maggie, zdejmując z pleców karabin snajperski. - Co się w ogóle stało? Gdzie reszta? Gdzie Luke, Sarah, Steve i Chris?

- Ech... olali nas i pojechali dalej - westchnął Ray, wypuszczając z płuc chmurę dymu tytoniowego.

- Skurwysyny nie mają za grosz poczucia solidarności.

- Na pewno układają jakiś plan, żeby nam pomóc... - stwierdziła kobieta, odbezpieczając karabin. - Przecież nas tak po prostu tutaj nie zostawią... nie po tym, co razem przeszliśmy.

- Wszyscy są tacy sami. Johnny też się bawił naszym kosztem, ale chociaż miał jaja, żeby mówić, co mu leżało na wątrobie. Pewno też by nas wydymał,

gdyby tutaj był.

- A pamiętasz Zacka? - spytała Maggie, a na jej twarzy zagościł cyniczny uśmiech. - Niewiele mówił, a jak już coś zaczął gadać, to nie mogłam słuchać tych głupot.

- Jebany prymityw... dobrze, że szlag ich trafił w Winnemucca. Tylko źle, że posłuchałem ciebie i pojechaliśmy szukać Luke'a. Co ty w nim w ogóle widzisz?

- On nas na pewno nie zostawi. Musi mieć jakiś plan...

- Przecież, kurwa, właśnie to zrobił, nie widzisz tego?! Olał nas i uciekł z tym swoim przychlastem Chrisem. Wytrzeźwiej, kobieto!

- Możesz... mówić troszkę ciszej? - poprosiła Paylor. - Zapominasz o tym, że siedzimy teraz po uszy w gównie.

- Racja, sorry - przytaknął Ray, sprawdzając pociski w bębenku rewolweru. - Jak myślisz... zwiailiśmy im?

- Sama nie wiem... ta mgła jest teraz nam bardzo na rękę. Lecz te silniki...

W tym momencie Ray wstał i podszedł do okna. Dyskretnie przez nie wyjrzał i zaczął obserwować okolice. Pomimo stopniowego narastania odgłosów silników nie mógł zauważyć zagrożenia.

- Ech... nasze motocykle i sprzęt... - westchnął.

- Nie mieliśmy tego aż tak dużo - oznajmiła Maggie, powoli siadając na krawędzi łóżka. - Większość rzeczy została w autach.

- I do tego jeszcze nas okradli... i co my teraz zrobimy?

- Jeszcze nie wiesz, czy po nas nie wrócą. To uczciwi ludzie. Jestem pewna, że coś wymyślą.

- Jak uciekaliśmy, to słyszałem w oddali strzały - oświadczył Ray, odchodząc od okna. - Grupa, z którą mamy teraz do czynienia, jest dużo większa, niż nam się wydaje. Ilu obstawiasz?

- Co najmniej kilkanaście osób - odparła Maggie, wstając z łóżka.

- Spokojnie, bez forsowania - powiedział Ray, podchodząc do przyjaciółki.

- Przecież mówiłam, że mogę chodzić - oznajmiła kobieta i gestem dłoni zabroniła towarzyszowi, aby podszedł do niej. - Słyszysz coś?

- Nic... cisza - odrzekł Ray, odbezpieczając rewolwer.

- No właśnie, silniki zgasły. Zaczęli nas szukać na piechotę?

- Musimy jak najszybciej stąd spadać. Jeśli nikt nie wie, gdzie jesteśmy, mamy jakieś szanse, aby...

W tym momencie mężczyzna usłyszał kroki. Ktoś właśnie wszedł na parter budynku. Nieznana postać powoli chodziła po klatce i wyważała drzwi do

mieszkań. Kiedy dostawała się do środka, prawdopodobnie zaczynała przeszukiwać pomieszczenia.

- Kto to, kurwa, jest? - możliwie cicho zapytał przyjaciółkę Ray.

- Na pewno nie nasi. Myśl szybko, bo niedługo będziemy mieli problem do odstrzelenia.

- Niech tylko ten ktoś spróbuje tutaj wejść... Może mała rozmowa z nieznanym przed ewakuacją? Poza tym od dawna nikogo nie zabiłem.

- Wiesz, że ci ufam - oświadczyła Maggie, obejmując mężczyznę. - Rób, co należy, a potem nas tu nie ma.

Ray również przytulił przyjaciółkę, a potem ponownie podszedł do wyjścia prowadzącego na klatkę schodową. Odsunął szafkę, lekko uchylił drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Kiedy był pewny, że nikogo na pierwszym piętrze jeszcze nie ma, wycelował rewolwer w stronę schodów.

- Nie masz po co nas szukać na dole! - krzyknął do nieznannej osoby. - Kim jesteś i czego od nas chcesz?

Nastąpiło kilka sekund niezręcznego milczenia. Niespodziewanie nieznana postać podeszła bliżej schodów prowadzących na piętro. Podróżni usłyszeli także dźwięk odbezpieczanej broni.

- Kim jesteś i czego od nas, kurwa, chcesz? -

powtórzył Ray, dorzucając przekleństwo.

Osoba na dole zaczęła się histerycznie śmiać. Trwało to dobre kilka sekund. Potem nieznana postać głośno westchnęła.

- Już wy dobrze wiecie, kim jestem... - oznajmiła.

- Poznajecie mój głos?

- Kurwa, nie może być... - powiedziała Maggie, którą momentalnie ogarnęło przerażenie.

- Co to za koleś? - zapytał Ray.

- Słyszę, że twoja dziunia mnie kojarzy - powiedział radośnie nieznajomy. - Skarbie, może będziesz tak miła i mnie przedstawiś?

- T-t-t-to...

- To, kurwa, kto?! - krzyknął Ray.

- Mark Wilcher...

- Major Mark Wilcher, e-he-he-he... - poprawił człowiek, rechocząc. - Powiedzcie mi, proszę, jak żyliście na zapiecku niedaleko Falltown? Mam nadzieję, że sobie poużywaliście, bo dla was zabawa właśnie się skończyła.

- Stul pysk! - krzyknął Ray i oddał strzał w stronę korytarza.

- O ho-ho-ho-ho-ho... Widzę, że chojrak z ciebie. Zobaczymy, czy będziesz miał tak samo twarde argumenty, jak tam do was wejść.

- Musimy uciekać - szepnęła Maggie do Raya. - On nas pozabija...

- Jeszcze z nim nie skończyłem - odparł arogancko Bennett. - Powiedz mi, Mark... czego od nas chcesz?

- A po co od trzech miesięcy się za wami uganiam? - odpowiedział pytaniem na pytanie major. - Gdzie jest Luke Roussel?

- Spłoszyliście tego jebanego fałszywego złodzieja - odpowiedział krótko Ray.

- Nadal masz ochotę na zabawę... dobrze, niech będzie po waszemu. Mam dla was propozycję. Złóżcie broń i zejście na dół, a nic wam nie zrobimy. A jak sypniecie swojego znajomego i go dorwę, napiszę protokół do dowództwa, że zdechliście. Puf i was nie ma w papierach. Macie piętnaście sekund na odpowiedź. Czas start.

Ray spojrział na Maggie. Kobieta jedynie przecząco pokręciła głową. To spowodowało, że mężczyzna zaczął nerwowo tupać nogą.

- Zostało wam pięć sekund - przypomniał Mark. - Co zdecydowaliście?

W odpowiedzi Ray jedynie głośno westchnął i wyszedł na klatkę schodową.

- Zdychaj, śmieciu - wyrzucił z siebie i oddał trzy kolejne strzały. Pechowo trafił jednak w podłogę. O dziwo major nie odpowiedział ogniem. Ray, nie czekając na ruch przeciwnika, ponownie zamknął drzwi i zatarasował je szafką. Kiedy zabarykadował

przejście, podbiegł do okna i oddał kolejny strzał. Ostatnia znajdująca się w rewolwerze kula rozbiła szybę. Następnie mężczyzna szybko przeładował broń, wziął Maggie na ręce i bez namysłu wyskoczył przez okno. Na szczęście upadł wprost w gęsto rosnące krzaki, dzięki czemu nic sobie nie złamał.

W momencie gdy Ray próbował wstać, postawił przyjaciółkę na nogi i odruchowo próbował z nią uciec. Jednak nie przewidział, że jego plan nie był możliwy do realizacji.

Do Raya i Maggie celowało kilku żołnierzy wojsk ASO. Czterech mężczyzn trzymało karabiny wymierzone prosto w podróżnych. Napastnicy nosili wojskowe mundury i stali przy dwóch wojskowych hummerach.

- Proszę, proszę... - powiedział Mark, po chwili wychodząc z budynku. - Rybki postanowiły wyskoczyć z akwarium. Szczęśliwie złowiliśmy je w porę.

Ray i Maggie ujrzeli mężczyznę po pięćdziesiątce o krótkich, częściowo siwych, przerzedzonych włosach. Był on gładko ogolony, a uśmiech, jaki rysował się na jego zapadłych policzkach, w połączeniu z przenikliwym spojrzeniem mógł budzić niepokój. Ponadto major nosił mundur wojskowy, na którym widniał jego identyfikator.

- To? - spytał Mark, wskazując palcem plaketkę.

- Mój nowy numer. Jak mniemam Maggie Paylor? Miło poznać.

- Chrzań się, dziadu - odparła kobieta, wraz z Rayem rzucając broń na ziemię, i uniosła do góry rękę.

- Poza tym, że narozrabialiście przed przyjazdem do Falltown, kojarzę cię skądś jeszcze. Czy to przypadkiem nie wy narobiliście jakiś czas temu zamieszania w Winnemucca? Wtedy zginął porucznik Dergamo. To był uczciwy, ciężko pracujący człowiek. Zresztą nie tylko on dobrze pełnił wtedy służbę.

- Sama mu odstrzeliłam ten jego dumny łeb - oświadczyła agresywnie Maggie, spluwając w twarz Markowi.

- Przez was otrzymałem nowy przydział - oznajmił major, wycierając rękawem munduru ciekącą po policzku flegmę. - Rozpieprzyliście oddział 11-08, więc, żeby mnie jeszcze wykorzystać przed emeryturą, dano mi pod dowództwo 11-43. Zanim jednak pojedziecie z nami na małą przejażdżkę, ten czarnoskóry jegomość niech powie, jak go zwą. Fajnie jest poznawać nowych ludzi... zwłaszcza w tych ciężkich czasach...

- Pierdol się, staruchu - odparł Ray, próbując uderzyć podchodzącego do niego dowódcę oddziału ASO.

Pomimo próby został przez Wilchera

znokautowany. Mark bezbłędnie zrobił unik i wyprowadził cios, z całej siły uderzając Bennetta w brzuch. To powaliło przyjaciela na ziemię. Ponadto major dwukrotnie kopnął swoją ofiarę i podniósł z ziemi rewolwer.

- Dla ciebie też mam coś specjalnego - oznajmił, z całej siły uderzając Maggie w twarz kolbą zdobytej broni.

W efekcie kobieta straciła przytomność.

- Zabierajcie ich stąd - krótko rozkazał swoim ludziom major. - Dzisiaj zbieramy owoce tego, na co ciężko i długo pracowaliśmy. Przed nami jeszcze sporo roboty, więc ruchy, bo zostawię was sam na sam z tym sympatycznym, niedługo martwym człowiekiem.

Po tych słowach czterech żołnierzy podniosło podróżnych i wrzuciło ich oddzielnie do dwóch hummerów. Następnie grupa podzieliła się na dwie i wsiadła do osobnych pojazdów. Z kolei Mark Wilcher jedynie pomachał podwładnym na pożegnanie. Następnie wolnym krokiem odszedł w głąb Greenwoods, znikając swoim ludziom z oczu, wchodząc we mgłę...

W momencie gdy pojmano Raya i Maggie, rodzeństwo Williamsów w końcu odzyskało przytomność po wjechaniu do piętrowego centrum handlowego. Kiedy Steve otworzył oczy, od razu

rozpiął pas i sprawdził, w jakim stanie jest jego siostra. Odetchnął z ulgą, widząc, że Sarah oddycha. Kobieta kilkakrotnie kaszlnęła i także się oswobodziła. Potem otworzyła drzwi, wyczołgała się z samochodu i upadła na kafelkową posadzkę holu. Steve, nie tracąc czasu, również opuścił auto, a następnie, kuśtykając, podszedł do Sarah.

- Wszystko w porządku? - zapytał. - Co ci jest?

- N-nic, braciszku - odparła kobieta, próbując wstać. - Po prostu mam straszne zawroty głowy.

- Wszystko będzie dobrze - oznajmił Steve, podnosząc na nogi siostrę. - Wyjdziemy z tego cało. Masz moje słowo.

- N-nie możemy tutaj zostać - wymamrotała Sarah, opierając się o brata.

- Masz rację, musimy uciekać. Daj mi tylko moment, aby pomyśleć...

Mężczyzna rozejrzał się po centrum handlowym. Ujrzał szereg pustych stoisk i jeszcze więcej pozamykanych punktów sklepowych. Jedynym rozwiązaniem, aby znaleźć w budynku schronienie, było wejście na wyższe piętro. Ruchome, od dawna niedziałające schody stanowiły jedyną drogę na górę.

Steve zaczął holować swoją siostrę i zmierzać w obranym przez siebie kierunku. Przy okazji odbezpieczył pistolet i dał wakizashi Sarah. W trakcie ucieczki mężczyzna zwrócił uwagę na więcej

szczegółów. Na podłogach, ścianach, siedziskach, automatach do napojów i wielu innych przedmiotach zobaczył wiele śladów krwi. Zaniepokojony tym widokiem nieco przyspieszył kroku.

- Z-zwolnij, braciszku - z trudem powiedziała Sarah, tym razem utrzymując równowagę poprzez opieranie się o barierkę ruchomych schodów.

- Trzeba stąd szybko iść - oznajmił Steve, mocniej obejmując siostrę. - Zaraz mogą nas dopaść.

- Zostaw mnie t-tu i uciekaj - oświadczyła Sarah, potykając się o schody.

- Nie będziesz mi tu teraz tego robić - stanowczo powiedział mężczyzna i momentalnie złapał siostrę, aby nie upadła. - Zaufaj mi, a wszystko będzie dobrze.

Po tych słowach oboje z trudem zaczęli pokonywać kolejne stopnie i po kilku sekundach dotarli na wyższą kondygnację budynku.

W tym momencie Sarah spojrzała na brata. Dostrzegła, jak on w pełnej determinacji prowadzi ją w nieznanym jej kierunku. To sprawiło, że się uśmiechnęła, jednak to zadowolenie nie trwało zbyt długo.

Niespodziewanie do centrum handlowego weszło kilka osób. Rodzeństwo Williamsów w trosce o swoje bezpieczeństwo zwiększyło tempo ucieczki. Po kilkunastu sekundach doszli do solidnych

drewnianych drzwi. Steve bez namysłu je otworzył, wprowadził siostrę do środka, a następnie rozejrzał się dookoła.

Oboje stali w dużym, pełnym kartonów i metalowych półek pomieszczeniu. Sądząc po różnorodności nierozgrabionych rzeczy, można było przypuszczać, że weszli do swego rodzaju magazynu. Najróżniejsze zakurzone przedmioty wyglądały tak, jakby od lat nikt ich nie ruszał. Zarówno kojce dla dzieci, konserwy z przeterminowaną, datowaną na zeszły rok żywnością, pluszowe zabawki i wiele innych najróżniejszych rzeczy pokrywały pajęczyny.

- G-gdzie my jesteśmy? - zapytała Sarah, prawie upadając na podłogę.

- To jakiś magazyn - odpowiedział Steve, w porę łapiąc siostrę.

W tym momencie zauważył, co jej jeszcze dolega. Poza szokiem powypadkowym kobieta także krwawiła. Na jej koszulce zobaczył czerwoną plamę. Ponadto jedno z jej żeber zostało złamane i wystawało przez skórę i ubranie.

- O kurwa, o kurwa, o kurrrwa... - kilkakrotnie przeklął rozhisteryzowany Steve, kładąc siostrę na ziemi. - Sarah, nie rób gwałtownych ruchów, błagam.

Williams niezwłocznie podbiegł do najbliższego kartonu. Kiedy go otworzył, ujrzał kilkadziesiąt ciężarków o różnej masie. Ucieszony tym widokiem

zaczął pchać pudło w kierunku wejścia do magazynu.

W dosłownie ostatnim momencie zdołał przesunąć ładunek pod drzwi, gdyż po drugiej stronie znalazły się osoby odpowiedzialne za atak. Nieznani sprawcy próbowali dopaść podróżnych, jednak chwilowo nie było to dla nich możliwe.

- Sarah, bardzo cię przepraszam - oznajmił mężczyzna, po czym ponownie podniósł siostrę.

To wywołało u niej ogromny ból, przez co kobieta niemal zemdląca. Resztkami sił zdołała spojrzeć swojemu bratu w oczy.

- To nie żaden wstyd, aby dać za wygraną... - powiedziała, opuszczając głowę, po czym straciła przytomność.

- Wyjdziemy z tego, obiecuję ci to! - krzyknął Steve, dalej prowadząc siostrę.

Mężczyzna doszedł na tył magazynu. Ku jego zadowoleniu znalazł tam prowadzącą na dach metalową drabinkę. Steve ostrożnie usadowił Sarah pod ścianą, a następnie próbował wejść na górę i otworzyć klapę odgradzącą ich od dachu.

Szczęście ponownie mu dopisało. Właz został otwarty. Potem mężczyzna ponownie zszedł do swojej siostry.

- Teraz mamy szansę - powiedział, patrząc na nieprzytomną kobietę. - Musisz tylko walczyć. A ja zrobię absolutnie wszystko, powtarzam, absolutnie

wszystko, aby nic ci się nie stało.

Niespodziewanie Steve zaczął płakać. Wiedział, że teraz nie ma czasu na okazywanie słabości. Williams schował pistolet, mocno chwycił Sarah i oparł ją na swoich plecach. Wypływające z jej rany strużki krwi zaczęły brudzić jego ubranie. W tej chwili to było dla niego jednak najmniej istotne, gdyż wiedział, że musi uratować kogoś, kogo kocha.

Mężczyzna, jedną ręką podpierając siostrę, powoli zaczął wchodzić na dach. Ten proces był strasznie mozolny, ale im bliżej Steve był celu, tym szybciej mu to szło. Nie zważał też na ogromny ból, który zaczął teraz odczuwać.

Po chwili mężczyzna wszedł na dach centrum handlowego. Kiedy to się stało, zdjął Sarah ze swoich pleców i wziął ją na ręce. Zupełnie zignorował fakt, że stracił rodzinną pamiątkę, gdyż kobieta po utracie przytomności zgubiła wakizashi. Steve, nie tracąc czasu, niezwłocznie nogą zamknął włącz, a następnie podszedł do krawędzi dachu i się rozejrzał dookoła.

Przez mgłę zdołał wypatrzyć tylko najbliższe zabudowania. Zauważył opuszczony motel i wiele parterowych budynków, które niegdyś służyły dawnej społeczności Greenwoods. Ceglane obiekty wyglądały na kompletnie splądrowane, o czym świadczyły powybijane okna i zdemolowane drzwi. W tym momencie Steve zrozumiał, że wszyscy podróżni

popęlnili niewyobrażalny błąd.

W pewnym momencie Williams usłyszał głośny huk, który dobiegł z wnętrza magazynu. Zagrożający im ludzie byli coraz bliżej. Steve instynktownie położył Sarah na skraju dachu. Zrobił to nad wyraz delikatnie, aby nie sprawić siostrze dodatkowego bólu. Następnie wyjął z kieszeni pistolet i wycelował broń w stronę wejścia na dach.

- Zabiję ich wszystkich - obiecał sobie, ocierając płynące z oczu łzy.

Kiedy właz został otwarty, na dach wszedł ktoś, kogo Williams się w ogóle nie spodziewał. Mężczyzna zobaczył swojego znajomego Jamesa Zooka.

- Tylko spokojnie - rozpoczął rozmowę strażnik i zwiadowca Hopetown, powoli podnosząc obie ręce do góry. - Coś wam dolega?

- A na co ci to, kurwa, wygląda?! Mieliśmy wypadek. Co ty tu robisz?

- Przyszedłem wam pomóc - odparł James, stawiając krok do przodu. - Steve... nie rób nic głupiego. Nie chcemy twojej krzywdy.

- Ty, czyli kto? - dopytywał Williams, z trudem zachowując spokój. - Już mnie nie okłamiesz, James. To twoja wina, że tu jesteśmy! Zobacz, co zrobiłeś Sarah!

- Spokojnie... - próbował załagodzić sytuację James. - Jesteśmy tu tylko po to, aby dopilnować,

żeby nic wam się nie stało.

- Ech... ty i to twoje pierdolenie - odrzekł Steve, odbezpieczając wycelowany w Jamesa pistolet. - Powiedz, jak było naprawdę. Dlaczego nas wystawiłeś?

- Odpowiem, jak opuścisz broń - odparł James, podchodząc kolejne dwa kroki bliżej Williamsa.

W tym momencie na dach weszło dwóch umundurowanych ludzi.

- ASO jest z tobą? - spytał Steve, z trudem hamując żądzę zabijania. - Dlaczego?

- Posłuchaj... chodzi nam tylko o Luke'a.

- Lepiej skończ te gierki i zacznij gadać, jak naprawdę było, bo cię zastrzelę tu, gdzie stoisz.

- Dobrze, dobrze... Już wyjaśniam. W końcu jestem ci to winien.

- Masz minutę - oznajmił Steve, oddając strzał.

Kula przeszła tuż obok głowy Jamesa. W tym momencie przestał on być tak pewny siebie, a jego kompani zaczęli celować w stronę przeciwnika.

W odpowiedzi Williams się krzywo uśmiechnął i tak mocno zacisnął wargi, że zaczęła z nich płynąć krew.

- Kilka lat temu, podczas jednej z podróży do Falltown, spotkałem wojska ASO - zaczął odpowiadać James. - Zaproszono mnie na rozmowę z dowódcą oddziału i zaoferowano współpracę. Dzięki temu

układowi otrzymałem broń, amunicję, ubrania, samochód, generator prądu, golarkę elektryczną i nowe meble do mieszkania...

- Ech... sprzedałeś się za takie pierdoły... - westchnął Steve, nieznacznie dociskając spust.

- Tylko spokojnie... Pojechałem do Seattle i uzgodniłem warunki współpracy. Od tamtego czasu jestem tajniakiem w służbie ASO. Muszę wykonywać ich polecenia.

- I my mamy cierpieć za Luke'a?! Patrz na moją siostrę! Spójrz na nią! Czy ona była tego warta?!

- Nie... więc teraz, jeśli pozwolisz, pomożemy jej. Wiesz, że ona nie przeżyje, jeśli nie otrzyma natychmiastowej pomocy...

- Co możecie dla niej zrobić? No, kurwa, co?!

- Zaufaj nam... - odparł James, podchodząc do Williamsa na odległość trzech metrów. - Nic wam nie będzie. Zależy nam tylko na Luke'u...

- Już raz tobie zaufaliśmy i zobacz, gdzie skończyliśmy! Nawet nie próbujcie nas tknąć...

Zanim Williams zdołał dokończyć zdanie, został znokautowany przez Jamesa. Zook szybko i z całej siły uderzył Steve'a w twarz. Następnie rzucił się na niego i próbował wyprowadzić kolejny cios, ale ostatecznie odpuścił, widząc, że jego przeciwnik już jest nieprzytomny.

- Zabierzcie ich do dowództwa - oznajmił

spokojnym tonem. – Macie ich pilnować, bo to nasza karta przetargowa. I lepiej tego nie schrzańcie.

W trakcie gdy żołnierze ASO podnosili Sarah, kobieta na moment oprzytomniała. Nieoczekiwanie otworzyła jedno oko i spojrzała na Jamesa. Resztkami sił skrzywiła twarz w trakcie znoszenia z dachu centrum handlowego.

– Umrzesz jeszcze dzisiaj – oznajmiła resztkami sił. – Gwarantuję ci to...

Po tych słowach straciła przytomność.

Sytuacja zaczynała się komplikować. Kiedy Ray, Maggie, Steve i Sarah zostali schwytani przez wojska ASO, Chris nadal próbował umknąć atakującym go oprawcom. Jeszcze nie wiedział, z kim miał do czynienia, ale teraz zależało mu jedynie na ucieczce. Mężczyzna biegł przez mgłę, wciąż trzymając w dłoniach obrzyna. Mijał przeróżne sklepy, poczynawszy od tych z biżuterią, pubów, pasmanterii i aptek, skończywszy na salonach masażu, sexshopach i butikach. Te miejsca, podobnie jak większość obiektów w Greenwoods, rozgrabiono i zdemolowano.

W pewnym momencie coś wzbudziło uwagę Chrisa. Mężczyzna postanowił stanąć przy najbliższym skrzyżowaniu i podejść do piętrowego budynku po swojej lewej stronie. Kiedy do niego doszedł, stanął tyłem do ściany i powoli zmierzał na

róg obiektu.

Kiedy zajął docelową pozycję, ostrożnie wychylił się zza rogu i spojrzał na ulicę. W oddali dostrzegł zmierzającą w jego kierunku postać. Ze względu na mgłę trudno mu było rozpoznać jakiegokolwiek szczegóły, jednak sam fakt, że ktoś do niego szedł, wzmógł w nim czujność.

Z każdą sekundą przeciwnik był coraz bliżej i dzięki temu Chris mógł w końcu go zobaczyć.

Wróg okazał się mężczyzną w średnim wieku. Ubrany całkowicie na czarno, nosił skórzany płaszcz, spodnie dżinsowe, trapery i koszulę. Dodatkowo miał widoczny pas, za który wstawił srebrny pistolet.

- Czego ode mnie chcesz? - spytał Chris, unosząc i odbezpieczając broń.

Mężczyzna nie odpowiedział i dalej zmniejszał odległość do Reese'a.

- Lepiej szybko gadaj, bo mam tu coś, czym mogę ci bez problemu odstrzelić łeb - oświadczył podróżny, wychylając lufę broni zza rogu i mierząc do nieznajomego.

Przeciwnik, widząc wycelowanego w niego obrzyna, nagle odskoczył i schował się za drugim rogiem budynku. Odległość dzieląca obydwu mężczyzn zmalała do kilkunastu metrów.

- Cześć - przywitał Reese'a nieznajomy. - Ile to już minęło, odkąd cię ostatnio widziałem? Będą już ze

dwa tygodnie.

- Kim jesteś i czego ode mnie chcesz? - zapytał Chris i szybko przebiegł na drugą stronę ulicy.

W kilka sekund dotarł do drugiego piętrowego budynku. Ponownie użył ściany jako osłony i zaczął dyskretnie spoglądać w kierunku nieznanego.

- Charles Foss - przedstawił się człowiek. - Mówi ci to coś?

- Jasne, że tak... Ty jesteś tą mendą, która mnie zamknęła w areszcie. Nadzorca straży w Falltown. Co tam u Briana słychać? Jest tu z tobą?

- Z moim bratem wszystko w porządku, a gdzie on jest, to nie twój interes. Mam dla ciebie małą propozycję. Jesteś zainteresowany czy mogę już zacząć strzelać?

- Wal śmiało - dwuznacznie odpowiedział Chris, ponownie celując w kierunku mężczyzny.

- Kiepsko dobierasz słowa, ale niech ci będzie - odrzekł entuzjastycznie Charles. - Sprawa wygląda następująco... Obecnie w Greenwoods przebywa kilkudziesięciu żołnierzy wojsk ASO. Jesteśmy tu tylko po to, żeby złapać Luke'a Rousseła. Nie interesują nas takie wyrzutki jak ty i reszta waszego towarzystwa. Właśnie dlatego mam dla ciebie wyjątkową ofertę...

- Sprężaj się, bo nie mam zbyt wiele czasu.

- Powiesz mi, gdzie jest Luke, a my go

przechwycimy i zabierzemy ze sobą. Jeśli tak będzie, to, powiedzmy, że przypadkowo, zapomnimy o tobie i reszcie waszej grupy. Wy zostaniecie w Greenwoods i nikt nie ucierpi.

- Jeśli już ktoś oberwie, to wy. Myślisz, że jestem na tyle głupi, żeby wchodzić w układy z ASO? Wybacz, ale wiem od dawna, że z takimi jak wy nie należy dyskutować. Do was trzeba strzelać i patrzeć, ilu jeszcze zostało.

- Popełniasz błąd, kolego... tym razem nie będziecie mieli tyle szczęścia i nikt wam nie pomoże.

- Jeszcze zobaczymy... - odparł Chris i oddał dwa strzały w kierunku Charlesa.

Nadzorca straży Falltown w porę schował się za ścianą budynku, dzięki czemu uniknął obrażeń. Niezwłocznie wyjął z kabury pistolet i go przeładował. Następnie wyjrzał zza rogu i próbował namierzyć Chrisa. Jednak go nie wypatrzył, gdyż jego przeciwnik wznowił ucieczkę, zmierzając dalej na zachód.

- Pieprzony... - wymamrotał Charles i zaczął ścigać mężczyznę. - Nie myśl sobie, że tak po prostu wyparujesz! Jeszcze pożałujesz tego, co zrobiłeś!

Po tych słowach Chris uznał, że dalsza ucieczka nie ma większego sensu i zaczął rozmyślać nad planem unieszkodliwienia napastnika. Jediną rzeczą, jaka mu przyszła do głowy, to ukrycie się

w najbliższym aktualnie mijanym przez niego budynku.

Obiekt okazał się dwukondygnacyjną opuszczoną siedzibą lokalnej stacji telewizyjnej. Miał ściany koloru beżowego i od frontu wielkopowierzchniowe okna, które odsłaniały wnętrze. Na parterze Chris dostrzegł niewielką recepcję i hol, gdzie stało kilka sof i foteli. Na przeciwległej ścianie zobaczył masywne granitowe schody. Wszędzie także leżało mnóstwo śmieci i kartonowych pudeł. Z kolei na drugiej kondygnacji rozmieszczono kilkanaście biurowych parawanów, przy których kiedyś stworzono stanowiska dla pracowników. Drewniane stoły, krzesła i komputery wciąż były na swoich miejscach.

Chris, słysząc kroki skracającego dystans Charlesa, instynktownie wbiegł do budynku i schował się za jednym z kilku kartonowych stosów. Następnie kucnął, przeładował broń i rozejrzał się dookoła. Z tego miejsca miał dobry widok na drzwi, schody i recepcję. Poza tym pod jego nogami leżało kilka plastikowych kubeczków.

Jedyne, co mu pozostało, to czekać na przybycie napastnika. Atmosfera dla niego stawała się coraz bardziej napięta, a czas jakby zwolnił. Chris z trudem opanowywał emocje, słysząc podchodzącego wroga.

Po chwili ujrzał twarz człowieka, z którym

przyszło mu walczyć. Charles miał średniej długości szatynowe włosy, krótko przystrzyżoną brodę i wąsy. Mężczyzna nerwowo patrzył w każdy róg pomieszczenia i uniósł broń. Pistolet, którego używał, był srebrny i miał przedłużoną lufę.

- A więc zabawa w chowanego? - spytał retorycznie Foss. - Mam lepszą propozycję. Wyjdź i miejmy to już za sobą. Jeśli rzucisz broń, to obiecuję, że nic ci nie zrobię.

W tym momencie Chris wpadł na pomysł, aby odwrócić uwagę mężczyzny. Podniósł z ziemi plastikowy kubek i rzucił nim w przeciwległy kąt pomieszczenia. Charles, w odpowiedzi na cichy dźwięk upadającego na kafelkową podłogę przedmiotu, oddał kilka strzałów w tamtym kierunku.

- W co ty grasz, Chris? - zapytał mężczyzna. - Lepiej skończ tę zabawę, bo możesz źle skończyć. Nie chciałbym cię przypadkiem śmiertelnie postrzelić.

- Niedoczekanie twoje - szepnął Chris, rzucając kolejnym plastikowym kubkiem tuż za Charlesa.

W odpowiedzi mężczyzna odskoczył na bok i skierował broń na drzwi wyjściowe. To dało Chrisowi dość czasu, aby wbiec na drugie piętro. Pomagier Derricka, widząc Reese'a, zaczął do niego strzelać. Pomimo to spudłował pięciokrotnie.

- Teraz to już naprawdę nie masz gdzie uciekać - stwierdził, spluwając na podłogę. - Pomału kończymy

zabawę. Jak tam wejdę, twoja broń ma leżeć na ziemi, a ty razem z nią... najlepiej w dostatecznej odległości, aby jej nie użyć. Inaczej spotka cię coś baaaaardzo nieprzyjemnego.

W momencie gdy Charles powoli wchodził na górę, Chris otworzył jedyne drewniane drzwi i dostał się do pomieszczenia biurowego. Kiedy wszedł do środka, zamknął za sobą przejście i zaczął rozglądać się za czymkolwiek, co uznał teraz za przydatne. Postanowił wziąć jedno z drewnianych krzeseł, a następnie wyrwał z niego nogę. Dzięki temu uzyskał całkiem solidną pałkę. Następnie wykorzystał jeden z biurowych parawanów jako osłonę i w ciszy czekał na przybycie napastnika.

Po kilkunastu sekundach drzwi biura zostały otwarte i do środka wkroczył Charles.

Mężczyzna niezwłocznie przystąpił do przeszukiwania pomieszczenia. Powoli mijał kolejne stanowiska pracownicze, nasłuchiwał i szukał wzrokiem Chrisa.

- To koniec - oświadczył spokojnym głosem. - Zawiodłeś mnie. Myślałem, że jesteś na tyle inteligentny, aby przyjąć ofertę ASO. Teraz nie pozostawiasz mi wyboru. Lepiej wstań i ustaw się tak, żebym cię nie zabił, bo nie ręczę za siebie.

- Mam jednak inną propozycję... - niespodziewanie odparł Reese, wyskakując zza

Charlesa, i zaatakował wroga nogą od krzesła.

Mężczyzna uderzył szybko, mocno i celnie, trafiając napastnika prosto w głowę. Zanim Charles jakkolwiek zareagował, został znokautowany. Momentalnie upadł na ziemię i stracił przytomność.

- To... za nieostrożność... - powiedział Chris, dysząc i odrzucając na bok prowizoryczną pałkę. - Na przyszłość lepiej miej oczy dookoła głowy.

Po tych słowach podróżny przeszukał mężczyznę. Poza zdobyciem pistoletu odnalazł także cztery magazynki. Szybko schował broń i naboje do kieszeni marynarki, a następnie sprawdził puls Charlesa. Brat Briana przeżył atak i był po prostu nieprzytomny.

- Teraz sobie tu grzecznie poleżysz i dasz nam w końcu święty spokój. Mam nadzieję, że to nasze ostatnie spotkanie.

Następnie Reese wyszedł z pomieszczenia, pozostawiając nieprzytomnego napastnika na podłodze. Niezwłocznie opuścił budynek i oddalił się z miejsca konfrontacji. Szybko wznowił ucieczkę na zachód, wbiegając w gęstą mgłę.

Od ataku na konwój podróżnych minęło już kilka godzin. Tego wieczoru mgła nieco opadła i dzięki temu widoczność była dużo lepsza. Z miejsca, w którym przebywał, Luke mógł wypatrzeć nie tylko miejskie zabudowania, ale także tereny poza murami miasta. Poza widokiem na rzekę Fraser ujrzał także

gęste mieszane lasy, aczkolwiek sosny swoją liczebnością stanowiły w tych okolicach większą część.

Podróżny wciąż leżał na kanapie i nadal nie mógł znaleźć rozwiązania sytuacji, w której był on i jego towarzysze. Pomimo upływu czasu nie wymyślił do teraz żadnego planu. Nadal nie miał pojęcia, kto na nich napadł, dlaczego tak wyszło i gdzie jest jego grupa. Potrzebował jeszcze więcej czasu na zrozumienie, co ich właściwie spotkało.

Niespodziewanie usłyszał czyjeś kroki. Zaniepokoiło go to do tego stopnia, że szybko wstał z łóżka, chwycił za pistolet i powoli podszedł do drzwi wyjściowych. Następnie lekko je uchylił i zaczął nasłuchiwać. W pewnym momencie interesująca go osoba zatrzymała się w miejscu i nastąpiła kompletna cisza.

W końcu Luke postanowił wyrzucić na korytarz. To, co zobaczył, zmroziło mu krew w żyłach. Po prawej na końcu klatki schodowej stał mężczyzna. Miał ponad czterdzieści lat, krótkie, rozczochrane włosy, brodę i wąsy. Nosił szarą koszulę, na którą miał założoną czarną kamizelkę. Był także ubrany w ciemnobrązowe dżinsy i czarne półbuty. Dodatkowo trzymał w dłoni rewolwer.

- Może ty mnie nie znasz, ale ja doskonale wiem, kim jesteś - powiedział spokojnym głosem obcy

człowiek. - Nazywam się Derrick Parker i jestem przywódcą Falltown, a ty, jak mniemam, Luke Roussel?

- Derrick? - niedowierzając, zapytał Luke. - To twoja sprawka? Ty nas zaatakowałeś?

- Ja? - ze zdziwieniem w głosie odparł mężczyzna. - To nie do końca tak... Przyjechaliśmy do Greenwoods po ciebie, ale to ASO mnie tu ściągnęło. Nie mam do ciebie żadnych uprzedzeń. Chcę tylko wypełnić zadanie, jakie mi przydzielono.

Luke nie wytrzymał napięcia i oddał strzał. Derrick w porę uniknął kuli, chowając się za drzwiami jednego z mieszkań. Podróżny, korzystając z okazji, niezwłocznie wybiegł z pomieszczenia i oddalił się do następnej kwatery.

- Doprawdy niepotrzebnie używasz broni - oznajmił Derrick, kątem oka wypatrując przeciwnika. - Przecież chcę z tobą tylko w spokoju pogadać.

- Ciężko rozmawiać z kimś, kto omal nie zabił moich przyjaciół. Mam nadzieję, że chociaż oni przed wami uciekli.

- Mamy Raya, Steve'a, Sarah i Maggie. Bez obaw, nic im nie zrobiliśmy. Sarah miała wypadek i otwarte złamanie, ale poskładaliśmy ją i dziewczynie nic nie grozi.

Roussel ponownie użył broni i kolejny raz strzelił. Następnie jeszcze bardziej zwiększył dzielący go od

przywódcy Falltown dystans. Z kolei jego przeciwnik pobiegł do przodu, ostatecznie chowając się za drzwiami mieszkania, w którym niedawno przebywał Luke.

- Proszę, odłóż broń - oznajmił Derrick, chowając rewolwer. - Jeśli mi zaufasz, pogadamy jak normalni faceci.

- Możemy to zrobić tu i teraz. Mam dużo czasu.

- Co chcesz w takim razie wiedzieć? Jeśli będę w stanie, to odpowiem.

- Jest z tobą Mark Wilcher? - spytał Luke, ponownie oddalając się od Derricka.

- Major przebywa w mieście - odparł Derrick, powoli podchodząc do kolejnych drzwi. - Żyje i jest wściekły, że musi uganiać się za tobą przez pół Ameryki.

- Mówił, co ze mną zrobi, jak nie dam za wygraną?

- Poza tym, że chce ci przyłożyć za numer w Winnemucca, obedrzeć ze skóry i w kajdanach wywieźć do Reno, to nic. Z tymi torturami oczywiście żartował, więc do jasnej cholery wyłaź i normalnie pogadajmy.

- Poznałem Wilchera i wiem, do czego jest zdolny - oznajmił Luke, jeszcze raz używając broni, i uciekł do ostatniego mieszkania na piętrze.

Derrick ponownie uniknął pocisku.

Niespodziewanie zaczął odpowiadać ogniem i jeszcze bardziej przybliżyć się do Luke'a. Pomiędzy mężczyznami pozostało już tylko kilka metrów odstępu.

- Chcesz, żeby twoi znajomi zginęli? - spytał Derrick, przeładowując rewolwer. - Tylko ty możesz ich teraz uratować. Powiedz, czego tak naprawdę chcesz... nie zależy ci na ich życiu?

- Chcę tylko wrócić do Europy i zobaczyć swoją żonę. Nie chcę, aby coś złego spotkało moich przyjaciół, ale oni doskonale wiedzieli, że są ze mną na własną odpowiedzialność. Mam swoje priorytety i jeśli będę musiał, zrobię wszystko, aby znów być z Nicole.

- Inaczej będziesz gadał, kiedy na własne oczy zobaczysz, co major robi. Pomagają ci fajni ludzie, Luke. Dwoje z nich bardzo dobrze znam. Steve i Sarah pracowali dla mnie przez wiele lat i nigdy mnie nie zawiedli. Popełnili jedynie błąd, że poznali ciebie, ale to mógłbym im wybaczyć. W końcu najważniejsze są dla mnie sprawy Falltown, a oni stanowią część tej społeczności... przemyśl to, Luke. Naprawdę chcesz ich śmierci?

- Proponujecie mi układ, ale zapominacie, że tylko ja na tym stracę - odrzekł Luke, otwierając drzwi mieszkania, przy których aktualnie stał. - ASO mnie zabije. Nie każ mi wybierać pomiędzy życiem

moim a moich towarzyszy.

- To nie ja każę ci podejmować decyzję. Po prostu informuję cię, w jakiej jesteś sytuacji. Wiem, że nie wygląda to kolorowo, ale każdy chce działać we własnym interesie.

- Tak samo ja - oświadczył Luke, bardziej cofając się w głąb mieszkania.

Podróżny stał w niemal pustym pomieszczeniu. Układ lokalu był taki sam jak każdego innego w tym budynku. Jedyne rzeczy, jakie zostały po poprzednich właścicielach, to zwisający z sufitu żyrandol i kilka połamanych mebli. Nawet panele podłogowe zostały oderwane, a na betonowym podłożu zebrały się duże ilości tynku i pyłu.

- Zrobimy tak - oznajmił Derrick, ponownie chowając rewolwer. - Wejdę do mieszkania, w którym jesteś, i podniosę ręce do góry. Nie zapominaj, że też jestem żonaty i Jane nigdy ci nie wybaczy, jeśli mnie zastrzelisz. Pogadamy normalnie i ustalimy, co dalej robić. Po rozmowie zostawię cię w spokoju i sam zdecydujesz, co zrobić dalej.

Luke nie odpowiedział na słowa przywódcy Falltown. Czekał w milczeniu, aż wróg przekroczy próg pomieszczenia. Sytuacja zaczynała się komplikować.

- Za chwilę mnie dokładnie zobaczysz - powiedział Derrick, idąc powoli w stronę Luke'a. -

Tylko nie zrób nic głupiego...

Po kilku sekundach mężczyzna stanął naprzeciw podróżnego. Przywódca Falltown niezwłocznie spełnił swoją obietnicę i podniósł ręce ku górze.

- Miło mi cię w końcu zobaczyć - entuzjastycznie oznajmił Parker. - Porozmawiajmy jak normalni ludzie.

Na widok mężczyzny Luke jeszcze bardziej spoważniał i podszedł do okna, wciąż celując do Derricka. Kiedy tam stanął, opuścił broń, ale nadal trzymał palec na spuście.

- No to na co czekamy... porozmawiajmy... - powiedział, kątem oka zerkając na plac przed blokiem.

- Dobrze, że chociaż ty jesteś honorowy - oznajmił Derrick, opuszczając ręce, i oparł się o ścianę. Chyba wyjaśniłem ci sytuację i wszelkie konsekwencje. Przyznaję, masz do podjęcia nie najłatwiejszą decyzję. Musisz wybrać, czy zachować wolność, czy poświęcić czworo swoich przyjaciół.

- Jak to czworo? - spytał ze zdziwieniem Luke. - Brakuje wam jednego.

- Doprawdy? Ano tak... Chris, jak mniemam. Ten człowiek zniknął we mgle.

- Więc wciąż jest jeszcze nadzieja... - entuzjastycznie oznajmił Luke. - Lepiej patrzcie za siebie, bo nie wiecie, czy mój przyjaciel właśnie do

was nie mierzy.

- I tak marne ma on szanse... Przecież wiesz, gdzie jesteśmy... znikąd pomocy i wsparcia. Zostaliście pozostawieni sami sobie.

- To była część planu? - spytał Luke, podchodząc bliżej przywódcy Falltown. - James miał nas wystawić, abyście mnie zgarnęli?

- Tak, o to właśnie chodziło. Nie powiem, kiepskich przyjaciół sobie Steve dobiera.

- Jednak powiedzenie „nie ufaj nikomu” jest jak najbardziej prawdziwe - oświadczył Luke, chowając broń.

- Dokładnie... - odrzekł krótko Derrick, po czym niespodziewanie podbiegł do Luke'a.

Przywódca Falltown kopnął podróżnego w brzuch. To sprawiło, że Roussel stracił równowagę, na czym skorzystał przeciwnik. Mężczyzna uderzył podróżnego w głowę, sprawiając, że przeciwnik upadł. Luke pomimo otrzymanych obrażeń wstał i próbował ponownie chwycić za broń. Jednak mu się to nie udało, z racji że Derrick kopnął go w dłoń, tym samym go rozbijając. Podróżny jednak postanowił wyciągnąć maczetę. Przywódca Falltown nie pozostał dłużny i wyjął z kieszeni nóż bojowy.

Rozpoczęła się konfrontacja na broń białą. Mężczyźni robili, co mogli, aby wygrać pojedynek. Kilkunastosekundowy sparing cofnął ich blisko okna.

W końcu Luke został przyparty do ściany. Chwila nieuwagi wystarczyła, żeby oberwał rękojęścią noża Derricka. Jakby tego było mało, kilkakrotnie otrzymał cios z pięści w głowę i ponownie upadł na podłogę. Nie chciał jednak odpuścić, zebrał garść kurzu z podłogi i sypnął nim prosto w twarz wroga.

W momencie gdy przeciwnik próbował przejrzeć na oczy, Roussel wstał i zaczął go okładać po głowie. Obaj runęli na ziemię i dalej walczyli, ale ostatecznie podróżny zdołał wybić nóż z ręki napastnika. Potem przyłożył mu do szyi maczetę i powoli podnosił siebie i przywódcę Falltown na nogi.

- Ekhe, ekhe... Zastanów się nad tym, co zrobisz - oznajmił Derrick, kilkakrotnie kaszląc i unosząc dłoń.

- Już ja doskonale wiem, jak to zakończę - odparł Luke, dysząc, i mocniej przycisnął ostrze do szyi wroga, po czym go odwrócił. - Teraz... zrobimy po mojemu. Uwolnij wszystkich i zostawcie nas w spokoju.

- To nie ode mnie zależy, tylko dobrze wiesz od kogo.

- Więc wpadnij na jakiś pomysł - oświadczył Luke, uderzając Derricka z kolana w plecy, tym samym sprawiając, że mężczyzna upadł. - Myśl szybko.

- Naprawdę nie wiem... - odparł Parker, z bólu

ściskając wargi. – Muszę pogadać z Markiem.

– I co będzie potem? Wydasz mnie wojskom ASO i wszystkich szlag trafi?

– Zrobię, co mogę...

– To za mało! Zresztą powinienem od razu cię zastrzelić i jak najszybciej...

W tym momencie podróżny usłyszał dźwięk silników. Niezwłocznie podniósł Derricka i skierował go pod okno. Obaj zobaczyli trzy hummery, które zaparkowały pod blokiem.

– On tam jest, prawda? – zapytał Luke. – Ma moich przyjaciół?

– Zaraz się o tym przekonasz – odrzekł Parker, spluwając krwią na podłogę.

Po kilku sekundach silniki pojazdów zgasły i na plac wybiegło piętnastu żołnierzy ASO. Kiedy wojskowi zajęli określone pozycje, z jednego z samochodów wyszedł Mark Wilcher.

Major spojrział na swoich ludzi i kilkoma gestami wydał dalsze polecenia. Następnie jego ludzie otworzyli drzwi samochodów i wyprowadzili na zewnątrz zakładników.

W tym momencie Luke zauważył swoich przyjaciół. Towarzysze podróżnego zostali ustawieni w rzędzie. Wszyscy mieli związane za plecami ręce.

Najbardziej wysuniętym na lewo był Ray. Tuż obok niego stała Maggie, która podtrzymywała na

wpół przytomną Sarah. Przy siostrze ustawiono Steve'a, który gorączkowo rozglądał się dookoła.

- A nie mówiłem - oznajmił Derrick. - Dotychczas byłem wobec ciebie uczciwy, a ty mnie tak potraktowałaś.

- Zaatakowałaś mnie - powiedział Luke, odchodząc ze swoim zakładnikiem nieco dalej od okna.

- Ech... najbliższe minuty będą decydujące... - westchnął Derrick, kręcąc przecząco głową. - Tylko ty to możesz dobrze zakończyć. Mam tylko jedną prośbę...

- Abym nie poderżnął ci gardła?

- Nie. Zrób tak, żeby nikt nie zginął.

W trakcie rozmowy Luke'a z przywódcą Falltown major wyciągnął z jednego z hummerów obcego wszystkim mężczyznę. Jego zakładnik sprawiał wrażenie, jakby miał ponad pięćdziesiąt lat. Łysiejący i z wybitymi kilkoma zębami człowiek był ubrany w łachmany i został postawiony tuż obok Steve'a. W jego ruchach widać było oznaki paniki i przerażenia.

- Wiem, że tu gdzieś jesteś! - niespodziewanie krzyknął Mark. - Słyszeliśmy strzały! Po prostu wyłaź i miejmy to już za sobą!

- On mówi do ciebie - odpowiedział podróżnemu Derrick.

- Wiem o tym. Zobaczymy, co zrobi dalej...

- Mam tu twoich przyjaciół! - donośnie oświadczył major. - Oni na pewno by chcieli, żebyś ich teraz zobaczył! Może tak być, o ile się poddasz! Masz pięć minut na odpowiedź! Kiedy ten czas minie i dalej nie zareagujesz, to inaczej porozmawiamy!

Zgromadzeni na placu podróżni spojrzeli na siebie. Wiedzieli, że są w paskudnym położeniu. Zostali pozostawieni na łaskę wojsk ASO i nikt nie mógł czegokolwiek teraz przewidzieć.

- A ty kim jesteś? - spytał Steve, patrząc na obcego związanego mężczyznę.

- Benjamin - odparł starszy człowiek. - Czy może mi ktoś powiedzieć, dlaczego tutaj jestem? Ja nic nie zrobiłem!

- Morda! - krzyknął Mark, uderzając w twarz mężczyznę. - Mam ci wybić resztę zębów?

- Po prostu przyszliście do mnie i zabraliście ze sobą... - odparł Benjamin, kajając się przed majorem. - Jestem niewinny!

- Chyba nie rozumiesz powagi sytuacji... - entuzjastycznie oznajmił Mark. - Zostałeś spacyfikowany przez ASO. Powód... coś niedługo wymyślę. Póki co stul pysk i siedź cicho.

Wilcher ponownie uderzył związanego starszego człowieka. Tym razem zakładnik otrzymał cios z kolana w głowę. Po tym uderzeniu zwinął się

w kłębek, zacisnął zęby i próbował nie stracić przytomności.

- Bijesz niewinnego człowieka! - krzyknęła Maggie. - Nie masz za grosz honoru!

- Ja? - dopytywał Mark. - A wy, którzy mordujecie tylu żołnierzy ASO i pozostawiacie ich ciała na pastwę losu? Kto dał wam prawo, aby odbierać życie ciężko pracującym ludziom?

- Ten, który sam próbował nas zamordować, he, he... - zarechotał Steve.

Major odruchowo uderzył mężczyznę w głowę, przez co Williams upadł na ziemię. Z jego łuku brwiowego zaczęła wypływać krew.

- Mało ci dzisiaj?! - krzyknął, nie kryjąc oburzenia, Wilcher. - Ja mam siły, aby wam jeszcze poprawić. Czekaście i zamknijcie mordy albo zawołam kata.

- Dajesz - udając entuzjazm, oznajmił Ray, ledwo stojąc na nogach.

- Skoro tak ładnie prosisz... Paul Ridge! Wystąp!

Z jednego z hummerów wyszedł rosy mężczyzna. Ubrany w wojskowy mundur żołnierz był w średnim wieku. Miał ostre rysy twarzy, a włosy bardzo krótko ścięte.

Paul stanął na baczność przed majorem i lekko uniósł podbródek.

- Oszczędź sobie formalności - poprosił Mark. -

Lepiej będzie, jak staniesz za tymi śmieciami i pokażesz im swoje narzędzie pracy.

- Tak jest - odparł krótko Paul, wyciągając nóż bojowy, i udał się w wyznaczone miejsce.

Po kilku sekundach mężczyzna stanął za Benjaminem i podniósł go z ziemi.

- Tylko spróbuj odstawić jakiś numer - powiedział do poturbowanego mężczyzny i przyłożył ostrze do jego szyi.

- Luke, czas minął! - krzyknął radośnie Mark. - Teraz dostaniesz kolejny dowód na to, że mogę zamordować twoich znajomych. Jeśli możesz, obserwuj. Paul?

Wojskowy przytaknął na słowa majora. Bez mrugnięcia okiem wbił nóż w plecy Benjamina, przebijając ostrze aż do serca. W tym momencie Ridge z zimną krwią odebrał życie niewinnemu człowiekowi.

Po tym jak Benjamin skonał, Paul wyjął ostrze z jego pleców, pozwalając na to, aby ciało ofiary upadło na ziemię. To morderstwo było dopiero wstępem do tego, co jeszcze mogło się wydarzyć.

W tym momencie z samochodu wyszedł jeszcze jeden mężczyzna. Każdy rozpoznał Jamesa Zooka. Dawny znajomy Steve'a zaczął spacerować po placu i patrzył na podróżnych.

- Teraz wiesz, że nic mnie nie powstrzyma! -

krzyknął Mark. - Przyjdź tutaj, a nikt więcej nie zginie!

- Widziałeś, co on zrobił, he, he, he... - zarechotał Derrick, odwracając się w stronę Luke'a. - Ostrzegałem...

- Stul pysk - odparł podróżny, przyciskając maczetę do szyi przywódcy Falltown.

- Myśl szybko, bo znowu ktoś zginie. Nie chcę, aby tak wyszło... Zaufaj mi.

- Tobie? - powiedział cynicznie Roussel. - Niedoczekanie...

Po tych słowach podróżny zaczął ponownie patrzeć w stronę zgromadzonych na placu ludzi.

- Chyba trzeba będzie zagrać nieco ostrzej - stwierdził Paul, po czym kopnął zwłoki Benjamina.

- To zależy tylko ode mnie - odparł Mark. - Daj mi nóż.

Kiedy major podszedł do Paula, ten podał mu narzędzie mordu. Następnie Wilcher zaczął krążyć dookoła podróżnych i podrzucać ostrzem, przy okazji patrząc zakładnikom w oczy.

- Oni tak naprawdę nie są mi do niczego potrzebni - powiedział, podchodząc do Maggie. - Mogę z nimi zrobić, co tylko zechcę...

Niespodziewanie major powoli przeciągnął nóż po twarzy kobiety. Rozciął jej czoło i ściągając ostrze niżej, minimalnie minął lewe oko. Zahaczył także o jej

wargi i zakończył działanie na podbródku.

Kobieta zaczęła krwawić, jednak zniosła w milczeniu to, co uczynił jej Mark. Z kolei Ray, widząc tę scenę, stracił panowanie nad sobą i próbował uderzyć majora głową. Pomimo najszczerzej chęci został zatrzymany przez Paula. Wojskowy wymierzył mu kilka ciosów w brzuch, tym samym uniemożliwiając podbiegnięcie do majora.

- Ho, ho, ho - zareagował entuzjastycznie Mark, stając tuż za czarnoskórym zakładnikiem. - Coś kolegę natchnęło na wyrywki. Wobec tego nie będę teraz dla ciebie obojętny...

- P-pierdol się - wymamrotał Ray i kaszlnął krwią.

- Cierpliwości... - oznajmił Wilcher, podnosząc na nogi Bennetta, i podstawił mu nóż do gardła. - Zaraz będzie wesoło... Luke! Masz kilka sekund, abym cię zobaczył! Inaczej on zginie! Decyduj!

- Co zrobisz? - spytał Derrick, patrząc na zaniepokojonego Luke'a. - Wszystko zależy od ciebie.

- Nie robi tego... - wymamrotał podróżny, obserwując majora i swoich towarzyszy.

- Jakieś ostatnie słowa? - spytał Mark, przykładając nóż do szyi Raya.

- J... jeb się.

- I właśnie to chciałem usłyszeć - odparł entuzjastycznie Mark, szybko przeciągając ostrzem

wzdłuż szyi zakładnika.

Bennett momentalnie upadł na kolana. Resztkami sił spojrział na Maggie, a ostatnią rzeczą, jaką zrobił, był delikatny uśmiech do przyjaciółki. Mężczyzna krótko potem padł na asfalt i skonał. Człowiek, dla którego najważniejszym było bezpieczeństwo jego wieloletniej znajomej, poległ pełen nadziei, że spotka ją lepszy niż jego los.

- Raaaaay! - krzyknęła Paylor i została momentalnie znokautowana przez majora.

- Mam ci mocniej przyłożyć? - zapytał Mark, podnosząc kobietę na nogi. - To nie koniec zabawy. Luke! Widzisz to wszystko i nie reagujesz?! Mam kontynuować?!

- He, he... jeden padł, trójka do wyrwania - zarechotał Derrick.

W odpowiedzi Luke obrócił mężczyznę i z całej siły uderzył go w twarz. Przywódca Falltown upadł na ziemię, a jego nos najprawdopodobniej został złamany.

Zanim Derrick oprzytomniał, podróżny podniósł go na nogi i ponownie podszedł do okna. Następnie zaczął uważnie wysłuchiwać, co działo się na zewnątrz.

- Nie pozostawiasz mi wyboru, Luke! - krzyknął Mark, podchodząc do Sarah. - Chcesz, żeby ta piękna kobieta, która już dość dużo tutaj przecierpiała, była

następna?!

- Z-zostaw ją... - niespodziewanie wymamrotał Steve.

- Doprawdy? A kto mi w tym przeszkodzi?

Steve odruchowo podbiegł do majora i uderzył go głową prosto w twarz. W efekcie obaj upadli na ziemię. Z nosa Wilchera zaczęła wypływać krew.

- Oj, kolego... - w odpowiedzi powiedział wojskowy, rękawem tamując krwotok. - Właśnie zamówiłeś dla siebie wyrok śmierci.

W tym momencie Paul podniósł z ziemi Steve'a i swój nóż. Już miał poderznąć Williamsowi gardło, ale major powstrzymał go przed tym działaniem.

- Ja to zrobię - oświadczył, przejmując ostrze. - Będę odliczał przy jego egzekucji. Mam nadzieję, Luke, że da ci to nieco więcej czasu do myślenia! Dziesięć poderznięć... dziewięć poderznięć...!

W tym momencie Roussel nie wytrzymał. Łokciem wybił szybę i wciąż trzymając maczetę na szyi Derricka, spojrział prosto na majora.

- Nawet nie próbuj go tknąć! - krzyknął, mocniej dociskając ostrze.

- W końcu! - radośnie powiedział Mark. - Wiedziałem, że jesteś gdzieś tutaj! Poza tym widzę, że poznałeś Derricka! To by była wielka strata dla Falltown, jakbyś go teraz wykończył! Co robi jego

żona?! Co zrobi Jane?!

- Ona sobie poradzi! - odkrzyknął Luke. - Puść wolno moich przyjaciół, a nikt już nie zginie!

- W jakim ty świecie żyjesz?! Przecież to ja tutaj rozdaję karty! Ty myślisz, że zależy mi na życiu Parkera?! Lepiej złaź szybko i pojedziemy do Reno!

- Dopiero gdy wypuścisz Maggie, Steve'a i Sarah!

- Może wygodniej będzie, jak odbiorę ci jeszcze jeden argument! - oznajmił Mark, niespodziewanie oddając strzał w kierunku rozmówcy.

Luke w porę zrobił unik i upadł z Derrickiem na podłogę. Jednak temu drugiemu szczęście mniej dopisało, gdyż lecąca w ich stronę kula przestrelała ramię przywódcy Falltown. Obydwu mężczyzn zaskoczyła taka reakcja majora Wilchera.

- Coś... ty zrobił? - zapytał, nie kryjąc zdziwienia Parker, kurczowo chwytając się za ranę postrzałową.
- Aj, kurrr... jak boli.

- Ech... wiesz... - westchnął Luke, wstając z miejsca, i schował maczetę. - To nie czas na dyskusje. Kiedyś wszystko zrozumiesz. Teraz lepiej spieprzaj, zanim zmienię zdanie i poprawię to, co zaczęło ASO.

- Zanim pójdę, chcę coś ci jeszcze powiedzieć... Nie spodziewałem się tego po tobie. Obiecuję, że nic złego was w Falltown nie spotka. Zadbam o was i...

- Dosyć... i tak nie skorzystamy. Nie namówisz

nas do powrotu. Lepiej zrób dla mnie coś pożytecznego i nie zwracaj nam głowy.

- Dziękuję - powiedział Derrick, nieustannie powstrzymując dłońią krwawienie z barku. - Jednak jest jeszcze dla was nadzieja. Odciągnę żołnierzy i zrobię ci miejsce do ucieczki. Niech wszystko pójdzie po twojej myśli...

- Wynocha! - krzyknął Luke, podchodząc do okna. - Wracaj do żony i zrób w końcu coś dobrego ze swoim życiem!

- Miło mi było cię poznać - oznajmił Derrick, zmierzając do drzwi wyjściowych. - Jeżeli podołacie... pozdrów ode mnie Williamsów.

- Wypierdalaj!

Ostatecznie Derrick opuścił mieszkanie i oddalił się w tylko sobie znanym kierunku. Z kolei Luke, pozbawiony zakładnika, podniósł z ziemi pistolet i ponownie spojrzał na plac. Ujrzał tam przechadzającego się wokół podróżnych Marka Wilchera.

- Ale jesteś szybki! - z dumą w głosie wykrzyczał major. - Liczę na to, że Derrick otrzymał ode mnie dedykację?!

- Ty chory skurwysynu! - przeklął Roussel. - Zapłacisz za wszystko, co zrobiłeś!

- Chciałbym to zobaczyć! A czy jestem chory... nie sądzę! Obiecuję ci, że z mojej ręki już nikt dzisiaj

nie zginie! Chcesz się założyć?!

- Puść Maggie, Steve'a i Sarah! Jeśli to zrobisz, to zejdę tam do ciebie i pogadamy!

- Jak tu przyjdiesz, to pojedziesz z nami albo twoi przyjaciele zginą! - odparł Mark i podszedł do podróżnych. - James... mogę cię prosić?

W odpowiedzi strażnik ochrony i zwiadowca Hopetown bez słowa podszedł do majora. Instynktownie przejął od niego nóż i patrząc mu prosto w oczy, czekał na dalsze rozkazy.

- Na coś się w końcu przydasz - oznajmił mu Mark. - Teraz obsłużysz swoją starą znajomą, a ja będę dalej rozmawiał z tym wykolejeńcem.

- Może lepiej będzie, jak sam tam po niego pójde? - wtrącił pytanie Paul, podchodząc bliżej majora.

- Oj nie... - odparł Mark, nie kryjąc zadowolenia. - To popsuje całą zabawę. Siedźcie na dupie, a jak zajdą zmiany, to ponownie przyjdź do mnie. Tymczasem, James... robota czeka.

Mężczyzna po prostu przytaknął na dany mu rozkaz i powoli podszedł do Sarah. Następnie spojrzął na siostrę Steve'a, westchnął, po czym stanął tuż za nią.

- Jeśli mnie zmusisz, wszyscy zginą! - krzyknął Mark. - Bądź rozsądny! Rzuć broń i zejdź na dół! I tak wiesz, że niczego nie ugrasz! Daję ci ostatnią

szansę, aby ocalić tę dziewczynę!

- Sarah, przepraszam... - powiedział James, przykładając kobiecie nóż do gardła.

- Obyś cierpiał, jak będziesz umierać... Jesteś dla mnie tylko dwulicowym śmieciem.

- Nawet nie waź się jej tknąć! - niespodziewanie wrzasnął Steve i próbował kopnąć Jamesa.

To działanie nic nie pomogło, gdyż Williams został obezwładniony przez Paula. Wojskowy jednym szybkim ruchem chwycił go za rękę i położył na ziemi.

- Ech... tego idiotę zabijecie następnego... - westchnął Mark, kręcąc przecząco głową. - Więc jak robimy, Luke?! W końcu do ciebie dotarło, że nie macie szans?! Odpowiedz!

Podróżny milczał. Roztrzęsiony próbował wycelować w stronę trzymającego nóż na szyi Sarah mężczyzny. Pomimo najszczerzych chęci nie miał pewności, czy przypadkiem nie postrzeli przyjaciółki.

- To na nic... - powiedział major i wzruszył ramionami. - James... rób, co do ciebie należy.

- Jeszcze raz przepraszam... - szepnął do Sarah strażnik Hopetown i przymierzył się do odebrania życia kobiecie.

Niespodziewanie padł strzał. Kula wielkiego kalibru trafiła Jamesa prosto w głowę. Mężczyzna upadł na ziemię, a liczne fragmenty jego mózgu

poleciały we wszystkie strony. Nikt nie wiedział, kto zamordował niedoszęłego kata Sarah.

Zanim ASO zajęło pozycje obronną, zaatakował ich jeszcze ktoś. Ty razem strzelano do Marka Wilchera. Major oberwał w prawy bark. W konsekwencji upadł na ziemię i kurczowo chwycił się za ranę postrzałową. Niemal krzycząc z bólu, zaczął się czołgać w stronę jednego z hummerów.

- Na co, kurwa, czekacie?! - krzyknął. - Otworzyć ogień!

Doszło do konfrontacji. Żołnierze na oślep zalali gradem kul okna najbliższych budynków, za którymi mógł siedzieć wróg. Jednak ostateczna pozycja napastników nie była im znana.

Przez chaos i brak organizacji w kilka sekund zginęło kolejnych dwóch żołnierzy ASO. Jeden z nich został postrzelony w głowę, natomiast drugi oberwał wielkokalibrowym pociskiem w brzuch. Z ogromnej rany postrzałowej wypłynęły jelita. Ofiara ataku upadła i zaczęła pluć krwią. Po kilkunastu sekundach straciła przytomność i odeszła z tego świata.

- Masz ich, kurwa, dorwać! - wrzasnął obecnie schowany za wojskowym pojazdem Mark do chwytającego za wojskowy karabin Paula. - Chcę widzieć ich zwłoki! I gdzie są, kurwa, nasi zakładnicy?!

W tym momencie major zrozumiał, że Maggie,

Steve i Sarah uciekli. To wywołało w nim jeszcze większą wściekłość. Mężczyzna wyrzwał zza hummera, aby namierzyć zbiegów, jednak po chwili musiał ponownie się schować, gdyż ostrzelano jego pozycję.

- Na co jeszcze czekasz, Paul?! Zrób coś, do kurwy nędzy!

Żołnierz przeładował broń i zaczął biec na zachód, w kierunku, z którego do nich strzelano. Kiedy mężczyzna dobiegł do ściany budynku, ustalił przybliżoną pozycję napastnika. Następnie zaczął go podchodzić. Kiedy doszedł do rogu budynku, zobaczył celującego do niego Chrisa.

- Słodkich snów - oznajmił Reese, pociągając za spust srebrnego pistoletu.

Padł kolejny trup. Paul otrzymał strzał w głowę, ginąc na miejscu. Tymczasem jego oprawca zaczął uciekać w głąb Greenwood. Major Mark Wilcher zauważył tę scenę. Wyciągnął broń i próbował zastrzelić Chrisa, jednak pocisk wielkiego kalibru roztrzaskał mu broń i niemal uszkodził dłonie.

Mark był zarówno wściekły, jak i zszokowany. Jedyne, co zrobił, to gwizdnął do swojego oddziału. W reakcji na ten gest żołnierze wstrzymali ogień i wrócili do samochodów. Następnie szybko odjechali z placu, będąc pod nieustannym ostrzałem.

Luke nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Z dziewiątego piętra budynku dokładnie zobaczył całe zajście. Ujrzał ucieczkę swoich przyjaciół, którzy pobiegli na wschód, jak też uciekającego w przeciwnym kierunku Chrisa.

Podróżny zwrócił także uwagę na ewakuację żołnierzy i Marka Wilchera. Na ten widok usiadł na ziemi i zaczął się histerycznie śmiać. Po kilkunastu sekundach oprzytomniał i spoważniał. Następnie wstał, niezwłocznie opuścił mieszkanie i zaczął zbiegać po schodach na sam dół.

Zanim Luke wyszedł z budynku, na parterze natrafił na Derricka. Przywódca Falltown wziął na zakładnika jednego z żołnierzy ASO i przykładał mu do głowy rewolwer. Był jednocześnie zdenerwowany i podekscytowany.

- Miałeś rację - oznajmił, nieznacznie odchodząc od drzwi wyjściowych. - Jednak ten twój przyjaciel wrócił.

- Co zamierzasz zrobić z tym człowiekiem? - zapytał Luke, podchodząc bliżej do mężczyzn.

- To, co wy teraz odwaliliście. Czemu miałbym odpuścić temu kutasowi, skoro chciał nas pozabijać?

- Zaraz zrozumiesz... - stwierdził Luke, podchodząc do żołnierza ASO, po czym uderzył go pistoletem w głowę.

Po otrzymaniu ciosu mężczyzna od razu stracił przytomność. W momencie, w którym Derrick go

puścił, żołnierz bezwładnie upadł na ziemię.

- Zostawmy go - oznajmił Luke, kładąc dłoń na ramieniu przywódcy Falltown. - Dzisiaj już dość ludzi poginęło. Po prostu spadajmy stąd jak najszybciej...

- Jesteś pewien, że nie chcecie wracać do Falltown? Wróćcie do Denhamów i będziecie mogli zacząć nowe życie.

- A tak w ogóle wiesz, gdzie oni mieszkają? - zapytał Luke, nie kryjąc ciekawości. - W sensie... nie zrobiłeś im nic złego?

- Gdzie tam. Po kilku dniach dorwaliśmy Richarda i Tima, ale krzywda ich nie spotkała. Bracia wyjaśnili, że są niewinni, i puściłem ich wolno. Od tamtej pory ta rodzina otrzymuje dodatkowe wsparcie. Dajemy im broń i mamy zamiar wysłać w przyszłości ludzi do pomocy na gospodarstwie.

- Dziękuję - oznajmił Luke, ściskając dłoń mężczyźnie. - To są cudowni ludzie i nie wolno ich krzywdzić...

- He, he... kartoteka jest otwarta - zarechotał Derrick, odwzajemniając uścisk. - Jak coś przeszkobią, to na własną odpowiedzialność.

- A ty co teraz zamierzasz zrobić? - dopytywał się Luke, patrząc na nieprzytomnego żołnierza ASO.

- Teraz wrócę do żony tak samo jak ty. Może więc lepiej będzie, jak rozplniemy się w powietrzu, zanim ten typ wstanie? Lepiej znajdź swoich i koniecznie

pozdrów ode mnie Williamsów.

- Nie wiem, jak na to zareagują, ale tak zrobię - odrzekł Luke, powoli wychodząc z budynku.

- Pamiętaj, że zawsze jesteście mile widziani w Falltown!

- Już raczej nigdy nas nie zobaczysz - odparł spokojnie Luke i machnął ręką na Parkera. - Wracaj do Ameryki. W końcu Jane na ciebie czeka.

Po tych słowach Roussel poszedł w kierunku, w którym uciekali Williamsowie i Maggie. Z kolei przywódca Falltown niezwłocznie pobiegł w przeciwną stronę, szybko znikając w głębi zabudowań Greenwoods.

Po pokonaniu kilkuset metrów Luke zaczął szukać wzrokiem swojej grupy. Niestety nikogo obecnie nie widział. Stał na środku skrzyżowania i usilnie próbował kogokolwiek zlokalizować. W końcu zrezygnowany opuścił broń i upadł na kolana. Następnie opuścił głowę i poczuł totalną bezradność.

Niespodziewanie z sąsiedniego trzypiętrowego budynku ktoś rzucił świetlówką. Upadła ona kilkanaście metrów od Luke'a. Podróżny spojrzął w kierunku, z którego nadleciał przedmiot. Zauważył machającą do niego postać. Ulżyło mu, kiedy rozpoznał, że to Steve. Nie tracąc czasu, niezwłocznie podniósł pistolet, wstał i pobiegł do

towarzysza.

Kiedy Luke otworzył drewniane drzwi wejściowe, wszedł na klatkę schodową. Wokół było pełno brudu, kurzu i pozamykanych mieszkań. Podróżny zauważył także niezbyt solidne schody prowadzące na wyższe kondygnacje. Nie tracąc czasu, podszedł do nich i zaczął pokonywać kolejne piętra.

Kiedy wszedł na samą górę, rozejrzał się dookoła. Zauważył kolejnych kilka par zamkniętych drzwi i zwisające z sufitu żarówki. Nie krył radości, kiedy zobaczył także Steve'a, który gestem ręki prosił o to, aby do niego podejść.

- Co ty, do cholery, wyprawiałeś? - spytał nerwowo Williams.

- Jak wiesz, byłem trochę zajęty, pilnując Derricka - odparł Luke, podbiegając do towarzysza. - Najważniejsze, że już jest po wszystkim.

- Ech... nie chcesz teraz widzieć Maggie... Dziewczyna jest totalnie załamana. Nie wiem, jak zareaguje na twój widok. Poza tym co zrobiłeś z Parkerem?

- Puściłem go wolno - odrzekł Luke, chowając broń. - Kazał mi was pozdrowić i powiedział, że zaopiekuje się nami w Falltown. Poza tym wspomniał Denhamów i to, że im będzie w przyszłości pomagał. Są bezpieczni.

- Chociaż tyle dobrych wieści... Słuchaj... gdyby

nie Chris, moglibyśmy zginąć. Widziałeś go?

- Wiem tylko tyle, że uciekł wojskowym i że nic mu nie jest.

- Nasz nowy znajomy powiedział, że ustalił z nim miejsce zbiórki. Zaraz poznasz tego, kto także nas uratował.

- Powiesz mi chociaż, jak on ma na imię? - dopytał lekko entuzjastycznie Luke.

- Kurtis - odpowiedział krótko Steve, wprowadzając podróżnego do mieszkania, w którym czekała na niego niemal cała ich grupa.

Kiedy mężczyźni weszli do środka, ujrzeli siedzące na podłodze Maggie i Sarah. Kobiety się przytulały i próbowały uspokoić. Tuż obok nich stał nieznany Luke'owi mężczyzna.

Miał około trzydziestu lat. Niedbale przystrzyżone brązowe włosy i krzywo ogolony zarost były dowodem na to, że nie przywiązywał on znacznej uwagi do wyglądu. Ponadto nosił szary golf, czarne spodnie i ubłocone brązowe trapery. W dłoniach trzymał karabin przeciwpancerny, którego lufę kierował obecnie na podłogę.

- Więc to ty nas uratowałeś - oznajmił Luke, podchodząc do Kurtisa. - Miło mi cię poznać...

Zanim ich wybawca zareagował, Maggie wstała i rzuciła się na Roussela. Szybko go powaliła na podłogę, a następnie zabrała mu maczetę i przyłożyła

mu ją do gardła.

- To wszystko twoja wina! - krzyknęła. - To przez ciebie zginął Ray!

- Maggie, spokojnie... - wtrącił Steve, podchodząc i próbując uspokoić towarzyszkę.

- Postaw chociaż jeszcze jeden krok... - zagroziła kobieta, kierując ostrze w stronę Williamsa. - Luke, czemu nam nie pomogłeś?! Mogłeś przecież uratować Raya!

- Wilcher nie dał mi wyboru... Naprawdę chciałem, ale byliśmy w fatalnej sytuacji...

- Fatalnej?! - krzyknęła Maggie, ponownie przykładając ostrze do szyi podróżnego. - Kiedy ty sobie wygodnie siedziałeś z Derrickiem, my mogliśmy zginąć! Powiesz... tylko czekałeś na to, aż major nas zabije... powiedz to!

- Niczego nie rozumiesz... zaraz wyjaśnię. Daj mi trochę czasu. Pamiętasz Nicole? Ze względu na nią nie mogłem dać się dorwać.

- Chciałeś nas poświęcić tylko dlatego, żeby wrócić do żony?! - zapytała kobieta, wstając i nieznacznie cofając się od Luke'a.

- Nie - krótko odparł Roussel, powoli stając na nogi. - To trochę skomplikowane, aby wyjaśnić to, co miałem wtedy w głowie. Myślisz, że chciałem, aby zamordowali Raya? Uważasz, że nie chciałem naszego dobra? Zależy mi na was... jesteście dla

mnie jak rodzina.

- To czemu nam nie pomogłeś?!

W tym momencie kobieta zaczęła płakać. Luke, omijając odpowiedź, podszedł do towarzyszki i ją przytulił.

- Przepraszam...

Słyszając te słowa, Maggie upuściła maczetę i odwzajemniła uścisk.

- Gdybym mógł cokolwiek zrobić, aby was ocalić... ech... dobrze wiesz, co próbuję powiedzieć...

- Cze... czemu? Dlaczego?

- Na to nigdy nie znajdziemy dobrej odpowiedzi - wtrącił od siebie Steve. - Na nas wszystkich kiedyś przyjdzie pora. Póki żyjemy, spróbujmy nadal walczyć o lepsze jutro. Jeszcze o tym porozmawiamy. Przy okazji poznajmy Kurtisa...

- Cześć - powitał wszystkich lekko zmieszany wywołaniem mężczyzna.

- Hej - odparł Luke, nieustannie tuląc Maggie. - Dzięki za pomoc i ratunek...

- Nie ma sprawy - odparł krótko mężczyzna. - Pamiętajcie, że nie możemy tu długo być. Ta wojskowa hołota zaraz zacznie nas szukać. Mam plan na ucieczkę, ale musicie mi zaufać.

- Czemu nie... - odparł Steve, podchodząc do Kurtisa. - Pójdziemy za tobą, gdziekolwiek będzie trzeba.

- No, Maggie... idziemy - oznajmił Luke, patrząc w oczy towarzyszce. - Nic tu po nas. Wrócimy do tej rozmowy, jak tylko będziemy bezpieczni.

- Na pewno? - zapytała cicho kobieta, z trudem powstrzymując płacz.

- Obiecuję... Teraz musimy uciekać. Prowadź, Kurtis.

W odpowiedzi mężczyzna zawiesił broń na plecy i pomógł wstać Sarah. Następnie wziął ją na rękę i kiwnięciem głowy zasugerował podróżnym opuszczenie pomieszczenia. Po tym goście Luke wziął swoją maczetę i schował ją za pasek od spodni. Następnie Maggie złapała Roussela za rękę i wszyscy szybko opuścili mieszkanie.

Kiedy grupa wyszła na ulicę, Kurtis postawił Sarah na nogi i wyznaczył kierunek marszu. Po przejściu kilku zniszczonych dzielnic mężczyzna na moment stanął i zaczął rozglądać się dookoła. Nie widząc zagrożenia, kucnął, a następnie odsunął kratkę studzienki kanalizacyjnej. Potem gestem dłoni zasugerował, żeby wszyscy zeszli pod ziemię.

Każdy posłuchał sugestii. Grupa zaczęła powoli schodzić w ciemność do kanałów po skorodowanej drabinie. Tym samym teoretycznie umknęła żołnierzom ASO, którzy w tym czasie mogli patrolować okolicę.

W momencie gdy wszyscy zeszli na dół, Kurtis

również do nich dołączył, uprzednio zasuważąc za sobą właz. Następnie wyciągnął z kieszeni podręczną latarkę i ją włączył.

Jasny strumień światła padł na długi, wysoki na trzy metry tunel, odsłaniając przeróżne okropności. Brudna, pełna śmieci woda sięgała wszystkim do kolan. Przez panującą w tym miejscu wilgoć na ścianach rozwinęło się pełno grzybów. Gdzieś tam pływały także zwierzęce truchła, a zapach stęchlizny sprawiał, że prawie nie można było tutaj oddychać.

- Wiem, że nie jest to dobry plan, ale jedyny, jaki możemy teraz zrobić... - oznajmił Kurtis, zasłaniając nos rękawem golfu. - Na górze będą nas szukać i mało prawdopodobne, że im tam umkniemy.

- Na pewno obstawili wszystkie wyjścia z miasta - dodał Luke, mrużąc oczy od nieprzyjemnego zapachu.

- He, he, jedno raczej ominęli - odparł entuzjastycznie Kurtis. - Ten tunel prowadzi za mury, w głąb lasu. Na końcu tej drogi jest właz kanalizacyjny, który dobrze ukryłem. Żeby tam dojść, musimy iść na zachód.

- Długo trzeba brodzić w tym ścieku? - zapytała Sarah, opierając się o Steve'a.

- Mamy do przejścia ponad pięć kilometrów... Jeśli chcecie, możecie zrezygnować, ale wiecie, że dobrze na tym nie wyjdziecie. Zresztą Chris prosił

mnie o to, abym wam pomógł. Chociaż ucieknijcie dla swojego przyjaciela.

- Skoro tak trzeba, to lepiej nie traćmy czasu... - oświadczył Steve, wychodząc naprzeciw wszystkim, i pomógł iść Sarah. - Tu można stracić przytomność.

W odpowiedzi na te słowa grupa niezwłocznie zaczęła zmierzać w kierunku wyjścia poza teren Greenwoods. Przez najbliższe dwa kilometry utrzymanie stałego tempa marszu nie stanowiło dużego problemu. Dopiero gdy kanał rozdzielił się na dwie części, wszyscy stanęli.

Im bliżej było wyjścia z wodociągów, tym tunel malał. Od podstawy do sufitu kanału były dwa metry, a poziom wody sięgał każdemu niemal do pasa. Dalsza perspektywa przemarszu była dla podróżnych niezbyt obiecująca.

- Na pewno wiesz, co robisz? - nieoczekiwanie zapytał Luke. - Pamiętaj, że jesteśmy nieźle poobijani, a dla Sarah brodzenie tutaj może być groźne.

- Spokojnie - odparł Kurtis, oświetlając lewe skrzydło kanału. - Wszystko będzie dobrze. Przechodziłem tym ściekiem kilka razy i wiem, że ten odcinek jest najgorszy. Gdyby przez kilka dni padało, to inaczej bym gadał, ale teraz sytuacja wygląda na normalną.

- Ech... obyś miał rację... - westchnął Steve. -

Tak w ogóle, to czy te kanały pamiętają czasy sprzed wojny? W końcu kto by teraz ciągnął coś takiego pod lasem?

- Masz rację - odpowiedział Kurtis, wznawiając marsz. - Zanim powstało Greenwoods, były tu ruiny innego miasta. Ludzie posprząтали bałagan na górze, ale nie zrobili nic z tym pod ziemią. Zresztą teraz to nam ratuje życie, że możemy skorzystać z tego ścieku po naszych przodkach.

- Niezbyt przyjemnego... - wymamrotał Luke, łokciem odpychając od siebie unoszące się na wodzie truchło na wpół rozłożonej wiewiórki.

- Ale pożytecznego - stwierdził Kurtis, słysząc marudzenie.

- Tak w ogóle to podejrzewam, że tutaj kiedyś mieszkałeś... - wtrąciła od siebie Maggie. - Opowiedz nam, co tu się właściwie stało?

- Mogę... chociaż szybciej nam zleci czas. Tylko nie myślcie sobie, że zwykle tyle gadam. W końcu od kilku lat mieszkam sam w lesie...

- Jeśli to cię męczy, to nie musisz nic mówić - oznajmił Steve.

- Trochę tak, ale co tam... Mama kazała mi przełamywać słabości, więc... Greenwoods powstało jakoś pięćdziesiąt lat temu i postawiono je pod koniec dwudziestego trzeciego wieku. Pewnego dnia, jakieś trzy wiosny temu, napadło na nas American Security

Organization. Ta hołota ostrzelała nas z powietrza i zrzuciła trujący gaz bojowy. To sprawiło, że ludzie zaczęli zachowywać się dziwnie. Powstało na tyle duże zamieszanie, że wojskowi wkroczyli do miasta i je opanowali.

- Pamiętasz, co dokładnie robiły osoby, które wdychały opary? - dopytywał Luke. - Atakowały innych?

- Niestety tak, choć wolałbym o tym zapomnieć. Było tak, jak mówisz. Nie dość, że zaczęli skakać jak obłąkani, to jeszcze gryźli ludzi, którzy próbowali im pomóc. Wielu wtedy zginęło...

- Ech... rozkłada - westchnął Luke i zaczął kaszleć, gdyż nagle poczuł intensywny zapach stęchlizny.

- Pieprzone ASO - dodał od siebie Steve. - Ilu mieszkańców podczas ataku żyło w Greenwood?

- Ponad osiem tysięcy... - odrzekł smutnie Kurtis. - Połowa zginęła, a resztę wojskowi wywieźli do Stanów, aby dla nich pracowali. Brali prawie każdego, nieważne, czy kobiety, czy dzieci. Na końcu rozstrzelali starych, chorych i ludzi, co wdychali gaz. A tych, których nie dobili, zapakowali na duże ciężarówki i odjechali. Potem...

- Wspomniałeś o swojej matce... - wtrącił Steve, wchodząc mężczyźnie w słowo. - Czy ona...?

- Mama była dobrą osobą... - odparł Kurtis,

zaciskając pięść. - Nie tak jak tato. On nas bił i wyzywał. Dobrze, że zginął tego dnia, ale mama mogłaby jeszcze pożyć...

- Przepraszam, że pytałem... - skomentował te słowa Steve, spuszczaając wzrok.

- Nie szkodzi... - oznajmił Kurtis, wyraźnie smutniejąc. - Byliśmy przeciętną rodziną w Greenwoods. Tata pracował jako myśliwy, a mama naprawiała buty. Żyliśmy jako tako... przynajmniej do czasu, aż ta amerykańska hołota nas nie zaatakowała.

- Jak nie chcesz, możesz urwać temat... - oznajmił Luke.

- Właśnie to zrobiłem. Teraz możemy pogadać o czymś przyjemnym. Lubicie przyrodę?

- Natura jest fajna, jeśli trzyma naszą stronę - odparł Steve. - Najważniejsze to ją szanować i czerpać z niej, co najlepsze.

- Lepiej bym tego nie powiedział. - Uśmiechnął się Kurtis. - Bardzo ważne jest wiedzieć także, co jest dobre do zjedzenia i jak robić pułapki. Zając czy nie... wszystko można łapać.

- Taki jest twój sposób na życie? - zapytał Luke.

- Tak. W lesie mi najlepiej. Poza tym gdzie miałbym iść? Tutaj całe życie żyłem. Skoro straciłem już rodzinę i przyjaciół, to zamieszkałem tam, gdzie nic przykrego mnie nie spotka. Przynajmniej mam spokój i całe Greenwoods dla siebie. Nawet nie

wiecie, ile skarbów można tutaj znaleźć.

- Jakoś nas one nie interesują - odparł Luke. - Teraz jest dla mnie najważniejsze, żeby stąd uciekać.

- Jeszcze kilka chwil i wyjdziemy z tego ścieku, obiecuję.

- Obyś miał rację, bo chyba zaraz zwymiotuję - stwierdził Steve, próbując pohamować torsję. - Sarah, jak się tam trzymasz?

- W porządku, braciszku - odparła kobieta, kładąc dłoń na zabandażowanej ranie.

- Pamiętasz, co ci robili? - dopytywał się Steve, zwracając uwagę na to, że jego siostra walczy teraz z bólem.

- Tylko zdezynfekowali mi ranę, nastawili żebro i zszyli. Nic mi nie wkuli i nie dali żadnych tabletek.

- Straciłaś sporo krwi... będziesz musiała solidnie odpocząć. Jest ci słabo?

- Czy to ważne? Lepiej już o tym nie gadajmy. Wyjdę z tego.

- Ciekawe, co będzie miał Chris do powiedzenia... - zaczął myśleć na głos Luke.

- Zaraz sam usłyszysz - odpowiedział mu Kurtis. - Niedługo dojdziemy do wyjścia.

Mężczyzna miał rację. Po kilku minutach wszyscy dotarli do starej, skorodowanej, stalowej kraty. Kurtis zgasił latarkę i niezwłocznie otworzył pionowy właz, umożliwiając każdemu opuszczenie nieprzyjemnego,

odrażającego miejsca.

W momencie gdy podróżni wyszli na zewnątrz, wróciło im wyczucie czasu. Obecnie trwał późny wieczór. Słońce z wolna zaczynało zachodzić. Z jednej strony było to na rękę uciekającym przed żołnierzami ASO podróżnym. Pod osłoną nocy ich szanse na przetrwanie rosły. Z drugiej obecność w gęstym sosnowo-brzozowym lesie budziła w nich niepokój. Dźwięki natury odbierały niemal wszystkim pewność siebie. Jedynie Kurtis wyglądał na zadowolonego i pełen entuzjazmu zaczął iść dalej.

- Niedługo zobaczycie Chrisa - oznajmił, zachęcając resztę do podążania jego śladem. - Jesteśmy umówieni na leśnej ścieżce, całkiem niedaleko stąd.

- Czy on też musiał uciekać tymi co my kanałami?

- zapytał Luke, nie kryjąc ciekawości.

- Tak, i to w dodatku sam. Wyglądał mi na takiego, co sobie poradzi.

- Ech... oby tylko ASO nie wpadło na podobny pomysł... Tak w ogóle to gdzie ty nas ciągniesz? Tam, gdzie idziemy, będziemy bezpieczni?

- Jak najbardziej. Zaprowadzę was do mojej chaty. Robię to tylko dlatego, że jesteście w potrzebie. Tylko nie dajcie mi później powodu, żebym tego żałował.

- Gdy tylko odpoczniemy, od razu wyruszamy

w dalszą drogę. Nie musisz się o nic martwić...

- Mam taką nadzieję - oświadczył Kurtis, wskazując na siedzącą w oddali osobę.

W tym momencie podróżni zobaczyli Chrisa. Mężczyzna odpoczywał na dużym przydrożnym kamieniu i otrzepywał swoje spodnie. Podobnie jak reszta grupy był przemoczony od pasa w dół.

Po kilku sekundach Reese zwrócił uwagę na zmierzające w jego kierunku osoby. Na ich widok odetchnął z ulgą i cierpliwie czekał, aż do niego podejda. Przy okazji wyjął srebrny pistolet z przedłużoną lufą, który przeładował.

- Maggie... bardzo mi przykro - powiedział, patrząc na towarzyszkę. - Robiliśmy, co mogliśmy, aby was wyciągnąć z tego burdelu...

Po tych słowach kobieta wyraźnie posmutniała. Niezwłocznie przytuliła Sarah i znów zaczęła płakać.

- Chris... rozumiesz, o co chodzi... - oznajmił Steve, ściskając dłoń mężczyzny. - S... skąd masz ten pistolet?

- Zgadnij, komu musiałem go odebrać - odparł z lekkim entuzjazmem w głosie Chris. - Albo co ja tam będę cię męczył. Dorwałem Charlesa Fossa.

- Zabiłeś go?

- Przestań... Brian by mi tego nie darował. Po prostu trochę się postrzelaliśmy, a na koniec przywaliłem mu w łeb nogą od krzesła. I bez obaw,

sprawdziłem, czy żyje. Nic mu nie zrobiłem.

- Może właśnie to jest powód do zmartwień...
Cała nadzieja w tym, że odnajdzie Derricka i panowie
sobie o nas na spokojnie pogadają.

- To Parker nadal żyje? Luke, nic mu nie
zrobiłeś?

- Puściłem go wolno i nawet to zaprocentowało.
Przynajmniej go ostro poturbowałem i złamałem mu
nos.

- I przy okazji ocaliłeś życie... - wtrącił Kurtis. -
Miałem cię wtedy na celowniku.

- Nie ma o czym gadać... - odparł Luke i machnął
ręką. - Teraz mamy większe zmartwienia. Jesteśmy
mokrzy, nie mamy jedzenia, samochodów i za dużo
broni.

- Bez obaw, dzisiaj pożyczycie na mój rachunek -
zadeklarował Kurtis. - A rano będę miał dla was
niespodziankę.

- Skoro tak twierdzisz... - z zadowoleniem
w głosie odparł Steve. - Tak w ogóle, Chris... pięknie
wykończyłeś tego zwyrodnialca, który do ciebie
leciał. To twoje pierwsze morderstwo?

- Tak, ale wolałbym o tym nie gadać. Po prostu
zrobiłem, co należało. Przestałem w zasadzie myśleć
i jedyne, co wiedziałem, to że padnie albo on, albo ja.
Lepiej nie wracajmy już do tej sprawy...

- Musimy być przygotowani na wszystko -

oznajmił Steve. - Dobrze zrobiłeś i nie musisz się za nic obwiniać. Kosztem jednego uratowałeś troje. Musimy za to kiedyś porządnie wypić.

- Może kiedyś będzie ku temu okazja, ale nie dzisiaj - skomentował te słowa Luke. - Kurtis, możemy już iść?

- Eee... jasne. Za kilkanaście minut dojdziemy na miejsce. Jeśli się pospieszymy, to zdążymy tam być przed nocą.

Wszyscy niezwłocznie zaczęli podążać za Kurtisem. Tym razem skręcili na południe. Ponadto dzięki temu, że grupa ponownie była razem, ich obawy o swoje bezpieczeństwo stopniowo zaczęły maleć...

Po kolejnych kilkuset metrach wszyscy doszli do końca leśnej ścieżki. Pomimo to Kurtis nalegał, aby szli dalej i przedzierali się przez gęste krzaki jałowca. Brudni, pokryci pajęczynami i igłami nie tracili jednak zapału. Zależało im tylko na tym, aby w końcu dotrzeć do miejsca, gdzie będą mogli odpocząć.

Kiedy pokonali gąszcz roślin, weszli na niewielką, skrytą pośród sosen polanę. Po drugiej stronie porośniętego trawą terenu Luke zauważył wysoką na dwa metry, będącą w kiepskim stanie siatkę. Po jej drugiej stronie stał niewielki, drewniany, ukryty pośród drzew domek.

- Uch... jesteśmy na miejscu - zadeklarował

Kurtis. – Witajcie w moich skromnych progach.

- Nieźle to wykombinowałeś... w sensie, że tak dom ukryłeś – stwierdził Steve.

- Sam to wszystko zbudowałem. Zimy są tu trochę ciężkie, ale jak wszystkiego dopilnuję, starczy mi zapasów do wiosny. Śmiało, podejdźcie bliżej. Za chwilę się umyjecie, zjecie i przebierzecie. Na pewno jesteście bardzo głodni.

- Dzięki za wszystko, co dla nas robisz – oznajmił Luke. – To dla nas wiele znaczy.

- Drobiazg. Mama mi zawsze mówiła, aby być uprzejmym, to ludzie będą dobrzy. A jeśli są źli, to trzymać takich na dystans... albo jeszcze lepiej na celowniku. Mama zawsze miała rację...

- Dokładnie, Kurtis, dokładnie... – entuzjastycznie odparł Luke. – Dobrze, że na tym świecie są jeszcze tacy ludzie jak ty.

- Sorki za nadgorliwość, ale czy możemy już iść? – wtrącił pytanie Steve. – Dziewczyny chcą już odpocząć.

- Chodźcie za mną – poprosił Kurtis. – Coś wam pokażę.

Po tych słowach mężczyzna pobiegł prosto do swojego domu, zostawiając podróżnych na skraju polany. Był szczęśliwy, ponownie wracając do miejsca swojego zamieszkania. Grupa nie zraziła się jego zachowaniem i wolnym krokiem zaczęła podążać

w stronę odgradzonego prowizorycznym płótem schronienia.

Kiedy podróżni podeszli bliżej, mogli dokładniej obejrzeć miejsce, w którym mieli spędzić najbliższą noc. Niewielki parterowy domek był skonstruowany z kłód i desek. Plastikowe okna przysłonięto od wewnętrznej strony plandeką, która skutecznie zasłaniała to, co było w środku. Prowizoryczne drewniane drzwi ledwo wisiały na zawiasach i zamykał je jedynie podstawiony pod nie pniak. Tuż obok domku stał niewielki otwarty magazyn. W środku leżało kilka wypełnionych nieznaną substancją beczek.

- Co was tak dziwi? - zapytał Kurtis, odczepił siatkę i zaczął ją zwijać, tym samym umożliwiając wejście na jego posesję. - Tam w pojemnikach jest tylko woda. Tam się myję i jak pada, zbieram deszczówkę także na zupę i herbatę. Pójdźcie tam i zmyjcie z siebie cały brud. Zaraz wam przyniosę nowe ubrania.

- A masz może jeszcze jakieś bandaże? - dopytywał się Luke. - Trzeba wymienić opatrunek Sarah.

- Coś tam zawsze znajdę - odparł Kurtis i wszedł do domu.

- I tyle go widzieliśmy. - Zaśmiał się Chris. - Panny przodem. My z kąpielą możemy poczekać.

Maggie i Sarah niezwłocznie poszły do magazynu i zamknęły za sobą drzwi. Podczas gdy podróżni czekali na ich powrót, wrócił Kurtis. Niósł pięć par dżinsowych spodni. Dodatkowo trzymał dwie rolki bandaży, kilka hermetycznie zapakowanych gaz i wodę utlenioną.

- Tylko tyle mogłem teraz znaleźć - oznajmił, podając Chrisowi wszystkie rzeczy. - Możemy sobie pozwolić na wymianę. Zostawcie mi brudne spodnie i weźcie te, które wam daję. Powinny na was pasować.

- Nawet nie wiem, jak możemy ci się odwdzięczyć - odparł Chris, rozdając po jednej parze dżinsów Luke'owi i Steve'owi.

Reese następnie podszedł do magazynu i kilkakrotnie zapukał w ścianę. Jednak nie słysząc odpowiedzi, lekko uchylił drzwi i położył na betonowej posadzce resztę trzymanyh rzeczy. Zabrał sobie tylko jedną parę spodni, po czym ponownie wrócił do reszty mężczyzn.

- Podziękujecie, jak ocenicie moją specjalność - oświadczył Kurtis. - Właśnie nastawiłem ogień na zupę. Niedługo powinna być gotowa.

- Na pewno będzie dobra - zgadywał Chris. - Teraz wszystko mi będzie smakować. Nawet zupa grzybowa...

- Skąd wiedziałeś, że właśnie taką robię? -

zapytał Kurtis, nie kryjąc zdziwienia.

- Eeeee... zgadywałem? - odparł z nienaturalnym uśmiechem Chris. - Mogłem się tego, ten... domyśleć... z racji... no wiesz... pora roku...

- Nie wybrzydź - oznajmił Luke, lekko uderzając kompana w bark.

- Na pewno będzie dobra, he, he... - zarechotał Reese, powtarzając swoje słowa. - Wielkie dzięki za posiłek.

- To ja wracam pilnować kolacji - oznajmił właściciel domu. - Jak będziecie czyści, wchodźcie do środka, a ja wtedy pójdę wziąć kąpiel. Tylko wyczyśćcie też buty.

- Nie zapomnimy o tym - odparł Chris, nienaturalnie szczerząc zęby.

Rozmowa dobiegła końca. Przez najbliższe kilkanaście minut podróżni kolejno wchodzili do magazynu, aby zmyć z siebie krew i brud. Kiedy wszyscy byli już czyści i przebrani, a Sarah miała zmieniony opatrunek, Kurtis zaprosił ich na kolację. Następnie zebrał złożone na stos oddane mu brudne spodnie i poszedł na tyły swojego domostwa. Potem sam poszedł wziąć kąpiel, a Luke, Chris, Maggie, Steve i Sarah przekroczyli próg jego domu.

Ujrzeni skromnie urządzone wnętrze. Jedynymi elementami wyposażenia była kuchenka z umieszczonym na niej garem, stara lodówka, półka

ze słoikami i zastawą, niewielki stół, kilka taboretów i zdezelowane łóżko. Najwidoczniej właściciel nie był zainteresowany poprawą takiego stanu rzeczy.

- Mogło być gorzej... - stwierdził Luke, zajmując miejsce przy stole. - Nie możemy narzekać.

- Trochę świrnięty ten Kurtis - powiedział Chris, przysiadając się do Rousseła.

Reszta grupy postąpiła podobnie i również usiadła na taboretach.

- Trochę mi przypomina Ryana - oznajmił Luke. - To by wiele tłumaczyło...

- Kogo? - dopytywał Chris. - Nie kojarzę tego gościa.

- Nie pamiętasz, jak ci mówiłem, kogo spotkałem w lesie przed Baker City? Też był dziwnym samotnikiem... Takie zachowania są typowe dla kogoś, kto mieszka na odludziu. Musimy przywyknąć i się uśmiechać, a jutro nas tu nie ma.

- Ech... a początkowo wyglądał na kogoś, kto jest choć trochę ogarnięty... - westchnął Chris.

- Nie ma nic bardziej niepewnego niż nieobliczalny koleś z karabinem przeciwpancernym - oznajmiła Sarah. - Już wolałabym spotkać tu Charlesa. Po nim przynajmniej wiadomo, co zrobi...

- Uwierz, nie chciałybyś teraz go widzieć - odrzekł Steve. - Lepiej będzie, jak ci ludzie raz na zawsze znikną z naszego życia. Poza tym jak twoja

rana?

- Jest dobrze. Mówiłam, żebyś mi w końcu dał z tym spokój.

- Dobra, nie było pytania...

Po chwili do podróży dołączył Kurtis. Zadowolony podszedł do półki i zdjął z niej sześć łyżek i talerzy. Podmuchał na wszystko, a następnie postawił zastawę na stole. Zdjął z kuchenki duży gar i nalał wszystkim grzybowej zupy, którą sam przyrządził. Potem odstawił resztę potrawy z powrotem na kuchenkę i usiadł przy stole.

- Trochę tu ciemno... - powiedział Steve, nabierając łyżką potrawę.

- Gdzie ja mam głowę, he, he... - zarechotał Kurtis, wyciągając z kieszeni świecę i zapalniczkę.

Mężczyzna niezwłocznie podpalił knot i w pomieszczeniu od razu zrobiło się jasno. Następnie postawił źródło światła na stole i rozpoczął swój posiłek.

- Musimy być ostrożni - po chwili dodał. - Jakby było zbyt jasno, to ta wojskowa hołota mogłaby nas wypatrzyć.

- I tu masz rację - przytaknął Luke, próbując zupy. - Bardzo dobra. Z jakich grzybów ją robiłeś?

- Z borowików. W tym roku był prawdziwy wysyp.

- To... jest... naprawdę... pyszne - oświadczył Chris, szczerząc zęby.

- Dobrze, że wam smakuje. Proszę, jedzcie, ile wlezie. Poza tym czemu tak mało mówicie?

- Po prostu jesteśmy bardzo zmęczeni - odpowiedział Luke. - Nie zrozum nas źle, ale po kolacji chcielibyśmy od razu pójść spać.

- Ech... nie ma problemu... - westchnął Kurtis. - Dzisiaj siedzicie u mnie w domu, a jeśli o mnie chodzi, to po prostu dawno z nikim nie rozmawiałem, a mama mi mówiła, że to jest bardzo ważne.

- Jutro rano pogadamy. Jeszcze zanim sobie pójdziemy. W końcu nie możemy nadużywać twojej gościnności.

- Jeśli to wam choć trochę poprawi humor... - stwierdził Kurtis, wyciągając z kieszeni niewielkich rozmiarów klucz. - Masz, Chris. To prezent dla ciebie.

- Od czego on jest? - spytał mężczyzna, kończąc posiłek i przyjmując podarunek.

- W lesie mam ukryty garaż, gdzie trzymam swój motor i furgonetkę. To jest klucz od samochodu. W środku będzie trochę paliwa i jedzenia na kilka dni. Jutro z rana podjadę do was i będziecie mogli ruszyć w dalszą drogę.

- Nie będzie ci szkoda oddawać auta? - zapytał Luke, nie kryjąc zdziwienia.

- Gdzie tam, mam jeszcze motor. Mała bestia jest sprawna i zwrotna. Tyle mi wystarczy. A wy

wyglądacie na takich, którzy potrzebują samochodu. Tak w ogóle to gdzie dalej wyruszyście?

- Na północ - odparł krótko Luke. - Planujemy uciec z Kanady i dostać się za ocean.

- To przez hołotę, prawda? - dopytywał Kurtis, kończąc kolację. - Nie chcą wam dać spokoju?

- Można tak powiedzieć. Zresztą widziałeś, co zrobili.

- Przykra sprawa... no cóż... nie będę was dłużej męczył. Idźcie już spać. Sarah może zająć moje łóżko.

- A ty gdzie spędzisz noc? - zapytał Chris.

- Mam swoje ulubione miejsca w lesie. Jeszcze nie ma zimy, więc mogę z nich korzystać.

- Jeśli chcesz, możesz spać tu razem z nami - oznajmił Luke. - My nie mamy nic...

- Nie, nie... musicie wypocząć. Przed wami daleka droga, więc macie mieć spokój. Pójdę sobie w inne miejsce, a jutro rano do was wrócę. A teraz was żegnam i uciekam. Do zobaczenia!

- Do zobaczenia - jednocześnie odparli podróżni, widząc wybiegającego z domu Kurtisa.

- Ech... - westchnął Luke. - Kończymy zupę i chodźmy spać. Dobrze, że sam też ją wsuwał.

- Też myślałeś, że może chcieć nas otruć? - zapytał Chris. - Kiedy powiedział o grzybach, pomyślałem, że to koniec.

- Na szczęście zupa była dobra - stwierdził Luke,

zabierając wszystkie opróżnione talerze i położył je z powrotem na półkę. - I tak proponuję spać na zmiany. Kto bierze pierwszą?

- Ja mogę - zadeklarował się Steve. - Po tym, co dzisiaj przeszliśmy, nie mam ochoty na sen.

- Ktoś jeszcze? - dopytywał się Luke, patrząc na resztę swojej grupy.

Nikt nie odpowiedział. Wszyscy wyglądali na wykończonych. Konfrontacja z majorem kosztowała ich zbyt wiele nerwów i energii, aby mogli sobie pozwolić na zarwanie nocy.

- W takim razie cała nadzieja w tobie, Steve - oznajmił Luke, patrząc na Williamsa. - Poradzisz sobie? Na pewno nie pójdziesz spać?

- Najważniejsze, żeby Sarah wypoczęła, reszta mnie nie interesuje.

- W takim razie postanowione - oznajmił Chris. - Dziewczyna zajmuje łóżko, a reszta śpi na podłodze. Rano wyjeżdżamy stąd jak najdalej. Potem znajdziemy ustronne miejsce i wtedy naprawdę odpoczniemy.

- Chyba potrzebujemy dłuższej przerwy... - stwierdził Luke, wstając i pomagając Sarah położyć się na łóżku. - Nie możemy jednak zapomnieć o nadchodzącej zimie.

- Tydzień nas nie zbawi - oświadczył Chris. - Co prawda jest ona blisko, ale nie na tyle, aby ją jeszcze

odczuć. Nie zapominaj także, że dzisiaj każdy swoje oberwał...

- Jeśli to ma wam choć trochę poprawić nastroje, to możemy gdzieś zrobić dłuższy postój - niechętnie oznajmił Luke. - Sarah także potrzebuje wypoczynku. Jutro ustalimy, co i jak robimy. Tymczasem teraz chociaż spróbujmy spać...

- Poleżysz dziś koło mnie? - zapytała Maggie, chwytając podróżnego za rękaw od płaszcza. - Wiesz, o co chodzi...

- Jasne, za chwilę porozmawiamy. A ty, Steve, czuwaj... Jak będziesz miał dość, szturchnij mnie, a cię zmienię.

- Niech będzie - przytaknął mężczyzna, przysuwając taboret pod ścianę. - Jednak jestem w stanie przesiedzieć całą noc... najwyżej odeśpię to później w trasie.

- Tak też może być - entuzjastycznie stwierdził Luke. - Rób, co uważasz, tylko przez kilka godzin nie śpij, bo wtedy będziemy bezbronni.

- Dobranoc wszystkim! - powiedział donośnie Steve, przejmując od Chrisa pistolet, który jeszcze niedawno należał do Charlesa.

Po tych słowach Williams lekko uchylił plandekę zasłaniającą okno. To pozwoliło mu widzieć okolice drzwi wejściowych i polanę. Tymczasem reszta podróżnych położyła się na niewygodnej podłodze

i próbowała zasnąć. Chris i Sarah w kilka minut zapadli w sen, a Luke i Maggie leżeli naprzeciwko siebie i patrzyli sobie w oczy.

- Może lepiej będzie, jak zgaszę tę pieprzoną świeczkę - rozpoczął szeptem rozmowę Luke.

- Ech... rób, co chcesz... - w odpowiedzi westchnęła Maggie.

Podróżny szybko wstał, zwilżył palce i zgasił nimi zapalony knot, powodując, że zapadła ciemność. Następnie wrócił na wcześniej zajmowane przez siebie miejsce i ponownie spojrzał na swoją towarzyszkę.

- Zrobione. Od razu lepiej.

- Nie, nie jest... I długo nie będzie...

- Jakoś musimy spróbować żyć dalej... I tak nigdy nie zapomnimy o Rayu...

- Dlaczego go nie uratowałaś? - zapytała Maggie, wyciągając drobny przedmiot z kieszeni.

- To ten mały miś, którego on wygrał dla ciebie na festynie? - zapytał Luke, omijając pytanie.

- Tylko to mi po nim zostało... zawsze będę go nosić przy sobie. Nie zmieniaj tematu... sprawiasz mi tym przykrość.

- Po prostu czułem się wtedy bezradny. Przez kilka godzin siedziałem w tamtym budynku i nie wiedziałem, co robić. W dodatku jak zobaczyłem Derricka, wiedziałem, że będzie jeszcze gorzej.

- Na pewno mogłeś coś zrobić, aby nas szybciej uwolnić od majora - stwierdziła Maggie i zamknęła oczy.

- Nie miałem czystej linii do oddania strzału. Wilcher chodził blisko was, a odległość była dla mnie zbyt duża. Nie chciałem nikogo z was postrzelić, a ryzykując, pewno bym jeszcze pogorszył sprawę. Postanowiłem poczekać, aż sytuacja ulegnie zmianie.

- I uległa... Teraz Ray nie żyje...

- Jeszcze go pomścimy, zobaczysz. To już druga osoba, którą mi major odebrał. A trzecia, jeśli chodzi o ASO. Ray Bennett, Jack Cronley i Samantha... pamiętaj o nich, jak będziesz egzekwować sprawiedliwość.

- Niby jak mamy się im odegrać za krzywdy, które nam wyrządzili, skoro tylko uciekamy? - spytała Maggie.

- Major będzie mnie ścigał do skutku - odpowiedział Luke, zamykając oczy. - Was zresztą też. Po prostu poczekajmy, aż nadejdzie okazja i go dorwiemy. Zresztą jak pierwszy raz spotkałem tego człowieka, obiecałem mu, że go zabiję. Musimy tylko być cierpliwi...

- Nie sądzę, żeby tak miało być... Może lepiej po prostu sobie odpuścić i iść dalej...

- Nadal chcesz ze mną pojechać do Europy?

- Chyba tak, skoro zostałam sama...

- Nie jesteś sama, zapamiętaj to. Poza tym Williamsów też trzeba będzie przekonać. Po tym, co dzisiaj nas spotkało, dla nich też nie ma tutaj żadnej przyszłości.

- Słyszałem to - wtrącił szeptem Steve. - Śpijcie już, a jutro sobie pogadacie.

- A co ty sądzisz o wyjeździe do Europy? - dopytywał się Luke.

- Pomyślimy nad tym - odparł poirytowany tym pytaniem Steve. - Na razie mamy ważniejsze sprawy na głowie. Dobrej nocy. Jeśli coś się wydarzy, dam wam znać.

- Dobrej nocy, Steve... - powiedział Luke. - Dobranoc, Maggie.

- Ech... dobranoc - odpowiedziała kobieta i obróciła się na drugi bok.

Następnego dnia pierwsze promienie słońca zaczęły przedzierać się przez częściowo zachmurzone niebo. Temperatura powoli wzrastała, ale było to jednak zbyt mało, aby gęsta, snująca się po lesie mgła zniknęła. Paradoksalnie widoczność na poziomie gruntu wynosiła zaledwie dwadzieścia metrów, ale wyżej była o wiele większa.

Pierwszą osobą, która otworzyła oczy, była Sarah. Kobieta podczas przewracania się na drugi bok poczuła ból w klatce piersiowej. To sprawiło, że szybko zmieniła pozycję na pólżącą. Rozbudzona

spojrzała na swojego brata, który nadal wyglądał przez okno i trzymał w dłoni pistolet.

- Steve...? - próbowała zadać mu pytanie, ale zanim skończyła, ten wstał i podbiegł do niej.

- Tak, Sarah? - zapytał Williams, lekko przytulając siostrę. - O co chodzi?

- Czy... wszystko w porządku? - dopytywała się kobieta, lekko odpychając brata.

- Jasne, że tak. A czemu miałyby nie być? Jestem tylko strasznie zmęczony.

- Trzeba było obudzić Luke'a - stwierdziła, patrząc bratu w jego zmęczone oczy.

- Wyśpię się na trasie. W końcu będzie ku temu niejedna okazja.

- Cześć - nieoczekiwanie powiedział Chris, nie powstrzymując ziewania. - Dzisiaj w nocy było spokojnie?

- O dziwo tak... Nikt nie przechodził koło domu i nic nie słyszałem. Mimo wszystko dobrze, że mieliście mnie na czatach. Ostrożności nigdy za wiele.

- Chyba trzeba już wstawać i stąd spadać - stwierdziła Sarah. - Mam nadzieję, że Kurtis już podstawił samochód. Najlepiej dla nas będzie, jak od razu stąd pojedziemy.

- Mam wyjść i go poszukać? - zapytał Chris, patrząc na budzącą się ze snu Maggie.

- Wszyscy do niego pójdziemy - odparła Sarah. - Razem bezpieczniej...

- Luke, wstawaj - szepnęła Maggie, szturchając Rousseła. - Wychodzimy.

- C-co...?

- Idziemy do Kurtisa - oznajmiła kobieta, wstając.

- No już... szkoda czasu.

- Ależ was goni... - stwierdził na wpół przytomny Luke, się podnosząc na nogi, i powoli poszedł w stronę wyjścia.

Kiedy grupa wyszła na zewnątrz, ujrzała jedynie najbliższe drzewa i prowizoryczne otwarte ogrodzenie. Aktualnie pogoda uniemożliwiała im dokładniejszą obserwację. Jednak mimo to dostrzegli na polanie przysłoniętą mgłą sylwetkę.

- To chyba Kurtis - stwierdził Luke, podchodząc nieco bliżej niewyraźnej postaci.

Podróżny trafnie odgadł, o kogo chodziło. Kiedy grupa opuściła teren posesji, wszyscy podeszli do mężczyzny. Stał on odwrócony do nich plecami, a w rękach trzymał karabin przeciwpancerny.

- Kurtis? - rozpoczął pytaniem Luke i stanął w miejscu.

- Możecie choć przez chwilę być cicho? - odrzekł mężczyzna, stawiając kolbę karabinu na ziemi. - Przeszkadzacie mi.

Po tych słowach podróżni zaczęli dokładniej

obserwować, co robił mieszkający w tych stronach człowiek. Kurtis przez kilkanaście sekund ustawiał swoją broń, a kiedy uzyskał, jego zdaniem, odpowiedni kąt, pociągnął za spust.

Pocisk przeciwpancerny poleciał w powietrze. Po dwóch sekundach wszyscy usłyszeli huk. Kula w coś trafiła.

- Patrzcie tam! - krzyknął Kurtis, wskazując wszystkim mały, czarny, znajdujący się na wschodzie punkt na niebie.

Podróżni spojrzeli na niewielki czarny obiekt, który aktualnie spadał na teren Greenwoods. Po kilku sekundach zniknął on każdemu z pola widzenia i prawdopodobnie rozbił się o ziemię.

- Coś ty ustrzelił? - zapytał Chris, podchodząc bliżej do Kurtisa.

- Od dwóch godzin nad miastem latał wojskowy dron. Małe czarne gówno z kamerką wypuszczone przez hołotę. Gdyby nas namierzyli, byłoby ciężko. Wielkie dzięki naturze, że dzisiaj jest tak mglisto.

- To te mendy są aż tak zdeterminowane... - stwierdził Luke, drapiąc się po policzku.

- Teraz wiedzą, że ktoś wciąż jest w okolicy - oznajmił Kurtis. - Chyba nie macie zbyt wiele czasu. Chodźcie za mną.

Podróżni posłusznie poszli za mężczyzną. Kurtis ponownie przeprowadził ich przez gęste krzaki

jałowca. Kiedy wszyscy w końcu wyszli na ścieżkę, ujrzeli białą furgonetkę.

Samochód był w całkiem dobrym stanie. Poza licznymi rysami na lakierze, lekko wgniecionym przednim zderzakiem i brudnej od błota masce nie wyglądał, jakby coś w nim odbiegało od całkowicie nowego pojazdu. Jakby poświęcić mu trochę uwagi, to ten samochód mógłby wrócić do swojej dawnej estetycznej formy.

- Chris, na co jeszcze czekasz? - spytał Kurtis, patrząc na Reese'a. - Nawet nie wiesz, ile mi zajęło dopchanie tego tutaj. W końcu ty miałeś kluczyki. Nie traćcie czasu i szybko stąd spadajcie. Szkoda, że nie mamy okazji pogadać... Będzie mi was brakować.

- Ech... nawet nie wiemy, jak ci dziękować... - westchnął Luke, klepiąc mężczyznę po ramieniu. - Czy jest coś, co moglibyśmy dla ciebie zrobić, jak już dojedziemy do najbliższego spokojnego miejsca?

- Do najbliższego nie dojdziecie. Co prawda macie tam z tyłu sporo benzyny, ale dalej niż półtora tysiąca kilometrów nie pociągniecie. Za to wody i jedzenia starczy wam jakoś na tydzień, jak wszystko dobrze między sobą rozdzielicie.

- To i tak więcej, niż moglibyśmy w ogóle pomarzyć - oznajmił Chris. - No dobrze, wsiadajcie wszyscy do tyłu! Luke, ty jedziesz z przodu. A ty jesteś w porządku, Kurtis. Będzie mi ciebie

brakować.

- Jak chcesz, to zawsze możesz ze mną zostać, he, he - zarechotał mężczyzna. - Razem raźniej...

- Eeeee... pozwolę sobie odmówić - odparł Chris, szczerząc zęby. - Ale będę o tobie pamiętał i jak kiedyś wrócę do Kanady, to cię odwiedzę.

- Liczę na to - odparł entuzjastycznie Kurtis i rzucając na ziemię karabin przeciwpancerny, wyściskał mężczyznę.

- P-puszczaj, bo mnie połamiesz - powiedział Chris, usiłując się uwolnić.

- He, he... nie znam swojej siły. Powodzenia! Uważajcie na siebie!

- Ty tak samo... - odparł Luke, wsiadając do furgonetki.

Kiedy Roussel zajął miejsce z przodu na siedzeniu pasażera, zamknął za sobą drzwi. Po kilku sekundach dołączył do niego Chris. Tym razem Reese miał prowadzić. Mężczyzna włożył kluczyk do stacyjki i niezwłocznie go przekręcił. W tym momencie każdy usłyszał charakterystyczne dudnienie dobiegające spod maski samochodu.

- I jak tam z tyłu? - zapytał wsiadających na tył pojazdu Maggie, Steve'a i Sarah. - Będzie wam wygodnie?

- Chyba musi... - odparła Sarah, siadając koło dwóch beczek. - Tylko nie szalej i nie skręcaj za

ostro.

Po dokładniejszej obserwacji kobieta uznała, że jeden ze zbiorników zawierał wodę, a drugi paliwo. Dodatkowo po przeciwnej stronie leżała drewniana skrzynka. Kiedy Steve ją otworzył, nie mógł uwierzyć własnym oczom. W środku pojemnika leżało co najmniej kilkadziesiąt konserw z kurczakiem.

- Nieźle nas wyposażył - oznajmił radośnie Williams. - Chris, spieprzajmy na północ, bo się jeszcze Kurtis rozmyśli.

- Jak tam chcecie - odparł Reese, wbijając wyższy bieg, i szybko ruszył w głąb lasu.

Po chwili podróżni dojechali do muru Greenwoods. Po raz ostatni mieli okazję spojrzeć na pozostałości po niegdyś zamieszkującej to miejsce społeczności. Jedyne, co mogło czekać to miasto, to stopniowy rozpad i skazanie na zapomnienie. Jedyne interwencja ludzi dobrej woli mogłaby przywrócić temu miejscu dawny blask.

Chris przyspieszył samochód, dociskając pedał gazu do oporu. Prędkość, jaką osiągnęła furgonetka, wynosiła obecnie dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Ograniczona moc pojazdu uniemożliwiała szybszą podróż, jednak była na tyle wystarczająca, aby umknąć większości potencjalnych zagrożeń.

Po dwóch minutach podróżni minęli mury Greenwoods i wjechali na stary drewniany most.

Masa prowadzonego przez Chrisa pojazdu sprawiła, że konstrukcja umieszczona nad wodą zaczęła się rozsypywać. Kiedy samochód przejechał na drugą stronę rzeki, most runął. Towarzyszył temu dość spory huk.

- Mógłbyś choć trochę uważać? - zapytała Sarah kierowcę. - Trochę tu nami trzęsie. Poza tym co to, do cholery, było?

- Nic takiego - odparł Chris, nieprzerwanie jadąc leśną ścieżką. - Drobny wypadek przy pracy.

- Musimy być bardziej ostrożni - oznajmił Luke. Wyciągnął pistolet i rozłożył go na części. - Lepiej przez jakiś czas nie zwracajmy na siebie uwagi.

- Spokojnie, wszystko pod kontrolą - odparł Chris. - Nawet nie wiecie, jak się cieszę, ponownie siadając za kółkiem! Od dawna mi tego brakowało! Tak w ogóle to macie tam coś do jedzenia? Chciałbym coś wrzucić na ząb.

- Mów ciszej - poprosiła Sarah. - Steve właśnie zasnął. Zarwał noc, a ty drzesz mordę. Mamy jedzenie i możemy wam je podrzucić. Otwórzcie kratkę, a coś dostaniecie.

- Jaką kratę? - spytał Luke, nie kryjąc zdziwienia, i spojrzał za siebie.

Roussel ujrzał niewielki lufcik odgradzający go od Maggie, Steve'a i Sarah. Niezwłocznie chwycił doczepiony do niego uchwyt i z całej siły go

pociągnął. Już przy pierwszym podejściu urwał zaślepkę.

- Ej... trochę szacunku do samochodu - oznajmił Chris, patrząc na to, co zrobił jego pasażer.

- A twoje zabawy z moją maczetą coś ci przypominają? -zapytał Luke. - To nie będzie nam potrzebne, a samochód i tak jest trochę uszkodzony. Dziewczyny, dajcie jeść.

Po tych słowach Maggie wstała z miejsca i wyciągnęła ze skrzynki kilka puszek z kurczakiem. Następnie podała je Luke'owi, po czym wróciła do Sarah i ją przytuliła.

Roussel wyciągnął ze swojego płaszcza otwieracz. Niezwłocznie go użył, a po otwarciu konserw rozdał je reszcie, a potem wygodniej usiadł na fotelu.

- Jak Steve wstanie, to go nakarmimy - oświadczył, próbując kurczaka. - Pilnujcie, aby się nic tam nie rozlało.

- Lepiej wy uważajcie na drodze - odparła Sarah. - Tu z tyłu nadal trzęsie.

- Cierpliwości - poprosił Chris, jedną ręką trzymając kierownicę, a drugą pochłaniając kolejne porcje jedzenia. - Zaraz wyjedziemy na główną drogę. Do wieczora będziemy w ruchu, a potem rozbijemy gdzieś obóz. Luke wyraził zgodę na tygodniowy postój.

- To prawda, ale może odpoczniemy gdzieś nieco dalej? Najważniejsze to jak najszybciej uciec daleko na północ.

- A co zrobimy potem? - dopytywał się Chris.

- Pytaj mnie, a ja ciebie - odparł Luke, patrząc za okno. - Chciałbym, aby już nic złego nas nie spotkało.

- Marzenia ściętej głowy - cynicznie oznajmiła Sarah, dojadając jedzenie z puszki. - Na trasie nigdy nas nie czeka nic dobrego. Musimy dojechać nad ocean. Tylko wtedy będziemy mieli jakiegokolwiek szansę na przetrwanie.

- Ech... zrobimy, co możemy... - westchnął Chris.

- Tymczasem nie pozostaje nam nic innego, jak jechać w nieznane. To i tak lepsze niż rady Jamesa. Jego śmierć okropnie wyglądała...

- Ci, którzy dopuszczają się zdrady, nie powinni liczyć na wybaczenie... - stwierdził Luke, dojadając śniadanie. - Na tym świecie nie ma czegoś bardziej podłego niż oszukanie człowieka, który działał w twojej dobrej wierze. Mam nadzieję, że z czasem takich osób będzie coraz mniej.

- Ludzie zawsze pozostaną tacy sami - dodał Chris. - Nie warto ufać obcym, a Williamsowie źle zawierają znajomości.

- Odpieprz się, Chris - odparła Sarah, wrzucając opróżnioną puszkę do kabiny kierowcy.

- Ech... mniejsza o niego... - westchnął Luke. -

Mniejsza o cokolwiek. Mgła opada.

W tym momencie warunki atmosferyczne zaczęły się poprawiać. Niebo się roz pogodziło, a po kilkadziesiąt sekundach widoczność była niemal doskonała. Roussel postanowił uchylić szybę i wysunąć na zewnątrz głowę. Poczł zapach sosen i ciepły powiew wiatru.

- Pochyl łeb! - niespodziewanie powiedział donośnie Chris, wyrzucając trzy puste konserwy na drogę.

- Po co zaśmiecać takie miejsce... - powiedział jakby sam do siebie Luke, strzepując z włosów resztki niedojedzonego kurczaka. - Poza tym przed nami jest skrzyżowanie. Wiesz, gdzie jechać?

- Sądząc po ostatnim skręćie w prawo, teraz powinniśmy jechać w lewo - odparł Chris, zwalniając pojazd przed rozstajem dróg.

Kiedy mężczyzna podjechał dostatecznie blisko, obrał zapowiadany wcześniej kierunek. Od tego momentu podróżni poruszali się asfaltową drogą. Po chwili Luke zakręcił boczną szybę. Następnie usiadł wygodniej i zaczął ponownie podziwiać przyrodę.

- Ach te jesienne mgły... - westchnął Chris. - Zawsze z nimi nadchodzą złe rzeczy. Kiedy mijają, nikt nie bliska nam osoba.

- To ta twoja legenda? - zapytał Luke. - Niemożliwe, aby to ze sobą powiązać...

- Ja tam swoje wiem - oznajmił Chris, dociskając pedał gazu do oporu. - Nie powinniśmy tu przyjeżdżać... do Greenwoods...

- Nic nie dzieje się bez przyczyny... - oświadczył Luke, w końcu rozpoczynając czyszczenie swojej broni. - Po prostu musimy żyć dalej i czekać na to, co przyniesie jutro...

- Chyba właśnie tak to działa - stwierdził bez entuzjazmu Chris. - Oby tylko to „jutro” nie było dla nas kolejnym koszmarem.

- Jeśli będziemy walczyć, osiągniemy wszystko, czego chcemy. Tylko musimy działać razem.

- To trudne, jeśli spojrzymy na to, co nas wczoraj spotkało.

- Po prostu nie możemy przestać walczyć.

- Niby o co?

- O lepszą przyszłość...

ROZDZIAŁ III

TRAKT STRACEŃCÓW

Koniec października cechowały coraz krótsze pochmurne dni i mroźne noce. W kanadyjskiej prowincji Yukon perspektywa nadejścia zimy była coraz bardziej realna. Z drzew spadły już wszystkie liście, większość zwierząt rozpoczęła długi, kilkumiesięczny sen, a na rzekach i jeziorach pojawiły się pierwsze lodowe kry.

Mimo wszystko w lasach dalej widoczne były oznaki życia. Pośród sosen i świerków wciąż żerowały lisy, łosie i karibu. Te pierwsze polowały na schowane w jamach gryzonie. Jeleniowate przemierzały setki kilometrów na południe w poszukiwaniu traw, które stanowiły dla nich podstawowe źródło pokarmu. Z kolei wilki były w dość dogodnej sytuacji. Przeważnie śledziły wędrowki stad karibu i systematycznie urządzały na

nie polowania. Ten cykl życia był możliwy dzięki znikomej działalności człowieka w tych rejonach. Przez brak wpływu na naturę było dość pożywienia, aby utrzymać równowagę w ekosystemie.

Podróżnym zajęło siedem dni, żeby opuścić Kolumbię Brytyjską i dotrzeć do Jukonu. Po wydarzeniach, jakie przytrafiły się grupie w Greenwoods, Luke postanowił urządzić kilkudniowy postój w połowie liczącej ponad tysiąc pięćset kilometrów trasy. Jego grupa rozbiła obóz pośród leśnej głuszy, jak to często miała w zwyczaju. Przez ten czas wszyscy odpoczywali i analizowali swoją sytuację. Kiedy częściowo wydobrzeli, ruszyli dalej, aby jak najszybciej natrafić na jakiegokolwiek ślady cywilizacji. Pomimo determinacji nigdzie nie znaleźli śladów bytowania ludzi. Jedynie popękana, asfaltowa droga dodawała im wiary w to, że w końcu odnajdą jakieś miasto lub osadę, gdzie będą mogli uzupełnić zapasy i trochę odpocząć. Dodatkowo wiedzieli, że z każdym przebytym kilometrem są coraz bliżej celu ich wędrówki, jakim obecnie był Pacyfik.

Tego chłodnego wieczoru podróżni przemierzali białą furgonetką gęste sosnowe lasy. Asfaltowa droga, którą się poruszali, była w dość fatalnym stanie. Mnóstwo dziur, kolein, podtopień i korzeni drzew sprawiało, że ich podróż nie należała do

najprzyjemniejszych. Przez taki stan rzeczy Chrisowi dość szybko przeszedł entuzjazm, gdyż w tej chwili on kierował pojazdem. Mężczyzna co chwilę kłął i chaotycznie wymachiwał rękami. Paradoksalnie bawiło to Luke'a, gdyż jego zdaniem Reese wyglądał całkiem zabawnie. Jednak Maggie, Steve'owi i Sarah nie było do śmiechu. Na tyłach furgonetki wszelkie nierówności drogowe były bardziej odczuwalne. Kobiety co chwilę zmieniały miejsce, aby znaleźć jak najwygodniejszą dla siebie pozycję. Tymczasem Williams kurczowo się trzymał beczki z wodą i pełen obaw spoglądał na swoją siostrę.

- Jak twoja rana? - nie mogąc wytrzymać, w końcu zapytał. - Kiedy ostatnio zmieniałaś opatrunek?

- Trochę mnie rwie przez jazdę Chrisa, ale dobrzeję - odparła Sarah, jedną ręką trzymając się Maggie. - Zalałam wszystko wodą utlenioną i zabandażowałam kilka godzin temu. Nie sądzę, aby to szybko się zagoiło, ale twoje gadanie nic tutaj nie zmieni. Bez obaw, braciszku. Za jakiś czas wyjdę z tego. Nie musisz mi o tym co chwilę truć.

- Kierowco, do ciężkiej kurwy nędzy, ile jeszcze będziesz nas maltretował? - zapytał Steve prowadzącego samochód. - Może wy, cwaniaki, tam sobie wygodnie siedzicie, ale tu nami porządnie szarpie.

- Jak z Lukiem znajdziemy jakieś miejsce na postój, to wam damy znać - odparł mężczyzna, mocniej zaciskając ręce na kierownicy. - Aktualnie mamy do wyboru lasy, lasy i jeszcze więcej, kurwa, lasów.

- Od teraz nie powinniśmy w nich nocować - oznajmił Luke. - Idą mrozy. Wczorajszej nocy bardzo spadła temperatura. Nie możemy zbyt ryzykować.

- My tam z siostrą jesteśmy dość odporni - oświadczył Chris. - Nie ma powodów, aby się o nas martwić.

- Trzeba pomyśleć o wszystkich - odparł Luke, wycierając boczną szybę rękawem płaszcza. - Przecież nie mamy leków i nie wiemy nawet, gdzie jesteśmy. Od tej pory musimy uważać nie tylko na zwierzęta i ludzi, ale także na pogodę.

- Ciekawe, czy przed wojną też tak było... - zapytał jakby sam siebie Steve.

- Świat już dawno temu zapomniał o dawnych błędach ludzkości - odparł spokojnie Chris. - Wystarczyło nieco ponad trzysta lat, aby wymazać większość z tego, co ludzie zrobili. Może i lekkie anomalie pogodowe wciąż występują w przyrodzie, ale to nic, co mogłoby nas zabić.

- Tak naprawdę wszystko może nas ukatrupić - sprostował Luke. - Nie bądź taki lekkomyślny.

- Najważniejsze, że major nie ma pojęcia, gdzie

jesteśmy – dodał Steve. – Ciekawe, czy w końcu nam odpuści...

- Ech... nie sędzę... - westchnęła Maggie, mocniej przytulając Sarah. - To zdeterminowany psychopata. W dodatku działa w ASO. Nie da nam spokoju, dopóki nie dorwie Luke'a. To mi nawet, w sumie, na rękę...

- Niby dlaczego? - dopytywał Steve, wyraźnie zaskoczony słowami kobiety.

- Mark Wilcher zapłaci za to, co zrobił. Ten człowiek zabił wszystkich z mojej dawnej grupy. Zginął Johnny, Zack... i Ray...

- Niedługo się przekonamy, czy dojdzie do konfrontacji - oświadczył Chris. - Na razie nie będziemy na siłę jej szukać. Poza tym, czy mnie oczy nie mylą, czy przed nami jest jakiś most?

W tym momencie mężczyzna zaczął stopniowo zwalniać furgonetkę, ostatecznie zatrzymując ją tuż przy wspomnianej przez siebie konstrukcji.

Skorodowany obiekt był skonstruowany ze stali i miał ponad czterysta metrów długości. Przebiegał ponad gigantycznym zbiornikiem wodnym, który złudnie przypominał rzekę. Jednak na ustawionym w niedalekiej odległości od podróży znaku umieszczono komunikat, że jest to „Jezioro Teslin”. Pomimo względnie małej szerokości zbiornika wody sięgały za horyzont i nie sposób było zobaczyć całej

jego rozpiętości.

- Zostańcie w środku - oznajmił wszystkim Chris.
- Ja i Luke pójdziemy na zwiad i zobaczymy, z czym mamy do czynienia.

Po tych słowach obaj mężczyźni natychmiast chwycili za broń palną i ją odbezpieczyli. Następnie wyszli z samochodu, pozostawiając resztę grupy, i wolnym krokiem poszli w stronę kilkusetmetrowego mostu.

Po wstępnej obserwacji wyglądało na to, że furgonetka mogła bezpiecznie pokonać najbliższy odcinek trasy. Pomimo wszechobecnej rdzy droga wyglądała na taką, która wytrzyma napór pojazdu i pięciu osób. Ponadto podtrzymujące wszystko betonowe filary poza kilkoma pęknięciami nie wykazywały, że w najbliższym czasie runą.

- I co o tym myślisz? - zapytał Chris, bacznie obserwując okolicę.

- Sądzę, że powinniśmy się sprężyć - odparł Luke, wskazując pistoletem to, co ujrzał po drugiej stronie jeziora.

W miejscu, gdzie celował, był niewielki półwysep. Stało tam kilkanaście zrujnowanych domostw. Okolica sprawiała wrażenie niezamieszkanego i pozostawionego na pastwę natury. Gęste trawy, duża liczebność drzew i stan okolicznych obiektów świadczyły o tym, że ten rejon od dawna nie był

odwiedzany.

- Na pewno chcesz na to postawić? Moim zdaniem jest to zbyt blisko głównej drogi. Może ktoś tam jest...

- Niewykluczone, ale nie wygląda na to, aby ktokolwiek tam przebywał na stałe. Z kolei my potrafimy walczyć, a ja nie chcę spędzić kolejnej nocy w lesie, marznąć i wystawiać nas na ataki zwierząt. Twoje przeczucia są często uzasadnione, ale potrzebujemy teraz czegoś więcej niż wychłodzona furgonetka.

- Pogadasz z resztą? - zapytał Chris, drapiąc się po głowie.

- Ze względu na Sarah nie powinniśmy kombinować. Kobieta musi w końcu się wygrzać i odpocząć. Jak zresztą my wszyscy.

- Wytłumaczysz im to teraz czy dopiero po tym, jak dojedziemy na miejsce? Poza tym cholera wie, czy znajdziemy tam dom, w którym będzie można w ogóle spędzić noc...

- Spróbujemy taki znaleźć. Jakby co, jesteśmy zewsząd osłonięci lasem. Moim zdaniem jest to dość małe ryzyko, które możemy podjąć.

- W takim razie w drogę - oznajmił ochoczo Chris. - Co jak co, ale trzeba przez ten most w końcu przejechać. Im szybciej to zrobimy, tym prędzej zjemy.

- I właśnie o taki hart ducha mi chodzi - powiedział entuzjastycznie Luke, zmierzając z towarzyszem z powrotem do furgonetki.

Kiedy podróżni wsiedli do samochodu, Chris ponownie uruchomił silnik i powoli zaczął przejeżdżać przez skorodowaną stalową konstrukcję. Wraz z Lukiem nerwowo spoglądał na sypiącą się z przeseł mostu rdzę. Pomimo kilkudziesięciu sekund stresu i kilkuset metrów ostrożnej przejażdżki ich obawy były bezpodstawne. Budowla wytrzymała napór furgonetki i dalej trwała w nienaruszonym stanie.

W momencie gdy podróżni dotarli na drugi brzeg, mogli lepiej zobaczyć domy, które Roussel wcześniej wypatrzył. Kiepski stan tego miejsca początkowo nie wskazywał na to, aby dało się w tym miejscu rozbić obóz. Jednak po naciskach Luke'a Chris zjechał w boczną alejkę i zaczął szukać miejsca, w którym wszyscy mogliby odpocząć.

Po kilku minutach krążenia i obserwacji cierpliwość podróżnych w końcu się opłacała. Dostrzegli dom, który jako jedyny w okolicy był odpowiedni na spędzenie nocy.

Piętrowy budynek stał tuż przy samym brzegu jeziora. Jego drewniane ściany gęsto porastał mech. Brudne okna i przegniłe drzwi świadczyły, że to miejsce zostało opuszczone już dawno temu. Część

dachu była uszkodzona. Jedynie drewniana weranda wyglądała na dość solidną.

- Jeszcze raz zapytam... czy na pewno chcesz tu spędzić noc? - powtórzył pytanie Chris, parkując niedaleko domu.

- Na pewno nie będzie w nim zimniej niż w lesie - odparł Luke, opuszczając furgonetkę, a następnie wyjął pistolet.

Po tych słowach mężczyzna poszedł prosto do upatrzonego budynku.

- Możemy wyjść - oświadczył Chris, wyłączając samochód i zaciągając hamulec ręczny. - To koniec jazdy na dziś.

- Ech... w końcu... - westchnął Steve, wysiadając z auta. - Jesteśmy głodni i zmarznięci. Co dla nas Luke zorganizował?

- Zaraz się o tym przekonacie - odparł Chris, również wychodząc z pojazdu.

Kiedy wszyscy opuścili furgonetkę, zaczęli bacznie obserwować okolicę. Od razu zwrócili uwagę na dom, który wybrał Luke. Zobaczyli także Roussela, wchodzącego do ruiny, w której grupa miała nocować. Bez większego entuzjazmu zaczęli go śledzić, przy okazji wypatrując kogokolwiek obcego w pobliżu. Ponadto przegniłe zgliszczka sąsiadujących budynków nie napawały ich zbyt dużym optymizmem.

W momencie gdy podróżni weszli do budynku,

Luke zażądał, aby przeszukać cały obiekt. Każdy, jakby od niechcienia, zaczął wykonywać jego polecenie.

Na parterze znajdowały się toaleta, kuchnia i dwa pokoje. Wszystkie pomieszczenia były puste i niemal pozbawione umeblowania. Tylko dwa przegniłe łóżka i zbutwiałe dywany zniechęcały do ich wykorzystania. Z kolei na poddaszu było, pomimo częściowo zapadniętego dachu, dość sucho i całkiem przestronnie.

Kiedy podróżni weszli na górę po starych, drewnianych, przegniłych schodach, stwierdzili, że jedynie lekki, zimny, wpadający przez popękane małe okna i szczeliny w dachu wiatr jest tutaj niedogodnością.

- Ech... - westchnął Luke, rozpoczynając konwersację. - Więc co o tym myślicie?

- Sądzę, że do reszty cię posrało - odparła Maggie. - Aczkolwiek to miejsce to więcej, niż potrzebuję. Pytanie tylko, czy dożyjemy następnego dnia.

- Chris... co ja ci mówiłem odnośnie do zniechęcania kogokolwiek? - zapytał Luke i w sposób arogancki spojrział na Reese'a.

- Ja tam siedziałem cicho - odparł mężczyzna, drapiąc się po zaroście. - Zresztą rozmawialiśmy już o tym.

- W sumie racja... tak, tutaj odpoczniemy. Jeśli komukolwiek to nie pasuje, to niech wraca do furgonetki. Aczkolwiek w grupie zawsze różniej.

- Zostaniemy - oświadczył Steve, pomagając Sarah usiąść na podłodze. - Mniejsza o kłótnie. Mamy coś do jedzenia?

- Jak nie patrzyłeś, wzięłam sześć puszek kurczaka - odparła Sarah, wyciągając spod kurtki konserwy. - Nie jestem na tyle niedysponowana, aby nie pomagać.

- Podaj mi je - poprosił Luke, odbierając wszystkie konserwy z rąk kobiety, a następnie zaczął je otwierać.

- Sądząc po tym, co wiem, nie wygląda, abyśmy daleko stąd dojechali... - stwierdził Chris i przez okno spojrzął na ulicę. - Jak długo będziemy musieli podróżować, aby dotrzeć do oceanu?

- Tyle, aż w końcu na niego trafimy - odparł Luke, otwierając kolejne konserwy i rozdając je wszystkim. - Wiem, że nasza sytuacja jest trudna. Nie musisz mi o tym przypominać.

- Ech... obyś miał dobry plan... - westchnął Chris, odbierając swoją porcję jedzenia. - Bez niego padniemy w ciągu kilkunastu dni.

- Myślisz, że chcę, abyśmy wszyscy pozdychali? O nie, nie damy za wygraną. Przetrwaliśmy Greenwoods, to damy radę pokonać praktycznie

wszystko.

- Nie każdemu się udało... - wtrąciła Maggie, wyciągając z kieszeni małego pluszowego misia.

- Ech... - pokręcił głową Luke i podszedł do Paylor. - Jeśli chcesz pogadać, możemy...

- Chcę! - krzyknęła kobieta, patrząc Rousselowi w oczy. - Minęło kilka dnia, a ty nawet nie kiwnąłeś palcem, aby mi to umożliwić! Cały czas tylko milczysz i zgrywasz idiotę!

- Kiedy zjemy, pójdziemy przed dom i to nadrobimy - oznajmił Luke, unikając kontaktu wzrokowego. - Odpocznijmy jeszcze chwilę... i przede wszystkim bądźmy w miarę cicho. Cholera wie, czy aby na pewno nikogo nie ma w pobliżu.

- Jak zwykle odwlekasz... - posmutniała Maggie i zaczęła zajadać się kurczakiem.

- Jeśli tak to odebrałaś, to cię przepraszam - odparł Roussel, również rozpoczynając posiłek. - Dobrze wiesz, jak bardzo nam brakuje Raya. Nawet gdybym mógł cofnąć czas, niewiele to by zmieniło. Mimo wszystko chciałbym, żeby siedział on tu razem z nami...

- To był dobry człowiek - dodała od siebie Maggie. - Kochany, uczciwy i troskliwy...

- Każdy o tym wie - stwierdził dość przekonywująco Luke. - Kurwa mać, nawet mi życie uratował!

Maggie, czując, gdzie zmierza rozmowa, zamilkła i zmieszana spojrzała w przeciwnym kierunku.

- Kiedy napadły na mnie cztery rottweilery, Bennett przyszedł mi na ratunek. Zastrzeliłem prawie wszystkie psy, ale ostatni wgryzł mi się w rękę. Nie poradziłbym sobie, gdyby nie Ray. Poza tym że mnie wtedy wyciągnął z kłopotów, poszliśmy na najlepsze polowanie w naszym życiu. Wtedy co próbowaliśmy dopaść bestie spod Czarnej Góry. Twój... nasz przyjaciel ostro wtedy oberwał, ale żył chwilą... Pamiętasz, jak był bardzo szczęśliwy, kiedy dostał naszyjnik z kości swojego trofeum? Ten człowiek był niezwykle i nikt go nigdy nie zastąpi... nigdy...

- Święte słowa - wtrącił Chris, kończąc posiłek. - Może i był trochę grymaśny, ale generalnie fajny jako kumpel. I nie wiem jak wy, ale ja idę spać. Właśnie zacząłem odczuwać cały dzień jeżdżenia. Padam na twarz.

- Idź spać, Chris - powiedział Steve, pomagając położyć się Sarah. - Na nas już także pora, więc spokojnej nocy.

- Dobranoc - odparł entuzjastycznie Luke. - Maggie... chcesz teraz pogadać?

- Chodź na tę werandę - odrzekła kobieta, chwytając Roussela za rękaw od płaszcza.

Po tych słowach oboje poszli w stronę schodów, a następnie wyszli przed dom. Kiedy doszli na

miejsce, spojrzeli w górę. Ujrzeni bezchmurne gwiazdziste niebo i księżyc. Światło ciał niebieskich padało na tafle jeziora Teslin, a gromadzące się przy brzegach jeziora kry odbijały ich blask.

Po chwili Luke i Maggie usiedli na werandzie i zaczęli podziwiać okolicę.

- Brakuje mi go - po chwili powiedziała kobieta, się wtulając w ramię podróżnego. - Minął już tydzień, a to wciąż niemiłosiernie boli...

- Ech... a ja nadal tęsknię za Jackiem... - westchnął Luke. - Los jest przewrotny i nieważne, jak bardzo by nas maltretował, musimy sobie jakoś radzić. Przecież mamy o co walczyć...

- Jest też za co umierać - dodała Maggie, roniąc łzę. - Nie dożyjemy do dnia, w którym będziemy mogli na dobre odpocząć, prawda?

- Dotrwamy... jesteśmy silni. Pokonamy wszystkie przeciwności. I nawet nie wiecie, jak bardzo jestem szczęśliwy, mając was u swojego boku.

- Przez nas czujesz się pewniej? Tylko o to ci chodzi?

- Nie... dzięki wam wiem, że żyję i że mam prawdziwych przyjaciół. Poza tym sam nie dałbym sobie rady, gdyby nie wy. Jesteście niezastąpieni.

- Tak samo jak i Ray...

- Tak samo jak i Ray... - powtórzył Luke. - Ten człowiek do ostatnich chwil chciał dla ciebie jak

najlepiej. Oddał życie w słusznej sprawie. Wiedziałem, co zawsze próbował ci zagwarantować. Zależało mu na twoim bezpieczeństwie. Wypełnił swoją misję i wiesz co?

- Co?

- Powierzył mi ją. Powiedział kiedyś coś w stylu „jeśli mnie szlag trafi, to, kurwa, obiecaj, że zaopiekujesz się Maggie”.

- I co odpowiedziałeś? - dopytywała się kobieta.

- Że jesteście dla mnie jak rodzina i zrobię absolutnie wszystko, aby was uchronić przed tym, co nas czeka. A ja zawsze dotrzymuję słowa.

- Ech... oby tak było... - westchnęła Maggie, mocniej się przytulając do Rousseła.

- Tak w ogóle to przypomniałem sobie o czymś jeszcze... - odparł podróżny. - Chyba już wiem wszystko, o czym zapomniałem, kiedy uległem wypadkowi.

- Mianowicie?

- Pamiętam tę noc, kiedy dotarłem do Ameryki. Wiem, o czym wtedy rozmawiałem, jakie ruiny miast widziałem... swoją misję i jaki był jej cel.

- Jeśli chcesz, to powiedz, o co chodzi. Mimo wszystko zależy nam, abyś zrzucił cały ciężar z siebie...

- Zaraz chyba trzeba pójść spać, więc postaram się streszczać. Przypomniałem sobie Kalifornię i całe

zachodnie wybrzeże Ameryki. Widziałem mnóstwo pozostałości wielkich miast, zgliszcza budynków i morze piasku. To był bardzo przykry widok. Kojarzę także, o czym rozmawiałem ze swoimi... współpracownikami na krótko przed katastrofą.

- O czym?

- O swojej misji. Przylecieliśmy tutaj z Petersburga. Wyznaczono mi cel, aby naprawiać pojazdy i uczestniczyć w budowie tajnej bazy przy ruinach Fort Bragg. To jakieś dwieście kilometrów na północny zachód od Sacramento. Minęliśmy tam założyć punkt operacyjny, ale zostaliśmy ostrzelani. Jedna z odpalonych w naszym kierunku rakiet urwała nam silnik. Potem już tylko spadaliśmy...

- A co miało być waszym głównym zadaniem?

- Od tego czasu sam moment mojego przesłuchania zaczął być dla mnie jasny. Naszą misją miała być, jak pisało w protokole, neutralizacja głowic rozmieszczonych koło bazy w Clearlake. Broń, którą tam ASO rozmieściło, miała przenosić trujący gaz, przemieniający ludzi w żywe trupy... rozkłada.

- Więc jednak wysłali cię na front... oddzielono cię od rodziny i zrzucono na terytorium wroga, abyś sabotował plany ASO...

- Nie do końca... sam się na to zgłosiłem. W tym samolocie lecieli moi przyjaciele. To byli jedni z najlepszych rosyjskich żołnierzy. Niestety tylko ja

przeżyłem katastrofę... Rosjanie to w gruncie rzeczy dobrzy ludzie... Zresztą narodowość tak naprawdę nie ma żadnego znaczenia. Ważny jest człowiek, a nie to, skąd pochodzi, jaki ma kolor skóry czy poglądy.

- Ech... współczuję ci... - westchnęła Maggie. - Po tej rozmowie już wszystko rozumiem. Wiem, dlaczego ASO cię ściga... że chcesz wrócić do żony i do domu - Europy. Fajnie, że doceniasz także naszą pomoc. W końcu bez nas nie byłoby ciebie i bez ciebie nie byłoby nas...

- Dlatego musimy na sobie polegać - oznajmił Luke i się lekko uśmiechnął. - Każdy chce, żeby było dobrze... Ray był tego doskonałym przykładem. Do samego końca walczył o to, żeby cię chronić. Spełnił to zadanie, bo nadal jesteś z nami. I prędzej zdechnę, niż pozwolę wam umrzeć.

Po tych słowach kobieta puściła Roussela, odeszła od niego na kilka kroków i otworzyła drzwi do domu. Kiedy stanęła w progu, spojrzała na towarzysza.

- Ty też możesz na nas liczyć - oznajmiła, znikając w ciemnościach.

Luke także zaczął podążać śladem towarzyszki. Zamknął za sobą drzwi i szybko wszedł na poddasze. Kiedy dołączył do reszty grupy, możliwie wygodnie położył się w kącie pokoju i spojrzał na Maggie. W tym czasie kobieta przytulała Sarah, która leżała

tuż obok swojego brata.

- Dobrej nocy - w końcu wyszeptał podróżny, zamykając oczy.

- Dobranoc... - odpowiedziała mu po chwili Maggie.

Po tych słowach mężczyzna zaczął zasypiać, wiedząc, że ma w swoich towarzyszach oparcie. Zadowolony zasnął świadom, że ma u swojego boku osoby, które będą mu towarzyszyć w przeprawie do Europy.

Nastał świt. Tego poranka było bardzo mroźnie. W ciągu nocy niebo całkowicie przysłoniły chmury i spadło trochę śniegu. Lekka trzycentymetrowa warstwa puchu okryła wszystko w okolicy. Pomimo niedogodności, jaką była ujemna temperatura, można było podziwiać piękną zimową scenerię.

Pierwszymi podróżnymi, którzy wstali, byli Steve i Sarah. Rodzeństwo Williamsów momentalnie odczuło nieprzyjemny chłód. Oboje, nie mogąc znieść zimna, strasznie drżeli.

- Uch... w końcu nadeszła zima - zaczął Steve, pocierając dłońmi. - Dobrze chociaż spałaś?

- W miarę przyzwoicie, ale niewygodnie - odparła Sarah, podchodząc do okna i przez nie wyglądając. - Wiesz, że spadł pierwszy śnieg?

- Można było to przewidzieć... jednak jest chyba

na to trochę za wcześnie...

- Pogody nigdy nie przewidzisz - odparła Sarah, podchodząc bliżej brata. - Obyśmy tylko znaleźli miejsce, aby załatwić nowe ciuchy. Ani myślę chodzić tak ubrana w trzydziestostopniowych mrozach.

- Nikt z nas sobie tego nie wyobraża. Poza tym ciekawe, jak wygląda sytuacja z naszą wodą...

- Na pewno jest lodowata, ale może jeszcze nie zamieniła się w bryłę lodu. Trzeba rozpalić ognisko i ją podgrzać.

- W takim razie obudź resztę, a ja załatwię wszystko, co potrzeba - oświadczył Steve, podchodząc do Chrisa, by przeszukać jego kieszenie.

Po kilku sekundach odnalazł kluczyki do furgonetki. Kiedy próbował je wyjąć, przypadkowo mocniej szarpnął za ubranie śpiącego towarzysza, tym samym wybudzając go ze snu.

- C-co jest?! - spytał nerwowo Reese, chwytając za leżący obok obrzyn. - Człowieku... weź ty mnie nie strasz. Przez ciebie prawie zawału dostałem.

- Spokojnie, chcę tylko kluczyki do auta - oznajmił Steve, chowając znalezisko do kieszeni. - Idę po wodę i kurczaka na śniadanie. Poszukam także kilku desek i zrobimy sobie ognisko. Potem ruszamy w dalszą drogę, bo nam przyjdzie tu umrzeć z zimna.

- OK, OK. - Chris powoli stanął na nogach, a następnie podszedł do okna. - Ja pierdzielę... a więc

się zaczęło. Sądziłem, że mamy jeszcze trochę czasu, zanim spadnie śnieg.

- Najwidoczniej trochę przekombinowałeś. Mniejsza, nie ma co zwlekać. Za kilka chwil wracam.

Mężczyzna poszedł w kierunku schodów. Szybko zszedł na parter i opuścił budynek. Wychodząc na zewnątrz, trzasnął za sobą drzwiami, przypadkowo wybudzając Luke'a i Maggie ze snu.

- Ech... - westchnęła i pokiwała przecząco głową Sarah.

- Co to było? - zapytał nerwowo Roussel, podnosząc się z miejsca.

- Steve, który właśnie poleciał po śniadanie i drewno - odparł Chris. - Bez nerwów... mnie bardziej nastraszył.

- Od tygodnia jest jakiś nieobecny - stwierdziła Sarah, podchodząc do towarzyszk i pomagając jej wstać. - Chociaż dzisiaj nie zapytał o moją ranę.

- Robi postępy - stwierdziła Maggie. - Powoli, ale do przodu.

- W sumie to nic dziwnego, czemu przestaje cię nękać - powiedział Luke, patrząc na siostrę Steve'a. - Gołym okiem widać, że już jest z tobą lepiej.

- Dajcie mi jeszcze kilka tygodni, a znów będę gotowa na wszystko - entuzjastycznie stwierdziła Sarah.

- Teraz najważniejsze, żeby ustalić, co robimy

dalej – wtrącił od siebie Chris. – Luke, zdajesz sobie sprawę, w jakiej jesteśmy sytuacji? Może przez noc ustaliłeś jakieś konkrety? Co mamy robić?

– To całkiem proste. Musimy jechać tak daleko, jak możemy i zacząć polować. Aktualnie nie mam żadnego konkretnego rozwiązania na nasz problem.

– Szkoda, że nie poprosiliśmy Kurtisa chociaż o jakąś mapę... – powiedział Chris i wzruszył ramionami. – Bardzo by nam coś takiego ułatwiło dalszą podróż.

– Póki nie zbaczamy z drogi, jest nadzieja, że natrafimy chociaż na jakieś zamieszkane zabudowania... – stwierdził Luke. – Może samo podróżowanie na piechotę nie będzie bezpieczne, ale jeśli zachowamy ostrożność, nic złego nas nie spotka.

– Zapomniałeś o tym, że dziś w nocy spadł śnieg – dodała Sarah. – Od teraz zaczniemy zostawiać za sobą ślady. Lepiej, jak będziemy mieć oczy z tyłu głowy.

– I nie możemy zwlekać z wyjazdem – oznajmiła Maggie, siadając pod ścianą. – Jak zaraz nie wsiądę do samochodu i się nie rozgrzeję, to kiepsko ze mną będzie.

– À propos zwlekania... – powiedział Luke, drapiąc się po brodzie. – Co ten Steve tam tak długo wyrabia?

– Jeśli chcesz, możemy sprawdzić – oznajmiła

Sarah, powoli idąc do wyjścia z budynku.

Luke bez słowa poszedł za kobietą i oboje niezwłocznie zeszli na parter. Następnie otworzyli drzwi i wyszli na ganek. To, co tam ujrzeli, zmroziło im krew w żyłach.

Obok furgonetki stał Steve i obcy mężczyzna. Williams miał do skroni przyłożony jego własny pistolet. Osoba stojąca za nim wzięła go na zakładnika.

Napastnik wyglądał młodo. Był średniego wzrostu i miał niedbale przystrzyżone włosy. Nosił czarną, sztruksową, wypłowiałą marynarkę, szarą koszulę, zabłocone czarne dżinsy i trapery. Na widok Luke'a i Sarah się uśmiechnął, ukazując tym samym niekompletne uzębienie.

- Więc wasz kolega nie kłamał, mówiąc, że nie jest sam, he, he, he... - zarechotał nieznajomy.

- Odłóż broń i zostaw nas w spokoju! - krzyknął Luke, wyciągając pistolet.

- E-e-e - zagroził mężczyzna, odbezpieczając broń. - Lepiej dwa razy pomyśl, zanim zrobisz coś durnego. Ja też nie jestem sam.

- Czego od nas chcesz?! - spytała nerwowo Sarah.

- Nie ze mną będziecie o tym gadać - odparł nieznajomy i przykładając do ust dwa palce, głośno gwizdnał.

Po kilku sekundach dało się słyszeć ryk silników. Jeszcze niewidoczne podróznym pojazdy bardzo szybko do nich nadjeżdżały. Tymczasem Chris i Maggie zaniepokojeni zeszli na dół. Kobieta stanęła tuż przy drzwiach, a Reese zaczął dyskretnie wyglądać przez okno, celować z obrzyna w napastnika i czekać na dalszy rozwój sytuacji.

Po chwili przed dom zajechało czterech kolejnych mężczyzn, którzy przybyli na miejsce motocyklami crossowymi. Prawie wszyscy byli ubrani podobnie jak osoba przetrzymująca Steve'a. Tylko jeden z nich się wyróżniał. Miał długie, czarne, zaczesane do tyłu włosy i krótki zarost. Nosił niebieską bluzę, rozpiętą czarną kurtkę, skórzane spodnie i buty z doczepionymi do nich gwoździami.

- Cześć, jestem Bill - powiedział długowłosy mężczyzna, schodząc z motocykla, i wyciągnął z kieszeni rewolwer. - Fajnie by było poznać wasze imiona, skoro zamierzamy spędzić ze sobą bardzo dużo czasu.

- Pierdol się i wypuść mojego bra...! - krzyknęła Sarah, nieświadomie zdradzając swoje pokrewieństwo ze Steve'em.

- O proszę, jesteście rodziną? - zapytał retorycznie Bill. - Byłoby wielką przykrością was rozdzielać, nie sądzisz? Ale bez obaw, nie planujemy tego robić. Teraz ten twój uroczy kolega podrzuci mi

pistolet, a potem powiem, co was czeka.

- Luke, zrób coś... - szepnęła Sarah.

- Niby co? - odpowiedział jej cicho podróżny. - Jest ich za dużo. Musimy teraz pójść im na rękę.

Po tych słowach westchnął głęboko i podrzucił Billowi zabezpieczoną broń.

- Dlaczego to zrobiłeś? - dopytywała się, nadal szepcąc, Sarah.

- Chris jest za nami i czeka na moment do wkroczenia. Grajmy na czas i zejdźmy z linii strzału.

- Co wy tak tam mamroczecie? - zapytał Bill podróżnych. - A zresztą... co mnie to. Dzięki, Bob, za nadstawienie karku.

- Drobiazg, szefie - odparł mężczyzna celujący w Steve'a. - Przynajmniej jestem potrzebny.

- Dokładnie - odparł entuzjastycznie Bill. - No dobrze... sprawy wyglądają następująco... Bob zaraz otworzy tył tej pięknej furgonetki i zaprosi was do środka. Kiedy już tam wejdziecie, zamkniemy drzwi i sobie pojedziemy na przejażdżkę. Ile to nam zajmie...?

- Jakieś trzy godziny, szefie - odparł Bob, podchodząc ze Steve'em na tył samochodu.

Następnie wyciągnął dłoń, a Williams mu podał kluczyki.

- O, i to rozumiem - oznajmił Bill. - Twój brat bez gadania wie, co ma robić. Takich potulnych to ja

lubię i szanuję. Bierzcie z niego przykład.

- Niedoczekanie twoje - odparła Sarah, próbując podbiec do lidera napastników.

Zanim zdążyła cokolwiek zrobić, Bob skierował broń w powietrze i oddał strzał. To spowodowało, że kobieta się zatrzymała. W odpowiedzi Bill wycelował w jej stronę rewolwer.

- I co ty niby chciałaś zrobić? - zapytał, podchodząc bliżej do Sarah. - Jest nas więcej i mamy czym was zabić. Życie ci niemiłe? Zresztą... co ja ci będę tłumaczył. Bob, do roboty.

- Dobrze, szefie - przytaknął mężczyzna, otwierając tylne drzwi furgonetki, a następnie zajrzał do środka. - Tu są jakieś beczki i puszki... na pewno chcesz, żeby ich tam wrzucić?

- Sprawdź, czy nie ma tam broni, a potem ich pakuj bez gadania.

Bob chwilowo przekazał pilnowanie Steve'a jednemu z napastników i wszedł na tył samochodu.

- To tylko konserwy z kurczakiem i woda - oświadczył, analizując znalezisko. - To wszystko.

- Ładujcie ich - rozkazał Bill i podchodząc do Sarah, zaczął ją popychać w stronę furgonetki. - A ty, kolego, pójdziesz po dobroci czy mamy cię siłą zaciągnąć?

- Moim zdaniem to nie ma sensu - odrzekł Luke,

wolnym krokiem zmierzając w stronę samochodu. – Jedziemy na oparach benzyny. Paliwa wam starczy na góra kilka kilometrów.

– To będziemy musieli zatankować – oznajmił Bill, spoglądając na jednego ze swoich ludzi, który instynktownie zrozumiał sugestię.

Kiedy Luke, Steve i Sarah znaleźli się na tyłach furgonetki, Bob trzasnął drzwiami, odcinając im drogę ucieczki. Potem obszedł samochód i usiadł na stanowisku kierowcy. W milczeniu czekał, aż pojazd zostanie zatankowany. W tym czasie jeden z jego współtowarzyszy wyciągnął kanister z benzyną, odnalazł wlew paliwa i zaczął napełniać zbiornik furgonetki.

Z kolei Chris i Maggie w ukryciu obserwowali sytuację przed domem.

– Masz go na celowniku – powiedziała kobieta, wyglądając przez okno. – Na co jeszcze czekasz?

– Aż reszta tej patologii ruszy do przodu. Gdybym teraz uderzył, doszłoby do strzelaniny i kto wie, jak byśmy z tego wybrnęli. Poza tym nie zapominaj, że mam dwustrzałówkę i zanim ponownie odpalę obrzyna, ktoś może wpaść na pomysł, aby zrobić krzywdę naszym. Niech tylko ten kutas, co siedzi w furgonetce, przejedzie chociaż metr, to napcham go śrutem.

– Gdybym tylko miała broń... Tak to nie wiadomo,

jak to się skończy.

- Powiem, jak ja to widzę. Ten cwaniak w aucie pada automatycznie i drugi, który jest najbliżej. Reszta albo spierdzieli, albo zaczną strzelać. Obie opcje nie są interesujące, ale przynajmniej będziemy mieli paliwo...

- Jeśli wszystko pójdzie tak, jak zakładasz. Skoro gwarantujesz dwa trupy, to ułatwia sprawę, ale jak wyciągną Luke'a, Sarah lub Steve'a? Co wtedy zrobisz?

- Ech... tego nie wiem - odparł niezadowolony z takiego wariantu Chris. - Dobra, zaraz wszystko będzie jasne. Chyba skończyli tankować...

Reese miał rację. Bandyta uzupełniający paliwo schował kanister do jednego z posiadanych przez jego towarzyszy plecaków i wrócił na swój motocykl. Następnie, tak jak wszyscy, zaczął przygotowywać się do odjazdu. Z kolei Bill podszedł do Boba, ku niezadowoleniu Chrisa stojąc w takim miejscu, które było poza linią strzału.

- Matt powinien być zadowolony - stwierdził lider bandytów, kładąc dłoń na drzwiach furgonetki. Kiedy ostatnio dorwaliśmy aż troje?

- Będzie już ze dwa lata, szefie - odparł Bob.

- Pamiętasz, co wtedy dostaliśmy?

- Poza gratulacjami, dziwkami i nowymi kwaterami mieliśmy niezłą zabawę przez cały

miesiąc. Jeśli teraz dostaniemy to samo co wtedy, to ho, ho...

- W tym roku wakacje będą w listopadzie! - stwierdził entuzjastycznie Bill. - No dobra, wyjeżdżamy. Tylko uważaj na trasie i odpuść sobie gadanie z nowym nabytkiem. Zajmiesz się nimi, jak wrócimy do domu.

- Jasna sprawa, szefie - odrzekł Bob, twierdząco kiwając głową i przekręcając kluczyk w stacyjce.

Kiedy Bill usiadł na swoim motocyklu, gestem ręki dał sygnał do odjazdu. Następnie reszta bandytów uruchomiła swoje motocykle i czekała na wyjazd furgonetki. Bob, wiedząc o tym, wbił wsteczny bieg i zaczął kręcić kierownicą, szykując się do wykonania manewru.

- Powiedźcie wolności pa, pa - stwierdził entuzjastycznie i lekko docisnął gaz.

W tym momencie Chris zamierzał oddać strzał, jednak zanim do tego doszło, ktoś inny użył broni. Kula, którą wystrzelono z nieznanego kierunku, przebiła szybę furgonetki i trafiła Boba prosto w głowę, zabijając go na miejscu. Samochód, w którym siedzieli Luke, Steve i Sarah, zaczął bez kontroli cofać się i skręcać. Szczęśliwie tylko lekko uderzył w ścianę budynku, w którym podróżni spędzili ostatnią noc.

- Co to, kurwa, było?! - krzyknął Bill, widząc, jak

umiera jego podwładny. – Skąd do nas łądują?!

– Szefie, chyba z mostu! – odpowiedział jeden z bandytów, wskazując palcem kierunek, z którego ktoś ponownie użył broni.

Ten strzał również okazał się śmiertelny. Kolejny z bandytów padł zastrzelony przez nieznanego sprawcę.

– Spierdalamy! – wrzasnął Bill, ruszając w stronę głównej drogi.

– O nie, niedoczekanie twoje! – krzyknął Chris, wybiegając przed dom i wypalając z dwururki.

W stronę przywódcy bandytów poleciało wiele kawałków śrutu. Część z nich przebiła tylną oponę motocykla, a reszta dosięgła biodra ofiary. Zanim mężczyzna na dobre rozpędził swój pojazd, upadł z impetem na ziemię. Jego dwóch pozostałych przy życiu podwładnych nie zamierzało się zatrzymać. Pędzili oni z pełną prędkością w stronę głównej drogi, jednak gdy ją osiągnęli, spotkało ich coś niespodziewanego.

Z lasu wyjechał opancerzony czarny SUV. Na jego dachu zamontowany był ciężki karabin maszynowy, za którym stał nieznaną mężczyzna. Osobnik niezwłocznie odbezpieczył broń i zaczął strzelać do bandytów. W ich stronę poleciała niezliczona ilość pocisków. Nie dość, że zginęli oni na miejscu, to jeszcze doszło do zapłonu ich pojazdów

i oba motocykle eksplodowały. Niezliczone odłamki metalu i fragmenty ciał poleciały we wszystkich kierunkach, obficie pokrywając okolicę. Towarzyszyła temu ogromna chmura dymu, która wzleciała wysoko w niebo.

Po dokonaniu ataku na bandytów kierowca opancerzonego SUV-a ruszył w kierunku podróżnych. Zatrzymał swój pojazd tuż obok leżącego na ziemi Billa. Podczas gdy Chris i Maggie z niedowierzaniem patrzyli na to, co się stało, mężczyzna stojący za karabinem wskazał palcem furgonetkę, w której ciągle przebywali Luke, Steve i Sarah.

- Racja - przytaknął Chris, podbiegając do swojego samochodu.

Kiedy otworzył drzwi pojazdu, przeszukał, a następnie zrzucił z siedzenia zwłoki Boba. Po znalezieniu pistoletu Steve'a usiadł na miejscu kierowcy. Potem wbił wyższy bieg i pojechał kilka metrów do przodu. Następnie wyłączył silnik, zamknął drzwi i poszedł na tył samochodu.

- No wypuść ich w końcu! - krzyknęła Maggie, podchodząc do furgonetki.

- Już po wszystkim - oznajmił Chris, umożliwiając zamkniętym w samochodzie podróżnym opuszczenie auta.

- Co tu się, kurwa, dzieje?! - nie kryjąc zdziwienia, zapytał Luke, wyskakując na zewnątrz

i spoglądając w stronę SUV-a.

- Spokojnie - odparł Chris, oddając broń Steve'owi. - Oni nam pomogli.

- Kto to, do cholery, jest? - dopytywał Luke.

- Zaraz może nam sami powiedzą - odpowiedziała Maggie. - Dajmy im chwilę. Bill jeszcze dyszy. Zobaczmy, co teraz zrobią...

Przywódca bandytów leżał w kałuży krwi przy swoim motocyklu. Będąc wciąż przytomny, powoli próbował wstać z miejsca, jednak ostatecznie upadł na kolana. W tym czasie z opancerzonego SUV-a wyszedł człowiek, który wcześniej siedział za ciężkim karabinem maszynowym.

Był on mężczyzną około trzydziestki. Miał średniej długości, zaczesane na bok czarne włosy. Jego ubiór stanowiła szara koszula, brązowa kurtka, czarne spodnie i brązowe półbuty. Ponadto miał pas z doczepioną kaburą z rewolwerem.

- C-coś ty najlepszego narobił? - zapytał Bill, patrząc na oprawcę, i splunął krwią na ziemię. - I gdzie ta kurwa, co mnie postrzeliła?

Następnie mężczyzna skierował wzrok na podróżnych. Widząc, że ma do czynienia z pięcioma, a nie trzema osobami, zaczął się śmiać i powoli wyciągać rewolwer.

Nieznajomy, nie dopuszczając do dalszego rozlewu krwi, kopnął bandytę w dłoń, wybijając mu

broń. Następnie wyciągnął z jego kurtki kolejny pistolet i kucnął naprzeciwko niego.

- Teraz mnie bardzo uważnie posłuchaj, bo mam do ciebie kilka pytań - oznajmił chłodnym tonem.

- Pierdol się... - odparł Bill, spluwając krwią w twarz oprawcy.

W odpowiedzi nieznajomy wytarł swoim rękawem zabrudzony policzek. Następnie wyciągnął z kieszeni sztylet i wbił go w bark bandyty.

- Jeśli nie będziesz grzecznie odpowiadał, sprawię, że ostatnie minuty twojego życia będą baaardzo nieprzyjemne - oznajmił, wwiercając ostrze coraz głębiej w ciało Billa. - Teraz zacznę zadawać pytania, a za każdą złą odpowiedź spotkają cię nieprzyjemne konsekwencje. Zaczynamy?

- To pierwsze, co chcesz wiedzieć skurwielu? - zapytał Bill, sycząc z bólu. - Rób, co chcesz. Dla mnie już jest za późno.

- Czy przypadkiem ostatnio nie pojмалиście dwóch osób? Jedną z nich jest długowłosa blondynka, a drugą czarnoskóry, krótko obcięty mężczyzna?

- Nikogo takiego nie kojarzę, he, he, he... - zarechotał Bill.

Taka odpowiedź nie zadowoliła jego oprawcy. Mężczyzna ponownie zaczął ruszać sztyletem, coraz bardziej rozszarpując ranę bandyty.

- Spróbuj sobie przypomnieć - poprosił, dopiero

po kilku sekundach przerywając torturę.

- Wiesz... jak tak sobie pomyślę... tak, był ktoś taki - odparł Bill, spuszczaając wzrok na ziemię. - Czarny i blondyna... taaak...

- Gdzie oni teraz są?

- Tam, gdzie powinniście być także i wy.

- Czyli?

- Trzy godziny drogi na zachód stąd. Ale nie licz na to, że będziesz mógł cokolwiek zrobić. Ci ludzie już są nasi. A pierwsze, co robi Matt, kiedy was zobaczy, to od razu zabije.

- Kim on jest? I gdzie ich trzymacie?

- Matt to nasz lider. I więcej ci nic nie powiem. Więc bądź tak łaskaw i zdechnij...

Po tych słowach nieznajomy wyjął sztylet z barku bandyty. Potem wyczyścił ostrze o czarną kurtkę Billa, a następnie wyciągnął swój rewolwer. Bez mrugnięcia okiem wycelował w głowę bandyty. Oddał strzał prosto między jego oczy, zabijając mężczyznę na miejscu.

- Dziękuję - poważnym tonem oznajmił martwemu człowiekowi, po czym wstał i wolnym krokiem zaczął iść w kierunku podróźnych.

- Bez obaw - powiedział, stając tuż przy furgonetce. - Nic wam nie zrobimy. Mieliście fart, że właśnie tędy przejeżdżaliśmy, bo byłoby z wami krucho.

- Dzięki za... bezinteresowną pomoc - odparł Luke. - Co prawda mieliśmy plan, aby rozegrać to nieco inaczej, ale najważniejsze są efekty.

- To chyba wasza broń? - zapytał nieznajomy, oddając pistolet Rousselowi. - A rewolwer macie ode mnie w prezencie.

- Dzięki - odparła krótko Maggie, przyjmując podarunek.

- Za chwilę poznacie część moich ludzi - oznajmił mężczyzna. - Jedna urocza pani właśnie tutaj zmierza, a kolega siedzi w samochodzie. Wyłaź stamtąd!

Kierowca SUV-a niezwłocznie wyłączył silnik i opuścił pojazd.

Ten mężczyzna był także w średnim wieku. Miał długie do ramion, czarne, kręcone włosy, krótką brodę i wąsy. Nosił na sobie czarną koszulę, ciemnobrązowe buty, skórzaną kurtkę i spodnie. Z jego kieszeni wystawał pistolet.

- Max Arrington, miło poznać - przedstawił się oprawca Billa. - To ja tutaj pociągam za sznurki. A ten sympatyczny facet to Alex Walsch.

- Cześć. - Pomachał w stronę podróżnych kierowca SUV-a.

- Za chwilę tu przyjdzie Kate Nix - dodał Max, wskazując palcem w stronę mostu. - To właśnie ona rozpoczęła to przedstawienie. Przeurocza,

przesympatyczna kobieta. W każdym razie mamy formalności z głowy. Może teraz zdradzicie nam swoje imiona i przestaniecie być tacy tajemniczy?

- Luke Roussel - odpowiedział podróżny, ściskając dłoń Maxa. - Ten z obrzynem to Chris Reese. Pani, której podarowałeś rewolwer, to Maggie Paylor.

- A ta dwójka to rodzeństwo Williamsów - dodał Chris. - Steve i Sarah.

- Spróbuję zapamiętać - odparł entuzjastycznie Max. - I super, że na tym odludziu można spotkać przyjaźnie nastawionych ludzi.

- Max, Kate wróciła - wtrącił Alex, z powrotem wsiadając do SUV-a.

Wszyscy skierowali wzrok w stronę nadbiegającej kobiety.

Była ona dość urodziwą i najmłodszą osobą z grupy Maxa i wiekowo mniej więcej dorównywała Luke'owi. Miała brązowe, faliste, do ramion włosy i delikatny, podkreślający zielony kolor jej oczu makijaż. Ubrana była w czerwoną koszulkę na ramiączkach, kurtkę moro, czarne kozaki i spodnie. Na szyi nosiła wisiołek z kości, a przy pasku od spodni miała przytwierdzoną maczetę. W dłoniach trzymała karabin snajperski.

- Chłopaki, co za burdel tu narobiliście? - zapytała żartobliwie. - Macie w sobie tyle energii, że

co niektórych tu rozniosło na strzępy.

- Powiedzmy, że zabawa była dość... rozrywkowa
- kontynuował żart Max. - Nieistotne są... liczne szczegóły. Ważne, że uratowaliśmy dobrych ludzi.

- Miło poznać - powiedziała Kate i się uśmiechnęła. - Pewno już mnie wam przedstawiono?

- Oni również nie byli dłużni - oznajmił Arrington.

- Oni, czyli kto?

- Luke, Maggie, Sarah, Steve i Chris - oficjalnie przedstawił podróżnych Max. - Dobra, koniec tych czułości. Kto u was jest za wszystko odpowiedzialny?

- U nas panuje demokracja - odparł Luke, patrząc na swoich towarzyszy. - Wszystkie decyzje podejmujemy wspólnie.

- Teraz będziesz się wykręcał? - zapytała ironicznie Maggie, lekko szturchając Roussela. - Sam nas tu ściągnąłeś, to teraz kombinuj.

- W takim razie, Luke, pozwól ze mną - oznajmił przywódca drugiej grupy, idąc w stronę lasu. - Zostawcie nas na chwilę samych.

Podróżny bez słowa poszedł za mężczyzną. Obaj szybko minęli ciała bandytów, SUV-a i po chwili wyszli na główną drogę. Następnie Arrington wskazał sporych rozmiarów głąz i zachęcił Luke'a, aby spoczął. Po tym obaj mężczyźni możliwie wygodnie usiedli i zaczęli spoglądać na pobojuwisko.

- Sorki za ten burdel, ale trzeba było podejść do

tego na ostro – oznajmił Max. – Od razu zaznaczę, że zrobiliśmy to bezinteresownie. Niczego od was nie chcemy i nie wymagamy.

- Więc gdzie jest haczyk?

- Będę miał dla was propozycję... Na pewno zdołałeś usłyszeć, że szukamy dwojga ludzi. Ich imiona to Ava i Sam. Dwa dni temu oboje poszli na zwiad i do tej pory ich nie widzieliśmy. Wszystko wskazywało na to, że zostali porwani. Teraz wiem, gdzie mogą być, i potrzebuję pomocy, aby ich uwolnić...

- I czego od nas konkretnie oczekujesz? Naprawdę możemy ci się na coś przydać?

- Przede wszystkim zapewnicie nam towarzystwo i opiekę. Tacy jak my powinni działać razem. Poza tym uratowaliśmy was, więc fajnie by było chociaż nam w drobnym stopniu pomóc. W każdym razie nie nalegam.

- Jeśli będziemy mogli cokolwiek zrobić, to masz nasze wsparcie. Tylko nie każ nam się zbytnio narażać, a zrobimy co w naszej mocy, abyście odzyskali swoich ludzi.

- Dość... dyplomatyczne podejście, ale niech ci będzie, he, he, he... – zarechotał Max. – Fajnie, że od razu nie odpuszczasz. Ava i Sam naprawdę potrzebują wszelkiej możliwej pomocy, a ja bardzo sobie cenię współpracę.

- Przyznam, że jestem w niemałym szoku przez to, co zrobiliście... Kto by pomyślał, że na szlaku można spotkać kogoś, kto zaryzykuje życie, żeby ratować obcych.

- Patrząc na to, co przed chwilą te trupy odwalają, uznałem, że nie wolno was tak po prostu olać - oznajmił Max, klepiąc Luke'a po plecach. - Może to wszystko się dwustronnie opłaci. Chcę cię jeszcze o coś zapytać.

- Jeśli będę w stanie, to odpowiem - oświadczył Roussel i spojrzał w twarz swojemu rozmówcy.

- Z góry wybacz wścibstwo, ale gdzie docelowo jedziecie? Może zmierzamy w tę samą stronę i moglibyśmy sobie jakoś dalej pomagać?

- Przede wszystkim planujemy się dostać nad Pacyfik. Musimy jakoś opuścić Amerykę. O tym wolałbym jednak opowiedzieć przy innej okazji.

- Heh... zabawne - odparł Max. - Uwierzysz lub nie, ale z nami jest podobnie. I żeby było jeszcze śmieszniej, też jesteśmy w lekkiej dupie. Wobec tego czy zechciałbyś, abyśmy połączyli siły i przez jakiś czas pracowali razem?

- Przecież dopiero co was poznałem. I to w takich okolicznościach... wiesz co... zastanowimy się, co dalej robić, ale bądź pewny jednego. Zrobimy, co możemy, abyście uratowali Avę i Sama.

- Chociaż tyle utargowałem... - oznajmił Max,

wstając z miejsca. – W takim razie powinniśmy już ruszać. Pozwolisz, że my pojedziemy przodem. Kiedy będziemy niedaleko miejsca, gdzie trzymają naszych, rozbijemy obóz i wtedy jeszcze pogadamy. Może tak być?

– Jak najbardziej – odparł Luke, podchodząc do rozmówcy. – I jeszcze raz dzięki za pomoc. To wiele dla nas znaczy.

– Drobiazg. Może w przyszłości wy wyciągniecie moją dupę z opresji. Dobra, wracajmy do naszych, bo jeszcze padną na tym mrozie.

Wszyscy czekali na powrót Luke'a i Maxa. Kiedy mężczyźni rozmawiali, Chris czyścił obrzyna i zajadał się kurczakiem. Steve i Sarah siedzieli na tyłach furgonetki i również rozpoczęli śniadanie. Alex spędzał czas w opancerzonym samochodzie i słuchał elektronicznej muzyki, którą puścił na odtwarzaczu płyt. SUV poza dobrym uzbrojeniem miał także szereg innych funkcji, które były pożyteczne i przyjemne.

Co ciekawe Maggie i Kate niemal od razu zaczęły czuć się dobrze w swoim towarzystwie. Obie aktualnie siedziały na werandzie domu, przed którym doszło do ataku, i bez skrępowania ze sobą rozmawiały.

– Kochana, powinnaś rozwiązać włosy – stwierdziła Kate, dotykając głowy Maggie. – Gumka

źle na nie wpływa i możesz sobie rozdawać końcówki.

- Wiem, ale tak mi jest wygodniej. Kiedyś rozpuszczałam, ale od jakiegoś czasu zależy mi na wygodzie.

- Jak ci dam swój szampon, od razu zmienisz zdanie. Poza tym trzeba cię będzie rozczesać i umalować. Zanim się zorientujesz, będziesz wyglądać świetnie i ponętnie. A jak zajedziemy do jakiegoś miasta, nakupujemy sobie ciuchów i wszyscy będą chcieli nas przelecieć. Nawiasem mówiąc, fajne te twoje chłopaki.

- To nie są moje „chłopaki”, tylko podróżujemy razem. No ale są troskliwi i przyjacielscy...

- Któryś z nich na pewno ci wpadł w oko? Powiedz który?

- Może innym razem - nieśmiało odparła Maggie.

- O, popatrz, Luke i Max wracają.

- Ciekawe, o czym gadali... - powiedziała Kate, zerkając w kierunku liderów obydwu grup.

- A wam przypadkiem nie jest za zimno? - zapytał Max, podchodząc do dziewczyn. - Poza tym, Chris, ten obrzyn nie będzie bardziej czysty. Możesz sobie już odpuścić szorowanie.

- He, he... a czym mam zabijać nudę... - zarechotał mężczyzna.

- Coś na pewno wymyślimy. Alex jak jakiś

wieśniak siedzi sam w SUV-ie. Powinieneś z nim pogadać....

- Nie wiem, czy mam o czym.

- Jest jeden powód - oznajmił Luke. - Wstępnie zawarliśmy układ. Pomożemy Maxowi z jego problemem i jeśli wszystko będzie grać, razem wyruszymy w dalszą drogę.

- Powaga? - zapytała Kate, nie kryjąc niedowierzania. - Więc jednak zaliczymy te sklepy i kilka innych... spraw.

- O czym ona...? - dopytywał Chris.

- Nie interesuj się, to babskie sprawy - odparła Kate. - Dobra, to co robimy?

- Natychmiast wyruszamy - oświadczył Max. - Mamy trzy godziny jazdy przed sobą. Wypatrzymy jakieś miejsce na obóz, a potem ustalimy co dalej. Tak że wskakiwać do samochodów i już nas tu nie ma.

- Ech... jak tam chcesz - westchnęła Nix. - Ale teraz może wykażesz trochę więcej inicjatywy? Nie chcę znowu spać w lesie.

- Ty też ze swoimi masz taki problem? - zapytał żartobliwie Max, patrząc na Luke'a.

- My tam jesteśmy zadowoleni ze wszystkiego, co znajdziemy. Nie ma co narzekać, tylko robić wszystko, aby dożyć kolejnego dnia.

- Z tego, co mogłem zauważyć, dość kiepsko wam

to ostatnio wychodzi – stwierdził radośnie Max.

- Ale lepiej niż tym, co tutaj leżą – odparł Luke, powoli idąc w stronę furgonetki.

Rozmowa dobiegła końca. Wszyscy zajęli swoje miejsca i czekali, aż Max wyznaczy kierunek trasy. W momencie gdy Alex otrzymał od Arringtona zgodę, uruchomił SUV-a i powoli wyjechał na główną drogę. Tuż za nim był Chris, który prowadził furgonetkę.

W chwili gdy oba pojazdy opuściły pobojuwisko, Alex skręcił na zachód. Obie grupy podróżnych jechały w kierunku miejsca, gdzie prawdopodobnie przetrzymywano Avę i Sama. Między nimi doszło do współpracy. Łączyły ich wspólne cele, co mogło stanowić dobry początek tej niezbyt estetycznie rozpoczętej znajomości...

Przez kilka godzin pojazdy prowadzone przez Chrisa i Alexa przejechały sto sześćdziesiąt pięć kilometrów. Ku niezadowoleniu wszystkich czas trasy się wydłużył do pięciu godzin. Było to spowodowane kiepskim stanem dróg i dość śliską nawierzchnią. Ze względu na bezpieczeństwo podróżni musieli jechać wolniej, aby zmniejszyć ryzyko wypadku.

Wszyscy byli znużeni, spoglądając na mijane krajobrazy. Zarówno gęste sosnowe lasy, prerie, wzniesienia terenu, jak i góry w całości pokrywał śnieg. Prawie wszystkie z kilkunastu dostrzeżonych

przez grupy jezior skuwał cienki lód.

Wszystko wskazywało na to, że tegoroczna zima miała być wyjątkowo długa i mroźna.

Po południu pogoda uległa znacznemu pogorszeniu. Niebo całkowicie przysłoniły chmury, zaczął padać śnieg i zerwał się silny wiatr. Przez warunki atmosferyczne i ograniczoną widoczność Chris i Alex musieli znacząco zwolnić pojazdy. Ponadto dźwięk stale pracujących wycieraczek jedynie potęgował ich rozgoryczenie spowodowane brakiem jakiegokolwiek przyjemności z prowadzenia samochodu. Dodatkowo gęsty iglasty las wywoływał w nich uczucie niepokoju.

- Lepiej szybko coś zróbcie z tą pogodą, bo mnie zaraz szlag trafi - oznajmił Chris, nerwowo stukając palcami o kierownicę. - Nic prawie nie widzę i wlecemy się, nie wiem nawet jak długo.

- Ile już przejechaliśmy? - zapytał Luke. - Przeczuję, że nie za wiele.

- Ponad sto sześćdziesiąt pieprzonych kilometrów.

- W sumie... gdyby nie ten śnieg, bylibyśmy na miejscu znacznie szybciej.

- Niech to białe gówno przestanie w końcu padać - oznajmił zrezygnowanym tonem Chris. - Mało nam przygód na dzisiaj? Zaraz nas zasypie i nigdzie nie dojedziemy, a na zewnątrz jest straszny mróz.

- Co tam Chris chrzani? - niespodziewanie zapytała Maggie, wyglądając przez lufcik w kabinie.

- Biadoli na pogodę - odparł kobiecie Luke. - Nic w tym dziwnego, bo na zewnątrz jest paskudnie. Lepiej będzie niedługo zrobić gdzieś postój.

- Skoro dogadałeś się z Maxem, to teraz czekaj, aż on kiwnie palcem. Tak w ogóle to nie zgubiliśmy ich?

- Ledwo ich widać, ale nadażam - odrzekł Chris, lekko dociskając pedał gazu. - Jak oni zaraz gdzieś nie zjadą, to pieprzę tę robotę i sam coś znajdę.

- Na pewno im także nie jest do śmiechu - stwierdziła Sarah. - Poza tym też byś robił absolutnie wszystko, gdyby przyszło nas ratować. Zresztą już raz miałaś taką okazję, więc wiesz, co mam na myśli. Opuść sobie to głędzenie i po prostu rób, co należy.

- Ech... do dupy z tym wszystkim... - westchnął Chris, lekko redukując prędkość furgonetki.

W pewnym momencie Alex włączył lewy kierunkowskaz i zaczął zwalniać SUV-a. Następnie zjechał na środek jezdni i w końcu skręcił na niemal niewidoczną leśną ścieżkę. Chris postąpił podobnie i furgonetka także zboczyła z głównej drogi.

Po przejechaniu kolejnych kilkuset metrów Walsch ponownie zmienił kierunek. Powoli podjeżdżał do miejsca, w którym Max prawdopodobnie chciał rozbić obóz.

Po swojej prawej drodze ujrzeli znajdujące się w dolince niewielkie jezioro. Z jednej strony zbiornik był osłonięty kilkunastometrowym klifem. Ponadto wszędzie rosły świerki i sosny, co dość dobrze osłaniało cały teren.

Kiedy oba pojazdy zjechały po mocno nachylonej ścieżce, Luke zauważył, że tuż przy brzegu stała niewielka drewniana chatka. Prawdopodobnie Max także ją wypatrzył, gdyż Alex zatrzymał SUV-a tuż obok niej.

Na ten widok Chris głośno westchnął i się uśmiechnął. Zadowolony zatrzymał furgonetkę tuż obok pojazdu drugiej grupy. Szybko wyłączył silnik, zaciągnął hamulec ręczny i opuścił auto. Wraz z nim na zewnątrz wyszła reszta podróżnych.

Wszyscy stanęli tuż przy wejściu do niewielkiego domku. Zza brudnych okien nie było zbyt wiele widać. Max bez słowa wyjął rewolwer i kilkakrotnie zapukał nim w drzwi. Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, pociągnął za klamkę i wszedł do środka.

Pomieszczenie było niewielkie. Wewnątrz, poza małym kominkiem, kilkoma porąbanymi kawałkami drewna, sześcioma starymi łózkami, krzywym stolikiem i pustą półką, nie było niczego specjalnego. Wszystko pokrywał kurz i wyglądało na to, że od co najmniej kilku lat nikt tu nie zaglądał.

- I co o tym sądzicie? - zapytał Max. - Jak dla

mnie dość przytulnie.

- Chyba na mózg ci siadło - odparła Kate, podchodząc do towarzysza. - Latem to jeszcze by przeszło, ale teraz umrzemy tu z zimna.

- Przecież jest kominek i możemy szybko w nim napalić - odparł Steve, podchodząc do niewielkiego stosu drewna. - Poza tym to miejsce jest dobrze ukryte, więc niewielki dym nie powinien spowodować na nas kłopotów.

- To prawda - przytaknął Max. - Poza tym jeśli się tutaj dobrze obstawimy, nikt nas nie ruszy. To jak robimy? Zajmujemy ten domek?

- Jak dla mnie ta chata jest lepsza niż to, w czym siedzieliśmy wczoraj - oznajmił Luke. - Ja nie będę narzekać. Chris, Maggie, Steve, Sarah, uważacie podobnie?

W odpowiedzi podróżni jedynie przytaknęli.

- Mamy przewagę, Kate, he, he, he... - zarechotał Max. - Sześć do jednego.

- A Alexa nie masz w ogóle zamiaru pytać o zdanie? - spytała Kate.

- Mnie w to nie mieszajcie - wtrącił od siebie Walsch. - Wisi mi to, bo i tak śpię dzisiaj w samochodzie.

- Widzisz? - odparł Max. - Nie ma co biadolić. Każdy znajdzie sobie własny kąt i jakoś wytrzymamy tę noc. Poza tym nie sądzę, że znajdziemy coś

lepszego tak blisko osady bandytów.

- Podejrzewasz, gdzie ona jest? - zapytał Luke, nie kryjąc ciekawości.

- Nawet wiem. W tej zamieci było trudno cokolwiek wypatrzeć, ale mimo wszystko zauważyliśmy z Alexem coś ciekawego. W pewnym momencie śmignęliśmy obok znaku, gdzie było napisane „Najbliższa osada dziesięć kilometrów. Zapraszamy na handel i wypoczynek”.

- Skubany... - stwierdził zdumiony Chris. - Spostrzegawczy jesteście. Ja tam gównem widziałem przez ten śnieg.

- Mniejsza o to - odparła Kate, wyciągając z kieszeni paczkę papierosów. - Skoro już wszystko ustalone, to trzeba przygotować obiad. Pójdę po koce, a ktoś niech zorganizuje coś do jedzenia.

- Co mamy w samochodzie? - dopytywał Max.

- Konserwy, suszone mięso, stare ryby i wodę - odpowiedziała Kate i po zapaleniu papierosa odłożyła na stolik zapalniczkę. - Proponuję to przyrządzić, bo niedługo trzeba je będzie wywalić.

- Rybka z ogniska... znakomity pomysł - stwierdził Max. - W takim razie nie ma na co czekać. Kate ogarnie koce, ja zajmę się rybami, a Alex niech pójdzie po drewno i wszystko, co się łatwo pali.

- A my rozpalimy ogień - oznajmił Luke, biorąc zapalniczkę. - Poza tym przygotujemy wodę i trochę

tu posprzątamy, abyśmy mogli lepiej spać.

- No to mamy jakiś plan - stwierdził entuzjastycznie Max. - Teraz czas do roboty, bo jeszcze dzisiaj chcę coś załatwić.

- Co konkretnie? - dopytywał się Luke.

- O tym pogadamy przy jedzeniu - odrzekł Max, wychodząc przed chatkę. - W tej chwili musimy ogarnąć ten burdel i zrobić obiad.

Wszyscy niezwłocznie przystąpili do wykonywania przydzielonych zadań. W krótkim czasie zostały wytrzepane materace, rozłożone koce, zebrana dość pokaźna ilość gałęzi, rozpalony ogień i ryby przyrządzone. Dodatkowo Steve wyciągnął z furgonetki beczkę z wodą i postawił ją tuż przy kominku.

Po kilkunastu minutach wszystko było gotowe do rozpoczęcia obiadu. Każdy zajął miejsce przy kominku i zaczął zajadać się nabitym na prowizoryczny rożen łososiem. Przez chwilę wszyscy byli skoncentrowani jedynie na jedzeniu.

- I jak wam smakuje rybka? - zapytał po chwili Max, przerywając ciszę. - Poza tym nie zatruje nas ona?

- Niedługo się o tym przekonamy - żartobliwie odparł Chris. - Przynajmniej jest smaczna.

- Od dawna nie jadłam czegoś ciepłego - oznajmiła Sarah. - Dzięki za wszystko, co dla nas

zrobiliście.

- Drobiazg - odpowiedziała kobiecie Kate. - Tak w ogóle to co cię dziabnęło, że jesteś taka poturbowana? I bandaż ci wystaje...

- Długa historia... po prostu złamałam zebro i trzeba było mnie poskładać.

- Przykro mi to słyszeć... na pewno jesteś obolała. Chcesz jakieś środki na znieczulenie?

- Nie ma takiej potrzeby. Przez ostatni tydzień trochę wydobrzałam. Jakoś daję radę...

- Sorki, dziewczyny, że wam przerwę, ale to chyba jest dobry moment, aby coś obgadać - wtrącił Max. - Luke dobrze wie, o co chodzi. Jak już wcześniej rozmawialiśmy, uzgodniliśmy, że pomożemy sobie w dość delikatnej sprawie...

- To znaczy w jakiej? - dopytywał się Chris.

- Obiecał mi, że zrobicie co w waszej mocy, aby nam pomóc odbić dwoje naszych ludzi. Nie bez powodu zajechaliśmy właśnie tutaj. Kilka kilometrów stąd jest miejsce, gdzie najpewniej przetrzymują Awę Briggs i Sama Cassona. Problem w tym, że najbliższą osadą rządzą bandyci. Nie wiemy, ilu ich jest, jak wielki to teren i w ogóle z czym tak naprawdę mamy do czynienia. Jedno natomiast jest pewne... rządzi tam niejaki Matt.

- I czego dokładnie od nas chcecie? - dopytywał się Steve. - Nie mamy zbyt wiele możliwości, żeby

wam jakoś pomóc.

- Wręcz przeciwnie - odparł entuzjastycznie Max.
- Kiedy Ava i Sam będą odbijani, wy popilnujecie sprzętu i tego, aby nikt nas nie zaskoczył. Nie musicie nawet wchodzić na teren osady. To by nawet pogorszyło sprawę, gdyż im większy tłok, tym łatwiej wpaść.

- Facet ma rację - stwierdziła Maggie. - Takie akcje najlepiej załatwiać po cichu. Nawet bym na takie coś poszła, ale teraz zaczęłam się zastanawiać, co konkretnie jest do zrobienia?

- Najpierw muszę z kimś pójść na zwiad i wybadać teren - odrzekł Max. - W tej chwili nie mam możliwości czegokolwiek rozplanować. Czy jest ktoś, kto chce ze mną iść na kilkugodzinny spacer? Ostrzegam tylko, że najlepiej, jakby to była ta sama osoba, która będzie ze mną odbijać naszych.

- Ja raczej odpadam - odparła Sarah. - Powód jest oczywisty.

- Muszę pilnować swojej siostry - dodał od siebie Steve. - Poza tym wolałbym nie ryzykować, żeby mnie ona teraz nie straciła. Kiepsko strzelam w nocy i...

- Rozumiemy, Steve, nie ma sensu dalej czegokolwiek tłumaczyć - wtrącił Luke. - Maggie także nie idzie, bo ostatnio dość mocno ostatnio oberwała, więc do tego zadania nadaję się tylko ja

i Chris.

- Trójka to za duży tłok - stwierdził Max. - Wybierzcie tylko jedną osobę.

- A nas nie zapytasz o zdanie? - zapytała Kate, nie kryjąc oburzenia. - Przecież Ava i Sam to nasi przyjaciele.

- Dla was mam inne plany, ale podejmę decyzję po obserwacji terenu. Bez obaw, któreś na pewno wykorzystam. Tymczasem potrzebny mi jest teraz tylko jeden ktoś...

- Skoro ja na to wszystko wyraziłem zgodę, to mogę z tobą iść - oświadczył Luke. - Już dość spałałem życie swoim przyjaciółom i nie chcę ich znów pakować w kolejne bagno...

- Więc postanowione - oznajmił Max. - Po obiedzie wyruszam z Lukiem na dłuższy spacer. Tymczasem wrócmy do posiłku i pogawędki. No i wypadałoby się lepiej poznać.

- To nie takie głupie... - skomentował te słowa Chris. - Skoro mamy sobie pomagać, to chciałbym chociaż wiedzieć, z kim współpracuję.

- Więc może zaczniecie i powiecie nam, co was tutaj przygnało, skąd jesteście i dlaczego chcecie spieprzać z Ameryki? - zapytał Max, wyraźnie zaintrygowany tą rozmową.

- Krótko mówiąc, jesteśmy w całkiem niezłych tarapatach - zaczął odpowiadać Luke. - Nieźle

zależniśmy za skórę American Security Organization i teraz nas ścigają. Nie odpuszczą, dopóki nie umrzemy.

- Wojskowi... kiepska sprawa - wtrąciła Kate. - Co wyście im takiego zrobili, że chcą was pozabijać?

- Po prostu poleciało o kilka głów za dużo... chcąc, nie chcąc, musieliśmy z nimi walczyć. Całe szczęście, że ASO straciło trop i na jakiś czas mamy z nimi spokój. Mimo wszystko wolelibyśmy im uciec za ocean.

- A skąd dokładnie jesteście? - dopytał Max. - Jesteście z jednego miejsca?

- Oj nie... - zaprzeczył Chris. - Poznaliśmy się w trasie. Ja pochodzę z Cichego Jeziora. To niewielka osada w dawnych Stanach Zjednoczonych, w Wyoming. Steve i Sarah mieszkali w Falltown, a Maggie... no właśnie, jak to z tobą jest?

- Nie pamiętam, gdzie przyszedłam na świat. Pewno gdzieś na pustkowiach w Nevadzie, Arizonie albo Kalifornii. Całe życie podróżowałam i walczyłam o przetrwanie.

- A ty, Luke, skąd jesteś? - dopytywał się Max.

- Ze mną jest dość ciekawie... Ja nie uciekam ze swojego domu, tylko do niego zmierzam. Uwierzysz lub nie, ale wracam do Dijon.

- Gdzie to, do cholery, jest? - zapytała Kate, nie kryjąc zdziwienia.

- Francja, Burgundia - doprecyzował Luke. -
Wiem, daleka przede mną droga, ale życie nie
pozostawiło mi wyboru.

- To jak ty się tutaj znalazłeś? - ciągle się
dopytywał Max.

- Kojarzysz taką organizację jak European
Defensive Pact? To jest coś takiego jak ASO, tylko że
w Europie. Robiłem za mechanika i przyleciałem tutaj
na misję. Niestety zestrzelono nasz śmigłowiec i od
tamtej pory próbuję wrócić do domu. Koniec historii.
Teraz chyba wasza kolej, aby nam wyjaśnić, skąd
przybywacie i o co Maxowi chodziło, że jesteście
w lekkiej dupie?

- Pamiętliwy jesteś... he, he, he... - zarechotał
Arrington. - Muszę na ciebie uważać. W każdym
razie pochodzimy z Mackenzie. To niewielkie
miasteczko w Kolumbii Brytyjskiej jakieś sto
osiemdziesiąt kilometrów na północ od Greenwoods.

- Ech... kojarzimy okolicę... - westchnął Luke,
a Maggie odłożyła niedojedzonego łososa i spuściła
wzrok.

- Ponoć szlag ich trafił, ale mniejsza o to -
kontynuował Max. - W każdym razie niedawno
stamtąd spieprzyliśmy. Nieźle nas wyzyskiwali
i niewiele oferowali. Mieszkaliśmy w barakach,
w których było kurewsko zimno i codziennie
chodziliśmy na wyręby. Całymi dniami ciężko

pracowaliśmy i dostawaliśmy tylko niewielkie racje żywnościowe. W końcu powiedziałem dość. Zebrałem kilku malkontentów i postanowiliśmy uciec.

- Lepiej powiedz, jak tego dokonaliśmy - wtrąciła Kate.

- Co tu dużo mówić... zamordowałem dwóch strażników i ukradłem ten wypasiony samochód, który stoi za domem. Opancerzony SUV to maszyna wręcz stworzona na długie podróże. Wbrew pozorom jest także całkiem pojemny. Bez niego nie moglibyśmy tak daleko dotrzeć. Zgaduję też, że jesteśmy także poszukiwani przez najemników, których zwykł wynajmować lider Mackenzie. Jeśli tak jest, to ja się ich nie boję, a zapasów mamy wystarczająco dużo, żeby nam wystarczyło do dojechania w pewne miejsce, które powinno was zainteresować...

- Czyli? - zapytała Sarah.

- Na Alasce jest miejsce, o którym niewielu ludzie wie. Nosi nazwę Frank Cove i nie mam pojęcia, czy to miasto, osada czy wiocha zabita dechami. Wiemy jednak o jego położeniu i to, że mają tam dostęp do oceanu...

- W końcu jakieś dobre wieści - entuzjastycznie stwierdził Chris. - Powiedz, długa przed nami droga?

- He, he... już się napaliłeś, a nawet nie wiesz, czy tutaj damy radę... ale sądząc po mapach, które

posiadamy, zostało nam jakieś... ile to będzie, Alex? Poza tym czemu cały czas milczysz? Coś cię gryzie?

- Na oko jakieś tysiąc czterysta, pięćset kilometrów - odparł Walsch. - I po jaką cholere muszę gadać, jak nie mam nic do powiedzenia?

- Wciąż myślisz o Mai? - niespodziewanie zapytała Kate. - Opuściłbyś już sobie i wywalił jej zdjęcie. To nie twoja wina, że tak wyszło... poza tym szkoda twoich nerwów.

- A ty powinnaś sobie darować ten temat. Jak mi przejdzie, to sam zdecyduję, co zrobię.

- Czy chodzi o coś poważnego? - zapytała Maggie. - Przepraszam za wścibstwo, ale...

- Alex, mogę? - zapytała mężczyznę Nix. - Przynajmniej będziemy mieli to z głowy i już nie wrócimy do tej historii.

- To są moje sprawy i nikt nie powinien się nimi interesować - odparł Alex, wrzucając resztki ryby do ogniska. - Idę na patrol. Tak zgłodnieliście, że zapomnieliście wystawić kogoś na czuwanie.

Po tych słowach mężczyzna wstał i wyszedł z chatki, trzaskając za sobą drzwiami. Przez moment zapadła dość krępująca cisza.

- Dobra, powiem wam, o co chodzi, ale niech później nikt go tym tematem nie wkurwia - powiedziała po chwili Kate, ścisząc głos. - Alex niedawno zostawił żonę, kiedy wyszło, że ona go

regularnie zdradzała z pewnym typem.

- Który dobitnie przekonał się o tym, że cudzej kobiety nie należy ruszać - dodał Max.

- Dosłownie „dobitnie” - sprecyzowała Nix. - Z gościa nie było co zbierać, po tym jak Alex go potraktował. Dość nieprzyjemna sprawa.

- Powinniśmy na niego uważać? - zapytał Luke zaintrygowany tematem. - Czy on nam nie zagraża?

- Alex jest w porządku i nie musicie na niego zwracać szczególnej uwagi - odparł Max. - To porządny facet. Cóż... zrobił, co chciał, ale w afekcie. Gdybym ja był na jego miejscu i ktoś by mi próbował odbić kobietę, na pewno zrobiłbym podobnie.

- No bez przesady... chyba nie związałybyś typa w lesie, zakneblował go, dźgnął nożem i zostawił na pastwę wilków? - retorycznie zapytała Kate. - Zresztą mniejsza o to. Walsch to wrażliwy facet i mało kto mu dorówna dobrocią. Poza tym w tych czasach niemal każdy ma krew na rękach...

- W sumie racja - przytaknęła Maggie. - Po tym, co tu słyszałam, nadal mi on niestraszny. Zresztą Sarah i chłopaki dobrze wiedzą, co ja w życiu robiłam, i przy mnie Alex wypada dość... słabo. A skoro ja wam niestraszna, to czemu macie się bać wrażliwca?

- Skoro zaczęłaś, to może powiesz coś o swoich „osiągnięciach”? - zapytała Kate.

- Jestem bardzo dobrym snajperem. Po trzydziestym zastrzelonym człowieku straciłam rachubę. Zabiłam kilkadziesiąt osób i chyba nigdy z tym na dobre nie skończę.

- Bo ci nie pozwalają... - stwierdził Luke, odkładając na bok pusty rożen. - W każdym razie obiad był przepyszny i chyba najwyższy czas iść na zwiad.

- Im szybciej wyjdziemy, tym lepiej - oznajmił Max, również kończąc posiłek. - Mam do wszystkich prośbę... Kiedy pójdziemy ocenić sytuację, sprawdźcie okolicę i zorganizujcie trochę jedzenia. Suszonego mięsa nigdy za wiele.

- Coś wymyślimy - oznajmiła Kate. - Tymczasem zabieram Maggie i Sarah do SUV-a. Zobaczycie, dziewczyny, jakie mam kosmetyki. A panowie do roboty, skoro ostatnio się wam nawet umyć nie chciało.

- No dobraaa... - odparł Max wyraźnie zniechęcony tematem. - To może ja sprawdzę, czy mnie i Luke'a nie ma na północy. Wrócimy po zmroku, tak że nie świrujcie, jak nie zdążymy na kolację.

- Do zobaczenia później - powiedział Roussel, wychodząc przed chatkę. - Uważajcie na siebie.

- Chyba ty - sprostował Chris, widząc idącego za podróżnym Maxa.

Kiedy liderzy obydwu grup wyszli na zewnątrz, zauważyli, że przestał padać śnieg. Warstwa białego puchu wynosiła aktualnie około dziesięciu centymetrów. Temperatura nieznacznie wzrosła, jednak nadal było dość zimno.

Luke i Max niezwłocznie weszli do lasu i zaczęli iść na północ. Zdawali sobie sprawę, że czeka ich co najmniej kilkukilometrowy przemarsz. Przypuszczali, że niedługo zobaczą, w jakim miejscu przetrzymywano Awę i Sama.

Nastał wieczór. Minęły ponad trzy godziny, odkąd Luke i Max wyruszyli w kierunku osady bandytów. Przez ten czas brodzili w śniegu, przedzierając się przez gęsty sosnowy las. O tej porze roku było w tym miejscu bardzo cicho. Niemal wszystkie zwierzęta siedziały w norach, zapadły już w zimowy sen lub odeszły na południe w poszukiwaniu pożywienia. Jedyne, co sporadycznie było słychać, to odgłos wyjących wilków. Luke i Max byli świadomi obecności tych ssaków. Mimo to nie martwili się nimi, gdyż obaj byli uzbrojeni.

- Niedługo będzie ciemno - w pewnym momencie zaczął Luke. - Mam nadzieję, że masz przy sobie jakąś latarkę? Nie chciałbym bez światła wracać w nocy do obozu.

- Bez obaw, o wszystkim pomyślałem. Mam przy

sobie niewielką kieszonkową, która jeszcze trochę pociągnie.

- Jesteś tego pewny?

- Niedawno wymieniłem baterie. Już nie bądź taki dociekliwy...

- Po prostu wolę mieć wszystko pod kontrolą. Ostatnio mi trochę jej brakuje...

- A kto powiedział, że w życiu będzie łatwo? - spytał retorycznie Max. - Czasem są wzloty i upadki. Tylko od nas zależy, co ze sobą zrobimy i czy dobrze wykorzystamy nasze szanse.

- Ostatnio nie idzie nam za dobrze w życiu... niedawno straciliśmy jednego z naszych. Stąd u nas takie nastroje.

- Wyraży współczucia...

- Na każdego przyjdzie w końcu pora... Najgorzej, jak śmierć odbiera człowieka w sile wieku...

- Tak to już jest z tym światem i nic nie możemy tu poradzić, ale sami z siebie mamy szansę go ulepszać. Chociażby dlatego postanowiłem chociaż spróbować uratować Avę i Sama, a nie spisać ich na straty i spieprzać do Frank Cove. W końcu oni także zasługują na lepszą przyszłość.

- Ciekawe, z czym będziemy mieć niedługo do czynienia...

- Zaraz pewno sprawdzimy... Dzisiaj jednak nic

poza obserwacją nie zrobimy. Poza tym planuję zaangażować w tę akcję jeszcze co najmniej Alexa.

- A po co nam on?

- Coś czuję, że będzie nam potrzebny, aby urządzić dywersję - odparł Max i zatrzymał się w miejscu. - Od dziecka wiem, że najlepszą receptą na sukces jest odwrócenie czyjejś uwagi. Kiedy nikt ci nie patrzy na ręce, możesz narobić niezłego bałaganu. Mniejsza. Słyszysz to samo co ja?

Luke również się zatrzymał, a następnie wyteńczył słuch. Po chwili wychwycił z oddali odgłos motocykli.

- Niedługo dotrzemy na miejsce - oznajmił Max. - Lepiej bądźmy gotowi na wszystko.

- Musimy znaleźć dobry punkt do obserwacji. Sądzę, że stoimy teraz na jakimś wzniesieniu. Nie powinniśmy mieć problemu z zajęciem dobrej pozycji.

- Ja dopiero sobie pozwolę na gdybanie, kiedy dotrzemy na miejsce. Koniec postoju. Od teraz bądź czujny i nie daj sobie odstrzelić łba.

- Ty tak samo - odparł Luke, wznawiając z Arringtonem marsz.

Po chwili przypuszczenia podróżnego się sprawdziły. Obaj mężczyźni doszli do miejsca, które było szczytem wysokiego na kilkanaście metrów urwiska. W momencie gdy doszli do krawędzi, padli na ziemię i ukryli się w śniegu. Kiedy uznali, że są bezpieczni, lekko podnieśli głowy i zaczęli

obserwować swój cel, do którego od kilku godzin zmierzali.

Kilkadziesiąt metrów od ich pozycji zaczynała się szeroka na pół kilometra i długa na blisko dwa, schowana pośród gęstych lasów, osada. Jej wschodnią granicę stanowiła szeroka rzeka, a z trzech pozostałych stron otaczał ją ceglany, wysoki na kilka metrów mur. W pięciu miejscach wybudowano drewniane wieżyczki obserwacyjne. Trzy z nich postawiono przy zachodniej stronie miasta, a pozostałe dwie tuż przy rzece. W efekcie to sprawiło, że miejscina była dobrze strzeżona.

Do tego rejonu prowadziły dwie drogi. Zarówno na północnej, jak i południowej stronie muru postawiono stalowe bramy, a główna droga przecinała osadę. Takie rozwiązanie niemal gwarantowało, że nikt przez ten rejon niepostrzeżenie nie przejedzie.

W przypadku budownictwa dominowały tu wolnostojące ceglane i drewniane domki jednorodzinne, aczkolwiek w centrum postawiono większe budowle. Najwyższy budynek był wysoki na trzy piętra. Jego ściany wykonano ze stali, a dach w całości pokrywały szklane okna. Do gmachu można było się dostać przez kilkoro drzwi, aczkolwiek jedno, największe z nich, były w zachodnim skrzydle budynku.

W pewnym momencie Maxa zainteresował obiekt, który stał od największego budynku jedną przecznicę dalej. Gmach liczył dwie kondygnacje i na żadnej z nich nie było widać okien. Jego elewację stanowiły białe, nieotynkowane cegły, a do środka prowadziły jedynie pojedyncze drzwi. Ponadto Arrington zauważył kilka uzbrojonych osób, które wprowadzały do tamtego budynku większą grupkę ludzi.

- Widzisz to samo co ja? - zapytał, dyskretnie wskazując palcem w kierunku interesującego go obiektu. - Jak myślisz... mogą w tym czymś trzymać Awę i Sama?

- Jeśli twoi ludzie tutaj są, to powinni być właśnie tam. Tylko jak ich uwolnić...

- Niech pomyślę... Przede wszystkim należy ustalić, jak wejdziemy do środka. Chyba najlepszym sposobem będzie pokonanie rzeki przy południowej granicy.

- Woda na pewno jest cholernie zimna. Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

- Przez bramy nie przejdziemy, a nie wygląda na to, że w murze są jakiegokolwiek ukryte przejścia. Również wieżyczki są tak ustawione, że nie idzie ich ominąć.

- Więc trzeba je będzie zneutralizować - stwierdził Luke. - Co powiesz na zastrzelenie

strażników?

- Mam lepszy pomysł. Nie bez powodu wieziemy ze sobą sześć lasek dynamitu. Są to co prawda zabawki Kate, ale dziewczyna się chyba nie pogniewa, jeśli użyjemy jednego ładunku w słusznej sprawie. Miejsce, w którym teraz jesteśmy, jest doskonałe do zrzucenia materiału wybuchowego. Do tego zadania możemy wyznaczyć Alexa.

- Mów jaśniej albo już teraz ułóż jakiś plan - poprosił Luke. - Łapy mi powoli odmarzają i niedługo trzeba wracać.

- Zauważyłem jeszcze jedną ciekawostkę... osada nie ma stałego oświetlenia. Nigdzie nie widać lamp, więc jedyne, na co musimy uważać, to patrole. To ułatwia sprawę. Skoro jednak już chcesz wiedzieć, co zrobimy, to od razu powiem. Najpierw zakradniemy się na tyle blisko pod południową bramę, żeby być jednocześnie poza zasięgiem strażników. Powiem Walschowi, żeby o konkretnej godzinie zrzucił na jedną wieżyczkę dynamit. Kiedy to rąbnie i powstanie wyłom w murze, powinno nastąpić niemałe zamieszanie. W tym momencie część bandytów na pewno wyjdzie z osady i zacznie przeczesywać okolicę. Wtedy wkraczamy. Niestety totalnie przemokniemy w tej kurewsko zimnej rzece, ale nie mamy innego wyjścia. Potem możliwie cicho i szybko przemkniemy do tego budynku, w którym trzymają

ludzi, dyskretnie sprzątniemy, kogo trzeba, i poszukamy Avy i Sama.

- A jak ich znajdziemy, to co potem?

- Spieprzamy jak najszybciej w stronę wyłomu i liczymy, że nikt nie będzie tam stał. Potem dyla do lasu i wracamy do swoich. Na Alexa nie czekamy. Spotkamy się w naszym obozie. Następnie objedziemy to cholerne miasto i pędzimy prosto na Alaskę. Może tak być?

- Możemy nawet wymordować pół tej osady, ale, proszę, wróćmy już do swoich - odparł nerwowo Luke. - Już palców nie czuję i płaszcz zaczyna mi przemakać.

- Czyli wszystko jasne - oznajmił Max, wstając na nogi i podnosząc Roussela. - Jak będziemy u naszych, pogadam z Walschem. Potem zjemy i od razu idziemy spać, bo jutro mamy akcję do odwalenia.

- W takim razie wyciągnij latarkę i nie traćmy już więcej czasu - oświadczył Luke i wolnym krokiem zaczął zmierzać na południe.

- Ech... skoro nalegasz... - westchnął Max, szybko spełniając prośbę towarzysza i dotrzymując mu kroku.

Czas mijał, a liderzy obydwu grup jeszcze nie wrócili do obozu. Dwie godziny temu nastąpiła noc, a temperatura spadła do dziesięciu stopni poniżej

zera. Z kolei niebo się roz pogodziło, ukazując większy niż zwykle księżyc i mnóstwo gwiazd. Takie warunki atmosferyczne gwarantowały, że w najbliższym czasie nie spadnie śnieg, a widoczność będzie dobra.

Obie grupy podróżnych były już po kolacji i powoli rozpoczęły przygotowania do snu. Pierwszymi osobami, które zasnęły, był Chris, Steve i Sarah. Z kolei Maggie i Kate stały przy SUV-ie i dyskutowały na przeróżne tematy. Mimowolnie rozmowie przysłuchiwał się Alex, który w tym czasie stał za ciężkim karabinem maszynowym i obserwował okolice.

- Czemu ich tak długo nie ma? - zapytała Maggie.

- Max nie ma wyczucia czasu?

- Daj chłopakom trochę swobody - odpowiedziała Kate. - Oni też czasem potrzebują odrobinę wolności. Nie ma sensu ich pilnować... sami w końcu przyjdą.

- A jeśli coś złego ich spotkało?

- Na rozpoznaniu? Spokojnie... Max należy do tego typu osób, które są przeczulone na punkcie bezpieczeństwa. Luke też mi na takiego wygląda. Ja bym bardziej martwiła się o to, czy Max znalazł to, czego szukał. Ech... brakuje mi Avy i Sama. Mam nadzieję, że nic im nie jest. Tak przy okazji, jak oceniasz mój szampon, perfumy, lakier do paznokci, tusz do rzęs i podkład?

- Po prostu rewelacja - odparła entuzjastycznie Maggie. - Skąd ty to wszystko wytrzasnęłaś?

- Jak to skąd... z Mackenzie. Mieliśmy tam salon kosmetyczny, to wykupiłam prawie wszystko, co mam. Resztę, można powiedzieć... pożyczyłam na czas nieokreślony.

- No tak.... Cel uświęca środki, skoro tyle z tego pożytku.

- Pożytku? - wtrącił Alex. - Wyperfumowanie i umalowanie nazywacie czymś pożytecznym? Poza tym nic nie usprawiedliwi kradzieży. Sama się kiedyś wściekałaś, jak ci dziewczyny czasem coś zwędziły.

- Odwzajemniałam się im z nawiązką - odparła Kate, wruszając ramionami. - Jesteśmy kwita...

- Takie zachowania tylko prowokują konflikty, a nie je tłumią - odrzekł Walsch. - Zresztą mniejsza o to... to w końcu tylko kosmetyki...

- Dzięki nim jest mi lepiej, więc to nie jest żadna pierdoła. Zresztą i tak tego nie zrozumiesz.

- Max i Luke wracają. - Niespodziewanie Alex zmienił temat, po czym wyciągnął latarkę i kilkakrotnie mrugnął światłem, odpowiadając na kierowane w jego stronę sygnały.

Kobiety spojrzały w kierunku, który oświetlał Alex. Po chwili ujrzały, jak z lasu wychodzą liderzy obydwu grup. Mężczyźni wyglądali na zziębniętych, ale jednocześnie zadowolonych z bezproblemowego

powrotu do swoich towarzyszy. Obaj jak najszybciej schowali broń i stanęli tuż przy samochodach.

- Co tak długo? - zapytała Kate, podchodząc i przytulając Maxa. - Poza tym ty w ogóle żyjesz? Jesteś taki zimny...

- Żarty na bok - odparł Arrington, nie kryjąc zadowolenia. - Mam dobre i złe wieści. Dotarliśmy tam, gdzie chcieliśmy, i wybadaliśmy teren.

- Zaczynaj od tych złych.

- Osada jest dobrze strzeżona i mieszka tam od cholery degeneratów i wykolejeńców. Ciężko będzie wejść do środka, nie będąc zauważonym.

- A dobre wieści? - dopytał Alex.

- O ile Ava i Sam tam są, to podejrzewamy gdzie. Poza tym mam plan, ale żeby go wykonać, będę potrzebował twojego dynamitu i Alexa.

- Jeśli to ma w czymś pomóc, to bierz, ile potrzeba i o nic nie pytaj... - oznajmiła Kate. - Po co ci Alex?

- Ktoś będzie musiał rzucić ten dynamit, gdzie trzeba. Potem od razu powinien spieprzać. Alex, pomożesz nam jutro?

- Jeżeli to nie jest ryzykowne, to nie ma problemu - odparł mężczyzna, schodząc z dachu SUV-a. - Jutro w trasie mi wyjaśnicie, co robić. Tymczasem spadam do samochodu spać i mogę kogoś później zmienić na warcie.

- Dzisiaj ja posiedzę z tobą - zadeklarowała się Kate. - A reszta niech spieprza do domku i wypocznie, bo jutro jest ciężki dzień.

- Się wie, he, he, he - zarechotał Max. - Luke, Maggie... wracamy do reszty. Pewno od dawna na nas czekają.

- Gdzie tam, śpią jak zabici - sprostowała Paylor.
- Padli zaraz po kolacji.

- Coś jeszcze dla nas zostało? - zapytał Luke.

- Puszki z kurczakiem. Jak was nie ma, to nie liczcie, że zjecie coś na ciepło.

- Ech... w co ja wierzyłem... - westchnął Roussel i zakończył rozmowę.

Kiedy podróżni weszli do chatki, zauważyli, że Chris, Steve i Sarah już śpią. Maggie od razu położyła się na łóżku i przykryła kocem, a Luke i Max nadrabiali kolację. Po posiłku zgasili ogień w kominku i również poszli spać. Po kilku minutach jedyną przytomną osobą była Kate. Stała na dachu SUV-a, marzła i obserwowała okolicę.

Po mniej więcej dziesięciu godzinach niemal wszyscy byli już na nogach. Pierwszą osobą, która wstała, był Max, który po kilku minutach wylegiwania się pod kocem postanowił wstać i wyjść na zewnątrz. Zanim jednak opuścił chatkę, dorzucił trochę drewna i rozpałki do kominka, po czym podpalił stos. To było

konieczne, gdyż temperatura w pomieszczeniu spadła do około zera stopni Celsjusza.

Kiedy Max był pewien, że ogień nie zgaśnie, dyskretnie wyszedł na zewnątrz. Możliwie cicho otworzył, a następnie zamknął drzwi, a potem rozejrzał się dookoła.

Trwała jeszcze noc. Słońce dopiero za dwie godziny miało wzejść. Niebo spowiły ciężkie chmury, z których padał gęsty śnieg. Ponadto było strasznie zimno.

Jedyną osobą, którą Arrington ujrzał, była Kate. Kobieta rozpałała niewielki stos tuż przy brzegu jeziora i ogrzewała się ciepłodajnym ogniem.

- Co tam słyhać? - zapytał mężczyzna, podchodząc do towarzyszki.

- Nie najgorzej. Alex nauczył mnie obsługiwać ogrzewanie w aucie i jakoś dałam radę.

- Tak w ogóle to gdzie on teraz jest? - dopytywał się Max, ponownie rozglądając się dookoła. - O ile dobrze pamiętam, powinien teraz stać na warcie?

- Stał jak jakiś cieć przez ponad trzy godziny. W końcu mu przeszła na to ochota, więc obudził mnie i powiedział, że idzie na polowanie. Ma nam coś przynieść na śniadanie.

- Lepiej, żeby to, co złapie, było dobre. Jeśli poszedł po prostu połązić po lesie, to mnie bardzo wkurzy.

- Oj przestań pieprzyć... O tej porze roku i w taką pogodę nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie długo w terenie. Jest ciemno, zimno, buro i ponuro.

- Chociaż to dobre warunki na uganianie się za zwierzyną. Tylko niech go przypadkiem wilki nie wywęszą, bo będzie z nim kiepsko. Jak wczoraj szedłem z Lukiem, to słyszałem niedaleko dość spore stado.

- Ech... przynajmniej on ma przy sobie broń. Gorzej, jak wpadnie na grizzly. W tych lasach może być ich pełno.

- O tej porze roku to one już śpią. Z ich strony nie spodziewałbym się ataków.

- A jeśli Alex wystrzeli i obudzi takiego misia? To wtedy włochacza wkurwi i co będzie dalej?

- Wtedy lepiej w podskokach spierdalać - odpowiedział w równie wulgarny sposób Max, po czym spojrzał za siebie. - O proszę... kawaleria do śniadania przybyła.

Grupa podróżnych opuściła chatkę i wolnym krokiem zmierzała w stronę jeziora. Ostatnią osobą, która wyszła na zewnątrz, był Steve, który zamknął za sobą drzwi. Kiedy wszyscy podeszli do Maxa i Kate, zaczęli rozglądać się dookoła.

- Gdzie jest Alex? - zapytał Chris, drapiąc się po szyi. - Gdzie go wcięło?

- Teraz na polowaniu - odpowiedziała Kate. -

Niedługo wróci. Tymczasem poczekajcie na niego i napijcie się ciepłej wody. Sama ją nagrzałam i schowałam w samochodzie.

- Pójdę po nią - oznajmił Steve, na chwilę opuszczając towarzystwo.

- Trzeba tu będzie dorzucić trochę więcej drewna, aby było ciepiej - stwierdził Chris.

- Nie warto kusić losu - odparł Max, kręcąc przecząco głową. - Może i pogoda jest do dupy i normalni ludzie jeszcze śpią, ale wolałbym nie dawać znaków dymnych. Jeśli chcecie się ogrzać, to wracajcie do chaty albo skombinujcie jakiś alkohol.

- Takowego nie mamy - powiedziała Maggie, przytulając Sarah. - Cały nasz asortyment wychlaliśmy jakiś czas temu.

- Ech... przynajmniej nie będzie nas korcić... - westchnął Max. - O, wrócił syn marnotrawny!

Po tych słowach mężczyzna odszedł w stronę lasu, po chwili wracając z Alexem i ciągnąc po ziemi dużego martwego zwierza.

- Coś ty tu przytachał? - zapytała Kate, nie kryjąc zainteresowania. - I my mamy to bydłę zjeść?

- Jak to co... Karibu - odpowiedział Alex. - Upatrzyłem niewielkie stado i śledziłem je przez jakiś czas. Ze dwa kilometry stąd jest polana i dużo zwierzyny. Ustrzeliłem jednego z mniejszych rogaczy i ciągnę go po ziemi już od godziny. W tym czasie on

trochę stwardniał...

- Pierwszy raz widzę cię aż tak zadowolonego - stwierdził Max. - A już ci chciałem przyłożyć w pysk za opuszczanie warty. Chyba musimy cię częściej posyłać na polowania.

- Alex, jak chcesz, to mogę cię kiedyś nauczyć tego i owego - oznajmił Chris, podchodząc do upolowanej zwierzyny. - Z zawodu jestem myśliwym i znam kilka sztuczek, które są dość użyteczne.

- Kiedyś na pewno skorzystam - odparł Alex, upuszczając karibu.

- Chłopaki, jak będziecie kroić mięso, to nie wywalajcie poroża - oświadczyła Kate. - Wiem, że jest całkiem spore, ale chciałabym je zatrzymać na pamiątkę. Wiecie, że kręcą mnie takie rzeczy.

- Najlepiej to będzie je sprzedać we Frank Cove i dorobić sobie do jakiejś kwatery - stwierdził Max. - Jak już mamy się gdzieś ustawić lub nawet spieprzać z Ameryki, to równie dobrze możemy wszystko sprzedać.

- Ech... jak tam chcesz... - westchnęła Nix, wyciągając maczetę, a następnie podrzuciła ją do Maxa.

- To już twój wisiorek z kości ci nie wystarczy? - dopytał Max, łapiąc lecącą w jego kierunku broń.

- Niby tak, ale zawsze fajnie jest mieć coś więcej.

- Ten wisiorek ma całkiem ciekawą historię -

wtrącił Alex. – Luke, podaj mi maczetę.

– Tylko ostrożnie, bo jest nieco stępiona – odparł Roussel i podchodząc do mężczyzny, przekazał mu ostrze.

– Raya także interesowały trofea... – stwierdziła Maggie, wyraźnie smutniejąc.

– Kto to taki? – zapytała Kate. – Opowiedz mi o nim.

– Ona mówi o tym, o którym ci wczoraj wspominałem... – szepnął Luke do Maxa.

– Kate, odpuść, proszę – powiedział Arrington do towarzyszki. – Chwilowo to temat tabu. Lepiej zacznijmy rozkładać tego bydlaka, zanim zamarznie na kość. Dajcie nam trochę czasu, zorganizujcie różną i zróbcie coś pożytecznego.

– Chodź, Maggie, pójdziemy na obchód – oznajmiła Kate i przytuliła towarzyszkę. – Sarah, też chcesz iść?

– Nie ma sprawy – odparła kobieta, podchodząc do towarzyszek. – Potrzebuję trochę ruchu.

– To może ja, Chris i Steve zorganizujemy drewno na ogień? – zasugerował Luke. – Przynajmniej jakoś nam zleci czas do świtu.

– To do roboty! – krzyknął Max, wbijając maczetę w kark upolowanego przez Alexa karibu.

Przez najbliższe dwie godziny każdy robił to, co sobie zaplanował. Maggie, Sarah i Kate patrolowały

okolice, a Max i Alex porcjowali dziczyznę. Z kolei Luke, Chris i Steve gromadzili drewno i suszyli je przy kominku, aby ostatecznie je dorzucić do płonącego na zewnątrz ogniska.

Kiedy mięso zostało przygotowane, a ogień płonął dostatecznie dobrze, Max zaczął doprawiać świeże kawałki dziczyzny. Po tej czynności nabijał je na różna, a te mocował przy ognisku. Na koniec dał wszystkim znać, aby przyszli na śniadanie.

Zanim kobiety wróciły z patrolu, mięso było już gotowe do spożycia. Zanim jednak wszyscy przystąpili do posiłku, cierpliwie czekali na przybycie towarzyszek.

Maggie, Sarah i Kate przyszły krótko po tym, jak pierwsze promienie słońca przedarły się przez zachmurzone niebo. Kiedy Max je zobaczył, podbiegł do nich i zwrócił Kate wcześniej wyczyszczonej maczecie. Podobnie zrobił Alex względem Luke'a. Kiedy obie grupy w końcu usiadły przy ognisku, przystąpiły do śniadania.

Pierwszą osobą, która skończyła jeść, był Alex. Mężczyzna niezwłocznie wstał i podszedł do SUV-a. Następnie wskoczył na dach pojazdu i zajął miejsce za ciężkim karabinem maszynowym.

- A ty gdzie tak pędzisz? - zapytał Max. - Zawsze możesz z nami posiedzieć i pogadać.

- Kiedy ja nie mam nic do powiedzenia - odparł

Walsch, rozpoczynając przegląd broni.

- Jak tam chcesz... nie zapomnij tylko o tym, że niedługo wyruszamy na akcję.

- To wy już teraz chcecie nas zostawić? - zapytała Sarah. - Przecież do osady macie trzy godziny na piechotę, a prędzej niż po zmroku nie zaczniecie.

- Tu chodzi o precyzję i wolimy się dostatecznie dobrze przygotować - odparł Arrington. - Nie dość, że musimy przybyć na miejsce, to jeszcze wypadałoby poobserwować teren i tych bandziorów. Kto wie, co w tym czasie zobaczymy. Każda informacja może być na wagę złota. Przecież chcecie nas jeszcze zobaczyć, prawda?

- Ech... prawda, prawda... - westchnęła Kate. - Tylko, proszę, zróbcie wszystko, aby uratować Awę i Sama... martwię się o nich.

- Jak my wszyscy, ale bez obaw. Jeżeli ja i Luke będziemy mieć oczy dookoła głowy, to krzywda nas nie spotka. A dzięki Alexowi mamy także „element zaskoczenia”. Weź już ten dynamit z samochodu!

- Jedna laska wystarczy? - spytał Walsch, na chwilę schodząc ze stanowiska, po czym otworzył SUV-a.

- Tych nigdy za wiele, ale dynamitu styknie jedna, he, he, he... - zarechotał Arrington. - Mamy tylko zrobić wyłom w murze, a nie rozpieprzyć całą dzielnicę.

- Na pewno nie chcecie mnie ze sobą zabrać? - zapytała Kate. - Nie będę sprawiać problemów, a jeśli zajdzie potrzeba, to mamy większą siłę ognia.

- I to jest najciekawszy element całej misji - odparł Max, uśmiechając się szelmowsko. - Nie padnie ani jeden strzał. Zabraniam używania broni. Nie wiem jak ty, ale ja nie chcę mieć na karku co najmniej kilkuset niewyżytych intelektualnie debili, którzy najpierw nas zabiją, a potem cholera wie, co im jeszcze wpadnie do głowy.

- Niespożyte połączenie mózgu są u nich niezbadane - zażartował Chris, kończąc śniadanie.

- Od jakiegoś czasu siedzisz cicho... - wtrącił Luke, patrząc na Reese'a. - Poza tym masz świetną intuicję. Może nam powiesz, co przeczuwasz na najbliższą noc?

- Mam ci wywróżyć, czy wyjdziecie z tego cało? Ja nie jestem od takich rzeczy. Po pierwsze, to się czepiaj Steve'a, a nie mnie, bo ostatnio to nawet nie wiem, czy on w ogóle oddycha. Po drugie, to przeczuwam, że dzisiaj będę siedział na mrozie i wypatrywał waszego powrotu. W każdym razie zostaję tutaj, zbijam baki i tyle mi wiedzieć wystarczy.

- Co ty teraz ode mnie chcesz? - odparł nieznacznie oburzony Steve. - Po prostu nie mam nic do gadania.

- Niedawno nawijałeś jak szalony - stwierdził Chris. - A teraz niemal cały czas siedzisz jak mysz pod miotłą.

- Już ci mówiłem, że nie mam zbyt wiele do powiedzenia. Więc bądź tak miły i, za przeproszeniem, odpierdol się ode mnie.

- Brat po prostu nie wie, co ze sobą zrobić - oznajmiła Sarah, podchodząc do niego. - Poza tym chyba dostał jakiejś depresji... dobrze myślę?

- Ty też chcesz oberwać? - zapytał retorycznie Steve, obejmując siostrę. - Nieważne, co mi jest, tylko że mamy co jeść, plan i jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli, to niedługo będzie po wszystkim.

- Wobec tego nie ma co dłużej zwlekać - oświadczył Max. - Alex, wyruszamy. Jeśli akcja nam wyjdzie dobrze, to około północy do was wrócimy. A jak nas nie będzie do rana...

- Nawet tak nie mów - pogroziła Arringtonowi Kate. - Urwę ci to i owo, jak nie wrócisz.

- I to właśnie jest deklaracja wszczęcia poszukiwań, w razie jakby coś poszło nie tak. Bez obaw. Czy ja cię kiedykolwiek zawiodłem?

- Czasem i w niektórych przypadkach... - wymownie odpowiedziała Kate w cyniczny sposób.

- Tych spraw w to nie mieszaj - odrzekł Max, z trudem utrzymując powagę. - Kiedy nas nie będzie, pilnujcie obozu i tym razem przygotujcie nam coś

ciepłego. Nie zapominajcie, że wrócimy z Avą i Samem. No dobra... długie pożegnania nie są w moim stylu, więc lepiej już pójdziemy.

- Powodzenia! - krzyknęła Kate i przytuliła Arringtona.

- Wrócimy jeszcze w nocy - wtrącił od siebie Luke. - Chodź, Alex. Pokażę ci drogę.

Mężczyźni idący na misję ratunkową niezwłocznie sprawdzili sprzęt i po chwili zniknęli w głębi lasu. Z kolei Chris, Maggie, Steve, Sarah i Kate zostali w obozie i z wolna zaczęli organizować sobie dzień. Pomimo względnie dobrej atmosfery każdy podświadomie się stresował. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że nadchodzące godziny będą niepewne i pełne napięcia.

Po południu pogoda lekko się poprawiła. Temperatura wzrosła do nieco powyżej zera stopni. Nagromadzony wcześniej śnieg zaczął topnieć. Stawał się mokry, co komplikowało Luke'owi, Maxowi i Alexowi zadanie.

Po dłuższej wędrówce mężczyźni w końcu zdołali dotrzeć do urwiska, przy którym ubiegłego dnia obserwowali osadę. Max odetchnął z ulgą, widząc, że może sobie teraz pozwolić na chwilę odpoczynku. Dodatkową radość sprawiło mu znalezienie powalonego pnia drzewa, na którym usiadł, wcześniej odgarniając z niego topniejący śnieg.

- Chłopaki, chwila przerwy - powiedział, wyciągając i odbezpieczając rewolwer. - Alex... jesteś tutaj pierwszy raz. Co o tym sądzisz?

- Uważam, że nieźle cię posrało - odparł mężczyzna, dyskretnie obserwując ulice i patrolujące je oddziały. - Mam nadzieję, że wiesz, co zrobisz, jak tam już zejdziesz?

- A ja liczę na to, że masz czym odpalić dynamit. Inaczej będziesz wracał do obozu...

- Kurwa mać... - przeklął Walsch, uderzając otwartą dłonią w swoją twarz. - Zapomniałem spytać Kate.

- No to drałuj kolejne dwadzieścia kilometrów, aby w ogóle odwalić swoją robotę.

- Ech... robię to tylko dla Sama i Avy - odrzekł Alex, zawracając w stronę obozowiska.

- Czeka! - powiedział donośnie Arrington, wyciągając zapalniczkę. - Jak zwykle to ja muszę mieć wszystko na głowie.

- To po jaką cholere mnie straszysz? - zapytał z oburzeniem Alex, przejmując niezbędne do odpalenia lontu źródło ognia.

- Tylko cię chciałem sprawdzić... nic osobistego. Fajnie, że tak bardzo ci zależy na życiu naszych przyjaciół.

- Lepiej dla ciebie będzie, jak na przyszłość darujesz sobie takie żarty. Stąpasz po cienkim lodzie.

- Łazić po nim będę, ale z Lukiem, jeszcze dziś w nocy. Choć w sumie nadzieja matką głupich. No ale jak mus, to mus.

- Teraz to nawet ty mnie wnerwiasz - oświadczył Luke, obserwując osadę. - Tak w ogóle to zgaduj, ilu naliczyłem ludzi.

- Dajesz - odrzekł Max, wyciągając z kieszeni butelkę wody.

- Ponad dwustu. Lepiej, żeby to odwrócenie uwagi zadziałało, bo nie mam zamiaru dzisiaj umierać.

- Nie mogę ci dać żadnych gwarancji - odparł Max, podchodząc do podróżnego. - W każdym razie warto ryzykować, jeśli ktoś dla ciebie ważny jest w opałach. Jeśli dzisiaj zginę, to przynajmniej z czystym sumieniem i jako dobry człowiek.

- Muszę ci coś powiedzieć... - wtrącił Luke, lekko smutniejąc.

- Kochasz kogoś?

- Mam żonę... to ona jest powodem, dla którego chcę wrócić do domu. Z nią są ludzie, którzy na mnie czekają i wierzą, że nic mi nie jest. Heh... pewno już prawie każdy myśli, że nie żyję, ale jest jeszcze Nicole...

- To jej imię?

- Dokładnie. Cały ten wysiłek jest tylko dla niej. Gdyby to ode mnie zależało, to prawdopodobnie

pozostałbym z pewną rodziną pod Falltown i nigdy byśmy się nie spotkali. Nie siedziałbym tu teraz z tobą i patrzył, jak bandyci organizują sobie dzień.

- A co z twoimi ludźmi? Nie zależy ci na nich?

- Gdyby tak było, to pewno byś tu sobie gadał z Chrisem, a nie ze mną - odpowiedział Luke, nie kryjąc irytacji. - Zbyt wiele razy ich narażałem, zawiodłem i wykorzystałem. Początkowo patrzyłem jedynie na własne bezpieczeństwo. Teraz mi chodzi o coś więcej...

- W imię zasad... - dodał od siebie Alex. - Dobrze znam to twoje spojrzenie. Czuję, że wiesz o mnie więcej, niż mógłbym sądzić. Pocieszę cię... tak naprawdę wszyscy jesteśmy tacy sami.

- Ja jeszcze nikogo nie zabiłem... Zresztą jestem szczęśliwy, że jeszcze do tego nie doszło... choć żałuję, że w pewnych sytuacjach nie zadziałałem inaczej. Miałem okazję kogoś ocalić, a teraz zostały mi wyrzuty sumienia...

- Nie ma potrzeby, żeby mieć do siebie pretensje o to, czego nie zrobiłeś - oświadczył Max. - Każdy mądry po szkodzie, ale pod presją to już nie jest tak łatwo. Zapamiętaj moje słowa i je sobie przypomnij, jeśli będziesz chciał w przyszłości podcinać sobie skrzydła.

- Każdego dnia uczymy się czegoś nowego - z lekkim entuzjazmem odparł Luke.

- A dzisiejsza lekcja to rozpieprzenie muru i uratowanie dwojga dobrych ludzi! - powiedział ochoczo Max. - Alex, dasz sobie radę? Wiesz, jaki jest plan?

- Oczywiście. Rzucić, wysadzić i spierdalać.

- Jestem z ciebie dumny - oznajmił Max, a następnie podszedł do towarzysza i poklepał go po plecach. - W takim razie ja i Luke zajmiemy swoje pozycje. Kiedy zajdzie słońce, odpalaj dynamit i wracaj do naszych. My wiemy, co robić.

- Tylko na siebie uważajcie - poprosił Walsch, siadając na wcześniej zajmowanym przez Maxa pieńku.

- A ty pilnuj zapalniczki - odrzekł Arrington, idąc z Lukiem w kierunku południowej osady bandytów.

Mężczyźni wolnym krokiem i możliwie dyskretnie schodzili w kierunku osady. Zajęło im ponad trzydzieści minut, aby obejść to miejsce i dojść do głównej drogi. Kiedy w końcu do niej dotarli, przeszli na drugą stronę ulicy i skryli się na niedużym skwerze tuż przy rzece. Z tego miejsca mieli dobry widok na południową bramę. Uznając, że są tutaj bezpieczni, cierpliwie czekali na nadejście nocy.

Zarówno dla Luke'a, jak i Maxa godziny dłużyły się w nieskończoność, a atmosfera stawała się coraz bardziej napięta. Mężczyźni cały czas zwracali uwagę

na sporadycznie mijające ich oddziały bandytów. Cały czas mieli odbezpieczoną broń, siedzieli w ukryciu i obserwowali otoczenie. Jednocześnie próbowali zachować spokój, gdyż powodzenie misji w gruncie rzeczy zależało tylko od nich.

W końcu nastąpiła noc. Kilka minut temu słońce znikło za horyzontem. Temperatura ponownie spadła poniżej zera. Pomimo częściowego zachmurzenia nie padał śnieg. Luke i Max byli z siebie zadowoleni, że bezproblemowo doczekali tego momentu. Rozpoczęcie akcji nie było dokładnie określone i zależało jedynie od Alexa, który prawdopodobnie nadal siedział samotnie ponad osadą na szczycie urwiska.

- Ile jeszcze będziemy musieli tu gnić? - zapytał Luke, przerywając ciszę.

- Cierpliwości, na wszystko przyjdzie czas. Spieszysz się gdzieś?

- Niespecjalnie, ale moglibyśmy mieć już to za sobą. Nie jestem na tyle odporny, aby wytrzymać taką presję. Jedyne, o czym myślę, to o tym, że siedzimy w krzakach i czekamy na wyrok.

- Nie będzie aż tak źle... Alex to odpowiedzialny i sprytny facet. Poza tym mój plan jest niemal doskonały. Wiem, że będzie ciężko, ale spróbuj mi zaufać. Zrobimy wszystko tak szybko, jak to możliwe

i będzie po wszystkim.

- Ech... spróbuję - westchnął Luke, kierując wzrok w stronę rzeki.

Prąd nie był zbyt silny, ale spora ilość niesionych z nim kier nie napawała go optymizmem.

- Zaboli, prawda? - zapytał Roussel z rezygnacją w głosie.

- Ból jest dowodem na to, że żyjesz - odparł entuzjastycznie Max. - Zamiast się martwić, cieszymy się z tego, co możemy dokonać.... Jeśli uratujemy... nie... gdy uratujemy Avę i Sama.

- Muszę ci przerwać. Zamilcz na chwilę. Widzisz to światło nad urwiskiem?

- I to jest właśnie dla nas sygnał - oznajmił Max, patrząc na miejsce, gdzie prawdopodobnie przebywał Alex.

Dynamit spadał w kierunku zachodniej wieży strażniczej i zniknął tuż za murem. Po kilku sekundach doszło do eksplozji. Wybuch zniszczył zarówno strażnicę, jak i fragment muru. Luke i Max ujrzeli człowieka, który w tym momencie stał najbliżej ładunku. Wszystko, łącznie z nim, zostało zmiecione przez falę uderzeniową i rozniosło się po okolicy.

W tym momencie ktoś włączył syrenę alarmową. To postawiło niemal wszystkich bandytów w stan gotowości. Nastąpił totalny chaos. Niektórzy ludzie

wybiegali ze swoich domów w samych slipach i trzymali w dłoniach karabiny. Powstało zamieszanie, na którym szczególnie zależało Maxowi.

- Ile jeszcze? - zapytał Luke, nerwowo spoglądając na południową bramę, a potem na rzekę.

- Już niedługo... Czasem to fajne jest, żeby tak sobie siedzieć w krzakach i patrzeć, jak świat płonie...

- Zamiast się podniecać, lepiej skorzystajmy z chaosu, jakiego narobiliśmy. Słyszysz to samo co ja?

Max zwrócił uwagę na dochodzący z za południowej bramy hałas. Ktoś w tym czasie uruchamiał samochód. Inna osoba krzykliwym głosem wydawała polecenia.

Po chwili otwarto bramę, a z za niej wyjechał pikap. Samochód całkowicie pokrywała korozja i nie sposób było odgadnąć jego pierwotnego koloru. Maszyna, w której siedziały dwie osoby, szybko minęła zagajnik, w którym siedzieli Luke i Max.

- Czy nie uważasz, że...? - próbował zapytać Roussel.

- Teraz - odparł krótko Arrington, ciągnąc kompana za rękaw w stronę rzeki.

Kiedy mężczyźni doszli do brzegu, powoli zaczęli wchodzić do wody. Było to dla nich dość bolesne doznanie. W momencie gdy byli zanurzeni po pas, szybko zaczęli iść w stronę południowej bramy osady.

- Kurwa mać... - przeklął Luke. - Naprawdę nie mogłeś wymyślić lepszego sposobu na wejście do środka?

- I czemu marudzisz? Nie tylko ty teraz cierpisz. Pomyśl sobie, co dopiero poczujesz, jak wyjdziemy z tej wody.

- Chyba zachoruję...

- Zobaczysz, będzie lepiej, niż podejrzewasz. Zimna woda jest dobra na krążenie. Po prostu twój mózg doznał wstrząsu anafilaktycznego i nie funkcjonuje poprawnie.

- Ha, ha, ha - cynicznie zasymulował śmiech Roussel. - Kiedy ostatnio dostałeś w pysk?

- Trochę czasu minęło, ale jakoś nie jestem zwolennikiem tego typu rozrywek. Teraz siedź cicho, bo prawie dochodzimy do bramy.

Mężczyźni możliwie szybko i dyskretnie pokonywali kolejne metry. Brodzili w lodowatej wodzie i nieustannie spoglądali na posterunek umieszczony tuż przy murze. Wysoka na kilka metrów konstrukcja była drewniana i aktualnie przebywał na niej trzymający karabin człowiek. Spoglądał na południe, oświetlając ulicę podręcznym reflektorem. Ku zadowoleniu podróżnych nie zauważył ich, co umożliwiło im bezpieczne dotarcie do krawędzi osady.

W tym momencie mężczyźni usłyszeli, jak po

drugiej stronie zgromadziła się co najmniej kilkunastoosobowa grupa bandytów. Wnioskując po ich rozmowie, Luke i Max uznali, że tamci ludzie zaraz wymaszerują w teren.

- Co teraz? - zapytał szeptem Luke.

- Teraz sobie poczekamy, aż te mendy pójda w cholere, i płyniemy - odparł równie cicho Max.

- Nawet mi nie mów, że jeszcze będziemy zanurzeni po szyję w tej rzece... broń nam zamoknie i możemy zginąć...

- Przecież mówiłem, że podczas tej misji nie padnie ani jeden strzał. Poza tym masz jeszcze maczetę, a ja sztylet. Więc nie pierdol mi tu teraz głupot, tylko czekaj na dalsze instrukcje.

- Jak tam chcesz...

Minęło kilkadziesiąt sekund, zanim grupa bandytów opuściła teren miejsciny. Po tym jak uzbrojeni ludzie odeszli, Max zaczął płynąć na północ i szybko ominął mur. Luke niechętnie zrobił podobnie.

Po mniej więcej stu metrach mężczyźni zakończyli walkę z siłami natury i wyszli na brzeg. Szczęśliwie pozostali niezauważeni, gdyż w okolicy nie było nikogo. Roussel i Arrington, nie tracąc czasu, zaczęli biec w stronę najbliższych zabudowań.

Zauważyli kilka piętrowych drewnianych domów. Wyglądały one na świeżo pomalowane białą farbą.

Czasem w oknach dało się zauważyć sylwetki postaci. Ich ruchy były nerwowe, a dźwięk syreny nie poprawiał sytuacji. Trwało to do momentu, aż Luke i Max pokonali sto metrów i skryli się w jednej z uliczek. W momencie gdy spojrzeli zza rogu na ulicę, odgłos alarmu ustał.

- To żeśmy narozrabiali - odparł entuzjastycznie Max. - Jak tam z tobą?

- Bywało lepiej - odparł cynicznie Luke. - Co widać na ulicy?

- Złe wieści, kolejny patrol.

- Ilu?

- Trzech, ale lepiej będzie ich przeczekać. Kiedy tylko przejdą, musimy przejść na drugą stronę drogi. Potem, o ile mnie pamięć nie myli, będziemy na głównej ulicy. Stamtąd pójdziemy prosto, aż dojdziemy do budynku, gdzie mogą trzymać Awę i Sama.

- Pamiętasz, jak daleko musimy iść, aby tam dotrzeć?

- Cholera wie... może nawet kilometr. Te mendy sporo tutaj nabudowały.

- Ech... obyśmy jak najszybciej wrócili do swoich - westchnął Luke, siadając pod ścianą budynku.

- Póki co róbmy swoje. Teraz cicho, bo te skurwiele nadchodzą.

Mężczyźni przyłgnęli do ściany i nerwowo

spoglądali w stronę ulicy. Po chwili zauważyli patrol bandytów. Co ciekawe, niczego nieświadomi rezydenci szli wolnym krokiem, kompletnie nie zwracając na nic uwagi.

Kiedy mężczyźni odeszli na znaczną odległość, Luke i Max instynktownie przebiegli przez ulicę, po chwili znikając pomiędzy kolejnymi domami. Możliwie cicho przeszli kilkanaście metrów i stanęli, spoglądając w stronę centrum miejscowości.

Ujrzeni kilkadziesiąt parterowych budynków i główną drogę. Zważywszy na brak oświetlenia, nie dało się określić przeznaczenia widzianych przez nich obiektów. Przypuszczalnie widzieli dzielnicę handlową, gdyż wokół wisiało kilka bilbordów.

Ponadto, ku zadowoleniu podróżnych, nie zauważyli oni jakiegokolwiek aktywności w dzielnicy. Postanowili pobiec na północ, żeby podejść jak najbliżej budynku, który obrali sobie za cel misji.

Szczęśliwie po drodze na nikogo nie wpadli i po kilku minutach dotarli do miejsca, o które im chodziło. Stanęli za rogiem sąsiedniego piętrowego budynku i zaczęli obserwować swój cel.

Przy drzwiach dwukondygnacyjnego, pozbawionego okien obiektu stał mężczyzna. Był w średnim wieku, miał niedbale zaczesane na bok włosy i lekki zarost. Nosił jasne dżinsy, czarne półbuty i zimową, puchową kurtkę. W dłoniach

trzymał karabin.

- Trzeba go będzie zabić - oznajmił Max.

- Czy aby na pewno nie przesadzasz? Wiem, że chcesz ratować swoich, ale chyba dość krwi przelałeś, żeby osiągnąć cel.

- Jeśli go ogłuszymy, a on wstanie, ściągnie na nas co najmniej pół miasta. Chciałbyś mieć na głowie ponad dwieście osób, które wypatrzyłeś? Nie? W takim razie morda w kubeł i pozwól mi wykonać swoją robotę.

- Ech... ja do tego ręki nie przyłożę.

- I tak mnie osłaniasz - oznajmił Max, skradając się na drugą stronę ulicy.

W chwili gdy mężczyzna doszedł do rogu budynku, gestem ręki zasugerował Luke'owi, aby zaczął działać. Na ten znak podróżny pokręcił przecząco głową, wyciągnął pistolet i powoli podchodził do osoby stojącej na straży wejścia do obiektu. Nieznajomy momentalnie go zauważył i wycelował w jego kierunku karabin.

- Kto idzie? - zapytał. - Czego tu szukasz?

- Przysłała mnie Matt - improwizował Luke. - Chce, abym wypytał więźniów o atak.

- Znasz hasło? - dopytywał mężczyzna, nieustannie mierząc z broni w stronę Roussela.

- Jasne, że tak. Patrz za siebie.

Człowiek lekko zdziwiony taką odpowiedzią

spojrzał w kierunku, który wskazał Luke. Zanim strażnik zdołał cokolwiek zrobić, Max do niego dobiegł i zaczął go dusić. Pomimo lekkiej szarpaniny ten, co pilnował budynku, nie zdołał wystrzelić ze swojej broni i po kilkunastu sekundach opadł z sił. A Max nie przestawał. W końcu zniecierpliwiony skręcił mężczyźnie kark.

Ciało strażnika upadło twarzą na ulicę. Max po wykonaniu egzekucji przykucnął nad trupem i zaczął go przeszukiwać.

Po kilku sekundach wyciągnął pęk kluczy i niewielkich rozmiarów książeczkę. Niezwłocznie ją otworzył i w milczeniu zaczął czytać jej treść.

- Powinieneś to zobaczyć - oznajmił entuzjastycznie i podrzucił znalezisko Luke'owi.

Roussel spojrział na okładkę. Widniała na niej nazwa organizacji ASO i godło Stanów Zjednoczonych. Zarówno napis, jak i symbol mieściły się na białym tle. Ten widok wywołał u podróżnego mieszane uczucia, lecz to go nie pohamowało przed otwarciem dokumentu i wczytaniem się w jego treść.

Wojska American Security Organization

Książeczka Wojskowa

Imię i nazwisko: Logan Cruz
Data urodzenia: 08.08.2317 r.
Stopień wojskowy: Kapral
Numer identyfikacyjny: 19 002 685
Jednostka organizacyjna: Helena, Montana
Przynależność: oddział terenowy 08 - 16
Aktywny w służbie od: 16.07.2342 r.

Na dalszych stronach dokumentu widniało tylko kilka pieczętek ASO i adnotacji, które napisał ktoś obdarzony niewyraźnym stylem pisma. Luke uznał, że byłoby stratą czasu, aby dekodować zapiski, więc zamknął książeczkę. Następnie chciał umieścić dokument w kieszeni kurtki zabitego przed chwilą Logana. Szybko się jednak zorientował, że Max zdołał przenieść ciało w stronę rosnących nieopodal krzaków. Wobec takich okoliczności Roussel schował książeczkę do swojej kieszeni i podszedł do drzwi budynku.

- Właśnie zabiłeś dezertera - oznajmił, patrząc na towarzysza. - Najwidoczniej w wojsku nie było mu za dobrze.

- Cholera go wie - odparł Max, podchodząc do wejścia do obiektu i próbując otworzyć ciężkie drewniane drzwi. - Dowiedziałeś się czegoś ciekawego?

- Nawet całkiem sporo. Po pierwsze: gościu miał

trzydzieści trzy lata. Po drugie: musiał zdezerterować najdalej kilka miesięcy temu, bo ostatnie pieczętki na to wskazują. I po trzecie: baza wojskowa w Helenie musiała być założona całkiem niedawno.

- Jak na to wpadłeś? - dopytywał się Max, parując kolejne klucze z zamkiem w drzwiach.

- Pierwsze dwie cyfry numeru identyfikacyjnego to dziewiętnaście, więc jest to kod prowincji Montany. Następne sześć to 002 685, co określa numer poszczególnego żołnierza danej placówki. Jeżeli ASO to potężna siła, a za taką ją uważam, to wydaje mi się, że tak niewielka ilość rekrutów świadczy o jednostce wojskowej.

- Skąd ty wiesz takie rzeczy? - zapytał z niedowierzaniem Max.

- Już zdołałeś zapomnieć, że robiłem w European Defensive Pact jako mechanik? Mamy podobny system rejestrowania ludzi. Niestety nie mogę pokazać ci mojego dokumentu, bo przechwyciło go ASO. Aczkolwiek podejrzewam, że nie mają prawdziwych danych, gdyż z racji misji pozakontynentalnych wojskowi wyrabiają nam fałszywki. W każdym razie dostałem od Amerykanów w prezencie numer identyfikacyjny EDA - 178. Skrót znaczy tyle co European Defensive Agent.

- Ja tam bym nie miał do takich zabaw głowy - oznajmił Max, w końcu odnajdując właściwy klucz,

i otworzył drzwi. - A teraz proszę o ostrożność, bo wchodzimy do środka. Jeśli teren będzie czysty, poszukamy Avy i Sama.

Mężczyźni niezwłocznie weszli do sporych rozmiarów pomieszczenia. W środku panował nieprzyjemny chłód. Było czuć wilgoć i zapach moczu. Zważywszy na brak okien, panował tu mrok, więc Max włączył swoją latarkę i wraz z Lukiem rozpoczęli obserwację. Ujrzeni długi korytarz. Z niepomalowanych ścian odpadał tynk i gromadził się na betonowej podłodze. Po lewej stronie było dwadzieścia cel, w większości których siedzieli więźniowie. Połowa z nich znajdowała się na parterze, a do reszty można było dotrzeć, idąc na piętro po stalowych schodach. Kraty oddzielające aresztantów od świata zewnętrznego były zardzewiałe, aczkolwiek nadal wyglądały na solidne.

- Nie sądzę, żeby ktoś jeszcze tego miejsca pilnował - oznajmił Max, powoli podchodząc do kolejnych cel, i oświetlał osadzonych.

- Zgaduję, że przetrzymują tu ponad trzydziestu ludzi... - stwierdził Luke. - Jeszcze w takich warunkach... musimy coś z nimi...

Niespodziewanie do jednej z krat podszedł starszy mężczyzna. Zgarbiona postać była odziana w łachmany. Na głowę miała zasunięty kaptur, a większość twarzy zakrywała chusta. Zza niej

wystawały jedynie błękitne oczy i czoło.

- Proszę, nie róbcie nam krzywdy - poprosił, łapiąc Luke'a za ramię. - Przecież robimy, co nam każecie.

- Słuchaj, my nie jesteśmy stąd - odrzekł Max. - Chcemy tylko odnaleźć dwójkę naszych przyjaciół. Słyszałeś może o Avie i Samie?

- To ci nowi, co ich niedawno przysłali... Ava...

- Tak? - dopytywał Max wyraźnie ożywiony odpowiedzią. - Gadaj, co wiesz.

- Ava... - powtórzył starzec. - Młoda, ubrana w czarny żakiet, dżinsy i glany... dość szorstka w obyciu, ale też rozmowna...

- Jest tutaj?

- I Sam... on ma tyle samo lat co kobieta, której szukacie. Czarny polar, bluza z kapturem i dżinsy... cela siedemnaście.

- Bardzo ci dziękuję - oznajmił Max i zaczął biec w stronę stalowych schodów. - Luke, lecimy na górę!

Zanim Roussel dołączył do towarzysza, ponownie został chwycony przez starszego mężczyznę.

- Ja cię chyba skądś znam... - powiedział starzec, odsłaniając kaptur i chustę, i ukazując swoje oblicze.

To był ten sam pustelnik, którego Luke poznał niemal pół roku temu. Jego długie, siwe włosy były jeszcze bardziej przerzedzone i przybyło mu zmarszczek. Nawet jego nos wyglądał inaczej.

Prawdopodobnie został złamany.

- Ożeż ty... - powiedział Roussel, nie kryjąc niedowierzania. - Max, ja tu zostanę! Będę na was czekał! Co cię spotkało, starcze?

- Długa historia... na pewno nie starczy czasu, abym ci ją wyjawiał.

- Gdzie poszedłeś tego ranka, jak się przebudziłem? Możesz mi to wyjaśnić?

- Moja historia cię nie zainteresuje. Po prostu dotarłem nie tam, gdzie trzeba, i mnie złapano. To jednak nieistotne, gdyż nie zostało mi zbyt wiele czasu. W każdym razie jestem szczęśliwy, że w końcu poznałem twoje imię. Przypomniałeś sobie coś jeszcze?

- O wiele więcej, niż bym nawet chciał... trzeba cię będzie stąd wyciągnąć...

- Daruj to sobie. Tylko was spowolnię. Poza tym tu mnie karmią i jeśli jestem posłuszny, idzie wytrzymać. Zanim jednak pójdziecie i po raz ostatni was zobaczę...

- Mów śmiało - oznajmił Luke, słysząc dźwięk otwieranych na piętrze krat.

- Czy w końcu odnalazłeś swoją drogę?

- Tak. Wiem, że mam rodzinę, do której pragnę wrócić. Wszystko już pamiętam...

- W was, młodych, cała nadzieja... tu nie zaznacie spokoju. Los jednak sprawi, że w przyszłości czekają

na ciebie dobre rzeczy.

- Tego jeszcze nie wiadomo, jak mnie życie przetestuje.

W tym momencie Max zszedł na parter i towarzyszyły mu dwie osoby. Ich wygląd odpowiadał rysopisowi, który nakreślił starzec. Podróżny miał pewność, że Arrington odnalazł Avę i Sama.

- Idziemy, idziemy! - krzyknął wybawca swoich ludzi. - Nie traćmy czasu. Jeszcze zdążymy porozmawiać.

- A co z innymi? - dopytywał Luke, patrząc w oczy starcowi.

- Tylko narobimy zamieszania - odparł Max. - Jeśli chcemy wyjść z tego cało, nie możemy teraz zwalniać. Spieprzajmy stąd!

- Idź, Luke - poprosił entuzjastycznie starzec. - Każdy ma własną drogę. Podążaj swoją i niech ci się wiedzie.

- Dziękuję - odarł krótko Roussel, wolnym krokiem zmierzając do wyjścia.

- Za co?

- Dzięki tobie mogłem ponownie poznać świat - odparł podróżny, zatrzymując się w progu drzwi wyjściowych, i przepuścił Maxa, Avę i Sama. - Nigdy ci tego nie zapomnę.

- Ech.... Idź już - westchnął starszy mężczyzna, ponownie zakrywając twarz chustą, po czym zniknął

w głębi celi. – I jeśli tylko możesz...

Luke w milczeniu słuchał, co mężczyzna chce powiedzieć. Niemal dał upust emocjom. Trudno mu było poskromić wzruszenie, jakie go w tym momencie ogarnęło.

– To zmień świat na lepsze – dokończył starzec, tym samym kończąc konwersację.

Po tych słowach Roussel spuścił głowę. Zanim jednak zapłakał, został ponaglony przez Maxa, który wskazał mu kierunek ucieczki. Luke mimowolnie zamknął za sobą budynek. Potem szybko dołączył do swojego towarzysza i dwóch uratowanych osób.

Grupa biegła na zachód, czasem chowając się przed patrolami. Po drodze mijali przeróżne budynki, których przeznaczenie zdołali odgadnąć po szyldach umieszczonych ponad ich drzwiami frontowymi. Przeważnie były to parterowe lub piętrowe budynki o profilu usługowo-handlowym. Poza warzywniakami, pasmanteriami i sklepami z bronią w osadzie bandytów znalazło się także miejsce na dom publiczny. Pracujące w tamtym miejscu panie wyglądały na takie, które miały pełne ręce roboty.

Ku ich zadowoleniu Luke, Max, Ava i Sam przemknęli przez to miejsce niepostrzeżenie, idąc w kierunku aktualnie nieuczęszczanych uliczek. Tym sposobem po kilku minutach doszli w okolice niedawnej eksplozji. Czwórka podróżnych szybko

schowała się za parterowym drewnianym domem i dyskretnie obserwowała ruch na ulicy.

- Co tam widać na dzielnicy, Max? - zapytał Sam.

- Dobrze to kurestwo pilnuje wyjścia?

- Stoi jeden strażnik przy wnieście i oczekuje wpierdolu. Poczekajmy chwilę, aż sobie pójdzie. Poza tym Alex wykonał kawał dobrej roboty. Wszędzie leżą flaki tego, co stał na wieżyczce.

- Na jakiej...? - próbował zapytać Sam. - Aaa... kumam. A co to za ciołek, którego ze sobą przytachałeś?

- Luke Roussel - odparł Arrington, przedstawiając podróżnego. - Macie kilka minut na pogawędkę. Poza tym bardzo mi pomógł w odnalezieniu was, więc okażcie mu trochę szacunku.

W odpowiedzi Ava podeszła i wyciągnęła w kierunku Luke'a rękę. Roussel zrozumiał jej intencję i uścisnął kobiecie dłoń.

- Nie ma sprawy - powiedział, patrząc jej w oczy.

- Będziemy musieli sobie bardzo wiele wyjaśnić - odparła Ava, gwałtownie puszczając rękę Luke'a.

Następnie Briggs wyciągnęła z kieszeni paczkę papierosów i wyjęła z niej skręta. Potem go odpaliła i solidnie zaciągnęła dymem.

- Skarbie, przestań pieprzyć - wtrącił Sam. - To przyjaciele, więc nie mamy po co z nimi gadać. Choć

raz postaw na spontan.

- To już obicie twojego ryja przez Matta ci nie wystarczy?

- Gościu mnie ledwo drasnął. Siłę to on ma wprost proporcjonalną do swojego przyrodzenia. Jakbym mógł, roztrzaskałbym go bez problemu.

- O ile nie miałyby on obstawy czterech uzbrojonych po zęby typów - odparła Ava, puszczając dymka. - Max, mów, co jest na rzeczy.

- Przyszły dwie dziewczyny. Zagadują ciecia na wylocie. Jeśli za chwilę go odciągną, mamy drogę wolną.

- Jak chcesz to zrobić? - zapytał Luke.

- To znaczy? O co ci chodzi?

- No wiesz... ewakuacja. Przecież nie pójdziemy razem pod ewentualny ostrzał.

- Racja, zrobimy to po kolei. Pójdę przodem, a jeśli zobaczycie, że padam, pójdźcie do rzeki.

- Odpuść sobie takie gadanie - odrzekł Sam. - Jeszcze nigdy nie dałeś dupy, więc nawet nie licz, że teraz będzie inaczej.

- Jak nawalę, to was też szlag trafi - oznajmił entuzjastycznie Max. - Nie bez powodu tu wpadam, aby z tego nic nie wyszło. Luke, ty będziesz szedł na końcu. To dla ciebie problem?

- Mogę iść ostatni. Najważniejsze, żebyśmy wrócili cało do reszty.

- Skoro już wszystko uzgodnione, to przygotujcie się na... czterogodzinny marsz - oświadczył Max, powoli wychodząc na ulicę. - Droga wolna. Ciecica i lasek już nie ma.

Po tych słowach mężczyzna wolnym krokiem zmierzał w kierunku wyłomu w murze. Bez przeszkód przeszedł na drugą stronę, znikając pośród ciemności. Następną osobą, która poszła jego śladem, była Ava, która nerwowo rozglądała się dookoła, wypatrując ewentualnych zagrożeń. Szczęśliwie dla niej także ona bezproblemowo wyszła poza mur. Jedynie Luke i Sam czekali na swoją kolej, aby opuścić osadę bandytów.

Po chwili Casson także uciekł z osady. Po tym jak zniknął Luke'owi z oczu, podróżny ponownie rozejrzał się dookoła. Nie widząc nikogo, wolnym krokiem szedł w stronę wyłomu. Kiedy stanął tuż obok, dyskretnie przez niego wyjrzał, próbując wypatrzeć Maxa lub jego znajomych. Stał tak przez dobre kilkanaście sekund. Nie mogąc ich dostrzec, postanowił zadziałać na własną rękę. Głęboko westchnął i stanął po drugiej stronie muru.

Niespodziewanie coś uderzyło go w głowę. W efekcie Roussel poczuł się słabo i z wolna osunął na ziemię. Ostatecznie upadł i resztkami sił obrócił się na plecy. Dostrzegł obcego mu mężczyznę, który trzymał w dłoniach łom. Ostatnią rzeczą, jaką

zobaczył, był cyniczny uśmiech napastnika. Potem dla podróżnego nastąpiła ciemność.

Po kilku godzinach nastąpiła północ. Dotychczas tylko Alex powrócił do obozu. Zmęczony przemarszem przez las, bez słowa zaczął iść w stronę chatki. Zanim jednak wszedł do środka, ujrzał Chrisa, Maggie, Steve'a, Sarah i Kate, którzy siedzieli na zewnątrz przy niedużym ognisku. Podróżni nie chcieli zasypywać Walscha pytaniami. Rozumieli to, że jest on zmęczony, więc po prostu dali mu spokój. Kiedy Alex zamknął za sobą drzwi, reszta ponownie skupiła wzrok na płomieniach i oczekiwała powrotu swoich przyjaciół.

- Niedługo powinni wrócić - oświadczyła Kate, wyciągając ręce w stronę ogniska.

- Ech... mam nadzieję, że uwolnili waszych... - westchnął Chris. - Inaczej tylko straciliśmy czas...

- Nie chcesz już tutaj odpoczywać? - zapytała Maggie. - To miejsce jest najlepszym z tych, w których ostatnio przesiedzieliśmy. Nie ma powodu, aby narzekać.

- Kiedy wspomniano o Frank Cove... po prostu zapragnąłem, aby tam jak najszybciej pojechać... Wiem, że teraz walczymy o dobrych ludzi, i czuję, że warto dać im szansę na ratunek... Po prostu chcę, aby Luke i Max podołali zadaniu...

- Arrington jeszcze nie raz cię zaskoczy - oznajmiła Kate. - Ten człowiek wyciągnął nas z Mackenzie i na pewno uratuje Awę i Sama. Zresztą to nie jest jedyne, co dla nas zrobił.

- Może opowiesz o nim coś więcej, a ja się zajmę przyrządzaniem jedzenia? - zapytała Sarah, wstając i idąc w stronę SUV-a.

- Max zawsze walczył z tymi, co maltretują słabszych - oświadczyła Kate. - Niejeden raz oberwał tylko za to, że bronił nas przed strażą miasta. Zresztą... wszystkim pomagał. Prędzej by zginął, niż pozwoliłby sobie na znieczulicę. On wam nigdy tego nie powie. Odkąd pamiętam, zawsze był swego rodzaju... idealistą. Dla mnie to po prostu chodzący wzór do naśladowania. Gdyby każdy miał takie zasady...

- Niestety świat nie jest stworzony dla takich jak on - wtrącił Steve. - Życiem rządzi logika, a ona nakazuje przede wszystkim, aby przeżyć. No i jest coś takiego jak instynkt przetrwania...

- To, co zrobiłeś w Greenwoods, jak nas ASO zaatakowało, to też był, jak to zwiesz, „instynkt przetrwania”? - zapytała Sarah, wracając z dziesięcioma nabitymi na patyki porcjami mięsa.

- Ratowałem cię. Robiłem to z miłości.

- A może Max z tego całego uczucia do świata próbuje go naprawić? - dopytywała Sarah, mocując

prowizoryczne szaszłyki przy ognisku, i usiadła przy bracie. – Każdy jest na swój sposób unikalny.

– Dokładnie – przytaknęła Kate. – Nie ma co się kłócić nad tym, kto jaki jest. Grunt to próbować zaakceptować innych.

– Zresztą gdyby nie Max, to prawdopodobnie siedzielibyśmy teraz w zamknięciu i powoli żegnali z życiem – stwierdził Chris. – A już na pewno z wolnością.

– Więc jednak potraficie być wdzięczni – powiedziała z lekkim uśmiechem Kate. – Zobaczycie... wszystko pójdzie zgodnie z planem.

Niespodziewanie Chris wstał i odszedł na kilka metrów od ogniska. Jego uwagę zwróciły dochodzące ze strony lasu szmery. Mężczyzna chwycił za rękojeść obrzyna, z którym się nigdy nie rozstawał, i nerwowo zaczął nasłuchiwać niepokojących go dźwięków.

– To muszą być oni! – oznajmiła Nix, również wstając na nogi, i podeszła do Chrisa. – Jeśli możesz, to wstrzymaj ogień. Max, Luke! To wy?!

Zamiast tych mężczyzn zza drzewa wyłonili się Ava i Sam. Kate niezwłocznie do nich pobiegła. Widok jej niedawno zaginionych przyjaciół wyzwolił w niej radość. Kobieta mocno ich przytuliła i dopiero po kilkunastu sekundach puściła.

– A gdzie Max? – zapytała po chwili. – Gdzie Luke?

- Ech... - westchnęła Ava. - Jak by ci to powiedzieć...

- Coś złego ich spotkało? - nerwowo zapytał Chris, podchodząc bliżej nowo przybyłych podróżnych.

Tuż za nim zaczęła iść reszta dotychczas siedzących przy ognisku osób.

- Max doprowadził nas tutaj - oświadczyła Ava. - Jeszcze chwilę temu siedł za nami...

- Zaraz wam o wszystkim powiemy - oznajmił beznamiętnie Sam, próbując podejść bliżej ogniska.

Zanim jednak to zrobił, Chris chwycił go za kurtkę i rzucił na ziemię. Następnie przystawił mu do twarzy obrzyna.

- Lepiej gadaj, co wiesz, bo roztrzaskam twój łeb na milion kawałków - zagroził, odbezpieczając broń.

- Chris, co ty...? - powiedziała Maggie zdumiona zachowaniem mężczyzny.

- Gadaj, co wiesz! - krzyknął Reese, ignorując kobietę. - Co z Lukiem?!

- Spokojnie, kolego, nie chciałem cię drażnić - odparł Sam. - Zaraz ci wszystko wyjaśnię...

Ava, widząc, że sytuacja jest trudna, próbowała podbiec i odkopać Chrisowi broń. Zanim jednak zdołała to zrobić, została powalona na ziemię przez Steve'a.

- Co wy najlepszego wyprawiacie?! - krzyknęła

Sarah.

- Gadaj! - rozkazał Chris, lekko naciskając spust.

- Luke wpadł i został złapany. Max nas tutaj doprowadził i powiedział, że wyciągnie waszego człowieka z osady bandytów. Zniknął dosłownie przed chwilą i nic więcej nie powiedział. To wszystko, co wiem!

- Kurrrrr... - niemal przeklął Reese, powstrzymując chęć oddania strzału.

Pomimo narastającej w nim frustracji pomógł stanąć Samowi na nogi.

- Steve? - spytała retorycznie Maggie, patrząc na kompana.

- Racja - odparł Williams, pomagając wstać Avie.

- Przepraszam za siebie, ale chciałaś zrobić coś głupiego.

- Odpierdolcie się wszyscy ode mnie - odparła Ava, uderzając Steve'a z pięści w twarz. Następnie poszła wprost do chatki, w której aktualnie spał Alex.

- Braciszku, nic ci nie jest? - zapytała Sarah, podbiegając do Steve'a.

- Fajną macie koleżankę - odparł mężczyzna, ręką pocierając szczękę i patrząc na Kate i Sama. - To nasz przyjaciel leciał wam na ratunek, a wy robicie coś takiego...

- Nie trzeba było wyskakiwać z bronią - odrzekł Sam. - Ava jest dość szorstka w obyciu. Pamiętajcie

o tym.

- I po co te nerwy? - zapytała Kate. - Na pewno wszystko będzie dobrze...

- Po prostu twój facet nie dopilnował wszystkiego i postanowił naprawić swój błąd - stwierdziła Maggie, kręcąc przecząco głową. - Lepiej, żeby Luke'owi nie spadł włos z głowy.

- Możecie wszyscy w końcu zamknąć gęby? - poprosiła Sarah. - Tak nie będziemy rozmawiać. Wszyscy jesteśmy zdenerwowani, ale jeśli Max gdzieś tam jest, na pewno będzie wiedział, co zrobić. Nie ma powodu, żeby sobie teraz skakać do gardeł. Kate, jak możesz, to zawołaj swoich. Usiądziemy przy ognisku, zjemy i ustalimy, co dalej robić.

Po tych słowach kobieta podeszła z powrotem do ognia i zaczęła pilnować, aby mięso się dobrze upiekło. Tymczasem Kate poszła do chatki, aby namówić Avę i Alexa na dołączenie do kolacji. Natomiast reszta bez słowa usiadła obok Maggie, zajmując miejsca przy ciepłodajnym ogniu.

Po chwili wszystko było przygotowane do rozpoczęcia posiłku. Do podróźnych dołączyły tylko Kate i Ava, gdyż Alex mocno spał. Każdy, kto siedział przy ognisku, dostał wodę i upieczone mięso karibu. Mimo to nikt specjalnie za szybko nie miał ochoty jeść, gdyż los liderów obydwu grup nie był do końca znany.

- Więc... - próbowała przerwać niezręczną ciszę Kate. - Wyjaśnicie nam w końcu, co się dokładnie stało?

- Trochę mamy do obgadania - zaczął odpowiadać San. - Chcecie wiedzieć wszystko od początku czy ostatnie kilka godzin?

- Mówcie o wszystkim - poprosiła Nix.

- Ech... no dobra... - westchnął Sam. - Jakoś cztery dni temu poszliśmy na ten zwiad, o który prosiliście. Przeczesywaliśmy las i napadła na nas grupa prymitywów. Przyłożyli mi nóż do gardła, a Awę ogłuszyli. Potem wpakowali mnie i ją do samochodu, założyli worki na głowy i wywieźli w cholerę. W pewnym momencie także oberwałem czymś twardym i na trochę straciłem przytomność.

- Najważniejsze, że ostatecznie daliście radę i nic wam nie jest - stwierdziła lekko entuzjastycznie Kate. - Mów dalej.

- Potem wrzucono nas do zimnej celi. Byliśmy skuci kajdanami i przyszedł do nas niejaki Matt. Pytał o to, czy działaliśmy we dwójkę, czemu łaziliśmy po jego terenie i czy zechcemy współpracować. Splunąłem mu w twarz i powiedziałem, żeby się pie... gonił. Potem ponownie oberwałem. W sumie to nawet kilka razy.

- Po kilku godzinach zaciągnęli nas do roboty przy rzece - dodała Ava. - Kazali nam brodzić

w lodowatej wodzie, ściągać sieci i wybierać ryby. Po całym dniu takiej pracy nie czujesz nóg...

- Tak mi przykro... - skomentowała te słowa Sarah i wyraźnie posmutniała.

- Nie powinno, nie potrzebuję twojego współczucia.

- Daj spokój, dziewczyna jest w porządku - oznajmiła Kate, broniąc Williamsowej. - Tak samo jak reszta jej grupy. Poza tym jeszcze ich dobrze nie poznaliście.

- I nie musimy - odrzekła Ava, spluwając w ognisko. - Nie wiem, skąd Max ich wytrzasnął, ale jakoś mi na nich nie zależy.

- Tak samo jak mi na tobie - odgryzł Briggsowej Chris. - Jeśli Max nie wróci z Lukiem, nie ręczę za siebie.

- Przecież ich nie zabijesz... - przypuszczała Maggie.

- Luke jest dla mnie kimś, komu zawdzięczam życie. Dużo razem przeszliśmy i nie wyobrażam sobie, żeby nagle przepadł. Przecież jeszcze wczoraj tu z nami siedział. Czuję, że wciąż żyje, i chociaż nie chciałbym, liczę na Arringtona. Gdybym tylko wiedział, gdzie jest ta osada...

- Narobiłbyś wtedy więcej złego niż dobrego - stwierdziła Kate. - Skoro on mnie pogonił, to tym bardziej olałby was. To może być trudne do

strawienia, ale zaufajcie nam. Pozwólcie, że zapomnimy o tych trupach przy moście i poznamy się na nowo.

- Jak Luke wróci cały i zdrowy, to pogadamy - oznajmił Chris. - Tymczasem kończmy już żreć. Potem proszę, abyście zostawili nas samych. Chciałbym pogadać z Maggie, Stevem i Sarah.

Wszyscy, nie kryjąc zdziwienia, spojrzeli na Reese'a, jednak nikt nic nie powiedział. Po kilku sekundach każdy wznowił swój posiłek. Najbliższe minuty upłynęły podróżnym dość niezręcznie.

Kiedy wszyscy skończyli jeść, Kate, Ava i Sam odeszli od ogniska i udali do chatki, w której spał Alex. Nie tracąc czasu, weszli do łóżek i po chwili zasnęli. Niespecjalnie się przejmowali rozmową Chrisa z resztą jego przyjaciół.

- Co to miało być? - zapytała Sarah. - To nie było zbyt uprzejme z twojej strony.

- I nie miało być - odrzekł Reese. - Wiem, że oni nas uratowali i nam pomagają, ale widzicie, do czego doszło. Nie ma z nami Luke'a. Nie zapominajcie, że to dzięki niemu żyjemy...

- Można także powiedzieć, że on jest także tym, przez którego zginął Ray - nieumyślnie wtrąciła Sarah.

- Co chcesz przez to powiedzieć?! - krzyknęła na nią Maggie. - To, że w Greenwoods nie zareagował,

było jedynie w trosce o nas. Nie miał linii czystego strzału. I tak zrobił, co mógł, aby nas wyciągnąć.

- Ech... tak naprawdę to, co nas spotkało, to tylko nasza wina... - westchnął Steve. - Nie potraficie tego zrozumieć?

- Tu nie chodzi o wytykanie nam błędów... - próbowała powiedzieć Sarah.

- Mów, o co ci chodzi, Steve - wtrącił od siebie Chris.

- Od tygodnia Luke zachowywał się jakoś inaczej. Dokładnie zwracał uwagę na otoczenie. Kiedy popełnił błąd z tą chatką, gdzie nas napadnięto...

- Poczul ogromne wyrzuty sumienia... - dokończyła Maggie, spuszczać głowę.

- Nie chciał ryzykować, że kogoś straci - kontynuował Williams. - Zresztą co wy byście zrobili na jego miejscu. Od przybycia do Ameryki nie mógł nic zrobić, żeby ocalić swojego pierwszego towarzysza - Jacka. Może i uratował ciebie, Chris, ale potem zginęła Samantha... Potem o mało co nie straciliście nas w Falltown.

- Nie ma co wypominać... - próbowała przerwać bratu Sarah.

- Dość! Potem te sytuacje w Hopetown i Greenwood... Luke po prostu nie chce, abyśmy wciąż ryzykowali, idąc jego drogą. W końcu sam nam o tym całkiem niedawno powiedział. Mamy prawo

odejść, a on i tak zamierza wrócić do Nicole.

- Więc co masz na myśli? - zapytał Chris.

- Sądzę, że powinniśmy być cierpliwi. Tyle, ile potrzeba. Jeśli Max da ciała, możesz z nim zrobić, co zechcesz. Z kolei ja i Sarah jedziemy do Frank Cove i poczekamy na was tak długo, jak to konieczne.

- Braciszku...?

- Uciekniemy z Ameryki. To bardziej niż pewne. Z Lukiem czy bez niego sami musimy walczyć o normalne życie.

- On wróci - stanowczo oznajmiła Maggie. - Jestem tego absolutnie pewna.

- Ech... wszystko w rękach Maxa... - westchnął Steve.

- Niekoniecznie - zaprzeczył Reese. - Obiecałem, że będę z Rousselem do końca, więc jeśli będę musiał, to pójdę tam i wymorduję tylu, ilu zdołam.

- Zginiesz - odparła mężczyźnie Sarah. - Czy twoja śmierć cokolwiek zmieni?

- Pewno nie, ale i tak nie mam po co żyć. Straciłem narzeczoną, dawnych przyjaciół, ale nie zamierzam skreślać Luke'a. Mam jeszcze was, ale to jemu zawdzięczam życie.

- Wiesz co, Chris... - powiedziała lekko entuzjastycznie Maggie. - Teraz rozumiem, dlaczego zachowywałeś się tak, a nie inaczej. Poza tym też czuję, że jestem odpowiedzialna za Rousse'a. Jeśli

mamy przetrwać jako grupa, powinniśmy sobie zaufać. Zawsze możemy dać za wygraną, ale póki możemy, to walczmy o swoje.

- Pytanie, co uważają Williamsowie? - zapytał Chris, patrząc na Steve'a i Sarah. - Zostawicie przyjaciela w potrzebie i poczekać, aż ewentualnie wróci?

- Lepiej zmieńmy temat - odparła Maggie. - Teraz każdy przechodzi przez piekło...

- I czyja to wina? - dopytywał Reese.

- ASO - odparł Steve, nie kryjąc smutku. - Chyba masz rację... nie powinniśmy was zostawiać. Zwróć jednak uwagę na mnie i moją siostrę. Bardzo mi zależy na jej bezpieczeństwie.

- Od teraz wszyscy jesteśmy jedną wielką rodziną - zadeklarowała Paylor. - Taką, którą złączył Luke...

- I zrobimy absolutnie wszystko, żeby trwać - dodał Chris.

Przez kilka sekund Williamsowie patrzyli w ognisko, które z wolna zaczynało dogasać. Ponadto coraz dotkliwiej zaczęli odczuwać mróz.

- Ech... chyba najwyższy czas spać... - stwierdził Steve, obejmując siostrę. - Ale co mi tam... razem na krawędź świata.

- W walce o lepsze jutro - dodała od siebie Sarah.

Nastąpiła chwila ciszy. Podróżni jedynie patrzyli w płomień i pograżyli się we własnych myślach. Nie

byli pewni swojej przyszłości, ale wiedzieli, że będą razem do samego końca.

- Nie będziemy dobrze spać - powiedziała po chwili Maggie, przerywając ciszę.

- Ech... masz rację - przytaknął kobiecie Chris. - Ale jutro zrobimy, co należy.

- Chyba że Max go uratuje - wtrącił Steve.

- Oby ten facet był faktycznie taki, jak go opisują... Nie chciałbym mu zaufać, ale nic innego nam teraz nie pozostaje...

Po tych słowach podróżni dogasili dopalające się kawałki drewna i wolnym krokiem poszli do Kate, Avy i Sama. Kiedy weszli do chatki, zamknęli za sobą drzwi. Następnie zdjęli buty i położyli się do łóżek. Pomimo że pod względem fizycznym było im dobrze, przez nieobecność Luke'a z trudem zapadali w sen. Mimo to po kilku chwilach opadli z sił, jednak usnęli zatroskani o los swojego przyjaciela.

Kiedy Luke odzyskał przytomność, poczuł zimno i wilgoć. Otworzył oczy i pomimo ciemności zaczął zwracać uwagę na miejsce, do którego go przeniesiono. W momencie gdy dostatecznie oprzytomniał, zauważył, że jest zakuty w kajdany. Unieruchamiające jego ręce łańcuchy umocowano w suficie, co w efekcie utrzymywało Roussela w pozycji niemal stojącej. Mężczyzna także

odnotował, że jest ubrany jedynie w spodnie i trampki. Niemal wszystko, co posiadał, zostało mu odebrane. Zawładnął nim smutek, bezradność i dezorientacja. Mimo nagromadzonych w nim negatywnych emocji próbował się uwolnić. Niestety kajdany były nie do zerwania i w efekcie szarpania nimi Luke zaczął kaleczyć swoje nadgarstki. Po kilku próbach w końcu odpuścił i z trudem stanął na nogi.

- Nicole... - zdołał jedynie wyszeptać i próbował ustać w bezruchu, żeby jeszcze bardziej nie pogarszać swojej i tak beznadziejnej sytuacji.

Po chwili Luke usłyszał dźwięk otwieranych drzwi. Z racji tego, że był aktualnie skuty kajdanami i miał spuszczone głowę, jedyne, co zdołał przez moment dostrzec, to niewielka wiązka światła. Ten, kto wszedł do pomieszczenia, szybko zamknął za sobą drzwi i ponownie nastąpiła ciemność. Ku zdziwieniu podróżnego na suficie zapaliła się niewielka żarówka i pomieszczenie zostało rozświetlone ciemnopomarańczowym światłem. Najwidoczniej ktoś przybył tutaj specjalnie dla niego. Odgłos kroków nieznanego coraz bardziej Roussela niepokoił. Przeczynał, że to nie znaczy dla niego nic dobrego.

W końcu naprzeciwko niego, po drugiej stronie krat, stanął nieznanemu mężczyzna. Był w średnim wieku, miał krótkie brązowe włosy i kilkudniowy

zarost na twarzy. Jego chłodne spojrzenie i lekko cyniczny uśmiech były dowodem na to, że to człowiek o twardym charakterze i olbrzymiej pewności siebie. Nosił brązową, skórzaną kurtkę, koszulę koloru stalowego, czarne spodnie i trapery. Dodatkowo miał umocowaną na pasku od spodni kaburę, z której wystawała rękojeść rewolweru.

- W końcu mamy dla siebie chwilę na pogawędkę - zaczął rozmowę mężczyzna. - Chyba nie przychodzę nie w porę?

- Wal się, chuju - odparł Luke, spoglądając w kąt celi.

- Mów mi Matt. - Nieznajomy w końcu zdradził swoje imię. - Jestem przywódcą tego miasta. A ty, o ile dobrze mnie moi informatorzy informują, jesteś Luke?

- Więc to ty dowodzisz tą bandą idiotów? - ironicznie zapytał Roussel. - Co jak co, ale masz całkiem proste zadanie.

- Chciałbym przyznać ci rację... uwierzysz lub nie, ale ciężko jest upilnować ponad trzysta osób. Również trudno je wyżywić i zapewnić im godne życie. W każdym razie robię, co mogę. Masz ochotę pogadać?

- Jakbyś nie zauważył, jestem tu trochę uwiązany i mam pełne ręce roboty.

- Te kilka chwil cię nie zbawi... - stwierdził Matt,

odwrócił się od Luke'a i oparł plecami o kraty. – A teraz przejdźmy do rzeczy i spróbujmy jakoś zabić nudę. Proponuję ci pewną zabawę. Ja zacznę ci zadawać pytania, a ty możesz na nie odpowiadać. Jeśli pójdzie gładko, pozwolę ci zapytać mnie, o co chcesz. Pasuje to tobie? Na pewno... no więc zaczynam.

– Może najpierw dałbyś mi coś do picia? Nie wiem, ile tu już wiszę, ale mnie trochę suszy.

– Jeszcze nie zaczęliśmy, a już psujesz dobrą zabawę... niech ci będzie. Potem jednak liczę na ciekawe przesłuchanie.

Przywódca osady wyciągnął z kieszeni klucz i butelkę wody. Następnie otworzył celę i podszedł do Luke'a.

– Jesteś w takim położeniu, że nie warto odstawiać żadnych numerów – oznajmił, odkręcając plastikowy pojemnik, by podstawić go pod usta podróżnego.

Po tym jak Luke do połowy opróżnił butelkę, Matt ją schował i opuścił celę. Zamknął za sobą kraty i ponownie oparł się o nie plecami.

– Najpierw mi powiedz, dlaczego miałbym cię nie zastrzelić tu i teraz? – zapytał, chwytając za uchwyt rewolweru.

– Ponieważ gdybyś chciał mnie zabić, zrobiłbyś to od razu... – odparł Luke, kierując wzrok w stronę

przywódcy bandytów.

- Heh... bardzo dobra odpowiedź - oznajmił entuzjastycznie Matt. - Twoja kolej.

- Ile czasu już minęło, odkąd mnie tu trzymasz?

- Jakieś kilka godzin. Teraz jest pierwszy listopada, dziesiąta rano. Wróćmy jednak do ciebie. Po jaką cholere zrobiliście nam wyłom w murze, zabiliście dwie osoby i tyle samo uwolniliście?

- To są trzy pytania. Jeśli na nie odpowiem, dostanę taką samą ilość?

- Zobaczymy. Teraz do rzeczy.

- Wyłom w murze miał być odwróceniem waszej uwagi, abyśmy bezproblemowo weszli do twojej osady. Pierwszy zginął od eksplozji, a drugiemu skęciliśmy kark. To wszystko było tylko po to, aby uwolnić Avę i Sama. To może nie jest nic interesującego, ale tak wygląda prawda.

- Nawet dość oczywista... zmarnowałem szansę. W każdym razie zasady gry są jasne i ich nie złamię. Masz swoje trzy pytania. Potem przejdziemy do konkretów.

Podróżny na chwilę zamilkł. Ponownie skierował spojrzenie w kąt celi i rozmyślał nad kwestiami, o które chciał zapytać. Panujący w pomieszczeniu chłód był dla niego dość uciążliwy, przez co Luke potrzebował trochę więcej czasu, żeby zebrać myśli.

- Dlaczego wszystkie cele są puste? - zapytał po

chwili. – W końcu jesteście tu tylko my dwaj.

– To oczywiste. Więźniowie poszli do pracy. Muszą nałapać ryb, a magazyn ot tak się nie wypełni. Może i jest nas całkiem sporo, ale nie samymi atakami na przejezdnych to miejsce żyje. Drugie pytanie.

– Skąd konkretnie wiedziałeś, jak mam na imię? Rozumiem, że wywiad, ale to jest dość... zaskakujące.

– Wymęczyliśmy wszystkich więźniów – odpowiedział krótko Matt. – W końcu jeden z nich cię wsypał i dał reszcie trochę więcej snu. Nawet nie musieliśmy od nich wyciągać czegokolwiek siłą.

– Więc jednak pustelnik...

– Może to ta osoba... możliwe, że ktoś inny... tego nie trzeba wiedzieć. Ostatnie pytanie.

– Co teraz ze mną będzie? – zapytał Luke, z niepokojem spoglądając na rozmówcę.

– To zależy od tego, jaka będzie twoja odpowiedź na ostatnią kwestię, o którą zapytam. Powiedz, gdzie pobiegli twoi znajomi? Jeśli ze mną zaczniesz współpracować, to coś wymyślimy, aby poprawić twoją sytuację.

– Nigdy więcej nie wkopię swoich przyjaciół. Tego ode mnie nie wyciągniesz.

– To trochę utrudnia sprawę, ale skoro tak stawiasz sprawę. Nie będzie jednak żadnych tortur. Brzydzi mnie bicie słabszych. Od tego mam ludzi.

- Więc co teraz zrobicie?

- Wiesz co... całkiem przyzwoity z ciebie koleś. Powiedzmy, że dam ci szansę na odpokutowanie tego całego burdelu, który ty i twoi znajomi wywołaliście. Co powiesz na walkę o swoje życie?

- Brzmi jak fajna zabawa - odparł cynicznie Luke.

- Bardzo blisko stąd jest pewien specjalny budynek na szczególne okazje. Mamy tam arenę walk, na której organizujemy sobie rozrywkę. Z reguły żeby zabić nudę, a czasem także i kogoś. Zasady są proste. Jak przegrasz, to nie wyjdiesz z tej walki żywy, a jak wygrasz...

- To co?

- To czeka cię dożywotnia praca dla nas. Pasuje? To fajnie. Wieczorem ktoś po ciebie przyjdzie. Do tego czasu rób swoje.

- Mógłbyś mnie chociaż rozkuć i pozwolić mi odpocząć - odrzekł Luke, chwytając za kajdany.

- Eeeee... nie, to tak nie działa. - Pokiwał palcem Matt, odchodząc w stronę wyjścia. - Dopiero po walce. Będzie na co popatrzeć. Tymczasem do zobaczenia, Luke. Fajnie się gadało!

- Tiaaaa... tylko nie zdechnij do tego czasu.

- Spróbuję - wesoło odparł Matt, gasząc światło, i opuścił pomieszczenie.

Tym samym ponownie nastąpiła ciemność. Luke pozostał sam i jedyne, co mu pozostało, to czekać na

rozwój wypadków.

Nastał wieczór. Luke wyszedł z takiego założenia, gdyż zaczął odczuwać stopniowo malejącą temperaturę. W pewnym momencie ktoś wszedł do więzienia, w którym przetrzymywany był podróżny. Nieznajomy okazał się uzbrojonym w pistolet młodym mężczyzną. Ten człowiek zapalił światło, podszedł do celi i bez słowa ją otworzył. Następnie wyjął z kieszeni kolejny klucz, obszedł Roussela dookoła i uwolnił go z kajdan.

Luke był bardzo zmęczony i w efekcie upadł na zimną posadzkę. W porę jednak zdołał osłonić twarz. Paradoksalnie, leżąc na podłodze, poczuł ulgę.

- Idziemy - rozkazał obcy człowiek. - Najwyższy czas.

- Byłbyś tak miły i pomógł mi wstać? - zapytał podróżny, z trudem podnosząc głowę. - Wtedy nam pójdzie o wiele szybciej.

- Szef mnie ostrzegął, że jesteś cwany jak amerykański handlarz sprzedający swetry. Poradzisz sobie sam. Ruchy.

- Cwany jak kto? - dopytywał Luke, z trudem podnosząc się na nogi i powstrzymując śmiech.

- Nieważne - odrzekł bandyta, wypychając podróżnego na korytarz. - Nie mam zamiaru z tobą gadać.

- Wielka szkoda... - oznajmił Luke, lekko opierając się barkiem o ścianę, i obserwował, jak eskortujący go człowiek zamyka drzwi do celi. - Skoro to mogą być moje ostatnie chwile, chciałbym je chociaż wykorzystać na rozmowę.

- Powoli i do przodu - rozkazał bandyta, wskazując pistoletem na wyjście z budynku.

- Ech... służbista - westchnął Luke i powolnie, aczkolwiek posłusznie zaczął wykonywać polecenie mężczyzny.

Kiedy Roussel wyszedł z więzienia, rozejrzał się dookoła. Obecnie stał na ulicy, przy której zaparkowanych było mnóstwo motocykli i samochodów. Większość z pojazdów wyglądała na zaniedbane, ale zdadne do użycia. Wszystkie stały zaparkowane w sąsiedztwie najwyższego budynku w okolicy.

To był ten sam obiekt, który Luke i Max zauważyli na rozpoznaniu. Wysoki na trzy piętra, o stalowych ścianach, wyglądał dość reprezentacyjnie. Z tego miejsca nie można było zobaczyć szklanego dachu, aczkolwiek podróżny mógł tym razem ujrzeć wschodnie skrzydło budynku. Bliźniaczo przypominało mu to zachodnie. Wysokie na cztery metry stalowe drzwi sprawiały wrażenie solidnych i masywnych.

- Jakbyś nie wiedział, właśnie tam idziesz -

oznajmił bandyta, zamykając więzienie, i zaczął poganiać Luke'a lufą pistoletu.

- Kiedy dzisiejsze niebo jest takie wspaniałe - odrzekł Roussel i spoglądając w górę, zaczął podziwiać to, co zobaczył.

Pomimo częściowego zachmurzenia z wolna zachodzące słońce było nadal widoczne. Przez jego wpływ obłoki przybrały ciemnopomarańczową barwę. Dodatkowo na niebie zaczęły migotać pierwsze gwiazdy. W tym momencie podróżny zapragnął, aby stanąć i nieco dłużej nacieszyć się tym widokiem. Pomimo chęci musiał z tego zrezygnować, gdyż został szturchnięty przez bandytę. Tym samym upadł na zalegający na ulicy śnieg.

Plusem tej sytuacji było to, że jego upadek został zamortyzowany. Minusem fakt, że Luke był tylko ubrany w spodnie i trapery, przez co odczuwał przenikliwy chłód.

- Wstawaj i bez żadnych numerów - oznajmił bandyta, szturchając nogą podróżnego, i zmusił go do marszu w stronę dużego obiektu.

- To ta wasza arena walk? - zapytał Luke, patrząc w stronę oddalonego o dwieście metrów obiektu.

- Matt ci o niej nie powiedział? Mniejsza. Pewno cię bardziej zaciekawia, z kim będziesz walczył.

- Chociaż mam jakiegokolwiek szanse?

- Dopadł cię zaszczyt walki z samym wielkim

Nathanem. Nikt go jeszcze nie pobił, odkąd zaczął on walczyć. Gościu jest w sile wieku, dobrze zbudowany i walczy doskonale. Jestem jego największym fanem.

- Masz coś jeszcze do dodania? - spytał Luke, spuszczać wzrok na ziemię.

- Ma charakterystycznego krótkiego irokeza, ale jak przywali z dyśki, to od razu łamie nos. Może i ma szorstki zarost, ale gra na ostro. Obstawiam, że poznasz jego ulubioną broń.

- Mianowicie?

- „Rozkurwiatora” - odparł entuzjastycznie bandyta, łapiąc podróżnego i zatrzymując go przed drzwiami wejściowymi do areny. - Chciałeś pogadać, to masz...

- A może tak dla odmiany dasz mi jakieś wskazówki? - spytał Luke, uchylając drzwi, i spojrzał na eskortującego go mężczyznę.

- Nathan jest dość... nieźrównoważony. Czasami bije na oślep. Raczej to nie podpowiedź, ale zapowiedź. Odliczaj minuty. Połamania nóg!

- Dzięki - odparł cynicznie Luke, przekraczając próg wschodniej bramy, i wszedł do środka budynku, w którym miał niedługo walczyć.

To, co zobaczył, bardzo go zszokowało. Roussel znalazł się w ogromnym pomieszczeniu. Po jego obydwu stronach zauważył cztery osłonięte kratami kondygnacje. W każdym miejscu stało mnóstwo

rezydentów osady. Wśród nich był Matt. Przywódca osady siedział w łoży, na starej sofie. Usługiwały mu dwie półnagie kobiety. Jedna trzymała duży dzban, a druga srebrną tacę.

Kiedy Luke'a przestał szokować widok rozentuzjasmowanego tłumu, jego uwagę przykuło najbliższe mu otoczenie. Gdzieś tam stały wielkie, masywne drewniane skrzynie, które przypuszczalnie miały wzbogacić widowisko. Póki co to była jedyna rzecz, którą Luke mógł wykorzystać w walce.

- Moi drodzy, moi drodzy! - krzyknął Matt i klasnął kilka razy. - Jestem bardzo szczęśliwy, że dzisiejsze przedstawienie cieszy się tak wielkim zainteresowaniem. Mam jednak nadzieję, że na ulicach ktoś wciąż pilnuje porządku. Tymczasem... przyszliśmy tu dzisiaj, aby zdecydować o losie naszego nowego gościa Luke'a! Widzicie go właśnie teraz.

Tłum zaczął buczeć. Niektórzy bandyci byli na tyle ośmieleni, że nawet pluli w kierunku podróżnego. Niektórzy nawet trafili.

- Spokój! - krzyknął Matt. - Najpierw musicie wiedzieć, co zaszło. Ten człowiek wtargnął tam, gdzie nie powinien. Przez jego działania zginęło dwoje ludzi, ale... postanowiłem sprawdzić, czy Luke będzie w stanie walczyć o swoje życie. Daję mu niepowtarzalną okazję, żeby odpokutował swoje

czyny. Dostaje drugą szansę!

- Zabić, zabić, zamordować! - krzyczał tłum, który sprawiał wrażenie, jakby zaraz miał wtargnąć na arenę i dokonać linczu na podróżnym.

- Cisza! - powiedział donośnie Matt, wstając i podchodząc do niewielkiej dziury w kratkach. - Jemu należy się jakakolwiek szansa na ocalenie! Poproszę o tace!

Kobieta trzymająca naczynie podeszła do przywódcy osady. Ten uniósł przedmiot, który leżał na zastawie. To była maczeta Luke'a.

- Nie mógłbym sobie pozwolić na nierówną walkę z kimś, kto właśnie wkracza na arenę! - krzyknął Matt, ostrzem broni wskazując zachodnie skrzydło budynku.

W tym momencie drzwi naprzeciwko Roussela zostały otwarte. Przez nie przeszedł człowiek odpowiadający rysopisowi, który zdradził bandyta eskortujący podróżnego. To było pewne, że na arenę wkroczył Nathan.

- Powitajcie gorąco naszego mistrza! - oznajmił Matt, wskazując na nowo przybyłego mężczyznę, a następnie rzucił w kierunku Luke'a maczetę.

Widownia zareagowała aplauzem. Tłum zaczął krzyzczeć, gwizdać i bić brawo. Ten, który miał być przeciwnikiem Roussela, został gorąco powitany. W odpowiedzi Nathan zaczął wymachiwać bronią,

którą był metalowy kij baseballowy.

Cynicznie uśmiechający się mężczyzna wyglądał na pewnego siebie. Podróżny tylko przez kilka sekund nic nie zrobił. Następnie podniósł z ziemi broń białą i czekał na dalszy rozwój wypadków.

- Stoi przed wami Nathan! - uroczyście krzyknął Matt. - Jest on idealnym przykładem kogoś, kim chciałbym, abyście byli także wy! To facet wysportowany, który walczy w słusznej sprawie! Konsekwentnie od wielu miesięcy pokazuje, że można non stop wygrywać! To ktoś, kogo jeszcze w ponad ośmioletniej historii naszego miasta jeszcze nie było... kogoś tak wielkiego jak Nathan!

Tłum ponownie zaczął krzyczeć. Widownia wyglądała na wystarczająco rozentuzjasmowaną. Niemal wszystkich ogarnęło wielkie napięcie. Jedynie Nathan nadal wymachiwał kijem baseballowym i ironicznie uśmiechał się do podróżnego.

- Zanim zaczniemy... - kontynuował Matt. - Chcę tobie przypomnieć, Luke, że ta walka to coś więcej niż zwykły sparing. To bój o twoje życie! Miej to na uwadze... Niech gra się zacznie!

Na trybunach zapanowała euforia. Matt ponownie usiadł na sofie i poprosił o dzban, który trzymała stojąca mu najbliżej półnaga kobieta. Mężczyzna wypił kilka łyków zawartego w naczyniu płynu, a następnie machnął ręką, tym samym

sygnalizując rozpoczęcie walki.

- Zmasakrowanie cię sprawi mi wielką przyjemność - oznajmił ochotczo Nathan do podróżnego i przestał wymachiwać kijem baseballowym. - Mam nadzieję, że jesteś gotów, bo dzisiaj zamierzam poszaleć.

- Próbuje szczęścia... - odparł krótko Luke, profilaktycznie podnosząc maczetę, i zaniepokojony czekał na atak.

Nathan zaczął testować podróżnego. Co chwilę podchodził bliżej i wymachiwał bronią. Luke, na swoje szczęście, przewidział niemal każdy ruch przeciwnika. Niestety przy siódmym uniku został uderzony kijem baseballowym w bark. Niemał upadł na ziemię i odruchowo uniósł maczetę, aby obronić się przed kolejnym ciosem. Następny atak Nathana był tak silny, że złamał ostrze.

Pokaźnych rozmiarów fragment maczety został oderwany, a podróżnemu została tylko rękojeść i krótki tępy szpikulec. Ponadto Luke został kilkakrotnie uderzony w żebra.

Niewyobrażalny ból wyzwolił w nim tyle adrenaliny, żeby umożliwić mu odbiegnięcie tuż za najbliższe stosy drewnianych skrzyń.

- Uciekaj, ile wlezie - oznajmił Nathan, uderzając bronią o jedną z przeszkód. - W końcu jedziemy po całości.

- A weź się pierdol, Nathan! - przeklął Luke, uciekając w stronę dalej postawionych osłon.

- Najpierw zacznę od ciebie - odparł entuzjastycznie Nathan, nie przemyślawszy odpowiedzi, po czym podbiegł do wcześniej zajmowanej przez podróżnego pozycji. - Póki co jest bardzo zabawnie. Jak twoje żebra?

- Dają radę - odparł Roussel, jeszcze bardziej zwiększając dystans od oprawcy.

- Mów więcej, proszę... im szybciej cię dorwę, tym lepiej, i będziemy to mieli za sobą.

Podróżny nie odpowiedział, tylko odszedł w zachodni róg pomieszczenia i oczekiwał kolejnego ataku. Dopiero po kilkunastu sekundach Nathan namierzył Luke'a. Bez namysłu zaczął ku niemu szarżować. W momencie gdy zamierzał uderzyć, podróżny celowo upadł na ziemię i wbił pozostałość maczety w prawą łydkę przeciwnika. To sprawiło, że wróg jęknął z bólu. Mimo wszystko adrenalina sprawiła, że utrzymał on spokój. Nathan zwyczajnie spojrzał podróżnemu prosto w oczy.

- Jeszcze trochę, a pokocham tę walkę - oznajmił, kopiąc Roussela prosto w szczękę.

Podróżny po przyjęciu ciosu wyszarpał broń z łydki przeciwnika i odruchowo zaczął się czołgać w stronę osłon. Ból, jaki aktualnie czuł, niemal pozbawił go przytomności. Ponadto, po kilku

sekundach, podróżny został złapany za włosy i podniesiony do pionu.

- Chcesz to już zakończyć czy jeszcze sobie pozdychasz? - zapytał Nathan.

- W-wiesz, co to jest moment nieuwagi?

- To twoja arogancja?

- N-nie... zaraz zobaczysz.

Resztkami sił podróżny cisnął pozostałość po swojej maczecie w głowę wroga. Przebił jego prawe oko i zahaczył o mózg.

Nathan był zszokowany. Nie mógł uwierzyć, że zwykły „chłystek”, jak zwykł nazywać swoich przeciwników, dopiął swego. Tym razem ignorancja zwiastowała dla mistrza osady Matta śmierć.

- Do zobaczenia na drugiej stronie - oznajmił Luke, przekręcając i wyjmując ostrze, tym samym mordując swojego przeciwnika.

Ciało Nathana bezwładnie upadło na ziemię. Rezultat walki wyraźnie wszystkich zaskoczył. Nikt nie mógł uwierzyć, że dotychczas niepokonany wojownik poległ z ręki cherlawego, przypadkowego człowieka. Na trybunach nastąpiła cisza.

Nawet Matt nie krył zdziwienia, widząc zwłoki typowanego przez siebie zwycięzcy. Jednak po kilku sekundach gestem ręki rozkazał, aby ktoś zszedł na arenę i rozbroił Roussela. Luke, widząc, co sugeruje Matt, sam odrzucił broń i czekał na dalszy rozwój

wypadków. Nim się zorientował, za jego plecami stanął ten sam bandyta, który wyciągnął go z aresztu.

- Nawet nie próbuj - oznajmił, celując pistoletem w plecy podróżnego.

- Cóż... - po chwili wykrztusił z siebie Matt. - Wszyscy widzieliśmy rezultat walki. Luke wygrał i tym samym ocalił swoje życie. Nagrodą za pokonanie Nathana będzie dożywotnia współpraca z nami. Wiem, że wielu z was może tego nie akceptować, ale takie dałem słowo. Zdajecie sobie sprawę, że zawsze go dotrzymuję. Chcąc, nie chcąc, ogłaszam Luke'a zwycięzcą!

Tłum krzyczał i gwizdał. Nikt nie ukrywał rozgoryczenia wynikiem konfrontacji. Pomimo to bandyci wiedzieli, że muszą uszanować zdanie ich przywódcy.

- Wyprowadźcie go! - rozkazał Matt. - Zaraz tam zejść i osobiście doprowadzę go do celi. Dziękuję wszystkim za uwagę! Póki co zostańcie na swoich miejscach i podziwiajcie jakże przez was upragnione akrobacje na rurze! Miłego widowiska!

W czasie gdy Luke był wyprowadzany przed budynek, Matt zmierzał w jego stronę. Tymczasem kobiety, które jeszcze przed chwilą usługiwały przywódcy osady, zeszły na arenę. Kiedy otrzymały niezbędny do tańczenia przyrząd w postaci długiego na trzy metry metalowego pręta, przystąpiły do

pracy. To miało zabawić zgromadzonych na trybunach widzów. Dzięki temu każdy pozostał na miejscu i dał swojemu przywódcy dość prywatności, aby ten na osobności porozmawiał ze zwycięzcą ostatniej walki.

Gdy Matt opuścił budynek, zorientował się, że już jest ciemno. Słońce stopniowo zanikało za urwiskiem i nadchodziła noc. Aktualnie widoczność była bardzo ograniczona, zważywszy na półmrok.

- Ja to załatwię - oznajmił po chwili, podchodząc do człowieka pilnującego Luke'a, i odprawił bandytę.
- He, he... chodź, pogromco Nathana... mamy do pogadania.

Podróżny posłusznie wykonał polecenie przywódcy osady. Miał na uwadze, że człowiek celuje do niego z rewolweru. Wobec niekorzystnej dla Luke'a sytuacji pozostało mu tylko potulnie wykonywać kierowane ku niemu polecenia.

- Co by nie było, gratuluję - oznajmił Matt. - W końcu pokonałeś Nathana. Zaczynasz wzbudzać we mnie szacunek.

- Może tak dla odmiany ty byś coś dla mnie zrobił? Jest mi zimno, wszystko mnie boli, jestem spragniony i głodny.

Niespodziewanie przywódca osady popchnął Luke'a, sprawiając, że jego więzień upadł na ulicę. Szczęśliwie wylądował na grubej na kilkanaście

centymetrów warstwie śniegu. Dzięki białemu puchowi nic mu się nie stało. Luke instynktownie wstał i powoli odwrócił się, aby spojrzeć na Matta.

- A to za co? - zapytał, rzucając agresywne spojrzenie na przywódcę osady.

- Chcesz pić? To pij śnieg. Od jutra nastąpi sporo zmian w twoim życiu.

- Mianowicie?

- Będziesz traktowany jak przeciętny więzień, czyli pracował dla dobra ogółu. My cię karmimy i dajemy dach nad głową. Ba, może niedługo dostaniesz też jakąś kurtkę. A teraz ruchy, bo nie mamy całego dnia.

Z racji że podróżny był w niewoli, wolał nie dyskutować z przywódcą bandytów. Posłusznie wznowił marsz, idąc w stronę więzienia.

- I mówisz, że tak ma wyglądać moja przyszłość? - zapytał, zaciskając pięści.

- W najlepszym wypadku. Tylko spróbuj coś kombinować, a sprawdzisz, jak nieopłacalna jest niesubordynacja.

- Chociaż będę mógł w spokoju dzisiaj się wyspać?

- Lepiej zacznij od razu, bo przed świtem pobudka. Poza tym twoim gadaniem już dość mnie dzisiaj zmęczyłeś, więc jak za chwilę nie wylądujesz w celi, to cię pieprzę w ten twój nieogarnięty łeb.

Przebieraj nogami!

Mężczyźni przyspieszyli kroku. Nie minęła chwila, a już stali przed drzwiami więzienia. W tym momencie Matta zaniepokoił brak strażnika. Zamiast tego przywódca bandytów dostrzegł kilka metrów dalej postać, której twarzy nie mógł skojarzyć. Ponadto zauważył w dłoni obcego mężczyzny klucz francuski. Z kolei Luke na ten widok zareagował z lekkim entuzjazmem, gdyż niemal od razu rozpoznał Maxa.

- Gdzie jest strażnik i kim ty, kurwa, jesteś? - zapytał nieznacznie zaniepokojony Matt.

- Końcem twojej drogi - odparł Max, unosząc klucz francuski i ciskając nim z całej siły w stronę przywódcy osady.

Luke instynktownie padł na ziemię, aby nie oberwać rzuconym przez Arringtona przedmiotem. Z kolei Matt nie zareagował w porę i został uderzony ważącym kilka kilogramów narzędziem. To sprawiło, że stracił równowagę i upadł na śnieg, a rewolwer wypadł mu z ręki.

Max, nie tracąc czasu, podbiegł do przywódcy bandytów i odkopał jego broń w kierunku Luke'a. Roussel niezwłocznie ją przechwycił. W trakcie gdy celował do Matta, Arrington podniósł z ziemi klucz francuski i stanął tuż nad wrogiem.

- To za Sama - oznajmił spokojnie i z całej siły

uderzył przywódcę osady w głowę.

Krew trysnęła na śnieg. Czaszka Matta została rozbita, a on prawie stracił przytomność. Było to dość dziwne z racji poniesionych przez niego obrażeń.

- A to za Avę - dodał Max, ponownie uderzając swoją ofiarę umorusanym kluczem francuskim.

To był już koniec dla przywódcy osady. Lider bandytów i ciemieżyciel niewinnych zginął. Pomimo to Max wciąż zadawał ciosy, rozsmarowując mózg trupa na ulicy. Krew tryskała strumieniami, a na śniegu przybywało czerwonych smug. Po kilku sekundach Luke podszedł do towarzysza i próbował go powstrzymać.

- Już dość - oznajmił, chwytając za klucz francuski. - Zrobiłeś swoje. Daj spokój.

- Dla gwałciciela nie ma żadnej litości - odparł z rozgoryczeniem Max, puszcżając broń, i zostawił ją w ręku Rousseła.

- O czym ty, do cholery, mówisz? - zapytał Luke, żądając wyjaśnień.

- Ten skurwiel... Ava... wiadomo... - odparł Arrington, rozpoczynając przeszukanie Matta.

W jego kieszeni odnalazł drugi magazynek, który niezwłocznie podrzucił podróżnemu. Następnie ponownie pochylił się nad trupem i zdjął z niego kurtkę i koszulę.

- Masz - powiedział, podając ubrania kompanowi.

- Lepiej szybko to włóż i spieszajmy stąd. Nie wiem, ile jeszcze zostało nam czasu.

- N-nie miałem pojęcia - wydukał z siebie Luke, wkładając koszulę koloru stalowego i skórzaną brązową kurtkę.

- To teraz już wiesz! - odrzekł agresywnie Max. - I lepiej, abyś nigdy o tym nie wspominał. A teraz ruchy, póki nikt o nas nie wie.

- A co zrobimy z resztą więźniów? - zapytał Luke, powoli odchodząc od aresztu.

- Niestety nie możemy im pomóc - odparł Arrington, poganiając towarzysza. - Nieważne, jak bardzo byśmy chcieli.

W odpowiedzi Roussel jedynie westchnął i pokręcił przecząco głową. Następnie schował rewolwer do kieszeni spodni, a klucz francuski umieścił pod paskiem. Potem obaj mężczyźni zaczęli biec, zmierzając w stronę południowej bramy. Tym samym opuścili miejsce, gdzie zginął przywódca osady Matt.

Po kilku minutach i ponadkilometrowym biegu Luke i Max dotarli do granicy miasta. Widok, jaki zobaczył Roussel, bardzo go zaskoczył. Ujrzał zwisające tuż nad bramą ciało bandyty. Trup wisiał na pasku od spodni, który przywiązano do barierki.

Wiatr kołysał zwłokami, lekko chybcząc nimi na boki.

- To twoja robota? - zapytał Luke, patrząc na ciało.

- Cel uświęca środki - odparł Max, podchodząc do bramy i ją lekko uchylając. - Pogadamy w drodze.

- Twoje metody czasem mnie przerażają - odparł podróżny, przechodząc obok Arringtona, i opuścił granicę osady. - W każdym razie dzięki za ratunek.

- Nie mogłem zostawić cię na pastwę tego skurwiela, kiedy ty pomagałeś mi - oznajmił Max, wychodząc za bramę, i podszedł do stojącej nieopodal kłody.

Następnie mężczyzna podniósł sporych rozmiarów kawałek drewna i podparł nim masywne wrota. Próbował to zrobić możliwie najdokładniej, aby mieć pewność, że bandyci przez jakiś czas nie dadzą rady sforsować barykady. Dzięki temu uciekinierzy mogli otrzymać więcej czasu na ucieczkę. W tym momencie to było dla nich najbardziej istotne.

- A teraz ruchy - oświadczył Max, ponaglając Luke'a. - Musimy jeszcze bardziej przebierać nogami. Zaraz znikniemy w lesie i wrócimy do swoich. Teraz możesz chwilę odetchnąć i pogadać.

- Trucht to nie odpoczynek - odparł Luke, próbując złapać oddech. - Najważniejsze, że w końcu jesteśmy wolni...

- To oczywiste - oznajmił Max, dorównując

kompanowi kroku. - Mam tylko nadzieję, że przyszedłem w porę i nic poważnego ci nie zrobili.

- Głodzili mnie, przykuli kajdanami do sufitu i kazali walczyć o życie. Zmusili też, żebym zabił człowieka.

- Czasem jest taka konieczność...

- Zamordowałem Nathana - oznajmił Luke, spoglądając ze smutkiem w stronę rzeki.

- Nigdy wcześniej nie „wrywałeś chwastów”?

- To moja pierwsza ofiara. Nie liczę zwierząt, potworów i rozkłąży.

- Czego? To ostatnie...

- Może kiedy indziej ci to wyjaśnię - odpowiedział wymownie Luke. - Możemy już zniknąć w lesie i wracać do swoich?

- To chyba dobry moment - oznajmił Max, zatrzymując siebie i towarzysza.

Obaj mężczyźni spojrzeli za siebie. Ujrzeni osadę bandytów, która była wręcz skąpana niezliczoną ilością świateł. Prawdopodobnie ciało Matta zostało odnalezione i zapanował chaos. Dodatkowo podróżni usłyszeli dźwięk silników. To był dla nich wyraźny znak, że rozpoczęła się obława.

- Poza tym... co to właściwie był za tekst... „Końcem twojej drogi”? - zapytał Luke, patrząc na kompana.

- Nie mogłem wpaść na lepszy pomysł.

- Jak w ogóle wszedłeś na teren osady i co się z tobą działo?

- Wszystko opowiem ci w drodze, ale nie ma nic za darmo. Mamy przed sobą kilka godzin marszu. Ja tobie wyjaśnię plan, a ty mnie, co to te całe rozkłáže. Umowa stoi?

- Jak najbardziej - oznajmił Luke, idąc coraz bardziej w głąb lasu.

Max i Roussel obrali kierunek, gdzie ich grupy rozbiły obozowisko. Z każdą chwilą odchodzili coraz bardziej od obozu bandytów. Miejsca, które im przysporzyło tak wiele problemów...

Minęła północ. Tej nocy niebo rozświetlała niezliczona ilość gwiazd. W obozie podróżnych panowała nerwowa atmosfera. Wszyscy oczekiwali nadejścia Luke'a i Maxa. Żeby jakkolwiek spędzić czas, zwyczajnie zasiedli przy ognisku i ze sobą rozmawiali. Tematyka dyskusji była przeróżna, ale każdy odczuwał stres i obawę o dobro swojego przywódcy grupy.

- Ja pierdolę... - w pewnym momencie przeklął Chris. - Nie możemy tak tu siedzieć i nic nie robić.

- Spokojnie - odparła mu Kate. - Max na pewno odbije waszego przyjaciela. Stawiam łaskę, że zaraz tu przyjdą.

- Masz na myśli dynamitu? - dopytał Chris, zbytnio nie kryjąc podtekstu.

- Poniekąd... he, he... Czuję, że są blisko i niedługo tu będą.

- To może do tego czasu jakoś zabijemy nudę i poopowiadamy sobie ciekawe historie? Znam jedną całkiem dobrą...

- W takim razie ja idę na patrol - odparła Ava, chwytając za ramię Sama.

- Kiedy nawet nie wiecie jeszcze, o co chodzi... - oznajmił Chris, przesuwając się bliżej ognia.

- I nie zamierzamy - oświadczyła Ava, wstając i ciągnąc za sobą Sama. - Pójdziemy na zwiad. A wy róbcie, co chcecie. My poszukamy Maxa i Luke'a.

- Skąd w ogóle w tobie taka gadatliwość? - zapytał Steve, obejmując swoją siostrę.

- A u ciebie ciekawość? - odpowiedział pytaniem na pytanie Chris. - Sam przeważnie milczysz, więc daj mi pole do popisu.

- Miłego słuchania - oznajmiła Ava, idąc z Samem w kierunku lasu. - Jeśli ich nie znajdziemy, wrócimy najpóźniej za godzinę.

- Trzymam za słowo - odparła Kate. - To gadaj, Chris, co tym razem dla nas przygotowałeś.

- To będzie historia Joeya. Może coś kiedyś o nim słyszeliście. Tylko ostrzegam, że to opowieść oparta na faktach.

- Jak każdy mit i teoria spiskowa... - wtrąciła Maggie, kręcąc przecząco głową...

- Ta niestety jest prawdziwa. Powiem, co wiem, a potem sam zacznę wypatrywać Luke'a... Gotowi?

- Masz nasze błogosławieństwo - oznajmiła entuzjastycznie Kate. - Jedziesz z tą gadką...

- W takim razie słuchajcie... To się wydarzyło w mojej miejscowości... w Cichym Jeziorze. Znałem kiedyś człowieka o imieniu Joey. To był równy gość w mniej więcej naszym wieku. Uwielbiał wędrówki po okolicznych lasach. Przez niemal całe swoje życie tak robił. Nikt tak dobrze nie znał okolicy jak on. Wiedział, gdzie najlepiej upolować zwierzynę, znał najlepsze miejsca na grzyby i na jakich drzewach są gniazda ptaków. To był ktoś niezwykle...

- Czyli nie do końca normalny? - dopytał Alex.

- No.... Specyficzny facet... z pasją. Roznosiła go energia i to, przyznam, było dość zaraźliwe. Słuchaliśmy go z przymrużeniem oka, ale jednocześnie podziwialiśmy za to, co wiedział. Jednak pewnego dnia Joey popełnił samobójstwo i jedyne, co po nim zostało, to list, który zostawił w swoim domu. Odnaleźliśmy ten zapisek wraz z jego ciałem. Doskonale pamiętam, jaką historię opisał. Jego ostatnią...

- Jak dokładnie odebrał sobie życie? - zapytała Kate.

- Powiesił się na drucie kolczastym... wyglądało to dość krwawo. Joey zrujnował wszystkim humor na

dobrze kilka tygodni. Najgorsza jednak była jego notatka...

- Co tam zapisał? - zapytała Sarah, przytulając mocniej brata.

- Spróbuję w miarę dokładnie ją cytować...

Mężczyzna na chwilę zamilkł i spojrzał w kierunku jeziora. Wiedział, że pobudził ciekawość towarzyszy. Po kilkunastu sekundach kilkakrotnie chrząknął i ponownie zaczął zerkać na słuchające go osoby.

- Był dwudziesty pierwszy października, dwa tysiące trzysta czterdziesty czwarty rok. Dzień jak każdy inny. Liście na drzewach miały złoty kolor, słońce świeciło i nikt nie przypuszczał, co tego dnia mnie spotka. Wstałem jak co dzień o siódmej trzydzięci. Mieszkańcy rozpoczęli pracę dla Smitha, naszego „kochanego” przywódcy. Tego dnia postanowiłem go olać i pójść w swoje ulubione miejsce. Nie powiem wam, gdzie ono jest, gdyż naraziłbym was na to samo, co mnie spotkało.

Steve pokręcił przecząco głową i mocniej przytulił swoją siostrę. Reszta w milczeniu wsłuchiwała się w historię.

- Poszedłem do lasu. Tego dnia było dość cicho i spokojnie. Szum wiatru łagodnił od dawna nagromadzone we mnie złe emocje... do momentu, aż doszedłem nad swój fajny strumyk... A co mi szkodzi

wam o tym napisać. I tak go nie znajdziecie.

- Mów dalej - wtrącił Alex, przy okazji wypatrując Avy i Sama.

- Po kilku minutach przyszedł „on”. Oczy miał czarne jak węgiel i nosił skórzany płaszcz. „Ktoś ty za jeden?”, zapytałem. Nie odpowiedział. Zamiast tego usiadł koło mnie i położył na moim ramieniu swoją zimną dłoń. Po chwili powiedział „Od dzisiaj będę twoim przyjacielem”...

- Jakiś chory psychicznie pustelnik - wtrąciła Kate, wstając i rozprostowując kości.

- Zignorowałem go. Uznałem, że nie jest to dobry czas i miejsce, aby nawiązywać nowe znajomości. Poza tym byłem wściekły, że ktoś znalazł moją miejscówkę. Zacząłem wracać do Cichego Jeziora, ale coś mnie korciło, aby raz spojrzeć za siebie. Człowiek, którego spotkałem, machał w moim kierunku. Jego nienaturalny uśmiech zapadł mi najbardziej w pamięci. „Wariat”, pomyślałem i wróciłem do szarej codzienności.

- Ale coś nie poszło po myśli Joeeya? - wtrącił pytanie Steve.

- Naturalnie... opowiadam dalej. Przez następnych kilka dni wszystko wyglądało normalnie... Każdy pracował i klął na Smitha. Od tamtego czasu nie chodziłem do lasu. Non stop miałem w głowie ten uśmiech... Może to było dziwne, ale bardzo

przeżyłem tamto spotkanie. Z czasem zaczęły mnie nachodzić sny, a w nich pojawiał się on. Wiecznie zadowolony tajemniczy nieznanomy, który odnalazł moje „sanktuarium”. Już nigdy tam nie poszedłem... a sny były coraz dziwniejsze... uśmiechnięty człowiek za każdym razem był jakby coraz bardziej „namacalny”. Czwartego grudnia dwa tysiące trzysta czterdziestego czwartego stało się to, co mnie zmusiło do odebrania sobie życia. Człowiek, którego poznałem, stanął u moich drzwi...

- Kurwa... - przeklął Alex, kątem oka zerkając na chatkę, w której nocowali.

- Zaniemówiłem. Ten, który mnie prześladował w myślach, także nic nie powiedział. Jedynie na mnie patrzył... Ja zdołałem tylko zamknąć za sobą drzwi. Potem poszedłem spać, a następnego ranka wszystko zrozumiałem.

- Ech... do rzeczy - westchnęła Sarah, dorzucając kawałki drewna do ogniska.

- Od tamtego dnia, kiedy go spotkałem, nastał dla mnie koniec. Oszalałem... Ten ktoś szedł za mną. Czuję jego oddech do ostatnich sekund mojego życia. Po napisaniu tego listu znalazłem drut kolczasty... To koniec mej historii... Uważajcie na człowieka z lasu. Unikajcie mężczyzny w czarnym skórzanym płaszczu.

- To trochę skomplikowane - powiedziała

Maggie. – Gościu spotyka kogoś, a jakiś czas później się wiesz a niby nie wiadomo dlaczego?

– To tylko straszna historia, którą znam. Spróbuj odgadnąć myśli szaleńca. Powodzenia...

– Mimo wszystko to była bardzo ciekawa historia... – stwierdziła Kate, podchodząc bliżej Chrisa. – Intrygujący z ciebie facet. Powinieneś częściej takie rzeczy opowiadać.

– Mam nadzieję, że nie przynudzałem – odparł Reese, wstając od ogniska i spoglądając w las.

Niespodziewanie dostrzegł kilka świateł. Po chwili pomiędzy drzew wyszli ci, na których wszyscy czekali. Luke i Max wrócili do swoich ludzi. Towarzyszyli im Ava i Sam. Wszyscy żwawym krokiem szli w stronę ogniska.

– Nie chcę wam przerywać dobrej zabawy, ale musimy spierdalać! – krzyknął Max i mijając towarzyszy, poszedł do SUV-a.

– Luke! – krzyknęła radośnie Maggie i rzuciła się na szyję Rousselowi.

W odpowiedzi podróżny poczuł ból w zębach. Powoli chwycił towarzyszkę za rękę i lekko odsunął ją od siebie.

– Spokojnie, bo mnie połamiesz – powiedział. – Już po wszystkim. Znów jestem z wami.

– Co się z tobą działo? – zapytał Chris, podbiegając do przyjaciela.

- Opowiem wam wszystko w trasie - odrzekł Luke, patrząc na Maxa, który w tym czasie wsiadał do SUV-a. - Teraz mogę tylko zdradzić, że nie było mi łatwo, ale jestem cały.

- Chyba nas okłamujesz - oznajmiła Maggie, bacznie spoglądając na podróżnego. - Poza tym co to za strój?

- Okradli mnie i okładali kijem baseballowym. W każdym razie mam całe wszystkie kości i zęby. Teraz zbierzcie swoje rzeczy, bo wyjeżdżamy. Mogą nas dorwać w każdej chwili.

- Nie musisz dwa razy powtarzać - oznajmił Steve, biegnąc z siostrą w stronę drewnianej chatki.

Luke został doprowadzony przez Chrisa i Maggie do furgonetki. Usiadł na przednim siedzeniu i z trudem zapiął pas. Następnie otrzymał butelkę wody i zimne, nabite na prowizoryczny szaszłyk mięso karibu. Pomimo to nie narzekał i rozpoczął swój pierwszy posiłek od ponad dwudziestu czterech godzin.

Po chwili wszyscy byli już spakowani i gotowi do dalszej drogi. W pewnym momencie do szyby furgonetki podeszła Kate. Na jej widok Luke otworzył drzwi, chcąc wiedzieć, o co może kobiecie chodzić.

- Max mnie do was wysłał - zaczęła wyjaśniać. - Kazał zapytać, czy nadal chcecie z nami pojechać do Frank Cove? Jest mu z twojego powodu bardzo źle.

Jednocześnie prosi o drugą szansę i dziękuje za wszelkie wyjaśnienia.

- To jak robimy? - odparł Luke, spoglądając Chrisowi w oczy, a potem na Maggie, Steve'a i Sarah.

- Demokracja?

- Wszystko, żeby tylko uciec z tego piekła... - odparł Williams, podkładając koc pod plecy swojej siostrze. - Spieprzajmy stąd.

- Słyszałaś człowieka - oznajmił entuzjastycznie Luke. - Od teraz jesteśmy drużyną i razem decydujemy o wszystkim.

- Tylko tyle chciałam wiedzieć - odparła Kate, powoli wracając do SUV-a. - My będziemy prowadzić, a wy próbujcie za nami nadążyć. Nie zwalniamy do momentu, aż Max uzna, że jest bezpiecznie.

- Tylko nie wpakujcie nas w jeszcze większe bagno, bo z tego ledwo co wyszliśmy - poprosił Roussel, a następnie zamknął drzwi. - Chris, ruszysz w końcu?

- Człowieku, martwiłem się o ciebie - odpowiedział mężczyzna, uruchamiając pojazd. - Myślałem, że cię straciliśmy. Jeszcze kilka godzin, a sam bym leciał tobie na ratunek.

- Trochę więcej wiary w Maxa - odparł Luke, opierając głowę o zagłówek fotela. - Facet ma średnie wyczucie czasu, ale dopiął swego. Tylko błagam, nie róbmy już więcej takich numerów.

- Następnym razem pójdziemy razem na tego typu akcje - zadeklarował Chris, widząc, jak Kate wsiada do SUV-a, który następnie zaczął wyjeżdżać z miejsca, które w ciągu ostatnich dni stanowiło dla podróżnych schronienie.

Po chwili obie grupy opuściły chatkę nad jeziorem i skierowały się na zachód. Nie minęła chwila, jak ponownie dojechali do szutrowej drogi i zaczęli przedzierać się przez gęsty sosnowy las. Musieli pokonać wiele kilometrów i nikt nie wiedział, co może ich jeszcze czekać. Zdawali sobie sprawę, że nie są do końca bezpieczni. Mimo wszystko próbowali zachować optymizm. Paradoksalnie najmniej zestresowany był Luke, który po zakończeniu posiłku zamknął oczy i po chwili zasnął.

Przez ponad dwieście kilometrów podróży nie napotkali żadnych trudności, zbliżając się w stronę niegdysiejszej granicy Kanady. Przez ten czas sporadycznie mijali gospodarstwa, farmy i mniejsze osady, które były od dawna opuszczone. Czasem na chwilę stawali, aby przeszukać pustostany. Niestety nie przynosiło to żadnych rezultatów, gdyż wszystkie te miejsca były splądrowane. W momencie gdy uznawali, że tracą jedynie czas, wsiadali z powrotem do samochodów i jechali dalej na północ.

Kiedy nastał świt, podróżni dojechali do brzegu

ogromnego bagna. Zważywszy na porę roku, było ono kompletnie zamrożone. Ponadto zalegający na nim śnieg w całości pokrywał warstwę lodu. Jedyne, co wystawało ponad biały puch, to były szuwary, którymi lekko targał mroźny wiatr. Rozgonił on także chmury, dzięki czemu dopisywała wszystkim słoneczna pogoda.

Przez zamrożone moczary prowadził jedynie długi na blisko trzy kilometry drewniany most. W połowie tej trasy skonstruowano posterunek. Składał się on tylko z drewnianej wieży i stojącej obok parterowej chatki. To miejsce oblegało kilka osób. Podróżni nie wiedzieli, dla kogo strażnicy pilnowali przejazdu, aczkolwiek, sądząc po ich strojach, na pewno nie pracowali oni dla ASO.

Po drugiej stronie bagien widać było monstrualnych rozmiarów górę. W całości pokrywał ją śnieg, a nieliczne na niej drzewa rosły w nienaturalnie pokrętny sposób. Przypuszczalnie lawiny występowały w tym miejscu dość często, gdyż ogromne zwały śniegu leżały u podnóża wzgórza.

Chris i Alex zatrzymali pojazdy tuż przed mostem. Niemal wszyscy zaczęli rozważać, jak niebezpieczna może być ta przeprawa. Jedyne rodzeństwo Williamsów ignorowało całą sytuację, gdyż oboje w tym czasie spali.

Nieoczekiwanie kierowca SUV-a zaczął cofać

auto, zatrzymując się dopiero po lewej stronie furgonetki. Następnie szyba pojazdu opadła i wyjrzał przez nią Max. W odpowiedzi Chris lekko uchylił drzwi.

- Chcę pogadać z Lukiem - oznajmił Arrington.

- Wołają cię - odparł Reese, patrząc na swojego kompana, który niemrawo odpinał pas i powoli wyszedł na zewnątrz.

Podróżny podszedł do SUV-a, jednocześnie zwracając uwagę na posterunek, na którym stało kilku strażników. Zważywszy na apatyczny nastrój, szybko zrezygnował z dalszej obserwacji i poszedł do lidera drugiej grupy.

- I co o tym myślisz? - zapytał Max, wychodząc na zewnątrz, i przywitał się z Lukiem. - Tak w ogóle to jak się czujesz?

- Trochę lepiej, ale wciąż bolą mnie kości - odrzekł Roussel, pocierając dłonie. - Ale dzisiaj zimno... Poza tym sądzę, że nie warto nadrabiać drogi. No i jeśli to jedyny sposób, aby dotrzeć na Alaskę, to proszę, żebyś tylko niczego nie schrzanił.

- Mam pewien plan, ale jest on dość ryzykowny - oznajmił Max, spoglądając na posterunek. - Podjedziemy tam jak gdyby nic, a potem wysadzimy za sobą drogę.

- Czy przy tym zginą niewinni ludzie? - zapytał Luke, słysząc o tej propozycji.

- Niczego nie obiecuję, ale na pewno uciekniemy im i reszcie mend, które żyją w tych rejonach. Potem umkniemy dalej na zachód, a faktyczny postój zrobimy dopiero wieczorem. Będziemy improwizować?

- Nie wiem... to dość ryzykowne. Ci goście są uzbrojeni. Na pewno się przedostaniemy?

- Skoro ja dałem radę wyciągnąć cię z ostatniego gówna, to z całą moją grupą jestem niepokonany - odrzekł entuzjastycznie Max. - Poza tym nasz SUV jest opancerzony, więc nic nam nie grozi. O ile będziecie jechać tuż za nami.

- Jeśli któreś z nas oberwie, to wpakuję ci kulkę w łeb - oświadczył Roussel, chwytając rękojeść rewolweru. - To twoja decyzja. Ja się tutaj nie mieszam.

- Więc postanowione. Forsujemy ten most. Powiedz Chrisowi co i jak.

- Wszystko słyszałem - wtrącił kierowca furgonetki. - Już raz taki manewr przerabialiśmy i nie wyszło to za dobrze... zginął ktoś, kto miał przeżyć nas wszystkich.

- Lepiej o tym teraz nie gadajmy - odparł Luke, wracając na swoje miejsce, i zapiął pasy. - Nie przypominaj mi o Samancie...

- Déjà vu - odparł ze smutkiem Reese, a następnie wbił wyższy bieg i czekał na ruch drugiej

grupy.

W momencie gdy Alex ruszył do przodu i wjechał na drewniany most, podróżni starali się ustawić tuż za nim. Oba pojazdy jechały dość wolno i nie było problemu, aby utrzymać stały dystans. Wszyscy powoli podjeżdżali do ustawionego w połowie przeprawy posterunku.

Ludzie patrolujący okolicę wyglądali na poruszonych. Instynktownie skierowali swoją broń w stronę nadjeżdżających pojazdów. Czas dłużył się każdemu w nieskończoność. Jedynie Kate wyglądała na zadowoloną, podkładając jeszcze nieodpaloną zapalniczkę pod lont laski dynamitu, i czekała na sygnał do ataku. W tym czasie Sam, który normalnie stał za ciężkim karabinem maszynowym, wrócił do wnętrza SUV-a. Mężczyzna wiedział, że byłoby nie najlepszym pomysłem wystawianie się na potencjalny ostrzał.

- Dalej nie przejeździecie - oznajmił jeden ze strażników mostu i stanął na środku drogi, celując ze swojej broni w kierunku Alexa.

- Pierdolony idiota... - przeklęła Kate i rzuciła zapalony dynamit w kierunku drewnianej wieży przez otwór w dachu SUV-a.

Nadszedł czas, aby działać. Oba pojazdy gwałtownie przyspieszyły, niemal potracając mężczyznę. Pomimo jego ostrożności w wyniku

eksplozji pod prowizoryczną amboną strażnik oberwał kawałkiem drewna. Jego ramię zaczęło krwawić, aczkolwiek gorszy los spotkał tego, który aktualnie zajmował stanowisko na zniszczonej konstrukcji. Człowiek stojący na punkcie obserwacyjnym jedynie zdążył złapać barierkę. Wraz w wieżę runął na zamrożoną tafłę bagna.

- Kate! - krzyknął Max. - Rzucaj drugi!

Kobieta niezwłocznie odpaliła lont następnej laski dynamitu i wyrzuciła ją za siebie. Po kilku sekundach doszło do kolejnego wybuchu. Eksplozja miała miejsce na moście, rozerwała na kawałki fragmenty drogi, miotając nimi we wszystkie strony. Kilka z nich dosięgło biegnących za samochodami strażników. Kiedy mężczyźni zrozumieli powagę sytuacji, natychmiast padli na ziemię. Co ciekawe nikt, łącznie z tym, który stał na wysadzonej strażnicy, nie ucierpiał. Strażnik, który pełnił w tym czasie wartę na zniszczonej konstrukcji, jedynie uderzył o lód, odnosząc lekkie obrażenia. Szybko wrócił na drogę, ale tylko zdołał zobaczyć niknące w oddali światła pojazdów prowadzonych przez Chrisa i Alexa.

Obecna sytuacja przysporzyła wszystkim mocnych wrażeń. Nawet rodzeństwo Williamsów wstało i nerwowo zaczęło spoglądać w stronę Luke'a. Kiedy podróżny zwrócił na nich uwagę, wzruszył ramionami.

- Wszystko pod kontrolą. Śpijcie dalej.

Tak też większość osób zrobiła. Po kilku chwilach jedynymi przytomnymi osobami byli Chris, Max i Alex. Lider drugiej grupy nerwowo stukał palcami i podziwiał mijane przez nich kolejne połacie sosnowych lasów.

- Jak myślisz... dogadamy się z nimi? - zapytał kierowcy.

- Cholera go wie, ale ich nawet polubiłem - odparł Alex, nieznacznie dociskając pedał gazu.

- Przyznasz, że tym razem miałem nosa - oznajmił entuzjastycznie Max, spoglądając za okno.

- Po prostu odwaliłeś kawał dobrej roboty. Może i Luke nie jest dobrym przywódcą, ale jedynym, jakiego mają. Gość ma swój cel i przyjazne usposobienie. Nie wiem tylko, dlaczego po niego wróciłeś?

- Wiesz... w życiu nie jest najważniejsze, aby przetrwać.

- Tylko co? - dopytywał Alex, pokonując SUV-em kolejne śnieżne zasy.

- Żeby coś sobą reprezentować. Nie jest najważniejsze, czy żyjemy, tylko o co tak naprawdę walczymy. Ważne, jacy jesteśmy, a ja i Luke mamy ze sobą coś wspólnego. Obaj żyjemy dla idei. Nie tylko słusznej, ale i dobrej. I prędzej zdechnę, niż pogrzebię czyjeś plany w walce o lepsze jutro.

- Oby cię to kompletnie nie pogrążyło - odparł Alex, kręcąc przecząco głową.

- Wyzaczyłem sobie misję, aby pomagać innym. Wy jesteście dla mnie najważniejsi, ale nie zignoruję nikogo, kto chce dla siebie lepszej przyszłości. Oby Ava to zrozumiała. W końcu została uratowana, a przemoc, jaką jej wyrządzono, pomszczona.

- Zabiłeś go?

- Tak, ale mniejsza o szczegóły. Miej pewność, że ten skurwiel już nigdy nikogo nie skrzywdzi.

- I bardzo dobrze... W każdym razie lepiej się teraz prześpij. Przed nami długa droga.

- Nawet nie wiesz jak bardzo... - odpowiedział entuzjastycznie Max, po czym zamknął oczy.

Kierowcy SUV-a i furgonetki nieustannie pędzili autami na zachód. Pomimo zmęczenia nie zamierzali zwalniać. Przez następne siedem godzin pokonali ponad dwieście pięćdziesiąt kilometrów. Na trasie napotykali przeróżne przeszkody, których pokonanie zajęło im trochę czasu. Pierwszym problemem było zakopanie kół furgonetki w śniegu. Operacja wyciągnięcia samochodu z zasy zajęła podróżnym ponad godzinę. Drugą komplikacją okazał się zniszczony most i auta musiały pokonać niewielkich rozmiarów rzekę. Alex przez ponad dwie godziny szukał najwęższego miejsca do przejazdu po lodzie. Szczęśliwie je w końcu odnalazł i przedostanie

samochodów na drugą stronę kanału przebiegło bez dodatkowych komplikacji. Ostatnia niedogodność, jaka ich spotkała, była dość prozaiczna. Kilkukilometrowy odcinek trasy został na krótko przed mrozami zalany przez wody jednej z wielu kanadyjskich rzek. Z uwagi na bezpieczeństwo, aby żaden z pojazdów nie wpadł w poślizg, mała prędkość była konieczna. Ostatecznie nie doszło do wypadku i wszyscy bezproblemowo pokonali ten odcinek trasy.

Nastał wieczór. Niebo całkowicie przysłoniły chmury, ale nie doszło do opadów śniegu. Przez cały dzień było przeważnie słonecznie, co miało znaczący wpływ na temperaturę. Obecnie wynosiła ona kilka stopni poniżej zera.

Podróżni dojeżdżali do dawnej granicy Kanady. Nieustannie mijając kolejne kilometry gęstych lasów, wypatrywali znaków, na których ktoś mógł umieścić informację o danym położeniu. W pewnym momencie Alex i Chris przejechali obok dwóch pamiętających czasy sprzed wojny ledwo wyraźnych komunikatów. Niestety nie dali oni rady ich odczytać z racji zmęczenia, gdyż od niemal dwóch dni nie spali.

- Zakaz wchodzenia do lasów - oznajmił Max. - Pole minowe.

- Co? - ospale zapytał Alex, mrużąc oczy. - Co ty do mnie mówisz?

- Właśnie minęliśmy dwa znaki. Na drugim było napisane, że za kilometr dojedziemy do granicy. Zwolnij trochę i wypatruj miejsca na postój.

Walsch posłusznie wykonał polecenia Arringtona. Zredukował prędkość SUV-a do czterdziestu kilometrów na godzinę. Podobnie postąpił Chris z furgonetką.

- Po jaką cholere Kanada miałaby zaminowywać przejście graniczne przy Alasce? - zapytał Alex, ziewając.

- Może to jeszcze robota sprzed czasów wielkiej wojny? Obstawiam, że kiedyś jacyś lokalni włodarze uznali, że się od reszty odetną. Żeby to zrobić, nie ma lepszego miejsca jak przy dawnej granicy...

- Czy mogli to być ci z Frank Cove?

- Niewykluczone. ASO raczej tu nie działało. Wątpię, że wojsko ma w tych rejonach jakiegokolwiek wpływu. Kto w ogóle by chciał zajmować takie miejsce?

- Ponoć na Alasce jeszcze przed wojną pozakładano bazy, gdzie trzymano głowice nuklearne. Prawdopodobnie teraz nikt nie zna ich położenia, co dla mnie jest lekko przerażające.

- Obstawiam, że wojskowi po dziś dzień mają na orbicie co najmniej kilka czynnych satelitów. Stare pewno już dawno temu spadły na ziemię, ale nikt nie mówił, że nie wystrzelono nowych. Jaki to problem

odpalić w kosmos sprzęt i wskrzesić starą technologię?

- Najpierw trzeba do tego mieć specjalistów - odparł Alex, zaciskając mocniej dłonie na kierownicy.
- Poza tym potrzebna jest do tego wiedza i od cholery możliwości technicznych.

- Nigdy nie będziemy tego do końca pewni...
A teraz przerwa na gdybanie. Chyba jesteśmy na miejscu.

Pojazdy podjeżdżały do niewielkiej drewnianej altany. Pod jej dachem znajdował się stół z przytwierdzonymi do niego ławami. Tuż obok był niewielkich rozmiarów plac, który pokrywała niewielka warstwa śniegu. Przy nim skonstruowano palenisko. Sugerowały to cegły ułożone na kształt okręgu i kilkanaście masywnych, rozmieszczonych w pobliżu kamieni. W tym miejscu nie zabrakło również starej drewnianej tablicy, na której wyryto napis, który wprowadził wszystkich w zadowolenie.

- „Witamy na Alasce” - odczytał Max. - Zaparkuj tutaj.

Alex skręcił na plac i zatrzymał samochód tuż przy znaku. Tak samo poczynił Chris, stawiając furgonetkę obok SUV-a. Kiedy zgasły silniki, wszyscy wyszli na zewnątrz i zaczęli uważnie obserwować okolicę.

- Więc jednak w końcu nam się udało - oznajmił

entuzjastycznie Luke, powoli idąc w stronę altany. - Jaki piękny zachód słońca...

- Ano faktycznie - przytaknął Max, podchodząc do podróżnego. - Jesteśmy coraz bliżej celu. Ani zobaczysz, a dostrzeżesz coś o wiele lepszego.

- Ile stąd do oceanu? - zapytał Luke, siadając na podgniętej ławce, która z trudem utrzymała jego ciężar.

- Nie mam pojęcia - odrzekł Arrington, opierając się o jeden z kilku drewnianych, podtrzymujących dach altany, słupów. - Mniejsza o to. Powinniśmy coś zjeść.

- Też tak myślę - odrzekł Roussel, patrząc na okoliczne lasy. - Pieczemy czy otwieramy kolejne puszki? Ostatnio straciłem otwieracz...

- Myślę, że mięso karibu jest zawsze na czasie - stwierdził Arrington, puszczając oczko do Kate. - Posiedzimy tu trochę, pogadamy i jedziemy dalej.

- Chyba jesteśmy tu bezpieczni... - stwierdził Roussel, sprawiając wrażenie nieobecnego. - Raczej nikt nas w tym momencie nie ściga. Zrobiliśmy dość duży bajzel i minie trochę czasu, zanim ktokolwiek ustali, gdzie jesteśmy.

- A ślady na śniegu? - zapytał Chris, dołączając do rozmowy. - Gdyby chociaż sypnęło, to nie martwiłbym się, że ktokolwiek nas namierzy.

- Sporo już przejechaliśmy i nie sądzę, aby

rozwiąło zaspy, most postawiono na nowo, a oblodzona droga odtajała - stwierdził Max. - Spokojnie, wszystko mamy pod kontrolą.

- Lepiej, żeby faktycznie tak było - oznajmił Reese, podchodząc do Luke'a. - Co tam u ciebie? Jak zdrowie?

- Po tym, co niedawno przeszedłem, nie sądzę, że przez kilka najbliższych dni będę w stanie dojść do stanu używalności. Daj mi kubek gorącej kawy, wygodne łóżko i jedną lub dwie noce na zebranie myśli. Potem pewno będzie ze mną lepiej.

- Max, kroić to mięcho czy nie?! - krzyknęła Kate, trzymając w jednej ręce maczetę, a w drugiej nogę karibu.

- Kroić, kroić! - ochoczo odpowiedział Max. - No dobra, panowie... dam wam trochę spokoju. Pogadajcie tu sobie, a reszta zbierze drewno, rozpali ogień i przygotuje jedzenie. Do zobaczenia za kilkanaście minut.

Po tych słowach Arrington poszedł w kierunku lasu i szybko zniknął za linią drzew. Tymczasem Chris usiadł obok Luke'a. Deska niemal pękła pod jego ciężarem. Obaj niewzruszeni tym faktem obserwowali, jak przygotowywana jest obiadowa kolacja.

- Więc co tak naprawdę się działo podczas twojej nieobecności? - zapytał Reese wyraźnie zaniepokojony. - Chyba że nie chcesz o tym gadać.

- Mogę tobie powiedzieć, co zaszło... Niejaki Matt mnie znokautował i przez większość czasu byłem nieprzytomny. Potem skuto mnie kajdanami i przesłuchiowano. Chcieli, żebym wydał, gdzie rozbiliśmy obóz.

- Powiedzieliście im?

- Gdzie tam. W życiu bym was nie wydał. Uznano, że w zamian za częściową współpracę zawalczę o swoje życie. Jak wygram, to skażą mnie na dożywotnie roboty. Jak przegram... wiadomo...

- Musiałeś kogoś zabić? - dopytał Chris, skupiając uwagę jedynie na rozmowie.

- Na imię miał Nathan. To on mnie prawie połamał na kawałki. Jednak wystarczył jeden moment nieuwagi, a wbiłem mu pozostałości maczety prosto w oko... Kiedy go zabijałem, nic nie czułem. To tak, jakbym nie był sobą.

- Tak samo miałem, zabijając tego żołnierza w Greenwoods. To spojrzenie w jego oczach... Wtedy naszła mnie myśl: albo on, albo ja. A potem pustka w głowie.

- Tak samo było ze mną... zrobiłem, co musiałem. Za bardzo kocham swoją żonę, aby się przed czymkolwiek hamować.

- Od teraz każdy ma krew na rękach... - oznajmił Reese, wstając z miejsca, i oparł się o kolumnę, przy której wcześniej stał Max. - Dotyczy to nawet

Steve'a i Sarah.

- Coś ciekawego o nich wiesz? - zapytał Luke wyraźnie zaintrygowany.

- Pewnej nocy spalili dom, w którym byli przetrzymujący ich ludzie. Steve w walce o dobro swojej siostry zrobił zwarcie w instalacji elektrycznej i doszło do pożaru. Kiedy zapanował chaos, oboje wybiegli na zewnątrz i patrzyli, jak ich oprawcy płoną żywcem. Jeden z nich prawie uciekł i wtedy Sarah zareagowała. Rzuciła się na niego i własnymi rękoma wbiła palce w jego oczy, pozbawiając faceta wzroku. Potem dokończyła dzieła, podcinając mu tchawicę. To tak w skrócie. Steve kazał mi o tym nie gadać, ale przecież możemy sobie zaufać.

- Ludzie, którzy trzymają przy sobie tajemnicę, nie mają do siebie bezgranicznego zaufania - oznajmił Luke, drapiąc się po zaroście. - Max także zaznajomił mnie z pewną historią osoby w jego grupie i także kazał milczeć. W każdym razie mogę tobie zaufać i powiedzieć, że Ava przechodzi teraz bardzo ciężki okres.

- Zdążyliśmy to zauważyć - odrzekł Chris, spoglądając na wspomnianą kobietę, która pieczołowicie układała stos drewna z zamiarem jego podpalenia. - Co z nią nie tak?

- Matt ją zgwałcił. Nawet nie wiem, co o tym myśleć. Dajmy jej trochę czasu na dojście do siebie.

Lepiej o tym nie wspominać...

- Huh... ja tobie coś zdradziłem, a ty mnie... najwidoczniej w gronie znajomych trudno dochować tajemnicy.

- To niemal niewykonalne - odparł Luke, wstając i powoli idąc w stronę rozpalonego w tym momencie ogniska. - Miejmy jednak na uwadze dobro innych, zanim zaczniemy mówić o niewygodnych faktach.

- Jestem ostatnią osobą, która narobiłaby tobie problemów - oznajmił Chris, idąc za Rousselem w stronę ognia. - Możesz spać spokojnie.

Wszyscy podeszli do ogniska i zaczęli przygotowywać swój posiłek. Każda z osób otrzymała solidną ilość wody. W tym momencie podróżni się odprężyli i zaczęli podziwiać zachód słońca. W grupie zapanował spokój i jedyne, na czym każdemu zależało, był ciepły posiłek.

- W końcu można spokojnie pogadać... - w pewnym momencie powiedział Max, przerywając ciszę. - Jestem dumny, że cały ten wysiłek nie poszedł na marne.

- Dobrze, że znów jesteśmy razem - oznajmił Sam, obracając pieczone przez siebie mięso. - Już myślałem, że w niewoli wykituję.

- Nie na mojej warcie, he, he, he... - zarechotał Arrington. - Prędzej zdechnę, niż was opuszczę.

- Tylko w przyszłości uważaj na to, co robisz -

oświadczyła Kate, zmieniając miejsce, i usiadła przy liderze swojej grupy.

- Po to żyję, aby pomagać - odparł Max, obejmując przyjaciółkę. - Tymczasem mamy pewną sprawę do omówienia. Chciałbym usłyszeć, co każde z was ma do powiedzenia na temat Frank Cove. Jakież refleksje?

- Jestem za... tak samo jak moi przyjaciele - odrzekł Luke, nieustannie wpatrując się w ogień.

- Gdzie on, tam i ja - dodał od siebie Chris.

- Zostaję przy swoich - zadeklarowała Maggie, zmieniając miejsce, i przysunęła się bliżej Luke'a.

- Byle jak najdalej od zagrożeń - oznajmił Steve. - Aby nigdy więcej moja siostra nie musiała przechodzić przez mękę. Jak twoje żebro?

- Ech... znowu? - westchnęła Sarah, kręcąc przecząco głową. - Już jest dobrze. Został niewielki ślad i jedynie wszystko mnie uwiera. A już myślałam, że zmądrzałeś.

- I właśnie za to was kocham - wtrącił Luke, zdejmując z ognia swój kawałek mięsa. - Jak rozumiem, wy także jesteście zgodni i nikt nie ma wątpliwości, czy warto tam jechać?

- Mieliśmy na to za dużo czasu, aby się wycofać - odparł ospale Alex, także rozpoczynając kolację.

- Więc mamy wspólny cel - entuzjastycznie zadeklarował Luke.

- Na to wychodzi - przytaknął Max, patrząc w ogień. - A droga, którą pokonujemy, to niejako trakt straceńców...

- Co masz przez to na myśli? - dopytywała się Kate, zaczynając swoją obiadową kolację.

- Was goni ASO, a nas być może psychopaci z Mackenzie. Wszyscy przed kimś uciekamy. Próbujemy umknąć pseudosprawiedliwości, która nas chce dosięgnąć. Każde z nas ma wyrok i stara się walczyć o przetrwanie. Wszyscy wierzymy, że Frank Cove to dobre miejsce docelowe... Nie wiem, czy odnajdziemy tam to, czego szukamy, ale nie damy za wygraną. To nigdy nie wchodziło w grę. Przed nami jest cel i tylko czeka, aby go osiągnąć.

- Już niedługo - dodał od siebie Luke.

- Bardzo bym chciał jak najszybciej zobaczyć ocean - oznajmił Arrington. - Kiedy go ostatnio widziałem, byłem małym chłopcem. Pewnego dnia wyruszyłem z ojcem na daleką wyprawę. Tata chciał łowić ryby. Niestety nadszedł sztorm i byliśmy zmuszeni wrócić na ląd i rozbić obóz w głębi lasu. Pomimo warunków fajnie było zaczerpnąć trochę wolności. Nikt nam nie groził, nie straszył bronią. Byliśmy tylko my dwaj.

- Ech... Coś czuję, że ta historia nie ma dobrego zakończenia... - westchnęła Sarah, ściągając wraz z bratem mięso z ognia, i rozpoczęła kolację.

- Tata mnie wtedy ocalił. W pewnym momencie drzewo spadło na nasz namiot. Nie pamiętam, co się dokładnie potem wydarzyło. Wiem za to, że byłem w kiepskim stanie. Mój ojciec zrobił wszystko, co mógł, aby mi pomóc i resztkami sił wyciągnął mnie spod pnia. Nie czekając ani chwili, zawiózł mnie z powrotem do domu. Bezgranicznie się poświęcił, aby mnie uratować. Co było w tym wszystkim smutne... zanim kompletnie wydobrzałem, doznał ataku serca.

- Ech... Życie zabiera najlepszych... - westchnęła Kate, wyraźnie posmutniawszy.

- Widziałem, jak umierał. Kiedy mnie zobaczył... stojącego o własnych siłach... gdy walczył o każdy oddech... był szczęśliwy. Po chwili zamknął oczy i odszedł. Mimo to odszedł w spokoju, widząc swojego syna całego i zdrowego. Potem miał pogrzeb, ale na ceremonię nie poszedłem. Nie potrafiłem pożegnać ojca, ale tamtego dnia obiecałem mu, że do końca swoich dni będę pomagał ludziom. Jeżeli cokolwiek nas czeka po śmierci i go spotkam, opowiem mu wszystko. Mam nadzieję, że będzie wtedy ze mnie dumny.

- Na pewno - przytaknęła Maggie, kończąc przygotowywanie swojego posiłku. - Dobrze, że są na tym świecie tacy ludzie jak ty. Pracuj dalej, aby uczynić ten świat lepszym.

- Robię, co tylko mogę. Ważne, żeby chociaż nie szkodzić drugiej osobie.

- No to sobie pogadaliśmy... - oznajmiła Kate. - Jeszcze chwila, a sfajczylibyśmy kolację. Chyba najwyższy czas, aby zacząć jeść. Jestem głodna.

- Nie boisz się, że przytyjesz? - zapytał Sam w cyniczny sposób.

- Spadaj - odparła Nix, wgrzyzając się w mięso karibu.

W tym momencie każdy już był w trakcie kolacji. Przez kilka chwil wszystkie problemy zeszły na drugi plan.

Po kolacji Max nakazał zgasić ognisko i ruszyć w dalszą drogę. Kate odruchowo zaczęła obsypywać ogień śniegiem, po kilku sekundach go tłumiąc. Następnie wszyscy wsiedli do samochodów, będąc pełnymi optymizmu.

Tym razem Max prowadził SUV-a, a za sterami furgonetki usiadł Luke. Zmienili poprzednich kierowców, którzy padli ze zmęczenia, niemal natychmiast zapadając w sen. Widok Chrisa przytulającego beczkę z wodą był dość zabawny. Mężczyzna ją mocno ścisnął i w tej pozycji zasnął. Zamiast niego na przednim siedzeniu usiadła Maggie, która, będąc lekko zmęczona, oparła się głową o chłodną boczną szybę.

- Już niedługo będzie po wszystkim - oznajmiła,

kreśląc palcem wzorki na zaparowanej szklanej powierzchni.

- Ja bym na to nie liczył - odparł Luke, obserwując SUV-a, który powoli wyjeżdżał z parkingu.

- To niemożliwe, żebyśmy dalej cierpieli. Do Frank Cove nie powinno nas nic ruszyć.

- A co będzie potem? - zapytał Luke, cofając furgonetkę. - Jeżeli do tej pory było ciężko, to nie chcę nawet myśleć, co jeszcze na nas czeka.

- Mam nadzieję, że już nigdy nie będziemy mieli do czynienia z ASO. Będąc tak liczni, mamy szansę odeprzeć niemal cokolwiek, co stanie nam na drodze.

- Życie wszystko zweryfikuje - oznajmił Luke, wbijając wyższy bieg i zwiększając prędkość samochodu.

- Chciałbym, aby siedział tu z nami Ray...

- Na pewno byłby szczęśliwy, wiedząc, że nic ci nie jest. Kto by nie pragnął, aby byli z nami ci, którzy odeszli...

- Ech... Tak wiele osób straciło życie, abyśmy mogli tu być... - westchnęła Maggie, obserwując mijany znak przygraniczny. - Oby ich śmierć nie poszła na marne...

- Już ci nie zależy na zemście? - dopytywał Luke, patrząc na przydrożny sosnowy las. - Poukładałaś sobie wszystko?

- Chyba nigdy do tego nie dojdzie... - odparła kobieta, chwytając za naszyjnik z kości. - W życiu jednak trzeba patrzeć wprzód. Siedząc w przeszłości, nigdy nie doczekamy przyszłości. Po prostu... utkniemy w miejscu, gdzie stanęliśmy.

- Nie wierzę... - powiedział Roussel, na chwilę kierując wzrok na swoją przyjaciółkę. - Czy faktycznie siedzi obok mnie pogrążona w refleksji Maggie Paylor?

- Jeszcze wiele o mnie nie wiesz - odparła z lekkim uśmiechem kobieta i spojrzała na zachód.

Patrzyła na promienie słońca, które w tym momencie zniknęło za horyzontem.

- Pamiętaj o tym, że dopóki mamy siebie, nic nam nie grozi. Przeszłość za nami, a nieznane dopiero nastąpi. I jeżeli to będzie coś okropnego, przejdziemy przez to razem.

- I tutaj wkracza nadzieja.

- I wiele niewiadomych - odparł Luke, ponownie patrząc na drogę. - Spróbuj wypocząć.

- Postaram się... - oznajmiła krótko Maggie, zastygając w obranej wcześniej pozycji. - Obudź mnie, jak zacznie świtać.

- Słodkich snów... - odparł Luke, po czym wbił wyższy bieg i przyspieszył, próbując nadażyć za prowadzonym przez Maxa SUV-em.

ROZDZIAŁ IV

PÓŁWYSEP CIENI

Alaska nie należała do miejsc, gdzie przeżycie w listopadzie było łatwe. Dni stawały się coraz krótsze, a temperatura w najlepszym przypadku wynosiła tylko kilka stopni poniżej zera. Dodatkowo przybierający na sile nieprzyjemny wiatr targał koronami świerków i bezlistnych brzoź. Czasem też padał śnieg, tworząc coraz to większe zaspę.

Niemal wszędzie w tej części kontynentu występowały lasy. Pośród nich znalazły schronienie stada karibu i watahy wilków polujących na niemal wszystko, co było w zasięgu. W ich jadłospisie poza jeleniowatymi były także lisy, łososie, jesiotry, a nawet sowy śnieżne, zwane także puchaczami. Jedynie niedźwiedzie grizzly mogły czuć się względnie bezpiecznie, drzemiąc w swoich jaskiniach i oczekując nadejścia wiosny.

Pomimo trudnych warunków pogodowych natura nadal dawała sobie tutaj świetnie radę. Jedynym miejscem, gdzie nie można było zobaczyć śladów życia, były masywne łańcuchy Gór Nadbrzeżnych. Południowa część Alaski była odcięta od Pacyfiku. W efekcie panujący tam klimat był suchy. W połączeniu z porywistymi wiatrami temperatura odczuwalna była znacznie niższa od faktycznej.

Minęły trzy dni, odkąd podróżni przekroczyli niegdysiejszą granicę Alaski. Postanowili nie robić zbyt długich postojów, dzięki czemu możliwie sprawnie pokonali kilkaset kilometrów. Jedynym problemem, z jakim mieli sporadycznie do czynienia, był głęboki śnieg, w którym czasem grzęzły koła furgonetki. W takich przypadkach podczepiano ją liną do SUV-a i przeciągano przez zasy.

W niektórych miejscach grupy Luke'a i Maxa miały ślady bytowania ludzi. Ruiny opuszczonych wsi i miasteczek nie zachęcały do ich przeszukania, zważywszy na pogodę i stan wszystkich budynków. Czasem tylko przykryte białym puchem fundamenty stanowiły jedyną pozostałość po tych, którzy niegdyś zamieszkiwali tamte miejsca.

Pomimo uroków przyrody największe wrażenie na podróżnych zrobiło Anchorage albo raczej to, co po tym mieście pozostało. Jedynie jego obrzeżami można

było pojechać dalej na południe, gdyż centrum po prostu nie istniało. Podczas trzeciej wojny światowej zrzucono tu bombę atomową, czego dowodem był ogromny krater. Promień powstałego po wybuchu leja wynosił ponad sześć kilometrów. Obecnie w tym miejscu rósł świerkowy las, a w epicentrum powstało niewielkie, zamarznęte, jezioro.

Był chłodny słoneczny wieczór. Obecnie podróżni znajdowali się w odległości ponad dwustu pięćdziesięciu kilometrów na zachód od ruin Anchorage i ponad dziewięćset od dawnej granicy Alaski. Nadal nie dojechali do oceanu, aczkolwiek wiedzieli, że ten moment prędzej czy później nastąpi. Nie tracąc nadziei, nieustannie jechali przed siebie, stopniowo zmniejszając dystans do Frank Cove.

Jechali po prostej asfaltowej drodze przez mieszany, brzozowo-sosnowy las. Nikt nie spał, a ci, co mogli, wypatrywali miejsca na zorganizowanie postoju. Interesował ich tylko zadaszony obiekt, gdyż każde z nich było zmęczone podróżą i chciało odpocząć w suchym miejscu. Szczególnie zależało na tym Luke'owi, który był bardzo chory.

Cierpiał na grypę, którą prawdopodobnie złapał w osadzie Matta: bandyty, którego zamordował Max. Z kolei lider drugiej grupy podróżnych dostał kataru i był tym faktem bardzo podirytowany. Pomimo to nie

narzekał, gdyż takie zachowanie strasznie denerwowało jego towarzyszkę, a on nie miał zamiaru ich drażnić.

Chris i Alex wyglądali na niewzruszonych zarówno otoczeniem, jak i swoimi towarzyszami. Byli zmęczeni i możliwie skupieni na jeździe, szukając miejsca na nocleg. Prowadzili samochody już od kilku godzin i jedyne, czego naprawdę pragnęli, to odpoczynku.

Maggie, Steve i Sarah siedzieli na tyłach furgonetki. Każde z nich próbowało trochę pospać, jednak twarde zawieszenie pojazdu i chłód były dla nich niemal nie do zniesienia. Przykryci kocami po prostu opierali się o ściankę dzielącą ich od Luke'a i Chrisa i czekali na zmiany.

Z kolei Kate i Ava z nudów czyściły broń, sortowały resztki zapasów i paliły papierosy. Ta ostatnia czynność drażniła Sama, który klął na dziewczyny. To jednak nie dawało pożądanego efektu i mężczyzna od czasu do czasu uchylał właz na dachu SUV-a i stawał za karabinem. Po chwili wracał zziębnięty i dalej narzekał na dym tytoniowy. Po tym jak się dostatecznie rozgrzał, powtórzył czynność i dopiero za trzecim razem odpuścił. Od tego momentu rozgoryczony jedynie obrażał Kate i Avę.

W furgonetce panowała dużo lepsza atmosfera, jednak z każdym przejechanym kilometrem Chris

stopniowo tracił dobry nastrój. W pewnym momencie zaczął rytmicznie uderzać palcami o kierownicę. Po chwili jego stukanie zaczęło drażnić Luke'a.

- Mógłbyś na chwilę przestać? - zapytał Roussel, opierając czoło o zimną szybę. - Łeb mi pęka od tego dudnienia.

- A, sorki... - odparł Chris, przerywając czynność. - Zapomniałem o tobie. Tak w ogóle te leki, które ci dali, działają?

- Niedługo zobaczymy... - odparł Luke, przecierając przekrwione oczy. - Na razie jest lepiej niż tragicznie. Dajcie mi pospać w cieple, to jakoś z tego wyjdę.

- Już niedługo dojedziemy na miejsce... Cholera wie, na co wpadniemy, ale nikt nie powinien nas już niepokoić. Wytrzymaj jeszcze trochę.

- Ja nie narzekam... - stwierdził Roussel, lekko uchylając szybę.

Momentalnie poczuł na twarzy chłodną bryzę. Powietrze było na tyle świeże i wilgotne, że mężczyzna zaczął przeczuwać, że ocean jest blisko. Nie widział jednak wybrzeża.

- Zamknij to okno, do cholery - oznajmił nerwowo Chris, nieco zwalniając samochód.

- Już niedaleko - odparł Luke, posłusznie wykonując polecenie przyjaciela. - Czujesz to samo co ja?

- Niby co? - odpowiedział pytaniem na pytanie Reese, bezrefleksyjnie patrząc na SUV-a.

- Tę wilgoć w powietrzu...

- Nie może być... - odrzekł kierowca, wyraźnie ożywiony tą odpowiedzią.

Mężczyzna niezwłocznie uchylił boczną szybę i sam od razu poczuł morskie powietrze. Połączył ten fakt z przypuszczeniem, że niedługo nastąpi postój. Wprawilo go to w niemałe zadowolenie.

- Lepiej pilnujmy Alexa - odrzekł Luke, czując nagły przypływ mrozu, i próbował się ogrzać, pocierając dłońmi. - Max i jego grupa są odpowiedzialni za ustalanie miejsc na obozowiska.

- Heh... - westchnął Chris, zakręcając szybę, i ponownie skupił uwagę na jeździe. - Kiedy powrócą czasy, że tylko ty decydowałeś o robieniu przerw?

- Chyba nigdy, ale teraz jest dobrze.... I ze mną lepiej.

- Jakoś na takiego nie wyglądasz. Gdy nie znaleźmy Maxa, to było jakoś tak normalnie... z nim też nie jest najgorzej i nawet bezpiecznie. To jednak nie to samo jak wtedy, kiedy byliśmy niezależni. Cokolwiek zrobimy, musimy się z nimi dogadywać. Nie ma w tym nic złego poza tym, że nie mamy zbyt wiele do powiedzenia.

- Przecież ze mną szło nam o wiele gorzej - odparł Luke. - Najważniejsze, że żyjemy i przemy do

przodu.

- Ech... po prostu wcześniej czułem wolność, a od kilku dni wszystko wygląda dla mnie zupełnie inaczej...

- Lepiej olej takie myślenie i skoncentruj się na jeździe. Poza tym prawdopodobnie Max i Alex coś kombinują...

- Nie chrzań, że dojechaliśmy... - odparł Chris, widząc zwalniającego i skręcającego w prawo do świerkowego lasu SUV-a.

- Zaraz chyba zobaczymy to, na co tak długo czekałem - dumnie powiedział Luke, patrząc na samochód drugiej grupy.

Oba pojazdy zjechały z głównej drogi i powoli przejechały przez wąską, zaśnieżoną, leśną ścieżkę. Pomimo kiepskiego stanu nawierzchni kierowcy poradzili sobie z prowadzeniem. Po kilkudziesięciu metrach dojechali do miejsca, które niemal wszystkich wprawiło w zadowolenie.

Ujrzeni przed sobą niewielki plac, przy którym stał parterowy dom jednorodzinny. Na pierwszy rzut oka obiekt wyglądał na zamieszkany. Ciemnozielona, pokrywająca ściany farba wyglądała, jakby jeszcze kilka lat temu ktoś dbał o to miejsce. Solidne drewniane drzwi nadal znajdowały się we framudze, żadne z okien nie było uszkodzone, a ceramiczne jasnobrązowe dachówki na swoim miejscu.

Zaraz po tym jak Chris i Alex zaparkowali samochody tuż przed domem i wyłączyli silniki, wszyscy wyszli na zewnątrz. Następnie podszli do drzwi wejściowych i uważnie nasłuchiwali dźwięków otoczenia. W tym momencie Luke'a zaintrygował cichy szum dobiegający zza linii drzew. Teraz jednak uznał, że należało to zignorować.

Po tym jak każdy, kto posiadał broń, odbezpieczył ją, Max stanął tuż przy drzwiach i wykonał kilka gestów. Niemal każdemu nakazał, aby się rozproszyć, ale zostawił przy sobie tylko Alexa. Kate, Sama i Awę skierował na prawą stronę domu, a grupę Luke'a na lewą. Kiedy wszyscy zajęli wyznaczone miejsca, czekali na dalsze instrukcje. Byli wielce zdziwieni, widząc, co robi Max. Nieoczekiwanie Arrington zapukał w drzwi ręką rewolweru i zaczął nasłuchiwać. Stał tak w bezruchu i milczał przez kilkanaście sekund. W końcu postanowił dłużej nie zwlekać i kilkoma solidnymi kopnięciami próbował wyważyć drzwi. Początkowo zawiasy wytrzymały, ale przy dłuższym użyciu siły przez Maxa i Alexa w końcu puściły.

Kiedy wejście do budynku było możliwe, niemal wszyscy rozpoczęli przeszukanie. Jedynie Luke pozostał na zewnątrz i zwrócił uwagę na szum, który go już wcześniej intrygował. Instynktownie poszedł w kierunku źródła dźwięku, przy okazji obchodząc

i obserwując mijany przez siebie dom.

Obiekt pomimo stosunkowo niewielkich rozmiarów miał drewniany, osłonięty balustradą taras, który umocowano nad dość stromym, porośniętym drzewami zboczem. Kilka solidnych belek podpierało go od dołu, tym samym podtrzymując konstrukcję. Luke bez namysłu przeskoczył przez barierkę i podszedł do drzwi tarasowych. Nie mogąc przesunąć ich od zewnątrz, po prostu spojrzał za siebie i w dal. To, co zobaczył, zaparło mu dech w piersiach.

Ujrzał to, czego od wielu miesięcy pragnął. Zobaczył szeroką na kilkadziesiąt kilometrów zatokę prowadzącą do oceanu. Doskonała widoczność umożliwiła mu dostrzeżenie ogromnej, pokrytej w całości śniegiem góry, która znajdowała się na drugim brzegu. Dodatkowo zauważył sporą, długą na dwadzieścia kilometrów wyspę. Była dość wypiętrzona i nie porastała jej żadna roślinność. Jedynie niemożliwe do zliczenia gromady mew zbudowały tam swoje gniazda. Obecność tych ptaków stanowiła dla Rousseła dowód na to, że w końcu dojechali nad ocean.

Luke na moment zamarł w milczeniu, podziwiając ten widok i kompletnie ignorując wszystko dookoła. Dopiero kiedy ktoś otworzył drzwi tarasowe, spojrzał

za siebie.

- Nie powinieneś tak stać na zewn... - próbowała powiedzieć Maggie, podchodząc do podróżnego. - O...

To, co zobaczyła, także ją zszokowało. Zarówno ona, jak i Roussel podziwiali niesamowity dla nich krajobraz. Trwało to przez dobre kilkanaście sekund, zanim kobieta poczuła na sobie silniejszy podmuch wiatru. Przeszedł ją dreszcz, a ona mimo wszystko, wraz z towarzyszem, podeszła do drewnianej balustrady.

- Niesamowite - zdołała wydusić z siebie. - Więc tak właśnie wygląda ocean...

- Może to nie są otwarte wody, ale właśnie poczułem, że jestem bliżej swojego celu... Bliżej domu...

- Pierwszy raz coś takiego widzę - oznajmiła Maggie, jedną ręką obejmując Roussela. - I czuję taki wiatr...

- Niesamowite uczucie, prawda? - retorycznie zapytał Luke, kładąc dłoń na ramieniu kobiety. - Tak wiele przeszliśmy i poświęciliśmy, aby w końcu tu być... ech...

- Po prostu zapomnijmy na chwilę o wszystkim. O całym świecie i zwyczajnie pomilczmy...

- Heh... jeszcze nie poznałem cię od tej strony - powiedział Luke, nie kryjąc entuzjazmu, i spojrzał na

nabrzeże.

Ujrzał szeroką na kilkadziesiąt metrów piaskową plażę. Jej brzeg muskały spokojne fale. Żeby tam dojść, trzeba było zejść po stromym, porośniętym świerkami klifie.

- Powinniśmy tam pójść, ale najpierw obowiązki - oznajmił, chowając ręce do kieszeni. - Jak tam dom?

- Jest pusty - niespodziewanie odpowiedział na to pytanie Max i wyszedł na taras. - Trzy pokoje, salon, kuchnia i łazienka. Pełne wyposażenie, ale brak ubrań, żywności i wody. Poza tym w środku panuje zaduch i jest pełno kurzu. Jesteśmy pierwszymi, którzy tu od dłuższego czasu przyjechali.

- To znaczy...? - dopytywał Luke.

- A bo ja wiem... - odrzekł Arrington, podszedł do rozmówcy i oparł się o balustradę. - Na pewno od kilku lat. Porzucić taki dom to coś dziwnego, ale wszystko wskazuje na to, że tak właśnie ktoś zrobił. W każdym razie wszystko tutaj wygląda nieźle. Nawet ten widok.

- Zostaniemy tu na noc? - zapytała Paylor, patrząc na lidera drugiej grupy.

- Jak najbardziej. Musimy tylko wybadać teren i ogarnąć syf w środku. Kate ma alergię na kurz. Jeśli szybko czegoś z tym nie zrobimy, to kobieta chyba dostanie pylicy.

- Nie będziecie mieli nic przeciwko, jeśli ja

i Maggie pójdziemy na krótki spacer? – zapytał Luke, zmieniając temat.

– A śmiało, droga wolna – odparł Max, nie kryjąc szelmowskiego uśmiechu. – Jak was nikt nie postrzeli i nie wykończy cię grypa, szalej do woli.

– Hulaj dusza, piekła nie ma – dodał Alex, wychodząc na taras. – Róbcie, co chcecie, ja i Ava idziemy na zwiad. Niby wszystko wygląda fajnie, ale musimy mieć pewność, że nic nam tu nie grozi.

– Coś sugerujesz? – zapytał zaintrygowany tymi słowami Max.

– Lepiej zapobiegać niż zabić – odparł Walsch, wskazując palcem na południe. – Widzicie tę antenę?

– To mi wygląda na wieżę transmisyjną – odrzekł Arrington, spoglądając na oddalony o blisko osiemset metrów obiekt.

Zważywszy na odległość, dostrzeżenie wszystkich elementów konstrukcji było nieosiągalne. Pomimo nieustannego wpływu oceanu na szkielet, którego większość pokrywała rdza, to było zbyt mało, aby powalić wysoką na kilkadziesiąt metrów wieżę.

– Skoro chcecie tam iść, nie będę wam bronił – oświadczył Max. – Bierzecie auto?

– Nie ma potrzeby. Wystarczy nam broń, prowiant, koce i dynamit.

– Bierzcie, co tylko potrzebujecie. Dobra... to ja idę do środka, a wy, gołąbeczki, jak tak bardzo

chcecie odrobiny prywatności, to lećcie na plażę. Tylko wróćcie niedługo na kolację. Zostały nam resztki zapasów.

- Ostatnie pytanie... - wtrącił od siebie Luke. - Jak myślisz... dojedziemy jutro do Frank Cove?

- Co prawda bez jedzenia, na oparach benzyny, ale damy radę... - odpowiedział Max, powoli wracając do wnętrza budynku. - Teraz o tym nie myśl i ruszaj na przygodę.

- Dzięki za informację - oznajmił Luke, podchodząc do lewej części pomostu, a następnie przeskoczył przez barierkę.

Również Maggie opuściła taras w taki sam sposób jak Roussel. Oboje, nie tracąc czasu, poszli w stronę plaży. Ostrożnie schodzili po ostrym klifie, pomagając sobie i chwytając się konarów drzew.

Po chwili stanęli na wilgotnym piasku. W tym miejscu zaintrygował ich fakt, że tuż przy brzegu było kamieniście. Zobaczyli także kilka sporych rozmiarów głazów o ostrych krawędziach. To trochę ich zdziwiło, ale mimo wszystko oboje wyruszyli na krótki spacer.

- Jestem teraz bardzo szczęśliwa - oznajmiła Maggie, po chwili przerywając ciszę.

- Tak samo i ja - dodał Luke, patrząc na mewy unoszone na falach. - Nie jestem w stanie zliczyć, ile razy mogłem stracić życie, aby tu teraz być. Nawet

nie wierzyłem, że opuszczę dawne Stany Zjednoczone. Wszystko dzięki wam i waszemu poświęceniu.

- Nie zapominaj, że każdy siedzi po uszy w gównie - oświadczyła kobieta, niespodziewanie kucając i podnosząc wypatrzone przez siebie znalezisko. - Ładne, co to takiego?

Luke zerknął na połyskujący drobny obiekt. Od razu poznał, że był to tylko fragment szkła, które zostało wygładzone przez wieloletni wpływ oceanicznych fal.

- To tylko odprysk od zielonej butelki. Kto wie, ile ma lat...

- Jest cudowny - zadeklarowała Paylor, chowając znalezisko do kieszeni. - Ponoć ocean jest słony. To prawda? Przepraszam, że zadaję takie pytania, ale...

- Przecież dopiero po raz pierwszy oglądasz takie widoki. Nie ma w tym nic dziwnego. Tak, wody są w nim słone. Nie warto jednak tego sprawdzać, bo można się rozchorować. Zamiast tego mamy dużo śniegu.

- Brrr... strasznie zimno... - oznajmiła Maggie, chowając ręce w kieszenie spodni. - Musimy szybko znaleźć jakiś sklep i kupić nowe ubrania.

- Jest tyle rzeczy, które trzeba załatwić... najważniejsze, żeby jutro dojechać do Frank Cove. W tej kwestii pogadamy z Maxem. Potrzebna nam

jeszcze jakaś kwatery, jednak o tym pomyślimy na miejscu...

Niespodziewanie podróżny stanął, gdyż jego uwagę przykuło kilka odpoczywających nad brzegiem oceanu fok. Zwierzęta szybko wyczuły obecność ludzi i prędko zanurkowały w lodowatych wodach Pacyfiku.

- Teraz nie warto się tym przejmować - powiedział entuzjastycznie i wznowił marsz. - Pozostało czerpać radość z tego, co mamy, i że czeka na nas lepsza przyszłość... tak przynajmniej czuję.

- O ile nie wpadniemy w podobne bagno jak ostatnio.

- Od kilku dni jesteśmy pozostawieni sami sobie - stwierdził Luke i kilkakrotnie kaszlnął. - Zero stresu, zabijania i podejmowania ryzyka. Gdyby tylko ta grypa odpuściła, byłoby dla mnie idealnie.

- Za chwilę wrócimy do naszych - oświadczyła Maggie, zatrzymując się w miejscu. - Powinieneś wziąć leki i okryć się kocami.

- Spokojnie, na wirusy jestem dość odporny - oznajmił entuzjastycznie Luke i przyłożył dłoń do czoła. - Kilka chwil nad morzem nie powinno mi zaszkodzić. Poza tym i tak za kilka dni wyzdrowieję.

- Oby - odparła krótko Paylor i wyciągnęła z kieszeni misia, którego podarował jej Ray.

Luke, widząc suvenir, lekko posmutniał

i podszedł do kobiety. Następnie ją delikatnie objął. Niespodziewanie po jej policzku spłynęła łza.

- Mogliśmy chociaż wrócić i go pochować - po kilku sekundach oznajmiła, nie odwracając wzroku od maskotki, którą podarował jej nieżyjący przyjaciel.

- Ciekawe, czy ktoś pogrzebał Jacka.... Tak samo Petera i wielu innych, których znaleźliśmy... jedynie urządziliśmy pogrzeb Samantha...

- Jeśli wyrzucę tego misia do oceanu, czy chociaż to cokolwiek zmieni? Chyba nie...

- To zależy... chociażby od tego, co tak naprawdę czujesz w środku. Jeśli chcesz zostawić tego misia jako pamiątkę po nim, to będzie symbol waszej przyjaźni. Jeżeli wyrzucisz go z myślą, że pochowasz przyjaciela, będzie ci lżej. Nie jest ważne to, co widzisz, ale czujesz... oczywiście dotyczy to tylko ciebie. Czym jednak są dla ciebie inni w obliczu twojego cierpienia? Tylko ty jesteś dla siebie najważniejsza. Więc jeśli uważasz, że ten gest sprawi, że poczujesz ulgę, to po prostu to zrób. Gdy masz jakiegokolwiek wątpliwości... poczekaj na lepszy moment.

- Nie mogę wiecznie z tym zwlekać - odparła Maggie, niespodziewanie przytulając Luke'a.

- To prawda... nie mamy całego życia na podejmowanie niektórych decyzji. Zmarłych to jednak nie dotyczy. Zrób, co uważasz i kiedy tego

będziesz pewna.

W odpowiedzi na te słowa kobieta gorzko zapłakała i cisnęła do wody niewielkiego misia. Maskotka przez chwilę dryfowała na powierzchni, jednak w końcu nasiąknęła wodą i zniknęła w odmętach oceanu. Najwidoczniej miała w sobie coś ciężkiego.

- Tak bardzo za nim tęsknię - oznajmiła kobieta, kucając i nieustannie roniąc łzy.

- Mnie również go bardzo brakuje... - odparł Luke, pochylając się nad kobietą. - Jednak dobrze wiesz, czego chciał Ray i o co mnie poprosił. Jestem tu dla ciebie i nigdy nie pozostaniesz osamotniona.

Maggie nic nie powiedziała. Pograżona w smutku utraciła kontakt z rzeczywistością. Roussel poczekał chwilę, aż ona opanuje emocje, po czym ją delikatnie podniósł, objął i powoli prowadził z powrotem do reszty podróżnych.

- Wracajmy do swoich - oznajmił. - Zaraz będzie nam nieprzyjemnie zimno.

- N-nie mogą mnie takiej zobaczyć - odparła Paylor, ocierając łzy.

- Wręcz przeciwnie i każdy to zrozumie - oświadczył Luke i niespodziewanie chwycił kobietę za rękę. - Wszyscy jesteśmy twoimi przyjaciółmi.

- Niektórzy nie są nam przychylni - powiedziała kobieta, obejmując za szyję podróżnego.

- Kogo masz na myśli?

- Williamsów, Avę i Sama. Ci ludzie nam nie ufają. Nie jestem w stanie przy nich spokojnie zasnąć.

- Dajmy im więcej czasu... - odparł Roussel, patrząc w stronę domu, w którym przebywała większość jego towarzyszy. - Ava i Sam potrzebują go trochę na zgranie...

- A Steve i Sarah? Co z nimi? Znamy ich już dość długo, a oni nadal coś kręcą.

- Może po prostu tacy są. Tymczasem róbmy to, co do nas należy, i dojedźmy cało do Frank Cove. Ponoć oni także zadeklarowali, że wyruszą z nami do Europy?

- Ech... ponoć - westchnęła Maggie, powoli puszczając towarzysza. - Jedno, co ktoś mówi, a drugie, co robi. Na mnie i Chrisa możesz liczyć. Jeśli chodzi o resztę... po prostu uważaj na siebie.

- Ty także - odparł Luke i niespodziewanie kilkakrotnie kichnął. - W każdym razie możesz mieć rację, aczkolwiek ja ufam Steve'owi i Sarah.

- Jak myślisz, co będzie na kolację? - zapytała Paylor, zmieniając temat.

- Oby coś ciepłego... bardzo tego potrzebuję. Także przeczuwam, że Max nie da nam tej nocy zbyt wiele pospać.

- Niech go szlag trafi... - oświadczyła Maggie

i wyprzedzając podróżnego, powoli zaczęła się wspinać po klifie.

- Wolałbym, żeby było inaczej - odrzekł Luke, po kilku sekundach doganiając kobietę. - To dobry człowiek... aczkolwiek...

- Aczkolwiek? - dopytywała kobieta, niemal kończąc wspinaczkę.

- To dobry człowiek - poprawił odpowiedź Luke. - Tylko ma niekonwencjonalne metody działania...

- Więc niech lepiej coś ciepłego zorganizuje, skoro jest taki fajny - oświadczyła Maggie, podchodząc do tarasu domu, w którym domyślnie przebywali ich towarzysze.

- Coś wykombinuję - niespodziewanie odparł Max, podchodząc do towarzyszy, a następnie pomógł im przejść przez balustradę. - Chodźcie za mną.

Troje podróżnych niezwłocznie weszło do środka domu. W tym momencie Luke mógł obejrzeć miejsce, w którym obie grupy spędzą najbliższą noc. Pierwsze, co zwróciło jego uwagę, to rozpalony w rogu pomieszczenia kominek z kratką, na której podgrzewało się kilka porcji mięsa karibu i kociołek wody. Następnie ujrzał dwie kanapy rozmieszczone na przeciwległych końcach pomieszczenia. Na jednej z nich siedzieli odpowiednio Chris, Kate, Steve, Sarah i Sam. Wszyscy wyglądali na rozleniwionych.

- Do ciężkiej kurwy nędzy, zamykaj drzwi! -

przeklął Sam, wstając i domykając przejście.

- I po co tak drzesz mordę? - odrzekł entuzjastycznie Max. - Przyproważyłem zguby. Łaziły po plaży i bardzo zmarzły. Jakby tego było mało...

Niespodziewanie Max kichnął. To spowodowało, że Kate wstała i wyjęła ze swojej kieszeni dwa opakowania tabletek. Niezwłocznie podeszła do chorych mężczyzn i rozdała im stosowne leki.

- Zamiast gadać jak nakręceni, może byście w końcu zadbali o siebie - oznajmiła surowym tonem. - Jak tak dalej pójdzie, to wszystkich pozarażacie.

- Spokojnie, nie będziecie przeze mnie chorzy - oznajmił Arrington, przyjmując darowaną mu tabletkę. - Poza tym to w ogóle ma pomóc na katar?

- Nie dyskutuj i łykaj - odparła kobieta, ponownie siadając na kanapie.

- Można prosić o trochę wody? - zapytał Luke, zażywając farmaceutyk, i również usiadł, ale tuż przy kominku.

- W kotle masz trochę podgrzanej - odparł Chris. - Twoje zdrowie.

Luke niezwłocznie zdjął pojemnik z wodą. Następnie sprawdził, czy się nie oparzy, a potem zaczął pić do czasu, aż ugasił pragnienie. Na koniec odłożył naczynie na swoje miejsce.

- Tego mięsa przypadkiem nie sfajczyliście? -

zapytał, wysuwając lekko kratkę, na której była przygotowywana kolacja.

- Kto chce, niech zre - oznajmiła Kate, spontanicznie kładąc głowę na ramieniu Chrisa.

To wywołało u mężczyzny mieszane odczucia, aczkolwiek tym razem postanowił on zignorować zachowanie towarzyszk.

- Nie wiem jak wy, ale ja jestem strasznie głodny - zadeklarował Max, wyciągając z ognia kawałki mięsa.

Następnie rozdał je wszystkim zebranym. Jedynie Alex i Ava przebywali na zewnątrz i zamiast jeść ciepłą kolację, najzwyczajniej byli na patrolu.

- Ech... oni zmarzną na tej antenie... - westchnął Arrington, wgryzając się w mięso karibu. - Dobrze jest mieć służbistów w zespole.

- Tym gorzej dla nich - odparł Luke, zdejmując kurtkę. - To miejsce jest rewelacyjne. Nie mam pojęcia, czemu ktoś je porzucił.

- Może miał ku temu poważne powody... - wtrącił Chris. - Pamiętacie Hopetown i to coś, co żyło w tamtych rejonach?

- Nawet mi o tym nie przypominaj... - poprosiła Sarah, nie kryjąc oburzenia. - Mamy dość spraw na głowie i nie chcę, abyśmy się jeszcze przejmowali jakimiś mutantami.

- Święte słowa - oznajmił Max, dojadając kolację

i zdejmując z ognia kociołek z wodą. – Najważniejsze, że mamy tu ciepło i miejsce do spania. Poza tym nasi pilnują okolicy.

– Mimo wszystko powinniśmy być czujni – oznajmiła Kate, zamykając oczy, i niespodziewanie przytuliła Chrisa.

– Eee... – próbował cokolwiek powiedzieć mężczyzna, ale zanim zdołał przemówić, Nix przyłożyła mu palec do ust.

– Ciiiiicho, tu mi dobrze.

– Widzę, że wam bardzo fajnie – odparł Arrington, nie kryjąc zazdrości. – Szkoda, że do mnie się tak nie lepsz. Zanim jednak pójdziemy spać, musimy obgadać pewne sprawy. Pamiętacie jeszcze o Frank Cove?

– Jak moglibyśmy zapomnieć – odparł Steve, patrząc na siostrę. – Musimy tam jak najszybciej trafić. Tu nie jest bezpiecznie.

– Mówiłem, bez nerwów, wszystko jest obstawione. Dzisiaj możemy spać spokojnie. Nasi umierają z zimna na wieży i widzą cały rejon w promieniu kilkunastu kilometrów.

– Gorzej będzie, jak nadejdzie noc – oznajmił Sam. – Wyobraź sobie, że podjedzie po nas banda czarnych nindza. Kto ich wypatrzy?

– O kurwa, człowieku... toś teraz dowalił – odparł Max, dławiąc się ze śmiechu. – Abstrahując od

mrocznych Azjatów, którzy zabiją nas podczas snu, nie mamy powodów do obaw.

- Nie doceniasz wroga... - stwierdził Casson, nieprzerwanie jedząc mięso.

- Przecież... a zresztą... tobie nie przetłumaczę. Teraz to jednak dowaliłeś...

- Albo ja, albo oni! - oznajmił czarnoskóry, kończąc kolację. - Nie wiem jak wy, ale ja pójdę spać. Wy róbcie, co chcecie. Który pokój brać?

- Jaki chcesz - oznajmił Steve. - Miejsca wystarczy dla wszystkich.

- Ty na pewno wszędzie się wciśniesz - nietaktownie zażartował Sam, kiwając głową na pożegnanie reszcie podróżnym.

Tymczasem Chris dojadł posiłek, a następnie odbezpieczył obrzyna i wygodniej usadowił się tuż obok przysypiającej Kate.

- To my też dla siebie znajdziemy jakiś ką... - oznajmił Steve, próbując wstać.

- Zanim pójdziesz spać... mógłbym cię prosić na małą pogawędkę? - zapytał Williamsa Luke.

- J-jasne, ale czuję, że to nie oznacza nic dobrego - odparł Steve i żegnając siostrę, szepnął jej coś do ucha.

- Przecież nie zrobię ci krzywdy - oznajmił Roussel, dojadając posiłek, i wolnym krokiem podszedł do drzwi tarasowych. - To tylko taki mały

wywiad na dobranoc...

- Ech... jak tam chcesz... - westchnął Steve, również kończąc kolację, a następnie poszedł za podróżnym.

W momencie gdy mężczyźni wyszli na taras, Luke zamknął drzwi i powoli podszedł do balustrady. Williams postąpił podobnie, aczkolwiek nie był pewny tego, co go czeka. Wyczuwał nieuzasadnione napięcie w powietrzu.

- Ech... Steve - westchnął Roussel. - Wiesz, że bym cię tutaj nie wyciągał, gdyby nie chodziło o coś poważnego?

- Nie rozumiem, czego ode mnie możesz chcieć - odparł Williams, bezrefleksyjnie patrząc na ocean. - Pierwszy raz robisz taki numer, że musisz z którymś z nas porozmawiać na osobności. Mów od razu, o co ci chodzi, bo można oszaleć.

- Jesteś zmartwiony o nas czy tylko o Sarah? Tylko szczerze.

- Patrę prawie tak samo na wszystkich - odparł lekko zmieszany tym pytaniem Steve. - No... może ciut bardziej o własną siostrę. Co to w ogóle za pytanie?

- Cóż... nie będę kombinował i powiem, jak sprawy wyglądają. Od jakiegoś czasu coś dziwnego się z tobą dzieje. Krążą nawet plotki, że nie jesteś zadowolony z naszego towarzystwa. Jeśli możesz, to

powiedz, jak jest naprawdę...

W odpowiedzi Williams odwrócił wzrok i w milczeniu zaczął spoglądać na ocean. Trwało to dobre kilkanaście sekund. Kiedy mężczyzna w końcu zebrał myśli, głęboko westchnął i zamknął oczy.

- Wszystko w porządku. Po prostu ostatnio ze mną jest nie najlepiej. Dopóki wy nie przyjechaliście do Falltown, ja i Sarah byliśmy względnie bezpieczni. Po tym jak Derrick nas aresztował i cholera wie, co by potem zrobił, utraciliśmy coś, co było dla nas bardzo ważne...

- Mianowicie?

- Niczego więcej dla siebie i swojej siostry nie pragnę, jak stabilizacji i bezpieczeństwa. Bycie w podróży i spanie w ciągłym stresie nie działa na mnie zbyt dobrze.

- Ech... Mogłeś wcześniej o tym wspomnieć... - westchnął Luke. - Przecież zawsze mieliście prawo wrócić do Hopetown i pomagać burmistrz Elizabeth Harmon.

- Przypadkiem wyszło, że przy niej się kręcą typy z ASO - cynicznie oznajmił Williams. - Może wtedy o tym nie wiedzieliśmy, ale dzięki ci, losie, że tam nie zostaliśmy. Pewno do tego czasu bylibyśmy martwi.

W odpowiedzi na te słowa Luke lekko sposepniał i skierował wzrok na zachód, patrząc na z wolna zanikające za horyzontem słońce.

- Steve... chyba pamiętasz, że nikogo tak naprawdę przy sobie siłą nie zatrzymuję. Jesteście wolnymi ludźmi i w każdym momencie możecie iść w swoją stronę. Jeżeli kiedykolwiek poczujesz nagłą potrzebę, aby gdziekolwiek wyruszyć, to tylko przemyśl to dwa razy i weź pod uwagę swoją siostrę. Jeśli przyjdzie nam nawet niedługo się pożegnać, to nie pozostaje mi nic innego, jak uszanować waszą, powtarzam, waszą decyzję.

- Przyjąłem do wiadomości...

- Jednak póki z nami jesteście, musimy sobie ufać i trzymać się razem. Niektórzy gadają to i owo i myślą, że możecie nas porzucić w najmniej oczekiwanym momencie. Takie przeczucia o was są od numeru w Greenwoods. Steve... możemy wam zaufać?

- Ech... - westchnął mężczyzna, przeczesując ręką włosy. - Śpijcie spokojnie. Nie wiem tylko, czy wtedy gdy odpłyniecie na zachód, będziemy tam razem z wami. Wszystko zależy od tego, co nas spotka w Frank Cove...

- Przynajmniej jesteś szczery - oświadczył Luke, podsumowując rozmowę, i zaczął wracać do reszty grupy. - To najważniejsze. A teraz chodźmy lepiej do środka, bo się jeszcze na dobre pochorujemy.

- To chyba oczywiste... po co miałbym...

- Dzięki - wtrącił entuzjastycznie Luke

i zatrzymał się tuż przy drzwiach. - Nie ma powodu do dalszego tłumaczenia.

- I niech tak już zostanie - oznajmił Steve, mijając Roussela, i pierwszy wszedł do domu.

Kiedy obaj mężczyźni byli w środku, zauważyli, że w pomieszczeniu z kominkiem przebywali już tylko Chris i Kate. Oboje zasnęli przytuleni do siebie na kanapie. Ona z własnej woli, a on z konieczności, gdyż nie miał sumienia wybudzać jej ze snu. Tuż obok nich stał naładowany, gotowy do użycia obrzyn.

- Idę poszukać siostry - zadeklarował Williams, idąc w głąb domu. - Do zobaczenia jutro, Luke. To będzie ważny dla wszystkich dzień.

- Spokojnej nocy... - odparł mężczyzna, wolnym krokiem idąc za rozmówcą. - Ciekawe, gdzie poszedł Max...

Kiedy Roussel przechodził obok pokoi, w jednym z nich dostrzegł samotnie śpiącą Maggie. Kobieta zajęła niewielkie pomieszczenie, w którym stało tylko pod oknem łóżko. Paylor była przykryta kocem pod samą szyję, ale mimo to nadal sprawiała wrażenie, że mogło być jej zimno. Luke uznał, że lepiej jej nie ruszać, gdyż mogłoby to ją obudzić. Zamiast tego delikatnie zamknął drzwi i wrócił do poszukiwania Maxa.

Kiedy mijał kolejny pokój, zerknął do środka. Dostrzegł tam Steve'a leżącego na podwójnym łóżku

tuż obok swojej siostry. Nieopodal na fotelu chrapał Sam, który podobnie jak Maggie równie ciężko znosił panujący w tej części domu chłód. Roussel również tym razem postanowił dyskretnie zamknąć drzwi. Po tej czynności nieco przyspieszył kroku i poszedł do wyjścia z budynku.

W momencie gdy podróżny wyszedł na zewnątrz, rozejrzał się dookoła. Pomimo półmroku zdołał wypatrzyć Maxa, który, ku jego zdziwieniu, stał na środku drogi, którą mieli dalej pojechać do Frank Cove. Lider drugiej grupy spoglądał na południe, skupiając wzrok na jednym punkcie.

Luke, dłużej nie czekając, minął zaparkowaną furgonetkę i SUV-a, a następnie zaczął iść w stronę Arringtona.

- I co ty tam widzisz? - zapytał, podchodząc do Maxa.

- Awę. Dziewczyna tu wraca.

- A Alex? - zapytał Roussel; wytyczając wzrok, dostrzegł idącą ku nim kobietę.

- Pewno dzisiaj zabaluje na antenie. Najważniejsze, że ma co jeść i trochę spokoju. Ja tam nie mam zamiaru z nim dyskutować. Niech robi, co chce. Tylko martwią mnie te nadchodzące chmury...

- Jak myślisz... sypnie dziś w nocy?

- Cholera go wie... - odparł Arrington, odchodząc na kilka kroków od podróżnego. - Zdaj sobie jednak

sprawę, że nieważne, co nastąpi, będziemy w trasie. Gorzej, że możemy mieć problemy z widocznością, jak zaczną padać śnieg i zerwie się mocny wiatr.

- W sumie nie pomyślałem o tym...

- Poza tym nawet jak dojedziemy do Frank Cove i to miejsce będzie odpowiednie do życia, nie wiadomo, czy pogoda pozwoli nam opuścić Amerykę. A przyznam, że dobrze by było raz na zawsze opuścić te rejony.

- Co wy tam chrzanicie? - nieoczekiwanie spytała Ava, podchodząc do liderów obydwu grup. - I po jaką cholere stoicie na dworze? Przecież od zwiadu byłem ja i Alex.

- Co z nim? - zapytał Max. - Byliście na górze? Masz dla mnie coś ciekawego?

- Czysto, nikogo poza nami nie ma w okolicy. Widoczność jest kiepska, ale uznaliśmy, że jesteśmy względnie bezpieczni. A Alex... cóż... facet lubi siedzieć sam.

- I jak dobrze rozumiem, nie będziesz mu w tym przeszkadzać i zostawisz go tam na całą noc? A jeśli coś mu się stanie, to nikt nie będzie mógł mu pomóc. Poza tym planujecie zmianę warty? Walsch to w końcu nasz kierowca, a taki też potrzebuje snu.

- Tiaaaa, chyba śniesz - odparła Ava. - Gościu jest padnięty, ale jeszcze tę noc wytrzyma. Przynajmniej tak gadał, ale jutro na niego nie licz. Będzie poza

akcją.

- To planujesz go zmienić czy nie? - dopytywał Max.

- Dobra, już dobra... wsiądę w to pieprzone auto i podjadę do niego. Już bez żadnej spiny. Teraz sorki, ale muszę iść spać. I mam gdzieś, co z nami będzie w ciągu kilku najbliższych godzin. Po prostu dajcie mi swoje odespać, a jutro nie wchodźcie mi w drogę.

- Niech będzie po twojemu... - oznajmił Max, widząc, jak kobieta pewnym krokiem zmierza do domku, gdzie prawdopodobnie wszyscy już spali.

Kiedy Ava zniknęła Luke'owi i Maxowi z oczu, obaj odetchnęli z ulgą. Następnie podeszli do SUV-a i do niego wsiadli. Podczas gdy Roussel kasłał i próbował możliwie wygodnie usiąść na fotelu, Arrington przekręcił kluczyk w stacyjce, tym samym włączając w aucie klimatyzację i radio.

Ku zdziwieniu mężczyzn obaj usłyszeli szum, z którego można było wychwycić pojedyncze słowa. Przypadkiem natrafili na częstotliwość aktualnie używaną przez nieznaną im osoby.

- Ssss... Sokół jeden... sssssss... mówi... sssssss... jak się ma... sssss... odbiór.

- Jest spokojnie... sssss... mamy wszystko na... sssss... nie... ssss... dobrze to wygląda... sssss... co mamy... sssssss.

- *Będziemy musieli uważ... ssssss... postępuj według... sss...*

- *Aby... ssssss... kod żółty? ... sssss.*

- *Tak... ssssss... bez odbioru... ssssss.*

- Ech... cholera... - westchnął Luke. - Jak myślisz... Frank Cove?

- Kij wie... - odparł z równym rozgoryczeniem Max. - Już nic dzisiaj nie zdziałamy.

- Lepiej zostaw to radio włączone. Może niedługo usłyszymy coś więcej.

- Zdajesz sobie sprawę, że ja będę musiał tu teraz siedzieć i słuchać tego badziewia całą noc? Prędzej zasnę, niż cokolwiek wychwyć. Poza tym ASO tu nie ma nic do gadania, więc prawdopodobnie są to chłopaki z FK.

- Słuchaj... wiesz, że jeszcze nie tak dawno temu służyłem w EDP. Nieważne, czy to wojskowi, czy nie, możemy być w lekkiej dupie. Jeżeli właśnie wyłapałeś sygnał przez CB radio, to zasięg tego badziewia może być dowolny...

- Spokojnie... gdyby byli blisko, usłyszelibyśmy wszystko - odparł Arrington, nie kryjąc entuzjazmu. - Poza tym wierzę w Alexa i jego podejście do sprawy. Zresztą w nocy i w taki ziąb nie powinno się komukolwiek nawet chcieć patrolować. Poza tym nikt tak naprawdę nie wie, gdzie jesteśmy.

- Nie byłbym tego do końca taki pewien...

- Ty już lepiej idź spać - oznajmił Max, kładąc nogi na desce rozdzielczej. - Posiedzę tu sobie do przyścia Avy i do tego czasu poobijam się trochę. Dobrze widzę w nocy, tak że jak usłyszycie jakieś strzały...

W tym momencie mężczyzna wyciągnął z kieszeni rewolwer.

- ...to możecie na mnie liczyć - dokończył. - A teraz won do łóżka. Maggie cię potrzebuje.

- To nie jest moja...

- Ciii - przerwał Arrington. - Znam twoje zasady, ale jeśli zapewnisz dziewczynie choć odrobinę wsparcia i tylko przy niej posiedzisz, to nic złego nie zrobisz. Poza tym nie wiem, co czuła do tego Raya, ale gołym okiem widać, że jego śmierć ją wyniszcza. Więc bądź tak łaskaw i chociaż pilnuj swoich ludzi.

- To nie są moi ludzie, Max. Nigdy nimi nie byli. Jesteśmy po prostu przyjaciółmi w potrzebie, którzy sobie pomagają, jak tylko trzeba.

- Możesz... położyć swoje dupsko obok przyjaciółki i nie zawracać mi już więcej głowy?

- Ech... - westchnął Luke, powoli wychodząc z pojazdu, i zamknął za sobą drzwi. - Jakby ktoś lub coś nas zaatakowało, to nie ryzykuj, zgrywając bohatera.

- Dobranoc - powiedział Arrington, zamykając

oczy, i odprężył się na fotelu.

Luke dość średnio przyjął do wiadomości, że mogą być obserwowani, a jedynymi ludźmi, którzy ich pilnowali, był Alex, z którym nie można było nawiązać kontaktu, i Max, który prawdopodobnie miał wszystko w głębokim poważaniu. Podróżny postanowił to jednak zignorować i szybko poszedł z powrotem do domu, który tej nocy posłużył mu za schronienie.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, na chwilę skierował się do pokoju, w którym spali Chris i Kate. Widząc, że nic w ich przypadku nie uległo zmianie, wyciągnął klucz francuski i podszedł do kominka. Następnie rozgrzebał nim resztki wypalonego drewna. Potem ponownie schował broń i idąc w ciemnościach, zmierzał bezpośrednio do pokoju, w którym spała Maggie.

Po tym jak Luke doszedł do zziębniętej towarzyszki, prawie zaczął kaszleć. Mężczyzna z trudem pohamował głośne dźwięki. Ostatecznie nie narobił hałasu, jednak musiał splunąć. Bez chwili wahania poszedł w kąt pomieszczenia i zrobił, co musiał. Następnie podszedł do kobiety i z trudem próbował wsunąć się pod koc, którym niemal w całości przykryła się jego przyjaciółka.

Po kilku minutach nieudanych prób zdobycia choć fragmentu koca Roussel odpuścił. Odwrócony

do Maggie plecami w końcu zamknął oczy, a jego ręce posłużyły mu za poduszkę. Przeczował, że dzisiejsza noc będzie dla niego ciężka.

- Wystarczyło poprosić - nieoczekiwanie powiedziała szeptem kobieta, okrywając podróżnego kocem i podkładając mu pod głowę pół poduszki. - Wiesz, że to nie byłoby dla mnie żaden problem.

- Nie chciałem cię budzić - oświadczył równie cicho Luke, przyjmując podarunek. - Nie wiedziałem, że nie śpisz.

- Wolałam trochę poczekać, aby się upewnić, że do mnie przyjdiesz. Jak widać, miałam dobre przeczucie... dzięki.

- Niby za co?

- Po prostu za to, że jesteś. Nic więcej mi na razie nie potrzeba.

- Podziękuj lepiej... a zresztą. Śpij dobrze, Maggie. Jutro dojedziemy do miejsca, którego wszyscy szukaliśmy od dawna.

- A ty wyzdrowiej, bo jeszcze nas załatwisz - zażartowała Paylor i przysunęła się bliżej Roussela. - Albo jeszcze gorzej... załatwisz sam siebie.

- I wszystko to, o co tak mocno walczyliśmy...

Nie minęło pięć minut, a niemal wszyscy już spali. Prawdopodobnie na straży pozostali tylko Max i Alex. Nikt jednak nie wiedział, czy obaj mężczyźni faktycznie czuwali nad bezpieczeństwem grup. Za to

jedno było pewne... niebo całkowicie przysłoniły gęste czarne chmury i zerwał się mocny wiatr.

Po kilku godzinach Luke'a wybudził nieprzyjemny chłód. Kiedy mężczyzna doszedł do siebie, zaczął wzrokiem szukać Maggie. Ku jego zdziwieniu nie było jej w pokoju. Za oknem nadal panował mrok i nie można było odgadnąć, kiedy wzejdzie świt. Mimo wszystko należało podjąć jakieś działania.

Roussel czym prędzej wstał, zabrał ze sobą koc i wyszedł na korytarz. Idąc w ciemności, intuicyjnie wyciągnął przed siebie rękę, próbując pochwycić za klamkę. Kiedy ją odnalazł, opuścił pokój i zaczął nasłuchiwać, aby określić, gdzie jest reszta jego kompanów.

Po kilkunastu sekundach stwierdził, że w budynku pozostał tylko on. Wobec zaistniałych okoliczności poszedł w kierunku wyjścia i wybiegł za drzwi. Widok, jaki zobaczył, od razu go uspokoił.

Ujrzał niemal wszystkich. Jego towarzysze powoli szykowali się na wyjazd z miejsca, gdzie spędzili ostatnią noc. Chris aktualnie rozmawiał z Kate, spacerując z nią przy głównej drodze. Max i Sam odmrażali szyby w SUV-ie i dyskutowali o Alexie, który niczym niewzruszony spał w samochodzie. Maggie, Sarah i Steve stali na uboczu i spoglądali na wschód, gadając na nieznane Rousselowi tematy.

Jedyną osobą, której brakowało, była Ava, aczkolwiek kobieta mogła być teraz na wieży transmisyjnej. W końcu zadeklarowała, że w środku nocy zmieni Alexa na warcie.

- W końcu wstałeś! - krzyknął ochoczo Chris, podchodząc wraz z Kate do Luke'a. - Właśnie o tobie rozmawialiśmy. Zgadywaliśmy, kiedy do nas przyjdiesz. Za chwilę wyjeżdżamy.

- Nie mogliśmy z tym wszystkim trochę poczekać? - spytał Luke, ziewając i kichając niemal jednocześnie.

- Nie wyglądasz zbyt dobrze - oświadczyła Kate, podchodząc do podróżnego, i odebrała mu z rąk koc. - Zostawiłam ci leki w furgonetce. Lepiej się ogarnij, bo jeszcze narobisz nam problemów.

- Nie ty pierwsza mi to mówisz... - wymamrotał Luke, idąc w stronę SUV-a. - Max! Jak tam twoje nasłuchy? Coś ciekawego wyłapałeś?

- Nic, co mogłoby nas zaniepokoić - odparł mężczyzna, miotając szpachelką w pobliską fałdę śniegu. - Cholerny mróz... A właśnie, ci goście rozmawiali o tym, cytując: „kto kogo wyrucha”. Nie zrozumiałem zbytnio kontekstu, ale wyszło na to, że chyba jeden lubi chłopców, bo chce dobrać się do dupy jakiemuś zarządcy...

- Mniejsza o szczegóły - odrzekł Luke, przykładając rękę do czoła. - Widać, że bardzo zależy

wam na tym, aby szybko stąd spadać. Jakież wieści od Avy?

- Ona potrafi o siebie zadbać i jakby coś dostrzegła, to jestem pewny, że znalazłaby sposób, aby nas o tym poinformować - odparł Max, na chwilę pozostawiając SUV-a, i podszedł do furgonetki.

Arrington bez wahania otworzył samochodowe drzwi i wyciągnął wodę w niezbyt czystej zdeformowanej butelce i tabletki. Następnie podszedł do Luke'a i wręczył mu to, co zabrał.

- Masz, łykaj, popij i nie gadaj - oznajmił poważnym tonem. - Wyglądasz, jakbyś miał zaraz tu zdechnąć.

Roussel posłuchał zaleceń towarzysza i zażył leki. Co prawda chłodna woda wywołała u niego kolejny atak kaszlu, jednak istotnym był fakt, że medykamenty zostały wchłonięte do organizmu. Po chwili podróżny wypluł nagromadzoną w ustach flegmę. Dopiero wtedy wsiadł na miejsce pasażera do furgonetki.

- Ile minut? - zapytał, zamykając oczy.

- Jakież kilka - nieoczekiwanie odpowiedział mu Sam, podchodząc do szyby. - Ej, ej, ziomeczku, czy wszystko u ciebie gra?

- Spadaj... ty i te twoje czarne nindza...

- Człowiek robi dobrze, a tu taki rynsztok i chamstwo... - wymamrotał Casson, ponownie idąc

do SUV-a, i zabrał się za czyszczenie lusterek.

- Sam... kiedyś będziemy musieli poważnie o tym pogadać - oznajmił Max, podchodząc do śnieżnej fałdy, w którą rzucił szpachelką. - Sam, kurwa, zacznasz te teksty, a potem pogrywasz sobie z nami jak...

- Dooooość! - krzyknęła Kate, podchodząc wraz ze Stevem do furgonetki. - Żadnych kłótni i w drogę. Prawda, Chris?

- Kobieto, ty mnie lepiej już o nic nie pytaj... - odparł mężczyzna, odchodząc od niej, po czym usiadł za kierownicą samochodu, w którym siedział Luke. - Dzięki za cenne wskazówki. Porozmawiamy niedługo?

- Ech... jak będziesz chciał... - westchnęła, ale w sposób entuzjastyczny, Kate, podchodząc do Maxa. - Dzisiaj ja prowadzę, a chłopaki śpią.

- A faceci czuwają - dodał Max, kończąc czyszczenie przedniej szyby w SUV-ie. - OK, jesteśmy gotowi do drogi. Wszyscy do aut i już nas tu nie ma!

Obie grupy weszły do pojazdów. Pomijając już siedzących na swoich miejscach Luke'a i Chrisa, tył furgonetki zajęli Maggie, Steve i Sarah. W drugim pojeździe znaleźli się wszyscy z wyjątkiem Avy, po którą aktualnie kierująca samochodem Kate miała dopiero podjechać. Kiedy wszyscy byli gotowi do drogi, kierowcy ruszyli, zmierzając w kierunku wieży transmisyjnej.

Po pokonaniu kilkuset metrów oba pojazdy stanęły tuż przy miejscu, w którym mogła przebywać Ava. Kierowcy instynktownie zaczęli wyglądać kobiety. Po chwili zobaczyli ją powoli schodzącą po skorodowanej, w całości pokrytej szronem drabince.

- Mamy w aucie coś ciepłego? - nagle wtrącił pytanie Max. - I nie mam na myśli koców.

- Trzymam trochę wody pod ubraniem - odparł mężczyźnie Sam. - Może być?

- Daj jej ją natychmiast!- krzyknął Arrington, przypadkowo wybudzając Alexa ze snu. - Musimy rozgrzać dziewczynę.

- Heh... człowiek ciężko pracuje, a i tak nie dadzą mu pospać.... - westchnął Walsch i obrócił się na drugi bok.

- Wybacz ten wrzask, trochę mnie poniosło. Zaraz będziemy w trasie i swoje odeśpisz. Ava, złaż szybciej!

Kobieta nie reagowała na ponaglenia i miarowym tempem schodziła z wieży transmisyjnej. Minęły dobre trzy minuty, zanim zeszła na dół. Kiedy to się stało, wolnym krokiem podeszła do SUV-a i wrzuciła przez szybę trzymany koc.

- Mam nadzieję, że jesteście z siebie, kurwa, zadowoleni - od razu przeklęła. - Tam, na górze, idzie zdechnąć z zimna...

- Gdybyś tam nie siedziała, to bylibyśmy

bezbronni – odparł jej Sam, przy okazji drapiąc się po głowie. – Wskakuj na tyły i pośpij sobie. Zaraz stąd spieprzamy.

- Ech... oby – westchnęła kobieta, po czym otworzyła drzwi i zajęła miejsce obok Cassona.

- I jak tam wszystko w nocy wyglądało? – zapytał Max, muskając dłonią nieogoloną twarz. – Zauważyłaś coś niepokojącego? Kate, ruszaj w końcu.

Kierująca pojazdem bez słowa wcisnęła pedał gazu i stopniowo rozpędziła SUV-a do ponad dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Przy okazji kontrolowała, czy jadąca za nimi furgonetka dotrzymuje im tempa. Ku jej zadowoleniu Chris zdołał utrzymać podobną prędkość.

- No zdaj w końcu raport i pozwolę ci spać – oznajmił Arrington, patrząc badawczo na Awę.

Kobieta konsekwentnie ignorowała mężczyznę i całkowicie przykryła się kocem. Nieustannie drżała i spoglądała na niego, a jedyne, co było u niej widoczne, to oczy.

- Człowieku... nawet nie wiesz, jak tam było kurewsko zimno. Jebać to wasze minus dziesięć. Na górze to dopiero przymroziło...

- Dałaś radę i bardzo to doceniam – odparł jej Max. – Sam, daj jej w końcu wody!

Casson niezwłocznie wręczył przechowywaną przez siebie butelkę. Ava odruchowo wypła całą jej

zawartość, po czym wrzuciła puste opakowanie pod siedzenie kierowcy.

- Nie wiem, czy spaliście spokojnie, ale nie powinniśmy tutaj nocować - oznajmiła, jeszcze ciasniej owijając wokół siebie koc. - Po lesie łążyły podejrzane typy. Nie chciałam nas narażać, więc nie strzelałam, ale niemal non stop obserwowałam dom, w którym spaliście. Szczęście nam dzisiaj dopisało...

- Skurczybyki nie zdołały nas wypatrzyć - stwierdził Max. - Dobrze zrobiłaś, że nie reagowałaś. A za mniej więcej dwie, trzy godzinny powinniśmy być na miejscu. Do tego czasu kto może, niech śpi.

- Tylko nadal niepokoją mnie te cienie... - dodała Briggs. - I nie chodzi mi o żadne pieprzone duchy... po prostu czuję, że jesteśmy obserwowani...

- Zaraz powinniśmy wyjechać z otwartego terenu, więc o nic się nie martw - oznajmiła Kate, lekko zwiększając prędkość SUV-a. - Niedługo na dobre stąd wyjedziemy...

- Mam taką nadzieję... - dopełnił wypowiedź Arrington, patrząc na każdego ze swojej grupy.

Wszyscy doskonale wiedzieli, o co mu może chodzić, gdyż istniało prawdopodobieństwo, że polują na nich najemnicy.

Przez następne osiemdziesiąt kilometrów podróży bezproblemowo jechali przez siebie. Po tym

jak wzeszło słońce, widoczność się nie poprawiła, a pochmurne niebo i zamiecie śnieżne nie wskazywały na to, że to ulegnie zmianie. Obie grupy aktualnie miały gęste sosnowo-brzozowe lasy. Przez ograniczoną widoczność kierowcy włączyły się światła przeciwmgłowe. Dzięki temu sporadycznie mogli wypatrzyć leżące na poboczu zwęglone wraki przeróżnych pojazdów.

Po kolejnych kilkudziesięciu kilometrach stan drogi znacznie się poprawił i wyglądało na to, że ktoś o nią dbał. Asfaltowa nawierzchnia była dobrze odśnieżona. W pewnym momencie trasa z dwupasmowej zmieniła się w czteropasmówkę.

- Chris... - powiedział Luke, niespodziewanie przerywając drzemkę, i kilkakrotnie kaszlnął. - Ile spałem?

- Jakieś dwie godziny. I non stop jedziemy, i zaraz chyba dotrzemy na miejsce. Wiesz, na co mi to wygląda?

- No mów.

- Na koniec naszej wędrówki - oznajmił Reese, nieznacznie zwalniając furgonetkę. - Co jak co, ale jeśli Frank Cove faktycznie istnieje, to musi być niedaleko. Poza tym...

- No mów - odparł Luke, wycierając rękawem ciekący z nosa katar.

- Poza tym... a zresztą. Chyba w końcu

dotarliśmy na miejsce.

Luke spojrzął przed siebie i początkowo nie mógł uwierzyć własnym oczom. Spośród gęstych sosnowych lasów zaczęło wyłaniać się coraz więcej szczegółów, które świadczyły o tym, że przed nimi był cel ich wędrowki.

Luke, Chris, Max, Kate, Sam i Ava byli zszokowani docelowym miejscem ich wędrowki. Podobnie zareagował Alex, po tym jak go wybudzono ze snu. Emocji nie kryli także Williamsowie i Maggie, którzy próbowali wyrzeć przez lufcik, usiłując dostrzec to co reszta. A ten widok był dla każdego niesamowity.

Kiedy SUV i furgonetka minęły znak, na którym widniał komunikat, że jedną milę dalej leży Frank Cove, każdy mógł na własne oczy dostrzec tę miejscowość. Pierwsze, na co wszyscy zwrócili uwagę, to jasna poświata emanująca z nad solidnych, sprawiających wrażenie grubych, betonowych murów. W osadzie nie było wysokich budynków, za to jej wielkość sprawiała, że mogło być ich niezwykle dużo.

Nikt nie wiedział, co może za chwilę się wydarzyć. Mimo to Chris i Kate przyspieszyli samochody tyle, ile mogli, aby szybko rozwiązać wszelkie wątpliwości.

Kiedy niemal dojechali na miejsce, kierowcy

z trudem wyhamowali przed wielką, wysoką na cztery metry, stalową bramą. Po lewej podrózni dostrzegli niezbyt zadbaną asfaltową nawierzchnię, aczkolwiek można było po niej jechać. Z prawej ujrzeni gęsty iglasty las. Jednak najistotniejszą dla wszystkich sprawą był fakt, czy zostaną tutaj przyjęci.

Po kilku chwilach niecierpliwego oczekiwania na murze stanął człowiek. Był mężczyzną w średnim wieku i miał gładko ogoloną twarz. Nosił czerwony mundur i brązową wełnianą czapkę. W rękach trzymał wycelowany w SUV-a karabin.

- Witamy we Frank Cove - rozpoczął rozmowę. - Czego tu szukacie?

- Teraz zaczynamy... - oznajmił Max do Alexa, powoli otwierając drzwi od pojazdu.

- Ani mi się waż - rozkazał człowiek na murze. - Po prostu uchyl szybę i mów, o co chodzi.

W odpowiedzi Arrington westchnął, zamykając SUV-a, i posłusznie wykonał polecenie mężczyzny.

- Witaj, przyjacielu - rozpoczął. - Przejechaliśmy ogromny kawał drogi, aby odnaleźć to miejsce. Poszukujemy schronienia przed wszystkim, co jest w tych lasach. Nie mamy złych zamiarów.

- Jeszcze zobaczymy... - arogancko odparł mężczyzna. - Ilu was jest?

- Ze mną łącznie dziesięć osób. Mamy broń, ale będziemy współpracować. Po prostu powiedz, co

powinniśmy zrobić. Obiecuję, że nie będziemy sprawiać problemów.

W odpowiedzi mężczyzna na murze wymamrotał coś niezrozumiałego i na chwilę opuścił karabin. Następnie wyjął z kieszeni munduru krótkofalówkę i zaczął z kimś rozmawiać. Kilkakrotnie kiwnął twierdząco głową, po czym schował radio i ponownie wycelował w samochód grupy Arringtona.

- Zanim ktoś do was wyjdzie i rozpoczniemy przeszukanie, muszę poznać wasze nazwiska.

- Czy to aż tak ważne? - zapytał Max, nie kryjąc zdziwienia.

- Nazwiska! - krzyknął mężczyzna, mocniej opierając broń o swój bark.

- Arrington, a ze mną są jeszcze Walsch, Nix, Briggs i Casson. W furgonetce siedzi kolejnych pięć osób - Roussel, Reese, Paylor i rodzeństwo Williamsów. Jesteśmy przypadkową grupą ludzi, którzy...

Jednak stojący na mundurze mężczyzna przestał go słuchać. Ponownie poświęcił uwagę krótkofalówce, przez którą przekazał kilka komunikatów. Po tym jak skończył, schował radio i jeszcze raz wycelował, ale tym razem bezpośrednio w Maxa.

Tymczasem Luke i Chris zaczęli się niecierpliwić

i nie odrywali wzroku od bramy Frank Cove.

- O czym oni tak długo gadają... - powiedział jakby do siebie Luke. - Mam nadzieję, że Max niczego nie spieprzy.

- Uchylę trochę okno, aby lepiej słyszeć, o czym mówią - oznajmił Chris, robiąc to, co zadeklarował. - Heh... przyznam, że trochę mnie to wszystko stresuje.

- Chyba nas nie odprawią... Tak wiele włożyliśmy wysiłku, aby ich odnaleźć. Gdybyśmy chcieli im coś zrobić, z pewnością znaleźlibyśmy na to sposób. Nie chcę, aby cała nasza wędrówka poszła na marne.

- Ech... to już od nas nie zależy...

W pewnym momencie umundurowany mężczyzna odebrał kolejny komunikat z krótkofalówki, a potem opuścił karabin. Następnie lekko się uśmiechnął, choć ciężko było uznać jego ekspresję za szczerą.

- Wybaczcie, ale musieliśmy mieć pewność, czy was nie ma w kartotece - zaczął wyjaśniać. - Nigdy nie wiemy, czy przypadkiem przyjezdni nie figurują w naszych papierach. Mam jednak dobre wieści...

- Czy to znaczy, że będziemy mogli bez przeszkód wjechać do miasta? - wtrącił pytanie Max.

- W żadnym wypadku... przynajmniej na razie. Zaraz do was zejdziemy. Będziemy musieli sprawdzić, czy nie macie przy sobie broni i narkotyków.

- Uprzejmie donoszę, że jesteśmy uzbrojeni po

zęby, ale z tym drugim nie mamy nic wspólnego.

Mężczyzna na murze nie odpowiedział. Zamiast tego gwizdnął i machnął karabinem, a po kilku sekundach brama wjazdowa do miasta lekko się uchyliła. Przed nią wyszło dwóch mężczyzn, którzy nosili taki sam strój jak człowiek na murze. Jednak ci mieli przy sobie strzelby. Ponadto podróżni zauważyli u nich czarne spodnie, do których były przymocowane mosiężne brązowe pasy, takiego samego koloru jak noszone przez strażników oficerki.

- Macie teraz dwie możliwości - oświadczył człowiek na murze. - Pierwsza jest taka, że zostawicie broń w samochodach, my was przeszukamy i pieszo przejdziecie przez bramę. Druga opcja to wjazd do miasta, ale będziecie musieli przejść procedurę kontrolną. To wariant bardziej dla wszystkich stresujący.

- W takim razie zaciągamy ręczny i zostawiamy broń w środku! - oświadczył Max. - I skoro to konieczne, to zacznijcie nas przeszukiwać.

- Mamy was na oku - zadeklarował entuzjastycznie jeden z dwóch mężczyzn, który podszedł do bocznej szyby SUV-a.

W tym czasie drugi stanął tuż przy furgonetce i lufą strzelby zapukał w drzwi pojazdu. Chris je lekko uchylił i posłuchał, co teraz nastąpi. Po tym jak każdy został dobrze poinformowany, strażnicy zaczęli

rozbierać podróżnych.

Kiedy obie grupy zostawiły broń w samochodach, wszyscy podeszli pod mur tuż przy bramie miasta. Tam ich dokładnie przeszukano, żeby sprawdzić, czy nie mają jakichkolwiek niebezpiecznych przedmiotów. Po chwili było jasne, że przyjezdni nie stanowią zagrożenia. Wtedy strażnicy pozwolili im przekroczyć bramę, a następnie podeszli do furgonetki i SUV-a.

Podróżni posłusznie wykonali polecenie i niezwłocznie weszli na teren Frank Cove. Dzięki temu mogli obejrzeć miejsce, w którym pokładali swoje nadzieje.

Po swojej lewej widzieli kilka drewnianych domków jednorodzinnych. Były one parterowe i utrzymywano je w możliwie doskonałym stanie. Co prawda pokrywał je śnieg, ale wszystkie podjazdy pod posesje należycie odśnieżono.

Podróżni spojrzeli w drugą stronę. Zobaczyli sporych rozmiarów parking, na którym stało kilka samochodów. Przeważnie to były sedany i terenówki. Tuż za parkingiem znajdowała się niewielka plaża z widokiem na zatokę. Niestety obecne warunki atmosferyczne ograniczały widoczność do kilkuset metrów. Co prawda śnieg już nie padał tak intensywnie, ale mgła skutecznie uniemożliwiała dokładniejszą obserwację.

- Ja pier-do-lę - wysylabizował przekleństwo Luke. - Po prostu nie mogę uwierzyć w to, co widzę.

- Powiedziałbym, żebyś nie skakał zawczasu z radości, ale sam czuję, że to miejsce jest niezwykle - wtrącił Chris. - Przejechaliśmy całą Kanadę, aby tutaj dotrzeć...

- To prawda... - dodała od siebie Kate. - Tego nie można porównać do czegokolwiek, co dotychczas spotkaliśmy na swojej drodze. W porównaniu do tego miejsca Mackenzie to dziura zabita dechami.

- A to zaledwie jeden procent tego, co widzieliśmy, he, he, he - zarechotał Sam. - Nie ma na co czekać. Może opadły wam kopary, ale szybko je pozbierajcie i ruszamy w dalszą drogę.

- Nie tak szybko, kolego - wtrącił Max. - Najpierw rozliczymy się z tymi panami przy rogatkach. Nie wolno nam działać zbyt pochopnie. Jak już będzie po wszystkim, zdecydujemy, co robić dalej. Prawda, Luke?

- Chyba pierwszą rzeczą, o którą powinniśmy zadbać, to zakwaterowanie, ale masz rację. Najpierw formalności, a potem zamartwianie się, co następnie zrobimy.

Niespodziewanie wcześniej stojący na murze męczyzna zajął miejsce tuż przy bramie wjazdowej. Następnie uchylił ją na oścież, dzięki czemu furgonetka i SUV mogły bezproblemowo przejechać.

Oba pojazdy prowadzili ci, którzy wcześniej przeszukiwali podróżnych.

W momencie gdy strażnicy zatrzymali samochody na pobliskim parkingu, niezwłocznie przystąpili do ich sprawdzania. Kontrola zajęła im prawie piętnaście minut.

Kiedy obaj uznali, że nie znajdą niczego zakazanego z wyjątkiem broni i trzech lasek dynamitu, przepakowali całe uzbrojenie do SUV-a. Potem podeszli do podróżnych. Nie mówiąc ani słowa, czekali, aż mężczyzna przy bramie zamknie przejazd i do nich dołączy.

- Sprawy wyglądają następująco... - oświadczył strażnik, izolując miasto od świata zewnętrznego. - Możecie swobodnie podróżować furgonetką, ale o drugim aucie możecie zapomnieć. Ten karabin na dachu nie jest czymś, co mieszkańcy odebraliby pozytywnie. W każdym razie jesteście wolni, ale broń zostanie na parkingu. Wszystko wam zwrócimy, jak będziecie wyjeżdżać z Frank Cove. Jakies pytania?

- Jesteśmy bardzo zmęczeni podróżą... - oznajmił Luke. - Potrzebujemy miejsca, gdzie będziemy mogli przez jakiś czas odpocząć. Poza tym gdzieś tutaj można dobrze zjeść?

- Ech... więc jednak musimy z wami pogadać... powiem w skrócie... aktualnie jesteście w strefie mieszkalnej. Tutaj nic ciekawego nie zobaczycie.

Lepiej dla was będzie, jak wsiądziecie do samochodu i pojedziecie na drugie roгатki. W strefie handlowej znajdziecie hotel Beluga. Nie sposób go pominąć. Tylko nie zbaczajcie z głównej drogi i bądźcie grzeczni.

- Dzięki za informację - odparł Max. - Jesteśmy wdzięczni, że nas wpuściliście...

- Poczekaj, kolego - wtrącił jeden z dwóch strażników, którzy wjechali do Frank Cove pojazdami podróżnych. - Tutaj za wszystko płacimy, tak że jeśli nie macie nic do sprzedania, to liczcie jedynie na chłodne powitanie.

- Bez dolarów nie pogadacie, to prawda... - oznajmił najbardziej gadatliwy strażnik. - Coś przeczuwam, że jeszcze nie raz się zobaczymy.

- Masz rację, ale damy sobie radę - odparł Luke. - Teraz wsiadajmy lepiej do furgonu. Czas na zwiedzanie.

Wszyscy ozięble pożegnali trzech strażników i weszli do samochodu darowanego Chrisowi przez Kurtisa. Jedynie Roussel i Reese usiedli z przodu, a reszta musiała się pomieścić na tyłach pojazdu. Kiedy każdy był w środku, Max celowo nie zamknął za sobą drzwi. Aktualnie spoglądał na machających w jego stronę strażników. Niechętnie odwzajemnił gest i czekał, aż w końcu furgon ruszy.

- Co teraz? - zapytał Chris, patrząc na Luke'a.

- Po prostu jedź przed siebie.

- W drodze do nowego życia... - stwierdził z zadowoleniem Chris, wbijając wyższy bieg, i powoli zaczął jechać na wschód.

Podróżni przemieszczali się główną drogą, mijając kolejne domki. Zza okien niektórych z nich widzieli wykonujących codzienne obowiązki mieszkańców. Ponadto przydrożne lampy oświetlały ulice, tym samym polepszając widoczność. Najwyraźniej Frank Cove miało spore pokłady elektryczności.

Po ominięciu niewielkiego czerwonego budynku, który prawdopodobnie był zakładem pogrzebowym, grupa po swojej prawej mogła zobaczyć zajazd, gdzie sprzedawano żywność. Bazując tylko na tym, co wszyscy widzieli, stwierdzili, że nie mają do czynienia z pierwszą lepszą osadą, tylko z rozwiniętym społeczeństwem, które maksymalnie wykorzystywało swoje możliwości, aby uczynić swoje życie łatwiejszym i wygodniejszym. Pomimo to podróżni hamowali nadmierną ekspresję emocji i obserwowali, czym jeszcze zaskoczy ich to miasto.

Po przejechaniu około jednego kilometra Chris niemal wyjechał ze strefy mieszkalnej. Po swojej lewej mijał mur, który także zwrócił uwagę Luke'a i Maxa. To, co za nim się znajdowało, najwidoczniej nie było przeznaczone dla oczu

zwykłych cywilów. Tego miejsca nie pilnował żaden strażnik, jednak dość dobrze odizolowano je od reszty miejscowości. Wobec tego podróżni zignorowali to, co zobaczyli, i cierpliwie czekali na przybycie do hotelu Beluga. Wymagało to jednak ostrego skrętu w prawo i przejechania przez następną roгатkę, gdyż każda ze stref Frank Cove była oddzielona czterometrowym murem.

Po kolejnych dwustu metrach podróżni dojechali do zapierającej dech w piersiach okolicy. Droga prowadząca do kolejnej strefy kontrolnej oddzielała od siebie będące po lewej, ogromnych rozmiarów, zamrożone jezioro od terenów bagnistych. Po drugiej stronie zbiornika wodnego, około pół kilometra dalej, obie grupy widziały brzeg, przy którym stało kilkadziesiąt budynków mieszkalnych. Przeważnie to były domki jednorodzinne, jednak nie zabrakło wśród nich wysokich na dwa piętra bloków.

Z kolei po prawej stronie rozciągał się bagnisty, porośnięty szuwarami teren. Zważywszy na warunki atmosferyczne, nie można było określić końca tej dziewiczej okolicy. Tymczasem Chris, nie skupiając większej uwagi na otoczeniu, przyspieszył auto, aby sprawnie dojechać do kolejnej bramy wjazdowej.

Ku jego zdziwieniu przejazd nie był zamknięty i możliwe było wjechanie do następnej strefy bez kontroli. Jedynie czterech strażników, ubranych tak

samo jak ci na rogatkach, wyposażonych w pistolety, od niechcenia spojrzęło na stopniowo zwalniającą furgonetkę.

Po przejechaniu kolejnych rogatek podróżni dojechali do rzekomej strefy handlowej. Po wjechaniu na teren zabudowany mogli ujrzeć mnóstwo budynków zapewniających okolicznym mieszkańcom wiele rodzajów usług. Począwszy od pralni, smażalni, kina, teatru, poprzez jadłodajnie i ekskluzywne restauracje, skończywszy na domach publicznych. Jednak Luke'a interesowało tylko to, aby wypatrzeć hotel, w którym zamierzali przez jakiś czas zamieszkać.

Takowy wyłonił im się tuż za zakrętem. Po lewej stronie stał duży, piętrowy, pokryty panelami obiekt. Jego konstrukcja kształtem przypominała literę L. Pomalowany białą farbą swoim wyglądem znacząco odbiegał od reszty. Miał jedynie dwie kondygnacje i płaski dach, a jego przestronne okna wpuszczały do środka dużo światła. Ponadto masywne, dwuskrzydłowe, metalowe drzwi frontowe mogły skojarzyć go z magazynem, ale szyld ponad nimi potwierdzał, że był to „Hotel Beluga”. Poza tym przed głównym wejściem zbudowano wielkopowierzchniowy szutrowy plac, na którym stało kilka samochodów.

Chris bez trudu odnalazł miejsce na postój. Kiedy

zaparkował i wyłączył silnik furgonetki, wszyscy wyszli na zewnątrz, aby lepiej zobaczyć miejsce, w którym potencjalnie mieli odpocząć.

- Kto tu jest dobry w dyplomacji? - nieoczekiwanie zapytał Max, spoglądając na towarzyszy.

- Może Chris coś zaradzi...? - nieśmiało zapytała Kate, podchodząc do wspomnianego przez nią mężczyzny.

- A wy wciąż zapominacie, że tylko dzięki Luke'owi tu jesteśmy - odparł Chris. - Może on spróbuje dobić targu?

- Kiedy wy w końcu dacie mi spokój? - odparł Roussel, kilkakrotnie kichając.

- Po prostu ci ufamy - oświadczył Steve, obejmując siostrę. - Jeśli byłeś w stanie nas tutaj sprowadzić, możesz dociągnąć sprawę do końca.

- Ech... niech was wszystkich... - westchnął Luke, zmierzając w kierunku wejścia do budynku. - Nie będę się z wami wyklócał. I żeby było jasne... ja organizuję postój, ale to wy załatwiacie pieniądze...

- Moja w tym głowa - zadeklarował Max. - Tymczasem rusz dupę, bądź złotoustym, a ja załatwię resztę.

- Złotoustym... - powtórzył słowo Roussel, patrząc pobłaźliwie na Arringtona. - Nie jestem dyplomatą, ale dzięki za zaufanie. Mimo wszystko

powinniście patrzeć bardziej na siebie i nie szukać we mnie autorytetu...

- Po prostu jesteśmy leniwi - wtrącił Alex. - I weź się lepiej sprężaj, bo zaraz tu zamarzniemy. Sam zostałbym w SUV-ie, gdyby nam go, do cholery, oddali.

- A ja bym cię nafaszerowała ołowiem za takie pierdolenie - oznajmiła Ava, patrząc na Luke'a. - Jak spieprzysz sprawę, uduszę cię we śnie.

- Ja też cię bardzo lubię - odparł cynicznie Roussel. - Wobec tego w drogę. Czas załatwić sobie tutaj nocleg...

Podróżni niezwłocznie podeszli pod drzwi hotelu Beluga. Luke, patrząc na wszystkich, delikatnie w nie zapukał i cierpliwie nasłuchiwał. Nie otrzymując jakiegokolwiek odpowiedzi, po kilku sekundach westchnął i kilkakrotnie kopnął w ścianę. Nowa metoda poskutkowała, gdyż po drugiej stronie ktoś zaczął iść w ich stronę.

- Nawijaj - entuzjastycznie oznajmił Max, klepiąc towarzysza po ramieniu.

- Ech... co wy we mnie widzicie...

Po kilkunastu sekundach drzwi zostały otwarte.

Naprzeciwko wszystkim stanęła mniej więcej czterdziestoletnia kobieta. Była ładną, zgrabną blondynką o kręconych, sięgających jej do ramion włosach. Do uszu miała przypięte nieduże srebrne

kolczyki. Nosiła na sobie biało-czarną bluzkę na ramiączkach, niebieskie dżinsy i czarne buty na obcasie.

- W czym mogę pomóc? - zapytała lekko zdziwiona widokiem podróżnych.

- Dzień dobry pani - rozpoczął Luke. - Strażnicy nam powiedzieli, że można tutaj wynająć pokoje. Trafiliśmy pod dobry adres?

- Co wy szyldu nie widzicie? Tak, tu jest hotel. Miejsce, do którego nie należy pukać, tylko wchodzić.

- Po prostu nie byliśmy przekonani, czy jest czynne. Proszę nam wybaczyć.

- Dobra, dobra... zapraszam do środka.

Podróżni niezwłocznie przekroczyli próg hotelu Beluga i znaleźli się w przestronnym, dobrze oświetlonym pomieszczeniu. Zapewniały to dwa okna i wykonany z nierdzewnej stali, aktualnie włączony żyrandol. Większość elementów wnętrza stworzono z sosnowego drewna.

Przed sobą zauważyli recepcję, po której obu stronach znajdowały się duże, masywne schody. Po lewej i prawej wszyscy dostrzegli przesuwane, szerokie, zamknięte drzwi i dwie sporych rozmiarów sofy. Z kolei na podłodze leżał ciemnobrązowy dywan.

- Jestem Heather Cade i witam w moich skromnych progach - oznajmiła kobieta. - Co

konkretnie państwa interesuje?

- Chcielibyśmy wynająć kilka pokoi - odrzekł Luke. - Podział nie jest istotny. Ważne, żebyśmy mogli spać. Co mamy do wyboru?

- Tutaj każdy pokój jest jednoosobowy. Zapewniam odpłatnie wyżywienie i możliwość skorzystania ze stołu bilardowego. Niestety mamy do dyspozycji tylko cztery łazienki. Wychodzi jedna na dziesięć pomieszczeń. To chyba tyle... Cena za dobę to dziesięć dolarów od osoby.

- À propos pieniędzy... Nie mieliśmy zamiaru sprawiać problemów, ale dopiero co przyjechaliśmy do miasta i musimy szybko zdobyć trochę gotówki. Chwilowo jej nie mamy, ale planujemy szybko sprzedać nasze samochody, z których jeden stoi na parkingu. Widziała pani furgonetkę?

- Jak to sprzedamy? - wtręcił Chris i Max, ale podróżny spojrział na nich w arogancki sposób i objął zamilkli.

- Heh... widziałam - odparła Heather. - I co... myślicie, że dam wam tak po prostu zakwaterowanie, zabawicie kilka dni i odejdziecie bez płacenia?

- Nie, to zupełnie nie tak - zaczął tłumaczyć Luke. - Załatwimy pieniądze, gwarantuję to pani. Prosimy tylko o danie nam nieco czasu na uregulowanie należności. Najwyżej... kilka dni...

- Cóż... normalnie bym was wywaliła, ale skoro

twierdzicie, że zapłacicie i będę miała dodatkowo stówę za dobę, to się zgadzam. Tylko muszę powiadomić strażników, a któryś z was podpisze kilka dokumentów. Innego wyjścia nie widzę. Chociaż w sumie... zawsze możecie spać na ulicy.

- To nie będzie konieczne, zapewniam panią. W porządku. Jak dla mnie wszystko jasne. Reszcie odpowiada taki układ?

Niemal wszyscy przytaknęli, zdając sobie sprawę z sytuacji. Jedynie Chris i Max niechętnie na to przystali, z pewnością przeżywając wieść o planowanej sprzedaży samochodów.

- Dobrze... Skoro wszystko uzgodniliśmy, to mogę wam przydzielić pokoje - oświadczyła Heather.
- Tak wyszło, że wszystkie na parterze są wolne.

Po tych słowach kobieta zajrzała pod ladę i po chwili trzymała w rękach klucze.

- Przejdźcie przez prawe drzwi. Pomieszczenia od jeden do dziesięć. Bagaży chyba nie macie, więc niepotrzebna wam obsługa. Proszę tylko kogoś, żeby ze mną poszedł w celu dopełnienia formalności.

- Załatwisz to, Luke, dobrze? - poprosił Max, przejmując od właścicielki hotelu klucze. - My sobie poradzimy.

- Ech... lepiej szybko załatwcie pieniądze, bo inaczej mnie wkopiecie w niezłe bagno...

- Na piętrze mam gabinet - oznajmiła Heather. -

Proszę za mną.

Kiedy Roussel i Cade weszli po masywnych schodach na górę, Max rozdał wszystkim klucze, sam zatrzymując jeden dla siebie. Po losowym przydziale pokoi obie grupy przeszły przez przesuwane drzwi i udały się do prawego skrzydła budynku.

Ujrzeni skromny, oświetlany tylko żarówkami korytarz. Podłoga była wyłożona czerwonym dywanem, a po prawej znajdowało się dziesięcioro drzwi. Do każdego przypięto niewielki numerek.

Pierwszy pokój zajął Alex, a drugi Maggie. Czwórka przypadła Maxowi, a piątka Kate. Chris dostał szóstkę, a Sam siódmkę. Steve i Sarah przydzielono do ósemki i dziewiątki, a Awę do dziesiątki. Wychodziło na to, że Luke otrzyma trójkę, skoro Max zatrzymał sobie piątkę.

Podczas gdy Luke dopełniał wszelkich niezbędnych formalności, jego przyjaciel Chris zaczął się rozglądać po pomieszczeniu, w którym miał spać przez najbliższy czas. Skromnie urządzonego niewielki pokój miał tylko jedno duże, zasłonięte brązowymi zasłonami okno, przy którym postawiono stare łóżko. Mebel był drewniany, a jego tapczan okryto beżową pościelą. Tuż obok stała niewielka szafka z postawioną na niej lampą z kloszem. W środku znalazło się także miejsce na grzejnik i czajnik elektryczny z możliwością podłączenia go do

kontakty.

- Heh... lepsze to niż nic. Ciekawe, czy u innych jest tak samo...

Chris podszedł do łóżka. Instynktownie na nie wskoczył i kilkakrotnie odbił się plecami od sprężynowego materaca.

- Ech... tyle trzeba było przejść od Cichego Jeziora... - zaczął mówić do siebie. - Odkąd Smith przejął władzę, uznałem, że trzeba spieprzać z rodzinnej osady... chyba dobrze zrobiłem...

- Czy ja ci w czymś przeszkadzam? - zapytała Kate, niespodziewanie wchodząc do pokoju.

- Nie, po prostu gadałem do siebie - odrzekł Reese, nie kryjąc lekkiego zakłopotania. - U ciebie też tak urządzono?

- Mniej więcej... chyba wszystko jest w porządku. Nie powiem, to niezbyt dużo, ale jakby nie patrzeć, mamy wodę, prąd i ogrzewanie. Niczego więcej mi nie potrzeba... no... może z wyjątkiem mojej kosmetyczki.

- Zgaduję, że zostawiłaś ją w SUV-ie?

- Tiaaa... Będę musiała po nią iść. Jednak wcześniej załatwimy trochę kasy i nakupujemy ciepłych ciuchów. Zabiorę dziewczyny i wybierzemy coś dla wszystkich. Max powiedział, że niedługo pogada z lokalnymi i sprawdzi, ile możemy dostać za furgon.

- Niech tylko nie goni z jego sprzedażą. Czuję, że będzie nam jeszcze potrzebny.

- Skoro tak mówisz... Tak przy okazji... masz chwilę, żeby pogadać?

- Z tobą zawsze. Mów, co ci chodzi po głowie.

- Po prostu chciałam z tobą porozmawiać... W trasie ciężko o odrobinę prywatności. Teraz, gdy nikt nam nie przeszkadza, czuję, że to dobry moment.

- Na co? - dopytywał Chris, podejrzliwie spoglądając na Kate.

- Mnie jako kobiecie ciężko o tym mówić... w sumie nie powinnam, ale...

- Ale...?

- Po prostu masz w sobie to coś. Nie potrafię tego wyjaśnić. Odkąd cię pierwszy raz ujrzałam przy tym domu, gdzie was uratowaliśmy... no wiesz... wiedziałam, że to chemia...

- Chcesz mi powiedzieć, że ci się podobam? - dopytywał Reese, siadając na łóżku i robiąc miejsce dla Nix.

- Wy, faceci, zawsze chcecie mieć wszystko wyłożone na stół - powiedziała entuzjastycznie kobieta, kładąc się tuż za mężczyzną. - To nie przychodzi nam łatwo.

- Po prostu jesteśmy tak skonstruowani. Tak było zawsze i nie sądzę, żeby miało kiedykolwiek być inaczej.

- Ech... i weź tu z takim gadaj... - westchnęła Kate. - Tak, Chris, wpadłeś mi w oko. Zadowolony?

- Byłbym bardziej, gdyby nie ty i Max...

- Niby co „ja i Max”? Ty myślałeś, że...?

- Tak. Sądziłem, że przynajmniej sypiacie ze sobą, o ile nie jesteście razem.

- Weź już przestań - odparła Kate, siadając obok Chrisa. - Ja i Max... po prostu korzystaliśmy z chwili zapomnienia. On nas wybawił z opresji i zapewnił mi trochę rozrywki, ale nigdy nie chciałam z nim być.

- On jest całkiem przystojny, a przynajmniej tak myślę... Nie żeby mnie przyciągał... Ja wolę kobiety...

- Jesteś zabawny, wiesz o tym - powiedziała Nix, przysuwając się do Chrisa. - To także jest w tobie ciekawe... w każdym razie wiesz, że chciałabym... i Arrington ci za to mordy nie obije.

- Właśnie nie wiem, co powinienem teraz zrobić - odparł Chris, obejmując towarzyszkę.

- Mam to powiedzieć na głos? - zapytała Kate, odwzajemniając uścisk i przygryzając usta. - Chciałabym, abyśmy mogli.... Lepiej i bliżej...

- Dość głęboki temat.

- Nawet nie wiesz jak bardzo - odparła kobieta, przykładając czoło do głowy kompana. - Teraz chciałabym tylko wiedzieć...

- Co tu się, kurwa, dzieje?! - niespodziewanie krzyknął Sam, bezpardonowo wchodząc do pokoju. -

Eee... czy ja w czymś właśnie przeszkodziłem?

- Ech... nie, w niczym... - westchnęła Kate, puszczając Chrisa. - I właśnie o tym mówiłam, zero prywatności.

- Zaraz będziecie mogli zaliczyć trzecią bazę, ale najpierw powinniście wiedzieć, że Max upchnął właścicielce poroże i wykupił dla nas pakiet obiadowy, kolację i kwatery na kilka dni. Zaraz dostaniemy coś ciepłego do żarcia, więc cokolwiek robicie, róbcie to szybko i dymajcie do nas.

- OK, zaraz przyjdziemy, a teraz spadaj i na przyszłość naucz się pukać - oznajmiła Nix. - Chris, jeszcze wrócimy do tej rozmowy.

- Nie ma sprawy. Wiesz, gdzie mnie znaleźć.

- OK, nara, ziomeczki - powiedział na pożegnanie Sam i wyszedł na korytarz.

- Ech... zero prywatności - stwierdziła Kate, również opuszczając pomieszczenie. - Do zobaczenia na obiedzie. Tylko wiesz...

- Dyskrecja - dokończył zdanie Chris i ponownie położył się na łóżku.

Po prawie trzydziestu minutach wszyscy przeszli do przeciwnego skrzydła budynku. Aktualnie przebywali w pomieszczeniu, które służyło za jadalnię hotelu Beluga. Przez wielkie, nieosłonięte niczym okna wpadało dużo światła, a jakby miało być inaczej,

pomieszczenie mogły oświetlić kryształowe żyrandole.

Wnętrze wyposażono w kilka sporych rozmiarów okrągłych stołów, przy których postawiono po dziesięć krzesel. To w zupełności wystarczyło, żeby każdy wraz z Heather zjadł wspólnie obiad.

Na pierwsze danie podano zupę ogonową, a na drugie wiejski garnek. Podróżni i właścicielka hotelu w ciszy spędzili połowę posiłku. Przy drugiej atmosfera się nieco rozluźniła i doszło do kilku luźnych dyskusji. Trwało to do momentu, aż Max zabrał głos.

- Przepraszam, że przerywam, ale jest coś, o czym trzeba pogadać. Podczas gdy wy nic nie robiliście, a Luke załatwiał papierkową robotę, zdołałem sprzedać poroże karibu i zebrać dość pieniędzy, aby opłacić nam tutaj pobyt na kilka dni. Heather wygląda na zadowoloną, co mnie bardzo cieszy. Również przy naszej rozmowie wspomniałem o transporcie, jaki miałyby nas zabrać na zachód...

- Po prostu zaczynicie od baru - wtrąciła Cade, zaczynając jeść drugie danie. - To całkiem niedaleko stąd.

- Kontynuując... wieczorem mamy małe zadanie do wykonania. Po wszystkich rozliczeniach zostawiłem sobie stówę, więc możemy trochę zaszać i popytać lokalnych o to i owo. Jesteście

chętni?

- Po prostu przyznaj, że będziesz chciał upchnąć komuś furgonetkę - odparł Chris, nie ukrywając smutku.

- To temat na inną rozmowę. Teraz trzeba złapać kogoś, kto ma solidny kuter i zechce nas kiedyś zabrać na pokład. Heather wspomniała, że Frank Cove ma układy z kilkoma osadami po drugiej stronie oceanu.

- Co dokładnie miałaś na myśli? - dopytała Maggie, spoglądając na właścicielkę hotelu.

- Ja tam nie mam głowy do naszej polityki, ale niektórzy klienci mojego hotelu wspominali o przeróżnych rejsach. Głównie do Japonii, ale musicie o to ich popytać. A że wszyscy okoliczni rybacy zalewają się niedaleko stąd, to sądzę, że powinniście na swoje pytania szukać odpowiedzi właśnie tam. Bar Frank Cove. Jeśli Max nie zabłądzi, na pewno traficie.

- Więc postanowione? - zapytał Arrington podróżnych. - Macie ochotę na krótki nocny spacer?

- Niech ci będzie - odparł Luke. - W końcu co nam szkodzi...

- To tak zrobimy. Po obiedzie róbcie, co chcecie, ale o... powiedzmy o osiemnastej zbiórka przed hotelem. Tymczasem życzę wszystkim smacznego.

Rozmowa dobiegła końca. Od tej pory wszyscy

skoncentrowali się na drugim daniu, a po obiedzie zajęli się swoimi sprawami. Max i Heather poszli na spacer do baru, dzięki czemu mężczyzna wiedział, jak później poprowadzić podróżnych do miejsca, gdzie mieli spędzić wieczór. Luźno przy tym rozmawiał z właścicielką hotelu, przy okazji lepiej ją poznając. Z kolei Luke, Steve i Sarah spędzili całe popołudnie na odpoczynku i czytaniu książek. Roussel odnalazł starą, zaniedbaną powieść nieznanego autorstwa. Tematyką przedwojennej lektury było miasteczko opanowane przez wampiry i losy głównego bohatera – pisarza alkoholika. Podróżny zaczytał się w niej bez reszty, kompletnie odcinając się od rzeczywistości i niemal zapominając o doskwierającej mu grypie.

Tymczasem Alex wybrał odpoczynek nad jeziorem. Porozmawiał z właścicielem lokalnego sklepu wędkarskiego i wypożyczył sprzęt i przynętę do połowów. Ceną za wynajem miały być ryby, które Walsch złapie. W ostatecznym rozrachunku cztery szczupaki powędrowały w ręce handlarza.

Chris, Maggie, Kate i Ava poszli porozmawiać ze strażnikami i sprzedali im dwie paczki skrętów i wisiorek z kości. W zamian za to mogli pójść do najbliższego lumpeksu i kupić siedem par czarnych zimowych płaszczy dla niemal wszystkich podróżnych. Wyjątek stanowili Luke, Max i Alex, którzy już mieli ciepłe kurtki. Reszta założyła ciepłe

okrycia, kiedy to było najszybciej możliwe.

Tymczasem Sam wrócił do SUV-a i spędził czas wolny na słuchaniu muzyki z CD. Jego zachowanie było dość irytujące dla strażników, gdyż zdawali sobie oni sprawę z karabinu, który był przymocowany do pojazdu, w którym siedział mężczyzna. Mimo to Casson nie chciał nikomu wyrządzić krzywdy, a ochrona Frank Cove niepotrzebnie się martwiła...

Nastał wieczór. Już od ponad godziny było ciemno. Pochmurne niebo nie przepuszczało światła gwiazd i księżyca, ale latarnie na ulicach w zupełności wystarczyły, aby rozświetlić miejscowość Frank Cove.

Podróżni spotkali się na parkingu przed hotelem Beluga. Wyglądali na wyraźnie zrelaksowanych i po prostu szczęśliwych. Pełni energii czekali na dalsze wskazówki od Maxa. Tymczasem Heather odpoczywała w swoim pokoju i pilnowała własnych spraw.

- No dobra... - rozpoczął Arrington. - Chyba trzeba w końcu zacząć załatwiać interesy. Fajnie też, że nie mamy opóźnień. To co? Rozpoczynamy imprezę?

- A tak w ogóle to stać cię, aby taką rozkręcić? - zapytał cynicznie Sam. - Gadaj, ile skitrałeś w zaskórniaku.

- Równno stówę, przecież mówiłem. Na początku chciałem to odłożyć na nieprzewidziane wydatki, ale skoro od dawna nie mieliśmy okazji naprawdę odpocząć, to możemy skromnie poświętować.

- W sumie czemu nie - stwierdził Luke. - Tylko nie zapominaj o tym, że musimy poznać trochę ludzi, o ile chcemy tu dłużej pomieszkać. Trochę nad tym myślałem i czuję, że sama sprzedaż samochodów może nam nie wystarczyć.

- Ech... więc znów nadeszły czasy, kiedy trzeba ruszyć tyłek do roboty - oznajmił Chris, wzruszając ramionami. - Skoro tak musi być...

- Dokładnie - przytaknęła Maggie. - Ok. Max... ile jeszcze będziemy czekać? W końcu stoimy na mrozie...

- Heh... właśnie wyruszamy. A skoro wszystko już ustalone i zaczynacie marudzić, to idziemy pić.

Grupa opuściła parking przed hotelem Beluga i spacerowała główną drogą na wschód. Po kilkuset metrach, ominięciu niewielkiej przydrożnej stacji benzynowej i kilku domów Max skręcił w lewą boczną uliczkę, tym samym prowadząc wszystkich nad jezioro.

Kiedy podróżni doszli do niewielkiego skrzyżowania, ujrzeni troje dzieci bawiących się na zamrzniętej tafli ogromnego zbiornika wodnego. Prawdopodobnie panujący w nocy mróz sprawił, że

stanie na łodzi było bezpieczne, ale nikt nie miał ochoty, aby to potwierdzić. Po kilkunastu sekundach oglądania akrobacji nieletnich Max wznowił marsz, skręcając w prawo, a reszta dotrzymywała mu kroku.

Po swojej lewej podrózni mijali niewielki, dziko porośnięty świerkami zagajnik. Na przeciwnej stronie ulicy stało kilkanaście domków jednorodzinnych. Okolica sprawiała wrażenie cichej i spokojnej.

Po nieco ponad stu metrach Max stanął i kiwnięciem głowy zasugerował, że wszyscy doszli na miejsce. Następnie wskazał na duży, znajdujący się po prawej stronie, parterowy, drewniany dom. Obiekt był w całości zbudowany na wzór leśnej chatki. Jedyne, co mogło świadczyć o unikalności tego budynku, to niewielkie okrągłe okienka, solidne podwójne drzwi wejściowe i szyld, na którym widniał napis „Bar Frank Cove”.

- Jak wcześniej wspomniałem, mamy tylko sto dolarów - zadeklarował Max. - Nie wiem, co ile kosztuje, także sugeruję, aby nie brać nic drogiego. Poza tym życzę wszystkim zajebistej zabawy.

- Skończyłeś? - cynicznie zapytał Sam. - Zaraz odmarznie mi dupa od tego stania i słuchania twojego...

- Hej, hej, spokojnie... - przerwała mężczyźnie Kate. - Jesteś kurewsko niecierpliwy. Dzisiaj mamy się dobrze bawić i nie ma tu miejsca na marudzenie.

- W takim razie po cholereę czekamy... - odparła Ava, chwytając Cassona za rękę i szybko idąc z nim do baru.

- Ech... - westchnął Alex, kręcąc przecząco głową. - A mogłem zostać w hotelu...

- Oj, nie ma powodów do zmartwień - odrzekł Arrington. - Zaraz będzie fajnie. Gwarantuję ci to.

- Więc lepiej już chodźmy - oznajmił Chris, podążając do baru, tym samym kończąc rozmowę.

Kiedy podróżni weszli do budynku, stanęli w ciepłym, sporych rozmiarów pomieszczeniu. Pierwsze, na co zwrócili uwagę, to lecąca z doczepionych do ścian głośników muzyka. Aktualnie leciał nieznany nikomu utwór country.

Przy każdej ze ścian postawiono pokryte barwioną na czerwono skórą kanapy, które teraz w większości zajmowali mieszkańcy. Jedynie jedna z nich, stojąca tuż przy drzwiach do toalety, stała pusta.

Obie grupy, idąc w kierunku wolnego miejsca, musiały przejść przez środek sali, omijając stoliki, gdzie klienci baru pili, rozmawiali, a niektórzy nawet grali w pokera. Przejście na drugi koniec pomieszczenia było o tyle trudne, gdyż niektórzy rozsiedli się wygodnie i tarasowali drogę. Mimo to podróżni w końcu doszli do wypatrzonego przez siebie miejsca. Stamtąd dostrzegli niewielki bar, przy

którym siedziało kilku klientów lokalu. Za ladą stał barman, który jakby od niechcienia czyścił szklany kufel.

W momencie gdy wszyscy usiedli na szerokiej sofie i odetchnęli z ulgą, poczuli niezbyt przyjemny zapach dobiegający z toalety. Prawdopodobnie dlatego to miejsce jako jedyne było wolne.

- Mam nadzieję, że to potrwa krótko - oznajmiła Sarah, osłaniając dłonią usta i nos.

- Cóż... od czegoś trzeba zacząć - niezbyt ochoczo stwierdził Luke. - Jakby coś komuś nie odpowiadało, to od razu mówcie.

- Wali tu moczem - od razu odpowiedziała Sarah, mrużąc oczy. - Pójdę wam na rękę i zostanę tu tak długo, jak to konieczne. Potem od razu wracam do hotelu.

- Skoro ona, to i ja - dodał Steve. - Najpierw jednak zamówienie. Kto płaci, ten gada.

- He, he... nawet posadzić tyłka mi nie dacie - zarechotał Max. - Chodź, Luke, pogadamy przy barze. Może ktoś nam opowie coś ciekawego.

- Skoro nalegasz... - odparł Luke i kilkakrotnie kichnął, a następnie wstał z miejsca i poszedł z Arringtonem do barmana.

Kiedy mężczyźni dotarli na miejsce, wypatrzyli dwa wolne wysokie krzesła i jak najszybciej próbowali je zająć. Ruch w tej części lokalu był

wzmoczone, co stwarzało zagrożenie, że ktoś ich może uprzedzić. Ku ich zadowoleniu zdążyli przysiąść w pożądanym przez nich miejscu. Następnie Luke i Max spojrzeli na barmana, który sprawiał wrażenie zmęczonego.

Miał około trzydziestu lat, był łysy, tęgiej budowy ciała i gładko ogolony. Nosił czarną, podwiniętą za łokieć koszulę i niebieskie dżinsy. Pomimo apatycznych ruchów próbował nadażyć z żądaniami i zamówieniami klientów.

- No to mamy chwilę dla siebie - oznajmił Arrington, opierając łokcie o ladę barową. - Facet jest zarobiony...

- Już mniejsza o niego. Lepiej rusz głową i powiedz, jak mamy w tym tłumie znaleźć kogoś, kto nam pomoże przepłynąć Pacyfik?

- Ech... to może być trudniejsze, niż myślałem... - westchnął Max i podrapał się po swoim nosie. - Chyba po prostu musimy próbować robić swoje.

- I słuchać - dodał Roussel, gestem próbując przywołać barmana, który nie zwracał na nic uwagi, tylko realizował zaległe zamówienia.

- Ech... i co to niby zmieni... - bez entuzjazmu oznajmił Arrington i spojrział na kompana, który badawczo patrzył na osoby siedzące tuż obok niego.

- Skąd ja cię znam...? - zapytał Luke sąsiadującego mu mężczyznę.

- Mówiłeś coś? - odparł nieznajomy, obejmując jedną ręką towarzyszącą mu kobietę.

Ten człowiek był w średnim wieku. Miał krótkie, szatynowe włosy i pełny zarost. Nosił brązową koszulkę polo, czarne bojówki i wojskowe oficerki. Obok niego siedziała kobieta w mniej więcej jego wieku. Blondynka, mająca proste do ramion włosy, ze zdziwieniem spojrzała na Luke'a. Niebieska bluzka z głębokim dekoltem z trudem mieściła jej piersi, a czarna spódnica sięgała tylko do połowy ud. Ponadto ta osoba nosiła niebieskie szpilki.

- Hej, hej, kolego, mówiłeś coś do mnie? - ponownie zapytał nieznajomy.

- Wybacz, po prostu skądś kojarzę twój głos - odparł lekko onieśmielony Roussel.

- Chyba musiałeś mnie z kimś pomylić. Jestem tu całkiem od niedawna.

- Nazywam się Luke. A ty?

- Nie wiem, czy to jest dobry moment na nawiązywanie nowych znajomości...

- Na imię mi Cristal, a to mój mąż Jim - oznajmiła kobieta, wyciągając rękę ku podróżnemu.

- Heh... teraz już wszystko jasne - odrzekł entuzjastycznie podróżny, witając nowo poznaną blondynkę. - Miło mi was w końcu poznać.

- To znaczy? - dopytywał Jim. - O co ci chodzi?

- Powiedz, co tu się dzieje, bo robisz mi gówna

z mózgu - wtrącił Arrington, tym samym dołączając do dyskusji.

- Tak przy okazji to Max, mój dobry przyjaciel - oświadczył Luke. - Wracając do tematu... Jim, pamiętasz, co robiłeś jakieś... trzy i pół miesiąca temu? O ile cię to nie zdziwi, to powiem, że byłeś wtedy w Stanach Zjednoczonych, konkretnie w Nevadzie.

- Ty nie możesz być...? Nie...

- Na pewno mnie nie kojarzysz, ale na pewno pamiętasz motel na środku pustkowia. Taki w kształcie litery L. Wtedy ty i ludzie, z którymi podróżowałeś, zabraliście moje zapasy.

- Ufff... już myślałem, że cię Salt Lake City na nas nasłało. Jak to jednak możliwe, że wtedy cię nie znaleźliśmy?

- Pragnę zaznaczyć, że nie mam pojęcia, o co chodzi, i że mnie tam w ogóle nie było - oznajmił Max, kątem oka patrząc na dekolt Cristal.

- Słuchaj, Jim... - powiedział Roussel, spoglądając na barmana, który w końcu zauważył, że jest potrzebny po drugiej stronie baru. - Ja i Jack... człowiek, z którym wtedy podróżowałem... po prostu nieźle się ukryliśmy. Teraz to jednak nieważne, ale powiem, że leżałem na dachu budynku, który plądrowaliście, i podsłuchiwałem twoją rozmowę z szefem. Usłyszałem, że masz żonę o imieniu Cristal.

Takiego ładnego imienia nie nosi wiele osób, więc wyczułem, że ty to właśnie ten facet z pustyni. Zabawne, prawda?

- Szczerze, to jest mi teraz głupio - odparł Jim. - W życiu popełniłem trochę błędów, ale chciałem je naprawić. Teraz one wracają do mnie w twojej postaci. Sorki, stary... jeśli czegokolwiek chcesz, tylko powiedz, a spróbuję to wykombinować.

- Nic od ciebie nie wymagam, ale w sumie jest jedna sprawa... taki w sumie drobiazg. Teraz lepiej powiedz, co u twojego syna słyszeć? Sander, o ile dobrze pamiętam?

W tym momencie Cristal wyraźnie posmutniała. Niespodziewanie kobieta wtuliła się w męża, a z jej oczu zaczęły płynąć łzy. Luke wyraźnie zaniepokojony taką reakcją odwrócił wzrok na barmana, który w tym momencie do niego podszedł.

- Max, zamów cokolwiek - poprosił Roussel, ponownie spoglądając na małżeństwo. - Przepraszam, jeśli powiedziałem coś...

- Nie ma sprawy... - odrzekł Jim, głaszcząc żonę po głowie i całując ją w czoło. - To jest jeszcze świeże... nie mam do ciebie żadnych pretensji, bo jak mogłeś o tym wiedzieć...

- Moje kondolencje - odparł Luke, wyraźnie smutniejąc.

- Na początku jesieni postanowiliśmy, aby zacząć

z Cristal normalnie żyć. Pogadałem, z kim trzeba, i zabrałem swoją rodzinę na północ. Ktoś mi wspomniał o tym miejscu i robiłem absolutnie wszystko, aby ułożyć sobie przyszłość. Chcieliśmy wychować syna w normalnym środowisku i postawiliśmy wszystko na jedną kartę. Niestety Sander...

W tym momencie Cristal zaczęła gorzko szlochać. Jim na chwilę przerwał rozmowę i całą uwagę poświęcił kobiecie. W tym czasie barman postawił na wyciągniętej spod lady tacy osiem kufla piwa, a dodatkowe cztery podsunął siedzącym przy barze podróżnym.

- Dwadzieścia cztery dolary - oznajmił ospale. - Dzisiaj promocja, bo normalnie jest za cztery od kufla.

- Trzymaj pieniądze, dobry człowieku - powiedział Max, płacąc należną kwotę. - Nasi znajomi siedzą tuż przy toaletach. Jeśli to możliwe, niech im ktoś to piwo zanieś.

- Ech... Jenny!!! - jakby od niechcienia krzyknął barman. - Chodź tutaj, piwo do trzynastki!!!

Po kilku sekundach do lady podeszła młoda, kuso ubrana kobieta, która bez słowa przyjęła zamówienie i udała się do miejsca, gdzie siedziała reszta podróżnych.

- Sander nie dojechał z nami do Frank Cove - po

chwili wznowił Jim łamiącym się głosem. - Zmarł w drodze na zapalenie płuc.

- Strasznie mi przykro - odrzekł Luke, podsuwając rozmówcy i jego żonie dwa kufle piwa. - Nie chciałem niczego złego...

- Wiemy o tym - odrzekł mężczyzna, całując żonę w usta i szepcząc jej kilka rzeczy do ucha.

Niespodziewanie kobieta odeszła bez pożegnania i po chwili opuściła bar Frank Cove.

- Zaraz powinienem wracać do domu, ale jeszcze załatwmy formalności. Co to za sprawa, której chciałeś? Cokolwiek to będzie, postaram się to skombinować.

- Potrzeba nam informacji - odparł Roussel. - Jeśli nic nie wiesz, to nic nie szkodzi...

- Gadaj, o co chodzi - poprosił Jim, chwycił za kufel i od razu wypił połowę zawartości naczynia.

- Chcemy przepłynąć Pacyfik - odparł Luke, również kosztując złotego trunku. - Potrzebny nam ktoś, kto to umożliwi.

- Jak szybko chcesz stąd spadać i czy stoicie przy kasie?

- Pieniądzy chwilowo nie mamy i zależy nam na czasie. Jeżeli znasz kogokolwiek, z kim moglibyśmy pogadać, to chociaż powiedz, gdzie kogoś takiego...

- John Hendon - przerwał Rousselowi Jim. - Codziennie siedzi zaraz przy wyjściu z baru. Starszy

gość, siwe, przerzedzone, zaczesane do tyłu włosy i biała broda. Chodzi w szelkach, brudnych koszulach i dziurawych spodniach. Znajdziecie go bez trudu. Nawet dzisiaj go tu widziałem. To wszystko, Luke? Przez wzmiankę o Sanderze moja żona mnie potrzebuje...

- Tak, dzięki za pomoc - odparł Luke, stukając swoim kuflem o jego. - Nawet nie wiesz, jak bardzo nam pomogłeś. Mam nadzieję, że ułożycie tu sobie jakoś życie.

- Taki jest plan. Dalej nie zamierzamy uciekać. I fajnie było cię poznać...

Jim na chwilę przerwał, dopijając do końca resztkę swojego piwa.

- Zanim pójdę... - wznowił, kładąc pusty kufel na ladzie. - Co się stało z tym Jackiem? Jest tutaj razem z wami?

- Niestety nie żyje... Zginął zamordowany przez ASO pod Spring Creek.

- Spring Creek... Niech ich wszystkich szlag trafi. Nevada to piekło na ziemi.

- Na szczęście to dla nas przeszłość. Dobra, wracaj do żony. Kobieta cię potrzebuje.

- Powodzenia - odparł Jim, wstając, i poszedł w stronę wyjścia z baru.

Zanim zniknął Luke'owi i Maxowi z oczu, nie odwracając się do nich, uniósł prawą dłoń i zacisnął

ją w pięść. Następnie otworzył drzwi wyjściowe i opuścił lokal. Sprawiał jednocześnie wrażenie dumnego mężczyzny, który realizował swoje cele, i człowieka, który chwiejnym krokiem sygnalizował, że jest lekko wstawiony. Mimo to konsekwentnie parł naprzód do swojej żony, która go teraz bardzo potrzebowała.

- John Hendon... - wymamrotał Arrington, popijając piwo. - Zawsze to jakiś trop.

- Sądzisz, że powinniśmy go teraz poszukać? - zapytał Roussel.

- Chyba tak będzie najlepiej - odrzekł Max, zerując kufel. - Barman, jeszcze dwa!

- Cztery dolce - odparł mężczyzna, podsuwając pełne kufle.

- A skąd taka szybka obsługa? - dopytywał Arrington, odliczając należność.

- Jedni płacą, inni nie. Towar leży i trzeba go sprzedać, zanim zwietrzeje.

- Recykling! - stwierdził entuzjastycznie Max, chwytając za oba zakupione kufle i ten, którego nie tknęła Cristal.

Następnie Arrington podał jedno piwo Luke'owi i poklepał go po ramieniu. Potem pewnym krokiem zaczął mijać ustawione na środku sali okupowane przez gości stoliki.

- Więc poszukajmy tego Johna Hendona! -

oznajmił dość głośno. – Taka okazja nie trafia się za często.

– No... przynajmniej on siedzi tam, gdzie zwykle... – dodał Luke, dostrzegając mężczyznę, z którym im polecono nawiązać kontakt.

Człowiek, który był zgodny z opisem Jima, siedział w towarzystwie dwóch kompanów, grał w karty i popijał mocny alkohol ze szklanki. Kiedy Roussel i Arrington stanęli tuż obok niego, wszyscy przy stoliku spojrzeli na nich w sposób arogancki.

– Czego chcecie? – zapytał jeden z mężczyzn. – John, zrób coś z nimi.

– Key, nie bądź taki nerwowy – odparł starszy człowiek, chwilowo wstrzymując picie i grę w karty. – Koledzy na pewno chcą z nami pogadać.

– Mam to gdzieś – odrzekł trzeci przy stoliku, dopijając to, co pozostało mu w szklance.

– Panowie... siadajcie i zignorujcie te uwagi – poprosił Hendon. – To tylko marudzenie ludzi, którzy jutro mogą stracić pracę.

– Szefie... ech... znowu to samo... – westchnął mniej pijany z mężczyzn.

– Idźcie do domu – oznajmił krótko John. – Do zobaczenia jutro o dziewiątej.

Obaj mężczyźni zaczęli cicho kłaść i przerwali grę karcianą. Następnie poskładali talię i zabrali ją ze sobą. Potem bez słowa opuścili lokal, pozostawiając

swojego towarzysza samego z podróżnymi.

- Siadajcie - powiedział Hendon, gestem ręki zapraszając Luke'a i Maxa do stołu.

Podróżni bez słowa zajęli wolne miejsca, podając Johnowi zakupione wcześniej przez nich piwo. Ten gest wyraźnie go zdziwił, jednak nie na tyle, aby nie przyjąć podarunku. Mężczyzna wypił kilka łyków złotego trunku, po czym skierował wzrok na Luke'a i Maxa.

- Więc powiedzcie mi... co was natchnęło na takie hojne powitanie? Czyżbym znowu komuś z czymś zalegał?

- Nic nam o tym nie wiadomo - odparł Max. - Darmowe piwo to chyba normalny prezent w takim miejscu jak to. Rozumiem, że to ty jesteś niejakim Johnem Hendonem?

- Tak, to ja - oznajmił mężczyzna, popijając piwo.
- Miło mi panów poznać. Tak przy okazji... eeeee... z kim mam przyjemność?

- Luke i Max - przedstawił ich Roussel. - Mam nadzieję, że nie przeszkodziliśmy panu w...

- Karty? Gdzieeee... Miło tak czasem po godzinach pójść sobie ze swoimi pracownikami do knajpy i przy miłej muzyczce rozładować całodniowy stres.

- W to nie wątpię - stwierdził Luke. - Nie przyszliśmy jednak, aby tak po prostu pogadać. Mamy pewien problem i nie wiedzieliśmy, jak sobie

z nim poradzić do czasu, aż pewne osoby nas do pana skierowały.

- No to słucham... - oświadczył John, biorąc kilka łyków lekkiego alkoholu.

- Ja, Max i jeszcze grupka, która z nami jest... dopiero dzisiaj przyjechaliśmy do Frank Cove. To miejsce jest urocze, wspaniałe i w ogóle, ale my potrzebujemy transportu do Azji. Ponoć może nam pan jakoś pomóc. Nic więcej nam nie powiedziano...

- Hmm... nie powiem, rzadko się zdarza, żeby ktokolwiek mnie prosił o przysługę. Jeśli już to ma miejsce, to te sprawy z reguły dotyczą pojedynczych zamówień.

- Przepraszam, nie rozumiem - wtrącił Max. - Może pan mówić jaśniej?

- Dobra, chłopaki, uprzejmości na bok. Od tej pory jesteśmy na ty. A i owszem, mogę wyjaśnić, o co mi chodzi. Łowię ryby, jak zresztą wielu w tym mieście. Jednak między mną a nimi jest jedna rzecz, która mnie wyróżnia.

- Niby co? - dopytywał Arrington.

- Jedynie sześćdziesiąt jeden metrów długości mojej największej miłości. Jestem szczęśliwym posiadaczem największego trawlera we Frank Cove. To taki... bardzo, bardzo duży kuter. Sporo przy nim roboty, ale to jest jedyna bestia, która będzie w stanie przepłynąć przez ocean bez ryzyka, że coś

pójdzie nie tak... chociaż w sumie... wszystkiego nie przewidzę. Jednak odkąd mam ten kuter, minęło już ponad dwadzieścia lat i wciąż żyję.

- Byłeś już kiedyś po drugiej stronie oceanu? - zapytał Max. - Gdzie pływałeś? Jak tam jest?

- No i ile dalekich kursów w życiu zrobiłeś? - dodał od siebie Luke, popijając piwo.

- Mam układy w kilku mniejszych japońskich wioskach rybackich. Nie żebym znał język, ale mam znajomości, które mi ułatwiają pracę. Jak tam jest... cicho, spokojnie i nudno. To inny świat, ale ludzie praktycznie ci sami. Wszędzie znajdziecie pełno dobrych i złych. Co do tych kursów, o które pytacie... niech policzę... raz... dwa...

- Czy jest szansa, żebyś przy następnej przeprawie przewiózł dodatkowe dziesięć osób? - zapytał Roussel. - To dla nas bardzo ważne...

- Osiemnaście... dziewiętnaście... dwadzieścia! - dokończył liczenie John. - Co? Ach, jasne, chłopaki, nie ma problemu. Tylko pamiętajcie, że nie ma nic za darmo.

- To znaczy? - tym razem zapytał Max.

- Co będziemy tak przy piwku rozmawiać o interesach... - entuzjastycznie odrzekł Hendon. - Pomyślmy... proponuję coś takiego. Za kilka minut pójdę do domu. Zajmie mi to trochę czasu, więc muszę wyjść wcześniej. Wpadnijcie jutro do portu

i szukajcie trawlera „Laura”. Wtedy wszystko wyjaśnię. Jeśli to wam odpowiada, to może dobijemy targu.

- A może chciałbyś, żeby cię gdzieś podrzucić? - zapytał Luke. - Mamy jedno auto na chodzie. Mam ochotę jeszcze pogadać i trochę pozwiedzać miasto.

- To fantastyczny pomysł - oświadczył starszy człowiek, zerując zawartość kufla. - Przynajmniej szybciej wrócę do siebie i wyspany pójdę jutro do roboty. Przy okazji poznam resztę waszej grupy.

- Z pewnością będą zadowoleni, jak usłyszą o tym wszystkim - stwierdził Roussel. - To co? Idziemy?

- Jasne - przytaknął John, powoli wstając i wolnym krokiem idąc w kierunku wyjścia.

W momencie gdy rybak opuścił bar, Max lekko szturchnął Luke'a łokciem.

- Kończ piwo i wołaj naszych - powiedział. - Ja pójdę mieć dziadka na oku, aby nam nagle gdzieś nie zniknął.

- To leć - odparł Roussel, dopijając piwo. - Do zobaczenia za chwilę na zewnątrz.

Rozmowa dobiegła końca. W momencie gdy Max poszedł przed bar, aby przypilnować Hendona, Luke wstał i zaczął zmierzać do reszty podróżnych. Odprężony i zadowolony powoli przechodził przez środek sali, uważając, by nie zawadzić o nikogo. Po chwili doszedł do łoży, w której siedzieli jego

towarzysze.

- Steve, chodźmy już stąd - powiedziała Sarah do brata, wychodząc z toalety. - W środku jest jeszcze gorzej niż tutaj.

- A co sobie myślałaś? - zapytał cynicznie Sam. - Że ci nawalą pachnidełek do kibla?

- Ej, koleżko, lepiej uważaj - pogroził Cassonowi Williams. - Może i niedawno obito ci mordę, ale zawsze mogę po poprzednikach poprawić robotę.

- Co wy odwalacie? - zapytał Luke, stając naprzeciw podróżnych. - Chwila nieuwagi i już sobie skaczecie do gardeł jak jakieś ujadające psy.

- Jak by to powiedzieć... - próbował odpowiedzieć Chris. - Maggie i Alex prawie śpią, Williamsowie drą koty z Avą i Samem, a Kate... lepiej sam zobacz.

- Ciiiiii - oznajmiła Kate, przykładając palec do ust. - Gdzie jest Max? Gdzie naszzze pieniądze? Chcę m-martini!

- Na to już chyba za późno - oświadczył Luke. - Zamiast tego powinno wam wystarczyć, że poznaliśmy kogoś, kto może nas przewieźć do Azji. To stary rybak i w dodatku pijaczyna, ale jeżeli nie robi nas w konia, to jesteśmy na dobrej drodze, aby z nim ubić interes.

- A czego żądał w zamian za transport? - dopytywał Chris.

- Tego nie chciał na razie powiedzieć, ale mamy

go jutro szukać w porcie. Ponoć to nie będzie nic trudnego. Tak w ogóle ten gość nazywa się John Hendon i wraz z Maxem czeka na nas przed wejściem do baru. Chyba nie każemy im na siebie zbyt długo czekać?

- W samą, kurde, porę! - niespodziewanie krzyknęła Sarah, szybko podążając w stronę drzwi wyjściowych.

To wystarczyło, aby wybudzić Maggie i Alexa z drzemki i skłonić podróżnych do opuszczenia lokalu. Nie minęła minuta, a wszyscy stali już na dworze. Wtedy dostrzegli Arringtona, który aktualnie pomagał staremu rybakowi utrzymać pion.

- Oj... chyba za dużo wypieś - stwierdził, trzymając starszego człowieka za ramię. - Mam nadzieję, że jeszcze nie widzisz podwójnie. Teraz poznaj resztę mojej i Luke'a grupy.

- Jak mnie puścisz, to nic się nie stanie, wiesz? - zapytał cynicznie John, lekko szarpiąc barkiem i uwalniając się z uścisku Maxa.

To spowodowało, że mężczyzną lekko zakołysało, ale nie przeszkadzało mu to, aby podejść i powitać każdego z podróżnych z osobna.

Po tym jak Hendon wszystkich poznał, Luke podszedł do niego z rękami schowanymi w kurtce. W tym momencie sprawiał wrażenie, jakby mu było bardzo zimno.

- Skoro już mamy ten wstęp za sobą, to może przejdziemy do konkretów - oznajmił. - Niedaleko stąd jest hotel, w którym dostaliśmy zakwaterowanie. Tam zaparkowaliśmy samochód. Nadal chcesz skorzystać z transportu?

- Jasne, że tak - odparł John. - Krótki spacer do hotelu Beluga powinien mnie także nieco odświeżyć. Reumatyzm swoją drogą, ale o tym chyba nie chcecie teraz rozmawiać.

- OK, wszyscy w drogę! - ochoczo krzyknął Max. - Kto będzie chciał, pojedzie z nami na małą wycieczkę po mieście, a jeśli z różnych względów nie ma zamiaru zwiedzać, może iść już spać.

- Tak na marginesie - wtrąciła Ava. - Wszyscy piliśmy i raczej wątpię, że strażnikom się spodoba pijany kierowca na ulicach miasta.

- Tu nie mamy żadnych przeciwwskazań w tych sprawach - odparł John. - Każdy robi wszystko na własną odpowiedzialność. Po prostu jeśli kombinujesz, rób to dobrze i odpowiedzialnie. Kary za łamanie prawa są surowe, ale tylko jak coś spieprzysz i cię złapią. Mimo wszystko nikt nie chce iść do więzienia na ciężkie roboty...

- Ten sam przepis dotyczy także pijanych załogantów na kutrach? - dopytywał Chris.

- Tu sprawa jest jeszcze prostsza. Mamy łowić ryby i nie kantować z handlem. Żadnych transakcji na

boku. A to, że czasem ktoś wypadnie za burtę... twoje życie, twoja sprawa. Jedyne, co musimy robić, to pracować i płacić podatki. Reszta jest opcjonalna.

- Całkiem ciekawie gadasz, ale to nie pomaga, aby przeżyć na tym mrozie - oznajmił Steve. - Moja siostra już ledwo widzi na oczy i nie wiem jak wy, ale my pójdziemy niedługo spać.

- To w takim razie nie ma co tracić czasu - oświadczył Max, tym samym kończąc dyskusję i prowadząc grupę do miejsca postoju.

Po kilku chwilach wszyscy byli już z powrotem na placu przed wejściem do hotelu. Po krótkiej dyskusji przy furgonetce pozostał tylko Luke, Max, Alex i John. Reszta wróciła do swoich pokoi.

- Jeżeli nikt nie będzie miał nic przeciwko, to ja poprowadzę - oznajmił Alex, siadając na miejscu kierowcy i wsadzając do stacyjki użyczony mu wcześniej przez Chrisa klucz.

- John, chcesz siedzieć z przodu czy z tyłu? - zapytał Luke rybaka.

- To zależy od tego, czy chcecie mnie tylko podwieźć do domu i posłuchać niesamowitej historii o Frank Cove, czy zawieźć jak psa do schroniska i wszystko olać...

- OK, rozumiem sugestię - powiedział Roussel, nie kryjąc entuzjazmu, i pomógł usiąść Johnowi na miejscu obok kierowcy. Tylko ostrzegam, że będzie

trochę ciasno, a ty, Max, będziesz musiał zostać na tyłach. Wystarczy ci lufcik do podziwiania okolicy?

- A niech was... zresztą. Zawsze mogłem wrócić do hotelu.

- Więc wchodź do środka i zaczynamy zabawę - oświadczył Alex, uruchamiając furgonetkę.

W odpowiedzi Arrington jedynie westchnął i bez słowa wszedł do środka samochodu, zamykając za sobą tylne drzwi. Potem kierowca wbił wyższy bieg, zawrócił pojazd i wyjechał na główną drogę. Intuicyjnie skręcił w lewo, jadąc w kierunku wschodnim.

- To dokąd teraz, John? - zapytał Luke, próbując wygodniej się usadowić na siedzeniu, które zajmował on i rybak.

- Aż do końca Frank Cove. Przed nami cała masa atrakcji. Jedź wolno, Alex, to może skończę historię, zanim dowiedziesz mnie na miejsce.

- Ech... no dobrze... - westchnął Walsch, utrzymując stałą prędkość furgonetki, wynoszącą obecnie trzydzieści kilometrów na godzinę.

Przez chwilę mężczyźni w milczeniu mijali kolejne domy jednorodzinne. W części z nich jeszcze paliło się światło, ale przeważająca większość mieszkańców przypuszczalnie już spała. Po przejechaniu przez skrzyżowanie, gdzie podróżni wcześniej skręcili w stronę baru, Luke, Max i Alex

zobaczyli nieznane im dotąd miejsca. Aktualnie mijali myjnię samochodową, sklep rybny i meblowy. Potem droga nieznacznie skręcała w prawo, ciągnąc się wzdłuż kolejnego miejskiego muru, na którym stało kilku strażników. Teren po drugiej stronie nie był oświetlony, co zaintrygowało Roussela.

- John, co tam niby jest? - zapytał zaciekawiony.

- Aaaaa... strefa wojskowa. Miejsce, gdzie większość mieszkańców nie ma prawa wstępu. Jest tam także elektrownia węglowa, kwatery rodzin strażników i cholera wie co jeszcze. Więcej nie byłem w stanie wyciągnąć od ludzi.

- Tak w ogóle to ile stąd do twojego domu? - zapytał Alex. - Może mnie olśnisz?

- Jakieś pięć mil lub, jak to u was, w Kanadzie, mawiają, prawie osiem kilometrów. Tym tempem zleci nam to jakoś w piętnaście minut.

- Skąd wiedziałeś, że właśnie stamtąd jestem? - dopytał Walsch, nie kryjąc zdziwienia.

- Kolego, nie urodziłem się wczoraj i wiem, jak wyczuć akcent. To nie grzech przyjeżdżać zza granicy. Poza tym Max też jest z twoich rejonów, a Luke... a cholera go wie. Dość ciekawie wymawiasz niektóre sylaby.

- Wow - zareagował zdziwieniem Roussel, patrząc na Hendona. - Muszę ci pogratulować. Właśnie zająłeś pierwsze miejsce w posiadaniu

nieprzydatnej do życia wiedzy. A tak poważnie to jestem pod wrażeniem. Dokładnie pochodzę z Francji, z Burgundii.

- To trochę cię wywiało, chłopie, he, he, he... - zarechotał starszy człowiek. - Pewno kawał świata widziałeś, ale ja na pewno zobaczyłem więcej od ciebie...

- Nie będę polemizować - odrzekł Luke, kierując wzrok przed siebie. - Zmieniając temat... Może mi powiesz coś o tym, co jest przed nami, i zdradzisz jakieś ciekawostki?

- Oczywiście. Ten wąski pas ziemi to ulica Cypelowa. Po lewej stronie macie zatokę Kachemak, a po prawej Pacyfik. Za prawie kilometr dojedziemy do ostatnich rogatek, więc pozwolicie, że opowiem coś o tym wspaniałym mieście. A wiem całkiem sporo.

- Nie będziemy ci przerywać - oznajmił Max.

- Otóż tak... Frank Cove założono pod koniec dwudziestego drugiego wieku przez niejakiego gościa o imieniu Frank. Jego nazwiska nikt już chyba nie pamięta... może on go nawet nie miał. Powstanie osady miało miejsce bodajże w... dwa tysiące sto osiemdziesiątym drugim, o ile mnie skleroza jeszcze nie dopadła. Z początku to, co Frank zbudował, wyglądało na zwykłą osadę rybacką, ale z czasem rozwinęło tu handel z lokalnymi społecznościami i od

tamtej pory wszystko szło tylko do przodu. Obecnie mieszka tu ponad pięć tysięcy ludzi. Z reguły żyjemy tutaj z łowienia ryb albo się narabujemy... siebie i drewno oczywiście. Dużo osób jest zatrudnionych do ochrony i pilnuje porządku na całym półwyspie. Nie wiem, czy powinienem wam o tym mówić, ale w czynnej służbie pozostaje ponad dwa tysiące osób, z czego połowa ma stałe kontrakty. Stąd te mundury. Ci ludzie mają pełno roboty zarówno tutaj, jak i poza murami. To dzięki nieustannym patrolom i doskonałej łączności wiemy, czy ktoś nadchodzi. Poza tym, w odróżnieniu od reszty, mamy dojścia do ropy, ale dokładną pozycję szybów znają tylko nieliczni. No i nawiązaliśmy także współpracę z pojedynczymi rodzinami w okolicy. Dzięki nim dostajemy skóry i mięso reniferów. Żyje nam się tu dobrze... w końcu mamy wszystko, czego trzeba. Nawet założyliśmy redakcję prasową i prowadzimy własny dziennik... to nasza wizytówka.

- Aleś nam teraz nagadał, he, he... - stwierdził entuzjastycznie Luke. - Właśnie dojeżdżamy do rogatek i brama jest zamknięta. John, rób, co do ciebie należy.

- Zatrzymajcie się tuż przed wejściem, a ja pójde pogadać ze strażnikami. Dobrze mnie znają, więc nie powinno być z ich strony żadnych nieprzyjemności.

- Oby, bo inaczej to będzie koniec wycieczki -

oznajmił Alex, zwalniając furgonetkę.

Ostatecznie mężczyźni zaparkowali przed punktem kontrolnym. Na wysokim na trzy metry betonowym murze stało czterech strażników. Jak tylko ochrona zauważyła samochód, od razu wycelowano w podróżnych broń. Po tym jak pojazd stanął, na zewnątrz wyszedł John i poszedł porozmawiać z mundurowymi. Po chwili wrócił do Luke'a, Maxa i Alexa, a brama wjazdowa stała otworem.

- Jak już mówiłem, nie będzie problemów. Możecie jechać, tylko jak zamierzacie wracać, mrugnijcie światłami pięciokrotnie. Wtedy unikniecie pogadanki.

- Ech... jak sobie chcesz - westchnął Walsch, ruszając furgonetką w dalszą trasę. - Tak w ogóle to całkiem szybko ci poszło.

- Znam tutaj dużo ludzi - oznajmił Hendon, rozpychając się przy drzwiach, czym przesunął Luke'a bliżej dźwigni zmiany biegów.

Po przejechaniu przez bramę mężczyźni kontynuowali wycieczkę, obserwując krajobraz. Po obydwu stronach widzieli jedynie wodę, a przed sobą oddalone od nich o ponad pięć kilometrów światła przydrożnych latarni. Dalej ujrzeni już tylko zarysy gór.

- A więc... to wszystko, o czym chciałeś

powiedzieć? – zapytał Alex, jadąc środkiem drogi, i przełączył światła na długie.

– Niekoniecznie. Prawdę mówiąc, jest jeszcze trochę do powiedzenia. Frank Cove to nie byle jaka miejscina. Jest nawet podzielona na trzy strefy. Pierwsza jest typowo mieszkalna. Skoro dotarliście tutaj przez bramę na rogatkach, to wiecie, o czym mówię. W drugiej aktualnie nocujecie, pijecie, a jest to dzielnica handlowa. Do trzeciej właśnie wjechaliście i tylko nieliczni mają tutaj stały, nieograniczony dostęp. Jest to zona portowo-elitarna i właśnie tutaj mieszkam chociażby ja i zarządca miasta.

– Powiedziałeś „zarządca”? – dopytywał Max. – Wczoraj w naszym drugim samochodzie wyłapałem jakieś fale radiowe. Coś o nim wspomiano.

– Więc podsłuchiwałeś drużyny-duchy, he, he, he – zarechotał Hendon. – My tutaj pilnujemy chyba wszystkiego. Wracając... nasz „szef” nazywa się Jason Carlsen. Wybraliśmy go demokratycznie w wolnym głosowaniu i będzie on pełnić swoją funkcję dożywotnio. Myślę, że nie doczekam zmiany władzy, bo jest on dość młody, jakoś w połowie pięćdziesiątki. Co by tu o nim tak na szybko powiedzieć... łysy, ostry w obyciu, zaradny Afroamerykanin. Pilnuje absolutnie każdego aspektu życia w tym miejscu, wydaje wyroki i jest odpowiedzialny za kontrakty

z zamiejscowymi. Od niego zależy też moja robota, bo Jason pogadał z Japończykami i ma z nimi jakieś umowy na towary, które ja przewożę. Nie mam prawa nawet pytać, co to właściwie jest. Mimo wszystko jestem zadowolony, a zarządca ma po prostu łeb na karku.

Tymczasem Alex dojechał do pierwszych przydrożnych latarni. W tym miejscu dostrzegł także zakład przetwórstwa rybnego. Wielkopowierzchniowy budynek skonstruowano z blach, których, pomimo bliskości do oceanu, nie pokrywała rdza.

- Niedługo dotrzemy na miejsce - oświadczył John. - Jeszcze jakieś... trzy kilometry. Po drodze zobaczycie kilka atrakcji, na które mogą sobie pozwolić tylko nieliczni. No i ujrzycie port, ale moja miłość jest zadokowana w dyskretnym miejscu. Przyjemność zobaczenia „Laury” będziecie mieli dopiero jutro.

- Jakoś przeżyję - odparł Alex, skupiając uwagę jedynie na prowadzeniu pojazdu. - Mimo wszystko sporo się dowiedzieliśmy o Frank Cove. Jakbyś teraz chciał i mógł powiedzieć, co musimy zrobić, aby z tobą popłynąć za...

- A, a, a - odrzekł Hendon, kiwając palcem. - Interesy jutro. Tak ustaliłem z Lukiem i Maxem. Prawda, chłopaki?

- Dokładnie - obaj przytaknęli jednocześnie.

- Wobec tego po prostu podziwiajcie tę piękną okolicę - oznajmił John, zamykając oczy. - Ocknijcie mnie za chwilę.

Rozmowa dobiegła końca. Podróżni bezrefleksyjnie zaczęli spoglądać na mijane przez nich miejsca. Po blisko kilometrze pierwszym okazał się mijany po ich lewej cmentarz. Wyglądał on dość nietypowo. Teren był całkowicie zalany betonem, a pomiędzy licznymi nagrobkami można było zauważyć przeznaczone na więcej ciał dziury.

Następnie mężczyźni przejeżdżali obok portu. Po obu stronach cypla zadokowano mnóstwo niewielkich kutrów rybackich. W tym momencie Alex nieznacznie przyspieszył, szybko mijając okolicę. Zarówno on, jak i pasażerowie zwrócili także uwagę na kilka kilkunastometrowych żurawi budowlanych. Przymuszczalnie służyły one do transportowania towarów z łodzi na ląd i vice versa.

Tuż za portem Walsch dojechał do końca półwyspu. Mężczyźni dostrzegli kilkanaście budynków w zabudowie szeregowej, domów wolnostojących i spory obiekt przemysłowy. Ten ostatni prawdopodobnie pełnił funkcję magazynu, o czym świadczył szereg zaparkowanych przy nim wózków widłowych.

- Ej, John, pobudka - oznajmił Luke, szturchając rybaka. - Gdzie teraz?

- W-w stronę domków. Prosto i w prawo.

Po chwili mężczyźni dojechali do następnego skrzyżowania. W tym momencie Alex zatrzymał furgonetkę, aby poczekać na dalsze instrukcje. Przy okazji wszyscy zwrócili uwagę na nietypowy dom stojący na końcu biegnącej wprost drogi.

Piętrowy budynek był stworzony z pomalowanej na szaro cegły, ale spośród reszty wyróżniało otaczające go betonowe, ponaddwupółmetrowe, ogrodzenie. W środku obiektu paliły się światła, a tuż przy głównym wejściu stało dwóch strażników z zawieszoną u pasa bronią.

- Tam jest dom Jasona Carlsena - oznajmił John. - My z kolei jedziemy w prawo. Fajnie było z wami gadać. Mam nadzieję, że dojdziemy do porozumienia w sprawie, na której mi bardzo zależy.

- Oho, zaczynasz sypać - stwierdził Alex, skręcając w stronę szeregowych domków. - Czyli będziemy musieli coś dla ciebie zrobić, a nie płacić?

- He, he, i tu mnie masz... - odparł Hendon, rechocząc. - Jednak o interesach pogadamy jutro. Zaparkuj przy bloku numer dwanaście.

Tak też po chwili się stało. Alex zatrzymał auto tuż przy wskazanym przez rybaka adresie. Potem niezwłocznie wyłączył silnik.

Podróżni i rybak stali na nieoświetlonej szutrowej drodze. Po lewej dostrzegli szereg wyglądających na

nowe piętrowych kwater. Pokryte czerwoną elewacją budynki miały płaskie dachy, a przed każdą klatką schodową wyznaczono po dwa miejsca parkingowe.

- Dzięki za podwózkę, chłopaki - oznajmił John, wychodząc z furgonetki. - Miło z wami pogadać. Pamiętajcie: sześć mrugnięć i nie macie problemów na rogatkach. No i poszukajcie mnie jutro w porcie.

- Sądziłem, że wystarczy tylko pięć - odrzekł Walsch, nie kryjąc zniesmaczenia.

- Pięć, sześć... kto by to pamiętał - powiedział entuzjastycznie Hendon, powoli zmierzając w stronę domu. - Po prostu migajcie. Strażnicy chyba jeszcze o was nie zapomnieli.

- Do zobaczenia, John! - pożegnał się Luke, machając w kierunku rybaka, i wygodnie usadowił się na siedzeniu. - Alex, ruchy. Niedługo sprawdzimy, czy morski dziadek jest kimś konkretnym.

- Heh... czas wracać do reszty... - westchnął kierowca, ponownie uruchamiając samochód, po czym zawrócił auto i zaczął wracać do hotelu Beluga.

Droga powrotna zajęła podróżnym znacznie mniej czasu, zważywszy na trzykrotne zwiększenie prędkości przez Alexa w stosunku do niedawnego przejazdu. Tuż przed opuszczeniem strefy elitarno-portowej mężczyzna kilkakrotnie mignął światłami, a strażnicy otworzyli bramę. Kiedy furgonetka przejechała przez rogatki, szybko zamknięto

przejście. Resztę trasy mężczyźni pokonali sprawnie, po kilku minutach docierając do hotelu.

Kiedy samochód dojechał na parking, Walsch zaciągnął hamulec ręczny i wyjął kluczyki ze stacyjki. Następnie bez słowa wyszedł na zewnątrz i zamknął za sobą drzwi, a Luke i Max poszli za nim. Krótco potem dołączyli do reszty towarzyszy i zajęli się swoimi sprawami.

Było gdzieś około północy. Aktualnie Chris i Kate przesiadywali razem w pokoju numer sześć. Oboje leżeli na łóżku i patrzyli w sufit. Wyglądali na wyraźnie odprężonych i zadowolonych.

- Powiedz... o czym teraz myślisz? - zapytała mężczyznę Nix.

- O niczym - po kilku sekundach odparł bezrefleksyjnie.

- Tego też u was nie lubię.

- U nas, czyli u kogo?

- U facetów. Jesteście zbyt prości. Żadnego wyzwania ani domniemania...

- Może jest właśnie inaczej... równie dobrze mógłbym myśleć o wielu rzeczach, jakie mnie spotykały, dotyczą lub mogą się zdarzyć.

- Wciąż ci Carol w głowie, prawda? - dopytywała Kate, przytulając mężczyznę.

- W końcu była moją narzeczoną. Jej tak po

prostu nie wymażę z pamięci.

- Nigdy o niej nie zapomnisz. Może i wyróżniesz emocje związane z przeszłością, ale zawsze będziesz o niej pamiętał. Nawet te najgorsze rzeczy, które nas spotykają, pozostają głęboko ukryte. Jedyne, co musimy zrobić, to w końcu się zebrać do kupy i przeć naprzód.

- Ech... wiesz co... - westchnął Chris, spoglądając kobiecie w oczy. - Masz w zupełności rację. Tylko łatwiej powiedzieć to komuś, kto stoi obok problemu, niż temu, który to obecnie przeżywa. Ech...

- Chcesz o czymś konkretnym pogadać? - dopytywała Kate, muskając nosem zarost Chrisa.

- Nie wiem, czy mam ochotę na taką rozmowę, ale chyba powinienem ją przeprowadzić. Podobasz mi się, wiesz? Z początku o tym nie wiedziałem, ale to przyszło z czasem. Najwidoczniej wystarczy faceta dobrze nastroić, żeby go po prostu mieć.

- Chyba tak to działa - odparła entuzjastycznie Nix. - Tak naprawdę to nigdy nie mieliście zbyt wiele do gadania. Tylko od kobiet zależało, czy doszło na przykład do seksu, czy nie. I wiesz co?

- Co? - bezrefleksyjnie zapytał Reese.

- Tym razem pozwolę ci zdecydować. W końcu ciebie chcę... tu i teraz. Jestem wolną piękną kobietą i tylko ty możesz to zmienić.

- Miałbym cię oszpecić? - zapytał Chris dość

specyficznym żartem.

- Heh... Chociaż tutaj nie odbiegasz od normy. Jak na każdego samca przystało, zawsze potrafisz spieprzyć dobry nastrój. A co mi tam...

W tym momencie Kate pocałowała Chrisa, dając upust namiętności. Oboje przylgnęli do siebie w miłosnym uścisku i zaczęli się czule dotykać. Po trwających kilka minut pocałunkach kobieta usiadła na wybranku.

- Teraz można przejść do, jak to ujął Sam, trzeciej bazy - oznajmiła, zdejmując czerwoną koszulkę na ramiączkach.

Chris zobaczył jej czarny, idealnie dopasowany do jej piersi stanik. Zaniemówił z wrażenia i zwyczajnie czekał na rozwój sytuacji. Zanim jednak doszło do czegoś więcej, zza sąsiedniej ściany dobiegło pukanie.

- Ciszej tam, kurwa! - niespodziewanie krzyknął Sam. - Ja tu próbuję spać! Zróbcie to, jak nie będzie mnie w pobliżu!

- Dzięki, mendo! - odkrzyknęła Nix. - Po prostu świetnie... ech... co robimy?

- Może innym razem, Kate - odparł Chris, zdejmując ją z siebie, zajął pozycję pólśiedzącą i pocałował kobietę w usta. - Poza tym jest chyba jeszcze za wcześnie, a Casson robi nam za bezpiecznik.

- Niech ssie, tylko przeszkadza - powiedziała arogancko Kate, wkładając koszulkę. - Dobra, to ja wracam do siebie. Jeśli chcesz, możesz chociaż dotrzymać mi towarzystwa. Chrapiesz?

- Sama będziesz musiała to sprawdzić - oznajmił Reese i wraz z Nix opuścił swój pokój. - Robisz to na własne ryzyko.

Po tych słowach oboje poszli do pokoju numer pięć. W czwórcie aktualnie spał Alex i miał w głębokim poważaniu to, co się działo wokół niego. To pozwoliło Chrisowi i Kate w końcu dać kilkunastominutowy upust wzbierającej w nich namiętności.

Nastał świt. Pierwsze promienie słońca zaczęły oświetlać ulice Frank Cove. Chwilę potem zgaszono latarnie, aczkolwiek mieszkańcy miast już od dawna pracowali lub zajmowali się innymi sprawami. Tego dnia niebo było częściowo zachmurzone, ale nie padał śnieg. Mimo to z racji wzbierającego na sile wiatru zrobiło się mroźnie.

Krótko po godzinie dziewiątej podróżni zaczęli swój dzień. Prawie półtorej godziny zajęły im sprawy związane z higieną, zważywszy na fakt, że mieli do dyspozycji tylko jedną łazienkę. Potem Max zafundował wszystkim śniadanie w hotelu Beluga. Za wydane przez niego dwadzieścia dolarów każdy

otrzymał kubek gorącej kawy, sok pomarańczowy oraz trzy duże naleśniki z syropem jagodowym. Obie grupy postanowiły zjeść przy jednym stole.

Po posiłku Arrington powiedział wszystkim o umówionym spotkaniu z Johnem, przy okazji wspominając o prowadzącej do portu trasie. Ku jego zdziwieniu każdy koniecznie chciał tam pojechać chociażby dlatego, żeby zobaczyć ponadsześćdziesięciometrowy kuter rybaka. Jednak Ava i Sam mieli warunek, aby tam pojechać samochodem. Chris z rezerwą przystał na podwózkę, jednocześnie informując, że musi uzupełnić paliwo w furgonetce. W odpowiedzi Max dał mu pięćdziesiąt dolarów na benzynę i dodatkowo poprosił, aby spróbował zatankować SUV-a.

W ciągu pół godziny Chris wykonał powierzone sobie zadanie. Niestety asysta strażników miejskich była konieczna, gdyż nie chcieli oni tak po prostu udostępnić pojazdu grupy Arringtona. Jeden z ochroniarzy podjechał SUV-em na stację paliw, aby mieć sytuację pod kontrolą. Ku zdziwieniu Reese'a wszystkie dane mu pieniądze wystarczyły, aby napełnić oba zbiorniki paliwowe do pełna. Zadowolony pojechał furgonetką, aby odebrać resztę podróżnych, wcześniej prosząc jednego ze stróżów prawa, aby zaparkował drugie auto w miejscu, gdzie wcześniej stał pojazd.

Kiedy Chris zaparkował przed hotelem Beluga, wszyscy, z wyjątkiem Luke'a, zajęli miejsca z tyłu. On sam usiadł tuż obok Reese'a i zapiął pasy. Roussel wyglądał na zadowolonego.

- Najwyższy czas odwiedzić Johna i zobaczyć tę jego łajbę - oznajmił kierowca, uruchamiając samochód, i z wolna nabierał prędkości. - I czy dobrze mi się wydaje, że z tobą już jest lepiej?

- Jeszcze trochę kaszlę, ale już nic mnie nie boli - odrzekł entuzjastycznie Luke. - Najwidoczniej lekarstwa od Kate pomogły i powoli dochodzę do siebie.

- Dobrze wiedzieć - oznajmił Chris, zjeżdżając na główną ulicę. - A teraz sobie trochę odpocznij. Niedługo będziesz musiał się sporo nagadać.

- Heh... zrozumiano, ale jeszcze intryguje mnie jedna rzecz. Czy ty i Kate...

- Co ja i ona? - dopytywał się Reese, próbując zachować poważną minę.

- Nic, nic... słyszałem tylko to i owo... powodzenia.

- Nie dziękuję - odparł powściągliwie Chris i nieco przyspieszył auto.

Przejazd do dzielnicy portowo-elitarnej przebiegł bezproblemowo. Strażnicy postanowili nie dokonywać kontroli i od razu otworzyli bramę. Kierowca w podzięcie trzykrotnie mignął światłami.

Po przejechaniu punktu kontrolnego maksymalnie przyspieszył na pustej drodze, aby jak najszybciej dojechać na miejsce.

Po chwili Chris i Luke dostrzegli niezliczoną ilość kutrów zadokowanych w szerokim na kilkaset metrów kanale portowym i drugie tyle przywiązanych do brzegu z przeciwnej strony. Aktualnie w tym miejscu panował niewielki ruch. Gdzieś można było ujrzeć pracę mieszkańców. Jedna grupka przenosiła duże, wypełnione po brzegi rybami, pudła. Kolejną stanowili czterej mężczyźni, którzy malowali burtę jednego ze statków. Ostatnią okazało się troje ludzi, którzy rozmawiali między sobą i sporządzali notatki na papierze. Stali obok ogromnego żurawia budowlanego.

Chris stopniowo zwalniał furgonetkę i zaczął szukać miejsca, gdzie mógłby zaparkować. Jedyne, co zdołał wypatrzyć, to niewielka żwirowa uliczka, odbijająca w lewo do kanału portowego. Postanowił tam zjechać i szukać dalej dobrej lokalizacji do zaparkowania.

Po prawie dwustu metrach dojechał tuż pod siatkę ogrodzeniową. W tym miejscu wyznaczono miejsca postojowe zaraz obok niewielkiego parterowego budynku. Trzeba było przez niego przejść, aby wejść na teren portu. Przez to, że za ogrodzeniem stało wiele kontenerów, widok na

wschodnią i zachodnią część zatoki był niemożliwy.

- Rozumiem, że od teraz musimy iść pieszo? - spytał Chris.

- Na to wygląda - odparł Luke. - Lepiej mi powiedz, czy widzisz gdzieś ten jego kuter?

- Nie, ale to jeszcze nie dowód, że stary rybak nam wciskał kit. Zgaduję, że niedługo go znajdziemy.

- Nie mówiłem, że nas oszukał. Po prostu mam wątpliwości, czy jesteśmy w odpowiednim miejscu.

- Czyli, jak dobrze rozumiem, John powiedział, że macie go szukać „w porcie”, nie wspominając gdzie konkretnie? - zapytał cynicznie Reese. - Oj, chłopaki... pełen profesjonalizm...

- Zamiast narzekać, lepiej pomyślałbyś, co będziemy musieli zrobić, aby dotrzeć do Japonii.

- Teraz nie ma potrzeby, aby nad tym gdybać - odrzekł Chris, zatrzymując furgonetkę przy małym budynku, a następnie wyłączył silnik i zaciągnął hamulec ręczny. - Ech... lepiej po prostu poczekać na rozwój sytuacji...

Obie grupy podróżnych niezwłocznie wyszły na zewnątrz i zaczęły rozglądać się dookoła. Kiedy Reese zamknął furgonetkę, wszyscy podeszli do drzwi parterowego obiektu. Max dotarł tam jako pierwszy i nie czekając na resztę, kilkakrotnie zapukał.

Nie otrzymawszy odpowiedzi, po kilku sekundach

chwycił za klamkę i próbował wejść do środka. Na szczęście przyszło mu to bez trudu. Arrington i reszta podróżnych pewnym krokiem weszła do pomieszczenia.

Przebywali w pokoju o wymiarach trzy na pięć metrów. Naprzeciwko znajdowały się kolejne drzwi, a pod prawą ścianą stało niewielkie, drewniane, zbutwiałe biurko. Kiedy wszyscy podeszli bliżej mebla, zauważyli, że do blatu przybito mapę. Pomimo licznych czarnych plam mogli zauważyć, że jest to plan portu. Najciekawszy dla wszystkich był koniec północnej części nabrzeża.

- Wygląda na to, że ktoś musiał nieco „udoskonalić” to miejsce, dobudowując osobny dok - stwierdził Luke, drapiąc się po zaroście. - Czyli musimy po prostu iść za kontenery i znajdziemy to, czego chcemy.

- Jeśli tam nie ma tego chlejusza... - próbował pogrozić Sam, ale nie dokończył wypowiedzi, widząc rozgoryczenie Maxa.

- Straciliśmy już za dużo czasu - oznajmiła Ava, silnym kopnięciem otwierając drzwi po drugiej stronie pokoju.

Pomimo że otworzyła je z impetem, nic nie zostało uszkodzone. To uspokoiło Roussela i Arringtona, którzy nie chcieli, aby ktokolwiek z ich grup narobił sobie problemów.

Podróźni niezwłocznie zaczęli mijać kontenery. Przy okazji odczuli na sobie silny morski wiatr, który kołysał przycumowanymi kutrami. Również zadziwił ich fakt, że ktokolwiek może w takich warunkach pracować. Mimo wszystko nie znali okolicznych zwyczajów lub sytuacji, w jakich mogli być pracownicy portu.

Po przejściu około pół kilometra obie grupy ponownie wyszły na otwarty teren. Właśnie w tym momencie ujrzeli trawler Johna Hendona.

Kuter był zacumowany w prowizorycznym drewnianym basenie portowym. Wielkość jednostki faktycznie odpowiadała opisowi, jaki otrzymali, jednak jej wygląd budził wiele zastrzeżeń.

„Laura” była poważnie skorodowanym trawlerem. Rdza pokrywała niemal wszystkie elementy jednostki pływającej. Począwszy od kadłuba, poprzez jedyny, przedni, maszt, skończywszy na wysokiej na trzy kondygnacje, znajdującej się na tyłach statku sterowni. Mimo wszystko zdolność kutra do podróży przypuszczalnie była możliwa, ale nikt nie mógł tego zagwarantować.

- Więc... - zaczął Steve. - Czy to niby jest...

- Chyba tak... - odparła Sarah, równie zaskoczona jak jej brat.

- Jakby to nie wyglądało, łajba stoi na wodzie - stwierdził Max. - Jak tylko pogadamy z Johnem, to

wszystko powinno być jasne.

- Tiaaa... - westchnęła, okazując rezygnację, Ava.
- Ciekawe, czy ten moczymorda będzie w ogóle w stanie nam cokolwiek wyjaśnić.

- Doświadczony rybak nie powinien się mylić niezależnie od tego, czy jest trzeźwy, czy nie - przypuszczał Luke. - Jakoś pływał po oceanach i dożył starości. Moglibyśmy mu choć trochę zaufać...

- Więc nie ma co dłużej tutaj stać i patrzeć w łajbę jak cieć w malowane wrota - stwierdził Chris, niezwłocznie zmierzając w stronę „Laury”.

Po chwili podróżni stanęli przed kładką prowadzącą na pokład trawlera Johna Hendona. Usłyszeli, jak rybak ponagla swoich pracowników, stojąc na mostku kapitańskim. Krzyczał na nich przez mikrofon, a umiejscowione na zewnątrz dwa megafony mocno zniekształcały jego głos. W przerwach od wyzwisk John wydawał polecenia. W pewnym momencie jednak przerwał transmisję i zniknął wszystkim z oczu.

- Oho, chyba nas wypatrzył - przypuścił Max.

- Albo poszedł po następną but... - próbował wtrącić Sam, ale po lekkim ciosie z łokcia w biodro od Kate nie dokończył wypowiedzi.

Nie minęła minuta, a John stanął po drugiej stronie kładki. Cały czerwony na twarzy i uśmiechnięty gestem zaprosił podróżnych na

pokład. Luke, Chris, Maggie, Steve, Sarah, Max, Alex, Kate, Ava i Sam powoli pokonali niezbyt szeroką kładkę, uważając, żeby nie wpaść do lodowatych oceanicznych wód.

- Zapraszam na moją największą miłość - oznajmił Hendon, po kolei witając każdego z podróżnych. - Poznajcie „Laureę”.

- Więc tak wygląda twój kuter... - powiedział nieco powściągliwie Arrington. - Jest dość... zjawiskowy.

- Pijecie do rdzy czy do tego, że jednak nie chcecie przepłynąć przez Pacyfik? - zapytał rybak, odwracając się, i kiwnięciem głowy zachęcił podróżnych, aby za nim poszli w stronę dziobu trawlera.

Wszyscy posłusznie wykonali sugestię mężczyzny.

Kiedy doszli na miejsce, zobaczyli niesamowity widok. Ujrzeli gęste burzowe chmury, z wolna sunące po zboczach okolicznych gór, niemal niknące tuż nad taflą zatoki Kachemak. Czarne obłoki stopniowo malały, tworząc mgłę, która unosiła się tuż nad taflą wzburzonych wód.

- To jest taka nasza lokalna anomalia - oznajmił John. - Nie ma takiego człowieka, który mógłby uzasadnić to, co właśnie widzicie.

- Już zapomniałam, po co tu przyszliśmy - powiedziała Maggie, bacznie obserwując

niewytłumaczalne zjawisko pogodowe.

- Szkoda, że nie ma z nami specjalisty, który znalazłby tu jakieś wytłumaczenie - stwierdził Steve, obejmując siostrę.

- Tu nie ma nawet jak gdybać - oświadczył Hendon. - To cholera jest istnym przekleństwem dla rybaków. Rano może być ładna pogoda, ale jeśli na wschodzie coś się zmienia, wtedy to badziewie na nas spływa. Przez to wstrzymujemy połowy.

- I co mielibyśmy w tej sprawie zaradzić? - zapytał Luke.

- To dobre... oczywiście, że nic. Mam dla was całkiem przyziemne zadanie. Mimo to jest dość... skomplikowane.

- Rozwiązywanie problemów to nasza specjalność - odparł z dumą w głosie Max.

- Chodźcie za mną. Na drugim końcu statku jest luk. Tam zobaczycie, czego mi trzeba, i dowiedcie się, gdzie to zdobyć.

- Ech... czyli czas pozwiedzać... - westchnął Chris, ściskając w kieszeni klucze od furgonetki.

Po przejściu przez pokład i obserwacji mężczyzn, którzy próbowali podpiąć stalową, usztywniającą maszt linkę, podróżni dotarli we wskazane miejsce. John, nie zwracając na kogokolwiek uwagi, ostentacyjnie otworzył przejście pod pokład, włazem niemal uderzając w nogi Maxa.

Lider drugiej grupy nieznacznie odskoczył i postanowił przemilczeć zaistniałą sytuację. Niewzruszony kiwnął głową na znak, żeby wszyscy zeszli pod pokład.

Wnętrze „Laury” wyglądało dużo lepiej, niż można było przypuszczać. Podróżni dostrzegli pomalowany białą farbą korytarz i kilkanaście stalowych drzwi. Chyba nikt poza Johnem nie wiedział, co jest trzymane w zamkniętych pomieszczeniach.

- Witam w brzuchu bestii - oznajmił radośnie rybak, opierając się ręką o ścianę. - Tak naprawdę to jest ona niegroźna, he, he, he...

- Ile dzisiaj wypiełeś? - zapytał Alex.

- Niewystarczająco. A teraz wam zdradzę, jeśli można, topografię statku. Chodźcie za mną i bądźcie przez chwilę cicho.

- Lepiej uważaj na gadkę, dziadku, bo łatwo mnie wnerwić - oznajmił pretensjonalnie Sam.

- A ty, chłopcze, nie podskakuj, bo jak przyjdzie co do czego i wypadniesz za burtę, to nikt ci nie pomoże - odrzekł John i zaczął wszystkich oprowadzać po korytarzu. - Kontynuując... Pierwsze drzwi to pomieszczenie na skrajnik rufowy. Nie chcecie znać jego budowy, jeśli nie potraficie pływać. Dalej mamy tak zwany pokój bhp. Możecie to nazwać komnatą tajemnic, bo nikt tam nie wchodzi.

Następnie jest siłownia i pompownia. Odradzam tam zaglądać... chodzi o kwestie bezpieczeństwa. Poza tym możecie się nieźle ufajdać...

- To jest dla mnie trochę zbyt skomplikowane - oznajmił Luke, uważnie spoglądając na drzwi do wymienianych przez Johna pomieszczeń.

- Całe życie przed tobą - odrzekł Hendon, klepiąc podróżnego po ramieniu. - Zawsze jest dobry czas, aby poznać nową wiedzę. Wracając... W piątce są zbiorniki paliwa. Trzymamy tam coś, co pozwala nam istnieć na morzu.

- Czyli dokładnie co? - dopytywała się Maggie.

- Wódkę i benzynę! - odpowiedział radośnie rybak. - Mniejsza. Dalej są wasze kajuty.

Podróżni zwrócili uwagę na dziesięć niewielkich drzwiczek.

- Najważniejsze, żeby można było spać - dodał John, nie przerywając marszu. - Pozostał nam tylko skrajnik dziobowy. Tam powinienem trzymać to, czego od was będę wymagał, jeśli pójdziecie ze mną na układ.

W tym momencie wycieczka dobiegła końca. Wszyscy stanęli naprzeciw ostatnich drzwi pod pokładem. Były one zamknięte na kłódkę.

- Więc... czego od nas konkretnie chcesz? - zapytał Max.

- W końcu nadszedł ten moment, aby wyjawic

moje zamiary... Skoro macie samochody, to moglibyście coś dla mnie zdobyć. Łatwiej wam pójdzie z transportem.

- Ech... do rzeczy... - westchnął Chris i tupiąc nogą, okazywał niecierpliwość.

- OK, OK. System uzdatniania wody mi nawalił. Bez niego kiepsko wyglądałaby długa podróż. Mój sprzęt się rozpieprzył jakieś pół roku temu, a zarządca nic z tym nie chce zrobić. Chciałbym, abyście dostarczyli mi zamiennik, a dostaniecie ode mnie wyżywienie i transport do Azjatów.

- Czyli chodzi o zdobycie pewnego urządzenia... - stwierdził Luke. - No dobrze, po prostu powiedz, gdzie można takie coś znaleźć i jak to wygląda, a może dobijemy targu.

- Jest pewne miejsce, do którego powinniście pojechać... Seward...

- Daleko to? - dopytywał się Alex.

- Dokładnie cztery godziny stąd, o ile drogi są w dobrym stanie. Jednak od razu powiem, że jest pewien haczyk... Otóż przez lata nie otrzymaliśmy kontaktu od miejscowych. Nasi zwiadowcy meldowali, że okolica jest opuszczona. Co ciekawe, wszystko pozostało tam niemal nienaruszone.

Te słowa wyraźnie zaniepokoiły Luke'a.

- Możliwe, że z jakichś powodów ponad trzy tysiące mieszkańców musiało opuścić swoje miasto.

Na pewno nie chodziło o promieniowanie czy inne tego typu bzdety. Nasi to sprawdzili i nic nie wykryli. Jedyne, co faktycznie zrobili, to zabezpieczyli teren i rozkazali nie łązić po okolicy.

- To wszystko, co wiesz? - dopytywał się Roussel.

- Niestety tak, gdyż nie mam dostępu do raportów drużyn-duchów. Jeśli to pomoże, to zauważyłem, że od trzech lat cała ta sprawa jakoś ucichła i wszyscy jakby o niej zapomnieli. Przypuszczam, że nikt nie pilnuje już Seward...

- Więc mamy tak po prostu tam pojechać i przywieźć ci ten system do uzdatniania wody, tak? - zapytał Steve.

- Tak, tylko o to chodzi. Gdy to zdobędziecie, znów będę mógł wypływać w dalekie rejsy i dopuszczą mnie do zleceń. Teraz oddalam się co najwyżej dwieście mil od Frank Cove.

- I co robimy, Luke? - spytał Max. - Robimy tę akcję?

- Wiesz... jak to dobrze rozplanujemy, to za dziesięć godzin będzie po robocie... Jak dla mnie wszystko gra. No i jeśli napotkamy jakieś problemy, to jesteśmy uzbrojeni. Jedyne, co muszę wiedzieć, to czy wszyscy są za i jak wygląda ten system, którego mamy szukać. Jakby co, to ja pojedę, bo zależy mi na powrocie do domu.

- Na mnie, Maggie i Chrisa możesz liczyć -

oznajmiła entuzjastycznie Kate.

- Heh... dziewczyna ma rację - przytaknął jej Reese. - Co jednak robi reszta?

- Pojedziemy wszyscy, jeśli chodzi o moją grupę - powiedział Max w imieniu reszty swoich towarzyszy.

- Do kompletu potrzebujemy już tylko Williamsów.

- Braciszku, przecież wiesz, że to tylko robota na kilka godzin - stwierdziła Sarah, podchodząc do Steve'a. - Ze mną już jest lepiej...

- Zapomnij, nigdzie nie jedziemy.

- Ale...?

- Żadnego ale. Podobało ci się w Falltown w areszcie? Miałaś radochę, jak omal nie zabili nas w Greenwoods? O nie... trzeci raz nie będę kusił losu...

- Steve, teraz nic złego nas nie spotka - oświadczył Max. - Zapomniałeś o tym, że wtedy nie mieliście mnie i moich ludzi. Te wszystkie akcje, które wyliczyłeś, są przykre, ale brakowało wam dodatkowego wsparcia. Obecnie nie ma chuja, który by nam cokolwiek zrobił. No i jeśli ty i Sarah z nami pojedziecie, to bardzo pomożecie chociażby na zwiadach. Dziesięć par oczu to nie osiem. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Niby tak, ale wiesz...

- Jasne, Steve, rozumiem. Moja w tym głowa, aby dbać o bezpieczeństwo. Gwarantuję, że żadna

krzywda was nie spotka. Teraz jednak szkoda czasu na gdybanie, tylko trzeba się określić... Jedziecie czy nie?

- No dobra... jeśli jednak coś złego spotka Sarah...

- To osobiście mnie zatłuczysz do nieprzytomności - odparł poważnie Arrington.

- No to skoro wszyscy pojedziemy do Seward, to nie ma co dłużej czekać - stwierdził Roussel. - John, powiedz jeszcze tylko, jak wygląda ten system do uzdatniania wody i jak dojechać do tej miejscowości.

- Hmm, jeśli chodzi o trasę, to kierujcie się non stop w stronę Anchorage... no wiecie, tego krateru. Jak zwał, tak zwał. Jednak gdzieś po stu czterdziestu milach dotrzecie do rozwidlenia dróg. Wtedy skręcajcie w prawo i od tego momentu jedźcie non stop prosto. Seward jest trzydzieści parę mil dalej. A co do systemu, to szukacie pewnego sporego pudła. Nie wymagam od was, abyście demontowali części z któregoś z wraków. Znajdziecie wszystko w budynku na samym końcu miejsciny. Jest tam magazyn, gdzie składowali cały sprzęt. Obiekt to taki duży szary barak. Do środka wejdziecie przez zaplecze.

- W sumie to nam wystarczy, ale jeszcze chcę znać rozmiar i masę tego, czego szukamy - poprosił Luke.

- To nie powinno ważyć więcej niż dwieście kilo i na pewno wejdzie do waszej furgonetki.

- Ile?

- Mniej więcej metr, półtora na dwa. Kilkanaście lat temu zamawiałem stamtąd części i mi takie coś przysłali.

- OK, w takim razie wiemy już wszystko. Rozumiem, że nasz wyjazd planujesz jeszcze w tym roku?

- Ja i chłopaki będziemy kombinować, aby jak najszybciej się uwinąć z robotą. Rozumiesz, zlecenia...

- OK, szkoda naszego czasu - oznajmiła Ava, idąc w stronę włazu prowadzącego na pokład.

- Dziewczyna ma rację - powiedział Max, ściskając Johna za rękę. - Najpóźniej jutro wrócimy z twoim zamówieniem.

- Do zobaczenia niedługo - dodał od siebie Luke.

Po tym jak wszyscy pożegnali Johna i opuścili pokład „Laury”, w dobrym nastroju wrócili do furgonetki. Następnie pojechali w stronę bramy Frank Cove, przy okazji na chwilę zajeżdżając pod hotel Beluga. Dzięki życzliwości Heather otrzymali dwadzieścia litrowych butelek wody i tyle samo konserw z kurczakiem. Nie tracąc czasu, ruszyli dalej i stanęli dopiero przy wyjeździe z miasta.

Kiedy strażnik stojący na murze dostrzegł

podróżnych, na chwilę opuścił swoje stanowisko i podszedł do okna furgonetki.

- Już wyjeżdżacie? - zapytał z zaciekawieniem, zabezpieczając karabin.

- Tylko na góra jeden dzień - odparł Chris. - Potrzebujemy jednak zabrać SUV-a. Musimy pojechać na północ.

- Sprzęt dostaniecie za bramą. Za chwilę zawołam chłopaków i podjadą waszym autem. To nie zajmie dużo czasu.

- Czemu samochód nie stoi na parkingu? - dopytywał lekko zirytowany Luke, mierząc wzrokiem rezydenta Frank Cove.

- Eee... trzeba było dokonać inwentaryzacji waszych rzeczy, żeby ich nie pogubić. Listę zostawiliśmy w aucie. Wiecie... normalnie nie dochodzi tutaj do kradzieży, ale lepiej dmuchać na zimne.

- Nie mogliście tego zrobić na miejscu? - spytał Chris.

- SUV został przy okazji zabrany do kontroli w celu sprawdzenia, czy nie poukrywaliście niebezpiecznych przedmiotów lub narkotyków. Od razu zarejestrowaliśmy go i dokonaliśmy przeglądu. I wiem, że powinniśmy was o tym poinformować, ale wszystko by się przeciągnęło w czasie.

- OK, OK, rozumiemy... - odparł Roussel. - Po

prostu oddajcie nam auto i już nas tu nie ma. Poza tym jutro też nam zrobicie przegląd?

- Procedura - odparł strażnik, przy okazji wyjmując krótkofalówkę, tym samym kończąc rozmowę.

Po tym jak brama została otwarta, Chris przez nią przejechał i zaparkował na poboczu. Wtedy Max, Alex, Kate, Ava i Sam wyszli na zewnątrz, oczekując swojego samochodu. Kilka minut wystarczyło, aby ochrona zwróciła im broń i auto. Kiedy Walsch zasiadł za kierownicą i wszyscy z grupy Arringtona weszli do pojazdu, nie pozostało podróżnym nic innego, jak wyruszyć do Seward.

W ciągu trzech godzin obie grupy przejechały ponad dwieście dwadzieścia kilometrów. Bezproblemowo dojechali do skrzyżowania, o którym mówił John. Następnie kierowcy skręcili w prawo, obierając nieznaną im wcześniej trasę.

Przez pięćdziesiąt kilometrów podróż okazała się dla podróżnych trudniejsza do pokonania, niż myśleli. Asfaltowe drogi były zaśnieżone i wymagały konserwacji, gdyż w wielu miejscach doszło do zapadnięcia nawierzchni. Natura powoli odbierała te tereny człowiekowi. Rekompensowała to jednak pięknymi sosnowo-świerkowymi lasami, wysokimi,

w całości pokrytymi śniegiem górami i całkowicie oblodzonymi jeziorami. Niemal wszystkich zauroczyły te widoki. Jedynie Maggie, Steve i Sarah nie mieli okazji dokładnie obejrzeć otaczającej ich przyrody, gdyż siedzieli w tyle furgonetki. Cierpliwie czekali, aż dojadą do Seward. Ponadto, ku zadowoleniu kierowców, roz pogodziło się i na niebie nie było widać chmur. Poza tym niedługo miał nastać wieczór.

W pewnym momencie uwagę Chrisa i Alexa zwróciły umieszczone przy drodze znaki. Obaj kierowcy podejrzewali, że dojeżdżają do granicy miasta. Instynktownie przyspieszyli pojazdy, chcąc jak najszybciej osiągnąć cel.

- „Seward za jedną milę”, „Strefa zamknięta”, „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony” - kolejno odczytywał komunikaty Chris, śledząc SUV-a.

- Na razie jest tak, jak mówił John - stwierdził Luke, spoglądając na stopniowo znikające za górami słońce. - Jakby co, miej broń w pogotowiu.

- Czy ty także masz złe przeczucia co do tej wyprawy?

- Coś mi tu nie gra... Fajnie by było wiedzieć, dlaczego ludzie opuścili ten rejon...

- Powodów może być mnóstwo - odparł Reese, korygując prędkość furgonetki do tej, jaką obrał Alex.

SUV lekko zwolnił, gdyż drogowe koleiny zaczęły stwarzać zagrożenie uszkodzenia zawieszenia.

- Dokładnie - odrzekł Roussel, chwytając za klamkę od drzwi. - Niczego się jednak nie dowiemy, jak nie zbadamy sprawy.

- Po co mielibyśmy to robić? - nieoczekiwanie spytał Steve, podsłuchując rozmowę. - Robimy, co do nas należy, i wracamy do hotelu.

- Jednak powinniśmy uważać, jeśli chcemy bezpiecznie tu spędzić najbliższe godziny.

- Oho, zaraz będzie okazja, żeby zadziałać - oznajmił Chris, stopniowo redukując prędkość.

Wysoka na cztery metry siatka ogrodzeniowa sprawiła, że podróżni stanęli. Kierowcy zaparkowali przy żółtym znaku, na którym widniał namalowany czarną farbą napis. Podróżni opuścili pojazdy, aby lepiej się mu przyjrzeć. Z tego miejsca mogli także dostrzec pierwsze zabudowania Seward.

Po drugiej stronie, po lewej, zobaczyli pusty parking i kilka domków jednorodzinnych. Wszystkie wyglądały na takie, jakby nie dbano o nie co najmniej od kilku lat. Z prawej ujrzeli tylko gęsty świerkowy las i niszczące domostwa.

- „Witamy w piekle” - odczytał komunikat na znaku. - Dość... oryginalne powitanie...

- Lepiej, jak będziemy czujni i wszystko na spokojnie załatwimy - oznajmił Luke, nie kryjąc obaw co do tego, co widział. - Jak wygląda stan naszego uzbrojenia?

- Poza tym, co jest w ciężkim karabinie maszynowym, ja mam rewolwer i od cholery amunicji - odparł Max. - Alex, Ava i Sam też dają radę, ale Kate ma tylko maczetę. No i zawsze jest nasz dobry przyjaciel dynamit, łącznie trzy sztuki. Jeśli chodzi o was, to już zdołałem zapomnieć, co tam przede mną ukrywacie.

- Niestety mam tylko dwa magazynki do rewolweru i ten przeklęty klucz francuski. Chris jest całkiem „dziany”, Maggie i Steve powinni dać sobie radę, ale Sarah nie ma niczego do obrony. No dobra, jak chcesz to rozegrać?

- Wiesz, jak bardzo cię lubię - odrzekł Arrington, klepiąc Roussela po plecach. - Tym razem furgonetka jedzie przodem.

- Ech... skoro nalegasz... - westchnął Luke, kiwając w kierunku Chrisa i reszty swojej grupy. - Przebijamy się na drugą stronę! Oczy dookoła głowy!

Każdy posłusznie wrócił do samochodów i zajął swoje miejsce. Zanim Reese uruchomił pojazd, spojrzął na Roussela wzrokiem wyrażającym wiele wątpliwości. W odpowiedzi otrzymał jedynie zgodę, aby zacząć wdrażać plan w życie. To mu wystarczyło, aby ruszyć i na najwyższych obrotach silnika staranować ogrodzenie, które oddzielało Seward od reszty świata. Tuż za nim pojechał Alex, utrzymując SUV-em zblizoną do furgonetki prędkość. Od tego

momentu wszyscy byli na terenie opuszczonego miasta.

Pojazdy poruszały się trzydzieści kilometrów na godzinę. Zdaniem kierowców zaistniała taka konieczność, zważywszy na to, że drogi pokrywał śnieg i lód. Chris i Alex próbowali nie doprowadzić do poślizgu.

- Heh... dość tutaj... przyjemnie - stwierdził Max, spoglądając w prawo na niewielkie obludzone jezioro, które właśnie mijali. - Dziwne, że od lat nikt tu nie zamieszkał.

- Tak mówisz, ale chyba nie widzisz tych ruin po drugiej stronie ulicy - oznajmiła Ava, zapalając papierosa. - Zwęglone gruzy ciągnące się przez kilkadziesiąt metrów... Po prostu syf.

- Kto by na to zwracał uwagę... Wszystko można odbudować lub postawić na nowo. To miejsce wygląda po prostu rewelacyjnie.

- A ty mnie znowu wpieniasz... - syknął Sam, wyczuwając dym tytoniowy. - Mogłabyś w końcu zrozumieć, żeby nie palić w samochodzie. Wyrzuć to gówno.

- Nie - odparła krótko i oschle Ava, lekko uchylając szybę.

- W ogóle skąd wytrzasnęłaś fajki? - zapytała Kate, patrząc błagalnym wzrokiem na przyjaciółkę.

- Jakiś pijany typ w pubie mnie poczęstował. Był

tak uprzejmy, że zasnął przy swoim stoliku z paczką w ręku. Uznałam, że chce, aby go uwolnić od nałogu.

- Nie wiem, czy się śmiać, czy płakać - oświadczył Max, kręcąc przecząco głową. - Mamy pieprzone kleptomanki w zespole.

- Spadaj... - powiedziała Nix, przy okazji odpalając darowanego jej papierosa. - Ukradłyśmy ci coś, że tak nas męczysz?

- Kiedyś skradłaś mi serce, he, he... - zażartował Arrington, spoglądając na przyjaciółkę przez wsteczne lusterko.

- Co, zazdrość cię zżera z powodu Chrisa?

- Ani trochę. Mam gdzieś, co i z kim robisz po godzinach. Grunt, że nie masz z tego powodu problemów.

- Sorki, że wam przerwę, ale właśnie wjeżdżamy w gęsto zabudowany teren - wtrącił Alex, spoglądając na okoliczne zaniedbane domki jednorodzinne. - Chyba lepiej będzie wzmóc czujność.

- Po cholere mamy obczajać drogę, skoro i tak nigdzie nikogo nie widać - stwierdził Casson, drapiąc się po głowie.

- Nawet nie wiesz, w jakim jesteś błędzie - oznajmił Max, dostrzegając stojącą na oddalonym o kilkadziesiąt metrów skrzyżowaniu ludzką sylwetkę.

- Co do...? - próbował powiedzieć Alex, mrugając światłami i powoli zatrzymując SUV-a.

- Ty nic nie rób, a Sam niech włązi na CKM - rozkazał Arrington, odbezpieczając rewolwer.

Gdy tylko Chris zauważył zatrzymujący się samochód, postąpił podobnie. Zaparkował kilkanaście metrów za drugim pojazdem. Postanowił jednak zostawić silnik furgonetki na chodzie.

- Sprawdzę, co tam oni kombinują - oświadczył Luke, wyciągając rewolwer i klucz francuski. - Jakby co, improwizuj.

- Mamy jakieś problemy? - spytała Maggie, podchodząc do lufcika.

- Na razie nie, ale bądźcie gotowi na niespodzianki.

Po tych słowach podróżny wyszedł na zewnątrz i pewnym krokiem ruszył w kierunku SUV-a. Jednocześnie Sam zdążył zająć stanowisko strzeleckie i zaczął odbezpieczać karabin. Po pięciu sekundach był gotów do oddawania strzałów.

- O co wam, do cholery, chodzi? - spytał Roussel, pukając w dach samochodu.

- Spójrz przed siebie - oznajmił Max, wychodząc na ulicę. - Mamy jakiegoś typa na dwunastej.

W tym momencie Luke zauważył, kto lub raczej co jest powodem tego postoju. Na środku drogi, w odległości trzydziestu paru metrów stała postać,

która wprawiała podróżnego w osłupienie. To był mężczyzna w znacznym stadium rozkładu. Nosił zszarganą szarą koszulę, brudne džinsy i brązowe półbuty. Palce miał fioletowe, a jego szczeka luźno zwisała na ścięgnach. Białe ślepa beznamiętnie spoglądały w stronę samochodów. Twarz truposza była umazana w zamarznętej krwi.

- Kurwa mać... - wyszeptał do siebie Roussel, widząc z wolna podchodzącą do niego kreaturę. - Sam, tylko nie próbuj odpalać karabinu.

- Stój, bo strzelam! - wrzasnął mężczyzna stojący za CKM-em.

- Casson, nie! - krzyknął Arrington i chowając rewolwer, wyciągnął z kieszeni sztylet. - Czy to właśnie o tym, Luke, niedawno wspominałeś?

- Niestety tak... to właśnie rozkłaż... Pozwolisz i poobserwujesz?

- Śmiało, miłej zabawy - odparł Max i krzyżując ręce, oparł się o maskę samochodu.

- A już myślałem, że mam te trupy z głowy... - westchnął Roussel, podchodząc do kreatury.

Po tych słowach schował broń palną i mocniej chwycił za klucz francuski. Kiedy podszedł na dostateczną odległość, z całej siły uderzył monstrum w szczękę. Ta odpadła od reszty ciała i wylądowała w śniegu kilka metrów dalej. Mimo to rozkłaż wyciągnął dłonie, próbując pochwycić Luke'a.

Podróżny jednak kontynuował natarcie i po dwóch kolejnych uderzeniach powalił przeciwnika na ziemię. Następnie przytrzymał butem jego głowę i z całej siły wymierzył cios kluczem w potylicę. Dopiero to dobiło poczwarę.

- Huh... tylko cios w łeb... - oznajmił Roussel, sapiąc, i odwrócił się do towarzyszy.

- Kurrr... - próbował przekląć Max, widząc, jak z najbliższych uliczek wyszło kilkanaście innych, równie odrażających kreatur. - Kate, do roboty!

W odpowiedzi kobieta wyszła z SUV-a, rzuciła w śnieg papierosa i jednym zgrabnym ruchem wyciągnęła maczetę. Następnie wraz z Maxem podeszła do Luke'a i czekała na nadejście rozkłąży.

- Czemu nie możemy ich po prostu powystrzelać? - spytała, bacznie obserwując każdy ruch potworów.

- Dźwięk je przyciąga - odparł Roussel, mocniej ściskając rękojęść klucza francuskiego. - Kiedy wrócimy do Frank Cove, pogadaj sobie z Chrisem. Niech ci opowie o naszych przygodach w Baker City.

- OK, koniec pogaduszek - oznajmił Max, podbiegając do jednego rozkłąża, po czym wbił mu sztylet w głowę. - Zaczynamy przedstawienie.

Trójka podróżnych stopniowo zaczęła likwidować kolejne potwory. Kawałki ludzkiego mięsa i niemal czarna krew obficie pokryły śnieg. Skostniałe ciała padały jedno po drugim. Jednak brak koordynacji

między Lukiem, Maxem i Kate spowodował, że jeden z potworów ich obszedł i poszedł w stronę SUV-a. Casson nie wytrzymał presji, wyciągnął pistolet i oddał trzy strzały w głowę monstrum.

- Sam, do ciężkiej kurwy nędzy, coś ci mówiłem!
- krzyknął Luke, wyciągając z ciała ostatniego przeciwnika broń, przy okazji miażdżąc mu gałkę oczną. - Teraz tu przyjdą dziesiątki, jeśli nie setki rozkłazy!

- Sorki, ale sami daliście dupy - odparł mężczyzna, opuszczając stanowisko strzeleckie.

- Co teraz? - spytał Max, słysząc dobiegające z oddali porykiwania.

- Moment! - krzyknął Roussel i zaczął dokładniej obserwować otoczenie.

Po kilku sekundach schował klucz francuski i podbiegł do furgonetki.

- Jedziemy do czerwonego domu! Wsiadajcie do samochodu i parkujcie przed głównym wejściem!

- O czym ty... - próbował powiedzieć Max, spoglądając na obiekt, do którego wszyscy mieli się udać.

Budynek stał na rogu skrzyżowania, gdzie nigdy nie był pierwszy zabity w Seward przez Luke'a rozkłaż. Piętrowy obiekt miał płaski dach i niemal w całości został wybudowany z cegieł. Z biegiem lat po tynku nie pozostał nawet ślad. Okna

na parterze zabito deskami i można było wejść do środka jedynie przez frontowe, solidne, dwuskrzydłowe drzwi. Z kolei na pierwszym piętrze szyb niczym nie osłonięto.

- Ech... obyś tylko wiedział, co robisz... - westchnął Max, wracając wraz z Kate do SUV-a.

Wszyscy od razu zrozumieli powagę sytuacji. W milczeniu przygotowywali się do wdrożenia planu Luke'a w życie. Kiedy oba pojazdy podjechały pod główne wejście do budynku, Roussel wyszedł na zewnątrz. Niezwłocznie podbiegł do drzwi frontowych i szarpnął za klamki. Ku jego zadowoleniu nie miał problemu z otwarciem przejścia. Wobec takich okoliczności gestem nakazał towarzyszom, aby wyszli na ulicę.

Z kolei podróżni zabrali całą broń i biegiem ruszyli w stronę domu. Jedynie Chris i Alex zapobiegawczo zamknęli oba pojazdy, po czym dołączyli do reszty przyjaciół. Kiedy przebiegli przez otwarte przez Luke'a drzwi, ten zamknął je na zamek, oddzielając wszystkich od reszty świata.

W środku panowała niemal całkowita ciemność. Jedynie światło przechodzące przez okna na piętrze docierało na parter przez korytarz, ukazując wszystkim mosiężne schody i dwa przeciwległe przejścia prowadzące do innych, pustych, pomieszczeń.

- Heh... najwidoczniej ktoś, kto tu wcześniej mieszkał, cierpiał na totalny brak gustu - stwierdził Max, dokładnie oglądając pokoje.

- Dobra, Max, koniec żartów - oświadczył Alex. - Bezproblemowo przetrwamy tu noc?

- Zaraz się o tym przekonamy.

W tym momencie zza drzwi frontowych zaczęło dobiegać ciche drapanie. Chodzące na zewnątrz rozkładały najwidoczniej były zbyt słabe, aby wejść do środka domu.

- Tiaaaa... - westchnął Reese. - Wszystko w porządku... jesteśmy odcięci od świata, a nieżywe mrożonki z wolna zaczynają otaczać dom. Żeby nie było...

- Wiem, Chris, zawsze nas ostrzegasz - powiedział Luke i zaczął powoli wchodzić po schodach na piętro.

- Mogłem z wami, kurwa, nie wyjeżdżać - oznajmił Steve, podchodząc do Sarah. - To waszym zdaniem wygląda na bezpieczną akcję?

- John nic nie wiedział, a my w ciemno przyjęliśmy jego warunki - odparł Roussel, nieustannie wchodząc na górę. - Poza tym ja, Maggie i Chris mamy doświadczenie z rozkłazami i wiemy, jak sobie z nimi radzić. Jeśli będziemy cicho, do rana to gównem rozejdzie się po ulicach.

- I niby mamy spokojnie spać i ignorować

wszystko, co jest na zewnątrz? – dopytywał się Steve, będąc coraz bardziej rozdrażniony.

– Dokładnie. Na twoim miejscu bym to po prostu olał. Poza tym zapraszam na piętro. Mamy wisielca do towarzystwa.

– Że co...? – próbował powiedzieć Max, wbiegając na piętro.

W pomieszczeniu panował półmrok. W momencie gdy wszyscy dotarli na górę, ujrzeni tylko żyrandol, na którym zwisał szkielet. Kości były odziane w szare łachmany i czerwone kozaki. Z jednego z butów wystawał kawałek kartki. Luke od razu podszedł do trupa, wyjął papier, rozłożył go i zaczął na głos czytać.

– Lipiec, dwa tysiące trzysta czterdziesty rok... napierające wojska ASO... – w tym momencie na moment przerwał.

– Teraz już wszystko jasne – stwierdził Chris. – Kontynuuj.

– ...napierające wojska ASO zaatakowały. Zabili mi męża i dwójkę dzieci. Widziałam, jak część mieszkańców zdołała uciec. Podśluchałam rozmowę żołnierzy i wiem, że rozpoczęto operację „reunifikacja”. Cokolwiek to znaczy, Frank Cove i reszta muszą o tym wiedzieć...

– Nie może być... – wtrąciła Maggie. – Oni dotarli aż tutaj?

- Źle ze mną - wznowił czytanie Roussel. - Za chwilę wpadnę w obłąd i skończę jako... kreatura. Nie chciałam do tego dopuścić, aby kogokolwiek skrzywdzić, więc postanowiłam odebrać sobie życie. I tak nikt nie będzie mnie opłakiwać. Kochany mężu, Jack, Sasha... za chwilę znów was zobaczę...
podpisano Sharon Matherne.

- Heh... koniecznie musimy stąd wyjechać - oznajmiła Sarah, mocno przytulając brata.

- To prawda - przytaknął jej Luke. - I zrobimy to jak najszybciej. Zanim to jednak nastąpi, znajdziemy to, czego John chce. Potem sprzedamy samochody i zaczniemy zbierać zapasy.

- A co zrobimy teraz? - zapytał cynicznie Chris, zdejmując szkielet Sharon Matherne, a następnie otworzył okno i wyrzucił kości na ulicę.

To zwróciło uwagę kilku rozkłąży, które podeszły do pozostałości kobiety.

- Teraz odpocznijcie i liczcie na to, że do rana sytuacja się poprawi - odparł Luke, zamykając okno, i ze smutkiem spojrzął na przeżuwające kości potwory. - Musimy jakoś pospać i pomyśleć, jak dojedziemy do magazynu, gdzie są części do kutrów.

- Jutro o wszystkim pomyślimy - oznajmił Steve, idąc ze swoją siostrą na dół. - Dzięki, że kolejny raz nas wpakowałeś w bagno.

- To nie moja wina... - próbował wytłumaczyć

Roussel, jednak widząc niknącego w ciemnościach Steve'a, nie dokończył wypowiedzi.

- Wszystko słyszeliście - oznajmił Arrington reszcie zebranych. - Idźcie spać. Jutro nas czeka ciężki dzień.

- Jasne... - wymamrotała Ava, podążając wraz z Samem i resztą za Williamsami.

- Luke, możemy jeszcze chwilę pogadać? - nieoczekiwanie spytał Max, siadając tuż przy oknie.

- Eee... nie ma sprawy - odparł lekko zmieszany podróżny. - Co ci chodzi po głowie?

- Siadaj na parapecie... Zanim zaśniemy, muszę o czymś napomnieć.

- Ty też to widziałeś, prawda? - zapytał Roussel, zajmując miejsce obok rozmówcy.

- Nie wiem, czy mówimy o tym samym... - zaczął szeptać przywódca drugiej grupy, upewniając się, że nikogo poza nimi nie ma w pobliżu. - W każdym razie chodzi mi o błyski w pobliskim lesie.

- Kogoś podejrzewasz?

- Pamiętasz, jak wspomniałem o tym, że prawdopodobnie lider Mackenzie wysłał za nami najemników?

- Nie powiem, trochę zignorowaliśmy tę sprawę. W każdym razie wiem, o czym mówisz.

- Może to zabrzmia trochę dziwnie, ale czuję, że wyrabiam sobie taką samą intuicję jak Chris...

- Eee... potrzebujesz trochę czasu, aby to sparafrazować?

- Odkąd was spotkaliśmy, ktoś bacznie nas obserwuje. Podejrzewam, że także teraz mnie mają na celowniku.

- Chyba powinniśmy coś z tym zrobić - powiedział Luke, profilaktycznie odbezpieczając rewolwer. - Tylko pytanie kiedy?

- Gdy nadejdzie czas... - odparł Max i usiadł pod jedną ze ścian. - Dotychczas nas nie zaatakowano, więc przypuszczam, że czekają na nasze potknięcie.

- Nawet nie podejrzewasz, kto może nas śledzić? - dopytywał Roussel i schodząc z parapetu, usiadł naprzeciwko towarzysza.

- Nie mam bladego pojęcia, ale wiem, że nasz były zarządca miał sporo kontaktów. Jeśli dwa trupy i kradzież SUV-a miała dla niego sporą wartość, to facet nie będzie żałował zasobów, aby nas dopaść.

- Powiem krótko... zanim nie padnę ze zmęczenia. Nie myśl teraz o tym, że ktoś nas zabije, ale obserwuj otoczenie. Szczególnie teraz, jak jesteśmy w takim położeniu. Kiedy wrócimy do Frank Cove, zwracaj uwagę, z kim rozmawiasz, a kiedy wreszcie opuścimy ten przeklęty kontynent...

- To co?

- Wtedy spalimy wszystkie mosty i od tego momentu będzie tylko lepiej - podsumował Luke,

zamykając oczy. - Tymczasem jeśli wcześniej wstaniesz, to nie zwlekaj i mnie budź. Coś mi mówi, że jutro musimy sobie narzucić duże tempo.

- Nie mogłeś tego lepiej ująć... - oznajmił Max, zamykając oczy. - Spokojnej nocy.

- Oby - odpowiedział Luke, kładąc się na prawym boku, i po chwili zapadł w sen...

Kiedy Arrington wstał, było jeszcze ciemno. Za oknem prószył śnieg, co negatywnie wpływało na widoczność. Mimo to mężczyzna zauważył słabe światło dochodzące spomiędzy drzew na najbliższym zboczu.

- Kurwa mać... - przeklął, tym samym witając nowy dzień. - Luke, wstawaj!

- Cz-czego...? - spytał Roussel, powoli otwierając oczy. - Co się dzieje?

- Jest jeszcze ciemno, ale jakoś za godzinę zacznie świtać. Powinniśmy niedługo wyruszyć. Poza tym nie słyszę za oknem żadnych rozkłąży, więc miałeś rację.

- To było wiadome od samego początku - oznajmił Luke, powoli stając na nogi. - Może masz jakieś propozycje na wykonanie naszego zadania?

- Zasuwać, ile wlezie, zrobić, co trzeba, i spieprzać stąd jak najdalej. To moja sugestia. A te dupki, o których wczoraj rozmawialiśmy, wciąż

siedzą w lesie.

- Ech... - westchnął Luke, dyskretnie wyglądając przez okno, po czym dostrzegł niewielkie błyski na wschodzie. - Najważniejsze, że nikomu nie przyszło na myśl, aby zachodzić tu w nocy. Poza tym jeszcze średnio kontaktuję, więc postawmy wszystkich na nogi i pogadajmy.

- Lepiej zacznijmy od razu.

Obaj mężczyźni wolnym krokiem zeszli po mosiężnych schodach i udali się osobno do dwóch pokoi. Niemal wszyscy z obydwu grup jeszcze spali. Jedynie Steve siedział przy siostrze, opierał się o ścianę i trzymał swój pistolet w dłoni.

- Hej, Luke - powiedział zaspanym głosem Williams. - Sorki, że tak na ciebie wczoraj naskoczyłem. Miałeś rację z tym noclegiem...

- Mówiłem ci, że nie masz powodów do zmartwień. W ogóle coś dzisiaj spałeś?

- Nie miałem okazji. Wolałem być pewny, że w nocy nic do nas nie wpadnie z wizytą.

- Jak widzisz, do niczego nie doszło - oznajmił Max, niespodziewanie wchodząc do pomieszczenia. - Poza tym rozmawialiśmy już o tym wcześniej, że ty i twoja siostra jesteście bezpieczni. Nawet jak za oknem szaleją potwory, poradzimy sobie.

- No już dobrze, rozumiem... tylko proszę, nie każcie mnie lub Sarah nadstawiać karku. Mamy dość

wrażen, odkąd poznaliśmy Luke'a, Maggie i Chrisa.

- Jeśli chcecie, możecie nawet nie wysiadać z samochodu - oświadczył Arrington. - Jedyne, co róbcie, to wypatrujcie, co się wokół nas dzieje.

- OK, mniejsza o to - powiedział Luke, podchodząc do każdej z jeszcze śpiących osób, a następnie zaczął każdą z osobna lekko szturchać.

- C-co do...? - próbował wymamrotać Chris, ale w momencie gdy przypomniał sobie, gdzie jest, szybko skoczył na nogi.

- Przepraszam za pobudkę, ale zaraz wychodzimy...

- Kurrr... już drugi raz mi to robicie - oznajmił Reese, podnosząc z podłogi obrzyna. - Jeszcze jeden taki numer i padnę na zawał albo ktoś zarobi strzała.

- Nie ma czasu na dyskusje - stwierdził Max, podchodząc do drzwi wyjściowych i dyskretnie odbezpieczając zamek. - Potrzebny nam jakiś plan i to natychmiast.

- Ech... szkoda, że nie mamy mapy... - westchnął Roussel. - Chociaż... bazując na tym, co mówił John, musimy dojechać na koniec miasta. Wspomniał także o dużym szarym magazynie... Sądzę, że sobie poradzimy.

- To jak robimy? - dopytywał Arrington.

- Po prostu wchodzimy do samochodów i jedziemy na południe. Słońce zaszło za górami, więc

wzejdzie nad wodą. I mała prośba... nie otwieramy okien, chyba że w ostateczności. SUV jedzie pierwszy, bo jest cięższy. Tylko niech Sam nie siada za karabinem.

- Niby czemu? - spytał Casson, nie kryjąc oburzenia.

- Dowiesz się tego na własnej skórze lub jak wrócimy do Frank Cove - odpowiedział Max i otworzył na oścież drzwi. - Jak dla mnie na razie tyle wyjaśnień wystarczy. No dobrze, czy wszyscy już są na nogach?

- Nie chrzań tyle i miejmy to już z głowy! - krzyknęła Ava, pierwsza wychodząc na zewnątrz.

Kobieta nie dostrzegła ani jednego rozkłada. Jedynie odbite na śniegu ślady świadczyły o ich niedawnej obecności w tym miejscu. Poza tym jeszcze nie zaczęło świtać, biały puch gęsto prószył i było strasznie zimno.

Kilka sekund później Chris i Alex dobiegli do samochodów. Niezwłocznie je otworzyli i czekali, aż wszyscy zajmą miejsca. Następnie uruchomili silniki, zapalili światła i nawrócili pojazdy, kontynuując podróż w stronę południowej części Seward.

Podróżni jechali powoli, mijając dziesiątki zniszczonych domów. Budynki po lewej wyglądały na takie, które strawił pożar, a konstrukcje z drugiej strony ulicy powoli zarastał las. Ten widok,

w połączeniu z porą dnia i panującymi obecnie warunkami atmosferycznymi, wprowadził wszystkich w niemalże zakłopotanie.

Do następnego skrzyżowania obie grupy nie napotkały żadnego oporu. Mimo to atmosfera w autach stawała się coraz bardziej napięta. Każdy milczał, aby nie dekoncentrować kogokolwiek, samemu nasłuchując.

Sytuacja uległa zmianie kilkaset metrów dalej. Podróżni zobaczyli to, co przeczuwali. Trzy przecznice dalej od miejsca, w którym spędzili noc, stało spore stado rozkłąży. Większość z nich nie miała wszystkich kończyn, za to fioletową skórę i zdeformowane sylwetki.

Kiedy horda wyczuła obecność żywych, zaczęła powoli zmierzać w ich stronę. Tymczasem kierowcy zaparkowali kilkadziesiąt metrów od niej i czekali na dalsze instrukcje.

- Max, lepiej zacznij szybko myśleć, bo te truposze zaraz nas obleżą - oświadczył Alex.

- Co robić, co robić...

- Maaax, słyszysz, co do ciebie mówią? - spytała Ava, odbezpieczając karabin.

- Wiem! - krzyknął mężczyzna, a na jego twarzy pojawił się cyniczny uśmiech. - Kate, leży tam gdzieś koło ciebie dynamit?

- A co, potrzebujesz laski? - odpowiedziała

dwuznacznie kobieta, podając zapalniczkę i ładunek wybuchowy Arringtonowi.

- Co ja bym bez ciebie zrobił - odparł mężczyzna, podpalając lont, a następnie otworzył boczną szybę i z całej siły rzucił ładunek wybuchowy w kierunku kilkudziesięciu zewłoków. - Trzy... dwa... jeden...

- Boom... - dokończył Sam i również na jego twarzy zagościł uśmiech.

Eksplozja była na tyle silna, że rozerwała na strzępy ponad połowę rozkłąży. Deszcz krwi i odłamków ciał pokrył wszystko w najbliższym sąsiedztwie wybuchu. Pozostałe monstra leżały na śniegu rozczłonkowane lub powalone falą uderzeniową. Dało to podróżnym możliwość sprawnego przejazdu.

- Mam nadzieję, że jak będzie po wszystkim, to chociaż umyjesz samochód - oznajmił Alex, włączając wycieraczki, tym samym rozsmarowując na szybie fragmenty organów, krew i ludzkie kości.

- Nie myśl o tym na razie, tylko ruchy! - odrzekł Max, otrzymując od Kate dwa ostatnie dynamity.

- Przecież rozwaliłeś ulicę! - krzyknął Walsch, dociskając gaz.

- To skręcaj i objeżdżaj dzielnicę!

Mężczyzna posłusznie wykonał polecenie i pojechał w lewo. Tuż za nim ruszyła furgonetka. Luke, widząc, co zrobił Max, na kilka sekund popadł

w zadumę.

- Ej, pobudka! - wrzasnął Chris, mijając pojedyncze sztuki rozkłąży, których nie rozjechał SUV.

- Po prostu rób... co trzeba - odparł Roussel, zerkając we wsteczne lusterko i obserwując skalę zniszczeń.

- Teraz nie czas na wątpliwości! Poszedł drugi dynamit!

Po przejechaniu kilkudziesięciu metrów, dwa skrzyżowania dalej, rzucono kolejny ładunek wybuchowy. Ciśnięto nim pod piętrowy obiekt, którego okna pokrywały niemal całą jego powierzchnię. Tuż obok stała równie liczna jak poprzednia grupa rozkłąży. Chris ledwo co wymanewrował i uciekł z zasięgu eksplozji, która dosięgła stado potworów i pół budynku.

Powietrze przeszyły odłamki mięsa i szkła. Stworzone zamieszanie było niekorzystne dla podróżnych. Ponadto Max, który histerycznie się śmiał z wyrządzonego przez siebie dzieła zniszczenia, rzucił ostatnią laskę dynamitu w przydrożną mijaną grupkę truposzy. Pech chciał, że stały one tuż obok samochodu, na którego naczepie leżało kilkanaście butli z gazem. Zaraz potem jak furgonetka przejechała obok ładunku, doszło do silnego wybuchu. Siła fali uderzeniowej była na tyle duża, że

Chris ledwo skontrolował swój pojazd. Tył samochodu zaczął się ślizgać i dopiero uderzenie w stojący nieopodal wrak sedana odbiło auto i zamortyzowało odrzut. Dzięki temu furgonetka ponownie zyskała trakcję i przy okazji lekkie wgniecenie.

- Jebany, pozbawiony zasad, pierdolony... - klął Chris, nieustannie śledząc SUV-a.

- Masz rację, ale oszczędź nam uszu i nie rzucaj mięsem na prawo i lewo - poprosił Luke, próbując powstrzymać drżenie rąk.

- Już ty mnie teraz, kurwa, nie pouczaj! - ponownie zaklął kierowca, ostro skręcając w prawo na najbliższym skrzyżowaniu.

- Może wody lub coś do jedzenia? - zupełnie poza kontekstem zapytała Maggie, podkładając Luke'owi rację żywnościową.

- Nie - odrzekł, spoglądając w boczne lusterko. - Przez nas spora część miasta spłonie... musimy szybko stąd spadać... rozkładać...

- Dość! - wrzasnął Reese, ponownie skręcając furgonetką, dalej śledząc drugą grupę podróżnych. - Barak przed nami!

SUV stanął tuż przy skorodowanej, wysokiej na trzy metry bramie prowadzącej na zaplecze obiektu, który wcześniej opisywał im John. Magazyn był sporych rozmiarów piętrowym, szarym, ledwie

trzymającym się kupy blaszanym budynkiem. Otaczał go drewniany płot, większość jego ścian pokrywała rdza i całość konstrukcji wyglądała, jakby długo miała nie postać. Ponadto metalowe drzwi garażowe, do których można było podejść od parkingu, były jedynym prowadzącym do środka wejściem.

Luke zauważył, jak Alex wybiega z samochodu i kilkakrotnie szarpie za bramę. Po kilkunastu sekundach ją otworzył, umożliwiając swobodny przejazd obydwu pojazdom. Szybko wrócił do SUV-a i wjechał na zaplecze. Następnie wyłączył silnik i machnięciem ręki pogonił Chrisa, aby ten zaparkował pod magazynem. Kiedy wszyscy znaleźli się po drugiej stronie ogrodzenia, Walsch zamknął przejście, tym samym oddzielając podróżnych od wędrujących po ulicach Seward rozkłąży.

- Nic wam nie jest? - spytał zaniepokojony Max, wysiadając z samochodu i podbiegając do furgonetki.
- Bardzo przepraszam za ten numer z dynamitem. Nie myślałem, że...

- No właśnie, nie myślałeś - nerwowo odparł Reese, wychodząc na zewnątrz, i trzasnął drzwiami. Człowieku, mogłeś nas pozabijać!

- Mój błąd, przepraszam...

- Po jaką cholere te nerwy? - wtrąciła pytanie Kate, wraz z resztą wychodząc z samochodu. - Przecież jesteście cali. Wybaczcie ten numer

z dynamitem, ale pierwszy raz byliśmy w takiej sytuacji i nie wiedzieliśmy, jak zareagować.

- Nie ma sprawy - odrzekł Luke i wraz ze Stevem podszedł do bramy wjazdowej, i obaj mężczyźni spojrzeli na najbliższe ulice.

Obaj ujrzeli nadchodzącą do nich niewielką grupę rozkłąży. Jednak gdy w innej części miasta doszło do kolejnej eksplozji, potwory straciły zainteresowanie podróżnymi, zmieniły kierunek marszu i poszły w stronę ogromnej chmury dymu.

- Przynajmniej zapewniłeś nam trochę więcej czasu - kontynuował Roussel, obserwując sporych rozmiarów pożar. - Ktoś już sprawdzał, jak wygląda sytuacja w środku magazynu?

- Cóż... Drzwi są niezabezpieczone, ale nie zaglądałam tam jeszcze - oznajmiła Kate, chwytając za dolną klamkę. - Idziemy?

- Czekaj, tu potrzeba planu - oświadczyła Ava. - A jeśli ktoś lub coś tam jest?

- To zrobimy, co należy - odparł Chris. - Ma ktoś ochotę na szturm?

- Ja z siostrą zostajemy w samochodzie... - zarządził Steve, stając tuż obok Sarah. - Już o tym wcześniej rozmawialiśmy. Poza tym ktoś może przypadkowo odwalić jakiś numer...

- Aleś uszczypliwy - odrzekł krótko Max, pomagając Nix otworzyć drzwi.

Wszyscy ujrzeli sporych rozmiarów ciemne pomieszczenie z trzema rzędami wysokich na kilka metrów magazynowych półek. Z racji że budynek nie miał okien, jedynie światło zza drzwi dawało słabą widoczność. Na niemal każdym regale stały zakurzone kartony różnej wielkości. Te największe postawiono na podłodze, a na ich opakowaniach podoczepiano etykiety. Mniejsze pakunki znajdowały się wyżej i w zupełności nie odpowiadały temu, czego potrzebował John do swojego trawlera.

- Ech... - westchnął Luke, odchodząc od bramy, i zerknął do środka. - Ja mogę tam iść. Część jednak niech zostanie na zewnątrz i pilnuje zaplecza. Rozumiem, Steve, że mogę na ciebie liczyć?

- No dobra - odparł krótko Williams, przy okazji przejmując kluczyki od właściciela furgonetki.

- Ja mogę wejść do środka - oznajmił Chris, spoglądając na Kate.

- Rób, co chcesz... ja ci nie bronię... - dodała od siebie kobieta.

- To już jest trochę nudne... - powiedział lekko poirytowany Max. - Alex i Sam zostają na warcie. Co z resztą dziewczyn?

- Ja przypilnuję samochodów - odparła Maggie.

- Już dość się kosą napracowałeś - stwierdziła Ava, odbierając Arringtonowi sztylet. - Zostaw mi trochę rozrywki, jak przyjdzie co do czego.

- Na pewno?

- Spierdalaj.

- No to powodzenia - wtrącił od siebie Steve, siadając na miejscu kierowcy w furgonetce. - Miłej zabawy.

- Macie tu coś podręcznego ode mnie - dodał Max, wyciągając i podrzucając w stronę Luke'a kieszonkową latarkę.

Kiedy podróżny przechwycił przedmiot, od razu wcisnął włącznik i zaczął oświetlać pomieszczenie. Następnie wyciągnął klucz francuski i powoli wszedł do środka. Tuż za nim podążał Chris z odbezpieczonym obrzynem, Kate z maczetą i Ava ze sztyletem. Reszta patrzyła na nich uważnie do momentu, aż Arrington zamknął drzwi.

- OK, najważniejsze bezpieczeństwo - oznajmił Luke i rozejrzał się dookoła. - Uważajcie na wszystko. Jeśli cokolwiek usłyszycie, to opanujcie nerwy. Nikt nie wchodzi drugiej osobie w drogę i...

- Przestań chrzanić, przecież tu nikogo... - próbowała powiedzieć Ava, lecz ku jej zdziwieniu zza kilku regałów zaczęło dobiegać drapanie i szuranie.

- Jak myślisz ile? - spytał Reese, spoglądając na Roussela.

- Siedem, może osiem... I to tylko w jednym miejscu.

- Ja i Chris je spacyfikujemy - oświadczyła Kate,

zabierając ze sobą wspomnianego towarzysza.

- Ava, bądź blisko - rozkazał Luke. - Sprawdzimy drugą część magazynu.

- Skończyłeś? - ironicznie spytała Briggs, ruszając w głąb obiektu.

Każda z osób obrała jedno z czterech przejść pomiędzy regałami i powoli zmierzała na drugą stronę budynku. Nix była pierwszą, która napotkała to, co wytwarzało hałas. Naprzeciwko niej stało pięć ledwo trzymających się na nogach rozkłąży. Wszystkie miały na sobie zszargane, niemal w całości upaprane krwią ubrania.

- Siedem lub osiem, powiadasz... - powiedziała cynicznie kobieta, mocniej zaciskając rękojeść maczety.

W tym momencie podróżny skierował w jej stronę wiązkę światła. Ujrzał, jak każda z kreatur pada na ziemię przez precyzyjne ciosy w głowę. Nie minęło dziesięć sekund, jak potwory zostały zlikwidowane.

- Ciut to przekalkulowałeś! - krzyknęła Kate, wycierając broń o ubranie jednego z rozkłąży. - Pięć z głowy!

Niespodziewanie z innej części pomieszczenia wszyscy usłyszeli wycie i ujadanie.

- Ech... trzeba się było tak drzeć...? - westchnął Luke, idąc w stronę kolejnego źródła dźwięku.

- Zostaw to mnie - oznajmiła Ava, biegnąc

w kierunku potencjalnego zagrożenia.

- Czekaj, nie! Zrobimy to razem!

Kobieta zignorowała te słowa i szybko przeszła na drugą stronę magazynu. Tam napotkała cztery kolejne rozkłęże, które zwabione hałasem powoli zmierzały w jej stronę.

- To będzie całkiem niezła zabawa - powiedziała entuzjastycznie i wbiła sztylet w głowę pierwszego potwora.

Ten padł do przodu, niemal powalając Avę. Kobieta dosłownie w ostatniej chwili odskoczyła i wyjęła broń z jego czaszki. Następnie wykonała ostrzem zamach i poderznęła drugiemu przeciwnikowi gardło. Bezmyślnie kontynuowała natarcie, przebijając czaszki dwóm kolejnym truposzom. Po kilkunastu sekundach zadowolona spojrzała w stronę Luke'a, który stanął naprzeciwko niej, tuż za regałem.

- I po cholere takie podkradanie? - zapytała.

- Uważaj! - krzyknął Roussel, upuszczając klucz francuski, i wyciągnął rewolwer.

- Co ty niby... - powiedziała kobieta, zaskoczona taką reakcją, a następnie została ściągnięta na ziemię.

Rozkłąż, któremu poderznęła gardło, chwycił ją za nogawkę i próbował dosięgnąć jej twarzy. Ava instynktownie włożyła sztylet prosto do jego ust

i przebiła mu szyję na wylot. To jednak nie poskutkowało i potwór zacisnął zęby na jej prawym nadgarstku, głęboko się w niego wgryzając.

Kobieta krzyknęła niewyobrażalnie głośno, jednak jej wrzask został stłumiony przez wystrzał z rewolweru. Luke celnie trafił monstrum w głowę, likwidując je na miejscu. Mimo to zęby rozkłada wciąż tkwiły w ręce Avy. Tymczasem niemal wszyscy podróżni, którzy stali na zewnątrz, otworzyli drzwi i wbiegli do środka.

- Bądź dzielna, będzie dobrze! - oznajmił Luke, jako pierwszy podchodząc do kobiety i delikatnie próbując otworzyć szczękę martwego potwora.

- Kurwa, jak boli! - krzyknęła Briggs, zaciskając zęby.

- Co tu się stało?! - zapytała Kate, wraz z Chrisem dobiegając do przyjaciółki. - Ava!

W tym momencie Roussel rozluźnił zgryz potwora i gdy wyciągnął z jego paszczy rękę kobiety, odrzucił zwłoki na bok i jeszcze raz strzelił monstrum w głowę.

Gdy reszta podróżnych podbiegła do poszkodowanej, ujrzeli niezbyt ciekawy widok. Kości nadgarstka Briggs wystawały na zewnątrz, a jej dłoń była całkowicie pokryta krwią. Ponadto dwa zęby potwora wciąż tkwiły w skórze.

- Do jasnej cholery, zróbcie coś! - krzyknął Alex,

gorączkowo szukając czegokolwiek, co może pomóc rannej koleżance.

- Luke, co ze mną będzie? - niespodziewanie zadała pytanie Ava.

- Wyjdiesz z tego, na pewno, ale nie możemy pozwolić, żeby doszło do zakażenia...

- Jaka ja byłam głupia... róbcie, co trzeba...

- OK, ma może ktoś przy sobie jakieś środki dezynfekujące?

Nikt nie odpowiedział.

- Ech... - westchnął Luke, po czym niespodziewanie jednym ruchem wyjął dwa zęby rozkłada z dłoni Briggs.

Kobieta pobladła na twarzy, ale wytrzymała niespodziewany ruch Roussela. Jednakże bardzo zdziwił ją widok, jak mężczyzna wydierał kawałek swojej koszuli i utworzył coś na wzór opaski uciskowej. Następnie mocno obwiązał jej rękę na wysokości łokcia.

- Co jakiś czas popuście trochę krwi - oznajmił, wstając. - To nam da czas, aby dojechać do szpitala. Tylko nie zapomnijcie czasem poluzować krążenia, bo ona może stracić rękę.

- Alex, zabierz ją stąd - rozkazał Max, przechadzając się pomiędzy regałami. - Zaraz znajdziemy ten system do uzdatniania wody i spieprzamy.

- Jak w ogóle wygląda sytuacja pod bramą? - niespodziewanie zapytał Chris.

- Kilka trupów już tam jest, ale ja bym je olał - odparł Arrington, nieustannie sprawdzając pudła. - Rozjedziemy skurwysynów.

- Do roboty, ludzie! - niespodziewanie krzyknął Roussel, widząc, jak Alex zabiera ze sobą ranną przyjaciółkę. - Nie ma czasu do stracenia! Jak coś znajdziecie, to wezwijcie mnie! I niech ktoś jeszcze pójdzie do Steve'a i mu przekaże, żeby tu podjechał!

Szóstka podróżnych niezwłocznie zaczęła przeszukiwać magazyn i czytać etykiety na kartonowych pudłach. Było to dość trudne zadanie, gdyż jedynie Max miał latarkę, którą wcześniej mu zwrócił Luke. Jednak po chwili Kate wpadła na kończynę jednego z uśmierconych rozkłąży. Żeby nie upaść, chwyciła jeden z regałów półek magazynowych i przypadkowo odczytała umieszczony na najbliższym z pudeł napis.

- Znalazłam! - oświadczyła.

Roussel i Arrington podbiegli do kobiety. Następnie skierowali wszystkich do wyjścia i kazali przygotować auta do wyjazdu. W trakcie gdy reszta przestawiała samochody, liderzy obydwu grup wyciągali podzespoły systemu do uzdatniania wody i zaczęli przenosić je do furgonetki.

Po blisko kwadransie każdy element urządzenia

został zapakowany i zabezpieczony do transportu. Tymczasem przed bramą zgromadziło się więcej rozkłąży. Potwory próbowały dosięgnąć podróżnych, jednak chwilowo nie były w stanie tego zrobić. Jedynie ujadały, zgrzytały zębami i wyciągały dłonie w kierunku żywych.

- Ech... OK. - westchnął Luke, nie kryjąc zmęczenia, i spojrzał na Maxa. - Wracamy do Frank Cove. Pilnuj Avy i jedźcie przodem. Porozmawiamy po powrocie.

Mężczyzna nic nie powiedział i wszedł do SUV-a. Następnie lekko uchylił szybę, wycelował rewolwerem w bramę i oddał kilka strzałów. Sześcioma pociskami unieszkodliwił cztery rozkłąże. Roussel, lekko zdziwiony takim zachowaniem, zajął miejsce w furgonetce, zamknął drzwi, zapiął pasy i spojrzał na kierowcę.

- Chris... już ty dobrze wiesz, co robić.

- Jasne - odparł mężczyzna, czekając na ruch drugiej grupy.

SUV ruszył z impetem, taranując bramę wjazdową i kilka zezwłoków, dodatkowo miażdżąc kołami te uprzednio zastrzelone przez Maxa. Tuż za nim jechała furgonetka. Oba pojazdy stopniowo zwiększały prędkość, po kilku chwilach przejeżdżając poza granicę Seward. Opuszczonego miasta, które stopniowo trawił niekontrolowany pożar.

Następne cztery godziny wszyscy spędzili w kompletnej ciszy. Podczas podróży w furgonetce nie było osoby, która chciałaby cokolwiek powiedzieć, a w SUV-ie trwała dramatyczna walka o dłoń Avy. Kate podtrzymywała prowizoryczną opaskę uciskową, co jakiś czas popuszczając przyjaciółce krew. Czasem paliła z nią papierosy. Wyjątkowa sytuacja sprawiła, że Sam postanowił tym razem nie zwracać na to uwagi. Jedynie od czasu do czasu spoglądał na paskudną ranę towarzyszkę, po czym odwracał wzrok i obserwował okoliczne krajobrazy.

Kiedy podróżni dojechali do Frank Cove, Alex gwałtownie zahamował i zaczął naciskać klakson. Głośne trąbienie rozniosło się echem po okolicznych lasach i sprawiło, że w mniej niż piętnaście sekund na murach stanął jeden ze strażników. Lekko dezorientowany początkowo zaczął celować w samochody, jednak niemal od razu opuścił broń i z wysokości ponad czterech metrów zeskoczył w śnieg. Najwidoczniej robił to już nie pierwszy raz, gdyż wiedział, jak sobie nie zrobić krzywdy. Następnie wstał, podszedł do SUV-a i zaczął zerkać do jego wnętrza.

- Co z nią? - zapytał, patrząc na Avę.

- Nie mamy czasu do stracenia, gdzie jest szpital?! - krzyknął Sam, patrząc na mężczyźną.

- Zrób miejsce! - rozkazał strażnik i otwierając drzwi, szturchnął Alexa, zmuszając go do rozpięcia pasów.

Następnie go zepchnął na drugie siedzenie, tuż obok Maxa. Potem wyjął krótkofalówkę i wbił wyższy bieg.

- Mamy tu ranną, otwierać! - krzyknął mężczyzna, przekazując komunikat. - To nasi!

Po kilku sekundach inny strażnik otworzył na oścież bramę do miasta. Nawet nie zdążył się przyjrzeć SUV-owi, jak pojazd przejechał tuż obok niego. Mężczyzna spojrzał za siebie, aby zobaczyć niknące w oddali tylne światła samochodu, po czym wolnym krokiem podszedł do furgonetki.

- Hej, o co tu chodzi?

- Długa historia, nie chcesz wiedzieć - odparł Luke, próbując zachować spokój. - Koleżanka ma głęboką ranę i pilnie potrzebuje pomocy.

- OK, rozumiem. Mimo wszystko poproszę was o oddanie broni i zgodę na przeprowadzenie inspekcji.

- A sprawdzaj sobie, ile chcesz - oschle oświadczył Chris, wyłączając silnik samochodu, i przekazał strażnikowi obrzyna.

Po odebraniu podróznym broni i przeszukaniu pojazdu strażnik nie krył zdziwienia, widząc sprzęt, który przywieźli. Bacznie przejrzał poszczególne

komponenty, nie umiejąc odgadnąć, na co dokładnie patrzy.

- Eee... rozumiem, że ktoś chce to odebrać? - spytał po chwili.

- Dokładnie, John Hendon zlecił nam szukanie tych części - odpowiedział Luke. - To tylko system do uzdatniania wody.

- Rozumiem, że wieziecie to do portu?

- Tak, to pilna sprawa. Możemy już jechać?

- Nie widzę przeszkód. Tylko jutro czeka was kontrola pojazdów. Teraz jedźcie, póki ten cały John siedzi w robocie. Poinformuję chłopaków, żeby wam nie robili problemów.

- Dzięki - odparł krótko podróżny, zapiął pasy i uśmiechnął się do Chrisa.

Kierowca instynktownie ruszył w stronę bramy i ze sporą prędkością zmierzał wprost do portu.

Kiedy furgonetka dojechała do parkingu przed przystanią, Chris staranował ogrodzenie i pojechał bezpośrednio pod trawlera Hendona. Sprawnie minął kontenery, uważając, żeby nie wpaść do kanału. Bezbłędnie wykonał wszystkie manewry i zaparkował tuż przy „Laurze”.

Podróżni ujrzeli Johna, który aktualnie stał na pokładzie, popijał alkohol z butelki i nadzorował prace na statku. W momencie gdy lekko wstawiony rybak usłyszał samochód, z niedowierzaniem spojrzął

na nabrzeże. Bez zastanowienia pobiegł przez kładkę i się zatrzymał dopiero przy furgonetce.

- Czy was kompletnie powaliło?! - krzyknął, wymachując w powietrzu rękami. - Kto was tu wpuścił? To teren zamknięty!

- Przestań pieprzyć i posłuchaj uważnie - odrzekł Luke, opuszczając pojazd. - Przywieźliśmy to, co chciałeś. Zdobyliśmy system do uzdatniania wody.

- Zresztą znaleźliśmy nie tylko to... - dodał Chris, gasząc silnik. - Pieprzone Seward było zawałone rozkładami. O mało co, a byśmy stamtąd żywi nie wrócili.

- A gdzie jest reszta waszych znajomych? - zapytał Hendon, podchodząc do tylnych drzwi od samochodu, i gwizdnął na swoich pracowników. - I co to są te rozkłady?

Dwóch pracujących na trawlerze mężczyzn bez słowa zeszło z pokładu „Laury” i pobiegło w stronę wyjścia z portu. Po kilkunastu sekundach zniknęli pomiędzy kontenerami, sprawiając wrażenie, jakby im bardzo zależało na czasie.

- Teraz powinni być w szpitalu - odparła Maggie, otwierając tył furgonetki, przy okazji wychodząc z Williamsami na zewnątrz. - Jedna z koleżanek przez naszą niewiedzę i swoją arogancję prawie wykrwawiła się na śmierć.

- Co prawda jeszcze nie jesteśmy pewni, czy

wszystko z nią w porządku, ale dziewczyna na pewno wyjdzie z tego – nieśmiało dopowiedziała Sarah.

- Ja... przepraszam, nie miałem pojęcia – oświadczył stary rybak. - Gdybym wiedział, co tam jest, nie wysyłałbym was po części.

- Ech... teraz to już bez znaczenia – oznajmił Luke, siadając na krawędzi naczepy samochodu. - Lepiej mi powiedz, czy jesteś zadowolony?

- Z tego, co widzę, wszystko wygląda całkiem nieźle. Te chłopaki, co do nich gwizdnąłem, zaraz podejda i zabiorą sprzęt. Szkoda, że mieliście problemy, ale już nie musicie nic robić.

- Czyli dotrzymasz umowy i zabierzesz nas do Azji? Kiedy zamierzasz wypłynąć?

- Jak tylko zamontuję to ustrojstwo, zrobię przegląd „Laury”, zorganizuję zapasy i dostanę zlecenie od Carlsena. Z systemami na kutrze i z jedzeniem uporam się w kilka dni. Potem pogadam z liderem Frank Cove i jak coś mi przydzielą, to wam powiem. Będziecie cały czas mieszkać w hotelu Beluga, jak mniemam?

- Raczej tak – odrzekł Roussel, widząc, jak zza kontenerów wyjeżdża skorodowany, nieznanego marki, samochód z doczepioną do niego przyczepą. - Tak przy okazji to długo trzeba stąd płynąć do Azji?

- O tej porze roku będzie ciężko, ale sądzę, że zejdzie to w górę dwa tygodnie. Teoretycznie mogę to

zrobić w dziesięć dni, ale znam oceany i wiem, że na nich nie należy szarżować. Nie zapominajcie, że na Pacyfiku będziemy zdani tylko na siebie, więc bezpieczeństwo jest dla nas najważniejsze.

Po tych słowach mężczyzna dopił zawartość trzymanej przez siebie butelki i wyrzucił ją do kanału portowego. Tymczasem jego pracownicy zaparkowali tuż obok furgonetki i zaczęli przenosić komponenty systemu do uzdatniania wody na naczepkę.

- Tiaaa, już to widzę, jak nami nosi i kołysze na boki - powiedział cynicznie Chris. - I nie chodzi mi o fale.

- Z tym nie będzie problemu - odparł Hendon. - „Laura” ma odpowiednie gabaryty i sobie nawet w najgorszy sztorm poradzi. A jeśli przypieprzasz się do tego, czy będę trzeźwy, czy nie, to lepiej nie płyn, jeśli ci coś nie pasuje.

- Ech... mniejsza. Nie było tematu.

- Dokładnie - przytaknął Luke. - Poza tym, chłopaki, ile wam zajmie przenoszenie tego sprzętu? Jesteśmy bardzo zmęczeni i chcemy już wracać do hotelu.

- Dajcie im dziesięć minut i możecie uciekać - odpowiedział w ich imieniu rybak. - My też zaraz kończymy. Planowaliśmy zrobić fajrant najpóźniej za godzinę. I wyjaśnijcie mi, jak w ogóle tu podjechaliście? Ta część portu jest wyłączona

z ruchu.

- Sorki, ale trochę się spieszyliśmy i jak by to delikatnie powiedzieć... - zaczął tłumaczyć Reese.

- Wyrznąłeś dziurę w płocie? - odgadł John. - Kurwa mać, jak kierownik portu to zobaczy...

- Niedługo sprzedamy auta i pokryjemy szkody - zadeklarował Roussel. - Niech cię głowa o to nie boli.

- Ech... po prostu jak ktoś zacznie zadawać pytania, to was sypnę. I tak dostanę opierdół i dodatkową robotę... ech...

- Już tyle nie jęcz, tylko docień to, że załatwiliśmy ci ten system do uzdatniania wody - oświadczył Chris.

- Racja... najważniejsze, że znów zacznę zarabiać, ale następnym razem was proszę, żebyście trochę uważali na cudzą własność.

- Już nie będziemy broić - powiedział entuzjastycznie Luke. - Masz na to moje słowo.

Po chwili pracownicy Johna skończyli przenosić wszystkie zdobyte w Seward komponenty i odjechali, pozostawiając podróżnych i rybaka przy trawlerze. Potem Hendon jeszcze raz podziękował za sprzęt, a następnie wrócił na pokład swojego statku. Z kolei Luke wsiadł z resztą towarzyszy do furgonetki, nie mogąc się doczekać, aż wróci do hotelu. Zmęczony spojrzał na Chrisa i kiwnięciem głowy dał mu znak, żeby ruszał. W odpowiedzi kierowca uruchomił silnik

i bez zbędnych komentarzy zawrócił samochód, zmierzając prosto do miejsca, które miało tymczasowo posłużyć podróżnym za dom.

Przez resztę dnia podróżni próbowali nieco ochłonąć po wydarzeniach, jakie miały miejsce w Seward. Grupie Maxa przychodziło to jednak o wiele trudniej. Podczas gdy Luke, Chris, Maggie, Steve i Sarah odpoczywali w swoich pokojach, lekarze w szpitalu próbowali uratować rękę Avy. Po prawie dwóch godzinach zabiegu ordynator osobiście przekazał Arringtonowi, że kobieta potrzebuje odpoczynku. Dodatkowo poinformował o samym przebiegu operacji. Max, Alex, Kate i Sam, wiedząc, że nic już nie mogą zrobić, postanowili wrócić do hotelu. Ponadto otrzymali asystę strażnika, który wcześniej pomógł ich przewieźć do szpitala. Mężczyzna zobowiązał się do prowadzenia SUV-a, dzięki czemu podróżni nie musieli błądzić po bocznych uliczkach miasta i szybko dołączyli do reszty swoich towarzyszy.

Obie grupy, z wyłączeniem Avy, zjadły kolację dość późno. Ich danie stanowiły głównie ciepłe grzanki z mięsem i serem oraz zielona herbata. Odkąd wrócili do Frank Cove, praktycznie nie zamienili ze sobą słowa. Wszyscy sprawiali wrażenie

przygnębionych. Jedyne Chris i Kate próbowali nie okazywać emocji, a kiedy nadeszła noc, siedzieli razem w jej pokoju.

Leżąc na łóżku, spoglądali przez okno na rozgwieżdżone niebo i z wolna opadające na ziemię płatki śniegu. Przykryci kołdrą czuli ciepło swoich ciał. Wtuleni w siebie sprawiali wrażenie spokojnych.

- O czym myślisz? - niespodziewanie spytała Kate, przerywając ciszę.

- O przyszłości... o tym, żeby na zawsze przerwać to pasmo nieszczęść, znaleźć nowy dom i żyć. Tak po prostu...

- Heh... chyba jesteś trochę zbyt sentymentalny...

- Prawdopodobnie zawsze taki byłem. Poza tym, choć się boję, chcę cię zapytać...

- Chodzi o Avę?

- Ech...

- Cały dzień czekaliśmy na to, co nam powiedzą lekarze. Do końca wierzyliśmy, że jakoś ją zszyją...

- Jak źle z nią jest?

- Ava dotarła w dość fatalnym stanie. Straciła dużo krwi. Gdybyśmy przyjechali godzinę później, prawdopodobnie byłoby po niej. Ledwo ją odratowali.

- A jak jej dłoń?

- Nie ma...

Chris zszokowany tą informacją gwałtownie usiadł i spojrzał Kate w oczy. Z kolei dziewczyna

westchnęła, powoli się podniosła i objęła partnera za szyję. Następnie delikatnie go przytuliła.

- Nic nie mogli zrobić - kontynuowała. - Zakażenie zaczęło szybko postępować. Nie wiem, czy to przez rozkłęza, czy jej odporność nawaliła. Efekt jest taki, że ucieli jej rękę na wysokości łokcia.

- Nie wierzę...

- Bez obaw, Chris, od teraz będzie tylko lepiej. Gdyby nie ta opaska, którą zrobił Luke, Ava mogłaby paść już w trasie. Dziewczyna jednak żyje i dojdzie do siebie.

- Długo jej to zajmie?

- Kilkanaście dni, ale znając ją, już pojutrze zacznie kombinować, jak uciec ze szpitala. To twarda babka, która nie może zbyt długo usiedzieć w jednym miejscu.

- Oby tylko nie narobiła sobie większych problemów... - westchnął Chris i ponownie się położył na łóżku, i przykrył kołdrą. - W każdym razie będę ją odwiedzać.

- Nie tylko ty - oznajmiła Kate, całując mężczyznę w policzek, i wróciła do poprzedniej pozycji. - Ech... mniejsza. Już nic w jej sprawie nie zrobimy.

- Wiesz...?

- Hm?

- Może to nie jest najlepszy moment, aby to

powiedzieć, ale chciałbym wiedzieć, co będzie z nami po tym, jak dotrzemy do Japonii. Obiecałem Luke'owi, że będę mu towarzyszył do końca jego wędrówki. Do Europy... Co zrobisz, kiedy przepłyniemy ocean? Co planujesz?

- Teraz się tym nie przejmuj - odparła Nix, mocniej przytulając Reese'a i kierując jego twarz ku swojej.

- Co to ma znaczyć?

- Chcesz to usłyszeć, prawda? - zapytała kobieta, delikatnie gryząc swoje wargi.

- Wiele rzeczy chciałbym wiedzieć, ale teraz tylko ty mnie interesujesz...

- I będę przez jeszcze bardzo długi czas - oznajmiła Kate, całując mężczyznę i poddając się narastającej namiętności.

- Nie chcę, aby to kiedykolwiek minęło... - oznajmił Chris, możliwie szybko zdejmując z siebie ubranie.

- Ani ja - odparła Nix i również zaczęła się rozbierać. - Jednak pamiętaj o jednym...

- O czym? - zapytał Reese, przyjmując pozycję misjonarską, i pocałował kobietę w szyję.

- Że cię kocham... - oznajmiła kobieta, doznając rozkoszy.

ROZDZIAŁ V

KRES

Ostatnie dni grudnia nad zatoką Kachemak były wyjątkowo mroźne. Temperatura nocami spadała do ponad dwudziestu stopni poniżej zera, a w dzień słupki rtęci nie pokazywały więcej niż minus dziesięć. Obfite opady śniegu uprzykrzały życie mieszkańcom Frank Cove, którzy ledwo nadążali z odśnieżaniem ulic swojego miasta. Jednak w ostatni dzień dwa tysiące trzysta pięćdziesiątego roku wiatr osłabł i na niebie nie było ani jednej chmury. Wyglądało na to, że taka pogoda może się utrzymać przez dłuższy czas.

Minęły prawie dwa miesiące, odkąd podróżni zamieszkali w hotelu Beluga. W tym czasie nastąpiło kilka istotnych zmian. Ich furgonetkę kupiono za pięć i pół tysiąca dolarów, co pokryło dotychczasowe koszty zakwaterowania. Z kolei SUV został

przekazany na użytek strażników miejskich w zamian za prawo do noszenia broni, nowe ubrania i pracę.

Luke zamienił koszulę i klucz francuski na ciepły biały sweter i nóż bojowy. Chris oddał czarny płaszcz i marynarkę i otrzymał zimową kurtkę. Dodatkowo obaj zostali zatrudnieni w porcie pod zwierzchnictwem Johna Hendona. Krótco po usunięciu szkód, które wyrządzili, taranując ogrodzenie furgonetką, zaczęli pracować w typowy dla rybaków sposób.

Z kolei Maggie i Kate wstąpiły do straży miejskiej i codziennie patrolowały ulice Frank Cove. Poza mundurami otrzymały czarne zimowe kozaki i flanelowe koszule.

Rodzeństwo Williamsów pozostało przy Heather, zajmując się głównie pracą w hotelowej kuchni. Oboje wolne chwile spędzali razem, z wyjątkiem kiedy zabierano Sarah na zakupy. Kiedy kobieta kompletnie wyzdrowiała, częściej pozostawiała brata samego, miło spędzając czas w sklepach odzieżowych. Podczas jednego z takich wypadów kupiła różowy sweter i biały płaszcz, na zawsze żegnając starą garderobę.

Max i Alex, chcąc pomóc lokalnej społeczności, pracowali na wyrębiskach z drwalami. Ciężkie warunki kompletnie ich nie zniechęcały, a racje żywnościowe całkowicie rekompensowały włożony

przez nich wysiłek. Ponadto Arrington otrzymał w prezencie od swojego kierownika nóż motylkowy, co traktował trochę jak wyróżnienie w całym, liczącym dziesięć osób, zespole.

Dużo gorzej szło w życiu Samowi, który zamienił dżinsy na bardziej odpowiednie jego zdaniem spodnie moro i strzelbę tłokową. Również zachował pistolet, jednak nie mógł go wykorzystać w pracy, gdyż zatrudnienie w lokalnym barze wymagało od niego jedynie pilnowania porządku w lokalu.

Ava po rehabilitacji musiała porzucić karabin snajperski i się przerzucić na coś dla niej łatwiejszego w użyciu. Sztuka opanowania pistoletu w lewej ręce była dla kobiety dość trudna, jednak dzięki systematycznej pracy zostało to osiągnięte. Ponadto zarządca Frank Cove przypadkiem dostrzegł u niej strzelecki talent. Pewnego dnia wysłał do straży upoważnienie, aby zwerbowali Briggs do jednej z drużyn- duchów. Ava przyjęła propozycję współpracy i od prawie miesiąca wychodziła na okryte tajemnicą zawodową zwiady.

Nikt we Frank Cove nie obchodził sylwestra. Jedyne, co wyróżniało ten dzień od innych, to symboliczny toast w rodzinnym i przyjacielskim gronie i wzajemne składanie sobie życzeń. Obywatele miasta wiedzieli, że wysiłek włożony przez nich

w rozwój regionu nie może ustać. Nie inaczej wyglądał trzydziesty pierwszy grudnia dwa tysiące trzysta pięćdziesiątego roku. Od wczesnych godzin porannych mieszkańcy pracowali w pocie czoła. Dotyczyło to także podróżnych, którzy będąc w dobrych nastrojach, wykonywali swoje obowiązki.

Luke i Chris obecnie przebywali w porcie. Od siódmej rano katalogowali towar ładowany na trawlera Johna Hendona. To zajęło im czas aż do dziesiątej, aż do świtu. Kiedy ubrany w żółty płaszcz przeciwdeszczowy rybak ujrzał pierwsze promienie słońca, ogłosił przerwę. Jedynie Roussel postanowił wykorzystać czas wolny na rozmowę. Niezwłocznie wszedł na pokład „Laury”, podszedł do kapitana, a następnie się oparł o burtę i odetchnął.

- I jak tam twoje zdrowie? - spytał rybaka.

- Od jakiegoś czasu kiepsko sypiam, ale to przez natłok zadań, które dostaję od szefa. Ostatnio Jason wygląda na nieco podenerwowanego i każe nam pracować na podwójnych obrotach.

- A wspominał ci coś o jakichś kontraktach z Japończykami?

- Jakiś czas temu dostałem zlecenie, ale bez dodatkowych szczegółów. To, co właśnie przynosicie, jest tym zamówieniem. Ponoć za kilka dni mam dostać wytyczne, gdzie to cholerstwo zawieźć.

- Czyli opuścimy Frank Cove szybciej, niż

podejrzewałem - stwierdził Luke, spoglądając na wchodzącego na pokład Chrisa. - Mogę już poinformować resztę o wyjeździe?

- A rób, co chcesz... - westchnął Hendon, wyciągając piwo z kieszeni, a następnie je otworzył.

- Mam nadzieję, że zbytnio nie przeszkadzam? - zapytał Reese, siadając tuż pod masztem.

- W żadnym wypadku - odpowiedział mu Roussel. - Tak przy okazji... niedługo odpływamy.

- Poważnie? - dopytywał Chris, muskając dłonią swój kilkudniowy zarost. - W sumie to nawet lepiej, bo niedługo nam mija termin wynajmu pokoi u Heather.

- Nie musisz mi o tym przypominać - odrzekł Luke, rozglądając się dookoła. - Tak przy okazji... wiecie cokolwiek o tym, co się dzieje na półwyspie? Słyszałem, że wszyscy chodzą ostatnio jacyś podenerwowani.

- Nasi mają problemy z komunikacją - odpowiedział John, popijając piwo. - Jakieś usterki w łączności. Lepiej nie zwracaj sobie tym głowy... to całkiem normalne o tej porze roku.

- Cholera wie... dzisiaj, jak szedłem do pracy, to mijałem strażników. Wyglądali, jakby coś wisiało w powietrzu...

- A normalnie to mają wszystko gdzieś? - retorycznie zapytał Hendon. - Olej ich i rób swoje.

Tak przy okazji, to niedługo wam zleci przerwa. Lepiej zaczniście już iść robić przegląd...

- Co mamy sprawdzać? - dopytywał się Chris.

- Czy cholernych szczurów nie ma pod pokładem - nerwowo odparł John. - Pieprzone gryzonie rozlaży się po kutrach i także po moim trawlerze. Macie coś zrobić, aby je wytępić.

- Dobrze, ale o szesnastej nas tu nie ma - oświadczył Chris, wstając i z wolna zmierzając pod pokład.

- W ogóle mnie to nie interesuje. Jeszcze dzisiaj macie wybić te szkodniki.

- Racja... plan musi być wykonany - cynicznie powiedział Luke i zaczął podążać za przyjacielem.

- Dokładnie - odrzekł stary rybak, pijąc kolejne kilka łyków alkoholu. - Może i wam nie płacę, ale pamiętajcie o Japonii...

Tymczasem pod bramą Frank Cove panowała napięta atmosfera. Poza stojącymi na warcie strażnikami w tym miejscu zgromadził się także oddział drużyny-duchów. Ten, do którego przydzielono Awę.

Grupę stanowiło siedem osób, a przewodził jej dobrze zbudowany trzydziestoparoletni mężczyzna. Żeby ukryć swoją tożsamość, używał pseudonimu i kazał do siebie mówić „Shadow”. Przypuszczalnie

był łysy, ale ukrywał ten fakt poprzez noszenie wełnianej zimowej czapki. Jego ubiór, podobnie jak każdej osoby z oddziału, stanowiły ciężkie trapery, spodnie moro, sweter, wełniana kurtka, rękawice i szalik – wszystko koloru czarnego.

- I jak tam nastrój, Ava? – spytał kobietę jeden z mężczyzn z drużyny. – Spałaś dziś dobrze?

- Spadaj. Kazaliście mi taszczyć tutaj swój tyłek i być na nogach już od dziewiątej rano. Nawet nie chcę przypominać, kto musiał wczoraj łązić na patrolu pod murami miasta do trzeciej w nocy.

- Bez nerwów, nie mieliśmy wyboru. Jak zwykle szlag trafił łączność i przybyło nam zadań. Pieprzeni inżynierowie nie zdążyli zabezpieczyć anten przed mrozami...

- Mówisz, że zima co roku ich zaskakuje? To po jaką cholere Jason jeszcze im płaci?

- Bo oni powiedzieli, że zrobili wszystko, co należy – wtrącił Shadow, podchodząc do Avy. – Wczoraj czytałem raporty i wychodzi na to, że jednak ktoś coś przy nadajnikach kombinował.

- Sabotaż? – dopytywała Ava.

- Być może, ale żeby to wiedzieć, musimy iść dzisiaj do jednej z anten. Polecenie służbowe bezpośrednio od kierownictwa.

- Gdzie nas wysyłają?

- Dwanaście kilometrów na północ od miasta. To

teren bagnisty i gęsto zalesiony, ze sporadycznymi wyrębiskami. Mamy zachować szczególną ostrożność, gdyż brak komunikacji sprawił, że nie mamy dobrego wglądu w sytuację na półwyspie.

- Taaa, a czarne ciuchy na dzienne zwiady na pewno nam pomogą „wtopić się w otoczenie” - cynicznie wtrącił jeden z członków drużyny-duchów.

- OK, rozumiem aluzję - odparł Shadow. - Pogadam z Jasonem za kilka dni. Teraz nie pozostaje nam nic innego, jak wyruszać. Strażnicy!

W odpowiedzi podszedł do niego jeden ze stojących wcześniej pod bramą mężczyzn. To była ta sama osoba, która pomogła w transporcie Avy do szpitala.

- Czego drzesz mordę? Przecież stoję obok.

- Z racji tego, że jesteśmy pozbawieni łączności, będę was musiał prosić o niestrzelanie do przypadkowych osób aż do naszego powrotu - oznajmił Shadow. - Niestety o dzisiejszej operacji nie mogę za dużo powiedzieć. Wiadomo, o co chodzi.

- Jasne, rozumiem. Zaraz was wypuszczę. Tak w ogóle to, Ava, jak sobie radzisz?

- Całkiem nieźle, dzięki za zainteresowanie - odparła kobieta. - A teraz proszę, nie utrudniaj nam pracy. Obiecuję, że niedługo się zobaczymy.

- W to nie wątpię - odrzekł entuzjastycznie strażnik, odchodząc, i szybko otworzył bramę Frank

Cove. – Uważajcie na siebie.

– Wy także – powiedział Shadow, odwzajemniając troskę. – Uwaga! Rozpoczynamy operację!

W odpowiedzi drużyna zaczęła podążać śladem swojego lidera i powoli weszła w iglasty las. Kiedy wszyscy zniknęli strażnikowi miejskiemu z oczu, ten zamknął bramę i powrócił na posterunek. Stojąc na murze, spoglądał na północ i trwał tak w bezruchu przez kilkanaście sekund. Dopiero szturchnięcie przez jego kompana przerwało ten moment milczenia.

– Co jest? – zapytał zdezorientowany mężczyzna.

– Czemu tak w las zaglądasz? Ta laska i tak nie będzie twoja. Poza tym, czy ty w ogóle z nią gadałeś?

– Próbowałem, ale dziewczyna nadal mnie zbywa.

– Oj, chłopie... szkoda twojego czasu, nie warto.

– Pewno masz rację... w każdym razie jestem z siebie dumny, że pomogłem ją uratować.

– Jakbyś chciał się w końcu ustatkować, to panna Jennifer jest jeszcze wolna...

– Pieprzyć Jennifer.

– Tylko jedno ci w głowie, ehe, he, he... – zarechotał drugi strażnik. – No dobra, to co postanowisz zrobić z Avą?

– Zobaczymy... Póki co pozostaje mi satysfakcja, że dziewczyna po prostu żyje.

W momencie gdy Ava szła ze swoją drużyną na misję, Sam sprzątał w barze Frank Cove. Mężczyzna po wyczyszczeniu toalet od razu został zagoniony przez swojego szefa do zamiatania podłóg. Pomimo nieodpartej chęci do pyskowania musiał w milczeniu wykonywać polecenia łysego, tęgiej postury barmana.

Żeby jakoś zająć sobie czas, Casson przysłuchiwał się rozmowie dwóch gości lokalu, którzy aktualnie pili kawę. Ubrani w garnitury mężczyźni siedzieli tuż przy wejściu i sprawiali wrażenie zestresowanych.

- Mówię ci... ostatnio Jason tak ruszył wszystkich urzędników, że już nawet nie chcę pracować w administracji.

- Ty mi tu jęczysz, a nawet nie wiesz, jak od niego oberwał dział obrony. Już mam dość tych rozmów, inspekcji i drobiazgowego rozporządzania sprzętem. Po cholere to wszystko robimy, jak dobrze wiemy, że nikt nas nie zaatakuje?

- Lepiej nie wyrokuj. Od tego są analitycy. Faktycznie, ostatnio jest bardzo ciężko i nawet nie wiem, czy ten zapieprz ma jakikolwiek sens. Trzeba po prostu przeczekać, aż zarządca zmięknie i w końcu odpuści...

- Lepiej niech inżynierowie naprawią ten problem z komunikacją, bo niedługo wszystkich szlag trafi.

- W tym problem, że chłopaki wykonali swoją pracę, jak należy. Mimo to sami nie wiedzą, dlaczego transmitery nie działają.

- To trzeba ich zwolnić. Te dziady już dawno powinni zrobić miejsce dla młodych.

- Tak uważasz? To zorganizuj rekrutację i całą wymianę kadr. Tego nie zrobisz ot tak, na zawołanie. Daj mi kilku ludzi i może za dwa, trzy miesiące rozwiążemy ten problem.

- A znajdę i niedługo znów będzie normalnie.

- Póki co rób swoje. Stan mobilizacji wymaga, abyśmy podeszli do sprawy na poważnie.

- Stan... mobilizacji...? - cicho powiedział Sam, na kilka sekund przerywając zamykanie podłóg. - O czym oni...?

- Casson, bez opieprzania mi się tu! - oznajmił barman, sprzątając swoje stanowisko pracy. - Do piętnastej ma tu wszystko lśnić!

- Wiem, szefie, wiem... ech... - westchnął Sam i przestał słuchać mężczyzn w garniturach, a następnie poszedł na drugi koniec baru i wrócił do pracy. - A żebyś szczeł...

Stan mobilizacji, który ogłosił zarządca Frank Cove, mocno także odczuli strażnicy miejscy. Dotyczyło to także Maggie i Kate, które ochotniczo przystąpiły do służby w tym dziale obrony. Ubrane

w służbowe mundury patrolowały ulice i obecnie spacerowały tuż obok skutego lodem jeziora.

- Mówię ci, powinnaś ruszyć dupę i coś z nim zrobić - zaczęła rozmowę Kate. - Luke może jest żonaty, ale w końcu go złamiesz. Uwierz, wiem, co mówię.

- A co ja mu będę życie rozwalać? Od ponad miesiąca nie rozmawiamy, po tym jak weszłam mu nago do łóżka. Zachował się tak jak zwykle.

- Koleś nie ma za grosz poczucia humoru, he, he - stwierdziła entuzjastycznie Nix. - Mimo to jego wierność jest godna podziwu. Aż mnie zaciekało, jak wygląda ta jego Nicole...

- Lepiej przestańmy o nim gadać. Ten temat zaczyna mnie wkurzać...

- OK, urywam rozmowę o nim, ale wiesz, że zawsze na koniec muszę wrzucić swoje trzy grosze. Próbuje dalej, a może coś z tego będzie... nie zapominaj, że to tylko facet...

- Heh... coś sugerujesz?

- Może zacznij od upicia go... Taaaaak, to dobra metoda.

- A tak w ogóle to jak capnęłaś Chrisa? - zapytała Maggie, zatrzymując się, towarzyszkę.

- Dużo nie musiałam kombinować - odparła Kate, wyciągając papierosa. - W końcu łatwiej złapać niemal wdowca niż żonatego. To jednak nie jest

reguła...

- No tak... ech... Powinniśmy wracać do pracy.

- Oj tam, od razu służbowe obowiązki. Olej te rozporządzenia. Tutaj wszystko wygląda normalnie. Lepiej mi przypomnij, kiedy ostatnio miałyśmy jakąś interwencję?

- Ze dwa tygodnie temu, jak się chłopaki w barze pobili - odparła Paylor. - Co w ogóle w Maxa wstąpiło, że zaczął tłuc tego gościa?

- Testosteron, kochana, testosteron... Nie zapominaj, że ten typ naskoczył na Sarah. On chciał brać, dziewczyna nie zamierzała mu dać, a Max... napieprzać. To znalazł pretekst... he, he...

- Ciebie to bawi?

- Nie powiesz, że to nie było uprzejme z jego strony? Lepiej, że dał koleśowi w ryj, niż żeby tam siedział Steve. Wtedy nie wpadłybyśmy na bójkę, a strzelaninę.

- W sumie racja - przytaknęła Maggie, wznawiając marsz. - Przekonałaś mnie do Arringtona. Poza tym ciekawe, co on i Walsch teraz robią...

- Kij ich tam wie - odrzekła Kate, wyrównując krok do przyjaciółki. - Mam jednak nadzieję, że z nimi jest wszystko dobrze...

Praca na wyrębiskach była bardzo ciężka

fizycznie. Mimo to Max i Alex dawali z siebie wszystko, aby kierownik ich doceniał. Szansa otrzymania dodatkowych racji żywnościowych i gratyfikacji doskonale ich motywowała. Obaj mężczyźni nieustrudzenie i bez marudzenia wykonywali polecenia, od czasu do czasu ze sobą rozmawiając.

Nie inaczej zapowiadał się ostatni dzień dwa tysiące trzysta pięćdziesiątego roku. Praca w miejscu oddalonym kilka kilometrów na wschód od Frank Cove przebiegała według ściśle określonego planu. Od wczesnych godzin porannych drwale rąbali drwa i przenosili je na zaparkowaną nieopodal ciężarówkę. Około południa wszystko było gotowe do wywózki.

- Dobra, ludzie, chwilowo fajrant! - w pewnym momencie oświadczył kierownik, pukając w drzwi samochodu, który miał przetransportować drewno do miasta. - Przerwa na lunch! Do odwołania!

- I co teraz? - zapytał Alex do wycierającego pot z czoła Maxa.

- Niedaleko stąd jest dom leśnika. Może pozbieramy manele i posiedzimy sobie w kwaterze?

- Heh... zawsze to lepsze niż marznięcie na dworze. Tak w ogóle, to co sobie przygotowałeś?

- Nie powiem - entuzjastycznie odparł Arrington, podnosząc drobne metalowe pudełko. - Niedługo sam zobaczysz.

- Ty też sprawdzisz, co mi Sarah wykombinowała.

- Na pewno to będzie ciekawa wyżerka - stwierdził Max i wraz z kompanem poszedł głębiej w las.

Po kilku minutach mężczyźni dotarli do domu leśnika. Parterowa chatka była niemal w całości skonstruowana z drewna. Jedynie pokryty plandeką dach z trudem utrzymywał nagromadzone na nim zwały śniegu. Ponadto niewielki obiekt miał tylko jedno, nieznacznych rozmiarów, wejście i małe okienko.

W środku było czuć zapach stęchlizny. Przypuszczalnie fetor niósł się od zawieszonych nad ceglanym kominkiem porcji zgniłego mięsa. Nie przeszkadzało to jednak mężczyznom w zajęciu miejsca przy drewnianej ławie, przy której postawiono dwa konary.

- No to powiedz w końcu, co dla ciebie Sarah przygotowała - powiedział Max i otwierając niewielkie pudełko śniadaniowe, wyciągnął z niego dwa hot dogi.

- Parówki renifera? - zapytał retorycznie Alex, wyjmując z kieszeni drobne zawiniątko. - Lepiej patrz i płacz.

- Chyba z renifera - odrzekł Arrington, w kilku gryzach pochłaniając ćwierć lunchu. - Zamiast żartować, to gadaj, co tam chowasz?

- Solidny placek po węgiersku - oznajmił Walsch, rozkładając danie na stole.

- Po węgiersku? Skąd ta nazwa?

- Niby geograficzna, ale to nie jest najważniejsze. Mięcho da mi kopa na resztę dnia. Jakoś przy nim bledną te twoje parówki.

- No dobra, zagiąłeś mnie, he, he - zarechotał Max, nieco zwalniając konsumpcję. - Chyba muszę się do kogoś uśmiechnąć. Te przetwory z renifera są niezłe, ale, kurde, fajnie masz.

- Smacznego - odparł Alex, rozpoczynając swój lunch.

Mężczyźni w ciszy jedli posiłek, od czasu do czasu wyglądając za okno. Widzieli swoich kolegów z pracy, którzy w ten sam sposób spędzali czas wolny. Każdy dobrze wiedział, że w zawodzie drwala przerwa na jedzenie jest absolutnie konieczna.

- Tak w ogóle to jeszcze nie mieliśmy dzisiaj okazji pogadać o Johnie - wtrącił Arrington, kończąc drugiego hot doga. - Jak myślisz... dobrze robimy?

- Ja tu nie jestem od myślenia - odparł Walsch, również kończąc lunch. - Od tego mamy ciebie. Ja swoje zadanie skończyłem wykonywać, w momencie gdy oddaliśmy SUV-a.

- Nawet tak nie myśl - oświadczył Max, wstając z miejsca, a następnie wyszedł przed domek. - Jest jeszcze wiele rzeczy, które możesz dobrze robić.

- Jak na przykład?

- Obijanie mordy, rozpoznanie w terenie i wiele innych rzeczy... Może mało gadasz, ale wiesz, jak dbać o bezpieczeństwo.

- Odkąd Ava... no wiesz... nie mamy karabinu snajperskiego. Nie jest to nam zbyt na rękę.

- Tak w ogóle to ostatnio widziałeś coś podejrzanego?

- Nieustannie mam złe przeczucia. Szczególnie po akcji w Seward... lepiej, jak szybko stąd odpłyniemy. Póki nie uciekniemy z Ameryki, Mackenzie będzie dyszeć nam na karku... a przynajmniej w naszej wyobraźni.

- Niedługo wyruszymy, zobaczysz - oznajmił Arrington, kiwnięciem głowy zachęcając kompana do wyjścia z chatki. - Dopiero w Japonii pomyślimy o tym co dalej. I wiesz co?

- No? - odparł Walsch, wychodząc na zewnątrz.

- Coś mi podpowiada, że lepiej trzymać z Lukiem - stwierdził Max, widząc podchodzącego do niego szefa.

- Chłopaki, od kilku minut was szukam - oznajmił kierownik. - Muszę wam coś ważnego powiedzieć.

- Mianowicie? - dopytywał Arrington.

- Przyjechała do nas druga ciężarówka, ale nie w sprawie roboty. Jason wszystkich wzywa, aby natychmiast powrócili do Frank Cove.

- Czy on ma poważny powód?

- Tego nie wiem, ale szykuje się coś złego. Musimy jak najszybciej zebrać sprzęt i spieprzać stąd w podskokach.

- Ech... Coś ostatnio wszystkim odwała... - westchnął Alex i wraz z Maxem zaczęli iść w kierunku miasta. - My dojdziemy na piechotę. Coś jeszcze, kierowniku?

- Siedźcie na dupach u siebie, aż sytuacja minie - odparł mężczyzna, zamykając chatę, a następnie pobiegł w stronę reszty drwali. - Poza tym pamiętajcie, że porządne z was chłopaki.

- Pan też jest rewelacyjnym szefem - oświadczył entuzjastycznie Max. - Proszę na siebie uważać.

- Pozdrówcie ode mnie Heather! - na pożegnanie krzyknął mężczyzna, znikając pośród drzew. - A przede wszystkim obsługę hotelu Beluga!

- Tam pracują Steve i Sarah! - krzyknął Arrington, nawet nie wiedząc, czy jego pracodawca zdołał to usłyszeć.

Tymczasem rodzina Williamsów spędzała czas w hotelowej restauracji, nieustannie obsługując klientów. W końcu jednak wszyscy goście zakończyli porę obiadową. Wtedy rodzeństwo dostało polecenie, aby wysprzątać lokal. Sarah bez ociągania od razu przystąpiła do zmywania. Steve regularnie podawał

jej talerze, a kiedy podesłał ostatnią partię naczyń, postanowił chwilę odpocząć.

- Chyba najwyższy czas pogadać na pewien temat... - oznajmił, masując się po barku. - Cholerne dźwiganie. Nawet za czasów Derricka tak mnie nie męczono.

- Ale przy zlewie raczej nie zarobisz kulki w łeb - oświadczyła Sarah, szorując jeden z wielu talerzy.

- Niby tak, ale przyznasz, że to, co teraz robimy, tak naprawdę nie jest dla nas. Niepotrzebnie zaczęliśmy przystawać do tego gówna, które nas otacza.

- Pijesz do Luke'a, Chrisa i Maggie?

- Niestety tak... W końcu musimy podjąć decyzję, co ze sobą zrobimy.

- Przecież wiesz, braciszku, że to, co nas spotkało, jest teraz nieważne. Nie pamiętasz naszej rozmowy sprzed kilku tygodni?

- Tak, wiem, o którą ci chodzi, ale dla mnie jest najważniejsze, aby znaleźć nam dom. I to nie byle jaki. Tego w końcu potrzebujemy...

- Znow będziesz coś bredził o powrocie do Falltown? - dopytywała się Sarah, powoli kończąc zmywanie.

- A masz lepszy pomysł?

- Zawsze możemy pojechać do Europy. Ponoć jest tam całkiem fajnie.

- Przy tych ludziach nigdy nie będzie normalnie - oznajmił Steve, spluwając do zlewu.

- Jeszcze nie możesz podźwignąć się po tym, co nas spotkało w Greenwoods? To nie wina Luke'a, tylko my daliśmy ciała.

- Chyba ja... ale mniejsza... Sarah?

- Tak, braciszku?

- Rodzina jest dla ciebie najważniejsza, prawda?

- Przecież wiesz, że cię kocham.

- I nie zostawisz, tak?

- Nawet jakbyś miał wszystkich zamordować, będę cię wspierać.

- Więc posłuchaj mnie raz, a dobrze... Nie chcę cię do niczego zmuszać, ale błagam... zakończmy tę wędrówkę... nie musimy uciekać.

- Jednak planujesz powrót do Falltown? - zapytała Sarah, kończąc pracę, i przytuliła brata.

- Nie zaprotestujesz? - odpowiedział wymownie Steve.

- Ech... rozumiem to... - westchnęła kobieta, roniąc łzę. - Pamiętaj, że kocham cię najbardziej na świecie.

- Ja ciebie też... ponad wszystko.

Minęła piętnasta. Słońce z wolna zaczęło znikać za horyzontem. Ava wraz ze swoją drużyną nieustannie szła przez gęste lasy i zamarznięte

mokradła. Miała całkiem dobry nastrój, gdyż wiedziała, że za kilka chwil wszyscy powinni dotrzeć do celu. Pomimo wyraźnego opóźnienia w planie misji nie ulegała negatywnym emocjom i pomagała sobie, nucąc hymn niegdysiejszej Kanady.

- Ava, musimy pogadać. - W pewnym momencie podszedł do kobiety Shadow. - Chcę z tobą coś uzgodnić.

- Słucham, szefie.

- Nasze działanie powinno się ograniczyć do sprawdzenia wieży transmisyjnej, ale wiesz, że czasem życie szykuje nam niespodzianki. Wiem, że dobrze strzelasz, ale byłoby lepiej, jakbyś tylko obserwowała teren. Jesteś dość drobna i łatwo cię ukryć.

- Co dokładnie mam robić?

- Podczas gdy my będziemy sprawdzać instalacje anteny i obserwować wszystko z góry, ty pójdziesz na rekonesans. Jeśli znajdziesz... bo ja wiem, coś podejrzanego, wrócisz bezpośrednio do mnie i złożysz raport. Do jutra mam napisać dla Jasona sprawozdanie i wyszłoby wszystkim na dobre, jakby było ono kompletne. Zrobisz to dla mnie?

- A co z resztą chłopaków? Nie pošlesz nikogo innego?

- My odwalimy brudną robotę, a do patrolu potrzebuję tylko jednej osoby. Nie chcę, abyśmy

zostawiali za sobą dużo śladów. Poza tym wiem, że jesteś dość bystra i spostrzegawcza.

- Już mi tak nie schlebiaj, tylko po prostu powiedz, że nogi wam wchodzą w dupę.

- Niestety jestem śmiertelnie poważny, ale jeśli nie chcesz współpracować...

- Dobra, już dobra. Zrobię ten cały obchód. To wszystko, co chciałeś przekazać?

- Jest jeszcze coś, co mnie niepokoi... Rozumiem, że mamy zimę i w ogóle, ale w lesie jest nienaturalnie cicho. Tobie też wydaje się to podejrzane?

- Chyba masz problemy ze słuchem - cynicznie odparła Ava. - Chwilę temu słyszałam trzask gałęzi i to nie byliśmy my.

- Ech... kurwa - westchnął Shadow i wyciągnął pistolet. - Czemu wcześniej mi o tym nie powiedziałaś...? Wszyscy stać!

Reszta drużyny posłusznie wykonała polecenie. Przywódca od razu skupił na sobie uwagę zespołu. Mężczyzna przeładował broń i dokładnie rozejrzał się dookoła.

- Panowie i pani... nie jesteśmy tu sami. Znajdźcie dla siebie osłony i czekajcie na dalsze polecenia.

- Shadow, nie wiem, co odwalasz, ale nie sądzę, że... - próbował powiedzieć jeden z mężczyzn, ale niespodziewanie upadł.

Z głębi lasu ktoś oddał strzał. Broń, której użyto, przypuszczalnie miała tłumik, gdyż nikt nie usłyszał huku. Z przestrzelonej czaszki mężczyzny zaczęła wypływać krew. Taki sam los spotkał dwóch kolejnych ludzi, zanim reszta drużyny zajęła pozycję w najbliższym, niewielkim, naturalnym okopie.

- Rzućcie broń i powoli wyjdźcie z podniesionymi rękami! - krzyknął ktoś ze znacznej odległości. - Jesteście osaczeni!

- Kurwa mać, co teraz? - spytał sam siebie Shadow.

- Wiemy, że zostało was czworo! - krzyknął nieznajomy. - Nas jest kilkuset! Dajcie za wygraną i miejmy to już za sobą!

- Niedoczekanie twoje... - szepnął jeden z ocalałych mężczyzn z drużyny- duchów, ale kiedy trzymając broń w ręce, nieznacznie się wychylił, został zlikwidowany.

- Teraz to już trójka! - zadeklarował napastnik optymistycznie. - Czemu nie chcecie dłużej pożyć?! Bądźcie rozsądni!

- Lepiej odpuśćmy... - oznajmił Shadow Avie, widząc zmasakrowaną przez kulę twarz martwego kompana. - Nie damy rady bez wsparcia.

- Ci wykolejeńcy i tak nas wykończą... - odparła kobieta, przeładowując pistolet. - Poza tym jaką masz gwarancję, że nas za chwilę, kurwa, nie zabiją?

- Ech... nie mamy wyjścia - westchnął przywódca drużyny, kręcąc przecząco głową. - Wstrzymać ogień, wychodzimy!

- Obyś nas tylko nie wykończył... - oświadczyła Ava, chowając broń, i powoli wstała.

W momencie gdy trójka ocalałych wyszła naprzeciw oprawcom, ujrzeli kilkanaście postaci. Wszyscy napastnicy mieli zimowe umundurowanie i karabiny z doczepionymi do nich tłumikami. Kiloro z nich, widząc, jak drużyna się poddaje, podbiegło i obezwładniło Awę, Shadowa i trzeciego mężczyznę. Po rozbrojeniu i skuciu ocalałych mundurowi zaczęli prowadzić ich na północ.

Po chwili wszyscy dotarli do niewielkiej polany, na której Briggs i reszta jej kompanii zobaczyła niezliczoną ilość uzbrojonych osób, kilkadziesiąt białych namiotów, kilka ciężarówek, helikopterów i czołgów. Ponadto na jednym z drzew umieszczono płachtę, na której widniały tylko trzy litery.

- ASO - odczytała Ava, nieustannie maszerując.

- Żebyś wiedziała - odpowiedział człowiek, który ją prowadził.

Nie minęła minuta, jak wszyscy podeszli pod największy z rozbitych namiotów. Przypuszczalnie w środku przebywał ktoś bardzo istotny dla wojska. Tym kimś był mężczyzna, którego Briggs skojarzyła z opowieści Luke'a.

Ujrzała osobę po pięćdziesiątce o częściowo siwych włosach i nieogolonej twarzy. Ten człowiek nosił taki sam strój jak reszta zgromadzonych w pobliżu żołnierzy, a jego chłodne spojrzenie wywoływało u niektórych niepokój. Dodatkowo miał przypięty do munduru identyfikator, na którym widniał napis: DWT-ASO, MAJOR MARK WILCHER, ODDZIAŁ 11-52.

- Melduję, że właśnie przechwyciliśmy tę trójkę, kiedy maszerowali niedaleko - oznajmił eskortujący pochwyconych wojskowy. - Co dalej?

W odpowiedzi mężczyzna uśmiechnął się szelmowsko i podszedł nieco bliżej.

- Możecie odmaszerować - rozkazał, po czym wyjął i odbezpieczył pistolet. - Ja ich przejmę.

- Jeśli jednak major chce, możemy jakoś pomóc...
- próbował powiedzieć wojskowy, odprawiając resztę żołnierzy.

- Ty chyba masz problem ze słuchem. Odmaszerować.

- Tak jest! - krzyknął żołnierz, pozostawiając Marka samego z Avą, Shadowem i trzecim mężczyzną.

Kiedy zniknął Wilcherowi z oczu, ten bezpardonowo uderzył przywódcę grupy Avy w twarz.

- Nazwisko? - oschle zapytał, celując do niego.

- To dane ściśle tajne i nie możemy... - próbował wyjaśnić ocalały ze strzelaniny inny członek drużyny-
duch, ale od razu został postrzelony w głowę przez
majora.

Ciało mężczyzny bezwładnie upadło na śnieg,
a fragmenty jego mózgu i czaszki poleciały we
wszystkie strony.

- Nazwisko - powtórzył Mark, ponownie mierząc
z broni do uderzonego wcześniej zakładnika.

- Shadow - odparł mężczyzna, nerwowo
spoglądając na ciało kompana.

- Ty tak poważnie? - dopytywał major, nie kryjąc
entuzjazmu. - Cóż... w dupie to w sumie mam. A jak
wołają na moją nową koleżankę?

- A-ava Briggs... - nerwowo odpowiedziała
kobieta, wiedząc, że trzeba teraz uważać na każde
wypowiedziane słowo.

- Och, Ava... Nie przypuszczałem, że wpadniesz
do nas z wizytą, he, he, he... - zarechotał Wilcher. -
Co cię do mnie sprowadza?

- S... skąd mnie znasz?

- Może nie mieliśmy okazji bliżej się poznać, ale
jesteś dla mnie kimś naprawdę ciekawym.

- Możesz powiedzieć, o co ci, do cholery, chodzi?

- Jasne, ale najpierw muszę rozliczyć twojego
partnera - oświadczył Mark i w mgnieniu oka
zlikwidował Shadowa.

To zaszokowało kobietę. Jej przyjaciel i lider drużyny-duchów leżał tuż u jej stóp z twarzą skierowaną do podłoża. Podobnie jak reszta oddziału został zamordowany z zimną krwią. Jedynie Briggs pozostała przy życiu. W tym momencie Ava zaczęła płakać.

- Więc jednak pod tym twardym pancerzem było trochę miejsca na uczucia... - stwierdził major. - A mówiono mi o tobie, że nic nie jest w stanie cię złamać. Całkiem odmienne relacje otrzymałem z Mackenzie.

- C-co? - zdołała wymówić kobieta, kierując wzrok prosto w oczy Marka. - Jak ty niby...?

- W życiu trzeba swoim pomagać - odparł Wilcher, chowając broń. - Zmieniając temat... Nawet nie myśl, że to spotkanie dobrze się dla ciebie zakończy. Poza tym... fajnych kolegów sobie dobrałaś.

- Których?

- Masz całkiem spore towarzystwo... Max Arrington, Alex Walsch, Kate Nix... i ten, no... Sam Casson. Aż dziwne, że zapamiętałem te nazwiska. Normalnie to bym po prostu cię odesłał do domu, gdzie niektórym zależy, aby was ponownie zobaczyć, ale od niedawna wiem, że to by była głupota. Chciałem tylko zapytać... znasz Luke'a Roussela?

- Że co? - powiedziała Ava i momentalnie

otrzymała cios z pięści w twarz.

- Ech... czyli jednak nie chcesz współpracować...

- westchnął major i spojrzał w kierunku namiotu, z którego uprzednio wyszedł. - Charles, Brian, wyłazić!

W tym momencie przy kobiecie stanęli kolejni dwaj mężczyźni, których Briggs również kojarzyła z opowieści.

Obaj byli w mniej więcej tym samym wieku i trzymali identyczne karabiny. Jeden z nich nosił czarną skórzaną kurtkę, spodnie z tego samego materiału i wojskowe trapery. Ponadto miał krótkie włosy i zarost. Z politowaniem patrzył na zakładniczkę majora. Włosy drugiego były średniej długości, a jego ubiór stanowił skórzany płaszcz, dżinsowe spodnie, żołnierskie oficerki i koszula. Ponadto mężczyzna sprawiał wrażenie bardzo poważnego i spokojnego.

- Poznaj braci Foss - oznajmił major. - Niech zgadnę... wszystko słyszeliście?

- Tak jakby... - odparł Brian, spoglądając na niewzruszonego niczym brata.

- Nie ma powodów do zmartwień, tylko robota do wykonania - oświadczył Mark, kierując wzrok na Awę.

- Zanim jednak przejdziemy do konkretów, zapytam was, czy widzieliście wcześniejsze zajście w lesie?

- Ech... byłem tam i zrobiłem, co mi kazałeś... -

odparł Brian w smutny sposób. – Wszystko, co zobaczyłem, przekazałem do centrali. Charles w tym czasie siedział w zbrojowni.

– I bardzo dobrze – oznajmił Mark, sięgając do kieszeni po nóż bojowy. – Wobec tego ta koleżanka nie będzie nam już potrzebna.

– Czeka! – niespodziewanie zaprotestował Brian. – Po cholere! ta masakra? Dlaczego to robisz?

– Bo od czasu do czasu trzeba dosadnie przetłumaczyć pewnym skurwysynom, że z ASO się nie zadziera – powiedział major, przykładając nóż do szyi Avy. – Jakieś ostatnie słowa, koleżanko?

W odpowiedzi kobieta zaczęła gorzko płakać. Kompletnie załamana psychicznie nie była w stanie wydobyć z siebie nic poza cichym jęknięciem.

– Może jednak zaangażuję w to Briana? – zapytał Wilcher, spoglądając na braci Foss. – Co o tym sądzisz, Charles?

– Mojego brata w to nie mieszaj – odparł mężczyzna. – Chłopak ma na dzisiaj dość. Ja zresztą też...

– Wobec tego nie pozostawiacie mi wyboru... – oznajmił major. Powalając na ziemię zakładniczkę, szybko przeciągnął ostrze noża po jej szyi.

W tym momencie Ava poczuła, jak zimno błyskawicznie ogarnia całe jej ciało, jednak to uczucie szybko zanikało. Kobieta stopniowo zaczęła

tracić świadomość i czucie. Ostatnią rzeczą, jaką widziała, to zakrwawione ostrze noża majora. Potem nastąpiła dla niej ciemność...

Mark Wilcher nieustraszenie próbował odciąć głowę Briggs od reszty jej ciała. Po kilkunastu sekundach dokończył dzieła. Następnie wstał i bronią białą wskazał na namiot.

- Charles, idź po skrzynkę na broń - rozkazał. - Tam gdzieś jest takie małe drewniane pudełko. A z tobą, Brian, mam do pogadania.

- O co tym razem chodzi? - zapytał z rozgoryczeniem młodszy z braci, podchodząc do majora.

- Chcę, abyś przekazał Luke'owi mały upominek. Dobrze wiem, że znasz Williamsów, Reese'a i Maggie Paylor. Powinni cię dobrze przyjąć. Weźmiesz hummera i pojedziesz do Frank Cove. Tylko nie ładuj się autem do miasta, ale omiń kontrolę.

- I co ja niby mam im powiedzieć? Że z zimną krwią zabiłeś ich przyjaciółkę?

- To też, ale jest jeszcze coś, co zrobisz - oznajmił Mark, otrzymując od Charlesa niewielkie pudełko, do którego zapakował głowę Avy. - Przekaż im, że niedługo mnie zobaczą. Możesz to ująć w słowach „major przestał żartować”.

- Może jednak ja to zrobię? - zapytał Charles.

- Wykluczone. Ciebie potrzebuję do czegoś

innego, a o szczegółach powiem ci później. Nie myśl o bracie. Gwarantuję, że krzywda go tam nie spotka. Co innego mógłbym powiedzieć o tobie, jakby Chris cię zobaczył...

- Ech... jeden raz mi przyjechał krzesłem, a ty będziesz to ciągle wypominać... - westchnął Charles.
- Ja sobie poradzę. Nie musisz...

- Muszę - odrzekł Mark, wręczając przesyłkę Brianowi, i kiwnięciem głowy nakazał mu iść w stronę samochodów. - Poza tym mam dla ciebie specjalne zadanie. Jego treść brzmi: czekaj na dalsze rozkazy. Zrozumiano?

- Przyjąłem do wiadomości - przytaknął Charles, odchodząc w przeciwnym kierunku niż jego brat.

- I o to chodzi, he, he, he - stwierdził entuzjastycznie Wilcher i zaczął wracać do namiotu. - I jeszcze coś...

- Tak? - zapytał mężczyzna, nie patrząc na majora.

- Dziś jest wielki dzień...

Krótko po godzinie szesnastej zrobiło się ciemno, przez co zapalono lampy na ulicach Frank Cove. Przeważnie o tej porze większość mieszkańców już nie pracowała i spędzała czas z rodziną przy obiedzie. Jednak dzisiaj większość strażników miasta musiała kontynuować służbę. Szczęśliwie dla Maggie

i Kate stan mobilizacji dotyczył jedynie tych, których staż w ochronie wynosił co najmniej rok. Dzięki temu kobiety mogły spędzić czas w gronie swoich towarzyszy.

Po pracy podróżni postanowili odpocząć i zjeść wspólnie obiad w restauracji hotelu Beluga. Usiedli przy dużym, okrągłym, nakrytym białym obrusem stole. Ich dania składały się z pieczonego łososa, gotowanych ziemniaków i surówki z marchewki. Do picia zamówili trzy butelki białego wina i syrop klonowy. W momencie gdy Heather zrealizowała zamówienie, wszyscy od razu przystąpili do konsumpcji.

- Ech... szkoda, że Ava nie zdążyła wrócić z misji... - po chwili westchnęła Kate, biorąc do ust kolejny kawałek ryby. - Mam nadzieję, że dziewczyna chociaż nie marznie.

- Przez rozporządzenie Jasona ponad trzy czwarte strażników jest na chodzie - oznajmiła Maggie, popijając wino. - My miałyśmy szczęście, bo wzięli mnie do straży, a tam jest jeszcze inne postępowanie niż w przypadku drużyn wypadowych.

- Jason ściągnął również do miasta wszystkich, którzy pracowali w terenie - dodał Max. - Nawet drwali. Coś mi mówi, że sytuacja jest poważna.

- W końcu ktoś inny zaczyna gadać w moim stylu - stwierdził Chris, całując Kate w policzek. -

Faktycznie, to wszystko wygląda podejrzanie. Mimo to mam dobre wieści.

- Co z wyjazdem? - zapytał Steve, udając zainteresowanie. - John przekazał wam jakieś konkrety?

- Za kilka dni powinien dostać informację, gdzie musi dopłynąć - odparł Luke. - Tymczasem radzę, abyśmy już byli gotowi do wyjazdu. Nie na rękę jest nam to całe wywołane przez Jasona zamieszanie, ale powinniśmy być zawsze gotowi do drogi.

- W sumie to żaden problem, aby w kilka minut ogarnąć rzeczy i wybyć z tego miasta - wtrącił Sam, powoli kończąc posiłek. - Wprost mnie niesie, aby stąd spieprzać i wypiąć się na swego szefa.

- Nie gadajcie o pracy - poprosiła Sarah, zerując lampkę wina. - Nie ma nic gorszego niż rozmawiać o niej przy obiedzie. Lepiej zmieńmy temat na jakiś luźniejszy.

W tym momencie do stołu podeszła Heather. Właścicielka hotelu sprawiała wrażenie lekko zaniepokojonej. Rozejrzała się dookoła, po czym skupiła uwagę na drzwiach wyjściowych.

- Macie gościa - oznajmiła i równie szybko jak przyszła, zaczęła opuszczać pomieszczenie. - Mówi, że was zna.

- Co do...? - próbował zapytać Steve, ale w chwili gdy zobaczył wchodzącą do pomieszczenia postać,

zaniemówił.

Podróżni ujrzeli Briana Fossa, który trzymał w ręce skórzaną torbę. Mężczyzna bez słowa podszedł do rodzeństwa Williamsów. Potem niezwłocznie ich wyściskał, nie kryjąc radości, że widzi swoich przyjaciół całych i zdrowych. Trwało to kilkanaście sekund i dopiero zostało przerwane przez Chrisa i Maggie.

- Co ty tu robisz? - zapytał wyraźnie zaskoczony Reese. - Jakim cudem...?

- Zaraz wam wszystko wyjaśnię. Nawet nie wiecie, jak jestem szczęśliwy, że was widzę.

- Eee... ty to ten sławny Brian, który uwolnił z aresztu Maggie i Chrisa? - zapytał Luke, wstając od stołu.

- I Steve'a i Sarah. Zakładam, że jesteś Luke Roussel?

W odpowiedzi podróżny lekko się uśmiechnął i wyciągnął do Fossa dłoń.

- Miło poznać - powiedział, witając mężczyznę.

- Brian, co ty tu robisz? - zapytał Williams. - Przecież mieszkasz w Falltown, a jest ono cholernie daleko stąd.

- Wiecie co? Lepiej odłóżmy takie gadki na bok. Usiądźcie i posłuchajcie, co mam do powiedzenia. I zanim cokolwiek powiecie... pozwólcie mi skończyć.

Wyraźnie zaniepokojeni podróżni ponownie zajęli

swoje miejsca przy stole. Następnie skupili całą uwagę na Brianie, który bez słowa wyciągnął z przyniesionej przez siebie torby drewnianą skrzynię na broń. Mężczyzna położył pojemnik na blacie i wyraźnie posmutniał.

- Powiem wprost... ASO mnie tu przysłało... kilkusetosobowy oddział właśnie mobilizuje się do natarcia na Frank Cove. Tymi ludźmi przewodzi ktoś, kto chce wam zrobić krzywdę... Luke?

- Tak, Brian? - zapytał zaniepokojony Roussel, sięgając ręką do kieszeni, gdzie trzymał broń.

- Major Mark Wilcher nadchodzi - odparł Foss, spoglądając w twarz podróżnemu. - Musicie uciekać z miasta i to szybko.

- Kurwa mać, niech ktoś biegnie do Johna - przeklął Max, gwałtownie wstając od stołu.

- Ty jesteś Arrington, prawda? - zapytał Brian, przesuwając w jego stronę leżącą na stole skrzynię. - Dla ciebie mam także potworne wieści. Zanim to otworzysz, musisz wiedzieć, że nikt poza majorem nie brał w tym udziału.

Lider drugiej grupy powoli uchylił wieko, aby zobaczyć, co otrzymał. W momencie gdy dostrzegł zawartość przesyłki, spuścił głowę i powoli odszedł na kilka kroków od stołu. Cały momentalnie pobladł i wyglądał na przerażonego.

- Doszło do obławy na oddział, w którym była

wasza przyjaciółka – zaczął wyjaśniać Foss. – Major nie miał dla nich litości. Zginęli wszyscy, a co przyniosłem, to... Ava nie żyje.

Podróżni na początku nie mogli uwierzyć w to, co słyszeli. Zaklinali rzeczywistość i próbowali zachować spokój. Jednak po kilku sekundach kobiety zaczęły płakać, a reszta, z wyjątkiem Luke'a i Maxa, spuściła wzrok. Arrington usiadł na podłodze, a podróżny wyjął rękę z kieszeni, puszczając broń.

- Chcę wam także powiedzieć, że w życiu nikogo nie zabiłem – kontynuował mężczyzna. – Nie chcę, aby to się zmieniło. Do ASO trafiłem pod przymusem, z polecenia Derricka Parkera. Tak samo jak mój brat, z którym już Chris miał do czynienia. Przepraszam za niego... W każdym razie Wilcher mnie tutaj wysłał, aby wam przekazać to, co usłyszeliście... Jednak nie przewidział jednego.

- Cz-czego? – wydukał z siebie Max, powoli stając na nogi.

- Błagam, pozwólcie mi z wami być. Nie mogę znieść cierpienia, jakie ludzie przechodzą przez organizację, która mnie siłą wcieliła w swoje szeregi. Wiem, że należy do niej mój brat, a Falltown jest na usługach wojska, ale nie mogę tak żyć. Chcę być przy dobrych ludziach... proszę... dajcie mi szansę...

W odpowiedzi Luke wstał i podszedł do mężczyzny. Po drodze zerknął na skrzynię z głową

Avy. Następnie spojrzał na Maxa, który ponownie usiadł na zajmowanym wcześniej miejscu przy stole.

- Powiem tak... - zaczął Roussel. - Mark Wilcher w końcu przegiął pałę. Za krew moich przyjaciół... Jacka, Samanthę, Raya... za wszystkich. Ten człowiek dzisiaj musi umrzeć i osobiście tego dopilnuję...

- Brian, chodź do nas - nieśmiało wtrąciła Sarah, przytulając przyjaciela z Falltown. - Nie zostawimy cię samego. Wiemy, że nic złego nie zrobiłeś...

- Muszę cię jeszcze ostrzec - wtrącił od siebie Luke. - Dezercja z ASO zawsze karana jest śmiercią. Jesteś tego świadomy?

- Tak, i mam to gdzieś. Lepiej być przy was niż bezradnie patrzeć, jak cały kontynent szlag trafia. Niczego innego bardziej nie pragnę...

- A co zrobimy z... Avą? - zapytał Max i nie kryjąc smutku, spojrzał na pojemnik z głową kobiety.

- Przybyłem tu bez wiedzy ochrony, więc równie dobrze dotrę do szefa Frank Cove. Powiem mu o wszystkim, co wiem, i poproszę o pochówek dla waszej przyjaciółki.

- Na to będzie trochę za późno - oznajmiła Heather, zabierając skrzynkę z głową Avy. - Rozumiem, że musicie uciekać. Pozwólcie, że ja zorganizuję biedaczce pogrzeb. Poza tym rozmawiałam z jednym ze strażników i poprosiłam,

żeby pogadał z Johnem Hendonem. Rybak powinien niedługo na was czekać. Zanim jednak wyruszyście, Jason prosił, aby wszyscy podeszli pod bramę przy strefie zamkniętej. Jeśli chcecie posłuchać naszego przywódcy, to macie ku temu ostatnią okazję.

- Max...? - nieoczekiwanie zapytał Luke, podchodząc do Arringtona.

- Zajebać...

- O co chodzi?

- Major...

- Więc sądzisz to samo co ja - oznajmił Luke, kierując wzrok na resztę podróżnych. - Idziemy na wiec... potem uzgodnimy, co robimy dalej, ale kiedy nadejdzie okazja... dajcie mi wolną rękę.

- Kiedy to się stanie... pamiętaj o tych, których ten skurwiol zamordował... o Jacku... Samancie... Rayu...

- To chyba nasze ostatnie pożegnanie, Heather - oznajmił Roussel właścicielce hotelu. - Bardzo dziękujemy za gościnę. Mam nadzieję, że miasto przetrwa. Uważaj na siebie...

- Dam sobie radę. Wy idźcie w stronę zamkniętej strefy. Niedługo Jason wyjaśni sytuację.

- To będzie cudowna noc... - stwierdził oschle Luke, powoli opuszczając restaurację.

Reszta podróżnych i Brian bez słowa poszli w stronę wyjścia z hotelu. Wszyscy, z wyjątkiem

młodsze z rodzeństwa Fossów, po raz ostatni spojrzeli na pozostawioną na stole skrzynkę. Utrata Avy była dla niemal każdego dotkliwa. Jedynie Luke'a i Maxa napędzała nienawiść i chęć zemsty.

Po kilku minutach podróżni dotarli we wskazane miejsce. Pod bramą, za którą była strefa zamknięta, dostrzegli spory tłum. Co najmniej kilkaset osób zgromadziło się na ulicy. Mieszkańcy Frank Cove sprawiali wrażenie zaniepokojonych lub przerażonych i patrzyli w kierunku stojącego na murach Jasona Carlsena. Mężczyźnie asystowało dwóch strażników miejskich.

Mający ponad pięćdziesiąt lat zarządca osady był łyśy, ubrany w zimową kurtkę, spodnie moro i czarne trapery. W jednej dłoni trzymał krótkofalówkę, a w drugiej pistolet maszynowy. W pewnej chwili gestem dłoni próbował uciszyć tłum, ale nie osiągając jakiegokolwiek efektu, wyjął zza pleców pistolet i oddał strzał w niebo.

- Czy mogę prosić o chwilę pieprzonego spokoju?!

Zgromadzeni momentalnie ucichli.

- Dziękuję... Na pewno każdy z was myśli o tym, dlaczego postanowiłem wprowadzić stan mobilizacji. Zakładam, że słyszeliście plotki o naszych problemach z łącznością na całym półwyspie. Niestety to prawda... Początkowo podejrzewaliśmy

sabotaż, ale niestety są to działania wroga. W tej chwili oddział wojsk ASO przygotowuje natarcie na nasze miasto. Pragnę jednak wspomnieć, żebyście zachowali spokój, gdyż dołożyłem wszelkich starań, aby zabezpieczyć mury i mieć pewność, że nic nam nie grozi. Pomimo to bardzo państwa proszę o pozostanie w domach i zadbanie o swoich bliskich. Sytuacja jest pod kontrolą i mam nadzieję, że tak pozostanie...

Niespodziewanie wszyscy usłyszeli dochodzący z północy niepokojący dźwięk. Zanim ktokolwiek zrozumiał, co go wytwarza, na niebie ujrzano pędzący z ogromną prędkością świetlisty punkt. Okazał się on rakieta, której celem była barykada oddzielająca dzielnicę handlową od portowo-elitarnej. Pocisk precyzyjnie uderzył w obiekt, który został kompletnie zniszczony. Pomimo odległości miejsca zdarzenia od zgromadzonych przy Jasonie osób każdy dostrzegł potężną eksplozję.

Mieszkańcy momentalnie popadli w panikę. Wszyscy z wyjątkiem podróżnych, Carlsena i strażników miejskich zaczęli uciekać w popłochu. Z kolei zarządca osady początkowo nie mógł uwierzyć w to, co widzi, jednak po kilku sekundach oprzytomniał i chwycił za krótkofalówkę. Następnie ją włączył, przekazał kilka komunikatów, a na końcu zeskoczył na teren zamkniętej strefy. To samo zrobili

asystujący mu strażnicy.

- Ja pierdołę... - przeklął Sam, dostrzegając czarny, szybko pędzący w ich stronę punkt na niebie.

- Czy to jest...?

- Mają helikoptery - oznajmił Luke, patrząc w kierunku zagrożenia. - Musimy iść w stronę portu...

- Nie, w życiu tam nie dojdziemy - odparł Chris, obserwując, jak na niebie pojawia się druga maszyna.

- Biegnijmy na rogatki.

- To szaleństwo - stwierdził Brian. - To właśnie tam mamy najmniejsze szanse na ucieczkę.

- Niekoniecznie - odrzekł Chris, spoglądając, jak kilka rakiet uderza w posterunki na murach i przypadkowe budynki, rozrywając wszystko na kawałki. - Przy bramie stoi zaparkowany SUV, który oddaliśmy strażnikom. Alex, masz może do niego zapasowy klucz?

- Nie, ale wiem, jak uruchomić go zdalnie.

- To na co jeszcze czekamy? Biegiem na zachód!

- To prawie dwa kilometry - odparł Steve, próbując wszystkich powstrzymać przed wdrożeniem planu Reese'a. - Póki mamy ASO nad głowami, nie możemy tam iść. Zginiemy...

W momencie gdy wypowiedział te słowa, z terenu zamkniętej strefy wystrzelono pięć rakiet. Cztery z nich trafiły w najbliższy helikopter, a jedna

uszkodziła śmigło następnego. Pierwszy cel został momentalnie zniszczony w powietrzu, a jego odłamki rozniosło w promieniu kilkuset metrów. Drugi ze śmigłowców zaczął tracić wysokość, ostatecznie wpadając do jeziora Beluga. Maszyna przebiła lód i od razu zatonała.

- I po problemie - oświadczył Chris, rozpoczynając bieg w kierunku zachodnim.

- Trzymajmy się razem! - rozkazał Luke, ponaglaając wszystkich. - Od tego zależy nasze życie!

Podróżni posłusznie zaczęli realizować plan ucieczki. Nie zwracając uwagi na panujący chaos, mijali szukających schronienia mieszkańców. Pędzili tak szybko, jak potrafili, aby zwiększyć swoje szanse na przeżycie.

Dochodziła godzina siedemnasta. ASO rozlokowało swoje wojska na najbliższym wzgórzu, mając doskonały wgląd na całe Frank Cove. Ponad pół tysiąca żołnierzy było gotowych do rozpoczęcia natarcia. Jedyne, na co czekali, to rozkaz do ataku.

Bezpośrednio dowodził nimi major Mark Wilcher. Aktualnie stał kilkadziesiąt metrów od nowego obozu i spoglądał przez lornetkę na płonące budynki. Obok niego, poza Charlesem, przebywał ponadczterdziestoletni mężczyzna. Miał zaczesane do tyłu, średniej długości włosy, dokładnie przystrzyżoną brodę i wąsy. Podobnie jak każdy nosił

zimowy mundur, aczkolwiek wyróżniał go stopień wojskowy. Na umieszczonej na piersi plakietce widniał jedynie napis „Kapitan”.

- Andrew Nelson... - rozpoczął major. - Nie sądziłem, że tuż przed emeryturą jeszcze zdążę poznać tak wysoko postawioną postać w ASO. Jeszcze jeden awans, a bylibyśmy sobie równi.

- Ech... z całym szacunkiem, ale przestań pierdolić - odparł wojskowy. - Właśnie straciłem dwóch doskonale wyszkolonych pilotów. Kto był odpowiedzialny za wywiad środowiskowy?

- Pretensje miej do zwiadowców, którzy właśnie powinni wracać do Stanów, gdzie czeka ich sąd wojenny. Odwalili fuszerkę i spotka ich właściwa kara.

- Przez te pieprzone wyrzutnie ziemia-powietrze straciliśmy także drogi sprzęt. Kto za to zapłaci? I jak przeorganizujemy natarcie?

- Spokojnie... dziesięć czołgów powinno załatwić sprawę. Poza tym odpowiedzialność za wszelkie straty zrzucimy na partaczy od rekonesansu. Pamiętaj, kapitanie... ręka rękę myje.

- Obyś miał, kurwa, rację - odrzekł Andrew, zapalając papierosa. - A zresztą... jebać to. Co teraz robimy?

- Wysłałem pewną niespodziankę jako prezent sylwestrowy dla mieszkańców. Widzisz te ciężarówki,

które właśnie jadą pod wschodnią bramę?

W odpowiedzi kapitan przejął lornetkę od majora i zerknął na konwój pojazdów, który zaparkował kilkaset metrów przed murem strefy zamkniętej Frank Cove. Uważnie obserwował kierowców, którzy w pośpiechu otwierali tylne drzwi kontenerów i biegli z powrotem do kabin.

Kiedy odjechali, zostawili za sobą niezliczone ilości ludzkich zwłok, które, ku zdziwieniu Nelsona, zaczynały ożywać.

- To tak sobie pogrywa Reno, jak nie chce tracić żołnierzy? - dopytywał się zaciekawiony.

- Wszystko zależy od sytuacji, z jaką ma ASO do czynienia - odparł Mark i odbierając lornetkę, przekazał ją Charlesowi. - Teraz potrzebujemy działać dyskretnie. Wojska Frank Cove prawdopodobnie są skoncentrowane na lewej flance i walczą teraz z padliną. Tymczasem na zachód posłałem wszystkie czołgi, które nie powinny mieć problemu z rozjebaniem bramy do miasta. Za kilka minut dojadą na miejsce. Potem wkroczy piechota i będzie pozamiatane.

- Burdel to ty dopiero wtedy ogarniesz, gdy przejmiesz te pierdolone wyrzutnie rakiet.

- Jak je przechwycimy, zobaczysz na niebie flary. Wtedy ślij helikoptery i róbcie swoje porządki.

- A ty co w tym czasie planujesz robić? -

dopytywał kapitan.

- Będę wydawać żołnierzom polecenia. Więcej w tej misji nie zamierzam brać udziału. Mam za to zadanie specjalne, bezpośrednio mi przydzielone przez dowództwo w Reno.

- Ech... - westchnął Andrew i pokiwał głową. - Wy i te wasze protokoły... Lepiej by było, gdybyś mi podrzucił akta i działalibyśmy razem.

- W żadnym wypadku. Od tego mam ludzi. Charles, dobry przyjacielu... potowarzyszysz mi w szukaniu twojego brata i kilku sympatycznych „osobistości”?

- To rozkaz czy major sobie jaja robi?

- Proszę po dobroci, ale jeśli mnie zmusisz, he, he, he... - zarechotał Mark i poklepał mężczyznę po plecach.

- Zależy mi na bezpieczeństwie Briana, więc nie mamy o czym gadać. Daj znać i jadę z tobą, tylko...

- Co „tylko”? Coś ci się nie podoba?

- Wyciągnięcie z tego syfu mojego brata jest dla mnie priorytetem. Nie interesują mnie inne wytyczne. Jeśli sprawy mojej rodziny przybiorą zły obrót, będę zmuszony działać na własną rękę.

- Zdajesz sobie sprawę, że wtedy to będzie dezercja i Derrick zostanie o tym poinformowany? Jesteś tutaj, bo masz wykonywać moje polecenia. Zrobię, co mogę, aby operacja wyszła

bezproblemowo, więc nie jęcz i biegiem do jeepa.

- Teraz? - zapytał Charles, przeładowując karabin.

- Albo poczekaj, aż skończę... - odrzekł major i wyciągnął z kieszeni krótkofalówkę. - Do wszystkich jednostek: macie zielone światło. Powtarzam, macie zielone światło. Podaję wytyczne: nie nacierać do czasu, aż czołgi zneutralizują zewnętrzną ochronę miasta.

- *Przyjąłem, Alfa 2* - odpowiedział ktoś na linii.

- *Przyjąłem, Alfa 4.*

- *Przyjąłem, Gamma 3.*

- *Przyjąłem, Gamma 4.*

- Bez odbioru - powiedział Mark i wyłączył krótkofalówkę, nie chcąc słuchać więcej potwierdzeń.

- Charles... jedziemy na najważniejsze starcie w tym roku... Wiesz, co nas spotka, jak podbijemy Frank Cove?

- Nie mam pojęcia - odparł Foss, powoli zmierzając w kierunku najbliższego samochodu.

- Mnie emerytura, a ciebie wielka kariera. Jak dobrze wypadniesz, to cię awansuję i polecę w ministerstwie. Takich jak ty bardzo nam trzeba.

- Pogadamy, jak odzyskam brata - oznajmił Charles, dochodząc do dżipa.

- Powodzenia, Andrew Nelsonie - wtrącił Wilcher do kapitana. - Powtórzę: wypatruj flar. Tymczasem ja

mam sprawy do załatwienia.

- Ta, ta... zrobię, co należy... - odparł wojskowy, zapalając kolejnego papierosa. - Było mi, kurwa, przemiło.

- Skąd te nerwy? - dopytywał Mark, nie kryjąc entuzjazmu, a następnie otworzył drzwi od samochodu i usiadł na miejscu pasażera.

- Oby wszystko wypaliło z tym sądem wojennym, bo jeden z tych helikopterów pilotował mój zięć - odparł Andrew, spuszczać głowę.

W tym momencie major poczuł się nieswojo. Powoli zamknął drzwi, zapiął pasy i uchylił boczną szybę. Następnie spojrzał na kapitana, który z trudem utrzymywał emocje na wodzy.

- Bardzo mi przykro z powodu bolesnej straty - oświadczył Wilcher. - Dzisiaj pomścimy twoją rodzinę. Obiecuję...

- Jedźcie już i zostawcie mnie, kurwa, samego... - powiedział łamanym głosem Andrew Nelson i zaczął wracać do obozu.

Widok kapitana zasmucił Charlesa, który po uruchomieniu silnika i wbiciu wyższego biegu głośno westchnął, po czym zerknął na Marka Wilchera.

- Majorze?

- Po prostu rób... co do ciebie należy. Nic nie mów...

W odpowiedzi Foss ruszył dżipem. Szybko

objechał wzgórze i powoli zmierzał w stronę zachodniej bramy Frank Cove. Niemal od razu włączył światła, aby bezpiecznie przejechać przez las. Ku zdziwieniu Marka Charles sprawiał wrażenie podenerwowanego.

- Twojemu bratu nic nie grozi - oznajmił major, zasuważąc boczną szybę.

- Nie w tym rzecz...

- A w czym?

- Znałem rodzeństwo Williamsów... Osobiście także poznałem Maggie i Chrisa... Widziałem, jak odciąłeś głowę ich znajomej... Co planujesz z nimi zrobić?

- To, co będzie konieczne. Z kartoteką Luke'a nawet nie zacznę, bo zeszłoby nam kilkanaście minut na rozmowę tylko o nim. Chris, Maggie, Steve i Sarah może ocalą skórę.

- Już ja znam to twoje „może” - wtrącił Charles, nieco przyspieszając auto.

- Niestety będziesz musiał o nich zapomnieć. Zresztą byłeś w Greenwoods, nie powinieneś im współczuć...

- Nie mam zamiaru o nich myśleć...

- To tego nie rób.

- Chcę tylko usłyszeć i wiedzieć, jaki los spotka chociażby moich dawnych znajomych.

- Williamsów? Zrobię z nimi to, co z resztą tej

patologii... Może ci się to nie spodobać, ale ich znajdę i zabiję.

- Ech... - westchnął Charles, w końcu wyjeżdżając z lasu, zaczął prowadzić auto po oblodzonej drodze.

- Pamiętaj o mojej propozycji - oznajmił major, klepiąc lekko rozmówcę po ramieniu. - Jesteś wyjątkowy i przed tobą świetlana przyszłość.

- W to nie wątpię - odparł Charles możliwie spokojnie, jak potrafił.

Podczas gdy rozkładał napierały na wschodnią bramę, a większość obrony Frank Cove zaczęła je likwidować, czołgi ASO rozpoczęły ofensywę od strony zachodniej. Nieliczne siły strażników miejskich zostały zaopatrzone w ciężkie karabiny maszynowe, jednak ta broń dawała znikomy efekt w walce z wrogiem. Raptem jeden pojazd został wyeliminowany przez przypadkowe przestrzelenie komory paliwowej. Reszta amerykańskich sił opancerzonych powoli zbliżała się do bramy wjazdowej, do której właśnie podbiegły grupy Luke'a i Maxa.

Podróżni nie zwracali uwagi na eksplozje i salwy z broni mechanicznej, tylko szukali SUV-a. Ku ich rozgoryczeniu samochodu nie było w pobliżu. Mimo wszystko Luke wypatrzył pozostawiony na

przydrożnym parkingu czarny pikap i instynktownie do niego podbiegł.

- Dajcie mi chociaż minutę! - krzyknął do reszty towarzyszy.

- Zapiierdalaj! - przeklął Max, popychając mężczyznę w stronę samochodu. - Te chuje zaraz tu wjadą! Wszyscy do środka! Damy radę!

- Musimy! - dodał od siebie Chris, jako pierwszy przeskakując na bagażnik auta.

W kilka sekund obie grupy były gotowe do wyjazdu. W tym czasie Luke wybił w pojeździe szybę od strony kierowcy, a po otwarciu drzwi zaczął wyłamywać deskę rozdzielczą. Alex postanowił usiąść na miejscu pasażera i w miarę możliwości pomóc w przejęciu wozu.

W pewnym momencie strażnik miejski, który siedział za karabinem, otrzymał śmiertelny postrzał w głowę. Jego zwłoki upadły koło pikapa. Po nim poległo także kilkunastu innych obrońców miasta. Po dziesięciu sekundach Max doliczył się osiemnastu ciał. Odparcie wroga przy zewnętrznej bramie uznał za niemal niemożliwe.

- Nie mogę tego tak zostawić... - niespodziewanie powiedziała Sarah, przytulając brata.

- O co ci chodzi? - odparł ze zdziwieniem Steve. - Zaraz będziemy na statku i uciekniemy z tego piekła.

- Braciszku... wiem, że całe życie mnie chronił przed niebezpieczeństwem, ale pozwól mi w końcu być samodzielna. Zresztą... i tak nie zrozumiesz. Muszę pomóc mieszkającym tu ludziom. Nie zostawię ich na pastwę losu...

- Co ty, kurwa, odpierdalasz?! - przeklął Chris, widząc zeskakującą z samochodu Sarah.

- Za chwilę wrócę! - odparła kobieta i podbiegając do murów miasta, szybko zajęła stanowisko strzeleckie.

- Sarah, nie!!! - krzyknął Steve, ale kiedy próbował pobiec do siostry, został obezwładniony przez Fossa.

- Kocham cię, braciszku! - krzyknęła kobieta, odbezpieczając karabin, i rozpoczęła ostrzał.

- Brian, do kurwy nędzy, puść mnie! - wrzeszczał Williams, starając się oswobodzić.

- Luke, ile jeszcze?! - zapytał Max. - Jeśli mamy stąd spieprzać, musimy to zrobić teraz!

- Mam! - zadeklarował Roussel, uruchamiając pikapa. - Wołajcie Sarah!

W tym momencie kobieta dokonała czegoś, co wszystkich zadziwiło. Siostra Steve'a celnie trafiła w zbiorniki trzech czołgów i doszło do potężnych wybuchów. To wymusiło na ASO nagłą zmianę strategii podchodzenia pod zachodnią bramę.

- Zrobiłam to, zrobiłam! - krzyknęła, skacząc

z radości, i próbowała opuścić stanowisko strzeleckie. – Zdychajcie, skurwysyny!

– Sarah... – zdołał jedynie wyszeptać Steve, zanim jego siostrę trafił pocisk czołgowy.

Jej ciało, wraz z całym stanowiskiem strzeleckim, zostało rozerwane na strzępy, a niezliczone fragmenty mięsa i metalu przeszły powietrze. Deszcz krwi i odłamków spadał na ziemię przez kilka sekund. Maggie i Kate od razu zemdlały, a reszta, z wyjątkiem Steve’a, Briana i Luke’a, doznała szoku. Przyjaciel Williamsa odruchowo uderzył w głowę obezwładnionego przyjaciela, pozbawiając go przytomności, zanim ten zdołał cokolwiek zrobić. Z kolei Roussel wbił wyższy bieg i z całej siły docisnął pedał gazu.

Krótko po ucieczce podróżnych czołgi sforsowały bramę. Wrogie pojazdy ostrzeliwały wszystko dookoła, zabijając przy tym wielu strażników i cywilów. Tym samym pierwsza linia obrony Frank Cove padła, a żołnierze ASO zaczęli wbiegać na teren miasta.

W pewnym momencie Luke zauważył, że za nimi ktoś jedzie. Zobaczył dzipa, który szybko zmniejszał do podróżnych odległość, obecnie wynoszącą kilkaset metrów. Kiedy podróżny minął to, co pozostało z bramy, za którą była strefa portowo-elitarna, rozpoczął się ostrzał.

Kule trafiły w tylne opony pikapa, co znacząco utrudniło sterowanie pojazdem. Wszyscy na bagażniku kucnęli, aby zejść z linii strzału. W tym momencie Roussel zerknął w boczne lusterko. W momencie gdy to zrobił, ujrzał Marka Wilchera.

- Alex, mam do ciebie prośbę - oznajmił Luke, jedną ręką trzymając kierownicę, a drugą rewolwer.

- Wal śmiało.

- Kiedy stanę przy porcie, biegnijcie do Johna, a ja odciągnę od was majora. On chce głównie mnie i na pewno za mną pojedzie. Pilnuj reszty i od razu wypływajcie. Gdy tylko zrobię to, co dawno powinienem, jakoś do was dołączę. W porcie są szalupy, więc niech ktoś mnie później odbierze. Najwyżej za godzinę. Zapamiętałeś?

- Jasne - odparł Walsch, zerkając w prawe lusterko, które sekundę później zostało odstrzelone. - Dokończ dzieła i zajeź frajera.

- Do zobaczenia niedługo - oznajmił entuzjastycznie Luke i uchylając boczną szybę, oddał kilka strzałów.

Zachowanie Roussela sprawiło, że Charles zaczął tracić pewność siebie. Po przestrzeleniu przez podróżnego przedniej szyby dżipa Foss nieoczekiwanie zatrzymał pojazd. Minęło kilkanaście sekund, zanim Mark Wilcher wymusił na podwładnym wznowienie pościgu.

Po chwili Roussel ostro zahamował na środku skrzyżowania, niedaleko portu. W tym momencie jego towarzysze, z wyjątkiem Steve'a, wybiegli z samochodu. Nieprzytomnego Williamsa holowali Brian i Alex. Z kolei Luke wcisnął gaz do oporu i ruszył w kierunku ostatnich zabudowań Frank Cove. Przestrzelone tylne opony znacząco spowolniły auto, ale dzięki napędowi na przednią oś pikap nadal był w stanie jechać.

Ku zadowoleniu podróżnych plan odciążenia majora zadziałał. Prawdopodobnie wojskowy nawet nie zauważył uciekających na piechotę osób. Pościg trwał nadal.

Nieco ponad kilometr dalej Luke zjechał w boczną uliczkę i zbliżał się do sporych rozmiarów piętrowego budynku przemysłowego. Pracując w porcie, wiedział, że w środku są pomieszczenia, w których administracja stoczni gromadziła dokumentację, organizowała zebrania i trzymała będący własnością miasta sprzęt. Na parterze, w magazynach, stały wózki widłowe, służbowe, osobowe i dostawcze samochody osobowe, części wymienne do kutrów i dźwigów. Ponadto składowano tu także większość zapasów Frank Cove. To wszystko trzymano w sterylnych warunkach, oddzielając od siebie betonowymi, grubymi na pół metra ścianami, a jedyną możliwością wejścia do środka były solidne

metalowe wrota lub okna na piętrze.

Roussel, nie wiedząc, czy wejście jest otwarte, postanowił je staranować pikapem. Pędząc z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, zapiął pasy i bez trudu wjechał do wnętrza budynku. Miał jednak problem z zatrzymaniem pojazdu. Ostatecznie ostro zahamował i skręcił w lewo, uderzając prawym bokiem w betonowe schody.

Przez ten manewr pękły wszystkie szyby w samochodzie, stalowy zderzak rozleciał się na kilka kawałków, a układ sterowania został kompletnie zniszczony. Ponadto silnik przebił deskę rozdzielczą, ale jedynie zniszczył fotel od strony pasażera, dzięki czemu kierowca przeżył.

- Dobra... co teraz? - zapytał sam siebie Luke, rozpinając pasy.

Następnie mężczyzna powoli wysiadł z pojazdu. Po tym jak zobaczył krew na swoich dłoniach i twarzy, na moment zwątpił w słuszność tego, co zrobił. Mimo wszystko rozejrzał się po ciemnym korytarzu. Nie chcąc tracić więcej czasu, odruchowo zaczął wchodzić po schodach na wyższą kondygnację, a następnie poszedł do sporego magazynu na końcu korytarza, gdzie trzymano paliwo. Kiedyś widział, jak je tam przenoszono przez spore okna za pomocą mobilnej windy.

Nie minęła minuta, a Charles zatrzymał dżipa

przy wraku pikapa. Mark Wilcher, nie kryjąc ekscytacji, poklepał kierowcę po twarzy, po czym wyskoczył z auta i przeładował pistolet.

- Charles... nie masz nawet pojęcia, jak długo czekałem na tę chwilę. Pilnuj terenu wokół budynku i pozwól mi działać. I uważaj na strażników.

- Cokolwiek chcesz, majorze... - odparł jakby od niechcienia Foss, wyłączając silnik, i również wyszedł z pojazdu.

- Tylko nie martw się o brata. Jeśli on tam jest, zaraz go zobaczysz. A zresztą... mamy zadanie do wykonania. Ty stój na straży, a ja niedługo wracam.

- Powodzenia - powiedział ambiwalentnie Foss, a następnie odbezpieczył karabin i wyszedł z budynku.

Z kolei major obszedł zniszczony samochód i stanął na środku korytarza. Następnie zaczął strzelać do wszystkich drzwi. Potworny huk wystrzałów było słychać w całym obiekcie.

- Już jestem! - krzyknął entuzjastycznie major, przeładowując broń, i czekał na jakikolwiek odzew.

W odpowiedzi usłyszał, jak na wyższym piętrze ktoś strzela. Mark Wilcher, nie tracąc dobrego humoru, zaczął powoli wchodzić po betonowych schodach, ostatecznie stając niemal na ich końcu. Następnie nabrał w płuca nieco więcej powietrza, odetchnął głęboko i usiadł tak, aby być poza

zasięgiem przeciwnika.

- Jak miło cię słyszeć, Luke - powiedział entuzjastycznie. - Szczególnie po tym, co razem przeszliśmy. Wiem, że tylko ty tutaj jesteś. Nie chciałem napastować twoich przyjaciół, bo mógłbyś mi znów gdzieś zwać, a zależy mi na tym, aby ostatecznie rozwiązać pewne kwestie między nami. Przeczuwam, że w tym momencie ASO forsuje strefę zamkniętą Frank Cove i niedługo przybędzie aż tutaj. W każdym razie po tej szaleńczej podróży, jaką odbyliśmy, miło by było, abyś chociaż powiedział, jak spodobała ci się ta mała niespodzianka, jaką jest atak na tę osadę?

- Zamiast pierdolić, mógłbyś po prostu tu przyjść! - Usłyszał od Roussela w odpowiedzi. - Czekam na końcu korytarza!

- No dobra, ale wiedz, że jestem uzbrojony i strzelam, jak zobaczę. I tak dla formalności... mógłbyś pozdrowić mnie jeszcze jednym nabojem?

Podróżny ponownie użył broni i oddał strzał, dzięki czemu Mark Wilcher był pewien, gdzie przebywa jego przeciwnik. Major, nie kryjąc zadowolenia, zdjął kurtkę, tym samym odsłaniając kamizelkę kuloodporną. Następnie wstał i z podniesioną bronią szedł na konfrontację.

- Zanim cię należycie przywitam, może powspominamy stare dobre czasy? Pamiętasz

swojego dobrego przyjaciela? Chyba miał na imię Jack...

Brak odpowiedzi lekko rozczarował Marka. Mimo to wojskowy nadal nie tracił entuzjazmu.

- Na pewno był dobrym człowiekiem... takim samym jak porucznik Dergamo... czy tam Dergamo, jeden człek... ale żołnierze na moście to inna bajka. Zabiliście niewinnych ludzi... już wam miałem odpuścić, ale dostałem rozkazy, aby koniecznie cię pochwycić. I wtedy zaczęły się problemy...

- Jack Cronley, Samantha, Ray Bennett, Ava Briggs, Sarah Williams... - odparł zza drzwi Luke. - Ty chory pojebie, zapamiętaj te nazwiska!

- Oj... Samantha i Sarah to nie moja robota... tej pierwszej w ogóle nie kojarzę... Williamsowa nie żyje? Co na to Steve?

- Gdyby tutaj był, na pewno by ci pokazał. Ile mam na ciebie czekać?!

- Jeszcze chwila - oznajmił major, odskakując na bok i stając plecami do ściany, tuż obok przejścia. - Zanim po raz ostatni spojrzymy sobie w oczy, czy jest coś, o czym chciałbyś mi jeszcze powiedzieć? Za kilka sekund może być za późno...

- Jedna rzecz prawdopodobnie cię zaciekawia... - odpowiedział Roussel, zamykając drzwi na klucz. - Zanim tu wejdiesz, rozważ nieużywanie pistoletu. Otacza nas co najmniej kilka ton paliwa, które jak

wyleci w powietrze, to wyparujemy. Równie dobrze mogę sam to wszystko wysadzić, więc liczę na współpracę. Chyba chcesz pójść na upragnioną emeryturę?

- Ech... - westchnął major i wyciągnął nóż bojowy. - Czyli zatańczymy... niech będzie. Jeśli mamy to zakończyć, to chociaż z klasą!

Po tych słowach Mark jednym kopnięciem wyważył zamknięte drzwi i wtargnął do pomieszczenia.

Wokół niego stało kilkadziesiąt czerwonych beczek, a po przeciwnej stronie pomieszczenia Luke. Roussel opierał się o okno i tak samo jak major w jednej dłoni trzymał pistolet, a w drugiej ostrze. Ponadto przy nożu dzierżył niewielki nadajnik.

W tym samym momencie mężczyźni wycelowali w swoje głowy.

- To mi wygląda na sytuację patową - stwierdził major, stając za najbliższymi beczkami z paliwem. - Jak planujesz nas rozbroić?

- Myślę, że to będzie całkiem proste - odparł Luke, podrzucając rewolwer w kierunku majora. - Mam cię tam, gdzie chciałem. Jeśli chcesz wyjść z tego cało, zrób podobnie. Inaczej uruchomię pewien zapalnik, który przygotowałem specjalnie na taką okazję.

- Blefujesz - stwierdził major, wychodząc zza

osłony, i spojrzał na Roussela, który tym razem w jednej dłoni trzymał nóż, a w drugiej urządzenie z przyciskiem.

- Skoro tak, to czemu nie strzelasz? - odparł podróżny, powoli podchodząc do Marka. - Boisz się, że wywalę w powietrze pół budynku? Administracja zabezpieczyła to miejsce kilkoma ładunkami wybuchowymi. Ty po prostu drżysz o swoje życie. Uważasz, że jesteś od innych lepszy? Czemu wyrządzasz krzywdę, a sam nie masz ochoty oberwać?

- Ech... liczysz na odpowiedź? - zapytał Mark, chowając broń.

- Tak szczerze... nie - odrzekł Luke, stając metr przed swoim największym wrogiem. - Powiem krótko... dawaj i odbieraj dobro lub krzywdź i bądź krzywdzony.

W tym momencie między mężczyznami doszło do konfrontacji. Obaj wymachiwali nożami, jednocześnie uważając, aby samemu nie oberwać. Mimo to doświadczenie bojowe Marka dawało mu większe szanse na wygraną. W pewnym momencie major kopnął Luke'a w kolano i uderzył go pięścią w twarz. Następnie rzucił przeciwnika na ziemię i przygwoździł nogą jego prawy bark. Roussel, nie mogąc wytrzymać ucisku, puścił urządzenie. Następnie Wilcher próbował wbić nóż w głowę

wroga, jednak otrzymał mocne kopnięcie prosto w krocze. Zdekoncentrowany został pchnięty w bark i powalony na ziemię. Zdając sobie sprawę, że może zginąć, momentalnie oprzytomniał i ręką osłonił twarz przed kolejnym ciosem. Nóż bojowy Luke'a utkwiał w dłoni Marka, co paradoksalnie rozbroiło podróżnego. Pomimo bólu major wykorzystał tę okazję, chwycił głowę oponenta i kilkakrotnie uderzył nią o beton. Wszędzie lała się krew...

Ten ruch dał wojskowemu wyraźną przewagę. Luke, zamroczony, po omacku szukał czegokolwiek do obrony. W tym czasie Wilcher wstał, wyciągnął pistolet i wycelował broń w głowę przeciwnika. Jednak nie zdążył nic zrobić, gdyż otrzymał dwa strzały w plecy.

Roussel wstał i kiedy wytarł ciekącą z twarzy krew, ujrzał Chrisa, który właśnie przeładowywał obrzyna. Reese wyglądał na mocno zdeterminowanego, żeby zakończyć żywot wroga.

- C... co ty tu...? - próbował zapytać podróżny, ale został błyskawicznie podniesiony na nogi.

- Ani mi się waź, skurwielu! - wrzasnął Mark i przyłożył pistolet do głowy Luke'a. - Broń na ziemię i rączki do góry! Poza tym atak z za pleców z bliskiej odległości... prawie mnie miałeś... dobre kamizelki produkuje ASO...

- Zdychaj - odpowiedział Reese, unosząc załadowaną broń, jednak nie zdążył nacisnąć spustu.

Major zareagował szybciej od przeciwnika. Na wstępie uderzył Luke'a z łokcia w twarz, po czym oddał strzał w kierunku oprawcy. Pocisk trafił mężczyznę prosto między oczy, momentalnie powalając go na ziemię.

Chris padł martwy. Poniósł najwyższą cenę, próbując ocalić przyjaciela. Wszystko wskazywało na to, że jego ofiara nie miała sensu. Mimo to załadowany obrzyn podczas uderzenia o podłogę wystrzelił, a wiele kawałków śrutu rozbiło okno i przeszło prawą nogę Wilchera.

Przestrzelona kość piszczelowa i poszarpane fragmenty skóry niemal pozbawiły przytomności majora. Wojskowy upadł i leżał tuż obok Luke'a. To wyzwoliło w podróżnym tyle adrenaliny, aby wyciągnąć z ręki oprawcy swój nóż.

Jednakże Mark w porę zareagował i po wyjęciu ostrza ponownie uderzył przeciwnika w twarz. Roussel poczuł niemiłosierny ból i niemal stracił przytomność. Leżąc płasko na ziemi, skierował wzrok na ciało przyjaciela.

- Kurw... - próbował przekląć major, ledwo stając na jednej nodze, i wycelował w głowę podróżnego. - Nie ukrywam, było trochę groźnie, ale bawiliśmy się świetnie. Czas jednak zakończyć przedstawienie...

żegnaj...

Nieoczekiwanie do pomieszczenia wtargnął Charles, a Wilcher odruchowo na niego spojrział.

- Co ty robiłeś, że wpuściłeś tu tego martwego oszołoma? - zapytał, nie kryjąc pogardy, brata Briana. - Przez ciebie mogę stracić nogę... w ogóle po co tu, kurwa, przylazłeś?

- Złożyć rezygnację - odparł Foss i celując majorowi w głowę, puścił krótką serię z karabinu.

To był koniec największego wroga podróżnych. Kilkanaście kul przeszło czaszkę Marka Wilchera. Siła odrzutu pchnęła jego ciało przez futrynę. Martwy wojskowy wpadł w śnieżną zaspę. W jego zdeformowanej twarzy jedyne, co pozostało na miejscu, to oczy, które teraz jak nigdy wcześniej wyglądały przerażająco.

Luke odruchowo przeczołgał się do Chrisa i go objął. Nie potrafił powstrzymać łez, widząc ciało swojego przyjaciela.

- Teraz nie czas na żałobę - oznajmił Charles, podnosząc Roussela za ubranie, a następnie wyciągnął z kieszeni granat.

Następnie starszy z Fossów wyjął zawleczkę i rzucił ładunek wybuchowy pomiędzy zbiorniki.

- Spokojnie, mamy trzy minuty. To najnowszy eksperymentalny wytwór wojskowy. Opóźnienie zegarowe. Proszę cię, przebieraj nogami i wracamy

do mojego brata. Maggie czeka w łódce, aby nas odebrać.

- M... Maggie? - dopytywał Luke, jakby kojarzył to imię.

- Ruszaj, kurwa! - krzyknął Charles, ostrożnie wyprowadzając rannego z pomieszczenia.

Mężczyźni jednak nie mieli pojęcia, że nigdy nie opuszczą budynku. Eksperymentalny granat okazał się wadliwym egzemplarzem i eksplozja nastąpiła o wiele szybciej. W ułamku sekundy dosięgła kilku ton paliwa i momentalnie rozerwała cały magazyn na strzępy. Gigantycznych rozmiarów fala ognia pochłonięła wszystko w zasięgu kilkudziesięciu metrów. Łącznie z Lukiem Rousselem i Charlesem Fossem, którzy nie zdążyli uciec przed niszczycielską siłą. Zginęli na miejscu, a ich ciała doszczętnie spłonęły.

To wszystko na własne oczy zobaczyła Maggie. Do momentu wybuchu intensywnie wiosłowała w kierunku brzegu, jednak widząc niewyobrażalną siłę detonacji, nagle przestała cokolwiek robić. Jakby sparaliżowana patrzyła w kierunku Frank Cove. Przez kilka minut oglądała sceny istnej hekatombi. Dostrzegła Jasona Carlsena, który wraz z oddziałem strażników odpierał ataki czołgów i żołnierzy ASO oraz dziesiątkował niezliczoną ilość rozkłąży. Każdej sekundy wiele osób traciło życie w kompletnie

bezsensownej walce.

Po chwili kobieta zaczęła płakać. Roztrzęsionymi dłońmi chwyciła za wiosła, a następnie zaczęła płynąć w przeciwnym kierunku, w stronę trawlera Johna Hendona.

Po kilkunastu minutach Maggie dopłynęła do statku, na którego pokładzie znajdowała się reszta podróżnych. Każde z nich wyglądało marnie. Ponadto Steve i Kate ledwo stali na nogach. Kiedy Williams zobaczył Paylor, poszedł na mostek, a Nix niemal zemdlął. W ostatniej chwili złapał ją Max, po czym wziął kobietę na ręce i zaprowadził pod pokład.

- Jooooohn! - niespodziewanie krzyknął Sam. -
W drogę!

Maggie po wejściu na statek została przytulona przez Briana. Z oczu mężczyzny zaczęły płynąć łzy.

- Rozumiem, że oni...

- T... tak - wymamrotała kobieta, odwzajemniając uścisk.

- Czyli Charles, Luke, Chris i major...?

- To już koniec... już po wszystkim...

Minęło kilka godzin, odkąd podróżni opuścili wody zatoki Kachemak. Dzięki dobrej pogodzie zdołali pokonać ponad sześćdziesiąt mil. Wiatr był dość słaby i nie tworzył wysokich fal, a na

bezchmurnym niebie mieniły się niezliczone ilości gwiazd.

John Hendon aktualnie omijał trawlerem archipelag ogromnych skalistych, jałowych i skutych lodem wysp. Cały czas uważał na mielizny, gdyż w tym miejscu, a konkretniej w oceanicznych odmętach, spoczywało wiele wraków. Stary rybak dobrze znał te wody i obrał, swoim zdaniem, najpewniejszy kurs. Nie wiedząc, co konkretnie robić, spoglądał na ponury krajobraz i tymczasowo postanowił płynąć do Japonii.

Maggie leżała w przydzielonej jej kajucie, na koi, przykryta kocem. Towarzyszył jej Brian. Mężczyzna dobrowolnie chciał nad nią czuwać i jednocześnie sam obecnie potrzebował jakiegokolwiek psychicznego wsparcia.

Steve i Kate byli odizolowani w swoich kabinach. Utrata najbliższych także doprowadziła ich na skraj rozpacz. Pomimo głodu i zmęczenia nie chcieli nawet jeść i spać.

Max, Alex i Sam także spędzali czas pod pokładem, ale woleli po prostu pić. Oczekiwali, że alkohol stłumi w nich negatywne emocje i pozwoli szybko zasnąć. W rezultacie otrzymali efekt odwrotny od zamierzonego. Mężczyźni krzyczeli na siebie i rozładowywali napięcie poprzez tłuczenie butelek.

Po mniej więcej trzydziestu minutach stary rybak postanowił rozprostować kości. Przy okazji sięgnął do kieszeni płaszczka po piersiówkę, a następnie wyszedł na zewnątrz. Zszedł na pokład po skorodowanych schodach i powoli zmierzał na dziób „Laury”. Widok samotnie stojącej w tamtym miejscu Maggie mocno go zdziwił. Mimo wszystko John podszedł do kobiety.

- Wiem, że nie jest u was najlepiej, ale chcę z grzeczności zapytać, czy pijesz. - Pociągnął łyk alkoholu, a następnie podał Paylor piersiówkę. - Najlepsza whisky w tej części świata.

- A daj... - po kilku sekundach odparła kobieta, czerpiąc dwa łyki trunku.

- Bardzo mi przykro z powodu... no wiesz. To musi być dla was coś strasznego...

- Nawet nie wiesz jak bardzo...

- Słuchaj... teraz sam nie mam pojęcia, co robić, a ty jako ostatnia widziałaś Frank Cove. Jason Carlsen... ten człowiek zawsze wygrywa, ale czy teraz też tak dobrze mu szło?

- Chyba tak... Straż miejska ostatecznie odpierała ASO i odpychała ich z powrotem na zachód... ginęło strasznie wielu ludzi...

- Czyli miasto powinno przetrwać - stwierdził dumnie Hendon i ponownie spróbował whisky. - W takim razie nie warto realizować teraz zleceń, tylko zawracać i pomagać w odbudowie osady. Frank

Cove będzie potrzebować rąk do pracy, a skoro nie musicie już płynąć do Azji i dostać się do Europy...

- S... sugerujesz, żebyśmy tutaj zostali?

- ASO już raczej nigdy na nas nie napadnie... Jesteśmy tutaj bezpieczni. Wasza misja straciła sens, ale możecie zacząć swoje życie na nowo... Co o tym myślisz?

- Mam odpowiedzieć w imieniu wszystkich? - zapytała Maggie, a z jej oczu ponownie zaczęły płynąć łzy.

- Sądzę, że nikt się na ciebie nie obrazi.

- W takim razie... zawracaj. Nasza tułaczka dobiegła końca.

- A życie zaczęło się na nowo. Właśnie, muszę ci jeszcze o czymś powiedzieć. To może zabrzmieć niestosownie, ale wiedz, że nie mam złych intencji.

- Mianowicie? O co chodzi?

- Szczęśliwego nowego, dwa tysiące trzysta pięćdziesiątego pierwszego, roku!

EPILOG

13.02.2351, dziennik Maggie Paylor

Dzisiaj po raz pierwszy chcę wspomnieć o pewnych wydarzeniach, które miały miejsce ponad dwa miesiące temu. W ostatni dzień ubiegłego roku wojska American Security Organization zaatakowały Frank Cove. Co prawda w tej walce zginęła niemal połowa mieszkańców, ale ostatecznie miasto odparło atak. Już następnego dnia Jason Carlsen zorganizował zespół ludzi i rozpoczęliśmy odbudowę miasta. Do dzisiaj próbujemy stanąć na nogi, ale przyszłość rysuje się w dobrych barwach.

Moja decyzja o pozostaniu w tym miejscu była słuszna. Nikt nie zaprotestował i mogliśmy zacząć swoje życia na nowo. Ja postanowiłam pracować dla Johna Hendona. Powiem szczerze, odpowiada mi to. Pływanie po morzu bardzo mnie uspokaja i często pozwala zapomnieć o wszelkich troskach.

Niedawno Steve Williams zakończył żałobę, ale

dalej z trudem znosi życie bez siostry. Nadal współpracuje z Heather Cade, a właścicielka hotelu Beluga poza wynagrodzeniem pozwoliła mu nieodpłatnie u siebie zamieszkać.

Z kolei Brian Foss wstąpił do straży miejskiej i niedawno dostał przydział do jednej z drużyn-duchów. Takie samo wyróżnienie przypadło Kate. Obecnie oboje biorą udział w misjach patrolowych i właśnie to nadaje im teraz sens istnienia.

Grupa Arringtona także postanowiła zostać i pomagać mieszkańcom w odbudowie osady. Max i Alex nadal pracują jako drwale i do tego zajęcia zaciągnęli także Sama. Przynajmniej Casson przestał w końcu narzekać i robi to, co lubi...

Ponadto chciałam wspomnieć o wszystkich, których bezpowrotnie straciliśmy. Najpierw Jacka Cronleya, który zginął na pustyni niedaleko Spring Creek. Biedaczek nigdy nie dotarł do Kanady, ale wybawił Luke'a z niejednej opresji.

Chris Reese oddał życie w walce z naszym największym wrogiem, majorem Markiem Wilcherem. Uważamy cię za bohatera, a ten drugi niech zniknie w niepamięci.

Johnny i Zack zostali zabici w Winnemucca podczas walk z oddziałem ASO. Na nich mi w sumie szkoda słów, bo o niektórych się mówi albo dobrze, albo wcale. Co prawda większość życia z nimi

spędziłam, ale o wiele lepiej mi z tymi, którzy mnie teraz otaczają.

Brakuje mi bardzo Raya Bennetta. Byłeś moim najlepszym przyjacielem i oddałabym wszystko, aby cofnąć czas i lepiej go z tobą wykorzystać. Przynajmniej jestem teraz w bezpiecznym miejscu i gdybyś o tym wiedział, na pewno byś był bardzo szczęśliwy...

Biedna mała Samantha... dziewczynka, która zginęła tak młodo... Po uratowaniu jej w Baker City próbowaliśmy znaleźć dla niej nowy dom, a ASO ją bez skrępowań zastrzeliło.

Sarah Williams... oddałaś życie w słusznej sprawie. Prawdopodobnie byś jeszcze z żyła, gdyby nie twoja impulsywna decyzja w walce o Frank Cove. Chociaż może zginęlibyśmy wszyscy? Nigdy się tego nie dowiemy.

Charlesie Fossie... z początku współpracowałeś z wrogiem i kilkakrotnie nas wpakowałeś w poważne tarapaty, ale koniec końców stanąłeś po właściwej stronie. Aczkolwiek punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. W tym brutalnym świecie już dawno umarli ludzie dobrzy...

Historia Avy Briggs jest przytłaczająco smutna. Dziewczyna przez całe swoje życie była wykorzystywana do ciężkich prac w swojej rodzinnej osadzie - Mackenzie. Po ucieczce została

skrzywdzona przez bandytów, następnie straciła rękę, a na końcu jej życie w brutalny sposób zostało przerwane przez ASO. Chociaż teraz masz już spokój.

No i na koniec, ale nie mniej ważny, Luke Roussel. Postać tragiczna, która z poczucia obowiązku została przez European Defensive Pact odłączona od rodziny i zesłana na misję, z góry skazaną na niepowodzenie. Prawdopodobnie jego żona - Nicole - do dzisiaj go oplakuje. Ten człowiek przeszedł tak długą drogę, ostatecznie nie realizując swojego celu. Tak bardzo chciał wrócić do domu... Gdyby jednak z tego zrezygnował, nie poznałabym tak wspaniałych ludzi, a moje życie nie wyszło na lepsze. Nikt nigdy o tobie złego słowa nie powie. Co prawda za naszą przyszłość zapłaciłeś najwyższą cenę, ale dzięki temu my możemy żyć.

Na zakończenie pragnę napisać coś w sposób... powiedzmy filozoficzny. Ostatnim czasem wiele przeszliśmy, a nasze życie kompletnie się odmieniło przez przebyte podróże i doświadczenie. Można rzec, że wyciągaliśmy wnioski z naszych błędów i sukcesów. Jest taka nauka, która coś takiego określa jako empiryzm, i sądzę, że ten nurt można przypisać każdemu z nas...

Maggie Paylor

